

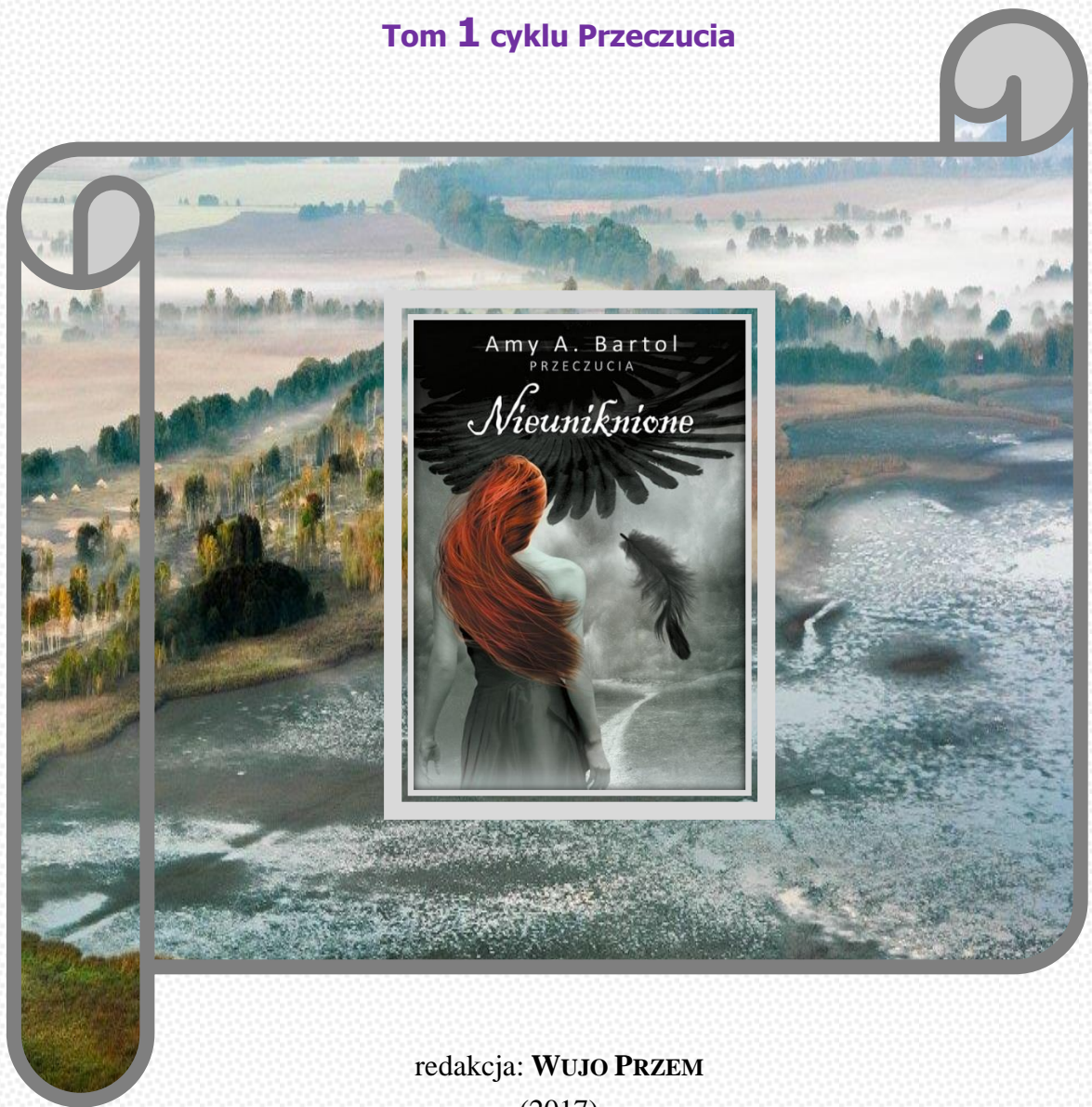
Amy A. Bartol

Nieuniknione

Inescapable

przełożył: Wiesław Łoźniak

Tom 1 cyklu **Przecucia**



redakcja: **WUJO PRZEM**

(2017)

*Mojej mamie, Glorii, wiecznej optymistce,
która nigdy nie pozwala,
żeby cokolwiek pozostało w czasie przeszłym...
a szczególnie jej miłość
A także Tomowi – za wszystko*

Rozdział 1

Dzień przeprowadzki

Kiedy przejeżdżam obok stonowanej fasady okazałej wieży zegarowej Crestwood College, uświadamiam sobie, że to właśnie o tym budynku mówi się Gmach Główny. To znak firmowy szkoły, otempłowują nim wszystko, co ją reprezentuje. Pieczęć z Gmachem Głównym była wytłoczona na zawiadomieniu o przyjęciu mnie na studia. Zapach jesieni wpływa przez otwarte okno samochodu razem z głębokim echem bicia dzwonów, które wyznacza pełną godzinę. Głośny, beznadziejnie smutny dźwięk przyprawia mnie o dreszcze. Zabawne, że coś tak niewinnego jak wieża zegarowa może być jednocześnie urzekające i złowrogie.

W samochodzie za mną wujek Jim daje mi kilka krótkich sygnałów klaksonem. Patrzę w lusterko wsteczne: wujek pokazuje, żeby na najbliższym znaku „stop” skręcić w lewo. Śmiać mi się chce z jego paranoi: boi się, że przejadę ulicę do akademika, dlatego – żeby go uspokoić – włączam kierunkowskaz. Kampus Crestwood to zaledwie kilka uliczek, więc nawet jeśli przegapię skręt, nie stanie się nic strasznego. Gdybym zdołała się tutaj zgubić, z pewnością nie zasługiwałabym na stypendium, które mi przyznali – myślę sobie, korzystając z lusterka, żeby pociągnąć usta błyszczkiem.

Jadę wolno tunelem utworzonym przez rosnące wzdłuż chodnika stare dęby. Zawsze sądziłam, że będę studiować na większej uczelni – w którymś z dużych miast, na przykład w Nowym Jorku albo Chicago – ale kiedy Crestwood zaoferowało mi pełen pakiet, bez żadnych podchwytliwych warunków, nie mogłam przepuścić tak wspaniałej okazji. No bo co komu po wielkim mieście, skoro człowiek jest w nim ciągle do szczętu splukany? Poza tym Crestwood regularnie zajmuje wysokie miejsca w krajowych rankingach prywatnych uczelni. A na dodatek w ten sposób zostanę w stanie Michigan, co pozwoli mi częściej odwiedzać wujka Jima. Będę miała do niego tylko kilka godzin jazdy – a on mnie potrzebuje. Jestem jego jedyną rodziną, tak jak on jest moją.

Kiedy pojawia się mój akademik, zaczyna mnie ogarniać niepokój. Nie znam ani jednej osoby w Yeats Hall, w całym Crestwood zresztą też. W zeszłym roku, w trakcie krótkiego zwiedzania uczelni, poznałam kilka dziewczyn, ale byłam wtedy dopiero kandydatką na studentkę, więc ani ja, ani one nie starałyśmy się zaprzyjaźnić. Napływa kolejna fala paniki, a może to raczej żal za wszystkimi znajomymi rzeczami, które za sobą zostawiam. Bez stresu – powtarzam sobie, biorąc głęboki wdech. Tu staniesz się kimś. Wszystko będzie dobrze.

Znajduję miejsce parkingowe pod cienistym wiązem i wyłączam silnik. Czekam, aż wujek się ustawi. Parkuje swoją furgonetkę w pobliżu mnie, zostawia ją na luzie. Z głośników ryczy *Baba O'Riley*^[1], wujek kiwa głową do rytmu i wygrywa w powietrzu szaloną partię gitary basowej.

Kiedy indziej coś takiego by mnie przeraziło – tym bardziej że wujek zaczyna przyciągać zdziwione spojrzenia rodziców, którzy taszczą ze swoich samochodów kartony i lampy na biurka. Ale nie dzisiaj. Dziś usiłuję zapisać te chwile w pamięci, bo są kwintesencją wujka Jima.

Właściwie wspólnie dorastaliśmy – on i ja. Kiedy mama zmarła wkrótce po tym, jak mnie urodziła, do akcji wkroczył wujek i stał się moim opiekunem. A to nie było takie proste: sam wtedy ledwo przestał być dzieckiem, miał tylko dwadzieścia lat.

Mój wzrok ogarnia twarz Jima, usta synchronizują się z ruchem jego warg, wykrzywionych w grymasie śpiewającego rockmana. Uśmiecham się, bo wiem, że robi to dla mnie. Próbuje mnie rozśmieszyć, żebym się nie denerwowała.

Wysiadam ze starego jeepa i zatrzymuję drzwi. Udaję, że nie widzę, jak odpadają przy tym drobne kawałki rdzy.

– Fantastycznie zasuwasz na gitarze – mówię, kiedy wujek wyłącza silnik i uśmiecha się do mnie szeroko przez otwarte okno furgonetki.

– Wiem, minąłem się z powołaniem. Urodziłem się, żeby być rockmanem. – Wyskakuje z samochodu i staje obok mnie.

– Niewątpliwie – przytakuję.

Obejmuje mnie ramieniem – przyciska przy tym moje długie kasztanowe włosy – i funduje mi szybki uścisk.

– Gotowa, żeby się zarejestrować? – Odsuwa sobie dłonią znad czoła ciemnobrązową grzywę, która natychmiast wraca na poprzednie miejsce.

– Tak jest – potwierdzam i podaję mu wyjęty z torebki grzebień.

Bierze go, uśmiechając się.

– Wiesz, Evie, co najbardziej w tobie lubię? – pyta.

Unoszę brwi.

– Hmm, to, że się nie pocę?

Uśmiecha się jeszcze szerzej. Kręci głową.

– To też. Ale i to, że o wszystkim myślisz. Dzięki temu mniej się o ciebie martwię, bo jestem pewien, że zanim się czegoś dotkniesz, zbadasz to pod każdym kątem.

– A wiesz, co ja w tobie najbardziej lubię?

– Że jestem muzykalny.

Uśmiecham się, bo oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że Jim totalnie nie ma słuchu.

– To też – potwierdzam. – Ale i to, że zawsze potrafisz powiedzieć, co trzeba.

– Spodobało ci się, co powiedziałem? – dopytuje, kiedy ruszamy chodnikiem lekko pod górę, w stronę wejścia do mojego nowego miejsca zamieszkania. – To dobrze, bo ćwiczyłem tę kwestię całą drogę.

– Zabrzmiało bardzo po rodzicielsku – komplementuję go, a on otwiera drzwi i przytrzymuje, żebym mogła wejść.

– I o to właśnie chodziło. – Podchodzi do szerokiego mahoniowego stołu w holu.

– Evie Claremont – mówię do energicznej brunetki siedzącej za stołem w fotelu.

Dziewczyna przegląda listę, potem patrzy na mnie i pyta:

– Genevieve Claremont?

– To ja, ale wszyscy mówią na mnie Evie.

Spogląda na mnie, potem na wujka i szczerzy zęby w uśmiechu. Oboje z wujkiem Jimem udajemy, że nie zauważamy, jak brunetka zaczyna z nim flirtować. Mnie to krępuje, a jego nie interesują dziewczyny w moim wieku. W każdym razie jestem przyzwyczajona, bo zdarza się to często. Sądzę, że każda z moich przyjaciółek w którymś momencie kochała się w wujku Jimie.

Kiedy brunetka zaczyna mu przedstawiać rozmaite nadchodzące wydarzenia z życia akademika, rozglądam się po starym budynku. Wiem, że kiedyś należał do zamożnej rodziny Crestwoodów. Na przełomie XIX i XX wieku ofiarowali go na potrzeby uczelni. Wnętrze nadal było eleganckie: ściany pokryte jasnoniebieską tkaniną, podsufitowe gzymsy, zdobione ciemnobrązowe boazerie, witraże w oknach.

Wujek Jim daje mi kuksańca, a potem wręcza nowe klucze i wskazuje brodą klatkę schodową.

– Milusia, co? – drażnię się z nim, kiedy wspinamy się na drugie piętro.

Kręci głową, udaje, że nie wie, o co mi chodzi.

Znajdujemy pokój. Wchodzę i kładę torebkę na niskim stoliku przy drzwiach. W środku pełne umeblowanie: łóżko, biurko, komoda, stolik nocny i mała lampa. Umywalka i toaletka to jedyne dodatkowe wyposażenie.

– Dom. – Wujek Jim rzuca mi pełne otuchy spojrzenie. Pewnie wyczuwa moje czarne myśli, bo dodaje szybko: – Nie martw się, jak przyniesiemy tu twoje rzeczy, nie będziesz czuła się obco.

– Nie martwię się. – Uśmiecham się nieszczercze.

– No to chodźmy. – Obejmuje mnie ramieniem i lekko popycha w stronę drzwi. – Weźmiemy bagaże.

Ściągamy wszystkie klamoty z furgonetki i tachamy je po schodach. Potem zostaję w pokoju i zaczynam się rozpakowywać.

– Gdzie mam postawić ten karton? – Wuj dyszy ciężko i chwieje się w drzwiach.

– A co w nim jest?

Wujek chrząka:

– Sądząc po ciężarze: albo szczątki twojego byłego chłopaka, albo... książki.

Przyciska przód pudła do ściany, żeby nie upadło.

– Ach, to pewnie książki. Wszyscy moi eks są pochowani w ogródku za domem. Życzę ci więc miłych snów, jak wrócisz dziś wieczorem – odpowiadam ze znaczącym uśmiechem. Stawiam budzik na nocnym stoliku. – Rzuć to po prostu gdzieś obok biurka, dzięki.

Ciężko przechodzi przez pokój i ciska pudło, które upada z hukiem.

– Zastanawiałem się, co się stało z tym ostatnim. Z tym, co zabierał cię do kina...

Ociera pot z czoła rękawem T-shirtu z zespołem Ramones. Biedny, stojący pośrodku Dee Dee Ramone jest całkiem mokry.

– Miał na imię Greg. I tak jak mówiłam, spoczywa w ogródku.

– Bardzo dobrze, nigdy go nie lubiłem – mówi. – Potrzebujesz pomocy przy rozpakowywaniu? – Wskazuje rozstawione po całym pokoju pudła.

– Nie jestem jeszcze pewna, gdzie wszystko wyładuję. Powinam się tym zająć sama – stwierdzam, choć to brzmi bardziej jak pytanie.

– Podłączę internet, żebyś mogła wysyłać maile i surfować. – Wyjmuje laptopa i kładzie go na biurku.

– Dzięki. Jutro zapiszę się na zajęcia. Dam ci znać, jak mi poszło – obiecuję.

Wujek omija lokalną sieć akademika i instaluje mi własny dostęp do Internetu i firewalla. Dzięki temu zachowam minimalną prywatność. Nauczył mnie tego, więc mogłabym zainstalować sobie sama, ale fajnie, że się tym zajął.

Kończy i zwraca ku mnie szaroniebieskie oczy. Uśmiecha się zwycięsko. Myślę, że matka też miała taki kolor oczu – jak jej brat i ja, ale w tej sprawie muszę polegać na starych ziarnistych fotografiach. Jeśli chodzi o inne cechy mojego wyglądu: kasztanowe włosy, wysoka, szczupła sylwetka mogą pochodzić od ojca i jego rodziny. Trudno jednak potwierdzić tę teorię, bo nie wiemy, kim jest.

Wujek się rozgląda. Nie zostało mu zbyt wiele do roboty. Uśmiech znika z jego twarzy.

– Masz komórkę – stwierdza, jakby odhaczał sprawy na rodzicielskiej liście kontrolnej. – W razie czego dzwoń. Masz jakieś pieniądze?

– Już mi dałeś – odpowiadam, bo sięga do kieszeni po portfel. Kładę mu dłoń na ramieniu, żeby go powstrzymać. – Mam nawet więcej kasy, niż potrzeba na tyle piwa i narkotyków, ile zamierzam wlać i zażyć w ramach eksperymentów. Jak wszystko przepuszczę na hazard w Internecie, dam ci znać.

Uśmiecha się do mnie. Robią mu się przy tym zmarszczki w kącikach oczu.

– Evie, czy mówiłem ci już kiedyś, jak bardzo jestem z ciebie dumny? – pyta łagodnym, pełnym czułości głosem.

Policzki oblewa mi rumieniec.

– Och, raz czy dwa. W każdym razie teraz, kiedy nie będzie mnie w domu, spokojnie skupisz się na tych wszystkich rzeczach, które odkładałeś... Może zarejestruj się na portalu randkowym. Ale nie sprawdzaj zbyt starannie swoich partnerek, bo to odbiera całej sprawie urok tajemniczości.

Smutne, ale nie potrafię sobie nawet przypomnieć imienia jego ostatniej dziewczyny. Wujek Jim od dłuższego czasu z nikim się nie spotyka i sędzę, że to przez jego pracę. Zajmuje się najczęściej sprawami rozwodowymi, a szczególnie zdradzającymi małżonkami. Zdobywa dostęp do komputerów tych oszukujących mężów i żon, a potem kopiuje zawartość twardych dysków. Zawsze za zgodą swojego zleceniodawcy, czyli podejrzewającego partnera, bo komputer zwykle jest wspólny. Potem, już na spokojnie, przekopuje się przez

maile i konta bankowe. Ktoś mógłby powiedzieć, że nasza mikroskopijna rodzina utrzymuje się na powierzchni dzięki niewierności. Chciałabym wierzyć, że właśnie dlatego wujek Jim nie umawia się na randki, że wycofał się z gry, by poświęcić się mojemu wychowaniu.

– Za ten wstrętny żarcik zamieniam twój pokój w domową siłownię. Jak przyjedziesz do domu w odwiedziny, będziesz musiała spać na ławeczce treningowej.

– Jak śmiesz! – odpowiadam z udawaną wściekłością, próbując ukryć niepokój.

On zaraz odjedzie, a ja tu zostanę. Zawsze byliśmy razem, we dwójkę. Zawsze mogłam na niego liczyć. Kiedy uświadamiam sobie, że teraz wszystko będzie inaczej, w oczach stają mi łzy. Wujek Jim je zauważa.

– Już za tobą tęsknię.

Gdy wypowiada te słowa, wpadam w panikę, więc zaczynam sprawdzać swoją własną rodzicielską listę kontrolną.

– Zrobiłam zakupy wczoraj, więc powinieneś mieć zapasy jedzenia na co najmniej tydzień. Kupiłam ci nowe maszynki do golenia i włożyłam je do szuflady w łazience. Aha, i zaniiosłam twój garnitur do pralni chemicznej. Musisz pamiętać, żeby go odebrać w środę, bo w piątek masz być w sądzie na sprawie rozwodowej Hendersona.

– Będę pamiętał – mówi z pobłażliwym uśmiechem.

– Kocham cię – szepczę, biorąc głęboki wdech, żeby powstrzymać łzy.

– Ja też cię kocham.

Widzę w jego oczach ślad niepokoju, gdy dodaje:

– Chciałbym, żebyś do mnie zadzwoniła, jeśli znów zaczniesz mieć te koszmarne sny.

– Myślę, że w czasie pobytu tutaj znikną – mamroczę, wpatrując się w podłogę.

– Ale jeśli nie znikną, chcę, żebyś do mnie zadzwoniła – upiera się wujek i dotyka mojego policzka.

– Okej – odpowiadam cicho, a on opuszcza rękę.

– Muszę ruszać w drogę, nie chciałbym trafić na godziny szczytu w pobliżu Ann Arbor – mówi z wymuszoną radością w głosie. – Wszystko świetnie ci się tu ułoży. Będziesz czuła się dobrze w Crestwood, Evie. – Uśmiecha się uspokajająco.

– No tak, masz rację. Będzie fantastycznie – odpowiadam z wymuszonym zapałem. – Tak czy siak, powinieneś już jechać. Nie daj się korkom. Odprowadzę cię – mówię i udaję, że za chwilę wcale nie zacznę wyplakiwać sobie oczu.

Trzymam wujka za rękę i odprowadzam go do samochodu. Robimy potężnego niedźwiedzia, potem Jim wsiada do auta.

– Niedługo przyjadę, okej? – rzuca przez otwarte okno.

– Już nie mogę się doczekać – odpowiadam z cieniem uśmiechu na twarzy.

Uruchamia silnik, a ja zagryzam dolną wargę, żeby nie drżała. Kiedy widzę, jak uśmiecha się do mnie, ogarnia mnie strach. Wujek lekko do mnie macha. Odpowiadam tym samym, choć trochę mi się trzęsie ręka. Kiedy furgonetka znika z pola widzenia, wracam powoli na górę.

Przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi. Już mam wejść, gdy nagle zastygam bez ruchu. Widzę, jak po ścianie szybko przesuwa się cień. Jestem przerażona.

– Halo? – wołam, ale nikt nie odpowiada.

Przecieram oczy, mrugam kilka razy i zamykam drzwi. Podbiegam do okien na przeciwległej ścianie i wypatruję kogoś, kto byłby na zewnętrznych schodach pożarowych. Ale nikogo nie ma. Ciężka żelazna kratka podestu jest gdzieś tam pokryta rdzą, najwyraźniej dawno nikt tamtędy nie chodził.

Wzdycham. Odwracam się od okna i ogarniam pokój wzrokiem. Spoglądam na gołe ściany i puste półki, które mogłyby należeć do kogokolwiek. To jakby patrzeć na białe płótno, tak jakby osoba, którą jeszcze przed chwilą byłam, ze wszystkimi żywymi kolorami, misternymi kształtami i skomplikowaną fakturą obrazu, przedstawiającego moje dotychczasowe życie, nie miała już głosu ani przyszłości. Mówię sobie, że muszę się rozpakować, wtedy poczuje się normalnie.

Wybieram karton stojący przy umywalce i zaczynam wyjmować z niego rzeczy. Stawiam na nocnym stoliku oprawioną fotografię mnie i wujka Jima. Nagle wystrasza mnie odgłos z wieży zegarowej Gmachu Głównego. Zegar wybija pełną godzinę. Bim... bim... bim... trzecia po południu. Głębokie brzmienie dzwonu złowieszczo rozdziera powietrze. Mam nadzieję, że nie słyhać go w nocy, bo to może być mocno denerwujące – myślę i próbuję ustawić budzik według zegara na wieży.

Potem układam ubrania w szufladach. Zostało mi jeszcze trochę czasu, zanim pójde do Sage Center. Zajęcia wprowadzające dla pierwszoroczników zaczynają się o czwartej. Mam plan, żeby dotrzeć tam punktualnie, wślizgnąć się na tył audytorium i znaleźć jakieś miejsce. Myśl o tym, że wcześniej miałabym się sama kręcić po holu, jest mało zachęcająca. To byłoby niezręczne, okropne. Rozścielam łóżko i kładę się na miękkiej narzucie. Trochę mi lepiej, gdy czuję zapach prześcieradła... domu. Ziewam ze zmęczenia, powieki mi opadają. Ostatnio nie spałam dobrze. W ogóle staram się nie spać. Kiedy śpię, mam koszmary – wydaje mi się, że tonę. Znów ziewam, z trudem wstaję. Szukam kolejnego pudła do rozpakowania, żeby się całkiem nie rozłożyć... Chcę być skrajnie wyczerpana, zanim zasnę. To zmniejsza prawdopodobieństwo, że mój koszmar wróci.

Przy umywalce znajduję jeszcze małe pudło. Mocuję się z taśmą klejącą. Kiedy próbuję ją zerwać, lepi mi się do rąk. Niosę pudełko do biurka i stawiam obok lampy. Z kieszeni dzinsowej spódnicy wyciągam nożyk i wysuwam ostrze.

Za oknem gwałtownie porusza się jakiś cień, przez moment przesłania słoneczne światło. To mnie rozprasza, spoglądam w górę. W następnej chwili czuję piekący ból, a na karton skapuje krew. Splukuję dłoń zimną wodą.

Niezbyt głęboko. Może wystarczy plasterek, kiedy już uda mi się powstrzymać krwawienie – myślę. Znajduję mały ręcznik, przewiążuję nim ranę i otwieram apteczkę, którą wcześniej sama wyposażyłam. Szarpię się z opakowaniem plastrów i jednocześnie

przyciskam rozcięcie na palcu. Czuję pulsowanie, tak jakbym przecięła tętnicę. Czerwona plama przesiąka przez białawą frotkę.

Staram się nie zwracać uwagi na pulsujący ból. Znów podchodzę do okna sprawdzić, czy kogoś tam nie ma. Po raz kolejny zaglądam na schody pożarowe. Jestem na drugim piętrze. Podest znajduje się co najmniej siedem metrów nad ziemią. Bez drabiny wejść się nie da. Wystawiam głowę przez okno. Rozglądam się. Z góry też nikt się nie dostanie. Dziwne to wszystko. Zamykam okna.

Jestem tak zmęczona, że zaczynam mieć przywidzenia – myślę, pocierając oczy zdrową ręką. Wracam na łóżko. Zwalam się na nie tak, żeby się gapić w świeżo pomalowany biały sufit. Ziewam, odwracam głowę i patrzę na zegar. Na sekundę zamykam powieki i przez moment mam wrażenie, że dryfuję. Otwieram szeroko oczy, przyciągam do siebie jedną z poduszek i obejmuję ją, by poczuć się lepiej. Znów spoglądam na zegar i walczę z sennością.

Dlaczego w tym pokoju jest tak zimno? – dziwię się, gdy obracam się na bok. Wręcz lodowato... Otwieram oczy. Mam wilgotne policzki. Poda mną płytki PCV ułożone są w beżowo-szarą szachownicę, smutno rozciągającą się we wszystkich kierunkach. Dotykam opuszkami palców bolącej szczęki i podnoszę twarz nad lepkiej kałuży na podłodze. Grube linie krwi jak łzy opadają z mojej szyi na elegancką bluzkę.

Wokół mnie rozbrzmiewa piękna, słodko rezonująca muzyka, przerywana od czasu do czasu zgrzytliwym, brzęczącym odgłosem, od którego kręci mi się w głowie. Jestem zdezorientowana i czuję mdłości. Rozglądam się za źródłem tych dźwięków.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na najpiękniejszej twarzy, jaką kiedykolwiek widziałam. Ale te idealne rysy pokrywa zakrzepła krew. Szerokie strugi krwi wypływają z obu kącików ust mężczyzny, przez co w jego twarzy jest coś budzącego grozę. Kiedy mnie dostrzega, jego wargi powoli wykrzywiają się w uśmiechu.

Strach, niczym dusząca pętla, odcina mi dopływ powietrza do płuc i nie pozwala się odwrócić od tego człowieka. Mężczyzna łagodnie unosi moją rękę. Delikatnie rozwiera mi palce. Na znoszonym rzemyku w mojej dłoni błyszczą małe srebrne zawieszki. Chwytają światło, które odbiera mi ten piękny potwór.

Słyszę szept, podobny do mojego własnego: „Spruj tkaninę życia, a stracisz żołnierza, kochanka, przyjaciela. Zawsze tu byłem... zawsze tu...” Bim... „Nie mogę tego powstrzymać”. Bim... „Nie mogę...”

Rozdział 2

Kurs przygotowawczy

Bim... Bim...

Gwałtownie otwieram oczy i podrywam się z łóżka. Dyszę ciężko, jakbym przebiegła kilka okrążeń. Instynktownie dotykam policzka dłonią, żeby sprawdzić, czy jest na nim coś w

rodzaju krwi. Patrzę na opuszki palców i kiedy okazuje się, że są jednak czyste, zwieszam głowę. Ręka opada mi na pierś, wyczuwam galopujący rytm serca.

Zdezorientowana podnoszę głowę i próbuję się skoncentrować na zegarze stojącym przy łóżku. Już czwarta – moje myśli krzyczą, a serce przyspiesza chyba trzykrotnie. – Kurs przygotowawczy dla pierwszoz rocznych...

Spanikowana zwlekam się z łóżka i niepewnie podchodzę do umywalki. Odkręcam kran i polewam twarz wodą, żeby się obudzić. Po chwili przestaję. Mrugam i podsuwam pod oczy palec, ale nie mogę odnaleźć tego miejsca, w którym się zacięłam. Rana zniknęła – na skórze nie ma żadnego śladu, niczego, co by wskazywało, że skaleczyłam się nożykiem do kartonu.

Czy to mi się przyśniło? – zastanawiam się, a wyczerpany umysł wciąż walczy, żeby rozbudzić się w pełni. – Nie – myślę i biorę w dłoń ręcznik, którym przedtem owinęłam palec. – Cały jest w mojej krwi. – Rozglądam się po pokoju. Szukam rozwiązania zagadki i znów spoglądam na zegar. Jest już po czwartej. – Opuszczam zajęcia przygotowawcze!

Pospiesznie spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Staję na palcach, bo chcę sprawdzić, czy dzinsowa spódnica wygląda odpowiednio na ten kurs. Próbuję ją rozciągnąć. Jest jeszcze krótsza, niż sądziłam, ale naprawdę nie mam czasu na przebieranie się. Pasuje dobrze do pozbawionego rękawów topu. Paroma szybkimi ruchami poprawiam makijaż.

Zamykam na klucz drzwi do pokoju i przechodzę przez krótki korytarz prowadzący do głównego holu na drugim piętrze. Zbiegam po schodach do recepcji i kieruję się do szklanych drzwi. Popycham jedno skrzydło, przechodzę i gdy je puszczam, słyszę, jak zamyka się za mną ze stuknięciem. Biegę chodnikiem w stronę audytorium.

Prawie natychmiast daje mi w kość popołudniowe słońce zmieszane ze stresem i wysiłkiem... A mógł to być przyjemny spacer po kampusie – myślę sobie, gdy wsłuchuję się w swój ciężki oddech.

Drzewa na kampusie zasadzono jedno przy drugim, tak żeby przekształcić alejki w sklepione korytarze zieleni. W gęstej koronie liści, która rozciąga się wysoko nad moją głową, znajdują się gniazda niezliczonych ptaków. To byłaby naprawdę piękna przechadzka na łonie natury, gdybym nie była tak spóźniona. Zazdroszczę ptakom umiejętności latania, szczególnie gdy słyszę ich śpiew przebijający się przez odgłosy mojego sapania.

Pokonuję sprintem ostatnie stopnie schodów prowadzących do Sage Center i wbiegam do audytorium, zanim jakaś starsza kobieta z kwaśnym wyrazem twarzy zamyka drzwi. Uśmiecham się przepaszająco, gdy dostrzegam jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Wszyscy już tam są, moja droga. – Wskazuje drzwi w tylnej części holu.

– Dziękuję – odpowiadam szeptem.

Potrzebuję chwili, by uspokoić oddech. Dotykam brzucha. Czuję nagły niepokój. To nie jest głód ani zdenerwowanie. To raczej takie uczucie, jakby siedziało się w samolocie, który wpadł w turbulencje. Chociaż nie... Czuję, jakby coś w środku popychało mnie do przodu. Chyba wychodzę z formy, skoro tak dziwnie się czuję po przebiegnięciu paruset metrów.

Przechodzę przez hol, który na szczęście jest klimatyzowany. Nie byłam wcześniej w tym budynku. Rozglądam się wokół; staram się nie robić gapowatej miny. Jest niezwykle. Całą długość frontowej ściany gmachu zdobią finezyjne witraże, które skupiają światło słoneczne na małej fontannie pośrodku marmurowej posadzki. Rozbłyśki odbitego światła tańczą na ścianach i suficie i mienią się na pięknej rzeźbie z brązu w wodnych kaskadach. Gdy zbliżam się do fontanny, czytam napis na brązowej plakietce umieszczonej u podstawy: „Dar rodziny Wellingtonów”.

Zapatrzona w tekst tabliczki potykam się o eleganckie szerokie schody, które prowadzą do balkonów na drugim piętrze. Czerwienię się i patrzę wkoło, czy ktoś zauważył moje faux pas, ale pomieszczenie jest puste, ponieważ wszyscy weszli już do środka.

Przechodzę pospiesznie do ciężkich drewnianych drzwi w tylnej części holu. Otwieram je i przystaję na chwilę zaraz za progiem. Niezbyt dobrze widzę, bo w audytorium jest ciemniej niż na zewnątrz. Zanim jeszcze moje oczy przystosowują się do półmroku, zdaję sobie sprawę, że popełniłam kolejną poważną gafę. Słyszę trzask zamykających się za mną drzwi. Na ten odgłos część studentów siedzących najbliżej odwraca się i przygląda mi z zaciekawieniem. Z powodu tych wszystkich niezręczności czuję się jak fajtlapa. Na próżno szukam jakiegoś wolnego miejsca, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Ktoś, kto siedzi kilka rzędów niżej, macha do mnie ręką.

– Genevieve... Genevieve – słyszę głośny szept.

Przesuwam się do przodu. Gdy rozpoznaję tego człowieka, waham się i wzdrygam. Chłopak, który pozdrawia mnie z takim niepohamowanym zapałem, to jedyna osoba, którą poprzednio poznałam w Crestwood. Alfred macha ręką i wymownie wskazuje miejsce obok siebie, mniej więcej w połowie wysokości auli. Zamykam na chwilę oczy, żeby nie widzieć twarzy studentów, którzy przyglądają mi się już całkowicie otwarcie.

Prawie nie znam Alfreda. Latem przed przyjazdem do Crestwood zostałam zaproszona na wieczorek pod hasłem „przełamujemy lody”. Matka Alfreda Stadnisha zaprosiła wszystkich potencjalnych pierwszorocznych do ich domu. Miała nadzieję, że jej syn znajdzie nowych przyjaciół jeszcze przed rozpoczęciem semestru. Teoretycznie bardzo fajny pomysł, ale okazałam się jedynym gościem, który skorzystał z zaproszenia. Przyjacielskie spotkanie zamieniło się w przesłuchanie. Zamiast więc poczuć uroki przełamywania lodów, siedziałam tam jak w zamrażarce.

Kiedy przy tamtej okazji poznałam Alfreda, nie był zbyt rozmowny. Raczej pozwalał matce mówić za siebie. Prawdę powiedziawszy, trochę się o niego martwię, bo przy nim nawet ja sprawiam wrażenie towarzyskiej szcziotki. Mając niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu przy wadze niewiele ponad sześćdziesiąt kilo, może stać się kozłem ofiarnym w akademiku pierwszoroczniaków.

Uśmiecham się sztucznie. Gdybym próbowała teraz unikać Alfreda, gdy już wie, że go zauważyłam, zrobiłabym mu straszny obciach. Przedziam się więc w jego stronę.

– Cześć, Alfred, jak tam wakacje? – pytam, zajmując miejsce obok niego.

– Słabo. Nic szczególnego nie robiłem, doskonaliłem różne formy obijania się – odpowiada ze śmiechem. – Miałem nadzieję, że cię tu spotkam. Jesteś jedyną znaną mi osobą w Crestwood.

– O, naprawdę? – Staram się brzmieć przyjaźnie. – No to mamy coś wspólnego: ja też jestem tu solo. Przegapiłam coś ważnego?

– Nie, dopiero zaczynają nas tu kisić. Nie rozpoczęło się jeszcze na dobre, więc możesz wrzucić na luz. – Alfred musiał zauważyć moją sztywną postawę.

Robię głęboki wydech.

– Dzięki. – Czuję nieoczekiwaną wdzięczność, że mam się do kogo odezwać. Rozsiadam się wygodniej i próbuję ochłonać, ale wciąż mam to dziwne uczucie w brzuchu, jakby fruwały mi tam motyle.

– Pamiętaj, żeby wyłączyć komórkę. Ogłosili, że będą zabierać telefony, które zadzwonią. Kompletna brednia, jakbyśmy ciągle byli w liceum – szepcze Alfred, kręcąc głową.

Sięgam do torby i wyciszam komórkę.

– Mogę się założyć, że okablowani dostali szału. – Uśmiecham się, bo mam na myśli osoby, które zawsze noszą na uchu słuchawkę Bluetooth, nawet kiedy z niej nie korzystają.

Alfred uśmiecha się znacząco.

– O, szkoda, że nie widziałaś, jak esemesowcy rzucają się do telefonów, żeby je wyciszyć. Wyobrazasz sobie, co by było, gdyby gorliwy esemesowiec musiał oddać komórkę? Świat by mu się zawalił. Jak żyć bez „LOL”, „siema”, „nara”?

Oboje wybuchamy śmiechem, a wokół kącików niebieskich oczu Alfreda tworzą się sympatyczne zmarszczki.

Światła w audytorium przygasają i tłum powoli cichnie, gdy dziekan do spraw studenckich odzywa się z podium na środku sali. Następuje to, czego można się spodziewać po zajęciach organizacyjnych: krótkie omówienie historii uczelni, ogólne nakreślenie jej tradycji i rzut oka na kodeks zachowania. Ziew.

Kiedy dziekan kończy przemawiać, przedstawiciel administracji wyjaśnia sprawy związane z rejestracją studentów. Będzie prowadzona w kolejności alfabetycznej – według pierwszej litery nazwiska. Jako „C” – od Claremont – będę się zapisywać rano przed większością studentów pierwszego roku. Uśmiecham się, bo wiem, że to spore ułatwienie – bez trudu dostanę się na najbardziej pożądane zajęcia.

Następnie zwracają się do nas przedstawiciele bractw studenckich obecnych na kampusie. Jeden ze studentów mówi o różnych rodzajach działalności prowadzonej przez korporacje należące do systemu greckiego^[2]. Alfred gorączkowo robi notatki, mozolnie dokumentuje tę prezentację swoim iPhone’em. Nagle ogarnia mnie przyływ uczuć opiekuńczych w stosunku do Alfreda. Wyobrażam go sobie na łasce jakiegoś apodyktycznego studenta wyższych lat, który cierpi na kompleks Boga i wyżywa się na pierwszorocznikach podczas otrzęsin. Nie jest to zbyt przyjemna wizja. Alfred wydaje się młodszy ode mnie, choć nie może być między nami różnicy wieku, bo oboje zaczynamy pierwszy rok. Może to wrażenie wynika z tego, że

jest taki drobny. Skoro najwyraźniej uważa mnie za przyjaciółkę, nie zaszkodzi mieć go na oku, choćby po to, żeby sprawdzić, czy dobrze przystosowuje się do uczelnianego życia.

Tłumię ziewanie i zaczynam błdzić wzrokiem po ludziach siedzących w pobliżu. Moje spojrzenie zatrzymuje się na czyichś szerokich, bardzo męskich ramionach, kilka rzędów przede mną, po skosie. Spoglądam wyżej, na linię szyi, zarys mocnej szczęki, pełne usta, które mogłabym opisać tylko jako zmysłowe... Prosty nos, jak zauważam, i te oczy, tak bardzo... bardzo... rozgniewane? Może lepiej „wściekłe”, bo właśnie piorunuje mnie wzrokiem.

Rumienię się, a moje serce przyspiesza na widok tego złośliwego spojrzenia. Odwracam głowę, żeby sprawdzić za sobą, kto mógł zdenerwować to wcielenie doskonałości. Ale wydaje się, że poza mną nie ma w pobliżu żadnego obiektu tej nienawiści. Zmieszana patrzę na niego raz jeszcze, żeby sprawdzić, czy nadal ma taki sam wzrok. Policzki czerwienią mi się jeszcze bardziej, gdy dostrzegam, że wyraz jego twarzy ani trochę się nie zmienił.

Co się dzieje z tym seksownym typem? – zastanawiam się. Wygląda jak dziecko, któremu ktoś połamał wszystkie kredki. Szybko odwracam wzrok, zanim roztopię się z gorąca. Kto to jest? Żeby nie myślał, że go obserwuję, staram się zerkać na niego ukradkiem, że niby tak ogólnie to rozglądam się po sali. Może go znajdę w spisie studentów pierwszego roku.

Dostałam książeczkę ze zdjęciami i życiorysami wszystkich pierwszoroczników. Przesłano mi ją pocztą do domu, a ułożyły ją kobiety z Klubu Matek w Crestwood. Wyszukałam siebie i zobaczyłam swoje maturalne zdjęcie, które kazano mi dołączyć, kiedy składałam papiery na uczelnię. Obok fotografii zamieszczono krótki opis moich szkolnych osiągnięć, który, jak rozumiem, też sporządzono na podstawie dokumentów wysłanych na uczelnię.

Najwyraźniej prywatność nie jest najważniejszą wartością w Klubie Matek, ale w tym przypadku wykorzystam to na swoją korzyść. Jestem tak skupiona na moim planie, że ledwo dociera do mnie informacja o spacerze nad jezioro Arden zaraz po zajęciach przygotowawczych. Czy kobieta na podium powiedziała, żeby odszukać własną grupę? Ludzie w audytorium podnoszą się i zaczynają kłębić wokół wyjść.

– Chyba musiałam przysnąć pod koniec. O co to chodziło z tym jeziorem Arden? – pytam Alfreda, kiedy wstajemy z miejsc.

Rozkłada ramiona i mówi:

– Och, mamy poszukać swoich grup przed spacerem nad jezioro, tuż obok kampusu. Taka tradycja w Crestwood, pierwszy rok chodzi tam na grilla. Twoja grupa pewnie będzie tam – wskazuje – z tymi z alfabetu. Ty jesteś na „C”, prawda? – pyta.

Podążam za jego wzrokiem i trafiam spojrzeniem na grupę studentów zebranych przy bocznych drzwiach audytorium. Wszyscy ściskają swoje BlackBerry, podkreślając na nowo głośność dzwonekó telefonów.

– Tak – potwierdzam trochę nieobecna. – Jestem na „C”.

Dalsze słowa Alfreda zwyczajnie mi ulatują, bo mimowolnie przestaję go słuchać. Cała moja uwaga skupia się na idealnych rysach tego wściekłego faceta, którego widziałam wcześniej. Stoi nonszalancko oparty o drzwi wejściowe, otoczony przez dziewczyny o twarzach oblanych rumieńcami i pełnymi uwielbienia. W tej paczce adoratorek znajduje się też fajna mała blondyneczka, która bawi się krótko przyciętymi włosami i zalotnie trąca swojego rozmówcę w ramię w związku z czymś, co powiedział. Następnie puka w podkładkę do pisania, którą chłopak trzyma w ręku, a ja zastanawiam się, czy ten koleś okaże się naszym przewodnikiem podczas spaceru nad jezioro.

Robię kilka kroków w stronę swojej grupy i zatrzymuję się, bo przydarza mi się coś niezwykle dziwnego. Uczucie trzepotania i nieważkości w brzuchu, które towarzyszy mi od chwili przyścia do audytorium, nasila się. Mam wrażenie, że w moim wnętrzu podrywają się do lotu motyle o aksamitnych skrzydłach.

Bezwiednie robię jeszcze jeden krok w stronę grupy, ale zatrzymuję się, kiedy słyszę słowa Alfreda, pokazującego w innym kierunku:

– To chyba moja grupa, ci, co tam stoją. Szkoda, że nie idziemy razem. Może uda nam się coś wspólnie zjeść, kiedy dojdziemy nad jezioro? – pyta, a przy wypowiedaniu ostatnich słów wpatruje się w czubki swoich butów.

Robi wrażenie osoby naprawdę bezbronnej. Ogarniają mnie jeszcze silniejsze matczyne uczucia.

– To dobry pomysł, Alfredzie... Hm, masz jakąś ksywkę? Coś mniej sztywnego niż Alfred? – pytam, a on wpatruje się we mnie, nic nie odpowiadając. – No wiesz, jakieś imię, którego używali koledzy z twojego miasta – ciągnę dalej.

– Ymm... Wszyscy koledzy mówią na mnie Alfred.

Uśmiecham się i przewracam oczami.

– Nikt nie nazywa cię Al albo Fred? Albo jakoś jeszcze inaczej, żeby ktoś nie pomyślał, że wołają dziadka?

– No nie, po prostu Alfred – mówi, odwzajemniając mój uśmiech.

– Cóż, skoro mamy być przyjaciółmi i skoro ja będę chciała, żebyś mówił na mnie Evie, a nie Genevieve, to byłoby słodko, gdybym mogła cię nazywać jakoś mniej oficjalnie... Może Freddie? – proponuję i mam nadzieję, że nie będzie się sprzeciwiał.

– Dobra, może być... Fajnie... Freddie – śmieje się do mnie, najwyraźniej trochę oszołomiony.

– Okej, chodźmy i przyłączmy się do naszych grup. – Rozglądam się dookoła.

Moja grupa jest chyba gotowa do wyruszenia, ale zanim do niej dołączam, rzucam badawcze spojrzenie na Freddiego. Wygląda, jakby się szykował do marszu z faszystowskim dyktatorem, a nie do spaceru nad jezioro. Białą koszulę z grubej oksfordzkiej bawełny ma dokładnie zapiętą pod szyją i wpuszczoną w szorty koloru khaki, podtrzymywane granatowym paskiem. Odruchowo rozpinam górny guzik jego koszuli. Potem mierzwię mu idealną fryzurę z przedziałkiem, bo przypomina włosy ludzika Lego.

– No. – Oddycham z ulgą. – Teraz lepiej. I jeszcze wyjmij koszulę ze spodni. Widzimy się nad jeziorem.

Freddie odchodzi uśmiechnięty. Po drodze wyciąga koszulę, która o dziwo nie jest wygnieciona, mimo że tkwiła wciśnięta w szorty.

Podchodząc powoli do swojej grupy, badam twarz przystojnego przewodnika, stojącego w tej samej pozycji przy drzwiach. Kiedy zbliżam się do niego, nasze spojrzenia spotykają się, a on pochmurnieje.

To chodzi o mnie! – myślę z niepokojem. To mnie tak nienawidzi! Może lubi tylko blondynki? Nerwowo bawię się kosmykiem włosów i omiatam wzrokiem stojących przede mną ludzi. Szukam kogoś wysokiego, za kim mogłabym stanąć – kogoś, kto zasłoni przed jego wzrokiem moją sylwetkę metr siedemdziesiąt pięć. Namierzam jakiegoś drąga i wciskam się za niego.

Zachowujesz się jak tchórz, zupełnie idiotycznie i irracjonalnie – próbuję podnieść się na duchu. – Coś pewnie źle odczytujesz. On cię wcale nie nienawidzi; nawet cię nie zna. Może ma zły dzień, a może przypominasz mu kogoś, kogo nie znosi.

Znów czuję to dziwne trzepotanie w brzuchu. Mam wrażenie, że coś lekko popycha mnie w kierunku wyjścia – w kierunku przystojniaka. Wyglądam zza „męskiej ściany”, za którą tak strategicznie się schowałam, i widzę, że tamten podchodzi w moją stronę. O cholera! Nadchodzi! Zbieram siły.

Kilka sekund później stoję twarzą w twarz z najbardziej olśniewająco piękną osobą, jaką kiedykolwiek widziałam. No cóż, może nie „twarzą w twarz”, bo jest ode mnie co najmniej dziesięć centymetrów wyższy. Stoi tak blisko, że muszę wyciągnąć szyję, żeby spojrzeć mu w oczy. Są zielone, a na obrzeżach niemal szare.

Nachyla się do mojego ucha i zaczyna mówić. Jego oddech porusza moje włosy.

– To nie jest twoja grupa i pora już, żebyś stąd poszła.

Głos ma jak z jedwabiu, ale jest w nim coś dziwnego. Echo jego słów dźwięczy w mojej głowie. Wciąż je słyszę, podobnie jak syczący odgłos szeptu, który trwa nadal, mimo że jego wargi przestały się poruszać, a oddech nie łaskocze już moich włosów. Po grzbiecie przebiega mi lekki dreszcz strachu, a wszystkie włoski na karku się prostują. Cofam się o krok i patrzę na jego cudowną twarz. W jego oczach dostrzegam zniecierpliwienie.

– Skąd wiesz, że pomyliłam grupy? Czy my się znamy? – marszczę brwi ze zdziwienia i nie próbuję nawet ukryć irytacji w głosie.

Przez chwilę zastanawia się nad moimi słowami i w jego oczach widać cień dezorientacji. Wydaje się zaskoczony moją reakcją. Prawdopodobnie jest przyzwyczajony, że wszyscy robią to, co im rozkaże. Założę się, że kobiety ustawiają się w kolejce i czekają na okazję, żeby sprawić mu przyjemność.

– Jak się nazywasz? – pyta łagodnym, ale stanowczym tonem, nachylając się znów do mojego ucha. Sztywnieję, bo po raz kolejny jego głos dobiega mnie pod postacią syczącego dźwięku.

– A ty? – odparowuję. – Mefistofeles? I co się dzieje z twoim głosem? Skóra mi od niego cierpnie. – Rozcieram ramiona, żeby pozbyć się gęsiej skórki.

Mało tego, że jego głos jest denerwujący. Po prostu brzmi jak zniewaga. Czuję, jakby mnie od niego swędział mózg, a nie mogę przecież podrapać się przez czaszkę.

Z radością dostrzegam, że go wystraszyłam. Dobrze to ukrywa, ale powiększyły mu się oczy, a źrenice zwęziły. Gdybym nie była tak na nich skupiona, mogłabym to przegapić. Jego twarz traci groźny wyraz; teraz wydaje się pozbawiona emocji. Martwi mnie to, bo trudno odgadnąć, co myśli, skoro nie wiadomo, w jakim jest nastroju. Sfrustrowana rozglądam się i zauważam, że szybko stajemy się obiektem zainteresowania reszty grupy. Ta fajna blondynka, z którą przystojniak rozmawiał wcześniej, przygląda mi się badawczo, tak jak ocenia się rywala.

Kiedy nasze oczy znów się spotykają, mówi:

– Chcę po prostu sprawdzić, czy jesteś na mojej liście.

Jego ton jest spokojny i jasny, bez żadnych nieprzyjemnych podtekstów.

– Jak się nazywasz? – Zaczyna wymachiwać podkładką pod kartki, którą trzyma w ręku, jakby chciał w ten sposób potwierdzić poprzednie zdanie.

– Evie – odpowiadam niemal szeptem. Nie zamierzam ściągać na nas jeszcze większej uwagi pierwszoroczników.

Przeogląda listę imion, jakby był bramkarzem, który stoi przy wejściu do ekskluzywnego klubu. Zerkam na niego dyskretnie, bo doskonale wiem, że nie znajdzie na swojej liście żadnej Evie. Czekam na jego reakcję. Kiedy opuszcza głowę, docierając do końca spisu, ciemne włosy opadają mu na jedną z brwi. Mam ochotę odsunąć mu te kosmyki, żeby poczuć ich miękkość. Jakie to dziwne: chwilę wcześniej próbował mnie wyrzucić, a teraz chętnie zanurzyłabym palce w jego włosach. Może jestem schizofreniczką... I znów to gwałtowne trzepotanie w brzuchu.

W końcu nasz przewodnik podnosi wzrok znad wydruku i z uśmiechem pełnym zadowolenia oznajmia:

– Przykro mi, ale na liście nie ma żadnej Evie. Jednak musisz być w innej grupie.

Nie, zdecydowanie w jego tonie nie ma niczego odpychającego. To po prostu głos, którego można się spodziewać od osoby tak pociągającej – silny, uprzejmy i seksowny.

– Pewnie dlatego, że nazywam się Genevieve Claremont. Jestem na twojej liście, mniej więcej w połowie drugiej kolumny – odpowiadam spokojnie.

Bez trudu lokalizuje moje nazwisko.

– Ale przyjaciele mówią na mnie Evie... – ciągnę dalej z nieznacznym uśmiechem, który znika, kiedy orientuję się, że mój rozmówca znów piorunuje mnie wzrokiem.

– A więc jesteś... Genevieve – odpowiada z chłodną grzecnością, wsuwając sobie podkładkę pod pachę. – Musimy już iść. Wstrzymujemy wszystkich.

Odwraca się i przechodzi na przód grupy. Po chwili całe towarzystwo opuszcza budynek audytorium. Wychodzę na słabnące już światło słoneczne i idę za nimi. Przesuwam się na koniec grupy i modłę się, żeby wszystko jak najszybciej się skończyło.

Rozdział 3

Jeziro Arden

Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli odpowiednio długo stoisz w jednym miejscu, w końcu przejdą obok ciebie wszyscy ludzie na świecie. Nie wiem, czy to kupuję, ale jeśli masz do przejścia około sześciu kilometrów nad jezioro, w towarzystwie grupy nastolatków, poznasz wystarczająco dużo plotek o miejscu, do którego trafiłaś – nie mówiąc już o jego mieszkańcach – żeby ten świat wydał ci się całkiem interesujący. I rzeczywiście – sporo usłyszałam na temat Reeda Wellingtona, naszego przystojnego przewodnika z drugiego roku, który ma skłonność do zachowywania się jak gbur.

Według Christy, brunetki w sandałach bez piąty, Reed należy do uczelnianej drużyny lacrosse'a. Nie jest członkiem żadnego z bractw na kampusie, ale czasem chodzi na imprezy do budynku należącego do Delty. Nie ma żadnej dziewczyny wśród studentek, ale wszyscy sądzą, że spotyka się z kimś w swoim rodzinnym mieście, bo jest zdecydowanie zbyt przystojny, żeby żyć samotnie. Mieszka w domu niedaleko od miasta, ale nie wychował się tam. Pochodzi „ze wschodu”. Jego rodzina jest bardzo zamożna. Są właścicielami rezydencji rozsianych po całym świecie, ale niewiele o tych ludziach wiadomo, bo nigdy go nie odwiedzają.

Słucham uważnie opowieści fanklubu Reeda. Członkinie raczą się najbardziej smakowitymi i sprośnymi plotkami, które przedstawiają tak, jakby opowiadały jakąś miejską legendę. Dziewczyna w sandałach z kryształkami Swarovskiego słyszała, że to rodzina Reeda sfinansowała większość prac przy rozbudowie nowego skrzydła budynku nauk przyrodniczych w Crestwood. Twierdzi też, że dziekan nieustannie próbuje namówić Reeda, żeby został ambasadorem szkoły.

Prycham, kiedy to słyszę. Ambasadorem czego? Złej woli? Wlokę się dalej.

Ledwo o tym pomyślałam, a poczułam szturchnięcie w bok: to wysoki jak dąb facet, idzie obok mnie i trąca mnie łokciem w żebra. Zadzieram głowę – właśnie za plecami tego gościa chowałam się wcześniej w budynku audytorium. Spogląda na mnie z góry.

– Kurczę... – Nosowy akcent natychmiast zdradza jego południowe korzenie. – Jak będą tak nadawały cały dzień, to pod koniec wycieczki chyba sam się oświadczę Reedowi... A mnie faceci wcale się nie podobają, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Gdy się uśmiecha, na jego twarzy malują się dwa chłopięce dołeczki, a brązowe oczy promieniają ciepłem.

– A przy okazji: jestem Russell, a zanim zapytasz, odpowiem, że pochodzę z Karoliny Północnej, z okolic Asheville – informuje mnie.

Wybucham śmiechem, choć wciąż muszę trzymać się za bok. Jestem pewna, że będę miała siniaka od tych kumplowskich szturchnięć.

– Hm, Karolina Północna? Co cię przywiało tak daleko na północ? Niech zgadnę: chciałeś zobaczyć zimę w Michigan?

– Czyli oni ze mnie nie żartowali, jak mówili, że tu z nieba spadają całe kupy tego dziwnego białego czegoś? – pyta z błyskiem w oku. – Gdzie jest ten, co mnie werbował? – Rozgląda się dookoła z udawanym gniewem.

– Obawiam się, że nie, a przynajmniej ja wcale z ciebie nie żartuję. Więc zostałeś zwerbowany, żeby przyjechać do Crestwood, tak? – dopytuje.

– Zgadza się, dostałem stypendium piłkarskie. Inaczej bym nie dał rady. Pokryli mi wszystkie koszty i jeszcze mogę grać w piłkę. Co w tej sytuacji znaczy trochę śniegu? – pyta niewinnym głosem.

– Ciekawe, czy za cztery miesiące też tak powiesz, kiedy skończy się sezon piłkarski i będziesz marzył w drodze na zajęcia – odpalam z cierpkim uśmiechem.

– No cóż, Ruda, w pierwszej chwili nie sprawiałaś wrażenia niedowiarka. Ale jak chcesz, możemy się założyć – proponuje Russell.

– Ruda? – pytam zaskoczona.

– No, nie zdradziłaś mi na razie swojego imienia, a te twoje włosy... Kiedy byliśmy w Sage Center, myślałem, że są brązowe, ale teraz na dworze i w słońcu widzę, że raczej czerwone... takie ogniste, takie... cholera, nie wiem... piękne i tyle – jąka się, a rumieniec oblewa mu policzki.

– Ach, dziękuję, jestem Evie – czuję, że i ja się rumienię. – Mamy coś wspólnego – ciągnę dalej, żeby ta sytuacja stała się mniej niezręczna. – Też przyjechałam dzięki stypendium. Pokryli mi praktycznie całe koszty nauki, inaczej nie dałabym rady się tu zjawić. – Próbuję naśladować jego południowy akcent, całkiem zresztą nieudolnie.

– A, Ruda, wiedziałem, że jest w tobie coś szczególnego. Mam nosa do takich spraw. – Wskazuje na swój lekko haczykowany nos, jakby został złamany raz czy dwa, a później złożony na nowo. O dziwo, dodawało to charakteru jego twarzy.

Pod jasnobłękitnym jesiennym niebem wydaje się, że jezioro Arden wylania się tuż za zakrętem drogi. Podążam wzrokiem za ścieżką, która wije się wśród nadbrzeżnych bylin i dostrzegam w oddali śnieżnobiałe namioty. Mającą nad niewielkim dopływem do jeziora – miejscem, w którym woda styka się z niebem i tworzy rozmytą mieszankę kształtów i kolorów. Impreza jest już chyba niezłe rozkręcona, bo gdy się zbliżamy, czuję zapachy, od których cieknie ślinka.

– Nie wierzę, że w końcu się nam udało – mówi Russell, kiedy dochodzimy do namiotów. – Chodzenie za tą rozlazłą bandą jest potwornie frustrujące, ale nie ma sensu jej pospieszać. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To jak zaganianie stada owiec. Kiedy słyszałem, jak te panny mówią o grillowaniu, muszę przyznać, że byłem trochę sceptyczny, bo w końcu jesteśmy na północy i ludzie tutaj mogą nie rozumieć istoty grilla. Ale im jesteśmy bliżej, tym większy optymizm czuję.

Śmiech Russella jest zaraźliwy, więc i ja się śmieję.

– Mogę ci postawić kolację? – pyta.

– No pewnie, ale to wszystko jest chyba na koszt uczelni, więc może to ja ci fundę jedzenie – kpię.

– Dobra, choć na pierwszej randce facet powinien stawiać. – Bierze mnie za rękę i prowadzi ścieżką.

Kiedy dochodzimy do pierwszego namiotu, zadziwia mnie jego przepych... Stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami. Również krzesła są zakryte białym płótnem, przymocowanym czarnymi aksamitnymi wstążkami. Na stołach ustawiono wyszukane kompozycje kwiatowe, a w samym środku namiotu zawieszono duży kryształowy żyrandol, lśniący pełnym blaskiem nad głowami gości.

– No, przy was poznaję nowy wymiar słowa „barbecue”. – Russell cicho gwizdże i obejmuje mnie w pasie wielką dłonią, a następnie kieruje mnie w stronę stołów bankietowych. Wręcza mi talerz i wchodzimy w labirynt pełen jedzenia.

Kiedy nasze talerze są już napelnione, przechodzimy obok kilku stołów, przy których siedzą biesiadnicy, i zmierzamy w tył namiotu, gdzie wciąż jeszcze są wolne miejsca. Gdy dochodzimy do stołu obsadzonego przez atletycznie wyglądających facetów, słyszę, jak obrzucają się obelgami. Jednocześnie wsuwają ilości jedzenia, które mogłyby wyżywić niewielką wioskę.

Jeden z nich wydaje z siebie głośny gwizd uznania na widok Russella w moim towarzystwie.

– Hej, Russell, dokąd idziesz?

Russell ignoruje go i przeprowadza mnie obok ich stołu.

– Kim jest twoja przyjaciółka o długich nogach? – woła za nami tamten. – Nie przedstawisz mnie?

Russell uśmiecha się znacząco i rzuca przez ramię:

– Nie, Mason, ona jest dla ciebie o wiele za mądra.

Czerwienię się i spoglądam na stoły przed nami. Szukam dwóch wolnych miejsc.

– To twoi przyjaciele? – Unoszę brwi. – Chcesz z nimi usiąść?

– Nie – odpowiada natychmiast.

– Nie, bo to nie są przyjaciele, czy nie, bo nie chcesz z nimi usiąść? – Wciąż idę za nim i oddalam się od stołu nieprzyjemnych typów.

– Nie – powtarza Russell – nie chcę z nimi siedzieć, ale to moja załoga. Przynajmniej niektórzy. Mason należy do drużyny, razem z paroma innymi chłopakami. Pozostali są z naszego akademika, Brady Hall. Pałętam się z nimi przez większą część lata, bo musieliśmy tu być na obozie treningowym. Dam sobie radę bez nich przez jeden wieczór, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kilka stolików przed nami widzę siedzącego samotnie Freddiego. Wołam do niego:

– Freddie! Hej, możemy usiąść z tobą?

Czuję ulgę, że w końcu znalazłam miejsce.

Odstawiam talerz na stół obok Freddiego i zaczynam wyciągać krzesło, jednakże Russell wyszarpuje mi je z ręki i podsuwa.

– No, no – mówię zaskoczona – prawdziwy południowy dżentelmen. Twoja matka musi być z ciebie dumna.

– Tak, matka i ciotka Emily trochę nade mną pracowały i próbowały mnie nauczyć manier. W końcu coś załapałem, kiedy zrozumiałem, że nie pozwolą mi jeść, dopóki wszyscy nie zasiądą przy stole, więc nie siadały, póki nie wysunąłem dla nich krzesel. Kiedy masz piętnaście lat i przechodzisz przez fazę ostrego wzrostu, a do tego jeszcze jesteś po skończonym treningu, zrobisz właściwie wszystko, żeby dorwać się do jedzenia – śmieje się Russell.

Ja też się śmieję, gdy próbuję go sobie wyobrazić w wieku piętnastu lat. Prawdopodobnie był wysoki i tyczkowaty, z kościstymi łokciami. Już nie jest kościsty – myślę, obserwując go ukradkiem. Jego potężna sylwetka dobrze wypełnia krzesło, które w porównaniu z nim wygląda bardzo delikatnie. Robi wrażenie twardziela, trochę groźnego, ale dołeczki w policzkach równoważą wrażenie tej ogromnej siły fizycznej. W sumie cały pakiet wygląda całkiem atrakcyjnie.

– Och, to ty jesteś Russellem Marksem – mówi nagle do mojego towarzysza siedzący obok Freddie. – To ty jesteś tym nowym rozgrywającym, którego właśnie zwerbowali Chargersi! – ciągnie podekscytowany, a ja dopiero wtedy przypominam sobie o dobrych obyczajach.

– Przepraszam, Russell, to jest Freddie Standish. Freddie, no cóż, ty już, zdaje się, wiesz, że to jest Russell – wyjaśniam.

– Czy to nie ty jesteś królem podań na zdrowaškę^[3]? – pyta Russella Freddie.

– Hm, no... i tak, i nie. W liceum miałem w drużynie świetnego skrzydłowego, nazywał się Wes Larson. No i ten Wes biegał najszybciej spośród wszystkich zawodników w czterech okolicznych hrabstwach, a ręce miał takie, że potrafił złapać najgorszą szmatę, jaką mu podałem. Wystarczyło, że rzuciłem piłkę do przodu, a ten dzieciak po prostu frunął na koniec boiska, żeby jej dopaść. Wiesz, potrzeba dwóch rzeczy, żeby podanie na zdrowaškę się udało: szybkiego skrzydłowego i czegoś takiego. – Mówiąc te słowa, Russell wyjmuję z kieszeni mały medalik z Matką Boską. – Widzisz – ciągnie Russell – żeby takie podanie zadziało, musisz mieć Marię po swojej stronie. – Śmieje się i pokazuje komplet idealnie prostych białych zębów. – Ten medalik to prezent od mojej drużyny.

Muszę chyba robić jakąś dziwną minę, bo dodaje:

– Ruda, nie powiesz mi chyba, że jesteś ateistką.

– Nie, nie jestem ateistką – odpowiadam szybko, ale czuję, że kręci mi się w głowie.

Mam jakieś przedziwne odczucie. Odnoszę wrażenie, że już skądś znam Russella, że już go kiedyś spotkałam... Nie, chodzi o coś więcej. Gdy się do mnie uśmiecha, czuję to, jakby jakieś odległe echo... coś jak przypominanie sobie kogoś znajomego. Może czytałam coś o

nim na stronie internetowej Crestwood, chociaż nie wydaje mi się. Myślę o tym przy deserze i jeszcze w trakcie rozmowy o jutrzejszej rejestracji.

Rozluźniam się, poprawiam w krześle i z zadowoleniem słucham, jak Russell i Freddie rozmawiają o szansach naszej drużyny piłkarskiej w tym sezonie. Wyglądam z namiotu i dostrzegam, że słońce już za chwilę zajdzie.

– Robi się ciemno. Czy ktoś może wie, jak mamy stąd dotrzeć z powrotem do akademików? Wracamy pieszo?

– Nie – odpowiada Freddie, wstając z krzesła. – Chyba wyczarterowali jakieś autobusy, żebyśmy mogli wrócić. Słyszałem, jak tu gdzieś podjeżdżały, kiedy jedliśmy deser.

Zaczynam się zbierać, sięgam po torebkę i stwierdzam, że ktoś odsunął moje krzesło od stołu.

– Dziękuję – mówię do Russella. Staram się nie patrzeć w jego twarz, która z sekundy na sekundę wydaje mi się coraz bardziej atrakcyjna. – Spróbuję znaleźć toaletę, zanim wyruszymy.

– A ja zajmę dla nas miejsca w autobusie. Zobaczymy się potem. – Freddie wskazuje głową wyjście namiotu.

– Dzięki, Freddie.

Patrzę, jak Freddie odchodzi w kierunku, który przed chwilą wskazywał.

– Łazienka to niezły pomysł – mówi Russell. – Ruda, idę z tobą.

Wychodzimy tylnym przejściem i zanurzamy się w zmierzchu. Jesteśmy teraz bardzo blisko jeziora i bryza przynosi ze sobą balsamiczny zapach, w którym można wyczuć mieszaninę nadbrzeżnych roślin i wody. Idąc ścieżką prowadzącą od jeziora, znajdujemy niewielki ceglany budynek, w którym mieści się ogólnodostępna toaleta. Kiedy z niej wychodzę, widzę, że Russell czeka na mnie przy ścieżce.

– Czekałeś na mnie – mówię lekko zdziwiona.

– No tak... – śmieje się. – Nie możemy pozwolić, żebyś chodziła w nocy sama po ciemnych zakamarkach. Może tu się chować po krzakach grupa gwałcicieli z Crestwood, którzy tylko czekają, żeby się na ciebie rzucić – odpowiada z tym swoim dziwnym akcentem.

Zatacza szeroki łuk ramieniem, tak jakby chciał podkreślić, że jesteśmy w tym miejscu zupełnie sami. Czuje, że jego argument jest dość lichy, więc odwraca się do mnie.

– No chodźmy już. Autobusy zaraz ruszą bez nas i będę cię musiał bronić przez całą drogę do akademika. – Gdy to mówi, uwydatniają się jego dołeczki.

Bierze mnie za rękę i zaczynamy iść z powrotem w kierunku namiotów.

– Czy na południu uczą uroku osobistego, czy u ciebie to wrodzone? – Czuję ciepło bijące od jego ciała.

– A co, uważasz, że jestem uroczy? – Zatrzymuje się i po raz kolejny uśmiecha się do mnie.

Już chcę mu coś odpowiedzieć, ale znów mam to dziwne uczucie w brzuchu. Rozglądam się dookoła i zauważam jakąś sylwetkę, która odrywa się od dużej wierzby. Zaskoczona przysuwam się bliżej Russella.

W tajemniczej postaci rozpoznaję Reeda. Wychodzi spomiędzy drzew i zmierza w naszym kierunku. Z niechęcią stwierdzam, że facet porusza się w niesamowicie seksowny sposób – tak jakby szedł bez żadnego wysiłku, całkowicie płynnie. Ciekawe, czy on sobie zdaje sprawę, jak atrakcyjnie wygląda, kiedy po prostu idzie – zastanawiam się, gdy Reed zbliża się do Russella i do mnie. Niektórzy mężczyźni paradują w dumny sposób, żeby wyglądać bardziej atletycznie. Ale u niego to nie jest duma, tylko surowa, agresywna moc, okiełznana tylko na tyle, żeby można było podziwiać kontrolującą ją siłę.

– Genevieve, czy mogę cię prosić na słowo? – pyta Reed z chłodną grzecznością. Czuję, jak coś ciągnie mnie do niego w niewytłumaczalny sposób i zmusza mnie do spełnienia jego prośby. Patrzę, jak mruga i spogląda na Russella i zauważam, że ciało Reeda nieruchomieje.

– No pewnie, Reed, a o co chodzi? – Próbuję skupić się na czymś innym niż intrygujący widok tego faceta wyłaniającego się z ciemności.

Jeśli nawet go zaskoczyłam, wypowiadając jego imię, nie dał tego po sobie poznać. Przenosi wzrok na Russella i mówi:

– Rozmowę, o którą proszę, najlepiej byłoby przeprowadzić na osobności.

Nie był to zbyt subtelny sposób przekazania Russellowi, żeby stąd poszedł... Russell natychmiast zmienia postawę. Prostuje się i zaczyna przyglądać Reedowi. Mierzą się wzrokiem. Sprawiają wrażenie, jakby się starannie oceniali.

– Jak widzisz, jestem teraz trochę zajęta. Może umówimy się na tę prywatną rozmowę na później? – odpowiadam, bo odzywka Reeda była bardzo niegrzeczna. – Możesz też umówić się na rozmowę z Russellem, bo powiedział mi wcześniej, że ma dla ciebie pewną propozycję.

Z zadowoleniem słyszę, jak Russell bierze głośny, głęboki wdech: najwyraźniej zrozumiał żart. Założę się, że teraz go nie lubisz – myślę cierpko.

Po twarzy Reeda przebiega grymas rozczarowania. Dociera do niego, że nie zamierzam poświęcić mu teraz uwagi.

– Kiedy? – pyta opryskliwie.

– Nie wiem, ciężko mi teraz odpowiedzieć. Możemy do tego wrócić później? – proponuję spokojnie.

Reed zaciska zęby i znów patrzy na Russella. Tym razem dłużej mu się przygląda, a przy tym marszczy brwi...

– Przeszkadzam wam w romantycznym spotkaniu? – pyta w końcu z jakimś zamyśleniem.

– W czym? – dziwi się Russell i posyła mi takie spojrzenie, jakby sprawdzał, czy zrozumiałam słowa Reeda.

Kręcę głową i wzruszam ramionami.

– Genevieve, to ważne, żebyśmy teraz porozmawiali – upiera się Reed. Całkowicie ignoruje Russella.

Mrużę oczy:

– Reed, totalnie cię nie rozumiem. Kiedy spotkaliśmy się w audytorium, chciałeś, żebym sobie poszła, a teraz prosisz, żebyśmy porozmawiali. O czym mamy rozmawiać?

Czuję, że oskarży mnie o zrobienie czegoś złego. Mam wrażenie, że coś wyczytał. Może z tych kartek na podkładce.

– Chcę porozmawiać o twoim wyjeździe... dzisiaj – oznajmia chłodno i wpatruje się we mnie.

– O moim wyjeździe... Co jest, czy autobusy już odjechały? Przegapiliśmy porę powrotu? – pytam zaniepokojona.

Reed robi niemalże znudzoną minę.

– Myślałem raczej o twoim wyjeździe ze szkoły. Genevieve, spróbuj się ogarnąć. Nie możesz przecież być aż tak naiwna. – Patrzy na mnie chłodnym, badawczym wzrokiem.

Czuję, że serce bije mi coraz szybciej. Próbuję powstrzymać rumieniec oblewający twarz. Zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, słyszę pytanie Russella:

– Dlaczego ona miałyby wyjeżdżać ze szkoły?

Russell wciąż trzyma mnie za rękę i robi krok do przodu, lekko wysuwając się przede mnie. Ten ruch był dość subtelny, ale zauważyłam go. Reed również, co stwierdzam, gdy się mu przyglądam. Sprawia wrażenie, jakby zdenerwował go ten manewr. Nigdy wcześniej nie byłam w podobnej sytuacji i nie wiem, jak powinnam się teraz zachować.

Reed marszczy brwi, patrząc na Russella.

– To sprawa między Genevieve a mną. Jeśli masz ochotę towarzyszyć jej w innym miejscu, to twoja sprawa. Ale nie zostanie tutaj – odpowiada Reed takim głosem, jakby był już zmęczony tą rozmową.

– A jeśli postanowi zostać, to co zrobisz? – pyta Russell spokojnie. Brzmi niemal przyjacielsko... niemal.

Twarz Reeda robi się poważna.

– To byłaby z jej strony bardzo niefortunna decyzja – odpowiada i mierzy Russella wzrokiem.

Robię krok w kierunku namiotu, szarpiąc Russella za rękę i mówię:

– Chodź, znajdziemy autobus. Lepiej, żebyśmy się na niego nie spóźnili.

– Idź sama. – Russell nie rusza się z miejsca. – Reed i ja pogadamy chwilę jak facet z facetem, a potem znajdę cię w autobusie – dodaje i nie spuszcza oka z Reeda.

Słyszę głośnie bicie własnego serca.

– To głupota – mówię do Russella, starając się nie okazywać narastającej paniki. – On nie może mnie zmusić do wyjazdu, więc to wszystko nie ma sensu. Chodźmy już.

Russell patrzy na mnie.

– Masz rację, on cię nie może zmusić do wyjazdu, ale zastraszanie to już inna historia. Nie chodziło ci o zastraszenie Genevieve, co, Reed? Bo to by była niefortunna decyzja – mówi Russell niskim, groźnie brzmiącym tonem. Jednocześnie uśmiecha się łagodnie do Reeda.

Wzrok Reeda przez chwilę koncentruje się na naszych złączonych dłoniach, a zaraz potem mam wrażenie, że się namyślił. Zwraca się bezpośrednio do Russella:

– Podejdziecie teraz do autobusów i wsiądziecie do jednego nich. Nie będziecie próbowali się z nikim porozumiewać ani wysiadać, aż dojedziecie do uczelni. Idźcie – mówi Reed rozkazującym, syczącym głosem.

Russell silniej chwyta moją dłoń i zaczyna mnie ciągnąć po ścieżce prowadzącej do namiotu. Porusza się sztywno, niemal bezwolnie, wygląda, jakby każdy krok, który robi, sprawiał mu trudność.

Reed wydaje z siebie odgłos, który kojarzy mi się z pomrukiem rozczarowania, po czym mówi:

– Puść ją.

Russell natychmiast wypuszcza moją dłoń z ręki. Idzie nadal przede mną, wciąż tak samo sztywnym krokiem, nie ma w nim nic z naturalnego wdzięku, który wcześniej wzięłam za jego wrodzoną cechę.

– Russell, zaczekaj! – mówię bez tchu, ale on się nawet nie odwraca, żeby na mnie spojrzeć.

Niemal w tej samej chwili zjawia się przy mnie Reed. Jego głos znów brzmi jedwabście i seksownie, pozbawiony jest jakichkolwiek ukrytych emocji.

– Muszę przyznać, Genevieve, że ten chłopak jest silnie zdeterminowany, żeby cię chronić. Nie przypuszczałem, że będzie dostatecznie twardy, żeby mi się przeciwstawić, a jednak zaskoczył mnie, kiedy próbował cię pociągnąć za sobą.

– Co mu zrobiłeś? – Mam nadzieję, że w moim tonie słychać więcej oburzenia niż przenikliwego pisku strachu.

Stojąc obok mnie, Reed przechyla głowę na jedną stronę, jakby intensywnie nasłuchiwał.

– Genevieve, serce tak szybko ci bije... Czy ty się boisz? – Sprawia wrażenie zaskoczonego, a moje serce wciąż galopuje. – Uspokój się, Genevieve, ja chcę cię tylko przekonać. Jestem pewien, że sama to zrozumiesz. To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie.

– Uspokoić się!? Mówisz poważnie? – pytam, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i równo. – Przepraszam, Reed, czy ja ci się wydaję wkurzona? – warczę na niego. Co to było? Czuję się, jakbym właśnie wypila całą butelkę syropu na kaszel i teraz miała jakiś koszmarny, absurdalny odlot.

Histeria, którą do tej pory powstrzymywałam, w końcu bierze nade mną górę.

– W jaki sposób zmusiłeś Russela, żeby sobie poszedł? – pytam prawie szeptem.

Reed marszczy brwi, ale nie odpowiada. Cofam się, wskazuję kciukiem za swoje plecy i mówię zadyszczanym głosem:

– Teraz sobie pójdę... Przykro mi, ale ta rozmowa nie mieści się na mojej skali fajności... więc może później.

– Szkoda, bo jeśli o mnie chodzi, to już od dawna nie prowadziłem tak ciekawej konwersacji. Zdziwiłem się, kiedy cię tu zastałem. A możesz się chyba domyślać, że rzadko

mnie coś dziwi. Nie spodziewałem się w Crestwood kogoś takiego jak ty. Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Co tu robisz? – Na jego twarzy maluje się przekonanie o własnym autorytecie, dość zresztą przerażające.

– Mam tu studiować, a co miałabym robić? – odpowiadam pytaniem na pytanie, bo staram się nadażyć za tym wszystkim. – I co masz na myśli, kiedy mówisz „kogoś takiego jak ty”? – dopytuję się dalej podejrzliwym tonem.

– Wiesz, co mam na myśli – rzuca oskarżającym tonem, a jego brwi łączą się ze sobą.

Doskonałość jego rysów przez chwilę odwraca moją uwagę; wpatruję się w idealną symetrię jego twarzy i zauważam, że nawet kiedy jest gniewna, nie przestaje być piękna. Ale słowa Reeda nie są już takie piękne.

– Myślisz, że nie powinnam tu być, bo nie stać mnie na opłacenie czesnego? Masz mnie za jakiegoś śmiecia? – Czuję, jak oblewam się rumieńcem. – Zdobyłam prawo do studiowania wszystkimi ocenami, o które walczyłam, więc jeśli sądzisz, że mam obowiązek stać tu i słuchać tych... tych... – warczę i odwracam się od niego.

Zaczynam iść w kierunku namiotu, bo muszę koniecznie odejść, choć wiem, jak głupio wygląda takie odwracanie się tyłem. Nie udaje mi się zejść daleko i znów muszę się zatrzymać. Reed znalazł się bezpośrednio przede mną i blokuje mi drogę do namiotu. Spoglądam przez ramię, bo nie bardzo rozumiem, gdzie stał chwilę wcześniej. Miejsce, w którym znalazł się teraz, jest zbyt daleko od tego, w którym był poprzednio. Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, przeszywa mnie lodowaty dreszcz strachu. Zaczynam się cofać, całkiem dezorientowana.

Reed łapie mnie za łokieć, a jednocześnie cedzi między zębami:

– Niezupełnie o to mi chodziło.

– A o co? – pytam, ale samej trudno mi zrozumieć własne słowa wypowiedziane szeptem.

Próbuję obrócić ramię i oswobodzić je z jego uchwytu, ale on chyba w ogóle się tym nie przejmuje – jego ręka nie zmienia położenia.

– Chodziło mi o to – zgrzyta zębami – że zaskoczyła mnie tutaj osoba taka jak ty, ktoś, kto ma takich rodziców.

Ze zdziwienia opada mi szczęka. Po chwili pytam:

– A co ty tam wiesz o moich rodzicach? Więc jednak masz mnie za śmiecia! Co ty możesz o nich wiedzieć? – Walczę z całych sił, żeby uwolnić łokieć, który tkwi w jego uścisku jak w imadle. – Puść mnie, ty cholerny snobie! Dziwię się, że w ogóle ze mną rozmawiasz, skoro nie znam swojego drzewa genealogicznego. Reed, może i nie jestem bogata, ale mam się za porządną osobę. Więc proszę, żebyś mnie zostawił w spokoju!

– Zostawię cię, kiedy odpowiesz na moje pytania. Będę się przy tym upierał. Genevieve, kim jest twój ojciec?

Krew odpływa mi z twarzy i przestaję z nim walczyć. Czuję się po tym pytaniu, jakbym dostała cios w żołądek. Odwracam wzrok od Reeda, nie potrafię mu odpowiedzieć, nie tylko dlatego, że nie znam właściwej odpowiedzi, ale i dlatego, że ta niewiedza sprawia mi

przykrość. Mam też poczucie, jakbym została wyśmiana. Wstydzić się czegoś, na co nie ma się wpływu, tak jak w tym przypadku, to głupota, ale rozum nie zawsze potrafi przeciwstawić się strachowi i zwyciężyć. Czuję dławienie w gardle, które przeradza się w ból. Wolno zsuwam po ramieniu pasek swojej torebki i sięgam do jej wnętrza.

– Nie wiesz tego, prawda? – pyta Reed zamyślonym głosem, jakby mówił sam do siebie. – Nic nie wiesz... Nikt o tobie jeszcze nic nie wie... To jedyne wytłumaczenie twojej obecności tutaj – mówi, przyglądając mi się badawczo. – Nikt cię nie chroni. Jesteś tu sama, prawda? – pyta, wypuszczając przy tym mój łokieć z dłoni.

Przestaję widzieć wyraźnie jego twarz, bo przeszkadzają mi w tym łzy, ale na jego nieszczęście znajduję w końcu to, czego szukałam w torbie.

– Nikt mnie nie musi chronić, kiedy mam to! – mówię zdesperowanym głosem.

Przyciskam paralizator do jego boku, odbezpieczam i naciskam spust. Moja broń wydaje gorący, dynamiczny odgłos uwalnianej elektryczności, która dociera do torsu Reeda. Ten jednakże nie pada wśród drgawek na ziemię, jak na instruktażowym filmiku. Zamiast tego widzę, jak jego brwi unoszą się. Wyrażają coś pomiędzy niedowierzaniem a zdumieniem. Pyta:

– Mówisz poważnie?

Ręce zaczynają mi się trząść, kiedy czuję dławiący strach, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam. Upuszczam paralizator, który upada na ziemię i natychmiast się wyłącza.

– Przepraszam, to moja wina... Już teraz pójdę – mówię, cofając się na drżących nogach. – Możemy porozmawiać później, dobrze? – proponuję błagalnym tonem.

Reed nic nie mówi, ale też nie rusza się, więc nadal się cofam. Kiedy jestem już nieco dalej, odwracam się i uciekam w kierunku skupiska delikatnych świateł widocznych w pobliżu namiotu. Gdy przez niego przechodzę, personel firmy cateringowej wciąż składa stoły i krzesła, a potem umieszcza je na długich wózkach, którymi zostaną odwiezione do ciężarówek. Potykam się odrętwiała o sterty poplamionych płóciennych obrusów, po czym wychodzę z namiotu w tym samym miejscu, w którym na początku wieczoru do niego weszłam. Rozglądam się rozpaczliwie za autobusami, a kiedy orientuję się, że już odjechały, niemal wpadam w szal.

Zamykam oczy i głęboko wciągam powietrze, żeby się uspokoić. Cudownie, doskonale się składa! – ironizuję i podskakuję ze złości. Albo mogę wrócić do namiotu i błagać o podwiezienie cateringowców, którzy wyruszą pewnie dopiero za parę godzin, albo wybrać się w drogę na piechotę. Jasna cholera!

Nie mogę powstrzymać pragnienia, by zniknąć z tego miejsca. Puszczam się truchtem drogą, która okrąża jezioro. Jest już ciemno, ale księżyc w trzeciej kwadrze dostarcza sporo światła, by śledzić wijącą się przede mną drogę. Samo jezioro jest spokojne, dźwięk plusku wody delikatnie przebija się przez kumkanie żab i rytmiczne cykanie świerszczy. Za to w mojej głowie szaleje prawdziwa burza.

Kilka pytań wymaga odpowiedzi. Jaka technologia pozwala na to, żeby ludzki głos wywierał wpływ na inne osoby? I czy to rzeczywiście chodzi o technologię? Czy też jakąś technikę psychiczną, taką jak hipnoza? Dlaczego to zadziałało na Russella, a na mnie nie? Czy może Russell odgrywa jakąś szczególną rolę? Czy Russell i Reed mogli się zmówić, żeby mnie przestraszyć? To ostatnie pytanie męczy mnie najbardziej, więc biegnę jak najszybciej w kierunku kampusu. Nie zwolnię, póki nie zobaczę przed sobą zamglonej łuny światła Crestwood.

Dzięki Bogu, cywilizacja! To ulga, że udało mi się już dotrzeć do miasta. Na widok ludzi odbywających wieczorne spacerowanie z psami oddycham lżej. Czuję się bezpieczniej dzięki ich bliskości – to normalne – nawet jeśli są całkowicie obcy. Czarne żeliwne latarnie uliczne stojące wzdłuż chodnika, wyznaczają drogę przez miasto. Przemierzam tę drogę od jednej świetlnej plamy do następnej.

Przed sobą widzę kogoś, kto biegnie chodnikiem w moją stronę. Adrenalina skacze mi jeszcze bardziej. Przez jasne światło latarni jego włosy wyglądają w tej chwili bardziej jak włosy surfera, białe od słońca i soli, niż naturalnie płowe. Robię głęboki wydech, kiedy orientuję się, że nie jest to facet z nożem, który biegnie, żeby poderznąć mi gardło, ale Russell. Czuję ulgę tylko przez chwilę, bo zaraz potem muszę zebrać siły, żeby nie powaliło mnie uderzenie jego wielkiego, muskularnego ciała. Mój znajomy chwytą mnie w ramiona i zamyka w potężnym, miazdzącym uścisku.

– Ruda... wszystko... w po... rządki? – pyta Russell, dysząc i przyciskając mnie do piersi. Jest cały mokry od potu, prawdopodobnie biegł od momentu, kiedy wysiadł z autobusu.

– Russ... nie mogę... złapać... tchu – udaje mi się odpowiedzieć, mimo że nie daję rady nabrać do płuc powietrza.

Prawie natychmiast Russell zwalnia uścisk, co pozwala mi wydobyć z siebie kilka poszarpanych słów.

– W porządku. Nie zrobił mi krzywdy.

Na jego twarzy gniew maluje się różnymi odcieniami. On sam wciąż ciężko dyszy, przygląda mi się i szuka jakichś widocznych śladów urazów.

– Naprawdę. – Patrzę w jego śliczne brązowe oczy. – Możesz mnie postawić na ziemi. Nic mi nie jest.

Żeby podkreślić swoje słowa, macham dyndającymi nogami. Russell delikatnie stawia mnie na chodniku, ale nie wypuszcza mnie z objęć. Opiera podbródek na czubku mojej głowy i nieustannie przyciska mnie mocno do siebie.

– Russell, ja...

– Cii... – szepcze mi we włosy. – Poczekaj jeszcze chwilę. Mam dość bujną wyobraźnię, która pracowała przez całą drogę w autobusie. Więc poczekaj jeszcze minutkę, potem odprowadzę cię do domu, a jeszcze potem odszukam Reeda, wyrwę mu rękę i użyję jej, żeby go pobić.

– Nie, Russell, nie wolno ci tego robić! – Wysuwam się z objęć i patrzę do góry w jego brązowe oczy.

– Ależ wolno i zrobię to – odpowiada równie dobitnie jak poprzednio.

– Nie, naprawdę nie możesz! Mówię poważnie. Reed ma jakąś szczególną siłę sugestii, za pomocą której zmusza ludzi do robienia rzeczy wbrew ich woli. Prawdopodobnie jest w stanie spowodować, że pobijesz sam siebie, a on nawet nie ruszy palcem – argumentuję, żeby go przekonać. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale dziś wieczorem to chyba nie był twój pomysł, żeby wsiąść do autobusu i odjechać.

Twarz Russella robi się coraz bardziej pochmurna...

– Nie, to nie był mój pomysł. Więc wsadzę sobie zatyczki w uszy. Wtedy wyrwę mu rękę i użyję jej, żeby go pobić. – Ani trochę nie zniechęca się moim sprzeciwem.

– Dobry plan, może mógłby zadziałać, ale mam wrażenie, że Reed ma jeszcze jakieś umiejętności, których nie znamy.

– Jakiś knebel, żeby nie mógł się odzywać. – Russell mówi właściwie sam do siebie.

– A co, jeśli on zna jeszcze inne sztuczki, oprócz tej z głosem? – pytam.

– O co ci chodzi, Ruda? – pyta Russell zdeorientowany.

– O to, że może znać jakieś inne triki. Na przykład po tym, jak ty sobie poszedłeś, zaczął coś mówić o moim sercu – próbuję mu wytłumaczyć to, co przypominam sobie z rozmowy z Reedem.

– Twoim sercu? – stara się zrozumieć.

– Tak... Reed powiedział, że tak szybko bije mi serce... i że powinnam się uspokoić – mówię wolno. – Ale nie był na tyle blisko, żeby słyszeć bicie mojego serca. A mnie wydawało się, że je naprawdę słyszy... Przekrzywił głowę na jedną stronę, jakby nasłuchiwał. Moje serce rzeczywiście galopowało, bo porządnie się przestraszyłam, kiedy odszedłeś.

– Przepraszam cię, Evie. – Russell jest przerażony. – Próbowałem się zatrzymać, odwrócić się i przyjść po ciebie, ale czułem się tak, jakby ktoś inny mną sterował. Nie miałem żadnego wyboru, kurczę, musiałem się podporządkować. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezużyteczny – tłumaczy z głową opuszczoną na znak skruchy.

– Przestań, Russell, nie musisz mnie przepraszać. Ja przy tym byłam, pamiętasz? Też słyszałam jego głos – mówię, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Reed już wcześniej kilka razy próbował na mnie tego głosu, ale bez skutku. – Czuję wyrzuty sumienia, że przez chwilę podejrzewałam Russella o współdziałanie z Reedem. Jest przecież oczywiste, że Russell jest tak samo oszołomiony wydarzeniami dzisiejszego wieczoru jak ja.

– Dlaczego on chce, żebyś wyjechała z uczelni? – pyta wściekły. – I dlaczego na ciebie to nie działało? Bo ja się czułem jak Elmo.

– Elmo?

– Taki rudy stworek z *Ulicy Sezamkowej* – odpowiada Russell.

– Aha. Nie wiem, dlaczego chce, żebym wyjechała. Może według niego nie mam dość kasy – ściemniam, bo wolę nie opowiadać Russellowi o swoim pochodzeniu i braku opieki rodzicielskiej. – Mówił coś o tym, że Crestwood to nie jest dla mnie odpowiednie miejsce.

– Ja też jestem bez kasy. Czy to ma znaczenie? – pyta ze złością.

– Czy ja wiem?

Czuję się niezbyt dobrze, bo nie jestem z nim całkiem szczerą. Chciałabym powiedzieć wszystko, ale nie potrafię się zebrać i wytłumaczyć mu, jak byłam wychowywana, a przez to nie mogę też powtórzyć pozostałych rzeczy, które usłyszałam od Reeda. Pocieram czoło i mówię:

– Mam kilka pytań, na które muszę sobie odpowiedzieć, zanim któreś z nas znów zbliży się do Reeda. Obiecuj mi, że nie będziesz próbował z nim rozmawiać, dopóki nie dowiemy się więcej o jego metodach oddziaływania na ludzi.

– Czy ja mówiłem, że chcę z nim rozmawiać? – ironizuje Russell. – Potrafię przekazać mu pewne treści bez użycia słów.

– Obiecuj mi – powtarzam spokojnym głosem.

– A w ogóle to w którym akademiku mieszkasz? W „Oldmenie”? – Próbuje wywinąć się od złożenia obietnicy.

– Nie, w „Yeatsie”, ale nie zmieniaj tematu – ripostuję. – Posłuchaj, pomyśl choćby o swoim stypendium. Nie możesz pobić człowieka i mieć nadzieję, że zostaniesz w drużynie. Szczególnie jeśli chodzi o faceta, którego rodzina jest głównym sponsorem szkoły.

Po tych słowach Russell podnosi ramiona i splata palce dłoni za głowę. Jęczy przy tym rozczarowany. Mój argument dotarł do niego i czuję, że szala przechyla się na moją stronę. Przynosi mi to ulgę. Naprawdę martwię się o Russella. Na pozór wydaje się silniejszy od Reeda, jednak stopniowo dociera do mnie, że to nieprawda.

– Ruda, to nie chodzi o pobicie, raczej o porządne, staroświeckie skopanie tyłka – mówi i uśmiecha się, ale gdy widzi wyraz mojej twarzy, znów wydaje z siebie jęk. – Wiązesz mi ręce, Ruda. Pierwsza zasada, kiedy masz do czynienia z bykiem, to podejść do niego od przodu, żeby wiedział, że się go nie boisz i że nie będziesz znosić jego błazeństw – tłumaczy Russell, patrząc na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

– Błazeństwa, tak? – pytam z ledwo widocznym uśmiechem. – No cóż, rozumiem cię. Ja tylko mówię, że chyba powinniśmy zastanowić się nad naszą taktyką postępowania z bykiem, zanim wypowiemy mu wojnę.

Russell nieruchomieje i spogląda na mnie z góry.

– Kim jesteś? – pyta.

Czuję się zaskoczona. Już po raz drugi w trakcie tego wieczoru ktoś zadaje mi to samo pytanie.

– Zwykłą dziewczyną – odpowiadam w nieco obronnym stylu.

Docieramy pod mój akademik.

– O, tutaj mieszkam. – Wskazuję drzwi budynku i grzebię w torbie w poszukiwaniu kluczy. – Pewnie spotkamy się na kampusie, co?

– Tak, szczególnie gdybyś się zgodziła spotkać ze mną jutro po rejestracji. Nie rzuciłaś we mnie żadnym narzeczonym, więc zakładam, że moja propozycja jest fair. – Uśmiecha się i czeka na odpowiedź.

Chodzi mu o to, że skoro nie wspomniałam jeszcze o swoim narzeczonym, ma prawo zakładać, że żadnego nie mam.

– Nie mam narzeczonego do rzucania. A poza tym my przecież tylko rozmawiamy. – Uśmiecham się nieśmiało.

– O której idziesz się rejestrować? – Russell przygląda mi się uważnie brązowymi oczami.

– Noo... rano, chyba koło wpół do dziesiątej. A ty? – Staram się ukryć zaskoczenie jego zaproszeniem.

– Ja już jestem wstępnie zarejestrowany. Muszę tylko pójść jutro to potwierdzić. Twoja rejestracja na wszystkie zajęcia nie powinna potrwać dłużej niż godzinę. Spotkajmy się w Centrum Studenckim około dziesiątej. Pójdziemy razem kupić książki.

– Okej, a więc o dziesiątej – odpowiadam.

Kiedy wkładam klucz do zamka, przypominam sobie o czymś bardzo ważnym. Odwracam się i widzę, że Russell odchodzi. Wołam więc do niego:

– Hej, nie obiecałeś mi w końcu, że nie będziesz się wdawał w przepychanki z Reedem!

– Wiem – odkrzykuje przez ramię i odchodzi.

Wchodzę ciężko po schodach prowadzących do mojego pokoju i rzucając torebkę przy drzwiach. Zanim udaje mi się pomyśleć, co robię, siedzę już przy biurku przed otwartym laptopem. Piszę nowego maila do wujka Jima i mam ochotę zmasakrować klawiaturę szczegółowym sprawozdaniem ze wszystkiego, co mi się przydarzyło. Ale nie potrafię. Trzęsą mi się ręce wiszące nad klawiszami. Przypominam sobie spotkanie z Reedem koło jeziora i rytm mojego serca zaczyna zdecydowanie wyprzedzać łagodny rytm migającego kursora.

Jak miałabym wytłumaczyć osobie trzeciej ten rodzaj przeżyć, jakich doświadczyłam w obecności Reeda – tak, żeby to brzmiało wiarygodnie? Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy wujek Jim uwierzy mi, czy nie. Tak czy owak, przyjechałby zaraz do Crestwood. Tylko co potem? Poszlibyśmy na policję? Ale oni w żaden sposób nie kupią mojej opowieści. Nie zdziwiłabym się, gdyby kazali mi od razu zrobić test narkotykowy.

Mogłabym wrócić z wujkiem Jimem do domu. Mogę się zapisać na jeden semestr na jakąś lokalną uczelnię i mieć nadzieję, że zimą udałoby mi się znaleźć miejsce na innym uniwersytecie. Kołaczę mi po głowie wizja życia w domu i pracy w centrum handlowym. Chce mi się od niej płakać. Przecież zależało mi na tym przez całe życie, zawsze pragnęłam wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić ze sobą coś takiego, żeby ojciec – którego nigdy nie poznałam – gdy wreszcie się pojawi, zobaczył mój sukces i zrozumiał, jak bardzo mnie nie

doceniał. Jeśli teraz pojedę do domu, mogę się z tym marzeniem pożegnać, przynajmniej na długi czas.

Powoli zaczynam wystukiwać na klawiaturze:

Drogi Wujku,

byłam na zajęciach organizacyjnych i spotkałam Alfreda. Bardzo mi się przydał, bo zajął mi miejsce. Słodkie, prawda? Później wszyscy poszliśmy nad jezioro na grilla. Po drodze poznałam Russela. Cały czas robił sobie żarty. Mówił na przykład, że poganianie dziewczyn, które szły przed nami, byłoby jak zaganianie stada owiec. Spotykam się z nim jutro w Centrum Studenckim – ale afera! Bardzo za Tobą tęsknię.

Kocham, Evie

PS Prowadziliśmy pseudointelektualną rozmowę na temat kontroli nad cudzą świadomością. Czy znasz jakieś współczesne technologie, które mają z tym związek?

PPS Kupiłam Ci ciasteczka Twinkies. Są za płatkami, na drugiej półce w spiżarni.

Ocierając łzy z policzków, klikam „Wyślij” i łapię kolejnego doła.

Rozdział 4

Rejestracja

Brutalność koszmaru sennego przywraca mi świadomość – podskakuję gwałtownie na łóżku, gdy słabo widoczna pięść zostawia na moim policzku ognisty ślad bólu. Trzymam twarz w dłoniach i czekam na pełen powrót z krainy ciemności. Strach, który krąży w moich żyłach jak jad węża, powoli odpuszcza i mogę już swobodniej oddychać.

Włączam lampę, potem zerkam przymrużonymi oczami na zegar: trzecia nad ranem. Powinnam spróbować na kilka godzin zasnąć, ale jeszcze nie jestem gotowa. Czuję się spocona i wystraszona, jakbym we śnie godzinami uciekała przed potworami.

Siadam w łóżku i stukam w przytępiony, stalowoszary nożyk do kartonu leżący na nocnym stoliku. Serce zaczyna mi łomotać na wspomnienie, jak zdradliwie ostry potrafi być ten przedmiot. Podnoszę palec i oglądam go w miękkim świetle żarówki. Nic nie widać, żadnej blizny ani zaczerwienienia, całkiem gładka skóra.

Drżącymi palcami chwytam nożyk, czuję jego chłodny ciężar. Wysuwam srebrzyste ostrze i widzę maleńką kropelkę zaschłej krwi, która wciąż jest do niego przylepiona. Moja krew jest taka sama, jak u każdej innej osoby: kiedy wypływa z rany, jest czerwona – normalnie, nie inaczej niż u innych. Delikatnie przesuwam koniuszek palca po ostrzu błyszczącym blado w świetle nocy.

Brzytwa Ockhama – myślę. – Staraj się uprościć teorię: najprostsze wyjaśnienie jest zwykle najbardziej poprawne.

Nim zdążę uświadomić sobie, co robię: mocniej przyciskam brzeg nożyka do palca, aż w opuszcze powstaje cienkie rozcięcie. Zbierają się w nim kropelki krwi, plamiące ostrze. Nie

odrywam wzroku od rozciętego miejsca: po kilku minutach krwawienie ustaje. Po kolejnych dwóch minutach brzegi się łączą. Mija jeszcze jedna minuta i rana zmienia się w cienką, czerwoną kreskę. Po dziesięciu minutach nie ma śladu po skaleczeniu.

Ockham nie ma racji, chyba że najprostsze wyjaśnienie brzmi: jestem totalnie porąbana.

– Co się ze mną dzieje? – szepczę, zwijając się na łóżku w kłębek.

Jestem zanadto przestraszona, żeby zgasić lampę. Odpływam w sen, ściskając w ręku nożyk do kartonu.



Kiedy dzwoni budzik, czuję się, jakbym w ogóle tej nocy nie spała. Szykuję się do wyjścia z na wpół przymkniętymi oczami, a potem przechodzę odległość mniej więcej jednej przecznicy do jedyne go baru szybkiej obsługi na kampusie. Wszyscy nazywają go „Saga”, bo jest miniaturą dramatu – z jedzeniem w roli głównej. Przy wejściu wyławiam z torebki „kartę na Sagę”, żeby przed rejestracją szybko coś zjeść.

Wybór jedzenia jest dokładnie taki, jakiego można się spodziewać po tego rodzaju barze – odstręczający. Wybieram banana i miseczkę błyskawicznej owsianki. Niosąc tacę, rozglądam się za wolnym stolikiem.

Szybko rozpoznaję hałaśliwą grupę pierwszozoczników na środku sali: to koledzy Russella, Mason i jego kumple. Wypatruję Russella, ale najwyraźniej nie ma go w tej grupie. Rozczarowana sprawdzam, czy nie siedzi może przy innym stoliku.

Nie znajduję go, ale udaje mi się zlokalizować Freddiego. Siedzi samotnie w tylnej części sali przy wielkim panoramicznym oknie. Przeciskam się między stolikami obsadzonymi przez zawzięcie plotkujących studentów. Jestem mniej więcej w połowie drogi do Freddiego, kiedy ktoś z pobliskiego stolika wywołuje moje imię. Odwracam się w stronę, z której dobiega głos, i zdumiona dostrzegam, że osobą, która mnie woła, jest Mason.

– Genevieve! No, tak, ty, Genevieve! Przy naszym stoliku jest wolne miejsce! – Mason entuzjastycznie macha do mnie ręką.

Patrzę sceptycznie na stolik, przy którym siedzi grupa młodych mężczyzn, i myślę sobie, że niewiele jest większych okropieństw niż sytuacja samotnej dziewczyny siedzącej wśród chłopaków z pierwszego roku.

– Dzięki! – krzyczę w jego stronę – obiecałam kumplowi, że zjem z nim śniadanie. Przepraszam, może innym razem.

Nie chcę czekać, aż mi odpowie, więc uciekam na tył sali, gdzie siedzi Freddie.

– Freddie, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Mogę z tobą zjeść śniadanie? – pytam, zajmując obok niego wolne miejsce.

– Evie! Oczywiście – odpowiada zaskoczony. – Co się z tobą wczoraj wieczorem działo? Trochę się o ciebie, tego... martwiłem. Próbowałem cię znaleźć, ale nie było cię w autobusie, a Russell nie chciał mi powiedzieć, co z tobą.

– Mhm... Spóźniłam się na autobus i musiałam wracać na piechotę. Przykro mi, że się o mnie martwiłeś – tłumaczę.

Unosi w górę brwi.

– Musiałaś wracać na piechotę? To zabawne – śmieje się Freddie i nie przerywa śniadania.

– Och, dzięki, Freddie. Przypomnij mi, dlaczego cię lubię.

Akurat wtedy przechodzi obok jakiś chłopak, który mówi:

– Hej, Genevieve, jak leci?

– Cześć. – Zdumiona patrzę, jak facet odchodzi. Nie mam pojęcia, kto to. Zwracam się do Freddiego z pytaniem w oku.

– Znasz go?

– Mmm... Nie wiem, jak ma na imię. Chyba mieszka w „Bradym” – odpowiada Freddie.

– Skąd on wie, kim ja jestem? – pytam właściwie samą siebie.

– Och, pewnie chodzi o ten spis Klubu Matek, wiesz, o listę pierwszoroczniaków. Wysłały to do wszystkich nowych studentów. Tam są nasze zdjęcia i życiorysy. – Kiwam głową z głupkowatą miną, a Freddie ciągnie dalej. – No więc grupa chłopaków zebrała się w akademiku, żeby zrobić ranking dziewczyn z pierwszego roku według tego spisu. Chyba chodziło o oceny w zwykłej dziesięciopunktowej skali. Ty zajęłaś naprawdę wysokie miejsce. Prawie wszyscy przyznali ci dziesiątkę za wrażenie ogólne. Nie jestem pewien, jak wypadłaś w kategorii „Czy ma czym oddychać?”, ale wiem, że okazałaś się gwiazdą w kategorii tyłka...

Czuję, jak krew zalewa mi twarz. Muszę niemal spuścić głowę, żeby ukryć swoje zażenowanie.

– Ty chyba sobie ze mnie żartujesz!

Cała sztywnieję. Czuję się, jakby oblażyło mnie jakieś obrzydlistwo.

– Wcale nie. Właściwie to sprzedałem swój egzemplarz paru chłopakom z jednego z bractw na kampusie. Dali mi za niego pięćdziesiąt dolców. Chyba korzystają z niego, żeby oglądać dziewczyny i wyławiać kandydatki do korporacji studenckich przed zapisami – śmieje się.

– To jest takie obrzydliwe... Chyba się porzygam. Masz, chcesz moją owsiankę? Straciłam apetyt – proponuję, podsuwając mu z niesmakiem miseczkę. – Jak mogłeś *sprzedać* swój spis, skoro wiedziałeś, do czego im będzie potrzebny?

– Evie, to prosta zasada ekonomiczna: podaż i popyt – tłumaczy, a następnie wkłada sobie do ust łyżeczkę owsianki i robi dziwną minę. – To dopiero jest obrzydliwe! – mówi. – Jak ty to możesz jeść?

Nie potrafię powstrzymać śmiechu na widok jego miny, kiedy próbuje przełknąć porcję owsianki.

– No dobra, dam ci już święty spokój, ale ten Klub Matek się doigra. Będą dostawać hejty za rażące pogwałcenie naszej prywatności! – mówię z pasją.

– Napiszesz taki list? – Freddie odchyła się dość arogancko na krześle, jakby studiował moje oburzenie.

– Prawdopodobnie nie – mówię wściekła, bo uświadamiam sobie, że całkiem skutecznie utarł mi nosa.

– No cóż, powodzenia! Władza dla ludu i takie tam! – Freddie sarkastycznie się uśmiecha, wznosząc zaciśnięte pięści. – Nie wiem, czym się martwisz. Mówiłem ci przecież, że dostajesz same dziesiątki.

Dla zilustrowania tych słów otwiera dłonie i pokazuje mi wszystkie palce.

– Freddie, to jest ohydne – odpowiadam, czując znów, że oblewa mnie rumieniec. – Co dziś porabiasz? – pytam, żeby zmienić temat.

– Muszę się tu hibernować, aż będę mógł się zapisać na zajęcia. Kupię książki, potem może jakiś lunch. O czwartej mam spotkanie w akademiku. Wiesz, reguły, ple-ple, żadnych dziewczyn, ple-ple, nie blokować otwartych drzwi, ple-ple-ple. A potem nie wiem, pewnie kolacja. – Wzrusza ramionami.

– Ja też mam spotkanie w akademiku o czwartej. Chcesz się spotkać tutaj na kolację koło wpół do szóstej? – pytam z nadzieją, że odpowie „tak”.

Uświadamiam sobie, że dobrze mi się z nim rozmawia. Jest dość śmieszny.

– Pewnie. Przyniosę tablicę i będziesz mogła w charakterze protestu wystawiać oceny wszystkim przechodzącym facetom z pierwszego roku – śmieje się, a ja rzucam w niego serwetką zwiniętą w kulę.

– No dobra, muszę lecieć. Freddie, życz mi szczęścia przy rejestracji na zajęcia – mówię, zbierając swoje rzeczy.

– Powodzenia, Evie. – Uśmiecha się, ale kiedy tylko odchodzę od stolika, woła mnie. – Evie!

Odwracam się i widzę, jak wymawia bezgłośnie słowo „dziesięć” i pokazuje znów komplet palców. Próbuje się do mnie przymilać, wiedząc, jak źle się poczułam po tej sprawie ze spisem studentów.

Ma dobre serce – myślę, pokazując mu zaciśniętą pięść i potrząsając nią w udawanym gniewie. W końcu macham mu ręką na do widzenia.

Rejestracja odbywa się na piętrze poniżej poziomu kafeterii. Kiedy wchodzę na klatkę schodową, gwałtownie nasila się znane mi już uczucie łaskotania w brzuchu – zwiastun obecności Reeda Wellingtona.

Musi tu gdzieś być – zatrzymuję się na półpiętrze i łapię poręcz ze strachu. Przez cały ranek nie dałam sobie ani chwili na zastanawianie się nad tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Prawdę mówiąc, robiłam wszystko, co się dało, żeby wyprzeć z pamięci cały ten wieczór, który teraz znów do mnie wraca.

I co on zrobi, kiedy mnie zobaczy? – zastanawiam się. Czuję, jak strach wężowymi ruchami przedziera się przez moje żyły i dociera do rąk i nóg. – To jest miejsce publiczne. Nie może ci nic zrobić przy tych wszystkich ludziach. Jesteś bezpieczna – przekonuję samą siebie i mam nadzieję, że uda mi się rozluźnić kurczowo zaciśniętą na poręczy dłoń i zejść w końcu na niższe piętro.

Po wyjściu z klatki schodowej podchodzę do stolika, przy którym siedzi studentka o znudzonym wyrazie twarzy. Muszę podać jej nazwisko i pobrać od niej kartę rejestracyjną. Wręcza mi kartę wyciągniętą ze stosu podobnych dokumentów, a ja zaczynam wybierać sobie zajęcia. Nie mam problemu z zapisaniem się na angielski i z matematykę, które sobie upatrzyłam.

Potem przechodzę do nauk przyrodniczych i tu napotykam ścianę. No, może nie ścianę, tylko raczej na Reeda. To właśnie on siedzi przy stoliku, przy którym załatwia się sprawy wyższego kursu fizyki i laboratoriów. Przede mną w kolejce jest jeszcze jedna osoba, więc mam chwilę, żeby przyjrzeć się Reedowi, który pomaga poprzedzającemu mnie studentowi rozeznaczyć się w programie.

Ciemnobrązowe włosy pochylają się nad listą zajęć studenta, któremu Reed wskazuje najlepiej dopasowane do jego planu laboratoria. Szerokie ramiona rozciągają koszulkę i ukazują kształtny zarys skrytych pod nią mięśni.

On jest całkiem poza skalą, jeśli chodzi o efekt podniecenia – myślę od niechcienia. Z każdym krokiem, który mnie do niego przybliży, motyle, które fruwały w moim brzuchu, zwiększają szybkość poruszania się.

Nadchodzi moja kolej, prostuję ramiona i wyciągam w jego kierunku listę swoich zajęć. Ale on na nią nie patrzy. Zamiast tego z zainteresowaniem przygląda się pióru, które trzyma w ręce, jakby zawierało ono w sobie tajemnice wszechświata. Próbuję odczytać z jego wyrazu twarzy reakcję na moją osobę, ale widzę tam pustkę – całkowity brak emocji.

Kładę swoją listę zajęć na stole tak, żeby mógł ją odczytać, i czekam. Reed nic nie mówi, nie porusza się, ignoruje mnie. Krzyżuję ramiona przed sobą i ciężko wzdycham, przestępując z nogi na nogę. W końcu dochodzę do wniosku, że zakończenie tej sceny należy do mnie.

Odchrząkuję.

– Reed, czy mogłabym się zapisać na zajęcia „Fizyka 200”, z doktorem Farrowem o dziewiątej rano w poniedziałki, środy i piątki? – pytam najuprzejmiej, jak potrafię, i udaję, że wszystko jest w normie, a także że nie próbowałam potraktować go paralizatorem mniej niż dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

– Nie – odpowiada Reed z ospałą niedbałością, nawet na mnie nie patrzy.

– Jest już pełno? – pytam przygnębiona. – A co z Fizyką 200 z Gertzem o jedenastej w poniedziałki, środy i piątki? – dopytuję, bo próbuję znaleźć porę, która pasowałaby do dotychczas skomponowanego planu zajęć.

– Nie – odpowiada znowu Reed, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie, bo zajęte, czy nie, bo nie mogę się zapisać na fizykę? – pytam podejrzliwie. Wpatruję się w jego uparty wyraz twarzy.

– Nie, bo nie możesz tu być. Nie, bo musisz się przenieść gdzie indziej. Nie, bo nie – mówi Reed, przy czym włosy spadają mu jeszcze bardziej na brwi, unoszące się w gniewnym grymasie.

– Dlaczego? Dlaczego nie mogę tu być? Co z tobą nie tak? – pytam ze złością. – Chcesz, żebym cię przeprosiła za użycie paralizatora? Proszę bardzo, przepraszam, że cię nim potraktowałam. Może to było nie na miejscu, ale sam zacząłeś tym odrażającym tonem i całą historią z Russellem. Posłuchaj, rozumiem, że jesteś grubą rybą w tutejszym małym stawie. Ale ja chcę po prostu zdobyć możliwie najlepsze wykształcenie. Chcę się zapisać na fizykę, żebym mogła się zakwalifikować na kurs dla wyróżniających się studentów. Proszę.

Kończę tym słowem, pokazując, że nie jestem zbyt dumna, żeby się trochę popłaszyc.

Za mną zajmuje miejsce inny student, który też chce się zapisać na fizykę. Reed patrzy na niego z wyrazem irytacji na ślicznej twarzy. Chciałabym dotknąć jego policzka, ukoić go, ale nim udaje mi się zrobić z siebie idiotkę, Reed odzywa się niskim, rozkazującym tonem do pierwszorocznika stojącego za mną.

– Nie jestem jeszcze gotów, żeby z tobą rozmawiać. Przyjdź tu za godzinę.

Sztwnieję cała, słysząc tony pobrzmiewające w głosie Reeda. Student natychmiast odchodzi bez słowa. Zielone oczy Reeda znów kierują się na mnie, zupełnie jakby nie wydarzyło się nic szczególnego.

Unosząc w zamyśleniu brwi, Reed pyta:

– Więc myślisz, że to o to chodzi? O to, że jestem grubą rybą i dlatego się wywyższam? – Kąćki jego ust drgają z irytacji. – A co, jeśli ci powiem, że wcale nie pływamy w stawie? – pyta. – Co, jeśli powiem, że znajdujemy się w oceanie, a rafa koralowa, w której mieszkamy, wkrótce zarości się od najdrapieżniejszych rekinów przyciąganych przez takie ryby jak ty?

– A jakąż to ryba przyciąga takie straszne rekiny? – pytam słabym głosem. Zastanawiam się, czy to mój rozmówca oszalał, czy ja.

– Ryba, jakiej dotychczas nie widziano. Całkiem nowa ryba, która może zmienić ekosystem całego oceanu. – Przygląda mi się badawczo.

Przez chwilę próbuję zrozumieć jego odpowiedź. Chcę się lekko zaśmiać, ale mój śmiech nawet dla mnie samej brzmi pusto. Z udawaną wesołością na twarzy mówię:

– To musi być jakaś bardzo szczególna ryba... A gdzie by miała sobie pójść w takim wielkim oceanie, żeby, no wiesz, nie przyciągać rekinów, które chcą się do niej dostać?

– Dla tej małej rybki nie ma bezpiecznego miejsca w żadnym z oceanów świata – odpowiada Reed beznamiętnie. Wydaje mi się, że w jego słowach słyszę nutę żalu.

Ten żal, bardziej niż ewentualne szyderstwo, napawa mnie strachem. Czuję się przybita, nagle odnoszę wrażenie, że powietrze jest zbyt rozrzedzone, żeby nim oddychać.

– No cóż – udaje mi się wykrztusić przez ściśnięte gardło – a co będzie, jeśli zostanę i będę próbowała się dobrze bawić, zanim przyłyną rekiny? Obiecuję, że nic im o tobie nie wspomnę.

– Nawet jeśli nic im nie powiesz, i tak będą o mnie wiedziały. Te rekiny mają świetnie rozwinięty węch – odpowiada spokojnym głosem Reed.

– Ale jeśli one by się tu zjawily w mojej sprawie, po co miałyby się martwić tobą? Przecież ty i tak nie będziesz miał nic wspólnego ze mną. Przecież mi nie pomagasz. Prawdę mówiąc, jestem raczej pewna, że mnie nienawidzisz. Możesz dzięki temu zdobyć punkty u rekinów.

Głos mi się łamie, ale dodaję jeszcze:

– Nie mogę jechać do domu. Zawleklabym tam rekiny, prawda?

Reed z całą powagą kiwa głową.

– No nie, nie mogę tego zrobić. Mam wujka, który mnie kocha... – Unoszę drżącą rękę i łapię się nią za czoło.

Muszę pomyśleć, dlaczego nie mogę się skupić? To szok – może atak paniki.

Wypuszczam powietrze i pytam:

– A skoro już wiesz, że nie jestem rybą, i ja wiem, że ty nie jesteś rybą... to znaczy, że kim jesteśmy?

Reed wstaje z krzesła i pochyla się nad stołem, pokazując mi, żebym zrobiła to samo. Jego policzek delikatnie dotyka mojego, a potem słyszę szept:

– To znaczy, że mamy całkowicie, totalnie przerąbane.

Jego bliskość tak mnie oszałamia, że trwa dobrą chwilę, zanim dociera do mnie, co właśnie powiedział.

– Nie to miałam na myśli – szepczę, kiedy udaje mi się oprzytomnieć. – Chodziło mi o to, że...

– Wiem, o co ci chodziło – niemalże warczy w odpowiedzi, mocno sfrustrowany.

– Rozumiem, że chcesz, żebym wyjechała; to jasne jak słońce, ale spójrz na to przez chwilę z mojego punktu widzenia. Co byś zrobił na moim miejscu, gdybyś spotkał kogoś, kto chyba wie, co jest z tobą nie tak? Nad jeziorem spytałeś mnie o ojca, pamiętasz? Co o nim wiesz? – pytam, próbując ukryć narastającą desperację.

– Nie wiem, kim jest twój ojciec – mówi wymijająco Reed.

– No dobrze, a przypuszczasz, że kim jest? – dopytuję z zawziętym uporem.

Wzrok Reeda łagodnieje.

– Jakie masz plany? Przygotowujesz się do studiów prawniczych? – pyta.

– Może, jeszcze się nie zdecydowałam. Myślałam, że będę miała jeszcze masę czasu, żeby wybrać specjalizację, ale najwyraźniej się myliłam – mówię miękko. – Nie szkodzi. Muszę się dowiedzieć, co ty o mnie wiesz. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Może umiesz mi wytłumaczyć, dlaczego wciąż mi się śni ten sam koszmarny sen.

– Miałaś widzenia? – pyta nagle i chyba oczekuje, że zobaczy odpowiedź na mojej twarzy.

– Hm, nie wiem, czy można je nazwać widzeniami. Chodzi raczej o ten sam koszmar, który śni mi się co noc. Jak sądzisz, o czym to świadczy?

Z uporem zaciska szczęki.

– Wiesz, tylko nie chcesz powiedzieć? – pytam z rozpaczą w głosie. – No dobrze, może łatwiejsze pytanie. Dlaczego za każdym razem, kiedy jestem blisko ciebie, łaskocze mnie w brzuchu, jakbym tam miała tysiąc motyli? I to nie wtedy, kiedy cię widzę, ale wcześniej, zanim cię zobaczę – dopytuję, wpatrując się w jego twarz.

Moje pytanie sprawia, że Reed nabiera wyrazu pełnego wyższości nade mną, a na jego twarzy zamiast uporczywego widać teraz zadowolenie z siebie. Ale i tym razem nie odpowiada.

– Spodziewam się, że będę żałowała tego pytania – mamrocze sama do siebie.

– Mogę ci coś powiedzieć. Możesz być taka, jaką się wydajesz, ale możesz też być całkiem inna – mówi Reed, tracąc częściowo ten grymas zadowolenia. – Zanim cokolwiek zrobię, muszę uzyskać pewność. Jeśli rzeczywiście jesteś tą, za którą cię mam, prawdopodobnie mi nie uwierzysz i będziesz żądać dowodu. A ja nie mogę ci go teraz dostarczyć. Nawet nie wiem, czy w ogóle powinienem ci pomagać – mówi ponuro. – Ale skoro tu jesteś i najwyraźniej masz zamiar zostać, musimy sprawdzić, co da się zrobić, żeby cię zakamuflować, przynajmniej do czasu, kiedy nabiorę pewności w twojej sprawie.

Patrzę na niego zwięzonymi oczami.

– Dlaczego miałabym ci ufać? – ripostuję. – Wcale nie ukrywasz, że mnie nienawidzisz.

Jego wzrok znowu łagodnieje.

– Nienawidzić cię? Wcale nie tak bardzo, jak może ci się wydawać. A poza tym są przecież te... co to było? Motyle? To chyba nie może być złe, co?

Jestem prawie pewna, że się ze mnie naśmiewa. Bo czy to nie jest najśmieszniejsze zdanie, jakie do tej pory słyszałam z jego ust?

– Wiedziałam, że pożałuję tego pytania – mamrocze, oblewając się rumieńcem.

– A ja po prostu skarżyłem się, że moje życie stało się nudne. Bądź ostrożna w swoich oczekiwaniach, dobrze, Genevieve? – Wyciąga z mojej dłoni kartę rejestracyjną, którą prawie już całkiem zmięłam. Prostuje ją i dopisuje do listy moich zajęć fizykę z doktorem Farrowem o dziewiątej rano.

– Więc jakie jest w końcu twoje zdanie? Jestem taka skołowana – mówię, odbierając od niego kartę i ledwie na nią patrząc. – Doszliśmy do czegoś?

– Zdecydowaliśmy, że nie podejmiemy żadnej decyzji, zanim nie dowiemy się o sobie czegoś więcej – mówi Reed i z niewymuszoną gracją, którą trudno byłoby podrobić, sadowi się wygodnie w krześle.

– W porządku, więc kiedy będę mogła stwierdzić, czego się o mnie dowiedziałeś? – Nie chcę, żeby ta rozmowa skończyła się bezowocnie.

Kiedy widzę, że Reed wzrusza ramionami, zadaję mu pytanie, którego najbardziej się obawiam:

– Jak długo to potrwa... to znaczy kiedy rekiny zaczną krążyć? No i kim są te rekiny i czego ode mnie chcą?

Reed odpowiada, nie wykonując najmniejszego ruchu:

– Twoim powołaniem, Genevieve, jest przygotowanie do studiów prawniczych. Lepiej się pośpiesz, bo kiedy tu sobie rozmawiamy, inne grupy się zapełniają.

Kiwam lekko głową. Przyjmuję do wiadomości, że jestem wolna. Prawie nic nie wiem. Przechodzę do następnego stolika i dopiero w momencie, kiedy dostrzegam światło flesza, zdaję sobie sprawę, że ktoś zrobił mi zdjęcie do legitymacji studenckiej. Reszta procesu rejestracji nie zajmuje mi dużo czasu. Normalnie moja lista zajęć byłaby powodem do zachwytu, ale ja czuję się raczej przestraszona, tak jakbym nie miała pozostać tu dostatecznie długo, żeby się nimi nacieszyć.

Wychodzę z sali rejestracji i idę do Centrum Studenckiego. Znajduję automat z napojami i kupuję butelkę wody. Najwyraźniej otepiający strach potęguje pragnienie. Szybko wypijam parę łyków, żeby oczyścić gardło i zaczynam przyglądać się osobom siedzącym przy stolikach, żeby ustalić, czy Russell już tu jest.

Dostrzegam go: siedzi przy dużym oknie po lewej stronie Centrum. Łatwo go zobaczyć, bo nawet na siedząco wyróżnia się wzrostem. Długie nogi wyciągnięte pod stolikiem prawie wystają na drugą stronę, a piaskowego koloru włosy opadają nad leżącym na blacie segregatorem, którego zawartość Russell uważnie studiuje. Wydaje się, że nie zwraca w ogóle uwagi na całe zamieszanie wokół niego.

Podchodzę do niego. Czuję energię otaczającego mnie tłumu. Pobyt w Centrum Studenckim to jak operacja wojskowa, w trakcie której kilka oddziałów żołnierzy spotyka się w charakterze sojuszników, ale żadna ze sprzymierzonych jednostek nie ufa innym.

Pierwszoroczni nowicjusze siedzą głównie w swoim gronie. Łatwo ich rozróżnić, bo mają na sobie nowe ubrania. Wyglądają jak rekruci w świeżo wyprasowanych mundurach, które nie widziały jeszcze żadnej akcji, podczas której mogłyby się zabrudzić.

Członkowie bractw zajmują w Centrum swoje własne stoliki. Otacza ich całkiem inna aura niż rekrutów, bo są doświadczeni i pewni siebie. Przechodząc obok jednego z takich stolików, słyszę fragment rozmowy. Jeden z członków bractwa plecie bzdury na temat deprawowania jakiejś dziewczyny, któremu oddawał się poprzedniej nocy:

– No, trzeba było nas widzieć wczoraj w nocy, jak żeśmy odjechali, to było nie z tej...

Dziewczyny z żeńskich korporacji zachowują się podobnie do członków bractw, ale w odróżnieniu od facetów próbują od razu werbować studentki z pierwszego roku. Odłączają się od swoich grup, robią rekonesans i zbierają dane wywiadowcze, które przekazują później swoim jednostkom. Przechodząc koło nich, słyszę, jak jedna z członkiń korporacji informuje koleżanki:

– Wydawało mi się, że jest ładna, ale to taka stumetrowa piękność... Wiecie, dobra laska z dużej odległości, ale z bliska całkiem przeciętna. Na razie chyba zostanie wśród „mocnych być może”... Co sądzicie?

Ale największe, śmiertelne zagrożenie stanowią jednostki snajperów, czyli oddziały facetów, którzy siedzą w różnych punktach sali i wypatrują swoich kolejnych celów, próbują udowodnić innym swoją wyższość, czyli kto ma największy karabin albo najwięcej amunicji w magazynku.

Już prawie dochodzę do Russella, kiedy wprost przed sobą, na godzinie dwunastej, widzę, jak zbliża się do mnie jeden ze snajperów. Uśmiezek wyższości na twarzy dowodzi, że bardziej interesuje go, jak oceni jego zagrywkę własny oddział, niż to, czy rzeczywiście nawiąże ze mną kontakt.

W ostatniej chwili usiłuje ukryć ten grymas na twarzy jakimś półuśmiechem i mówi:

– Jak leci, Genevieve?

– Hm, no... cześć... – jąkam się.

– Skończyłaś już rejestrację? – pyta i spogląda na stolik koło nas. Podążam za jego wzrokiem i widzę grupę facetów, którzy się nam przyglądają.

– No... tak... Czy my się znamy? – udaje mi się zapytać.

– Jestem Todd, budynek Sigma – mówi arogancko i wypina pierś. – Widziałem twoje zdjęcie w spisie pierwszoroczników.

Oblewam się rumieńcem, bo dociera do mnie, jak paskudne jest to, co właśnie powiedział.

– Hm... przepraszam... Todd, ale mam się tu spotkać z kolegą. – Wskazuję ręką Russella siedzącego przy stoliku przed nami. – Więc, może... – Odchodzę, przeciskając się obok niego.

Kumple snajpera natychmiast zaczynają z niego drwić w związku z tym, że spudłował. Prawdopodobnie właśnie zniszczyłam jego reputację strzelca, który nigdy nie chybia.

Docieram do stolika Russella i wysuwam sobie krzesło naprzeciwko niego. Siadam i uśmiecham się, bo aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo chcę go zobaczyć.

– Cześć, Russell, cieszę się, że tu jesteś!

Unosi brwi i odpowiada:

– Och, dziękuję.

Patrzy na mnie przez chwilę, lekko się uśmiecha i robi zaciekawioną minę. Potem rozgląda się po sali i w końcu skupia się znów na jakichś dokumentach, a mnie ignoruje.

– Należą ci się wyrazy szacunku, że potrafisz się skupić w tym hałasie. Co tak studiujesz? – Wskazuję leżący przed nim segregator.

– To opis środków taktycznych dla naszej drużyny. Mamy to zachować w tajemnicy.

– Aha... A wiesz, nie zgadłbyś, co mi się dzisiaj przytrafiło. Znasz ten spis pierwszoroczników, no wiesz, ten, który przygotował Klub Matek? – pytam.

– Oczywiście, chyba też mam egzemplarz. – Patrzy na mnie zaintrygowany.

– No, więc niektórzy ludzie tutaj studiują go tak, jak ty właśnie studiowałaś swój opis taktyki. Faceci, których nigdy nie poznałam, wołają do mnie po imieniu, kiedy obok nich przechodzę. To dość nieprzyjemne – mówię z wymuszonym uśmiechem, bo zaczynam się

czuć niepewnie, obserwując zachowanie Russella. Wieje od niego chłodem, dociera do mnie wręcz arktyczne powietrze.

– Niemożliwe – dziwi się. – To zabawne, bo właśnie usiłowałem sobie przypomnieć, skąd my się znamy. Czy wzięłaś moje imię z tego spisu?

Patrzę na niego w kompletnym zdumieniu.

– Ha, ha, Russell, to bardzo śmieszne. Przecież wiesz, kim jestem – mówię, ale po jego minie widzę, że jest całkiem zagubiony.

– Russell, jak ja mam na imię? – pytam niemalże błagalnym tonem.

Marszczy czoło.

– No cóż, zaczynam podejrzewać, że powinienem znać odpowiedź na to pytanie. Coś w tobie wydaje mi się cholernie znajome, ale... – Wyciąga rękę i dotyka moich włosów. Zamyka oczy i mówi:

– Wciąż widzę czerwony kolor... Czy to ma jakiś związek z tobą?

– Tak, od chwili, kiedy się poznaliśmy, mówisz na mnie Ruda. Pamiętasz, że wczoraj się spotkaliśmy w drodze nad jezioro? – pytam z nadzieją.

Jego seksowne, brązowe oczy omiatają moją twarz.

– Ja... hm, pamiętam... coś... jezioro... Głowa mnie boli, jakbym przez całą noc pił jakieś świństwo – mówi Russell. Odrywa rękę od moich włosów i chowa twarz w dłoniach. – Ty tam byłaś... i jeszcze ktoś... I musiałem wracać na piechotę, ale chciałem się zatrzymać... Wsiadłem do autobusu... Biegłem, musiałem wrócić... Evie! – mówi nagle i patrzy na mnie ze zdumieniem.

Jeszcze raz przeżywa tamte wydarzenia.

– Wszystko w porządku, Russell, nic mi się nie stało... Wszystko jest dobrze. A ty nie odszedłeś ot tak sobie.

Wstaję z krzesła i siadam na innym, stojącym najbliżej niego. Biorę go za rękę i ściskam ją.

– Jak się czujesz? – pytam z troską.

– Czuję się, jakbym grał w piłkę bez pieprzonego kasku – odpowiada ze złością – a linia ataku nie była w stanie nikogo zablokować.

– O, to znaczy, że przyswoiłeś sobie styl gry, którą uprawiała moja dawna szkolna drużyna. To nie najlepiej – drażnię się z nim.

Przez chwilę przyglądam mu się badawczo. Russell wciąż trzyma twarz ukrytą w dłoniach.

– Nie chciałeś mi obiecać. To o to chodzi, prawda...? Kiedy poszedłeś rozmawiać z Reedem? Wczorajem, od razu po tym, jak się rozstaliśmy, czy dopiero dziś rano?

– Eee... Nie wiem, o czym mówisz, Ruda, ale przydałaby mi się jakaś aspiryna – mówi, wykręcając się od odpowiedzi.

– Och, Russell! – rzucam ze złością i puszczam jego rękę.

Wstaję gwałtownie z krzesła i wracam na to po drugiej stronie stołu. Siedzę naburmuszona i mrużę oczy.

– Prosiłam cię, żebyś się do niego nie zbliżał. Wiesz, widziałam się z nim rano i zauważyłam, że nadal ma obie ręce, więc przyjęłam, że poszedłeś właściwą drogą. Co ty sobie myślałeś? Reed jest naprawdę niebezpieczny – mówię.

Grzebię w torbie i znajduję małą buteleczkę z aspiryną. Stawiam ją przed Russellem. Potem podsuwam w jego kierunku swoją butelkę z wodą.

– Ech, do diabła, Evie! – mówi Russell po łyknięciu aspiryny. – Więc powiadasz, że ty możesz rozmawiać z tym... tym... czymś, ale mnie nie wolno, tak? – pyta mnie ze złością.

– Tak, właśnie to mam na myśli. Już ci mówiłam, że na mnie jego głos nie działa. Mogę z nim rozmawiać i mój umysł nie poddaje się jego kontroli – wyjaśniam obronnym tonem. – Kiedy z nim rozmawiałeś? Pamiętasz coś?

Russell znów się pochyla, chowając twarz w dłoniach, jakby jego głowa ważyła tonę. Ma zgięte ramiona, w rękawkach koszulki widać wybrzuszenia bicepsów, które zaburzają bieg moich myśli.

– Spotkałem się z nim rano, kiedy przechodziłem przez kampus po porannym treningu – mówi w końcu przytłumionym głosem.

– I co powiedziałeś? – dopytuję po krótkiej pauzie.

– No, że to sprawa między nami, facetami... Bo tak jest, prawda, Ruda? – pyta. – No, między facetem i czymkolwiek on, kurczę, jest...

I tu jest pies pogrzebany. Russell wyobraził sobie coś, czego ja nie chciałam wcześniej przyznać nawet przed samą sobą. Jeśli Reed nie jest człowiekiem... to czym w końcu jest? I czym ja jestem?

– Więc Reed powiedział ci, żebyś zapomniał o tym, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, tak? – pytam znów, próbując złożyć tę układankę do kupy.

– Nie, gdyby tak zrobił, prawdopodobnie nie byłbym teraz taki wkurwiony. Nie, powiedział: „Zapomnij o Genevieve, tym razem ona nie jest dla ciebie”.

Miałabym ochotę się zaśmiać, ponieważ próba naśladowania głosu Reeda wychodzi Russellowi jakoś tak bardzo nosowo i wcale niepodobnie do oryginału. Ale nie śmieję się, bo sens tych słów sprawia, że przechodzi mnie dreszcz.

– Och, ale jednak o mnie pamiętałeś – mówię z namysłem. – Na początku nie, ale przezwyciężyłeś to... choć nie bez konsekwencji. – Pamiętam o jego bolącej głowie. – To o czymś świadczy... Musisz być bardzo uparty – kończę tę kwestię mało przekonująco.

– Tak, jestem, kiedy na coś mi zależy – odpowiada i zdobywa się na jakiś cień uśmiechu.

– No cóż, Russell, wygląda na to, że przyjaźń ze mną może być niebezpieczna dla twojego zdrowia – mówię ze smutkiem.

– O co ci chodzi? – pyta Russell, znów napięty.

– A o co tobie chodzi? – ripostuję. – Wyczyszczenie pamięci to dla ciebie jeszcze mało? To wszystko ciebie nie dotyczy. Dziękuję ci za pomoc, ale ta sprawa trochę się nam wymyka z rąk. Nie pozwolę, żeby to obróciło się przeciwko tobie.

– Jaka sprawa, Evie? Wiesz więcej, niż mówisz, prawda? – Oczy Russella zwężają się oskarżycielsko.

– Russell, to jest skomplikowane. Naprawdę nie wiem, co tu się dzieje. Nie miałam czasu się zastanowić. Muszę pomyśleć – mówię, zażywając aspirynę, podobnie jak on przed paroma minutami.

Russell patrzy na mnie przez chwilę, po czym mówi:

– No dobra, wydarzyło się coś, o czym, jak sądzisz, nie możesz mi powiedzieć... Czuję to... Czuję nawet to, że wy tutaj zostałyście wychowane inaczej niż większość dziewczyn, które znam ze swoich stron. Jesteście bardziej niezależne, mniej chętne, żeby prosić o pomoc, nawet jak jej potrzebujecie. A ty jej potrzebujesz, Ruda. Bardzo potrzebujesz pomocy.

Zaczynam zaprzeczać jego słowom, ale Russell podnosi rękę i przerywa mi. Brązowe oczy zwężają się, kiedy ciągnie dalej:

– Posłuchaj, nie wiem, na ile potrafię ci pomóc. Nie wiem, jak się bronić przeciwko temu, czym we mnie strzelają. Ale jestem twoim przyjacielem i zrobię, co potrafię, a może... może, kiedy będziesz gotowa, powiesz mi wszystko, co wiesz.

Kiedy Russell kończy mówić, nie mogę wydusić z siebie słowa. Prawie mnie nie zna, a w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin został przeze mnie poddany siłom, przed którymi większość ludzi uciekałaby z przerażeniem. Mam łzy w oczach. Mam ochotę go objąć, mam ochotę go odepchnąć, chciałabym mu podziękować, chciałabym go ochronić, chciałabym mu wszystko powiedzieć i chciałabym, żeby o niczym nie wiedział.

– Wiesz, Ruda, wygląda na to, że w twojej głowie toczy się jakaś cholerna bitwa. Może byśmy poszli i sprawdzili, czy dostaniemy jakieś książki w księgarni na parterze. To chyba dostatecznie łatwe zadanie na teraz – mówi Russell, podchodząc do mojego krzesła, żeby je wysunąć i pomóc mi wstać.

Idziemy razem do księgarni. Mamy trochę problemów ze znalezieniem tego, czego potrzebujemy. Cieszę się, że Russell zaoferował mi pomoc, bo kiedy w końcu kompletuję już wszystkie książki, potrzebuję niemal dźwigu, żeby przetransportować je do swojego pokoju.

– Russell, jak my to wszystko zataszczymy? Potrzebujemy przynajmniej ciężarówki – zastanawiam się.

– E tam. – Wkłada po parę książek w nasze torby. Resztę układa na chybił trafił w wielki stos. Podnosi go i mówi: – Gdybyś wzięła nasze torby, moglibyśmy przejść na drugą stronę ulicy do Gmachu Brady'ego. Pobiegnę do siebie i zostawię swoje książki.

Idę za nim, kiedy wychodzi z budynku, przechodzi na drugą stronę i kieruje się do Gmachu. Kiedy docieramy do drzwi wejściowych, kładzie książki na ziemi i sortuje. Wpycha moje do naszych toreb, łapie swój stos i pyta:

– Możesz tu poczekać, a ja zaniosę to do swojego pokoju? Chyba nigdy się nie przyzwyczaję, że nie wolno mi mieć damskiego towarzystwa. To takie nienaturalne.

Ma na myśli fakt, że „Brady” jest męskim akademikiem i w dzień powszedni nie wolno by mi było nawet wejść do holu.

– Więc to taki z ciebie podrywacz – żartuję sobie z jego słów.

– Nie o to chodzi, Ruda. Ja po prostu mam dwie młodsze siostry, a każda z nich jest przez cały czas otoczona hordą koleżanek. A teraz żadnej tu nie ma. Przeszkadza mi to, że nie słyszę, jak gadają o niczym z prędkością stu kilometrów na godzinę – tłumaczy, śmiejąc się do mnie.

– A, rozumiem. A jak mają na imię twoje siostry? – Próbuję sobie wyobrazić Russella opiekującego się dwiema małymi dziewczynkami.

– A obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?

– Oczywiście, przecież to nie może być aż tak straszne.

– Sama chciałaś. Jedna jest ode mnie młodsza o dwa lata i ma na imię Scarlett, a z kolei młodsza ode mnie o cztery lata to Melanie – mówi przeproszającym głosem, jakby czekał, czy załapie.

– Russell, a jak ci się udało nie zostać Rhettem albo, nie daj Boże, Ashleyem? – natychmiast kojarzę te imiona z *Przeminęło z wiatrem*.

– No cóż, mój tata ma na imię Russell, więc jemu to zawdzięczam – mówi z wyraźną ulgą, że się z niego nie śmieję.

– Ach, więc jesteś Russell junior – odpowiadam mu, uśmiechając się do wyobrażenia sympatycznej południowej rodziny, które zaczyna kształtować się w moim umyśle.

Jak ci tam było? Rosłeś, mając oboje rodziców i dwie młodsze siostry, w miłym mieście, w którym jesteś gwiazdą futbolu. Brzmi idealnie – zastanawiam się.

– Właściwie to jestem trzeci z kolei. Mój dziadek też był Russell.

Drzwi akademika otwierają się i wychodzi przez nie jakiś młody człowiek. Russell woła do niego:

– Mógłbyś potrzymać drzwi? Ruda, zaraz wracam.

– Okej – odpowiadam.

Uśmiecham się zakłopotana do tego chłopaka, który przechodzi obok mnie. Czuję się jak włóczęga; podchodzę do wielkiego drzewa stojącego przy chodniku. Na terenie całego kampusu rosną duże dęby i klony. Nie mogę się doczekać, kiedy liście zaczną przybierać jesienne kolory. Crestwood musi być w tym czasie magicznym miejscem.

Słyszę trzask zamykających się drzwi akademika, więc spoglądam ze swojego stanowiska pod drzewem i widzę zbliżającego się Russella.

– Gotowe? – pytam.

– Tak. Umieram z głodu. Chodźmy najpierw coś zjeść, bo kafeteria jest zaraz obok, a potem zaniemiemy twoje książki do ciebie – mówi, a ja kiwam aprobowująco głową. – Czekaaj, wezmę to. – Pochyla się i podnosi z ziemi dwie ciężkie torby.

Kiedy się prostuje, spod kołnierzyka wysuwa mu się naszyjnik, który dynda i odbija światło. Zastygam w bezruchu. Wpatruję się w dwa srebrne wisiorzy na znoszonym skórzanym rzemyku. Teraz są na koszulce Russella.

Aż mnie zatyka, bo rozpoznaję naszyjnik ze swojego snu – z prześladowającego mnie koszmaru.

– Russell, twój naszyjnik... Ale fajny... Skąd ty go masz?

– A, to? – Chwyta jeden z wisiorów. – To taki nasz rodzinny żart.

– Wasz rodzinny żart? – powtarzam. Czuję, że zaraz zemdleję.

– Tak, to długa historia. Chodź, Ruda, pójdziemy do Sagi i opowiem ci wszystko przy lunchu – mówi i bierze mnie za rękę.

Idziemy razem do kafeterii. Zamawiamy jedzenie, siadamy przy stoliku. Badawczo wpatruję się w naszyjnik Russella. Jeden z wisiorów wygląda jak poczerńiałe srebrne kółko, a drugi jak wydłużona ósemka.

Gapię się na naszyjnik niemal bez tchu. W końcu odzyskuję głos.

– To jak z tym naszyjnikiem? – mamroczę. Chciałabym go dotknąć, ale ręce mi się trzęsą, więc kładę je na kolanach, żeby to ukryć.

– A, no tak, rzeczywiście. – Russell bierze do ręki pierwszy wisior. – To kółko... Za chwilę ci wytłumaczę, co oznacza. – Puszczą je i dotyka wydłużonej ósemki. – A to symbol nieskończoności. Żeby zrozumieć nasz rodzinny żart, musisz wiedzieć, że tata jest nauczycielem matematyki w liceum w naszym mieście, no i też ma na imię Russell. Strasznie go kręci, że w matematyce istnieje tak zwany paradoks Russella. Słyszałaś o tym?

– Nie. – Kręcę głową i upijam łyk wody.

– No, to posłuchaj. Był taki matematyk Bertrand Russell, który sformułował pewien problem logiczny. Nie jestem wielkim fanem matematyki, a przynajmniej nie takim jak mój ojciec, więc wolę to wyjaśnić słowami, a nie na zbiorach, bo tak łatwiej. Masz takie zdanie: „To zdanie jest fałszywe”. Jeśli rzeczywiście jest fałszywe, to znaczy, że jest prawdziwe; a jeśli jest prawdziwe, to znaczy, że jest fałszywe.

Przez chwilę się zastanawiam, aż zaczyna mi się to układać w głowie.

– Rozumiem. Jeśli zdanie jest fałszywe, czyli nieprawdziwe, można rzeczywiście powiedzieć, że jest fałszywe, więc w gruncie rzeczy będzie prawdziwe. Ale jeśli tak, to kłamstwem będzie powiedzieć, że jest fałszywe, więc powinno być prawdziwe. Brzmi jak paragraf dwadzieścia dwa[4].

– No właśnie, bystra jesteś, Ruda, bardzo szybko skumałaś. To się właśnie nazywa błędnym kołem. Nie ma wyjścia: wciąż i wciąż musisz krążyć po obwodzie. Sama powiedziałaś, że twoim zdaniem jestem dość uparty. Moja rodzina uważa, że potrafię być naprawdę uparty i że jak mi na czymś zależy, to potrafię bez końca koło tego chodzić. Mama mówi na mnie paradoks, bo czasami zachowuję się sprzecznie z własną logiką – śmieje się. – A tata dodał do tego nieskończoność, na znak moich wiecznych wad charakteru.

Russell uśmiecha się, a ja wpatruję się w jego twarz i szukam jakiegoś skojarzenia, które pozwoliłoby mi rozwiązać zagadkę.

– Russell, musisz o czymś wiedzieć – zaczynam z wahaniem.

– Tak? A co takiego? – pyta.

– Co noc śni mi się twój naszyjnik – odpowiadam ze spokojem, choć czuję się jak totalna idiotka.

Russell przez chwilę się uśmiecha, ale gdy dostrzega moją poważną minę, sam też poważnieje.

– Że co?

– Jeszcze zanim przyjechałam na uczelnię, widywałam ten naszyjnik w swoich snach... w koszmarach – dodaję. Patrzę w dół, żeby uniknąć jego spojrzenia, bo już na pewno ma mnie za wariatkę. – Nie wiem, co to oznacza, ale wiem, że muszę...

– Co musisz? – dopytuje.

– W tych snach... Muszę go jakoś chronić.

– Chronić przed czym?

– Nie wiem, ale to jest tak okropne, a ja nie potrafię przestać o tym śnić – odpowiadam szczerze, z nadzieją, że nie będzie się ze mnie śmiał.

– Więc o czym to świadczy? – Russell zadaje kolejne pytanie. – Wiesz? Masz jakieś zaburzenia psychiczne czy coś?

– Nie wiem. Chyba nie. Nigdy wcześniej mi się nic takiego nie zdarzyło. Zaczęło się zaraz po tym, jak przyjeźli mnie do Crestwood – odpowiadam, rozgrzebując jedzenie na talerzu.

Russell rozgląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Kiedy nikogo nie zauważa, pochyla się bliżej w moją stronę i mówi:

– Cholera, Evie, opowiadasz mi jakieś straszne gówna. To prawie jak postrzeżenie pozazmysłowe. – Przy ostatnich słowach wybucha, nie mogąc powściągnąć wzburzenia.

– Okej, no tak, to jedna możliwość. A inna, że mogę być trochę zwariowana – odpowiadam.

Ku mojemu zaskoczeniu uświadamiam sobie, że jest to w sumie najkorzystniejsza opcja w moim scenariuszu.

– Nie wiem nawet, dlaczego ci o tym teraz opowiadam. Przecież naprawdę się nie znamy. W gruncie rzeczy dziś rano nawet mnie nie poznałeś. Ale zdaje mi się, że coś między nami istnieje. Nie umiem tego określić, ale czuję to. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Przestań gadać, idiotko! – mówię do siebie w myślach. – On nie ma pojęcia, o czym ty pleciesz.

Ale Russell zaskakuje mnie, gdy odpowiada:

– Tak, wiem, o czym mówisz. To tak, jakby człowiek ciągle czegoś szukał, ale nie wiedział, że szuka. Jakby znaleźć kawałek siebie, nie wiedząc, że się go zgubiło... Ech, cholera, mówię jak dziewczyna. Też nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wiem, o co ci chodzi.

Milczymy przez chwilę, każde w pełni zdaje sobie sprawę z obecności drugiego, a potem Russell znów się odzywa:

– Może jednak Reed ma rację. Jesteś pewna, że powinnaś tu być?

Posyłam mu złowrogie spojrzenie, więc pyta:

– A co twoi rodzice mówią o tym wszystkim?

Pod wpływem mojego milczenia dochodzi do prawidłowego wniosku:

– Nie powiedziałaś im? Czemu, Evie?

Nie jestem w tej chwili w stanie na niego spojrzeć. Chwytam swoją tacę i podchodzę z nią do taśmociągu przy okienku pomocy kuchennej. Odstawiam ją, odwracam się i chcę wrócić do stolika, ale wpadam na Russella, który stoi tuż za mną ze swoją tacą.

– Przepraszam – mamroczę, próbując oderwać się od jego boku, ale ręka Russella oplata moje ramię i przytrzymuje mnie.

Russell odstawia tacę, chwyta nasze torby, w których są wszystkie moje książki, i razem wychodzimy z Sagi. Zanim zdaję sobie z tego sprawę, jesteśmy już na zewnątrz, w połowie kwadratowego dziedzińca.

Kiedy znajdujemy się poza zasięgiem czyjegokolwiek słuchu, wyrzucam z siebie:

– Nie mam rodziców, mam wujka Jima, który kocha mnie najbardziej na świecie, i to jest równie dobre, jak mieć rodziców. Mogę mu powiedzieć o wszystkim, ale ja sama nie wiem, co się dzieje, więc jak miałabym mu to wytłumaczyć? Na pewno by mi zaufał, ale gdybyś ty nie był ze mną nad jeziorem, uwierzyłbyś chociaż w połowę tego, co tam się działo? – To pytanie ma charakter retoryczny, bo jestem pewna, że odpowiedź jest negatywna. – A ja po prostu powinnam tu być. Czuję to i nigdzie nie zamierzam wyjeżdżać!

– No, Ruda, chyba mnie już uprzedzałaś, co? Z ciebie to jest naprawdę ognista osóbką, nie? – pyta ze słodkim uśmiechem. – A ten wujek Jim lubi łowić ryby? Bo my z ojcem znamy takie miejsce na jeziorze blisko domu, gdzie ryby prawie że wskakują do łódki.

Ściskam lekko jego rękę i odpowiadam:

– On jest raczej fanem techniki niż sportu.

– To może by mi powiedział, dlaczego mój komputer zawiesza się co piętnaście minut i każe się wciążyć na nowo bootować? – pyta Russell.

– Oczywiście, podaj mi swój adres IP, wyślę go mailem do wujka. Włącz komputer, jak wrócisz do siebie, i sprawdź, czy masz dostęp do Internetu. Wujek Jim albo sam ci go naprawi, albo powie, o co chodzi.

– Mówisz poważnie?

– Och, w naszej rodzinie, która składa się z wujka Jima i mnie, tylko jedną rzecz traktujemy poważnie: technologię. Masz firewalla?

– Noo nie, chyba nie.

– Russell, nic dziwnego, że komputer nie chce działać. Wiesz, jak łatwo się do niego dostać? Nie mówiąc już o tym, że jesteś podatny na atak wirusów, robaków i koni trojańskich. Musimy ci załatwić zaporę, czyli firewalla!

– Okej! Jeśli trzeba, to zdobędziemy cały system cholernych zapór. A teraz wytłumacz mi, co to jest adres IP i koń trojański, bo to brzmi ciekawie – odpowiada Russell z seksownym uśmiechem.

Przewracam oczami.

– Kiedy wrócisz do akademika ze spotkania o czwartej, pogadaj z Freddie. On chyba wie, co to jest adres IP, i pomoże ci sprawdzić, jaki jest twój. Mogę go wziąć od niego przy kolacji.

– Idziesz na kolację z Freddie? – pyta Russell, kiedy zatrzymujemy się przed „Yeatsem”.

Wyczuwam w jego głosie napięcie, którego wcześniej nie zauważałam. Brzmi to podejrzanie, jakby Russell był zazdrosny, ale to przecież byłoby całkiem chore.

– Tak, zapytałam go rano przy śniadaniu, czy chce ze mną zjeść kolację – mówię i zauważam, że Russell spuszcza wzrok. – Ale wiesz, ty też możesz przyjść. To nie jest nic prywatnego.

– Aha. – Wyczuwam ulgę w jego głosie. – Chciałbym przyjść. Ale trener zaplanował dziś wspólną kolację dla całej drużyny w hali sportowej. Próbuje wzmocnić ducha zespołowego, a jedzenie ma dostarczyć firma cateringowa. Chyba nie wyrwę się przed siódmą.

– Jedzenie może być lepsze niż w Sadze – odpowiadam.

– O, co do tego nie ma wątpliwości. Więc kiedy cię znowu zobaczę? – Uśmiecha się i pokazuje słodkie dołeczki w policzkach.

– Nie wiem. Może jakoś jutro? – zastanawiam się, kiedy przestanie mnie zaskakiwać to, że Russell się mną interesuje.

– A może dziś wieczorem? Moglibyśmy iść na spacer po kolacji – proponuje.

– Okej. – Czuję, jak moje serce lekko przyspiesza.

– Masz telefon? Mogę do ciebie zadzwonić albo wysłać ci esemesa, kiedy skończę tę kolację w hali? – pyta, wyjmując z torby komórkę.

– Pewnie.

Podaję mu swój numer, który Russell wpisuje w kontakty. Znajduję własny telefon na dnie torby i wpisuję jego numer. Potem Russell wręcza mi książki, które niósł w torbie.

– Widzimy się wieczorem – mówi, po czym uśmiecha się i odchodzi.

Rozdział 5

Hokej na trawie

Idę w dół schodami prowadzącymi z mojego piętra do holu, ale skręcam w lewo w stronę oficjalnych sal recepcyjnych „Yeatsa”. Szkolenie z regulaminu akademika zaczyna się za pięć minut, więc mam czas, żeby się rozejrzeć i znaleźć miejsce. Lista obecności jest na stoliku pod salą, a mieszkańcy budynku stoją w kolejce, żeby się na nią wpisać.

Przez ramię brunetki, która stoi przede mną, zaglądam do sali recepcyjnej i widzę tam kilka rzeźbionych mahoniowych stołów oraz krzeseł od kompletu. Jest też ogromny kominek otoczony skórzanymi fotelami. Na ścianach wiszą stare fotografie ukazujące studentów z dawnych lat. Połączone ramy odbijają światło padające z eleganckiego kryształowego żyrandola.

Pracownica administracji akademika, którą poznałam wczoraj, ustawiła się pod salą jak strażnik na posterunku. Chyba ma na imię Megan. Przypatruje się wszystkim wpisującym się na listę studentom, jakby była celnikiem podczas kontroli na lotnisku. Jestem już prawie na początku kolejki, kiedy puka mnie w ramię studentka z wyższych roczników. Jej włosy mają kolor miodu, a oczy – chabrów.

– Przepraszam cię – szepcze i spogląda przez moje ramię na administratorkę.

– Tak? – odzywam się do niej również szeptem, choć w gruncie rzeczy nie rozumiem, dlaczego rozmawiamy tak cicho.

– Mieszkasz na drugim piętrze, prawda? – pyta mnie wciąż konspiracyjnym tonem i zakłada długie włosy za ucho.

– Noo, tak... Dwieście osiem... Jestem Evie.

– To pojedynczy pokój. Czyli jesteś pewnie na stypendium dla zdolnych dziewczyn. Ja jestem Buns – szepcze szybko i śmieje się na widok mojego krzywego uśmiechu. – Naprawdę nazywam się Christine Bonds, ale wszyscy mówią na mnie Buns.

– Aha. – Nie wiem, jak właściwie powinnam zareagować, na szczęście ona oszczędza mi rozterek, bo ciągnie dalej. – Miło cię poznać – znów szepcze. – Zastanawiałam się, czy mogłabyś mi pomóc – mówi i po raz kolejny zerka przez moje ramię na dziewczynę z administracji, która przed nami stoi. – Moja koleżanka z pokoju nie dała rady przyjść na zebranie, a jeśli się nie pojawi, będzie miała kłopoty z szefową akademika. Więc zastanawiałam się, czy mogłabyś zająć na chwilę administratorkę, żebym mogła wpisać się za nas obie.

Odwracam wzrok od Buns i kieruję go na administratorkę Megan, która wciąż wpatruje się w każde wpisywane na listę nazwisko, jakby w pobliżu czaili się terroryści. Zerkam w głąb sali i dostrzegam jeszcze jeden mahoniowy stół, na którym leżą stosy materiałów do wręczenia studentom.

Odwracam się ponownie do Buns i szepczę:

– Hm, chyba mam pomysł. Daj mi chwilkę.

Nadchodzi moja kolej, żeby wpisać się na listę. Zapisuję swoje nazwisko, potem przechodzę od niechcienia do stołu z przygotowanymi pakietami materiałów i udaję, że potykam się o własne nogi. Lecę z rozłożonymi ramionami w kierunku stołu i padam na niego. Zwalam z blatu na dywan stosy teczek. Żeby mieć pewność, że przyciągnę uwagę Megan, głośno wołam:

– Aaa, ojej!

Wiem, że nie powinnam spoglądać na Buns i sprawdzać, czy moja sztuczka zadziałała zgodnie z planem, więc natychmiast zaczynam zbierać papiery z podłogi i układać je w kupki. Administratorka podbiega do mnie i zaczyna mi pomagać, a ja czuję się winna mniej więcej przez pół sekundy: do chwili, kiedy słyszę, jak Megan mruczy pogardliwie „pierwszy rok” i przewraca oczami.

– Przepraszam... Niezbyt rozgarnięta, prawda? – Wiem, że odbierze to jako komentarz na mój temat, a nie swój.

Podchodzi do nas Buns i pomaga mi zebrać pozostałe materiały. Każda z nas bierze ze sobą jedną teczkę i pędzimy, żeby zasiąść w miękkich fotelach w rogu przy regale z książkami.

– Dzięki, kochana jesteś! – szepcze do mnie Buns, a jej niebieskie oczy błyszczą radością.

– Proszę bardzo – mamroczę, a pozostałe studentki, które były świadkami mojego upadku, wpatrują się we mnie intensywnie. Niektóre z dziewczyn wciąż jeszcze uśmiechają się znacząco. Gdy o mnie rozmawiają, zasłaniają usta dłońmi.

Wydaje się, że Buns ich nie zauważa.

– Szybko działasz – wyrzuca z siebie. – Miałam dzięki tobie tyle czasu, że mogłabym prawdopodobnie wpisać na listę całą naszą drużynę lacrosse’a.

Wzruszam ramionami i lekko się uśmiecham.

– Megan totalnie się na to złapała. Było warto, nawet jeśli patrzyła na mnie jak na śmiecia.

Do sali wchodzi pani White, kierowniczka akademika. Z kwaśną miną przygląda się nam wszystkim. Kiedy towarzystwo w końcu się ucisza, pani White otwiera zebranie. Zaczyna odczytywać suche zasady regulujące życie w akademiku. Wszyscy przeżywają katusze.

– Czemu nie rozdadzą nam po prostu regulaminu i nas nie wypuszczą? – szepczę do Buns. Pani White w tym czasie nadal czyta, nawet nie troszczy się o jakąkolwiek modulację głosu. – Chyba w tym towarzystwie można założyć, że wszyscy umieją czytać.

– Myślą, że muszą nam te zasady przeczytać sami, bo inaczej spojrzeliby na nie tylko nowi studenci – odpowiada mi również szeptem Buns, śmiejąc się i puszczając oko. – A powiedz, co robisz dziś po kolacji, tak koło szóstej piętnaście?

Szept Buns jest teraz pełen podniecenia, jakby coś właśnie wpadło jej do głowy.

– Hm, zamierzałam iść wieczorem na spacer, ale dopiero później. A dlaczego pytasz? – odpowiadam szeptem.

– Hokej na trawie! – słyszę z kolei szept Buns.

– Hokej na trawie? – pytam nieufnie i spoglądam na panią White, żeby się upewnić, czy nie zauważyła, że gadamy.

Buns podskakuje na fotelu, zdradza swoje podniecenie i nawet nie próbuje zachować dyskrecji.

– Mogłabyś wejść do naszej drużyny! Potrzebujemy jeszcze paru dziewczyn, a ty byś pasowała idealnie. Wyglądasz na wysportowaną. Uprawiałaś coś w liceum?

– Tak, byłam w drużynie piłkarskiej i narciarskiej – mówię cichym głosem, bo staram się nie zwrócić uwagi osób wokół nas. – Ale nigdy nie widziałam meczu hokeja na trawie. W naszej szkole nie było takiej drużyny.

Buns macha ręką, jakby chciała zatrzeć moje obiekcje.

– Nic nie szkodzi, hokej na trawie jest bardzo podobny do piłki nożnej. Można się tego błyskawicznie nauczyć, a my i tak gramy w lidze uczelnianej.

Znów podskakuje w fotelu i szepcze:

– Evie, proszę cię!

Najwyraźniej nasza rozmowa zwraca już uwagę dziewczyn siedzących koło nas.

– Buns, wywalą nas stąd przez ciebie – mówię do niej szeptem, ale ona ignoruje wszystko, co dzieje się dookoła, składa ręce jak w modlitwie i bezgłośnie porusza ustami.

– Okej – szepczę.

– Super! – odpowiada uszczęśliwiona Buns.

Pani White potrzebuje bitej godziny, żeby przebrnąć przez wszystkie zasady. Kiedy kończy, idziemy z Buns na górę, do jej pokoju.

– Możesz na razie używać na treningach stroju hokejowego Brownie, póki nie dostaniemy nowych ubrań. To moja współlokatorka – mówi Buns. – Jesteście właściwie tego samego wzrostu.

Zamaszyście otwiera drzwi do swojego pokoju, tak że obija nimi ścianę, i zapala światło.

– Brownie, wstawaj – wydaje komendę. – Musimy się szykować na kolację, a potem mamy trening hokejowy.

Brownie nie opuszcza kokonu z koca, wysuwa z niego jedynie środkowy palec jednej dłoni.

Buns śmieje się i mówi:

– Robisz złe wrażenie. Przyprowadziłam kogoś, żebyście się poznały.

Brownie wygrzebuje się powoli i siada na łóżku, pocierając oczy. Jest naprawdę śliczna – nawet z potarganą fryzurą. Jej falujące blond włosy są tak jasne, że można je określić jako platynowe. Ma też niebieskie oczy, podobnie jak jej współlokatorka, ale w trochę jaśniejszym odcieniu niż Buns.

– Która godzina? – pyta zaspana.

– Piąta. Pani White gadała bez końca, ale Evie była mega.

Buns opowiada o tym, jak dla ratowania Brownie odegrałam upadek na stół. Dziewczyna śmieje się i dziękuje mi za ten gest, a Buns się uśmiecha.

– Zaprosiłam Evie, żeby poszła z nami wieczorem na hokeja. Grała w piłkę nożną, a poza tym jeździ na nartach.

– To super! Jesteś nam potrzebna – mówi do mnie Brownie. – Nauczymy cię wszystkiego, co musisz wiedzieć – dodaje, wyskakując z łóżka z zadziwiającą zwinnością. – Masz, tu jest podręcznik do hokeja. – Rzuca mi książkę, która wcześniej leżała na biurku. – Możesz użyć mojego stroju.

– Już jej mówiłam. – Buns uśmiecha się do mnie ciepło, gdy Brownie wyciąga z szafy małą sportową spódniczkę oraz wełnianą bluzę i kładzie mi to wszystko na wyciągniętych ramionach. – Przyniosę ci na trening jeden z moich kijów, bo jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu.

– Okej. – Ściskam podręcznik i strój.

– Spotkajmy się po kolacji, koło szóstej piętnaście. Pójdziemy razem do hali sportowej. Trenujemy mniej więcej przez godzinę na dolnym boisku, tym do baseballu. Powinnyśmy skończyć do siódmej trzydzieści – mówi Buns.

– A czy wy jecie w kafeterii? – pytam z nadzieją.

Nigdy wcześniej ich tam nie widziałam, zresztą w lepszych miejscach też nie, ale przyjemnie byłoby zjeść coś czasem razem z nimi.

– Nie, stołujemy się w budynku naszej korporacji. Nasza kucharka, Jenny, jest smakozem – odpowiada Brownie.

– Aha, czyli nie tęsknicie za pysznościami z Sagi – ironizuję.

– O, nie! Zniszczyłam kartę do Sagi natychmiast po tym, jak przestała mi być potrzebna – prycha Buns.

– Macie szczęście! Muszę się pospieszyć, jeśli mam coś zjeść, zanim wyjdziemy. Spotkamy się później.

Odnoszę ubrania do swojego pokoju i kładę je na łóżku. Mam zamiar się przebrać, jak wrócę. Podręcznik do hokeja na trawie zabieram ze sobą, żeby poczytać w czasie kolacji. W drodze wysyłam esemesa do Russella: „Zaprosili mnie na hokeja na trawie na dolnym boisku 6:30. Spacer później? Skończę max 7:30. Do zoba potem?”.

Nie czekam długo na odpowiedź. Telefon wibruje i czytam esemesa od Russella: „Brawo, Ruda! Super. Wieczorem na boisku. Jesteś mega”.

Uśmiecham się na widok tej wiadomości i wchodzę do kafeterii. Wybieram zestaw surówek zamiast klopsa i rozglądam się po sali w poszukiwaniu Freddiego. Nie ma jeszcze wpół do szóstej. Siadam przy stoliku z tyłu, przy panoramicznym oknie, tam, gdzie rano jedliśmy śniadanie. Nie czekam długo, zanim Freddie dosiada się do mnie.

– Cześć, Freddie, jak się masz? – pytam go na powitanie.

– Wkurzyłem się, musiałem wysiedzieć na najbardziej ogłupiającym spotkaniu w sprawie życia w akademiku, na jakim kiedykolwiek byłem. Czy oni nie rozumieją, że potrafię czytać? – mruczy wściekły.

– Coś o tym wiem – potakuję energicznie.

– Czekaj, w każdym razie zanim zapomnę... To dla ciebie. – Freddie wręcza mi kartkę, na której namazane jest kilka cyfr.

Natychmiast rozpoznaję, że jest to jakiś adres IP.

– Więc masz go! Wiedziałałam, że mnie nie zawiedziesz – mówię z dumą, wyciągam rękę i klepię go delikatnie po ramieniu.

– Uwierzyłabyś, że on nie wie, co to jest adres IP? – Freddie nabiera na widelec kęś klopsa.

– Dziękuję! Sądziłam, że tylko mnie to szokuje, ale może nie jestem w tym taka samotna, jak mi się wydawało. – W pełni zgadzam się z Freddiem. – Wiesz, musimy coś z tym zrobić: Russell nie ma w ogóle firewalla.

– Wiem. I ten chłopczyk nawet nie wie, dlaczego ciągle wywala mu system – mówi Freddie z ironią, a ja myślę przez chwilę, że mógłby to być mój brat bliźniak, z którym mnie rozdzielono zaraz po urodzeniu, czy coś takiego.

– Muszę mu zorganizować firewalla ze studwudziestoośmiobitowym szyfrowaniem i auto-MDIX. Myślisz, że gdzieś tutaj coś takiego znajdziemy? – Liczę na to, że Freddie lepiej się zna na tych rzeczach.

Gwiżdże cicho i kręci głową.

– Raczej trzeba jechać albo do Coldwater, albo do Jackson. Wszystkie miasteczka tu w pobliżu utknęły w latach osiemdziesiątych – odpowiada, a ja znów muszę przyznać mu rację. – Tu pewnie znalazłabyś jeszcze Atari – żartuje.

– Tak, też mam takie wrażenie. Dzięki za radę. Udało ci się zapisać na wszystkie zajęcia, na które chciałeś?

– Żebyś wiedziała. – Kiwa głową. – Poszło gładko, ale mojego kumpla z pokoju całkiem pogięło. Joe mówi, że próbował się zapisać na zajęcia z fizyki, ale zamiast tego przez godzinę chodził w kółko. Niezły odjazd, nie?

– No, pewnie niektórym ludziom tak odbija od stresu – odpowiadam, choć mam podejrzenie, co przytrafiło się Joemu. – A wiesz co? – Próbuję zejść z niebezpiecznej ścieżki, na której się znaleźliśmy. – Dwie dziewczyny z mojego akademika zaprosiły mnie, żebym zagrała z nimi po kolacji w hokeja na trawie.

Mówiąc te słowa, podnoszę podręcznik, który dała mi do przeczytania Brownie. Przez resztę kolacji uczymy się z Freddiem zasad gry.

– To trochę podobne do piłki nożnej, nie? Tylko używa się kija, żeby przemieszczać piłkę po boisku, a punkty możesz zdobywać tylko wtedy, kiedy jesteś wewnątrz półkola, nie dalej niż szesnaście jardów od bramki. Nazywa się to półkolem strzałowym – wczytuję się w książkę.

– Tak, ale mnie przypomina to też hokej na lodzie, bo podobnie wznawia się grę. Stroje dziewczyn w hokeju są takie odjazdowe! – mówi Freddie, a ja gwałtownie wciągam powietrze, sięgam ręką w jego kierunku i uderzam go pięścią w ramię.

– No co, przecież jestem facetem – śmieje się. – Może przejdę się na boisko i sobie popatrzę.

– Pewnie, czemu nie, nie chciałabym cię pozbawiać widoku dziewczyn w krótkich spódniczkach. – W gruncie rzeczy myślę sobie, że miło by było mieć go tam jako kibica. – A skoro mówimy o krótkich spódniczkach, muszę iść się przebrać na trening i spotkać z koleżankami.

Moje koleżanki – myślę – to zadziwiające!

– Gdybyś jednak nie przyszedł, spotkajmy się jutro przed zajęciami i zjedźmy razem śniadanie. Może być piętnaście po siódmej? – pytam.

– Idealnie. Mam hiszpański o ósmej, więc mi pasuje – odpowiada radośnie.

– Ale czad! To na razie, Freddie! – Pędzę do swojego pokoju.



Przebieram się w strój treningowy, pożyczony od Buns i Brownie. Mam własny zestaw ochraniaczy na golenie jeszcze z czasów gry w piłkę nożną w liceum, więc zakładam je razem z getrami i korkami. Dziewczyny akurat wychodzą ze swojego pokoju, kiedy skręcam w prowadzącą do nich część korytarza.

– Jestem gotowa! – mówię podniecona.

– To świetnie. Skarbie, miałaś okazję zerknąć na podręcznik? – pyta mnie Buns, wręczając mi hokejową laskę.

– Tak, studiowałam go przy kolacji ze swoim kolegą Freddie. Chyba z grubsza wiem, o co chodzi. Ale potrzebuję trochę czasu, żeby nauczyć się prowadzić tym piłkę – odpowiadam, machając kijem i próbując wyczuć jego wagę.

Wychodzimy z akademika.

– Spoko, Evie, nie oczekujemy, że zaraz będziesz gwiazdą rocka. Bawimy się w to dla przyjemności i dlatego, że faceci aż się ślinią, kiedy na nas patrzą – mówi Brownie konspiracyjnym tonem.

– Kręci ich to – przytakuje Buns. – Nic dziwnego. Te stroje są naprawdę seksowne.

– Okej, okej... Bawimy się dla przyjemności, tak? – Robię głęboki wydech.

No dobra, ja też dam radę – myślę. Dochodzimy już prawie do hali, kiedy czuję znów dzikie łaskotanie w brzuchu. Reed – myślę spanikowana – co znowu?

– O, spójrz – mówi Bunny, wyciągając rękę w kierunku dolnego boiska. Drużyna lacrosse też ma trening. Mniam, mniam. Widziałaś JT? Wygląda w tym roku rewelacyjnie! Musiał trenować przez całe lato.

Brownie uśmiecha się do mnie z wyrazem optymizmu na twarzy.

– Reed też jest przystojniakiem, ale to wiadomo – zauważa. – Szkoda, że nie da się z nim bawić. Na oko świetne z niego ciacho, ale jest zdecydowanie zbyt poważny. Straszna szkoda.

Dostrzegam Reeda z odległości kilometra, nawet kiedy ma na sobie kask i ochraniacz na twarz. Zdradza go sposób poruszania się, przypomina skradającego się drapieżnika.

– Ktoś musi go rozluźnić – dodaje Brownie.

Buns marszczy czoło i macha ręką, jakby chciała odpędzić od siebie ostatnie słowa Brownie.

– Życie jest za krótkie, żeby je na to tracić. Nie mam zamiaru poświęcać choćby minuty na rozczulanie się nad jakimś facetem – mówi.

Żeby podkreślić swoje słowa, wbiega na boisko treningowe i trzymając kij w ręku, robi gwiazdę bez podpórki. Łąduje pewnie na nogach. Bierze zamach i uderza piłkę, którą ktoś zostawił razem z innymi elementami ekwipunku. Jestem pod wrażeniem i zaczynam klaskać. Buns uśmiecha się uroczo i z wdziękiem przede mną dyga.

– Buns, przestań szpanować i bierzmy się do roboty – drażni się z nią Brownie, podchodząc do pozostałych zawodniczek.

Buns przedstawia mnie wysokiej, ślicznej dziewczynie o imieniu Wendy:

– Ale nikt nie nazywa jej Wendy, mówimy na nią Weeza. A to jest Evie. – Weeza uśmiecha się do mnie miło. – A to jest Beth, ale wszyscy mówią na nią Babs.

– Czy ktokolwiek używa tu swojego prawdziwego imienia? – pytam ze śmiechem.

– Nie, to byłoby takie nudne! – śmieje się Buns i przedstawia mnie innym członkiniom drużyny.

Większość dziewczyn reaguje bardzo przyjaźnie, poza jedną. Ma na imię Tamera i ocenia mnie wzrokiem z góry na dół.

– Grałaś już kiedyś w hokeja na trawie? – Czuję w jej głosie zaczepkę. Stoi oparta o kij hokejowy, z wypiętym na bok biodrem, w dość aroganckiej pozie. Jej język ciała sprawia, że mam ochotę wybić spod niej ten kij i patrzeć, jak rozciągnie się na ziemi.

– No... nie, ale grałam w piłkę nożną.

Tamera krzywi się pogardliwie.

Brownie marszczy nos, spoglądając na dziewczynę:

– Tamera, poćwiczmy trochę z Evie, zanim zaczniemy osądzać, kto jest do dupy.

Buns zaczyna z nami powolną rozgrzewkę. Poświęca mi dodatkową uwagę: pokazuje, jak należy trzymać kij, potem proste ruchy związane z prowadzeniem piłki. Jestem zaskoczona swoimi umiejętnościami: nigdy wcześniej nie grałam, ale przychodzi mi to całkiem naturalnie. Kiedy wygląda na to, że wszystkie dziewczyny są już dobrze rozgrzane, Brownie proponuje, żebyśmy podzieliły się na dwa zespoły i rozegrały jedno wznowienie. Buns pilnuje, żebym wylądowała w ich drużynie.

Nasze zawodniczki zbierają się na końcu boiska, a Buns dowodzi:

– Evie, chcę, żebyś na razie zagrała w ataku, Brownie i ja podprowadzimy piłkę po boisku. Ty stań na początku półkola strzałowego, czyli D, a my do ciebie podamy. Jeśli Tamera będzie broniła, zajdź ją od jej lewej strony, bo wtedy nie potrafi nic zrobić.

Kiwam do nich głową i rozbiegamy się po boisku. Buns staje z przodu, na pozycji atakującej i zagrywa piłkę. Rozpoczyna się gra. Biegnę w kierunku bramki przeciwnej drużyny razem z Buns, która wykonuje uniesienie i posyła piłkę do przodu. Zbliżam się do półkola D. Dziewczyny podają sobie nawzajem piłkę, a kiedy Brownie spogląda na mnie, opieram kij na ziemi, żeby przejąć podanie.

Brownie podbija piłkę w moją stronę, a ja zmieniam jej kierunek i robię zwrot, żeby zbliżyć się do bramki. Tamera gra na obronie wewnątrz pola strzałowego, więc udaję, że pobiegnę w lewo, ale w ostatniej sekundzie zmieniam kierunek i mijam Tamerę po jej lewej stronie. Przechodzę ją, nagłym ruchem opieram nogę mocno na ziemi, odciągam kij do tyłu i uderzam. Fajka dotyka piłki, która frunie prosto do siatki.

Strzeliłam gola! – myślę podniecona.

Z lewej strony boiska dobiegają mnie gwizdy i żywiołowy aplauz. Russell i paru jego kumpli z drużyny stoją przy liniach bocznych i obserwują nasz trening. Czerwienię się, gdy widzę, jak Russell śmieje się do mnie. Równie hałaśliwe wiwaty dochodzą też z prawej strony boiska. Odwracam się w tamtym kierunku i czerwienię się jeszcze mocniej, bo uświadamiam sobie, że przygląda nam się też drużyna lacrosse.

Mój wzrok natrafia na Reeda: stoi, trzymając w obu rękach kij do lacrosse'a, i przygląda mi się. Uczucie łaskotania w brzuchu, które męczy mnie za każdym razem, kiedy jest blisko, staje się tak intensywne, że bezwolnie zaczynam iść w jego kierunku. Brownie i Buns podbiegają do mnie i powstrzymują mój marsz, zamykając mnie w grupowym uścisku.

– Skarbie, udało ci się! – krzyczy radośnie Buns. – Wiedziałam, że dasz radę! Mówiłam to, co nie, Brownie? Powinnaś być o coś z tobą założyć, na przykład miesiąc sprzątanego pokoju.

Brownie odpowiada drwiąco:

– Buns, nigdy bym nie przyjęła takiego zakładu! Mam lepsze zabawy. – Patrzy na mnie rozpromieniona. – No dobra, mamy jeszcze czas na parę zagrywek. Zobaczmy, czy damy radę zdobyć więcej punktów. Nie powinno być trudno, bo Tamera jest dzisiaj całkiem do dupy.

Znów skupiamy się w kółku na naradę, a ja próbuję nie zwracać uwagi na rosnący wokół nas tłumek. Brownie raz jeszcze każe mi zająć pozycję atakującej.

Przesuwam się do przodu, a w pewnej chwili naszej obronie udaje się odebrać piłkę przeciwniczek. Brownie podaje do mnie na moment przed tym, jak atakuje ją obrona tamtych. Widzę, że Buns, która biegnie przede mną, nie jest atakowana, więc podaję jej piłkę przez całą szerokość boiska. Razem docieramy do półkola strzałowego i ja przejmuję piłkę, którą Buns musi mi oddać, żeby nie padła łupem przeciwnej drużyny.

Kiedy Buns wychodzi na dobrą pozycję niedaleko bramki, przyspieszam, żeby minąć Tamerę, która próbuje zastawić mi drogę swoim ciałem. Znajduję miejsce, z którego mogę podać piłkę do Buns, opieram się na przedniej nodze i biorę kijem zamach. Uderzona piłka leci łukiem do Buns. I to jest ostatnia rzecz, jaką widzę, bo chwilę później czuję w nodze intensywny, kłujący ból. Laska Tamery wylądowała na mojej rzepce kolanowej.

Czuję, że kolano niemal mi eksploduje. W każdym razie odmawia utrzymywania mojego ciężaru. Zwalam się na ziemię, łapię za nogę i zwijam z bólu. Dotykam kolana drżącymi palcami i zamiast twardej, zwartej rzepki wyczuwam nimi coś gąbczastego. Dopadają mnie fale mdłości; staram się skupić na tym, żeby nie zwymiotować na boisku.

– Genevieve – słyszę głos dochodzący z niedalekiej odległości od mojego ucha – daj, zobaczę, co się stało.

Rozpoznaję ten głos natychmiast, mimo że mam zamknięte oczy. To Reed. Bez zastanowienia wyciągam w jego kierunku rękę i nie mogę stłumić jęku bólu. Łapię go za koszulę i opieram czoło na jego ramieniu. Mówi do mnie uspokajająco:

– Cii, wszystko w porządku... wszystko będzie dobrze. Dotknę teraz twojej nogi, więc postaraj się nie ruszać.

Delikatnie kładzie ręce na mojej nodze i zaczyna sprawdzać, co się stało. Kiedy dotyka tego gąbczastego miejsca, wydaję z siebie głośny syk, a mój mózg rejestruje piekący ból. Kręci mi się w głowie, a Reed dalej próbuje zbadać, co zostało z mojego kolana.

– Evie, co z tobą? – Russell klęka na ziemi po przeciwnej stronie niż Reed, tak że jestem wciśnięta między nich dwóch. Otwieram oczy, żeby spojrzeć na Russella i widzę wyraz twarzy Reeda. Ten ostatni lekko kręci głową. Potem marszczy brwi i mówi:

– Wydaje mi się, że to tylko stłuczenie, ale na wszelki wypadek zawiozę ją do szpitala na rentgen.

Nie czeka na pozwolenie i podnosi mnie z ziemi, jakbym w ogóle nic nie ważyła. Niesie mnie w stronę parkingu obok hali sportowej. Nie wiem, co robić. Tak strasznie boli mnie noga, że nie potrafię myśleć trzeźwo. Mam jedynie ochotę, by oprzeć głowę na piersi Reeda.

Russell woła z tyłu:

– Zaczekaj, ona z tobą nigdzie nie pojedzie.

Dogania nas szybko i idzie obok mnie, podczas gdy Reed wciąż niesie mnie w stronę parkingu.

– Uspokój się, Russell, zawiozę ją tylko do lekarza. Nic jej nie będzie. – Nie zwalnia kroku.

– Uspokoić się? To jest ostatnia rzecz, którą potrafię zrobić w twoim towarzystwie. Więc oddaj mi Evie, a ja zadbam o to, żeby trafiła do szpitala – rzuca gniewnie Russell w momencie, w którym wchodzimy na parking.

– O, naprawdę? Masz tu samochód? – pyta Reed znacząco. Zatrzymuje się na chwilę i patrzy na Russella.

Russell marszczy czoło i odpowiada:

– No, nie, ale... – a potem milknie, Reed tymczasem rusza dalej, trzymając mnie w ramionach.

– No więc jak ją tam dostarczysz? Polecisz z nią? – rzuca przez ramię.

– Mogę zdobyć samochód, pożyczę jakiś. – Russell zrównuje się z nami.

– Ale ja mam tu swoje auto. – Reed zatrzymuje się przy eleganckim i wypasionym sportowym samochodzie srebrnego koloru, niewątpliwie jakiejś europejskiej marki.

– Dobra, pojedę z wami – mówi Russell, podchodząc za nami do auta od strony drzwi pasażera.

– Przepraszam, Russell, ale mój samochód jest dwuosobowy. Wygląda na to, że tu zostaniesz. – Słyszę nutę rozbawienia w jego głosie.

Otwiera drzwi od strony pasażera i delikatnie układa mnie na siedzeniu. Sięga ręką po pas, żeby mnie zapiąć, a nasze spojrzenia się spotykają. Musi widzieć cały ten chaos i ból, bo łagodnie sięga dłonią do moich włosów, głaszcze mnie, po czym wycofuje się i zamyka drzwi.

W samochodzie jest zaskakująco cicho. Reed i Russell kłócą się, stojąc przed przednią szybą, ale nie słyszę żadnego z ich słów. Opieram głowę na zagłówku fotela i przełykam ślinę. Koncentruję się, żeby nie zemdlilo mnie w tym pięknym aucie.

Po paru chwilach Russell zaczyna energicznie gestykulować, wskazuje ręką samochód, a potem agresywnie kieruje palec w stronę Reeda. Reed z kolei stoi spokojnie, nie okazuje swą postawą żadnych emocji i ignoruje argumenty rozmówcy. Russell, sądząc po wyrazie jego twarzy, nie zamierza ustąpić w sprawie, o której dyskutuje. Ale po kilku dalszych chwilach stoickiej postawy Reeda, Russell zmienia strategię i podchodzi energicznie do moich drzwi.

Patrzę na niego przez szybę i widzę, że jego twarz zmieniła wyraz od gniewu do głębokiego rozczarowania. Cofa rękę od klamki i zaczyna wolnym, mechanicznym krokiem odsuwać się od auta. Mrużę oczy i kieruję spojrzenie na Reeda. Uświadamiam sobie nagle, co się dzieje: znów musiał użyć swojego przerażającego głosu i zmusił Russella do odejścia.

Gdybym mogła chodzić, wyszłabym z samochodu i poszła za Russellem. Ale w mojej kondycji nie jestem w stanie nawet zgiąć nogi w kolanie, tak żeby nie dopadły mnie mdłości z bólu. Muszę więc pozostać na swoim miejscu i patrzeć, jak Russell powoli odchodzi i zostawia mnie znów na łasce Reeda.

Rozdział 6

Obietnica

Reed wsiada do samochodu i uruchamia silnik.

– Czy musiałeś znów zastosować na Russellu tę sztuczkę z głosem?

Mój własny głos jest pełen napięcia i słaby, ale udaje mi się nie zgrzytać zębami, kiedy mówię. Kolano rwie mnie gwałtownie, więc znów kładę głowę na oparcie fotela.

– Co zrobić? – Reed udaje niewiniątko.

Wyprowadza samochód z parkingu i kieruje się w stronę głównej ulicy. Zawieszenie auta jest tak miękkie, że kiedy przejeżdżamy przez miejsca z nierówną nawierzchnią, nie czuję prawie żadnych wstrząsów.

– Reed, przecież wiesz, o czym mówię. – Zaciskam szczęki. – Użyłeś wobec niego swojego przymuszającego głosu. To mu nie uszkodzi mózgu... czy coś takiego... co? – Martwię się o Russella.

– Nie – odpowiada Reed niechętnie. – Nie uszkodzi mu mózgu. Właściwie to na niego nie działa tak, jak powinno.

– Co masz na myśli? – Reed nie dopowiada nic więcej, dlatego muszę sama wyciągnąć wnioski. – Chodzi ci o to, że to nie działa tak, jak powinno, bo on wciąż pamięta, kim ja jestem, czy tak? – dopytuję cierpkim głosem.

Reed przygląda mi się przez krótką chwilę, potem jego wzrok wraca na drogę.

– Tak, dokładnie o to mi chodzi, Genevieve.

– To nie było zbyt miłe, wiesz? Zajęło mi dobrą chwilę, żeby uświadomić Russellowi, że już się wcześniej poznaliśmy. – Patrzę na niego i dostrzegam, że uśmiecha się z wyższością.

Poirytowana ciągnę dalej:

– Na czym polega działanie twojego głosu? Stosujesz jakieś specjalne urządzenie czy znasz odpowiednią technikę, na przykład hipnozę? – Próbuję odwrócić uwagę od bólu, który odczuwam.

– Zawsze miałem tę umiejętność. To pewien talent, a nie technologia – mówi Reed i na tym kończy wyjaśnienia.

Przewracam oczami.

– Och, daj spokój. Czy już jako dziecko potrafiłeś głosem narzucać swoją wolę? To musiało być naprawdę niewygodne dla twojej matki. – Staram się nie wykonywać żadnych ruchów nogą. Na niewiele się to zdaje, bo całe moje ciało zaczyna drżeć od urazu.

– Moja matka... tak, to rzeczywiście musiałyby być dla niej niewygodne, masz rację – mówi z cieniem uśmiechu na twarzy. Spogląda na mnie i uśmiech znika. – Jak się czujesz? Czy trochę ci lepiej? – pyta z troską w oku.

– Chodzi ci o to, czy lepiej z moim kolanem? Nie, boli tak, jakby ktoś rozwalil je na milion kawałków. To coś gorszego niż stłuczenie, prawda? – dopytuję, choć znam odpowiedź.

– Tak, ta dziewczyna rozwalila ci rzepekę. Chyba włożyła całą siłę w to uderzenie kijem. Wyglądało mi to na celowe działanie. Co jej zrobiłaś?

– Ja?! Nic jej nie zrobiłam. Myślisz, że to moja wina? To że rozbiła mi kolano na befsztyk?

Reed nie zwraca uwagi na moje słowa i ciągnie:

– Cieszę się, że nie protestowałaś, kiedy powiedziałem o stłuczeniu. Inaczej trudno by było jutro wytłumaczyć, że twoje kolano nie jest już nawet stłuczone. Nie mówiąc o tym, że możesz już swobodnie chodzić. Postaraj się założyć jutro jakieś spodnie czy dżinsy. Masz coś takiego?

Patrzę na niego, jakby całkiem oszalał, bo dodaje:

– Pytam dlatego, że widywałem cię tylko w krótkich spódniczkach. Może znajdę jakiś bandaż, którym owiniemy ci kolano. Powinnaś go nosić przez kilka dni.

– Reed, o czym ty mówisz? Przynajmniej przez miesiąc będę chodzić w gipsie, przez tę... tę żalną, udawaną gwiazdę, Tamerę! – mówię jadownicie. – Mam nadzieję, że nie opuszczę jutro zajęć. Jeśli narobię sobie przez to zaległości...

– Genevieve, rano będziesz całkiem jak nowa.

Moją uwagę przyciągają kącki jego idealnych ust, które wyglądają, jakby próbowały się skierować do góry, ale nieskutecznie, bo Reed celowo powstrzymuje uśmiech. Zastanawiam się, czy wszyscy szaleńcy są tak piękni.

– Ale jak by się to miało stać, Reed? Czy przez noc odrośnie mi nowa kość? Sam powiedziałeś przed chwilą, że mam całkiem rozwaloną rzepkę.

– Tak – odpowiada spokojnie.

– Aha, no dobrze... Nie zdawałam sobie sprawy, że wsiadłam do autobusu do Wariatkowa. Czy byłbyś tak uprzejmy, żeby podrzucić mnie do najbliższego szpitala? Dalej już sama się sobą zajmę. Na pewno ktoś mnie podwiezie z powrotem, kiedy będzie po wszystkim. Miło, że mi pomagasz, ale...

Milknę, kiedy zauważam, że Reed się uśmiecha, jakbym robiła sobie żarty.

– Genevieve, wszystko się zagoi bez żadnej pomocy. Zaufaj mi – mówi Reed.

Wciąż jedziemy ulicami miasta.

– Zaufać ci!? Czy to nie ty próbowałeś dziś rano wygonić mnie z miasta? – Krzyżuję ramiona na piersi, marszczę brwi i spoglądam na Reeda.

Śmieje się. Mam ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć, poddać się pragnieniu, które odczuwam od chwili, kiedy wsiadłam do samochodu, żeby jeszcze raz oprzeć głowę na jego ramieniu. Muszę pobudzać w sobie złość, żeby się nie skompromitować, bo zaczynam mu ufać, co jest przecież totalnym absurdem, jeśli wziąć pod uwagę nasze dotychczasowe relacje.

– Dlaczego uważasz, że dam radę wyleczyć się bez żadnej pomocy, i to w tak krótkim czasie? Jestem jakimś mutantem czy czymś takim? – pytam, nie mając już pewności, czy Reed jest rzeczywiście szalony.

Spoglądam ukradkiem na opuszek swojego palca i nie potrafię znaleźć śladu po tym, jak się zacięłam – i to dwukrotnie.

Reed nie odpowiada, tylko wjeżdża na długi, wymuskany podjazd. Stoimy przed domem. No cóż, nie wiem, czy słowo dom jest właściwym określeniem tej budowli. Przypomina raczej starą rezydencję, która została poddana gruntownej renowacji. Jest bardzo wyrafinowana i elegancka. Właściwie gdyby za chwilę powitało nas w drzwiach małe lwiątko, nie byłabym zaskoczona.

– To twój dom? – pytam Reeda oszołomiona.

– Tak – potwierdza, objeżdżając wybrukowany kolisty podjazd. Parkuje dokładnie naprzeciwko wspaniałych drewnianych drzwi dwuskrzydłowych. Zauważyłam, że nie powiedział o nim: dom rodziców, twierdzi, że to jego własny.

Pytam więc:

– Mieszkaś tu sam?

– Mam kucharza o imieniu Andre i gospodynię o imieniu Greta. Mieszkają w części gościnniej, w południowym skrzydle posiadłości, ale to jedyni lokatorzy.

Wylacza silnik i wysiada z samochodu, po czym podchodzi do drzwi od mojej strony. Bez słowa nachyla się nade mną i odpina mój pas. Nie kontroluję już łaskotania w brzuchu. Jestem niemal zadowolona, że ból w kolanie odwraca moją uwagę od tych doznań.

– Muszę wsunąć ramię pod twoje uda, więc nie napinaj kolana, kiedy cię podniosę – mówi Reed. Kiwam głową, czuję, że moja twarz czerwieni się niemal natychmiast. – Obejmij mnie ręką za ramię – wydaje polecenie, pochyla się do wnętrza auta i wyciąga mnie.

Krzywię się, bo ruch kolana wywołuje rozdzierający ból w całej nodze. Opuszczam głowę na jego ramię, miałam ochotę to zrobić przez całą drogę samochodem. On cię nawet nie lubi – strofuję samą siebie. – Wściekła... musisz pozostać wściekła.

Kiedy Reed niesie mnie do domu, mój wzrok zatrzymuje się na jego sportowym samochodzie.

– Co to za model? – pytam uszczypliwie.

– Audi R-8. A co, nie podoba ci się? – odpowiada tonem, w którym można wyczuć rozbawienie.

– Zastanawiałam się po prostu, dlaczego ktoś z Michigan nie może używać samochodu wyprodukowanego w tym stanie^[5] – mówię, jakbym była przedstawicielką związku zawodowego pracowników przemysłu motoryzacyjnego.

– Genevieve, to nie jest samochód, to poruszające się dzieło sztuki. Jeśli poprawi ci to samopoczucie... Mam kilka samochodów, które częściowo wyprodukowano w Detroit. Jeśli zechcesz, mogę ci je potem pokazać – odpowiada.

– Och – pryham, nie mogąc wymyślić nic lepszego. – Może, jeśli starczy czasu.

Drzwi wejściowe nie są zaryglowane. Biorę głęboki wdech, kiedy wchodzimy do środka. Natychmiast widzę, że Reed nie jest typowym przykładem kawalera, który ma u siebie starą sofę zabraną z domu mamy i taty oraz niski stolik z wyblakłymi śladami po kubkach, które stawia się bez podkładek. Wręcz przeciwnie, wygląda na to, że do urządzenia domu wynajął doświadczony projektanta. Wnętrze jest utrzymane w stylu modernistycznym i nowoczesnym, jednak pozbawionym chłodu, z którym mogłyby się kojarzyć te nurty.

Salon na oficjalne przyjęcia, po lewej stronie od wejścia, jest lustrzanym odbiciem jadalni, znajdującej się po prawej. Moją uwagę przyciągają wielkie szerokie schody. Wzrok sięga aż do podestu na drugim piętrze. Mijamy je jednak i wchodzimy w długi korytarz, prowadzący w głąb domu. Szybko przechodzimy obok czegoś, co wydaje mi się łazienką, ale równie dobrze może być salonem bilardowym. Skręcamy w lewo i znajdujemy się w pokoju, który musi być biblioteką.

Reed umieszcza mnie na skórzanej kanapie stojącej na środku pokoju, a kiedy siada obok, przy moim kolanie, i zaczyna je badać, ja bezwstydnie uczę się na pamięć jego profilu. Staram się nie wzdygać, kiedy delikatnie dotyka palcami mojej nogi. Kolano spuchło do rozmiarów dwukrotnie większych niż normalnie i nabrało okropnego sinego koloru.

– Goi się – zapewnia mnie. – Jest o wiele mocniejsze niż przedtem. Chciałbym, żebyś trochę wyprostowała nogę, ale żeby w dalszym ciągu była lekko zgięta, o tak. – Układa moją nogę na kanapie. – Trzeba ją lekko unieść – mówi i wsuwa mi pod nią jedną z miękkich poduszek zdobiących kanapę. – Przyniosę trochę lodu, żeby zmniejszyć opuchliznę, ale najpierw powinnaś wziąć coś przeciwbólowego.

– Och, wspaniale, może masz jakąś morfinę albo coś pochodnego, bo bardzo by mi się przydało? – żartuję.

Reed podchodzi do baru na tyłach pokoju i wybiera szklaną karafkę z jakimś ciemnym płynem. Nalewa go trochę do dwóch kieliszków i wraca.

– To nie jest morfina, ale powinno złagodzić ból w kolanie – mówi.

Wręcza mi pękaty kieliszek z brandy. Chyba, bo szczerze mówiąc, nigdy takiego alkoholu nie piłam.

– To brandy?

– Koniak. – Przygląda mi się uważnie.

– Och, a to jakaś różnica?

– Tak. – Uśmiecha się. – Wypij, i już – dodaje.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że teraz właśnie przyczyniasz się do wzrostu przestępczości wśród nieletnich?

– No cóż, zaryzykuję i wezmę na siebie winę za to wykroczenie, bo nie mam pod ręką morfiny – odpowiada z uśmiechem. – Wypij, Genevieve. Poczujesz się lepiej.

– Reed, powiedziałeś żart! Ja chyba umieram, skoro postanowiłeś mnie rozśmieszyć. – Wącham kieliszek. Pachnie jednocześnie ostro i słodko. Upijam mały łyżeczek i czuję, jak płyn wypala sobie drogę przez moje gardło. Kaszlę lekko, ale w sumie można powiedzieć, że udaje mi się przeżyć pierwszy w życiu łyk koniaku.

– Mmm... koniak... mój ulubiony – mówię z lekką chrypką.

Reed kręci głową.

– Przyniosę trochę lodu. Zaraz wracam.

Skoro nie ma wiszącego nade mną Reeda, mam szansę rozejrzeć się po otoczeniu. Moim marzeniem byłoby zaprojektować taki pokój, gdybym tylko miała okazję. Gdziekolwiek spojrzeć, wzdłuż wszystkich ścian stoją półki na książki, od podłogi do sufitu, nieregularnie poprzedzielane równie dużymi oknami. Nade mną znajduję się urocza, mała galeryjka, na którą prowadzą umieszczone w kącie pokoju eleganckie spiralne schody z żeliwnymi poręczami. Miałabym ochotę wstać z kanapy i pobuszować po wszystkich półkach. Chciałabym przyjrzeć się ich niezwyklej zawartości.

Przy jednej ze ścian znajduje się duży kominek z szeroką półką. W całym pokoju rozstawiono kilka wygodnych foteli, umożliwiających podziwianie przestrzeni z różnych punktów. Jest tu także eleganckie biurko. Pokój ozdobiono licznymi znakomitymi dziełami sztuki, tak że gdziekolwiek się spojrzy, wzrok pada na obiekty rzadkiej urody.

Kiedy tak przyglądam się wyrafinowanym rzeźbom rozstawionym na stolikach i ślicznym dywanom, uświadamiam sobie coś istotnego. W pokoju nie ma żadnych przedmiotów osobistych, żadnych zdjęć mówiących na przykład: „Oto moja rodzina, tak jestem z nich dumny” albo „To ja na wieży Eiffla, słodkie, nie?”, albo „Uwierzyłybyś, że wspiąłem się na Mount Everest w towarzystwie zaledwie dwudziestu szerpów?”. Albo może „Oto zdjęcie mojej dziewczyny. Niezła z niej sztuka”.

Sączę swojego drinka i myślę, jakie to dziwne. W małym pokoiku w akademiku mam kilka zdjęć swoich i wujka Jima, jedno pokazujące moją najlepszą przyjaciółkę Molly i jej braci, a także kilka fotografii kolegów z liceum, z którymi trzymałam się blisko.

Czuję, że Reed wraca, bo łaskotanie w brzuchu się nasila. Wołam do niego przekornie:

– O, idzie mój łód. Najwyższa pora! Tak trudno w dzisiejszych czasach o dobrą służbę.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Wchodzi do pokoju i zbliża się do kanapy.

Kładzie mi na kolanie mały woreczek z lodem. Potem podchodzi do krzesła, na którego podłokietniku wisi koc. Bierze go i rozkłada na moich nogach.

– Dziękuję – mówię zaskoczona jego troskliwością. – Piękny ten pokój.

Podążam oczami za Reedem, który siada w jednym z foteli stojących blisko kanapy. Gospodarz domu wciąż ma na sobie strój do treningu lacrosse. Jego ubiór nie pasuje do pomieszczenia, w którym siedzimy, i do picia koniaku z delikatnego kieliszka. Ta sprzeczność przykuwa moją uwagę do tego stopnia, że dopiero po chwili mogę mówić dalej.

– Właśnie myślałam, że gdybym kiedyś potrafiła stworzyć dla siebie idealną przestrzeń, wyglądałaby mniej więcej tak. Umieram z ciekawości, jakie książki stoją na tych półkach. Zastanawiałam się, czy jesteś miłośnikiem literatury faktu, klasycznej powieści, a może science fiction albo... poezji.

– Naprawdę? – pyta Reed rozbawionym tonem, a uniesione brwi dodają jeszcze urody jego idealnej twarzy. – No cóż, za chwilę będziesz mogła sprawdzić: kiedy twoje kolano się wygoi, podejdiesz i sama obejrzysz książki. Nie chcę zepsuć efektu i ci o nich opowiadać.

Nie reaguję na ten tekst o kolanie.

– No jasne, budujemy dalej napięcie – mamroczę i upijam kolejny łyk koniaku.

– Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem cię wieczorem w hali sportowej – mówi Reed. – Nie wiedziałem, że grasz w hokeja na trawie.

– No bo tak naprawdę nie gram... To znaczy nie grałam aż do dziś. Dwie dziewczyny z akademika zaprosiły mnie, żebym przyszła wieczorem na trening. Miałam sprawdzić, czy będę chciała przyłączyć się do drużyny. Zabawnie o tym opowiadały, więc poszłam. Pewnie powinnam pomyśleć o pożyczeniu ochraniaczy na kolana, a nie tylko stroju, ale nie sądziłam, że to będzie wyglądało jak na meczach zawodowej ligi hokejowej – wyjaśniam, odpowiadając na jego słowa.

– Kim są twoje koleżanki? Te, które cię zaprosiły, żebyś się przyłączyła do drużyny? – Reed wypija łyk koniaku.

– Buns i Brownie. Mieszkają na moim piętrze. Ich prawdziwe imiona to chyba Christine i Kelly, ale wydaje mi się, że tu nikt nie używa swojego prawdziwego imienia. – Uśmiecham się.

– Znam Christine i Kelly. Zastanawiam się, dlaczego ty tak łatwo wpadasz w kłopoty. – Wpatruje się we mnie uważnie.

– Kolano to był przypadek... – zaczynam, ale Reed mi przerywa.

– Nie chodziło mi o trening hokeja. Myślę o twoich koleżankach. To one oznaczają kłopoty. Gdybyś dała ogłoszenie, i tak nie udałoby ci się znaleźć dwóch bardziej nieokielzanych dziewczyn – oświadcza kategorycznie, jakby w ogóle nie aprobował mojego doboru przyjaciół.

– Wiem, ale to jest wspaniałe! Zamierzam trzymać się z nimi, jak tylko będę już w stanie.

– Nie słyszałaś, co ci powiedziałem? One oznaczają kłopoty.

– Słyszałam i zrozumiałam, o co ci chodzi. Ale to są kłopoty związane z początkami relacji, a nie coś niebezpiecznego. Zdaję sobie sprawę z tej różnicy. Musimy się tylko trochę podocierać i wtedy zobaczymy, co z tego wyjdzie. Może dostanę parę mandatów, ale wezmę je na klatę, bo co mam do stracenia? – prowokuję Reeda, żeby się ze mną nie zgodził.

– Na przykład swoje stypendium – odpowiada spokojnie. – Możesz je bardzo łatwo stracić, jeśli złamiesz reguły.

– Może i tak, ale nie masz pojęcia, jak się ostatnio czułam.

Wypowiadam te słowa cicho i przyglądam się zawartości kieliszka, bo chcę patrzeć na coś innego niż mój rozmówca.

– Co masz na myśli? Jak się czułaś? – Pochyliła się w moją stronę, jakby naprawdę interesowała go odpowiedź.

Waham się. Reed rzeczywiście pomógł mi dziś wieczorem na boisku, ale nie wiem, o co mu chodzi. Czy to oznacza, że zawarliśmy pokój? Czy on i ja możemy się naprawdę przyjaźnić? Może zaczniemy się wzajemnie rozumieć, jeśli zapanuje między nami szczerłość? W mojej głowie kołaczą się myśli tego rodzaju.

– Czuję się zdesperowana, jakby mi się kończył czas. A właściwie jest jeszcze gorzej... jakby mi się kończyło powietrze. Te dziewczyny są dla mnie wytchnieniem, więc będę się ich trzymać – mówię wyzywająco. – Mam poczucie, że stoję na skraju czegoś wielkiego... potężnego, ale nie mam pojęcia, co to może być, co to dla mnie oznacza ani co mam zrobić. Krąży wokół mnie jakaś tajemnica, jestem nią omotana, nie widzę żadnego wyjścia.

Opuszczam wzrok, bo gdy patrzę w jego oczy, czuję się pusta i obnażona.

Kręcę kieliszkiem. Przyglądam się, jak koniak wiruje i jak po chwili burza, którą wywołałam w naczyniu, zmniejsza się, a w końcu całkiem ustaje. Spoglądam ponownie na Reeda i widzę, że mnie obserwuje. Czuję się jak idiotka, która powiedziała za dużo. Próbuję wypić jednym haustem resztę koniaku.

Przełykam płyn, a potem charczę i łapię oddech, czuję, jak alkoholowy ogień trawi mój przełyk, Reed wyjmuje mi kieliszek z ręki i zastępuje go szklanką wody. Szybki łyk sprawia, że mogę znów równomiernie oddychać.

– Chcę tylko powiedzieć, że mogłabyś się zastanowić nad poznaniem innych przyjaciół, którzy rzeczywiście interesują się zdobyciem wykształcenia. – Odchyła się na oparcie fotela.

– Mam też innych przyjaciół – wzdycham. – Mam Freddiego i mam Russella; w każdym razie mam Russella wtedy, kiedy nie panujesz nad nim za pomocą swojego głosu. Proszę cię, czy mógłbyś przestać to robić? Ma tutaj grać w futbol i chodzić na zajęcia. Nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się między tobą i mną.

– Więc myślisz, że on tu jest... żeby grać w futbol? – Reed cedzi powoli pytanie.

Marszczę czoło i kiwam głową.

– Genevieve, jakaś ty naiwna! Russell jest tutaj z jednego jedyne powodu: jest tutaj, bo ty go sprowadziłaś – stwierdza Reed z naciskiem i wstaje z fotela. Zaczyna nerwowo przemierzać pokój w tę i z powrotem.

– O czym ty mówisz? Poznałam Russella wczoraj w czasie spaceru. Jest tu przez całe lato na obozie treningowym drużyny futbolowej. Więc jak niby miałam go tu sprowadzić? – Moje pytanie brzmi całkiem logicznie.

– No, rzeczywiście, jak? – Reed rewanżuje się pytaniem, zadaje je obrażonym tonem, bawi się przy tym marmurowym posążkiem, który zdobi kunsztowny stolik.

– Reed, to, co mówisz, jest całkiem nieprawdopodobne. Musiałabym być... nie wiem... jakimś magnelem dla Russella, żeby to, o czym tu opowiadasz, nabrało sensu.

Zamierzam przytoczyć dalsze argumenty, ale milknę, kiedy z miejsca, w którym stoi Reed, dobiega mnie wstrząsający odgłos.

Mrugam. Z jego dłoni wypadają marmurowe okruchy. Reed zaczyna w milczeniu zgarniać połamane kawałki tego, co niedawno jeszcze było cudownie zaprojektowaną statuetką anioła, a teraz przypomina kupkę kredowego pyłu.

– Wiesz, Reed, ludzie nie bywają aż tak silni...

Przeszywa mnie ukłucie strachu. Odbieram to jako ostrzeżenie, muszę być ostrożna.

– Genevieve, jesteś bardzo sprytna – mówi Reed spokojnie, po czym odnosi resztki posągu do małego kosza na papiery stojącego przy biurku i otrzepuje nad nim ręce.

– Czy to było bardzo kosztowne? – pytam nieśmiało, próbuję się uspokoić.

– Prawdopodobnie. – Nie patrzy na mnie.

– I zamieniło się w pył – mówię. – Więc... – szukam jakiegoś bezpiecznego tematu do rozmowy – sądzisz, że jutro będzie padało?

Reed patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły i pyta:

– Będziemy teraz rozmawiać o pogodzie? Do tej pory byłaś dość odważna. Czemu się teraz boisz?

– Och, przepraszam cię, Reed. Po prostu szukałam jakiegoś bezpiecznego tematu, bo nie wiem, jaką właściwie postawę mam przyjąć, skoro się już zorientowałam, że jestem

Czerwonym Kapturkiem, a babcia ma cholernie ostre kły! – Piorunuję go wzrokiem. – Musisz przyznać, że raczej skąpisz mi informacji. Wygląda na to, że się mną bawisz... – Nie mogę dalej mówić, bo nie pozwala mi na to gula w gardle. Po kolejnym haście wody przelyk oczyszcza mi się na tyle, że mogę jeszcze coś dodać. – I jestem już zmęczona, Reed... Zmęczona tym, że się boję.

Reed milczy przez dłuższą chwilę, po czym mówi łagodnym głosem:

– Wtajemniczę cię w mały sekret: nie jesteś otoczona tajemnicą. To ty jesteś tajemnicą. – Podchodzi do kanapy i siada przy moim chorym kolanie. Kieruje oczy w stronę mojej twarzy. – Kiedy rozmawialiśmy dziś rano i powiedziałeś o sobie, że jesteś małą rybką, a ja miałbym być grubą rybą... Wiesz, ten opis raczej nie był precyzyjny.

– Nie był? – Czuję, jak dębieją mi włoski na karku.

– Nie, nie był. Dokładniejszy byłby opis, zgodnie z którym ja jestem rekinem – mówi, wpatrując się we mnie uważnie.

– Rozumiem. Ależ jestem głupia! – Mam złe przeczucia.

Moje usta są całkiem suche, więc znów upijam łyk wody, którą podał mi Reed. Czekam, aż strach opanuje mnie bez reszty, bo przecież takiego uczucia doznałaby każda racjonalnie zachowująca się osoba po stwierdzeniu, że została zamknięta w jednym pomieszczeniu z drapieżnikiem. Ale zamiast strachu czuję coś zupełnie innego, coś, co zdumiewa mnie swoją intensywnością: czuję się całkowicie, ostatecznie zdradzona.

– Więc po co to wszystko? – Wskazuję na siebie, przecież leżę na kanapie pod kocem, jego kocem. – Po co mi w ogóle dziś pomogłeś?

– Pytasz, dlaczego nie zaatakowałem, skoro jestem rekinem? – mówi Reed z nieprzenikniętą twarzą. Odsuwa koc, którym przykryte było moje kolano, i zabiera woreczek z lodem.

Nie patrzy na mnie, kiedy zadaję kolejne pytanie:

– Próbujesz zdecydować, co ze mną zrobić, prawda? Więc jak? Coś już postanowiłeś? Zdecydowałeś, że stanowią problem, który należy wyeliminować?

Dotyka delikatnie mojego kolana, ale nie chcę na nie patrzeć. Wolę skupić uwagę na Reedzie.

– Gdybym zdecydował, że powinnaś zostać wyeliminowana, już by cię nie było – mówi Reed zwięźle i marszczy czoło.

Wpatruję się w jego twarz i wiem, że mówi prawdę. W jakimś sensie stanowią dla niego zagrożenie. Obawia się mnie – i ta myśl sprawia, że chciałabym go pocieszyć, obiecać, że nigdy go nie skrzywdzę.

– A więc na razie, w tym konkretnym momencie, nie jestem dostatecznym zagrożeniem, żeby mnie wyeliminować? – Nie jestem zdolna, aby wypowiedzieć słowo „zabić” albo „zamordować”.

– Nie, na razie nie – odpowiada beznamiętnie.

Jego zielone oczy przyciągają mój wzrok. Przez chwilę myślę o tym, jak bardzo przypominają oczy kota. W tym świetle mają głęboki szmaragdowy kolor, a na dodatek są lekko po skosie uniesione – całkiem jak u drapieżników.

– Ale... – chcę dopowiedzieć to, czego Reed nie powiedział – możesz sobie wyobrazić scenariusz, w którym wyeliminowanie mnie będzie konieczne. Prawda? – Próbuję zachować czujność i nie dać się zwieść jego seksownemu wyglądowi. Muszę od niego wyciągnąć jakieś informacje.

– Tak – odpowiada bez wahania.

Słyszę wewnętrzny szept: Muszę chyba być jakimś strasznym potworem, bo nawet się nad tym nie zastanowił.

Po chwili wahania kontynuuję:

– Ale jeszcze tego nie zrobiłeś, więc mogę zakładać, że rozważasz też inny scenariusz, w którym wyeliminowanie mnie nie da ci żadnych korzyści.

Proszę, powiedz, że tak, proszę, powiedz, że tak, proszę, powiedz, że tak – modłę się po cichu. Czekam na jego odpowiedź, a serce wali mi w piersi jak młot.

– Tak – odpowiada łagodnym głosem, a ja czuję taką ulgę, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym niż o głębokich wdechach i wydechach.

– To dobrze: jest przynajmniej jeden argument za tym, że przetrwam – próbuję się zastanowić.

Zdenerwowana gryzę dolną wargę. Przychodzi mi do głowy pewna myśl i natychmiast ją wypowiadam, zamiast dać sobie szansę na ocenzurowanie własnych słów.

– Jeśli będziesz mnie musiał zabić, czy sprawi ci to przyjemność?

Reed, który cały czas badał moje kolano, zastyga bez ruchu, a ja czekam, żeby mi odpowiedział. Milczy jednak, a jego twarz wyraża napięcie i ból.

– Nie. – Marszczy czoło. – Nie przypuszczam, żebym czerpał przyjemność ze zrobienia ci krzywdy.

– To dobrze – oddycham z ulgą.

Po tych odpowiedziach czuję się lepiej, ale wciąż myślę o pewnej rzeczy, którą muszę na nim wymóc. Nie wiem, jak poprosić go o coś takiego. Nawet kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje się to kompletnym wariactwem, a wypowiedziane na głos zabrzmie pewnie jeszcze gorzej.

W końcu szepczę niepewnie:

– Gdyby argumenty za okazały się słabsze od argumentów przeciwko i... gdyby okazało się konieczne... wyeliminować mnie... mam jeszcze ostatnią prośbę.

Reed, siedzący obok mnie, znowu zastyga bez ruchu, ale się nie odzywa. Ciągnę więc dalej:

– Oto moja ostatnia prośba: zawiadom o mojej śmierci wujka Jima. Nie chodzi o to, żebyś mu wszystko powiedział. Ale zależy mi, żeby go w jakiś sposób poinformować, że nie żyję,

żeby nie poświęcił reszty swoich dni na moje poszukiwania. Nie chciałabym tego. Jest dla mnie naprawdę dobry, więc czy będziesz mógł to dla mnie zrobić...? Proszę...

Muszę go zmusić, żeby mi obiecał. Potrzebuję tego jak powietrza. Jeśli tylko powie „tak”, wszystko będzie w porządku. Wtedy będzie chodziło już wyłącznie o mnie, a ja sobie poradzę, zniosę to, co się ze mną stanie.

– Proszę, Reed, obiecaj mi – szepczę.

– Obiecuję – odpowiada krótko.

Nie patrzy teraz na mnie. Jego twarz jest zwrócona do mnie profilem, widzę, że ma zaciśnięte szczęki. Wyciągam rękę i dotykam jego policzka. Chcę mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale wiem, że to zabrzmie śmiesznie, jeśli wziąć pod uwagę złożoną przed chwilą obietnicę.

– Dziękuję – mówię po prostu.

Trzymam dłoń na jego policzku. Reed siedzi nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Ma ciepłą skórę, znacznie cieplejszą, niż się spodziewałam. Im dłużej trzymam tak rękę, tym bardziej się o niego martwię.

Czy on ma gorączkę? – zastanawiam się i przesuwam dłoń na jego czoło.

Próbuję ustalić, czy Reedowi coś dolega. Na oko wszystko z nim jest w porządku, ale ta temperatura nie wydaje się normalna. Reed uśmiecha się mimowolnie, kiedy przysuwam się bliżej niego i dotykam jego czoła wewnętrzną stroną nadgarstka. Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu przysuwa mój przegub do swoich ust i delikatnie go całuje. Potem łagodnie go opuszcza, trzymając moją rękę w swojej.

– Jestem zdrowy i ty też – mówi, wskazując drugą ręką moje kolano, które zgięłam, kiedy przysuwałam się do niego.

Nie zwracam uwagi na kolano i mówię:

– Ale jesteś taki gorący...

– Dziękuję – odpowiada żartem.

– Nie to miałam na myśli – wyjaśniam.

– Wiem, co miałaś na myśli. Spróbujmy postawić cię na nogi – mówi.

Sięga po moją drugą rękę i przy niewielkiej pomocy stawia mnie na zdrowej nodze. Lekko obciążam zranione kolano. Nic mnie nie boli. Zwiększam obciążenie, potem jeszcze trochę, przygotowana, żeby się wycofać, kiedy poczuję ból. Ale nie czuję już bólu, nawet gdy przenoszę na niego cały swój ciężar.

Próbuję zrobić krok. Reed puszcza moją rękę, żebyśmy mogła swobodnie się poruszać. Kolano mam trochę sztywne, ale poza tym wszystko z nim w porządku. Sprawdzam, jak wygląda z wierzchu, i widzę lekkie zaczerwienienie nad rzepką. Generalnie sprawuje się jak nowe.

Czuję, jak ogarnia mnie panika. Chowam twarz w dłoniach. Jestem jakąś bestią! Nie załamuj się tutaj – możesz się załamać później...

Wymuszam uśmiech i opuszczam rękę. Widzę, że Reed stoi parę metrów ode mnie i uważnie mnie obserwuje. Zastanawiam się, co mogłabym powiedzieć tak na poczekaniu, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to słowa:

– Niesamowite... Czekam niecierpliwie, aż na czole wyrośnie mi trzecie oko.

Nie jestem pewna, czy go nabrałam, ale po chwili Reed odpowiada:

– Chyba mam tu gdzieś bandaż. Pójdę poszukać i owiniemy ci kolano. Będziesz musiała trochę kuśtykać przez parę dni. Dasz radę? – pyta.

– No pewnie – odpowiadam, podchodząc sztywno do jednego z regałów z książkami, który stoi przy tylnej ścianie pokoju.

Zdejmuję jakąś książkę z półki, ale nie potrafię przeczytać tytułu, bo oczy mam pełne łez. Staram się je ze wszystkich sił powstrzymać, przynajmniej do czasu, aż Reed wyjdzie z pokoju. A potem przytrzymuję się jedną ręką półki, lekko pochylam się w pasie i przyciskam do piersi książkę oprawioną w skórę. Łzy skapują mi z oczu, a ja ocieram je zewnętrzną stroną dłoni.

Robię kilka głębokich wdechów i udaje mi się względnie uspokoić, ale wciąż muszę walczyć z emocjami. Wiem, że najdrobniejsza rzecz może mnie znowu wytrącić z równowagi. Czuję, że Reed zbliża się do biblioteki, więc jeszcze raz ocieram dłonią łzy z twarzy i prostuję się. Otwieram księgę, którą trzymam w ręku, ale nie jestem w stanie przeczytać ani litery, bo jest to tekst napisany po chińsku.

Kiedy Reed wchodzi do pokoju, na wszelki wypadek trzymam głowę opuszczoną i próbuję się normalnie zachowywać.

– Co to jest? – rzucam przez ramię, podnoszę jednocześnie książkę, żeby Reed mógł ją rozpoznać. Czuję dumę, że głos mi się nie załamuje ani nie brzmi zbyt słabo.

– To wybór tekstów Sun Tzu i Sun Pina. – Podchodzi do mnie od tyłu.

Zamykam książkę i odstawiam ją na półkę w miejsce, z którego ją wzięłam. Podchodzę sztywno do innego regału, bardziej oddalonego od Reeda, wciąż odwracam się do niego tyłem. Wybieram niewielką książkę oprawioną w brązową skórę. Czytam tytuł: *Niebo i ziemia* lorda Byrona.

– Ależ masz kolekcję! Czy to pierwsze wydanie? – pytam z niedowierzaniem, czytając stronę tytułową i wodząc palcami po wytłaczanym papierze.

– Tak, ale nie podobała mi się ta sztuka – przyznaje.

Tyle tu książek, które chciałabym przeczytać. – Przeciągam palcami po grzbietach. – Zresztą kogo ja próbuję oszukać? O ile sprawy będą biegły w dotychczasowym tempie, będę mogła mówić o szczęściu, jeśli zdążę przeczytać jakiś komiks.

W tym momencie zaczynam odczuwać lekki, dobrze znany ból, ten sam, który pojawia się za każdym razem, kiedy zdarza mi się myśleć o rodzicach. To smutek. Już nigdy nie będzie tak samo jak przedtem – myślę ponuro. – Od tego momentu jestem już kimś innym. Otrzymałam dowód, że nie jestem normalna. To dzieje się naprawdę... – Tracę ostrość widzenia, rozpaczliwie usiłuję powstrzymać drżenie rąk.

– Genevieve? – odzywa się Reed, ale nie jestem już w stanie mu odpowiedzieć.

Tracę kontrolę nad swoimi emocjami. Odgłosy szlochu, które z siebie wydaję, są dla mnie równie obce jak prawdopodobnie dla niego. Nie mogę się jednak powstrzymać. Chwilę później Reed podnosi mnie i niesie na kanapę, na której spędziłam większą część wieczoru.

Sadza mnie sobie na kolanach, a ja chowam twarz w jego szyi i wybucham niepohamowanym płaczem. Reed głaszcze mnie po głowie, próbuje mnie uspokoić, ale skutek jest taki, że mój szloch jeszcze się nasila. Siedzimy tak razem przez długi czas, aż w końcu się uspokajam. Pociągam kilka razy nosem i próbuję zsunąć się z kolan Reeda. Jestem całkowicie zawstydzona faktem, że nie umiem trzymać swoich uczuć na wodzy.

Reed przytrzymuje mnie.

– Lepiej się czujesz?

Kiwam z trudem głową, ale nic nie mówię. Przyciąga do siebie koc, którym przedtem byłam przykryta, i używa go do otarcia moich łez. Przez chwilę trzyma mnie w objęciach, a potem osuwa się na kolana i klęka przy moich stopach. Wyciąga z kieszeni bandaż i zaczyna delikatnie owijać moje kolano. Ja w tym czasie siedzę bezwładnie na kanapie. Kiedy kończy, zabezpiecza końce dwoma klipsami, a potem siada w milczeniu obok mnie.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co tu chodzi? – pytam cichym głosem, który nawet dla mnie brzmi jak prośba. – Naprawdę muszę wiedzieć.

Jego wzrok wyraża przez chwilę niezdecydowanie.

– A co, jeśli ci powiem, że toczy się wojna, a ja jestem żołnierzem, który bierze w niej udział? – Patrzę na niego zmrużonymi oczami i próbuję zrozumieć te słowa. – Jako żołnierz jestem skoncentrowany na tym, żeby niszczyć wrogów, gdziekolwiek i kiedykolwiek ich spotkam – ciągnie dalej, a ja staram się nie zwracać uwagi na strach, którym napęłniają mnie jego słowa. – Ale natknąłem się na coś nowego, coś, czego wcześniej nigdy nie widziałem. Nie wiem, czy to wróg, czy jedynie broń mojego wroga, a może... może to coś jest po naszej stronie? Jeśli pomogę mojemu przeciwnikowi, wezmą mnie za zdrajcę, jeśli jednak okaże się, że nie potrafiłem obronić sprzymierzeńca, to...

Nie kończy zdania.

Czuję się, jakbym była całkiem ogłuszona. Myśli przelatują mi przez głowę... Wojna? Jaka wojna? Jego wróg? Jeśli on ma wrogów, to znaczy, że istnieje coś bardziej przerażającego niż on i to coś też może chcieć mnie zabić.

– Powinienem odwieźć cię teraz do akademika, Genevieve. Wyglądasz na bardzo zmęczoną. A może wolisz spać tutaj? Mam sporo pokoi, możesz sobie któryś wybrać – proponuje, ale kręcę głową.

– Nie, odwieź mnie, proszę, do „Yeatsa” – mówię zachrypniętym głosem.

Reed potakuje i wstaje. Wyciąga do mnie rękę, chwytam ją i pozwalam, żeby poprowadził mnie przez pokój. Kiedy idziemy do wyjścia, Reed zapala światła, bo na dworze jest już ciemno. Podchodzimy do jego samochodu, otwiera mi drzwi, a ja wślizguję się na miejsce

pasażera. Staram się na niego nie patrzeć. Zapinam pas, Reed siada na fotelu kierowcy i uruchamia silnik.

Wracamy na kampus. Przez całą drogę nie odzywam się ani słowem, wolę wpatrywać się w gwiazdy widoczne przez okno. Czuję, że Reed mi się przygląda, ale wciąż nie mogę się zdobyć na odwagę, żeby na niego spojrzeć. Wjeżdżamy na parking przy „Yeatsie”, a on zatrzymuje auto przy tylnym wejściu. Próbuję otworzyć drzwi i wysiąść, ale są zablokowane, a ja nie wiem, gdzie jest przycisk, którym można je odblokować.

Głupie importowane samochody!, myślę niezyczliwie.

– Genevieve, zanim sobie pójdziesz, musisz mi powiedzieć, o czym myślisz. – Reed patrzy, jak szamoczę się z klamką, przez którą nie mogę uciec. – Od wyjścia z mojego domu nie wypowiedziałas ani słowa, a to jest chyba niezgodne z twoją naturą.

– Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że jestem gadatliwa?

– Nie, po prostu chciałbym wiedzieć, o czym myślisz – nalega spokojnym tonem, nie wykonuje też żadnego ruchu, żeby mnie wypuścić z samochodu.

– Dlaczego? Martwisz się o mnie? – pytam i nadal poszukuję przycisku, który zwolniłby mechanizm blokujący drzwi.

Reed nie odpowiada. Wciąż tkwię zamknięta, więc odzywam się z narastającą frustracją:

– Proszę bardzo! Myślałam o czymś, co powiedziałeś wcześniej, o tym, że jestem odpowiedzialna za sprowadzenie Russella. Tak jakbym była dla niego magnesem czy czymś takim. – Reed sztywnieje, kiedy wymieniam to imię, ale ja ciągnę dalej oskarżycielskim tonem. – No więc myślałam, że skoro to ja jestem odpowiedzialna za jego pobyt tutaj, może ktoś inny odpowiada za mój przyjazd.

– Co masz na myśli? – pyta powoli.

– Nie wiem, Reed, ale za każdym razem, kiedy jesteś blisko mnie, mam takie przedziwne uczucie, jakąś lekkość... tutaj – mówię, wskazując swój brzuch. – To poczucie i fakt, że mam ochotę rzucić się na ciebie za każdym razem, gdy jesteś blisko mnie, wskazuje, że może to ty jesteś odpowiedzialny za mój pobyt tutaj! A teraz wypuść mnie z tego samochodu, zanim umrę ze wstydu – żądam i znów pociągam za klamkę z nadzieją, że w magiczny sposób drzwi otworzą się same.

– Nie można umrzeć ze wstydu – mówi Reed z uśmiechem triumfu na ustach.

– Reed! – wrzeszczę, a kiedy słyszę kliknięcie automatycznego zamka, w jednej chwili wyskakuję z samochodu.

Rozdział 7

Historia sztuki

Nie mam kluczy, żeby dostać się do akademika. Wszystko, co wzięłam ze sobą na trening hokejowy, zostawiłam na boisku. Podchodzę do frontowych drzwi i stwierdzam, że są

zamknięte. Oczywiście, jest już prawie północ. Zaczynam sobie uświadamiać, jak dużo czasu spędziłam w domu Reeda. Lokalizuję okno, które – jak mi się wydaje – powinno należeć do pokoju Buns i szukam na ziemi paru kamyków, którymi mogłabym w nie rzucić.

Czuję ulgę, kiedy po pierwszym trafieniu kamykiem dziewczyna pojawia się w oknie.

– Evie! – piszczy. – Już schodzę, skarbie, nie ruszaj się!

Znika, ale po niecałej minucie obie z Brownie wybiegają zza podwójnych drzwi wejściowych, które się za nimi zatraskują. Zanim udaje mi się zwrócić ich uwagę na ten fakt, obejmują mnie obie w mocnym uścisku.

– Wszystko w porządku, skarbie? Tak się o ciebie martwiłyśmy. Jak kolano? Tamera jest tak strasznie niekoleżeńska; zrobiła to absolutnie celowo. Co powiedział lekarz? Możesz chodzić? Będiesz mogła grać? – Buns i Brownie zalewają mnie potokiem słów.

– Wszystko jest okej. Muszę tylko oszczędzać kolano przez kilka dni, a potem powinno być jak nowe. Patrzcie, mogę już normalnie chodzić – mówię i gdy tylko wypuszczają mnie z objęć, w których mnie więziły, lekko utykam przed nimi na pokaz. – Czy jak wyzdrowieję, będę mogła grać? – pytam z nadzieją w głosie.

Gdybym mogła grać w hokeja na trawie, każdego dnia miałabym przynajmniej o godzinę mniej na zastanawianie się, kim właściwie jestem i co czeka mnie w przyszłości.

– Oczywiście! To cudownie, że będziesz w naszym zespole! W tym roku zmiążdżymy drużynę bractwa Kappa. – Brownie aż podskakuje, a jej platynowe włosy lśnią w świetle księżyca.

– Ej, Brownie, przecież zmiążdżyłyśmy Kappę już w zeszłym roku. Są do kitu!

– Wiem, ale w tym roku to już totalnie, totalnie je zmiążdżymy!

– O tak, musi się udać, to brzmi wspaniale! – zgadzam się z nimi. Chyba daję się ponieść ich entuzjazmowi, ale w którejś chwili nie mogę już opanować ziewania.

Buns zauważa to, zanim udaje mi się zakryć usta ręką.

– Evie, przepraszam cię – wydaje z siebie okrzyk troski. – Trzymamy cię tu w środku nocy, po tym jak spędziłaś kilka godzin w szpitalu, skazana na Reeda. Zanudzał cię na śmierć w poczekalni? Mam nadzieję, że przynajmniej mają tam jakieś żurnale z modą – mówi Buns, podchodząc do drzwi i otwierając je kluczem, wetkniętym za kamienną ławkę.

– O, tak, tam, gdzie siedzieliśmy, było dużo do czytania. Dzięki – mamroczę i czuję wyrzuty sumienia, kiedy dziewczyny podchodzą do mnie z obu stron, żeby pomóc mi dokuśtykać do szczytu schodów.

Szybko dochodzę do wniosku, że poczucie winy jest lepsze niż konieczność wyjawienia im prawdy o moich wyjątkowych zdolnościach do gojenia się ran. Kiedy docieramy do ich pokoju, czekam przy drzwiach, aż Brownie przyniesie mi moją torbę i klucze.

Raz jeszcze dziękuję obu dziewczynom za pomoc i ruszam do swojego pokoju, ale Buns zatrzymuje mnie i mówi:

– A, Evie, przy okazji, zostawiłyśmy coś dla ciebie w twoim pokoju. Daj nam znać, gdybyś chciała się tego pozbyć. – Puszczają do mnie oko.

– A co to takiego? – pytam, ale Buns tylko się uśmiecha, wraca do siebie i zamyka drzwi.

Po drodze zatrzymuję się w łazience, a potem wlekę się korytarzem. Otwieram kluczem drzwi do pokoju. Wewnątrz jest prawie całkowicie ciemno; jedyne światło pochodzi z lampki stojącej na biurku, w kącie, po przekątnej od mojego łóżka. Lampka oświetla znajdujące się tuż pod nią płowe włosy.

Russell usnął przy moim biurku. Jego masywne ciało jest zgięte, głowa spoczywa na ramionach. Opieram się o framugę drzwi i przyglądam mu się przez kilka chwil. Musiał być bardzo zaniepokojony, skoro zaryzykował, że zostanie przyłapany w moim pokoju. Kiedy spoglądam na jego przystojną twarz, czuję wyrzuty sumienia. Biedny Russell, znów próbował mnie ratować, ale musiał ustąpić przed przeważającymi siłami.

Zamykam drzwi i zrzucam z nóg buty, wypatruję u Russella oznak przebudzenia. Potem zdejmuję z siebie brudny strój treningowy i zakładam czystą koszulkę oraz bokserki, które stanowią dół od piżamy. Za pomocą szczotki rozczesuję splątane podczas treningu włosy, a potem zbieram je wysoko na głowie w duży koński ogon. Myję zęby i twarz. Wciąż spoglądam na Russella, który w ogóle się nie porusza.

Przechodzę przez pokój do biurka, kładę mu dłoń na włosach i delikatnie odsuwam je z jego twarzy. Niektóre kosmyki zakładam mu za ucho. Uśmiecha się przez sen. Wygląda tak słodko, że sama też zaczynam się uśmiechać.

– Russell... Russ – szepczę mu do ucha, oparta jedną ręką na jego ramieniu.

– Evie? – pyta półprzytomny, unosi głowę nad blat biurka i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Hej – mówię łagodnie. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz okropnie. Co ty sobie wyobrażasz, że się tu do mnie zakradasz? Chcesz stracić stypendium? – napominam go delikatnie.

Nie odpowiada, tylko przyciąga mnie, sadza sobie na kolanach i mocno obejmuje. Opieram głowę na jego ramieniu i mówię:

– Ze mną wszystko okej, kolano za kilka dni powinno być zdrowe.

Cieszę się, że nie widzi mojej twarzy. Nienawidzę go okłamywać, bo po tym wszystkim, przez co przeszliśmy razem, brzmi to jak zdrada. Ale co by było, gdyby odkrył prawdę? Przede wszystkim wplątałby się jeszcze bardziej w cały ten bałagan, w którym tkwię, a nie chcę do tego dopuścić. Widzę to teraz z całą ostrością.

– Evie, dowadywałem się o ciebie w szpitalu w Crestwood. Dokąd on cię zabrał? – pyta Russell spokojnym tonem.

Blednę i uświadamiam sobie, że muszę wymyślić jakieś kłamstwo, które zatuszuje tę wpadkę i będzie nie do sprawdzenia.

– Reed uważa, że tutejszy szpital jest mało skuteczny, więc zawiózł mnie do jakiegoś specjalisty koło Ann Arbor. Dlatego to tyle trwało. Przykro mi, że się martwiłeś. Nie miałam przy sobie telefonu, zostawiłam go na boisku – mówię nieprzekonująco i czuję się jak potwór, którym zresztą niewątpliwie jestem.

– Naprawdę? A jak się nazywa ten lekarz? – pyta Russell podejrzliwie.

– Nie pamiętam. Reed mnie zapisywał. Nazwisko na pewno będzie na słonym rachunku, który mój wujek dostanie pocztą za kilka tygodni.

Nie ma żadnych wątpliwości: pójdę prosto do piekła. Wzdycham.

– Przykro mi, że Reed znów dopadł cię tym swoim głosem. Prosiłam go, żeby tego nigdy więcej nie robił.

– Evie? – zagaduje mnie.

– Tak?

– Naprawdę kiepsko kłamiesz – mówi, a jego frustrację słyszę w tonie głosu.

– Wiem, ale nie znam innego sposobu, żeby cię chronić – odpowiadam zmęczona. Wstaję z jego kolan i podchodzę do budzika. – Nastawiam na piątą, żebyś mógł się stąd wymknąć, zanim wstanie administratorka. Jediną osobą, z którą kiedykolwiek spałam, jest moja najlepsza przyjaciółka Molly. Nigdy się nie skarżyła, żebym chrapała, ale jeśli mi się zdarzy, zachowaj tę wiadomość dla siebie. I bez żadnych figli. Kiedy mówię o spaniu, mam na myśli spanie – informuję go, podchodzę do łóżka i odsuwam koc.

Jestem tak zmęczona, że aż kręci mi się od tego w głowie.

– Czy mogę zdjąć koszulę? – pyta Reed, stojąc za mną.

– No... pewnie – odpowiadam.

Nie patrzę na niego. To zapewne zły pomysł, ale nie mam już sił na nic, poza wślizgnięciem się na pojedyncze łóżko. Potem gaśnie lampa na biurku i łóżko się ugina, kiedy Russell kładzie się obok mnie.

Łóżko jest dla niego za małe; nogi zwisają mu na zewnątrz. Jest tak duży, że nie mamy jak się ułożyć, żeby się nie dotykać. Najlepszy sposób to odwrócić się do niego przodem i położyć głowę na jego piersi, tak żeby mógł trzymać ramiona płasko na materacu.

– Ale powiedz, w twoim pokoju wstawili ci większe łóżko, prawda? Z tego zwisają ci nogi – mruczę, gdy zasypiam.

– Mhm – potwierdza. Słyszę, że też jest całkiem wykończony. – Zmierzyli mnie i zrobili łóżko na miarę.

– To miłe – udaje mi się jeszcze powiedzieć.

– Evie, co się wydarzyło dziś wieczorem?

– Mhm... sen... mój ulubiony – odpowiadam.

Następną rzeczą, którą słyszę, jest dzwonek budzika o piątej rano. Leżę na boku odwrócona plecami do Russella, który ciasno obejmuje mnie ramionami. Cofa jedną rękę i wyłącza nią budzik, potem jego ramię wraca i spoczywa na moim biodrze. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale jest już dość porannego światła, żeby dało się przy nim coś zobaczyć.

– Potrzebuję jeszcze snu – szepczę. – Oj, moje włosy są wszędzie... Muszę je któregoś dnia po prostu obciąć – mówię przymulona. Próbuję usiąść, ale przekonuję się, że moje włosy są uwięzione pod ramieniem Russella.

– Ani się waż, Ruda – odpowiada szeptem przerażony Russell i uwalnia przygniecione ręką pasma. – Jeśli to zrobisz, nigdy ci nie daruję.

– Co, wtedy byś już mnie nie chciał znać? – szepczę i siadam na łóżku. Przecieram oczy.

– Tak daleko bym się nie posunął... Po prostu nie rób tego. – Przygląda mi się, oparty na jednym łokciu. – A może byśmy opuścili dzisiejsze zajęcia? Pierwszego dnia i tak nigdy niczego nie uczą. Wiem, że chcesz jeszcze pospać – mówi zachęcająco i klepie ręką miejsce, w którym przed chwilą leżałam przytulona do niego.

– Russellu Marx! Niczego nie będziemy opuszczać! I tak musisz stąd zniknąć, zanim usłyszysz cię Megan albo ktoś inny wstanie. Wiesz, prysznicze są na dole i niektóre dziewczyny chodzą tam i z powrotem owinięte ręcznikiem – tłumaczę mu spokojnie, bo pragnę go zachęcić, żeby ruszył się z łóżka.

– Naprawdę... no tak, tego nie mogę opuścić... Zaczekam tu, aż wszystkie wstaną i wtedy... – Uchyła się, kiedy walę w niego poduszką.

– Russell! – szepczę surowo. – Wstawaj. Zaraz musimy cię stąd wyprawić.

– Strasznie gderasz z rana. Potrzebuję jakiejś kawy czy czegoś takiego.

– Tak, o tej porze pewnie cały czajnik – mówię, wstając z łóżka.

Podchodzę niepewnym krokiem do szafy, w której znajduję bluzę z kapturem. Zakładam ją, bo rano jest chłodniejszy niż zwykle. Zasuważąc zamek błyskawiczny, dostrzegam, że kolano mam wciąż owinięte bandażem, który założył mi wieczorem Reed, więc utykam lekko, gdy wracam w stronę łóżka. Zdejmuję koszulę Russella z oparcia krzesła, na którym ją zawiesił, i zabieram ją ze sobą do łóżka.

– Jak to możliwe, że jesteś w takim dobrym nastroju? Przecież nie mogłeś spać w nocy dużo dłużej niż ja. Taki z ciebie ranny ptaszek? – udaję przerażenie.

– Ranny ptaszek...? No, może... ale trzeba też przyznać, że w nocy musiałem zwiedzać najprzyjemniejsze części piekła – mówi cichym głosem i bierze ode mnie koszulę, którą mu podaję. Kiedy wstaje z łóżka, nie mogę się oprzeć i spoglądam na jego idealne mięśnie brzucha i klatkę piersiową, zanim przykryje je koszula.

– Co proszę? Najprzyjemniejsze części piekła? Co to niby znaczy? – pytam.

– Ruda, nie jesteś facetem, więc nie ma sensu ci tego tłumaczyć. – Uśmiecha się do mnie, ale nie wyjaśnia nic więcej. – Czy ja naprawdę jestem pierwszym facetem, który spał obok ciebie? – pyta.

– Tak – przyznaję, czerwienię się i podaję mu buty, które ma włożyć.

– Więc to znaczy, że... – zaczyna kolejne zdanie; stosuje się do mojej wyraźnej wskazówki, bierze ode mnie buty i je wkłada.

– Tak, to znaczy dokładnie to – odpowiadam, zanim Russell ma okazję dokończyć. Nie jestem przygotowana, żeby o tej porze prowadzić takie żenujące rozmowy. Podchodzę do szafy i wyciągam parę sandałów.

– Jak to możliwe? – pyta z uśmiechem na twarzy.

– Po prostu nie spotkałam właściwej osoby – mamroczę, czując, że rumienię się coraz bardziej. – I przestań uśmiechać się do mnie jak kot z Cheshire. – Wsuwam stopy w sandały.

Podchodzę do drzwi i otwieram je na tyle szeroko, żeby wystawić na zewnątrz głowę. Ponieważ w holu nikogo nie ma, macham do Russella, żeby się do mnie przyłączył. Idziemy do tylnej klatki schodowej. Otwieram drzwi i upewniam się, czy nikogo nie ma na parkingu. Wydaje się, że jest pusto, więc wychodzę razem z nim. Drzwi za nami zamykają się.

– Ho, ho, blisko było, prawie nikt nas nie widział. – Russell śmieje się słodko.

Ja też się śmieję – nie mogę na to nic poradzić.

– O której masz pierwsze zajęcia? – Czuję ulgę, że nikt nas nie przyłapał.

– Dopiero o dziesiątej. Poproszę któregoś z chłopaków, żeby przyniósł mi coś z kafeterii – mówi Russell z zadowoloną miną.

– Och, możesz wracać do łóżka i spać aż do dziesiątej... Chyba cię już nie lubię! Ja mam historię sztuki o ósmej, ale nie szkodzi, bo zapowiada się, że to będzie mój ulubiony przedmiot. – Cieszę się na myśl o tych zajęciach; jednocześnie bezwiednie próbuję odgarnąć włosy z twarzy i walczę z bryzą, która je wciąż rozwiewa.

Brwi Russella układają się w grymas zdziwienia.

– Dlaczego? – pyta, po czym dotyka moich włosów i zakłada mi je za ucho.

– Bo nigdy nie uczyłam się tego przedmiotu. Będzie to moja egzystencjalna ucieczka od żelaznej klatki rozumu – odpowiadam z nadzieją. Czuję się podniecona na myśl o spotkaniu z czymś nowym.

– Cholera, inteligentna z ciebie dziewczyna. Nie jestem nawet pewien, co miałaś przez to na myśli, ale brzmiało spoko. No dobra, kiedy moglibyśmy pogadać? – pyta znacząco. – Musimy przedyskutować to, co przydarzyło ci się wczoraj.

– Nie ma o czym dyskutować – odpowiadam stanowczo, mając nadzieję, że Russell da sobie spokój, o ile napotka we mnie opór.

– A ja twierdzę, że jest, a jeśli ty nie będziesz chciała gadać, to będę musiał iść do tego typu, który cię wczoraj zabrał. Spytałem go, co się wydarzyło. – Russell odpowiada równie stanowczo, najwyraźniej nie odpuszczając. Widać, że okopał się na swojej pozycji.

– O, świetny pomysł. Ponieważ obaj macie takie spięte tyłki, na pewno wszystko ci opowie. A skoro już o tym mówisz, czemu nie zaprosisz go, żebyście gdzieś razem połazili, może przyjdzie na mecz? – ironizuję. – Czy ty jesteś nienormalny?

– Nienormalny nie, ale widziałem ostatnio parę rzeczy, przez które zacząłem wątpić w znaną mi rzeczywistość. Spotkanie z tobą było jak rozszczepienie atomu. Znalazłaś się obok mnie i cały mój świat wyleciał w powietrze. Próbuję jakoś nadać temu sens. Jeśli to wymaga konfrontacji z głównym aktorem w tym przedstawieniu, zrobię to – mówi z determinacją.

– Russell, dlaczego mi nie pozwalasz, żebym cię chroniła? Proszę cię. To nie jest żadne przedstawienie. To jest... To jest... I ja jestem... Russell, po prostu nie wolno ci. – Przyciskam twarz do jego piersi, a jego ramię obejmuje mnie i zamyka w kojącym uścisku. – Pozwól, że ja się tym zajmę... Proszę cię.

– Ruda, o cokolwiek tu chodzi, ty się tym nie zajmujesz. To zajmuje się tobą – mówi cicho Russell.

– Więc niech zajmuje się mną, a nie tobą, okej? – odpowiadam.

– Kobieto, jesteś uparta jak osioł.

– Przyznaję się do winy.

– Spotkajmy się w kafeterii na lunchu, dobra?

– Ja stawiam.



Miałam rację w sprawie zajęć z historii sztuki. Ten przedmiot jest inny niż wszystkie, których się do tej pory uczyłam. Wykładowca, Sam MacKinnon, jest bardzo utalentowanym portrecistą. Opisy arcydzieł, o których mamy rozmawiać w tym semestrze, brzmią tak, jakby to kochanek opowiadał o swojej najdroższej. Są zmysłowe, pełne namiętności i prowokują do myślenia.

MacKinnon jest typem staroświeckiego profesora, choć wydaje się dość młody. Zamiast powerpointowych prezentacji do pokazania omawianych dzieł używa starego rzutnika i slajdów, które rzuca na ekranie umieszczonym z przodu sali. Kiedy światła są przygaszone, a rzutnik włączony, twarze studentów wyglądają niesamowicie, jakby były częściami alabastrowych popiersi. Pada na nie kojarzące się z upiorami światło, które odbija się na zainstalowanym przed nimi ekranie.

Kiedy obrazy migają z prędkością karabinu maszynowego, wyparowują ze mnie wszelkie myśli o zmęczeniu. MacKinnon tłumaczy, że każdy z tych obrazów będziemy poznawać w pogłębiony sposób: porozmawiamy o artyście, omówimy gatunek, medium, gruntownie zbadamy szczegóły każdego z dzieł. Nie mogę się już doczekać i czuję rozczarowanie, kiedy zapalają się światła, co oznacza koniec zajęć. Zbieram książki i mrużę oczy, które przyzwyczajają się do jasności. Jestem więcej niż podekscytowana tym przedmiotem. Przyciskam do siebie książki i przesuвам się wraz z innymi studentami w stronę drzwi.

– Przepraszam panią... eee... proszę pani! – woła głos dobiegający z tyłu.

Odwracam się i widzę swego nowego profesora, machającego na mnie ręką. Powoli zaczynam się cofać, niepewna, czy MacKinnon wskazuje rzeczywiście mnie.

– Tak? – pytam.

– Przepraszam, nie znam jeszcze waszych imion. Nie sprawdzam listy pierwszego dnia – odpowiada uprzejmie.

– Genevieve Claremont – przedstawiam się, jakbym była na jakimś przesłuchaniu.

Uśmiecha się do mnie miło i mówi:

– Genevieve, nie jestem pewien, czy pani zdaje sobie z tego sprawę, ale jestem nie tylko wykładowcą historii malarstwa i sztuk graficznych. Maluję też własne prace, które wystawiam pod koniec każdego semestru.

– Tak, czytałam pana życiorys w spisie przygotowanym przez Klub Matek. Ma pan wystawy organizowane w Centrum Saga, prawda? – odpowiadam, czerwieniąc się na wspomnienie tej wścibskiej publikacji.

– Tak, to prawda. A wie pani, że często wybieram osoby do portretowania spośród studentów Crestwood? – pyta MacKinnon.

– Nie, tego nie wiedziałam – odpowiadam wolno.

– Chciałbym, żeby pani dla mnie pozowała do obrazu olejnego, który zamierzam namalować. Co pani na to? – pyta, a kiedy się uśmiecha, jego niebieskie oczy niemal migocą.

– W pani wyglądzie jest coś niemal eterycznego. Gdybym zdołał to uchwycić, mogłoby powstać bardzo interesujące dzieło.

– Hm... Proszę tego źle nie zrozumieć, ale gdybym pozowała... Nie musiałabym się... noo, to znaczy zostałabym w ubraniu...? Co się wiąże z takim pozowaniem? – Czuję, że policzki oblewa mi rumieniec.

– Och, oczywiście, no cóż... Ustalilibyśmy jakąś odpowiednią porę, o której przyszłaby pani do mojej pracowni na drugim piętrze w tym budynku, gdzie moja asystentka Debra i ja wybralibyśmy dla pani jakąś właściwą pozę. Porobilibyśmy trochę zdjęć, a potem musiałyby pani przyjść jeszcze na kilka sesji, żebyśmy mieli pewność, że wszystko dobrze idzie.

– O, to brzmi całkiem nieźle. A co miałabym na sobie?

– Genevieve, na Boga, nie maluję aktów, a w każdym razie nie tu w szkole. – MacKinnon chichocze i rozpromienia się, jakby znalazł nową, lśniąca monetę do kolekcji. – Moja asystentka będzie z nami przez cały czas.

– Czy mogę dać odpowiedź po zajęciach w czwartek? Potrzebowałabym trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić. Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

– Chciałbym zacząć zaraz potem, o ile się pani zgodzi, rzecz jasna – mówi z pewnością siebie, tak jakby już wiedział, że w końcu powiem „tak”. – Zaczekam na pani decyzję.

Następne zajęcia, historia cywilizacji zachodniej, nie są ani trochę tak ciekawe jak historia sztuki. Wykładowca, doktor Stuart, nie jest tak barwną postacią jak MacKinnon. Jego wykład o źródłach naszej kultury brzmi sucho i odnoszę wrażenie, że większość potrzebnego materiału mogę poznać z podręcznika.

Po zajęciach kupuję kawę i czekam w Centrum Studenckim na porę lunchu. Jestem kompletnie wyczerpana i mam ochotę na jedno: całkiem odpuścić sobie lunch i wrócić do pokoju, żeby się przespać. Ale obiecałam przecież spotkać się z Russellem. Pod Sagą wpadam na Freddiego, który stoi w kolejce czekających na wejście do kafeterii.

– Evie! Jak kolano? – Przechodzi na koniec kolejki, żeby postać ze mną. – Widziałem, jak tamta dziewczyna ci przywaliała. To było podłe. Byłem pewien, że masz jakieś złamanie. A właściwie straciłem na tym dwadzieścia dolców – mówi Freddie ponuro.

– Freddie, to okropne! Nie wierzę, że straciłeś dwadzieścia dolców, zakładając się w mojej sprawie – odpowiadam mu poirytowana.

– Wiem, następnym razem weź ze sobą telefon, żebyś mógł zadzwonić i zaasekurować się. – Uśmiecha się znacząco Freddie.

– Alfred, nie o to mi chodzi – mówię obrażonym tonem. – Jak można się zakładać o coś takiego? To nie jest sympatyczne.

– Wiem, ale tylko żartowałem. Postawiłem pięćdziesiąt dolców, że nie jest złamane, a zakładałem się z Masonem. Super było dostać od niego kasę. Trzymaj, tu jest twoja działka – mówi Freddie z uśmiechem i wręcza mi banknot dwudziestodolarowy.

– Och, jeśli tak, to dzięki – odpowiadam i biorę od niego dwudziestkę. – Popieram wszystko, co może pognębić Masona – wyjaśniam, bo wciąż jestem trochę podrażniona tą sprawą z ocenianiem dziewczyn ze spisu.

– Wiedziałem, że tak to odbierzesz – śmieje się.

– Mam zjeść lunch z Russellem, może się do nas przyłączysz? – pytam. Tak naprawdę chciałam spytać Freddiego, co sądzi o pozwaniu MacKinnonowi do portretu.

– Pewnie – mówi, kiedy przy wejściu do kafeterii pokazujemy szefowi sali nasze sagowe karty.

Po odebraniu jedzenia siadamy przy stoliku, który staje się już „nasz” – ten z tyłu sali, przy oknie widokowym. Rozglądam się za Russellem, a Freddie opowiada mi w tym czasie o swoich zajęciach. Russell dość szybko nas odnajduje; nie wydaje się szczególnie zachwycony, że siedzę z Freddie. Nie dlatego, że nie lubi Freddiego, bo wiem, że tak nie jest, ale dlatego, że w tej sytuacji nie może mnie wypytywać o poprzednią noc. Nawet gdybym to zaplanowała, nie mogłoby wyjść lepiej. Kocham Freddiego – myślę sobie.

– Hej, Russell, fajnie, że jesteś. Właśnie miałam opowiedzieć Freddiemu o zajęciach z historii sztuki. To znaczy nie o samych zajęciach, ale o tym, co się wydarzyło potem – mówię i wyjaśniam, na czym polegała propozycja pozwania dla MacKinnona. – No i co myślicie? – pytam obu.

Przez chwilę żaden się nie odzywa, popatrują tylko na siebie, jakby się bawili w jakąś męską telepatię czy coś takiego. A potem Russell pyta:

– Powiedz jeszcze raz, jak ten profesor się nazywa?

– Pan MacKinnon. Jest artystą malarzem. Ma wystawy w Centrum Saga na koniec każdego semestru – wyjaśniam.

– A jak będziesz ubrana w trakcie pozwania? – pyta Freddie, próbując ukryć uśmiešek.

Mrużę oczy. Tak, to z pewnością jest mój dawno utracony brat bliźniak.

– Freddie, proszę cię, to jest Crestwood. A poza tym jego asystentka będzie z nami przez cały czas – zapewniam go.

– No nie wiem, Ruda, to może być czysta sprawa, ale może też facet próbuje osaczyć piękną początkującą studentkę – wzdycha Russell ze złością. – Wiesz, to się robi denerwujące, że na dodatek trzeba jeszcze się martwić wykładowcami.

– Cóż, może w takim razie nie powinieneś się tym martwić. Jestem dużą dziewczynką. Sama zdecyduję. Chciałam po prostu poznać waszą opinię – rewanżuję się.

Wpatrzone we mnie brązowe oczy Russella zwiężają się.

– W porządku, ale może umów się wtedy, kiedy będę mógł iść z tobą, żeby pan artysta nie pomylił pędzli – mówi Russell z ogniem w głosie, niewątpliwie w reakcji na mój ton.

– Russell, nie potrzebuję opiekuna – odpowiadam i odsuwam zmęczonym ruchem swoją tacę.

– Evie, przyjechałaś tu mniej niż tydzień temu, a już... – wycofuje się, widząc, że spoglądam na Freddiego, a potem znów na niego.

Freddie unosi dłoń i mówi:

– Okej, nienawidzę, kiedy mama i tata się kłócą, więc mogę iść i posiedzieć z Evie i panem pacykarzem. Będziesz mógł w tym czasie zrozumieć, że tak naprawdę nie jesteś na nią zły – mówi Freddie do Russella. – Przyjaciele nie pozwalają przyjacielom rozbierać się przed wykładowcami.

Oboje z Russellem piorunujemy Freddiego wzrokiem, aż ten w końcu w obronnym geście podnosi obie dłonie:

– No co?

– Freddie, dam ci znać, co zdecydowałam. – Wstaję i zabieram swoją tacę. – Jestem strasznie zmęczona. Idę się zdrzemnąć.

Russell najpewniej rozumie, że drzemka jest jak najbardziej na miejscu, bo – dzięki Bogu – nie próbuje mnie zatrzymać. Schodzę niepewnym krokiem ze wzgórza w kierunku akademika i zamykam się na klucz w pokoju. Skaczę do łóżka na główkę i przez resztę dnia nie wynurzam się na powierzchnię.

Rozdział 8

Prędkość światła

Po kłótni z Russellem nie idę do kafeterii na obiad, bo po prostu przesypiam odpowiednią porę. Prawdopodobnie spałabym aż do rana, ale Buns i Brownie pukają do moich drzwi, gdy wracają z treningu hokejowego. Obie wchodzi do pokoju i siadają na moim łóżku, przyglądając mi się, kiedy myję zęby. Gdy kończę, opowiadam im o prośbie MacKinnona.

– Chce, żebyś była jego modelką? – pyta zazdrośnie Buns. – Skarbie, szczęściara z ciebie, on naprawdę ma talent. W zeszłym roku poszłam na jego wystawę i była wspaniała. A poza tym Sam jest taki... mniam, mniam! Miałam z nim historię sztuki w zeszłym roku i nie opuściłam ani jednego zajęcia.

– Więc uważasz, że powinnam się zgodzić? – pytam.

– Skarbie, jak ty się nie zgodzisz, to ja to zrobię – śmieje się.

– Buns i ja bierzemy Złotą Gęś i jedziemy do sklepu, żeby kupić jakieś przekąski. Chciałyśmy sprawdzić, czy masz ochotę iść z nami. – Brownie przechodzi do rzeczy.

– Przekąski brzmią dobrze. Jeszcze tylko wytłumaczcie, co to jest ta Złota Gęś, i wchodzę w to. – Wsuwam stopy w sandały.

– Och, skarbie, to mój samochód – wyjaśnia Buns. – Nazwałyśmy go Złota Gęś. Powiedziałabym ci dlaczego, ale sama się zorientujesz.

– Okej, mam wielką ochotę iść z wami. Przegapiłam obiad. Muszę tylko pójść do łazienki. Spotkamy się na parkingu.

Otwieram tylne drzwi akademika prowadzące na parking i natychmiast staję oko w oko ze Złotą Gęsią. Buns zaparkowała dokładnie pod lampą oświetlającą wejście, więc mogę dobrze przyjrzeć się samochodowi. Jest to niedawny model Forda Grand Marquis w najintensywniej metalizowanym złotym kolorze, jaki kiedykolwiek wypuszczono z fabryki. Buns wciska klakson i rozlega się dźwięk podejrzenie przypominający syczenie gęsi. Otwieram tylne drzwi od strony kierowcy i wsiadam. Ledwo zdążam je zatrzasnąć, gdy Buns daje ostro po gazie. Auto zachowuje się jak coś, co jest przeznaczone do pływania po wodzie – mam wrażenie, że jestem na pokładzie dużego lądowego jachtu.

– Buns, czy to samochód twoich rodziców?

– Należał do Elisy, ale oddała go mnie, kiedy dostała nowy. – Spogląda na mnie w tylnym lusterku. W tym momencie auto beztrudno dryfuje przez podwójną żółtą linię na jezdni. Brownie kładzie dłoń na kierownicy i łagodnym ruchem sprowadza je z powrotem na nasz pas ruchu. Buns wydaje się w ogóle nie zauważać pomocnej ręki.

– Elisa to twoja mama? – pytam z zainteresowaniem, ale przyglądam się też, kto poprowadzi samochód w czasie, gdy Buns będzie odpowiadała na pytanie.

– Elisa i Charles Bondsowie to moi rodzice. – Tym razem nie zjeżdżamy na przeciwny pas ruchu. – A zanim zadasz kolejne pytanie, mogę od razu odpowiedzieć: nie, nie są stręczycielami – mówi dobrotliwie Brownie.

Właściwie uchwyciła samą istotę tego samochodu, który rzeczywiście podejrzenie przypomina pojazd alfonsa. Buns miło się uśmiecha, podczas gdy auto niezmiennie porusza się po jezdni z gracją motyla.

– Są właścicielami kilku sklepów z lodami w okolicach Fort Wayne. Szkoda, że nie widziałas mundurka, który Buns ma na sobie, kiedy wydaje lody. Pracuje latem u rodziców i w służbowym stroju wygląda jak wolontariuszka ze szpitala – mówi Brownie.

– Mówiłaś, że w tym roku będziesz pracować ze mną. – Buns przekomarza się z przyjaciółką. – Nie mogę się doczekać, jak będziesz wyglądać w tym pasiaku. Mogę dla ciebie zamówić rozmiar XS. Zobaczymy, ile napiwków uzbierasz – śmieje się.

Potem Buns skręca w lewo i lądujemy na parkingu sklepu sieci 7-Eleven. Nasza szoferka wyłącza światła i silnik, a ja staram się, żeby przy wysiadaniu nie wywalić na zewnątrz żadnej z walających się po podłodze butelek po napojach gazowanych.

Otwieramy szklane drzwi sklepu, dziewczyny kierują się prosto do regału z chipsami, ja natomiast idę do działu z produktami przechowywanymi w chłodni.

Przechodzę na tył sklepu i przyglądam się zestawowi kanapek za szklanymi drzwiczkami; żadna nie wygląda zachęcająco, wszystkie sprawiają wrażenie, że są suche jak trociny. Najlepszym wyborem wydają mi się paczkowane krakersy przekładane indykiem i serem. Otwieram lodówkę i wyciągam jedno opakowanie. W sąsiedniej chłodziarce widzę butelkowaną wodę, więc sięgam także po nią.

Do sklepu wchodzi dwóch chłopaków z uczelni i Buns woła do nich:

– JT! Pete! Jak ci poszedł trening, skarbie?

Obaj należą do uczelnianej drużyny lacrosse'a. Poznają JT po sportowym stroju.

JT przygląda ciemne wilgotne włosy i podchodzi do Buns.

– Ciężko było, bo nie mogłem się skupić przez te wszystkie blondynki z kijami do hokeja. Reed dwa razy trafił mnie piłką w głowę. Zobacz, mam tu koło oka małe rozcięcie.

– Och, biedactwo, daj, obejrzę to – mówi Buns słodkim głosem i bada ranę JT. Brownie patrzy na mnie i przewraca oczami, po czym podchodzi do Pete'a, który kupuje jakiś napój z dystrybutora.

Przesuwam się w stronę wyjścia ze sklepu i w tym samym czasie doznaję niezwykle intensywnego déjà vu. Czuję się, jakby jakiś lodowaty dotyk spływał mi po kręgosłupie. Wzdrygam się ze strachu, na ramionach dostaję gęsiej skórki. Zatrzymuję się w połowie sklepowej alejki. Wpatruję się w blask świetlówki nad moją głową, przyglądam się jej migotaniu. Od lampy dobiega niskie buczenie, towarzyszące chaotycznym rozbłyskom światła.

Kiedy odwracam wzrok od świetlówki, widzę, że wszystko wokół mnie się zmieniło. Ściany sklepu są pobryzgane krwią oraz płynem mózgowym i wyglądają jak obrazy Jacksona Pollocka. Ciemnobezowa szachownica płytek PCV na podłodze upstrzona jest kropelkami układającymi się w krwawe ścieżki. Wszystko jest poprzewracane: stojaki z chipsami i cukierkami leżą na podłodze jedne na drugich, z regałów z czasopismami wydobywa się duszący dym. Dzbanki z kawą są rozwalone na kawałki i tylko ich brązowe i pomarańczowe obręcze stanowią świadectwo tego, czym do niedawna były. Po potrząskanych szklanych drzwiczkach lodówek spływa zawartość kartonów z mlekiem i sokami.

Nie potrafię zrozumieć tego, co widzę. Jestem kompletnie nieprzygotowana na kolejny atak na moje zmysły. Dyszę ciężko, bo dociera do mnie wstrętny smród, którym przesycone jest sklepowe powietrze. Nigdy w życiu nie czułam czegoś podobnego. Nawet trupi zapach żab przechowywanych w formalinie nie jest porównywalny z tym ohydny fetorem. Zasłaniam usta i nos dłonią, próbując uchronić się przynajmniej częściowo przed zgniłym smrodem. Moje własne drżące palce wydają się śliskie i lepkie. Kiedy odsuwam dłoń, na jej bladej skórze i paznokciach zauważam plamy krwi.

Upierne, pulsujące światło ponownie przykuwa moją uwagę do mrugającego blasku świetlówki na suficie. Wokół mnie narasta kakofonia odgłosów, jakbym znajdowała się w

poblizu głośników o dużej mocy i jakby docierał do mnie basowy pogłos, odbijający się echem od mojego ciała. Zatykam uszy dłońmi, próbuję odgrodzić się od miażdżących fal atakujących moje bębenki. Intensywne światło staje się coraz bielsze i jaśniejsze, coraz bardziej się do mnie przybliża. W końcu wybucha potężnym błyskiem, powalając mnie na podłogę. Padam z ogłuszającym łomotem.

Podnoszę powieki, mrugam, a potem, kiedy mrużę oczy, dostrzegam przykucniętą obok mnie Buns.

– Skarbie... skarbie... słyszysz mnie? – Delikatnie odgarnia mi włosy z czoła. – O, chyba słyszysz! Jesteś, skarbie. Wszystko w porządku?

Dlaczego leżę na podłodze?, zastanawiam się.

Próbuję usiąść, ale powstrzymuje mnie dłoń JT.

– Nie ma pośpiechu, Evie. Nie spiesz się, pooddychaj głęboko – mówi do mnie łagodnym głosem, trzymając rękę na moim ramieniu. – Zemdlałaś. Kiedy ostatnio coś jadłaś? – pyta.

Zdezorientowana patrzę w orzechowe oczy JT i próbuję się zastanowić.

– Przed lunchem piłam kawę, potem zjadłam bajgla – mówię niepewnie.

– Evie, musisz jeść więcej – odpowiada z troską w głosie. – Twoje ciało nie przetrwa na kawie i chlebie.

– Moje ciało nie przetrwa... – zaczynam powtarzać jego słowa, ale zaraz milknę. W jednej chwili przypominam sobie, co się wydarzyło.

7-Eleven to sceneria mojego nocnego koszmaru – myślę niepewnie, z nadzieją, że nie zrobi mi się niedobrze. Serce zaczyna mi walić w piersi, czuję nagłą potrzebę, żeby wstać i wybiec z tego miejsca, ale nie mogę, bo JT wciąż mnie przytrzymuje.

– No, właśnie dlatego przyszłam kupić coś do jedzenia. – Próbuję zlokalizować krakersy, które trzymałam w ręku, zanim zostałam brutalnie zaatakowana przez światło z góry. – Chyba już doszłam do siebie. Mogę wstać? – pytam JT łagodnym głosem i spoglądam na jego rękę leżącą na moim ramieniu.

Patrzy na mnie podejrzliwie zmrużonymi oczami i mówi:

– Nie wiem. Jesteś blada jak duch. Jak się czujesz?

Silę się na ujmujący uśmiech:

– Czuję, że mam ochotę wstać.

JT, przekonany, że już ze mną lepiej, pomaga mi stanąć na nogi.

Ukradkiem rozglądam się po sklepie. Wypatruję śladów krwi i jatki z mojego koszmaru. Ale wydaje się, że poza chorobliwym poczuciem déjà vu wszystko jest w porządku. Na szczęście dłonie mam równie czyste jak w momencie, w którym weszłam do sklepu. Pete podnosi z podłogi jedzenie i wodę, które musiałam upuścić. Uprzejmie mi je podaje.

– Dzięki. – Staram się zachowywać normalnie i mam nadzieję, że mówię niezbyt głośno, bo wciąż dźwięczy mi w uszach.

Sprzedawczyni za ladą ani trochę nie zmieniała pozycji przy kasie. Patrzy na mnie sceptycznie, a kolczyki w jej brwiach opuszczają się, kiedy marszczy czoło. Dziewczyna żuje

gumę z niesłabnącym zapalem, a ja kładę swoje rzeczy na ladzie. Kiedy kończę płacić, wszyscy zbierają się wokół mnie. Upijam kilka łyków wody.

Brownie obejmuje mnie i pyta:

– Jak się czujesz?

Ale zanim udaje mi się coś powiedzieć, dodaje:

– Naprawdę się wystraszyłam, szczególnie jak przestałaś mamrotać i poleciałaś bezwładnie.

– Mamrotałam? Co mówiłam? – dopytuję zatrwożona.

– Nie wiem – odpowiada Brownie – nie słyszałam cię dobrze, ale to nie było po angielsku. Wiesz, jak to brzmiało? – pyta podekscytowana, wskazując mnie palcem. – Tak jak kiedy Bobby, mój brat, i ja kładliśmy na adapterze starą płytę Black Sabbath i próbowaliśmy ją grać od tyłu. Bobby sądził, że tam są jakieś ukryte wiadomości, ale nigdy niczego takiego nie usłyszeliśmy.

Ramiona pokrywają mi się gęsią skórą, a po plecach przechodzi dreszcz. Uśmiecham się, żeby zatuszować złe wrażenie, i mówię:

– Uczę się łaciny. Prawdopodobnie zamawiałam pizzę.

Czuję ulgę, bo wszyscy wybuchają śmiechem.

Sprzedawczyni wcina się w naszą rozmowę:

– To wszystko? – Wciąż kłębimy się przy ladzie, co wyraźnie ją denerwuje.

– Tak, dziękuję – odpowiadam i ruszam w kierunku drzwi. Najbardziej na świecie pragnę wyjść z tego sklepu i nigdy więcej nie wracać.

Wychodzę na zewnątrz i głęboko wdycham świeże powietrze, żeby oczyścić głowę. JT i Pete podchodzą do lśniącego, srebrzystego samochodu zaparkowanego obok Złotej Gęsi. Na widok ich auta wzdrygam się, bo albo JT ma identyczny samochód jak Reed, albo – co chyba bardziej prawdopodobne – musiał go od niego pożyczyć, jadąc z Pete'em do sklepu.

Obaj wsiadają do eleganckiego importowanego auta, po czym otwierają okna.

– Hej, Buns – woła JT z fotela kierowcy. – Niedługo startują Wojny Delt. Jesteś gotowa?

– Skarbie, przez całe lato obmyślamy waszą zagładę. Nawet nie zdążycie zauważyć, że nadchodzimy.

– Masz zaufanie do swojego arsenału, tak? – odpowiada ze śmiechem.

– Nie martw się, skarbie, o mój arsenał. Raczej upewnij się, że to ty nie wystąpisz z nożem, kiedy my będziemy walczyć bronią palną.

Brownie przewraca oczami.

– Ej, wy dwoje, nie moglibyście znaleźć jakiegoś ustronnego miejsca i tam się naparzać? Chodźmy, Buns.

– Co to są Wojny Delt? – Próbuję otworzyć paczkę krakersów trzęsącymi się rękami. Bardzo się staram, żeby nie myśleć już o tym, co mi się przed chwilą przydarzyło.

Buns cofa samochód i wyjeżdża z parkingu, kręcąc kierownicą, jakby prowadziła motorówkę.

– Akademik Delta wybiera co roku kilka damskich korporacji, które biorą udział w wojnie. Zwykle to jest albo nasz akademik, czyli Chi, albo Kappa. Dety zabierają coś z naszego budynku, a my idziemy z nimi na wojnę, żeby to odzyskać. W zeszłym roku ukradli nasz puchar zdobyty podczas Greckiego Tygodnia i pili z niego piwo. Przysyłali nam zdjęcia i żądania okupu – wyjaśnia Brownie.

– Ale w tym roku Brownie i ja zamierzamy przypuścić ofensywę. Uznałyśmy, że warto zastosować uderzenie wyprzedzające – tłumaczy dalej Buns z przebiegłą miną. – Wymyśliłyśmy, że nie będziemy czekać, aż oni zaatakują pierwsi. To przecież czysta głupota, jeśli mam być szczerą. Bo wtedy musimy grać na ich warunkach, odnajdywać ich wskazówki, wpadać w ich pułapki. Przecież lepiej ich zaskoczyć i narzucić im nasze reguły.

Brownie kiwa głową.

– Zastanawialiśmy się, co im wykraść z akademika, żeby ich całkiem zaorać i wywołać chaos – mówi Brownie z lubością.

Namyślam się przez chwilę, a potem oznajmiam:

– Powinnyście im zabrać któryś ze spisów. Wiecie, taki, w którym są umieszczone wszystkie nazwiska członków bractwa razem ze zdjęciami. Potem możecie każdemu przyznać ocenę w dziesięciopunktowej skali i wysłać im zdjęcie rankingu z żądaniem okupu.

Rumienię się, przypominając sobie historię ze spisem przygotowanym przez Klub Matek.

Brownie przytakuje z szelmowskim uśmiechem.

– Hej, rzeczywiście, oni robią to samo ze spisami pierwszoroczników!

Podnoszę rękę w geście oznaczającym „Ano właśnie!”.

– Evie, jesteś geniuszem zła – rozpromienia się Buns, a Złota Gęś zaczyna zjeżdżać poza żółte linie na jezdni. Buns odwraca się i przez ramię puszcza do mnie oko, a Brownie bez słowa koryguje położenie kierownicy.

– Nie, tylko upokorzoną kobietą – odpowiadam, odgryzając kawałek kanapki z krakersów.

– Jesteś nam potrzebna! – mówi Brownie. – Dobrze znosisz stresy, jesteś wysportowana. Byłabyś świetną żołnierką w naszej wojnie, chociaż omdlenie w sklepie trochę nie pasuje do tego obrazu.

Buns zajeżdża z piskiem opon na parking przy akademiku. Jej wzrok utkwiony jest w moje odbicie w tylnym lusterku.

– Musimy działać z ukrycia – mówi – a ty poruszasz się jak kot. Rozmawialiśmy z Brownie o tym, jak zagrałaś, zanim Tamera cię skosiła. To było jak atak pantery na pancernika.

– Czy chodziło o pancernika? – przerywa jej Brownie. – Wydaje mi się, że mówiłyśmy o panterze i jeżu.

– Skarbie, co za różnica: pancernik, jeź czy jeżozwierz? Tamera zdawała sobie sprawę, że nie dorówna Evie szybkością i zwinnością, więc zastosowała przemoc, żeby ją wyłączyć – mówi Buns, parkując samochód w tylnej części parkingu.

– Evie, zgódź się, bo ona cię będzie urabiać tak długo, aż się zgodzisz – mówi Brownie konspiracyjnym tonem.

Otwieramy drzwi i wysiadamy z Gęsi.

– A czy nie musiałabym należeć do Chi czy czegoś innego, żeby brać w tym udział? Szczególnie jeśli miałabym być w waszej ekipie? – zastanawiam się, jakie są zasady.

– Nie, wszyscy pomyślą, zresztą zgodnie z prawdą, że próbujemy cię zwerbować do naszego bractwa, ale przecież nie należysz do Kappy. – Brownie upija łyk swojego napoju.

– Wy mnie werbujecie? – pytam, kiedy ruszamy od samochodu w kierunku drzwi akademika.

– Skarbie, nie zaczęłyśmy jeszcze. Nigdy nikogo nie werbujemy, bo to jest poniżej naszej godności. Rozumiem, że albo nas lubisz, albo nie, ale my w każdym razie cię lubimy. Wydaje się, że nas rozumiesz. Pokrewieństwo dusz, jeśli wolisz to tak ująć – mówi Buns, obejmując mnie ramieniem. – Nie musisz się deklarować, jeśli nie chcesz. My najzwyczajniej lubimy, kiedy jesteś blisko nas.

– Więc pomożesz nam pobić Deltę? – upiera się Brownie. Otwiera drzwi do „Yeatsa” i przytrzymuje je przed Buns i przede mną.

– Tak, pomogę – potwierdzam, ponieważ może to być niezłą rozrywką po mojej wywrotce w 7-Eleven. Nie potrafię w żaden sposób rozszyfrować, co się ze mną dzieje. Po prostu próbuję przetrwać te wszystkie horrory.

Brownie i Buns klaszczą w ręce jak dziesięciolatki.

– Okej, jutro wieczorem po treningu robimy naradę strategiczną. Evie, czy ty możesz przyjść na trening? Jak twoje kolano? – pyta Brownie z troską.

– Coraz piękniejsze. Mogę trenować. – Wiem, że nie dam rady ciągnąć dłużej zabawy z udawanym utykaniem.

– Mega! Chcesz wejść do nas i trochę posiedzieć? – Buns otwiera drzwi ich pokoju.

– Nie, dzięki, chyba pójdę do siebie i spróbuję się przespać – znajduję wymówkę. – Zobaczymy się jutro. Dobranoc.

– Dobranoc, skarbie – mówi Buns, a ja ruszam dalej korytarzem w kierunku swojego pokoju.

Do moich drzwi – od zewnętrznej strony – ktoś przyczepił taśmą klejącą złożoną kartkę. Rozkładam ją i czytam.

Ruda,

przepraszam, że byłem takim młotkiem. Przyszedłem się z Tobą spotkać, ale jedna z dziewczyn, które prosiłem, żeby Cię zawołały, powiedziała, że wyszłaś. Zadzwoń, proszę, kiedy to przeczytasz, żebym mógł Cię przeprosić.

Russell

Rozdział 9

Język obcy

Wiadomość od Russella czytam kilka razy. Jest taka słodka. Naprawdę przyznał, że zachował się jak młotek, co jest właściwie prawdą, ale przecież okazał się słodkim młotkiem. Kiedy jestem już w pokoju, składam kartkę i kładę ją na biurku. Potem przebieram się w koszulkę i bokserki od piżamy. Myję twarz i szczotkuję zęby, po czym wychodzę na korytarz, żeby pójść do łazienki.

W drodze do pokoju stoję jak wryta, ponieważ w brzuchu zaczynają mi fruwać motyle – tym intensywniej, im bliżej jestem swoich drzwi. Zaczynam się powoli cofać i zastanawiam się, co mogę zrobić. Jestem w piżamie, bez butów i bez kluczy, a więc daleko nie dotrę. Waletowanie u kogoś też mi się nie uśmiecha, bo to jest mój pokój. Mój. Prostuję się i przechodzę kilka pozostałych kroków, dzielących mnie od drzwi.

Otwieram je i zaczynam się rozglądać za Reedem, ale w pokoju go nie ma. Opieram się o drzwi i zamierzam je zamknąć. Oddycham z ulgą, ale przychodzi mi do głowy, żeby sprawdzić szafę. Uchylam harmonijkowe drzwi, zaglądam do środka, ale tam też go nie ma. Wydycham powietrze, które wstrzymywałam. Szykuję się do snu: szczotkuję włosy i zbieram je znów w koński ogon.

Zaczynam krążyć po pokoju, bo mój radar wyczuwający Reeda cały czas nadaje sygnały. On tu musi być, gdzieś w Gmachu Yeatsa. Ale dlaczego?, zastanawiam się nerwowo. Może przyszedł do kogoś piętro niżej albo coś w tym rodzaju – natychmiast czuję ukłucie zazdrości, zdumiewające intensywnością. A co za różnica, kogo odwiedza Reed?, staram się myśleć racjonalnie i próbuję pozbyć się uczucia, które właśnie mnie dopadło. Przecież ja go nawet nie lubię; im mniej o mnie myśli, tym lepiej, prawda?

Włączam komputer i czytam maila od wujka Jima. Opowiada mi o pewnych nowo rozwijanych technologiach, które pozwalają na umieszczanie w reklamach podprogowych przekazów. Uświadamiam sobie, że żadna z odmian software'u, które opisał wuj, nie pasuje do tego, co potrafi wyczyniać Reed; dochodzę do wniosku, że być może jednak trzeba przyjąć do wiadomości wyjaśnienie samego zainteresowanego.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie napisać wujkowi Jimowi o przerażającym świetle i moim koszmarze, który dopadł mnie wieczorem w 7-Eleven, ale ręce drżą mi ze strachu. Nie mogę mu tego powiedzieć – myślę i splatam dłonie, żeby się nie trzęsły. Wystraszy się nie na żarty i każe mi wracać do domu. Będzie bezpieczniejszy, jeśli zostanę tutaj.

Wystukuję szybką odpowiedź i przekazuję wujkowi różową wersję uczelnianych wydarzeń. Potem proszę go, żeby sprawdził komputer Russella i podaję mu adres IP. Wysyłam wiadomość i zamykam komputer. Znajduję telefon na szafce nocnej i wysyłam esemesa do Russella. Wyjaśniam mu, że mnie też jest przykro z powodu naszej kłótni, i umawiam się z nim na śniadanie następnego dnia rano.

Odchylam kóldrę i dopiero potem idę zgasić lampę na biurku. Kiedy wracam do łóżka, wyglądam przez okno i widzę, że Reed stoi na zewnątrz. Ledwo powstrzymuję się od krzyku,

ale jakoś udaje mi się zdusić ten odruch. Cofam się jednak instynktownie od okna, a serce omal nie wyskakuje mi z piersi.

Wcześniej nie byłam w stanie go dostrzec, ponieważ światło lampy odbijało się od okna... Po zgaszeniu lampy bez trudu widzę Reeda opierającego się o poręcz schodów pożarowych, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Obserwował mnie od chwili, kiedy wróciłam z łazienki – myślę poirytowana. Próbuję sobie przypomnieć, czy robiłam coś wstydliwego, ale niczego takiego nie pamiętam, więc podchodzę do okna i zaciągam szczelnie zasłony. Potem kładę się do łóżka. Leżę w nim i gotuję się z wściekłości.

Kiedy słyszę, że okienny skobel się otwiera i podwójne szyby uchylają się, zdaję sobie sprawę, że Reed sam siebie wpuszcza do środka. Zwijam się i naciągam kołdrę na głowę.

– Idź stąd, Reed! – syczę na niego w ciemności.

– Genevieve – dobiega mnie jego głos od strony schodów pożarowych – spotkajmy się na parkingu za pięć minut.

W jego głosie słychać dziwne napięcie.

– Dlaczegoooo? – jęczę, mam nadzieję, że go zniechęcę.

– Masz pięć minut! – mówi surowo, a potem zatrzaskuje okno.

Mniej więcej przez połowę tego czasu siedzę w łóżku. Co może mi zrobić najgorszego, jeśli nie wyjdę? – myślę ze złością. Kiedy widzę na zegarze, że mija trzecia minuta, odkopuję koc i wyskakuję z łóżka.

– Dobrze! – mówię przez zaciśnięte zęby i z dłońmi zwiniętymi w pięści.

Wskakuję w buty do biegania i wciągam na siebie bluzę z kapturem. Wychodzę z akademika tylnym wyjściem i docieram na parking trzydzieści sekund przed terminem. Rozpoznaję samochód Reeda zaparkowany w tylnej części placu i wlekę się do niego. Reed wysiada od strony kierowcy i obchodzi auto, żeby otworzyć mi drzwi. Nie ma na sobie koszuli, a ja zdaję sobie sprawę, że nie miał jej także wtedy, kiedy widziałam go na schodach pożarowych.

Marszczę brwi i zaczynam się zastanawiać. Nie powinien tak chodzić; nieprzyzwoicie jest zmuszać ludzi, żeby patrzyli na kogoś tak perfekcyjnie zbudowanego. Jezu, powinien chyba wyrządzić światu przysługę i od czasu do czasu zjeść ze dwa pączki. Siadam z ponurą miną na fotelu z ramionami skrzyżowanymi na piersi i nie patrzę na niego.

Przygląda mi się, po czym wzdycha ciężko i pyta:

– Co się zdarzyło dziś wieczorem?

Znów marszczę brwi.

– Niech pomyślę... Czego mogłeś jeszcze nie widzieć, skoro szpiegowałeś mnie przez okno? A w ogóle to jak się tam dostałeś? Drabinę trzeba zepchnąć w dół ze schodów pożarowych, a najniższy pomost jest co najmniej sześć metrów nad ziemią. Nie ma sposobu, żebyś tam dosięgnął, ty... ty... cholerny zboku!

On też mruży oczy, podobnie jak ja.

– JT powiedział mi, że zemdlałaś dziś w 7-Eleven. Twierdził, że byłaś blada jak duch i że mamrotałaś coś po łacinie, zanim kompletnie straciłaś przytomność. A z kolei Pete przez chwilę sądził, że padłaś martwa. Więc mów, co się działo, zanim stracę cierpliwość – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Och, zaczekaj tylko, aż położę łapę na tym spisie Delt! – myślę ze złością. JT i Pete dostaną w rankingu po pięknej, grubej pale.

Odwracam wzrok od Reeda i odpowiadam z ironią w głosie:

– No cóż, możesz przekazać ode mnie JT i Pete’owi, że następnym razem, kiedy zorganizują wieczorek robienia na drutach połączony z ploteczkami, mogą mi zacząć dziergać nowy sweterek.

– Genevieve – mówi Reed cichym głosem, który wywiera na mnie taki sam efekt, jakby krzyknął.

– No dobra! Poszłam do 7-Eleven, żeby kupić coś do jedzenia i kopnęło mnie w tyłek światło jarzeniówki. Obudziłam się na podłodze i poszłam do domu. Koniec. Dobranoc. – Mówię te słowa i próbuję otworzyć drzwi samochodu, ale Reed blokuje je, zanim udaje mi się pociągnąć za klamkę.

– Ojej, Reed – skarżę się, bo znów nie mogę znaleźć przycisku do odblokowania zamka.

– Zacznijmy od początku – mówi powoli, najwyraźniej postanowił potraktować mnie jak psotne dziecko. – Weszłaś do 7-Eleven i... – zatrzymuje się, żebym mogła wstawić w tę przerwę własne słowa.

– Dobra.

I mówię mu wszystko: od uczucia *déjà vu*, przez widok zakrzepłej krwi, głośnie dźwięki, znokautowanie mnie przez mrugające światło, aż do przebudzenia i historii z mówieniem w obcych językach... No, przynajmniej jak Black Sabbath od tyłu. Przekazuję mu wszystkie szczegóły, które potrafię sobie przypomnieć. Opowiadam nawet o zgniłym smrodzie.

W trakcie mojej opowieści Reed coraz silniej zaciska szczęki.

– A co mówiłaś... mamrotałaś, zanim straciłaś przytomność? Wiesz coś o tym? – pyta, kiedy kończę swoją opowieść.

– Nie, opowiadali mi, że coś mówiłam, ale nie pamiętam tego.

– A gdybyś jeszcze raz usłyszała ten język, poznałabyś go?

Marszczę brwi i wruszam lekko ramionami, po czym szczerze odpowiadam:

– Nie wiem.

W tym momencie dzieje się coś niezwykłego: Reed zaczyna mówić do mnie w języku, który brzmi znajomo, a jednocześnie jest całkiem obcy – i od tej sprzeczności zaczyna mi się kręcić w głowie. Język, którym posługuje się Reed, jest miękki i melodyjny i działa na mnie w jakiś hipnotyczny sposób, choć nie potrafię zrozumieć ani słowa. Czuję silną potrzebę, żeby dotrzeć do źródła tych dźwięków, i kiedy Reed przestaje mówić, uświadamiam sobie że zgrozą, że siedzę przyklejona do niego, z uchem przyciśniętym do jego warg.

– Co to było?

– Podobało ci się? – pyta Reed lekko żartobliwym tonem.

– O czym mówiłeś?

– Tłumaczyłem ci, jak bardzo frustrującym stworzeniem jesteś według mnie.

Czuję, jak rumieniec zakłopotania oblewa moje policzki.

– Och, to nie z powodu treści te słowa brzmiały tak ślicznie. – Odsuwam się od Reeda i prostuję w swoim fotelu. – Co to za język? Brzmi jak celtycki, ale nie wiem... – Milknę na chwilę. – Mam poczucie, że powinnam rozumieć, co mówiłeś, ale tak nie jest – mówię rozczarowana. – Nauczysz mnie?

– Całkiem niedługo będziesz znała ten język. Czy to jego używałaś w 7-Eleven?

– Nie wiem. Powinieneś spytać JT i Pete'a. Ja w tym momencie zawierałam znajomość z podłogą – odpowiadam w zamyśleniu, wciąż urzeczona tym, co przed chwilą usłyszałam.

Oczy Reeda znów się zwięzają.

– Dlaczego próbowałaś to przede mną ukryć? Powinnaś była przyjść do mnie zaraz po tym zdarzeniu.

Moje spojrzenie napotyka jego piękne zielone oczy.

– Mówisz poważnie? – pytam z drwiną w głosie. – Kolego, mam ci coś do powiedzenia: jesteś ostatnią osobą, do której mogłabym pójść z taką informacją.

– To absurd. Tylko ja potrafię wytłumaczyć ci, co się wydarzyło – mówi Reed wolno, tak jakby brakowało mi inteligencji, żeby go zrozumieć.

– Ach, no tak, bo do tej pory byłeś dla mnie niewyczerpanym źródłem informacji – ironizuję i przewracam oczami. – Wiesz, Reed, jesteś po prostu jak kamień z Rosetty!

– Genevieve – wzdycha zniechęcony.

– Reed – naśladuję jego ton. – Musisz przyznać, że nieszczególnie starałeś się zdobyć moje zaufanie.

– Och, rozumiem. A któż to budzi twoje zaufanie, kto jest dla ciebie pokrewną duszą? Czy jemu możesz o tym opowiedzieć? – pyta Reed tonem podejrzanie kojarzącym się z zazdrością.

Powoli kręcę głową. Jesteś szalona – myślę. – Reed nie jest zazdrosny; on cię nawet nie lubi.

Marszczę nos.

– Pokrewna dusza? O czym ty mówisz... Masz na myśli Russella?

– Tak, Russella – rzuca obrażonym tonem.

Czuję przyływ strachu.

– Nie powiedziałam Russellowi ani słowa o tym, co się dziś wydarzyło, a jeśli ty to zrobisz, przysięgam, że się więcej do ciebie nie odezwę. On nie ma z tym nic wspólnego. A tobie też nie mówiłam po prostu dlatego, że nie chciałam zaburzać równowagi.

– Jakiej równowagi? Co masz na myśli?

Unoszę brodę w górę w miarę, jak nasila się ucisk, który czuję w gardle. Splatam palce, a dłonie trzymam na podołku. W końcu mówię:

– Nie chciałam dodawać żadnych nowych punktów do „Argumentów przeciwko dalszemu życiu Genevieve”. A co, jeśli właśnie ta sprawa miałaby zdecydować, że postanowisz mnie wyeliminować jako zbyt niebezpieczną? – Nie patrzę na niego, tylko na deskę rozdzielczą; z tego powodu nie mogę ocenić, czy moje słowa nie są aby kroplą przepelniającą czarę.

– Boisz się mnie? – pyta, a w jego głosie wybrzmiewa nieprzyjemne zaskoczenie.

– Oczywiście, że się ciebie boję. Grozisz mi, jesteś apodyktyczny, arogancki. A jeśli sam tego nie widzisz, to jeszcze trzeba do tej listy dopisać wyniosły – mówię, wyliczając na palcach jego wady.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty na moją pomoc? – pyta gniewnie.

– To teraz chcesz mi pomagać? – Śmieję się bez radości, z niedowierzaniem pocieram twarz dłońmi. – Traktujesz mnie, jakbym była jakimś dopustem bożym, a teraz nagle, kiedy powala mnie jaskrawe światło, chcesz mi pomóc? No cóż, przykro mi, ale mam kłopoty z zaufaniem. Więc jeśli nie weźmiesz mi tego za złe, chciałabym trochę odpocząć, zanim trafi mnie piorun albo przydarzy się coś równie dziwnego.

– Przykro mi, że cię wystraszyłem – mówi Reed łagodnie.

Spoglądam na niego ukradkiem i widzę, że ściska obiema rękami kierownicę; gromadzące się w nim napięcie znajduje najwyraźniej ujście na zewnątrz. Jego idealne usta zwężają się, kiedy mówi:

– Żałuję swojego zachowania wobec ciebie. Nie poradziłem sobie zbyt dobrze ze sobą ani z naszą sytuacją.

Oczy rozszerzają mi się ze zdumienia.

– Naszą sytuacją? To, że ty jesteś drapieżnikiem, a ja zwierzyną łowną, nazywasz sytuacją? – pytam go łagodnie. Reed jeszcze silniej marszczy brwi, wyraźnie nie podoba mu się mój dość oczywisty opis relacji między nami. – Ja też tego żałuję, możesz mi wierzyć – dodaję.

Czekam w napięciu, aż odpowie mi zagniewanym tonem, podobnie jak poprzednio. Ale ku mojemu zdziwieniu nie odzywa się. Wydaje się niemal zagubiony, jakby nie wiedział, jak zareagować na moje słowa.

– Reed – wzdycham. – Co ja mam z tobą zrobić? – pytam, patrząc na niego. – Czy może powiesz mi, co się dzieje?

– Sądzę, że dziś wieczorem miałaś przecucie – odpowiada z pełną szczerością.

Nie wiem, jakich słów się spodziewałam, ale na pewno nie takich. Marszczę czoło, odwracam się do Reeda i próbuję się skupić.

– Coś jak halucynacje? – pytam.

– Nie, bardziej jak proroctwo albo omen – wyjaśnia.

Nie zdaję sobie sprawy, że moja lewa dłoń obejmuje w śmiertelnym uścisku gałkę dźwigni do zmiany biegów. Uświadamia mi to dopiero Reed, gdy kładzie swoją rękę na mojej w geście pocieszenia.

– A więc teraz z kolei jestem wyrocznią delficką? To próbujesz mi powiedzieć? – pytam z pogardą w głosie, bo przypominam sobie wszystkie przeczytane w życiu historie związane z omenami. Nigdy nie kończą się dobrze. Dlatego nazywa się je tragediami. Ktoś zawsze kończy w nich z wylupionymi oczami albo jako pokarm dla kruków – myślę cynicznie.

– Nie, oczywiście, że nie. Ty mówisz o mitologii, a tu chodzi o rzeczywistość.

– Okej, a więc omen. Czyli teraz przepowiadam przyszłość? – dopytuję, a Reed w tym czasie splata swoje palce z moimi i odwraca na chwilę moją uwagę od poprzedniej myśli.

– Nie jestem pewien, czy to ty przepowiadasz przyszłość, czy... – milknie zamyślony.

– Czy coś dostarczyło mi informacji pod postacią światła o dużej mocy – podejmuję jego tok myślenia, przypominam sobie porażenie światłem, któremu nie towarzyszyła fala ciepła, ale które mimo to podziało na mnie jak smagnięcie batem.

– Tak – odpowiada krótko i wpatruje się w nasze zaplecione palce, jakby od dawna nie trzymał nikogo za rękę albo jakby to było dla niego całkiem nowe doświadczenie.

Moje myśli galopują, próbuję poskładać jakąś całość z poszczególnych klocków. Ale wydaje się, że elementy wciąż do siebie nie pasują.

– No dobrze, więc kiedy przylatuje statek baza, żeby nas zabrać? – pytam zmartwionym głosem.

– Co takiego? – Reed reaguje pytaniem, a w jego oczach widać zagubienie.

– Statek baza, no wiesz, przybysze z kosmosu.

Patrzy na mnie z miną świadczącą o zniecierpliwieniu.

– Przybysze z kosmosu?

– A więc nie jesteśmy przybyszami z kosmosu? – Nie staram się nawet ukryć własnej ulgi.

– Nie! – odpowiada z naciskiem i wpatruje się w moją twarz, prawdopodobnie w poszukiwaniu innych objawów choroby umysłowej.

Wzdycham i zadaję pytanie:

– Więc czym jesteśmy, Reed? Bo naprawdę, jeśli jakiś wielki robal z kosmosu rozłupie mnie od środka i zacznie wylać na zewnątrz, będę mocno wkurzona, że mnie nie uprzedziłeś.

Irytacja, którą czuję, zaczyna się ze mnie wylewać.

– Genevieve, nie jestem przybyszem z kosmosu. Ani ty – mówi wyraźnie, jakby chciał mieć pewność, że go zrozumie.

– Więc kim jestem? – pytam błagalnie i trzymam jego dłoń w swojej, jakbym chciała wycisnąć z niego odpowiedź.

– Nie mogę ci powiedzieć – marszczy czoło i wbija wzrok w nasze splecione palce.

– Wsiadam z tego samochodu! Otwieraj drzwi! – mówię. Chcę uwolnić swoją dłoń.

– Przecież mówiłem, że nie mogę ci powiedzieć. A nie, że nie chcę. Istnieją pewne prawa, pewne reguły, których nie mogę złamać. – Niechętnie wypuszcza moją dłoń ze swojej i kontynuuje. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że toczy się wojna, a ja jestem żołnierzem?

– Tak – odpowiadam niechętnie.

– Wielu rzeczy nie mogę ujawnić. Nie mogę ci powiedzieć, kim jesteś ani kim ja jestem. Ale zaufaj mi: niedługo się dowiesz.

Dotyka ręką czoła i pociera je, jakby męczył go ból głowy.

– Nie będę udawała, że czytałam dużo o prawach wojennych, „jus in bello”. Ale szczerze mówiąc, wątpię, czy naprawdę chodzi tu o prawa wojny. Mogę zgłosić do protokołu, że nie dbam o twoje reguły – mówię z nadąsaną miną.

Reed śmieje się z moich słów.

– Genevieve, jesteś fascynującą osobą.

Wiem, że pewnie drażni się ze mną, więc ignoruję go i pytam:

– A jakie byłyby konsekwencje, gdyby ktoś wyszedł przed szereg i złamał którąś z twoich reguł?

Twarz Reeda pokrywa się cieniem, jego mina staje się niemal zboląła.

– Powiedzmy, że rzadko ma się szansę, żeby taki błąd naprawić – odpowiada.

Przechodzą mnie ciarki. Kto tu dowodzi? – zastanawiam się.

I pytam:

– Jakie są konsekwencje pomagania komuś takiemu jak ja, gdyby się okazało, że nie jesteśmy po tej samej stronie... że jestem twoim wrogiem?

– Tragiczne – odpowiada Reed i nawet seksowny ton jego głosu nie może zapobiec dreszczom, które mnie przechodzą.

Czekam chwilę, aż jego słowa dotrą w pełni do mojej świadomości. Reed ma powody, żeby się mnie obawiać. Jeśli pomyli się w mojej ocenie, nie będzie dla niego litości. Co zyskuje, pomagając mi? – zastanawiam się... Nic. Założę się, że jako żołnierz nauczył się minimalizować podejmowane ryzyko, tak jak Buns, która mówiła przedtem o uderzeniu wyprzedzającym. Wyeliminować zagrożenie i istnieć dalej, aż do wykrycia kolejnego niebezpieczeństwa. Co on o mnie powiedział? – próbuję sobie przypomnieć. Powiedział, że stanowią zagrożenie, jakiego nigdy wcześniej nie widział, coś całkiem nowego. Ale nie zlikwidował mnie i przyszedł tutaj, bo JT i Pete powiedzieli mu, co mi się przytrafiło. Będzie próbował mi pomóc, choć sam dużo ryzykuje.

– Okej, Reed, wysiadasz – mówię, mocując się z klamką od drzwi.

Reed pytająco unosi jedną brew.

– Co proszę? – pyta, jakby nie dosłyszał moich słów.

– Powiedziałam, że wysiadasz. Nie zdołasz mi pomóc. Teraz widzę, jakie w tym się kryje ryzyko dla ciebie. Przykro mi, do tej pory nie widziałam szerszego obrazu sytuacji, ale chyba już rozumiem twoje położenie. Nie ma dla ciebie dobrego wyjścia w związku z moją osobą. Jeśli jestem twoim wrogiem, a ty mi pomożesz, staniesz się zdrajcą i przerobią cię na befsztyk. Jeśli nie jestem twoim wrogiem, a ty mi pomożesz, dostarczając mi też pewnych informacji, których nie powinnam znać, złamiesz jakieś reguły i też zrobią z ciebie befsztyk. A jeśli dla obu stron jestem nic nieznaczącym pionkiem, najrozsądniejszym wyjściem dla ciebie będzie spokojnie odejść. Więc wysiadasz, nie bawisz się już ze mną.

Wreszcie znajduję przycisk do odblokowania zamka, ale mój triumf związany z pokonaniem drzwi jest krótkotrwały.

Reed warczy:

– Genevieve, nie myśl nawet, żeby wydostać się z tego samochodu, dopóki mi nie wytłumaczysz, co miałaś na myśli, mówiąc, że wysiadam. Jeśli w ten sposób chcesz nazwać mnie tchórzem, mogę cię zapewnić, że...

Przerywam mu, po prostu nie pozwalam mu dokończyć zdania:

– Ostatnią rzeczą, jaką bym powiedziała, to że jesteś tchórzem. Fakt, że tu ze mną siedzisz, pokazuje, że mało dbasz o własne bezpieczeństwo. A to, że wciąż jestem żywa, choć ty na pewno byłbyś bezpieczniejszy, gdybym nie żyła, dowodzi, że nim nie jesteś. Ale nie wiedziałam, że cię aż tak narażam. Mogę być prostolinijna, ale nie jestem głupia i widzę, że nie ma innego sposobu, żeby cię chronić, jak odciąć cię od tego wszystkiego.

– Chronić mnie? Nikt nie odważyłby się mnie chronić! – wyrzuca z siebie Reed, najwyraźniej urażony.

– Dlaczego nie? Nie jesteś wart ochrony? – próbuję zrozumieć, dlaczego moje słowa wywołują w nim taką reakcję.

– Nie jestem słaby! Nie potrzebuję ochrony – mówi Reed. – Ty mnie potrzebujesz, Genevieve. Jestem częścią tego wszystkiego, a ty będziesz ze mną współpracować. I to nie jest prośba.

– Nie, nie prosisz, tylko rozkazujesz... Znow ta twoja arogancja – odpowiadam, zastraszona przez Reeda. Usiłuję ukryć swoje odczucia i ciągnę dalej. – Dobra, chcesz brać w tym udział? Zawiadomię cię, kiedy znow coś się wydarzy. Jezu, próbuj kogoś chronić, to ci odgryzą głowę! Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy przytrafi ci się coś złego, bo sama cię namawiałam, żebyś się trzymał z daleka.

– Ja nigdy nie płaczę – oświadcza Reed stanowczo.

– No to dobrze! – Otwieram drzwi i wysiadam z auta.

Stoję na zewnątrz, ale nachylam się jeszcze i wkładam głowę do wnętrza samochodu.

– I ani przez sekundę nie myślałam, że jesteś słaby.

Nasze spojrzenia spotykają się i widzę, jak w jego oczach migocze coś, co chyba rozpoznaję. Wygląda... na zagubionego... jakby walczył z czymś, czego nie zna. Wzdycham cicho i mówię:

– Dziękuję za pomoc. Dobranoc, Reed.

Zanim udaje mi się zamknąć drzwi, Reed zaczyna mówić w tym samym ślicznym języku, którego używał przedtem. Opieram się o samochód i słucham z błogością, nie wiedząc, co do mnie mówi. Jego słowa brzmią słodziej niż muzyka. Kiedy milknie, zamykam delikatnie drzwi auta i odchodzę wolno do swojego pokoju, próbuję poradzić sobie z niezwykłą tęsknotą, którą w sobie czuję.

Rozdział 10

Prawa przyciągania

Kiedy rano spotykam się z Russellem na śniadaniu w Sadze, próbuje mnie znów przeproszać za komentarze dotyczące pozwania, ale przerywam mu, zanim zdoła posunąć się za daleko.

– Russell, doceniam to, że się o mnie troszczysz. Kiedy MacKinnon zaproponował mi pozowanie, też uznałam, że to trochę wątpliwe. Nie musisz już przeproszać – tłumaczę. – Mnie też jest przykro. – Uśmiecham się do niego. – A jak ci poszedł wczorajszy trening? Jesteś gotów do pierwszego meczu? – smaruję połówkę bajgla dżemem truskawkowym.

– No jasne, ale i tak nie zagram. Trener przydzielił mi czerwoną bluzę [6], więc pewnie zacznę grać dopiero w przyszłym roku – mówi Russell, polewając syropem gigantyczny stos naleśników. – Wystroję się na czerwono i zasiądę na ławie – wyjaśnia, bo dostrzega moje zdezorientowane spojrzenie. – Jeśli mam być szczery, chyba bardziej czekam na twój pierwszy mecz niż na swój.

– Naprawdę?

– Mhm, nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć w tym stroju – odpowiada i puszcza oko.

– Russell, hokej na trawie to poważny sport; nie chodzi tylko o rozrywkę dla męskiej części widowni – rumienię się.

– Tak, poważny... czasem całkiem dziki.

Mrużę oczy w udawanym gniewie.

– No dobra, Marx, otrzymasz porządną premię w czasie sobotniego meczu, a mam teraz solidne wsparcie. Zaprzyjaźniłam się w akademiku z dwiema świetnymi dziewczynami, na pewno będą chętne na bliski kontakt z Russellem.

Russell się śmieje.

– Chodzi ci o te blondynki, które wpuściły mnie w nocy do twojego pokoju? Miałem wrażenie, że są po mojej stronie – chichocze. – Jak one mają na imię? Brownie i Bunny?

– Brownie i Buns. Możesz sobie pomarzyć, kolego. Aha, zanim zapomnę: wysłałam wczoraj maila do wujka, żeby sprawdził twój komputer. – Walczę z pokrywką na kubku z sokiem pomarańczowym. Russell sięga przez stół, wyjmując sok z mojej dłoni, zsuwa bez trudu pokrywkę i oddaje mi kubek. – Dzięki. – Uśmiecham się do niego.

– Naprawdę do niego napisałaś? Co mam zrobić?

– Po prostu włącz komputer i upewnij się, że jest podłączony do Internetu. Wieczorem możesz sprawdzić swoje bebechy.

Russell marszczy czoło.

– Co mam sprawdzić?

Patrzę na niego z uśmiechem i wyjaśniam:

– Swoje bebechy: pocztę elektroniczną i wszystkie strony w sieci, które masz potrzebę przeglądać.

– Wiesz, naprawdę jesteś słodziutka, jak tak mi tłumaczysz te wszystkie komputerowe szaleństwa – śmieje się.

Właśnie wtedy zjawia się Freddie i siada przy naszym stole.

– Freddie! – Uśmiecham się na przywitanie.

– Jak leci, Evie? Słyszałem, że zemdlałaś wczoraj wieczorem w 7-Eleven. Jak się czujesz?

– Co słyszałeś? – Russell i ja pytamy go jednym głosem.

Russell przestaje przeżuwać naleśniki i patrzy oskarżycielsko to na Freddiego, to na mnie.

– Gdzie o tym usłyszałeś, Freddie? – pytam nieprzekonująco i unikam wzroku Russella.

Miałam nadzieję, że nie będę musiała nic mu mówić o wydarzeniach z ubiegłej nocy, ale po jego minie widzę, że jednak nie obejdzie się bez wyjaśnień.

– Od tych dwóch facetów, JT i Pete’a, którzy mieszkają w moim akademiku. Są chyba na drugim roku. Opowiadali, że widzieli cię wczoraj w 7-Eleven i pomogli ci, kiedy zemdlałaś. Mówili, że może chodzić o anoreksję, bo prawie nic nie jesz i dlatego zemdlałaś – tłumaczy Freddie między kęsami śniadania. – Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie mam numeru twojej komórki.

– Dam ci swój numer, żebyś mógł mnie na bieżąco informować o różnych brudach, które się do mnie przyklejają. Nie chcę żyć w nieświadomości – odpowiadam ze złością.

Wpisuję swój numer w komórkę Freddiego i oddaję mu ją. Potem patrzę na Russella:

– Zamierzałam ci powiedzieć – kłamię.

– Ruda, nie graj nigdy w pokera. Nie potrafisz blefować, nawet gdyby od tego miało zależeć twoje życie – mówi Russell beznamiętnie, po czym w milczeniu kończy śniadanie.

– Chciałam tylko chwili normalności... żeby usiąść z tobą i normalnie pogadać, zjeść normalny posiłek, porozmawiać o normalnych rzeczach, we dwoje... ochłonąć – mówię miękko. – Proszę cię, nie bądź taki zgorzkniały.

– Powiniennem być pierwszą osobą, której o czymś takim mówisz. A jestem ostatnią. Nie pasuje mi to. – Russell wbija we mnie spojrzenie brązowych oczu. – Wszystko z tobą w porządku?

No to już sobie ochłonęłam.

– Tak, w porządku. No i masz rację. Przepraszam. Powinnam ci była powiedzieć – mówię możliwie najbardziej skruszonym głosem. – Niewiele wczoraj jadłam, ale nie jestem anorektyczką! – dodaję i odwracam się w kierunku Freddiego.

– Hej, nie zabijaj posłańca. – Freddie podnosi obie ręce w geście kapitulacji.

– Hm... – chrząka Russell i ocenia mnie wzrokiem – nie wyglądasz mi na anorektyczkę. – Uśmiecham się do niego i czuję ulgę, że już się nie gniewa. – Ale powinnaś skończyć tę owsiankę.

Nabieram do ust dużą łyżkę owsianki i żuję demonstracyjnie.

– Mmm... owsianka... moja ulubiona.

– Evie, a będziesz pozować do portretu temu profesorowi? – dopytuje Freddie, który kończy pałaszować jajko. Russell na dźwięk tych słów znów marszczy brwi.

– Freddie, mógłbyś już przestać wpychać mnie pod autobus? – pytam z sarkazmem.

– Że co? Chciałem ci tylko przekazać, że nadal mogę cię pilnować – śmieje się.

To żeś mój zły brat bliźniak – myślę.

Widząc, że obaj czekają na moją odpowiedź, wzdycham i mówię:

– Tak, będę. Rozmawiałam z Buns, która mi powiedziała, że pan MacKinnon jest świetny w tym, co robi, i że to zaszczyt dostać od niego taką propozycję. – Szczęki Russella zaciskają się, więc natychmiast dodaję uzupełnienie. – Ale tak dla pewności, chciałabym, żeby jeden z was dwóch, silnych facetów, poszedł tam ze mną. No wiecie... dla ochrony. Muszę teraz bieć na zajęcia. Do zobaczenia na lunchu.

Kiedy wstaję, moje krzesło odsuwa się: to Russell przesuwają je dla mnie.

– Dzięki. – Patrzę w jego ciepłe, brązowe oczy.

– Tak, spotkamy się na lunchu. Staraj się do tego czasu nie wpakować w jakieś kłopoty... proszę – mówi Russell nieufnie i przesuwają delikatnie palcami po mojej twarzy.

– Zobaczą, co się da zrobić. – Wyruszam na zajęcia.

Kiedy docieram na pierwszy wykład z łaciny, uświadamiam sobie, że program jest bardzo podobny do tego, którym szłam już w liceum. Od razu po łacinie idę do gmachu nauk przyrodniczych na zajęcia z fizyki, które zaczynają się o dziewiątej. Gdy maszeruję korytarzem prowadzącym do sali wykładowej, czuję wyraźnie fruujące motyle, co może oznaczać tylko jedno: gdzieś w pobliżu musi być Reed. Dostrzegam go, kiedy wchodzi do sali. Siedzi przy biurku i sprawdza obecność za wykładowcę.

Podpisuję się i mówię:

– Nie wspominałeś, że jesteś asystentem doktora Farrowa.

– Wiem – odpowiada spokojnie. – Jak ci się spało tej nocy? – Szuka mojego wzroku.

– Hm... okej – kłamię, a puls lekko mi przyspiesza. Poprzedniej nocy budziłam się kilka razy cała mokra od potu, przeżywając ponownie tamten dramat... tamto przeczucie.

Reed marszczy czoło, gdy słyszy moją odpowiedź, jakby wiedział, że kłamię. Ale nic o tym nie wspomina.

– Kiedy się widzieliśmy wczoraj wieczorem, zapomniałem się zastanowić nad pewną sprawą. Muszę to z tobą przedyskutować.

– Okej – odpowiadam i odchodzę na bok, żeby inni studenci mogli się wpisywać na listę.

– Możesz mi dać jakąś podpowiedź? – Skoro mam z nim rozmawiać, wolę mieć możliwie pełny obraz zagrożeń.

Reed łowi wzrokiem moje spojrzenie i mówi:

– Chcę pójść z tobą do 7-Eleven i zobaczyć, czy wydarzy się coś szczególnego, kiedy tam będziesz.

Natychmiast czuję się chora.

– Chcesz zobaczyć, czy będę miała następne przeczucie? – pytam nieufnie.

Miałam po cichu nadzieję, że już nigdy nie będę musiała tam iść. Myślałam, że jeśli przez dziesięć lat albo trochę więcej będę unikać wszystkich długo otwartych sklepów spożywczych, to nic mi nie grozi.

W spojrzeniu Reeda można wyczytać troskę.

– To jeden z powodów, dla których chcę, żebyś tam wróciła – mówi delikatnie.

– A inne? Pokręcić się tam i zobaczyć, czy wydarzy się coś, co będzie spełnieniem pierwszego przeczucia? – pytam, choć z góry znam odpowiedź.

– Tak, to drugi powód. Nie chcę, żebyś tam kiedykolwiek wracała beze mnie... kiedykolwiek... Rozumiesz, co do ciebie mówię? – pyta i znów wpatruje się w moją twarz, prawdopodobnie w poszukiwaniu jakichś oznak sprzeciwu.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno: a co, jeśli przyjdzie mi ochota na... nie wiem, na ciasteczka Twinkies o świecie i jedyny otwarty sklep to będzie 7-Eleven? Z tego, co mówisz, wynika, że powinnam cię wtedy obudzić, nawet jeśli głośno chrapiesz, po to, żebyś mi towarzyszył w pogoni za smakołykami?

– Genevieve, ciasteczka Twinkies nie są zbyt zdrowe, ale gdybyś musiała je kupić, to tak, właśnie tak powinnaś zrobić. Naprawdę je lubisz?

– Nie powiem ci, skoro masz się ze mną drażnić, ale musisz wiedzieć, że jest czymś nieludzkim nie zjeść od czasu do czasu czegoś słodkiego firmy Hostess^[7] – odpowiadam z fałszywą skromnością. – Kupię ci coś na próbę. Zachwycisz się, obiecuję.

A jednocześnie ja oddam światu przysługę – przypominam sobie Reeda bez koszuli.

– Kiedy mogłabyś tam pójść? – pyta ze słodkim uśmiechem na twarzy.

Muszę zrobić kilka wdechów, zanim udaje mi się odpowiedzieć, bo jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiego uśmiechu – jestem oszołomiona, szczególnie dlatego, że absolutnie nie spodziewałam się podobnego widoku.

– Noo... po treningu. Powinnam się spotkać z Brownie i Buns w pewnej sprawie, którą razem się zajmujemy. Mogę powiedzieć, że idę odebrać smakołyki i z dziewczynami spotkam się trochę później w akademiku – tłumaczę i staram się patrzeć w dół na biurko, żeby się nie rozpraszać i nie zgubić wątku. – Musimy być ostrożni, żeby się nie powlekły za nami. Nie chciałabym, żeby się tam kręciły, gdyby miało się wydarzyć to, co może się wydarzyć.

Reed kiwa głową i pyta:

– A co to za sprawa, którą się z nimi zajmujesz?

– Och, po prostu planujemy jakieś figle... Obmyślamy awanturę, jak zawsze. Pójdę już na miejsce, wykład zaraz się zacznie. – Chcę uniknąć odpowiedzi na pytanie o moje konszachty z dziewczynami. To sprawa między nami, tajemnica. – Do zobaczenia po treningu.

A wtedy się okaże, co mnie czeka, myślę, czując dreszcze.

Jeśli Reed będzie przychodził na każde zajęcia z fizyki, wpadnę w kłopoty. Właściwie nie potrafię się skupić na niczym innym niż on: na jego wyglądzie, ruchach drapieżnika, błyskach zielonych oczu, kiedy przyłapuje mnie na podglądaniu go. Gdy zajęcia się kończą, wybiegam

z sali wykładowej, bo muszę uciec od Reeda, zanim zrobię coś koszmarnego – na przykład zanim rzucę mu się w ramiona.



Dzień mija szybko i po obiedzie z Freddieem idę z dziewczynami na trening hokejowy. Radzę sobie naprawdę dobrze. To, że jestem szybka, daje mi przewagę nad wieloma innymi dziewczynami. Przesuwam się błyskawicznie na pozycję atakującej. Wykonujemy trochę ćwiczeń, omawiamy niektóre reguły i trenujemy stałe fragmenty gry. Pracujemy też nad płynnością zmian w trakcie meczu. Kiedy trening się kończy, wyjaśniam Brownie i Buns, że spotkamy się później w akademiku.

– Założyłam się z Reedem tego dnia, kiedy pomagał mi z kolanem: ja twierdziłam, że jest złamane, on mówił, że stłuczone. Wygrał, więc teraz muszę mu się wypłacić – mówię nie całkiem uczciwie.

– A o co się założyliście? – pyta zaciekawiona Buns.

– O ciasteczka Twinkies. Mamy pojechać do 7-Eleven i je kupić. Potrzebujecie czegoś? Mogę zrobić zakupy przed naszym spotkaniem – proponuję z nadzieją, że nie będą chciały jechać z nami.

– O tak, ja też chcę Twinkies! – wykrzykuje z entuzjazmem Brownie.

– Ja też, skarbie. Dasz sobie radę z Reedem? – Buns marszczy nos. – To znaczy chyba cię nie zanudzi na śmierć, co?

– Nie, wszystko będzie dobrze. Do zobaczenia niedługo – mówię, tym razem z nadzieją, że się nie mylę.

Ogarnia mnie niepokój, kiedy odwracam się i widzę, że Reed czeka na mnie na końcu boiska. Nagle uświadamiam sobie, że pomysł tej wyprawy jednak nie jest podręcznikowo rozsądny. Podchodzę do Reeda i wymachuję hokejowym kijem, jakbym próbowała rozgonić czarne chmury, które się we mnie gromadzą. Kiedy już się z nim zrównuję, zaczyna iść razem ze mną. Na ramieniu trzyma kij do lacrosse'a. W niekrępującym milczeniu zmierzamy do samochodu.

Reed otwiera mi drzwi od strony pasażera i przytrzymuje je, a ja wślizguję się na fotel. Mocno trzymam w dłoni kij i kiedy Reed próbuje mi go odebrać i schować do bagażnika, nie wypuszczam go z ręki. Mój towarzysz kuca obok mnie, tak żebyśmy mieli oczy na jednym poziomie.

– Genevieve, co się dzieje? – pyta ze zdumioną miną. – Chyba już się mnie nie boisz, co?

– Potrzebuję tego kija – odpowiadam.

– Dlaczego? – dopytuje, wpatrując się w moją twarz.

Nie patrzę na niego, ale jeszcze mocniej zaciskam palce na uchwycie.

– Bo go potrzebuję – rzucam wymijająco.

Reed unosi brwi.

– Co zamierzasz nim robić?

– To, co będzie potrzebne – odpowiadam niemal szeptem, czuję, że serce mi przyspiesza i zalewa mnie adrenalina.

Reed marszczy czoło.

– Chodzi ci o to, że jeśli coś się wydarzy w 7-Eleven, będziesz potrzebowała kija do obrony? To masz na myśli? – Reed zadaje kolejne pytania i próbuje łagodnie wysondować, z jakiego powodu trzymam uchwyt tak mocno.

– Tak, potrzebuję go. – Zagryzam dolną wargę.

– Rozumiem – odpowiada Reed i wstaje.

Starannie zamyka drzwi po mojej stronie i otwiera bagażnik, żeby odłożyć swój ekwipunek. Podchodzi do drzwi kierowcy, wsuwa się do środka i przekręca kluczyk w stacyjce. Po chwili pracy silnika na wolnym biegu Reed wyłącza go. Patrzę na niego zaskoczona i widzę, że przeżywa jakiś dylemat.

– Przepraszam cię – mówi. – Nie zdawałem sobie sprawy, że to może być dla ciebie takie trudne. Boisz się tam wracać, prawda?

Jeszcze mocniej zaciskam dłonie na kiju.

– Reed, kiedy byłam tam ostatnio, skończyłam, tracąc przytomność i padając na podłogę. Śni mi się to po nocach. Jeśli miałyby się to znów zdarzyć... Tak, boję się. Jestem przerażona.

– Ale przecież będę tam z tobą. Więc nie masz się czego bać.

– Och, więc potrafisz zapobiegać przecuciom? To fantastyczne. Jak to robisz? Ciekawi mnie, jak to wszystko działa.

Reed znów marszczy czoło.

– Kij nic ci nie pomoże jako obrona przed widzeniami – mówi znacząco. – Genevieve, nie mogę zatrzymać tego, co ma się stać, ale będę tam. Nic ci nie będzie, nie pozwolę na to.

– Och, nie pozwolisz. Zawsze udaje ci się osiągnąć wszystko, czego sobie zażyczysz, Reed?

– Tak – odpowiada szczerze.

– Wydaje mi się, że w całej tej sytuacji nie mam zbyt wielkiego wyboru. – Staram się podważyć jego pewność siebie. – Czego ty właściwie chcesz? Bo nie jestem pewna, dlaczego zawracasz sobie tym wszystkim głowę... dlaczego mną. Jaka to dla ciebie różnica, czy coś mi się stanie, czy nie.

Prawdopodobnie to dla niego nic nie znaczy, że może mi się stać krzywda. No bo niby co by go to miało obchodzić?

Jego twarz ciemnieje, tak jakby wizja czegoś złego, co miałyby mnie spotkać, była dla niego odrażająca.

– Przekonamy się, o co w tym chodzi. A ja się tobą zajmę. Będę cię chronił.

– Dlaczego? Dlaczego miałbyś mnie chronić? Reed, ostatnim razem, kiedy się tym interesowałam, ledwo byłeś w stanie mnie znieść. Nie mów mi, że mnie polubiłeś – rzucam szyderczo, sama nie wierzę w taką możliwość. Jestem w tym wszystkim nic nieznaczącym pionkiem i chyba powinnam o tym pamiętać, jeśli zamierzam przeżyć.

Reed włącza silnik i byłby już wrzucił bieg, gdybym nie położyła ręki na jego dłoni. Widzę, jak zaciska szczęki, więc rozumiem, że powiedziałam coś złego. Zdenerwowałam go – myślę. Przez chwilę Reed wpatruje się w moją dłoń, a kiedy po chwili podnosi wzrok i patrzy mi w oczy, widzę w jego spojrzeniu jakąś tęsknotę... potrzebę.

– Genevieve, a gdybym ci powiedział, że kiedy jesteśmy razem, nie tylko ty czujesz fruujące motyle, tę dziwną nieważkość gdzieś tutaj? – Wskazuje na swój brzuch. Serce podskakuje mi w piersi. Szukam w jego twarzy dowodów na to, że ze mnie drwi, ale Reed wydaje się całkowicie poważny. – Wtedy, przy okazji kursu przygotowawczego, najpierw cię poczułem, a potem zobaczyłem i wiedziałem, że jesteś... i chciałem... zresztą pewnie nie chciałabyś tego słuchać – dodaje z ponurą miną.

– Nie, właśnie to potrzebuję od ciebie usłyszeć.

Jego oczy się zwężają.

– Chciałem cię zniszczyć – mówi, a mnie przeszywa dreszcz – i chciałem też wziąć cię w ramiona i kochać, chciałem cię rozszarpać i chciałem miażdżyć to, co mogło ci wyrządzić krzywdę. Wszystko to jednocześnie.

Wrzuca bieg i na wysokich obrotach silnika wypruwa z parkingu. Nie chce na mnie patrzeć. Próbuje zapanować nad swoimi emocjami. Zbyt szybko wchodzi w zakręt – uderzam w jego ramię. Instynktownie podpieram się ręką o jego pierś.

Spoglądam w górę. Jego twarz jest tuż przy mojej, a ręka dotykająca jego piersi pali mnie. Reed wrzuca niższy bieg i uspokaja samochód, ja zaś odpycham się od niego i prostuję w swoim fotelu. Szczęki Reeda wciąż są zaciśnięte, a jego mina świadczy o gniewie albo o czymś innym... jakby przyznanie się, że go pociągam, kosztowało go zbyt wiele.

– Czułeś już kiedyś coś takiego, takie przyciąganie przez inną osobę? – zastanawiam się głośno, nie do końca rozumiem, co mi powiedział.

– Nigdy – mówi z naciskiem.

– Nigdy? – pytam raz jeszcze, a on w odpowiedzi wydaje z siebie krótki pomruk.

Odchylam się na oparcie fotela z mętlikiem w głowie wywołanym jego słowami. On czuje też moją obecność, jakbyśmy byli ze sobą w jakiś sposób połączeni – myślę, spoglądając na niego.

Emocje – silniejsze niż wszystko, czegokolwiek do tej pory doświadczyłam – zaczynają brać we mnie górę. Czuję się upojona i zadowolona z siebie, że jestem jedyną osobą, która kiedykolwiek wywołała w Reedzie takie uczucia. Próbuję opanować wzbierającą we mnie ochotę na śmiech, która jest chyba wynikiem tego stanu... Zakrywam usta dłonią i odwracam się w stronę okna, żeby ukryć twarz przed jego wzrokiem, daremnie. Nigdy nie udaje mi się ukryć własnych uczuć.

Kiedy z moich ust wydobywa się pierwszy chichot, staram się nie patrzeć na Reeda, bo boję się jego reakcji na coś, co uzna zapewne za moją bezduszość.

– Śmiejesz się ze mnie – mówi obrażonym tonem.

– Nie. – Staram się powstrzymać dalsze chichotanie.

– Tak, śmiejesz się – rzuca poirytowany.

– Nie z ciebie, przy tobie – wyjaśniam, wciąż walcząc o opanowanie swoich odruchów.

– To dla ciebie śmieszne? – zgrzyta zębami.

– Śmieszne? Nie, po prostu myślałam, że mnie nienawidzisz – odpowiadam znacząco.

– Nienawiść to mocne słowo. Raczej nie wiedziałem, co robić, biorąc pod uwagę cały zakres emocji, które odczuwałem. To była skrajna frustracja – tłumaczy.

– Jesteś pewien, że to nie była odraza? – dopytuję dalej.

– Nie, nie odraza.

– Zapytam wprost: masz w sobie „Evie-radar”? – pytam, a Reed milczy zaskoczony do chwili, kiedy udaje mi się opowiedzieć o moim „Reed-radarze”.

– Tak, mam – potwierdza kwaśno.

– Trochę to denerwujące, nie? – zadaję kolejne pytanie; wiem, o czym mówię, bo sama z czymś takim żyję.

– To jeden z aspektów tej sytuacji. – Wjeżdża na parking 7-Eleven.

Gdy widzę przez okno czerwono-biało-zielony neon, natychmiast trzeźwieję. Nigdy bym nie przypuszczała, że to miejsce może wyglądać groźnie, ale czuję się, jakbym zaglądała przez bramę do jednego z piekielnych kręgów z *Boskiej komedii* Dantego.

– Więc jaki mamy plan? – Patrzę na budynek, w którym mieści się sklep, i czuję suchość w ustach.

– Wchodzimy i patrzymy, czy coś się będzie działo – odpowiada Reed.

– To znaczy... taki jest twój plan? – Spoglądam na niego z kpiną.

– Tak. – Nie spuszcza z oczu sklepowej witryny.

– Czy mogę zgłosić sprzeciw? Ten plan jest do dupy – oznajmiam.

– Dlaczego uważasz, że plan jest zły? – pyta Reed.

– A nie sądzisz, że powinniśmy przeprowadzić jakieś rozpoznanie, poznać plan tego miejsca, zlokalizować wszystkie wyjścia, zgromadzić zapas broni i mieć na sobie kamizelki kuloodporne? – pytam, również wpatrując się w witrynę.

– Przecież masz swój kij, prawda? – ironizuje.

Drażni się ze mną!

– Reed, a jeśli przyjdzie ktoś z pistoletem albo czymś podobnym? Co ja wtedy zrobię z tym kijem? – pytam.

– Genevieve, dam radę się tym zająć, pamiętasz? Potrafię być bardzo przekonujący. – Reed się uśmiecha.

– A jeśli twoje przekonywanie nie zadziała? Mamy jakiś plan B? – naciskam.

– Zadziała – odpowiada.

- Nie działa na przykład na mnie. – Wskazuję.
- Zauważyłem – odpowiada ze śmiechem.
- Więc?
- Na wszystkich innych zadziała. Ty jesteś szczególna. Chodźmy – zarządza.

Kiedy wysiadam z samochodu, mam wrażenie, że moje stopy są jak ołowiane obciążniki. Trzymam mocno kij hokejowy i biorę kilka głębokich wdechów. Zbliżam się do frontowych drzwi, które prowadzą do sklepu. Reed otwiera je przede mną i trzyma, aż wejdem. We wnętrzu słyszę muzykę sączącą się z głośników w tylnej części pomieszczenia. Grają instrumentalną wersję *Oślepionego przez światło*^[8]. Normalnie taki zbieg okoliczności przemówiłby do mojego poczucia czarnego humoru, ale akurat w tym momencie nie wydaje mi się to zabawne.

Przechodzę powoli w głąb sklepu, liczę się z tym, że w każdej chwili muszę być gotowa, żeby się odwrócić i biec do drzwi. Reed prawdopodobnie uważa, że w głębi duszy jestem bardzo wystraszona, bo uspokajająco obejmuje mnie ramieniem.

- Gdzie było tamto światło? – pyta mnie łagodnym tonem, przybliży usta do mojego ucha.

Odruchowo ocieram się policzkiem o jego twarz, czego skutkiem jest przeszywający moje ciało dreszcz, który nie ma nic wspólnego ze strachem. Nasze spojrzenia spotykają się, a ja czuję, jak się rumienię. W końcu wskazuję jedną z tylnych sklepowych alejek w pobliżu sekcji z lodówkami. Reed chwyta mnie za ramię i przyciska do siebie. Idziemy razem na tył sklepu. Zatrzymuję się dokładnie pod lampą, której światło poprzedniego dnia dało mi w kość. Lęk, jak jakiś wyniszczający narkotyk, wypełnia wszystkie komórki mojego ciała. Stoję pod lampą i czekam, czy raz jeszcze przydarzy mi się coś równie niewiarygodnie złego.

Mijają sekundy i... nic się nie dzieje, a światło nawet nie mruga groźnie. Po chwili przestaję wstrzymywać oddech i wypuszczam powietrze. Uśmiecham się do Reeda z ulgą. On również posyła mi uśmiech, a mnie na ten widok mocniej bije serce. W tym momencie mój umysł rejestruje głośny łoskot dochodzący od strony sklepowych kas.

Moje stopy odrywają się od podłogi i lecę w powietrzu do tyłu, pchnięta siłą zdolną złamać mi kręgosłup. Kiedy instynkt każe mi przygotować się już na uderzenie plecami w drzwi znajdującej się za mną lodówki, zwalniam i moje plecy miękko dotykają zimnej, twardej tafli szkła. Opieram się o tę szybę rękami, czuję, że od mdłości muszę być blada jak ściana. Widzę szerokie plecy Reeda, które osłaniają mnie przed wszystkim, co dzieje się przed nami. Trzęsą mi się nogi; spoglądam na jego dłonie – znajdują się obok moich i tworzą wokół mnie ochronną barierę, która łączy nas ze sobą. Dyszę ciężko, a Reed prostuje się i odwraca do mnie z wyrazem spokoju na twarzy.

- Wszystko w porządku – mówi wolno – to tylko sprzedawczyni szykowała kawę. Upuściła metalowy pojemnik na filtry.

Mrugam przerażona, ale poza tym nie mogę zrobić żadnego ruchu... ani o czymkolwiek pomyśleć. Reed marszczy brwi, przybiera zatroskany wyraz twarzy i mówi:

- To ta blaszana puszka narobiła hałasu.

Opieram się rękami o jego pierś, po czym ostrożnie rozglądam się wokół. Fusy z kawy zaśmiecają podłogę w pobliżu ekspresu.

– Kawa? – szepczę.

Reed nachyla twarz i jego ciepły policzek dotyka mojego. Nie wiem, czy ta pieśczoła była przypadkowa, czy celowa, ale uspokaja mnie... i jest taka zmysłowa. Prostuję się i uświadamiam sobie, że to Reed pociągnął mnie do tyłu, jakbym była suchym liściem poddanym działaniu cyklonu.

– Jak to się mogło stać? – mamrocę do siebie.

Nie wiem, czy czuję trupie zimno od oszronionych drzwi za swoimi plecami, a może jest to wynik doznanej traumy.

Po chwili bierze we mnie górę instynkt przeżycia, bo udaje mi się powiedzieć:

– Mam nadzieję, że nie zamawiałaś kawy, bo pewnie pływałyby w niej fusy. Czy dość już się napatrzyłeś? – zadaję retoryczne pytanie. – Dobra, kończmy już – dodaję.

Reed odchodzi ode mnie o krok i przepuszcza mnie obok siebie. Podnoszę kij do hokeja, który wypuściłam z ręki.

– Evie, przekąski – przypomina mi Reed zza moich pleców. – Zapowiadałaś, że przywieziesz Twinkies.

Przystaję przed witryną z produktami firmy Hostess i biorę z dolnej półki opakowanie Twinkies. Po drodze do kasy omal się nie potykam, bo uświadamiam sobie, że przecież Reeda nie było przy tym, jak obiecywałam koleżankom ciasteczka. Mój towarzysz idzie za mną do kasy i wyjmuję portfel, żeby zapłacić.

– Hej, to przecież ja miałam postawić ciasteczka, nie pamiętasz? – pytam go.

– Nie, te będą na mój rachunek – odpowiada z seksownym uśmiechem, od którego robi mi się gorąco. Reed kładzie jeszcze na ladzie butelkę wody.

– Coś jeszcze? – pyta sprzedawczyni.

Zanim udaje mi się powiedzieć, że nie, słyszę perswazyjny głos Reeda, któremu towarzyszy niesamowite syczenie.

– Tak – mówi – proszę mi dać płytę z zapisem monitoringu.

Z dłoni sprzedawczyni wypadają monety i z brzękiem rozsypują się po ladzie. Dziewczyna wychodzi na zaplecze sklepu. Reed zbiera z lady swoją resztę, a sprzedawczyni wraca po chwili z płytą.

– To jedyna kopia, jaką macie? – pyta Reed tym samym głosem, co poprzednio.

– Tak – odpowiada sprzedawczyni, jakby była lekko ogłuszona.

– Nie będziesz tego pamiętać – mówi Reed i wyjmuję płytę z jej dłoni.

Odwraca się do mnie i wyciąga w moją stronę drugą rękę, żebym ją złapała. Wychodzimy razem ze sklepu, trzymam dłoń w jego dłoni. Reed otwiera mi drzwi samochodu, wsiadam do środka. Kiedy i on siedzi już w swoim fotelu, łamie płytę na szereg kawałków, które wkłada do schowka w desce rozdzielczej. Myślę o tym, co musiało być zarejestrowane na płycie. Nagranie pokazywało zapewne, jak szybko Reed zareagował, kiedy usłyszeliśmy łoskot

metalowego filtra. Ale nie tylko to: można też było pewnie zobaczyć, jak Reed chroni mnie własnym ciałem. Kiedy zapewniał, że będzie mnie pilnował, mówił całkiem poważnie.

– Chyba rzeczywiście niepotrzebny mi był kij – stwierdzam powściągliwie.

– Nie – odpowiada Reed.

– Mogłeś też prawdopodobnie dostać płytę z wczoraj i zobaczyć, co tam było – mówię, drżąc.

– Już to zrobiłem. Od momentu, w którym weszłaś do sklepu, nagranie jest puste – odpowiada.

– Aha. Dziękuję... za to, co zrobiłeś – dodaję z wdzięcznością.

– Nie było żadnego zagrożenia – stwierdza sucho Reed.

– Tak, ale nie wiedzieliśmy tego, prawda? – oponuję.

– Nie chcę cię stracić – mówi miękko.

– Może nie powinienes mi pomagać... – zaczynam.

Zielone oczy Reeda odnajdują moje spojrzenie.

– Nie wiem, co może się wydarzyć, ale niech się dzieje, co chce, a ja i tak podejść do tego ze śmiechem.

– *Moby Dick* – stwierdzam sucho. – Ale nie przypominasz mi Stubba.

Uśmiech Reeda, kiedy uruchamia silnik, jest cudowny. Sprawia, że robi mi się lekko na sercu i czuję, jakby rozjaśniał je ciepły blask świetlików. Wyjeżdżamy ze sklepowego parkingu i kierujemy się w stronę mojego akademika. Rozrywam opakowanie z Twinkies i wręczam jedno ciasteczko Reedowi, który prowadzi auto.

Ostrożnie je obwąchuje.

– To nie był dowcip z twojej strony, prawda? Naprawdę chcesz, żebym to zjadł? – pyta mnie ze stoickim spokojem.

– Tak, są pyszne. – Nadgryzam drugą sztukę z podwójnego opakowania. Reed też odgryza na próbę mały kawałek i z namysłem go przeżuwa. – Wiesz, co by do tego świetnie pasowało? – pytam, oblizując krem z koniuszka palca.

– Nie, co takiego?

– Koniak – mówię z uśmiechem i przeżuвам kolejny kawałek Twinkie.

– Nie powiedz tego przy jakimś Francuzie – mówi Reed i oboje wybuchamy śmiechem.

– Czy ja kiedyś będę równie silna jak ty? – Myślę o tym, jak bez wysiłku poradził sobie z sytuacją w sklepie.

Reed z namysłem marszczy brwi.

– Nie wiem. Jesteś inna niż ja, ale to możliwe – odpowiada. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić ten rodzaj mocy. Głos Reeda poważnieje. – Ale jeszcze nie jesteś wystarczająco silna, Evie. Musisz pamiętać, że nie wolno ci tam chodzić beze mnie. Mówię to najpoważniej. Obiecuj mi – nalega.

– Reed, czy ty naprawdę powiedziałeś do mnie „Evie”? – pytam zdumiona i patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

Przygląda mi się uważnie, a ja zastanawiam się, czy jego motyle są równie energiczne jak moje. Walczę z siłą, która mnie do niego przyciąga. Muszę jak najszybciej uciec od Reeda. Przy nim czuję wielką ochotę na coś, czego nie umiem zdefiniować. To już nie jest taka niewinna chęć bycia blisko niego, przytulenia się. Zaczynam czuć w sobie coś zwierzęcego.

– Obiecuj mi, Evie – powtarza znowu Reed. Nie chodzi tylko o to, że powiedział do mnie „Evie”, chodzi o sposób, w jaki wymówił moje imię, o uwodzicielski ton jego głosu.

– Nigdy nie zwracasz się do mnie „Evie” – mówię miękko. – Zawsze nazywałeś mnie Genevieve i zwykle wypowiadasz to imię, jakbym cię denerwowała, jakbym była nieważna.

– Może przyzwyczajam się do ciebie – odpowiada łagodnym tonem. – I w żadnym razie nie jesteś nieważna – dodaje i marszczy czoło, jakby nagle zobaczył coś z innej perspektywy.

– Powiedz to jeszcze raz. Powiedz jeszcze raz moje imię – proszę go takim tonem, jakbym go uciszała.

– Obiecuj mi, Evie. – Dźwięk jego głosu działa na mnie jak pieśczoła.

– Nic się dziś nie wydarzyło w sklepie. Żadnych rozbłysków światła, groźnych potworów, nic... – milknę i walczę z siłą naszego wzajemnego przyciągania.

– Evie – mówi słodko.

– Obiecuję – odpowiadam bez tchu, czuję rumieniec na twarzy.

– Dziękuję. – Uśmiecha się do mnie.

– Jaki będzie nasz kolejny ruch? – Staram się panować nad sobą i nie dać się całkiem oszołomić jego ślicznej twarzy.

– Czekamy.

– Czekamy? Na co?

– Na ciebie.

– Na mnie? A co ja mam zrobić?

– To się powinno już niedługo wyjaśnić – ciągnie dalej Reed.

– Ale co się ma wyjaśnić? – dopytuję. Reed tylko uśmiecha się do mnie jak dziecko do nowej zabawki. – Nie powiesz mi, prawda? – Czuję przyływ frustracji.

– Nie mogę – odpowiada spokojnie.

– Więc co z ciebie za pożytek? – drażnię się z nim. Reed w tym czasie wjeżdża na parking przy „Yeatsie”. – Mam nadzieję, że smakował ci Twinkie, bo nie dostaniesz następnego, póki nie zaczniesz mówić.

– Więc jakiego figla planujesz ze swoimi blond koleżankami? – Reed ignoruje moje słowa i zmienia temat.

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiadam z fałszywą skromnością, nie chcę pozwolić, żeby jego zachowanie uszło mu na sucho. – Powiem tylko, że to powinno się już niedługo wyjaśnić.

– Bądź ostrożna, Evie. W obecnej sytuacji nie powinnaś chodzić i prosić się o kłopoty. – Reed stwierdza rzecz oczywistą.

Chcę go zapytać, czy naszej wyprawy do 7-Eleven nie nazwałby proszeniem się o kłopoty, ale jest teraz dla mnie miły, więc nie chcę psuć nastroju.

– To się nazywa zabawa, Reed. Też kiedyś powinieneś tego spróbować – mówię ze swawolnym uśmiechem. – Muszę już iść. Zobaczymy się jutro na treningu, tak?

– Tak, spotkamy się na treningu – potwierdza łagodnym tonem, a potem robi coś, czego nigdy bym się po nim nie spodziewała, choćbym miała żyć milion lat. Przechyla się na siedzeniu, sięga ręką i dotyka moich włosów. Robię zaintrygowaną minę i pytająco marszczę brwi.

Koniuszki jego palców muskają mój policzek. Pieszczota jest delikatna jak szept i sprawia, że głośno wdycham powietrze, jakbym dawała po sobie poznać, że dostrzegam niebezpieczeństwo tej chwili. Reed przechyla się wolno w moją stronę, tak wolno, jakby miał nadzieję, że okażę się na tyle silna, żeby oboje nas wybawić od tego, co za chwilę się stanie. Ale we mnie nie ma tej siły, więc czekam na pocałunek. Kiedy wargi Reeda delikatnie muskają moje usta, czuję w całym ciele przyływ ciepła. Zamykam oczy i smakuję tęskną słodycz jego pocałunku, a serce wali mi w piersi jak młot. Końce moich palców dotykają jego policzka, zastanawiam się przez chwilę, jak tam trafiły. Ta myśl znika, kiedy przysuwam się do niego, znów czuję uderzenie gorąca i tracę orientację, spadając swobodnie w ogień.

Kiedy Reed odsuwa się ode mnie, nasze spojrzenia się spotykają. Jego oczy są szarzielone, a źrenice ciemnogrnatowe. Końce moich palców, które ześlizgują się na jego szyję, robią wrażenie zimnych w porównaniu z ciepłem jego skóry. Pochylam się do przodu i znów muskam wargami jego usta... I wtedy jakaś bariera między nami upada, jak upada kamienny mur powoli nadwyręczany przez żywioły. Reed przyciąga mnie do siebie i... to prawdziwy ogień piekielny. Wszystkie pocałunki, które przydarzały mi się wcześniej, w porównaniu z tym były jak zakurzone, zepsute zabawki. Pragnę go. To nie ja kończę nasz pocałunek. Nie mam już kontroli nad gorączką, która mnie opanowała. To Reed – delikatnie, ale stanowczo – przerywa pieszczotę.

Opiera swoje czoło o moje i mówi cicho:

– Evie, mamy kłopot... Nie ma wątpliwości.

– Kłopot... Dlaczego? – chrypię, obejmując go mocno za szyję.

– Bo już nigdy nie będę w stanie trzymać się od ciebie z daleka. – Muska nosem moją szyję tuż pod uchem.

– Och! – mamroczę, trochę w reakcji na te pieszczoty. – Mówisz tak, jakby to było coś złego.

– Powinnaś już iść. – Obejmuje mnie jeszcze mocniej.

– Tak... Mam tę sprawę z dziewczynami... – Przyciskam policzek do jego twarzy i obejmuję go, jakbyśmy mieli już nigdy się nie zobaczyć.

– Okej... spotkamy się jutro – mówi Reed. – Dobranoc, Evie.

– Dobranoc. – Wzdycham, gdy się od niego odrywam.

Nasze ręce pozostają zaplecione aż do chwili, kiedy wysiadam z samochodu. Uśmiecham się do Reeda, zamykam drzwi i stoję na parkingu, by patrzeć, jak wyjeżdża. Idę w stronę drzwi do akademika, zbliżam się do latarni oświetlającej chodnik. Kiedy zauważam, że ktoś pod nią stoi, podskakuję niemalże do góry.

– Russell! – krzyczę, a kiedy widzę wyraz jego twarzy, czuję, że całe życie wymyka mi się spod kontroli.

Russell wygląda jak nieboszczyk. Nie, nie do końca – raczej jak ktoś, kto został zdradzony, jakby właśnie musiał sobie wyjmować nóż wbity w plecy.

– Daruj sobie, Evie, widziałem cię – warczy i zaczyna się oddalać.

– Russell, Reed mi pomagał... – próbuję coś wyjaśniać, ale nie wychodzi mi to zbyt przekonująco.

– Pomagał? W czym ci pomagał? – Zatrzymuje się i patrzy na mnie. – Wyglądało mi na to, że ty mu tak samo pomagasz. O ile nie zadziałał na ciebie tym swoim głosem, można nawet powiedzieć, że się przy tym dobrze bawiłaś.

Wpadam w panikę i rumieniec oblewa mi twarz.

– To znaczy wcześniej...

Milknę. Nie mogę nawet być szczerą z Russellem w sprawie tego, co się wydarzyło w 7-Eleven. Im mniej będzie o tym wszystkim wiedział, tym lepiej. Przecież tak właśnie postanowiłam, żeby go chronić. Ale to wcale nie wygląda na ochronę, wygląda na zdradę i czuję w sercu krwawiącą ranę przez to, że wyrządziłam Russellowi krzywdę.

– Chcesz powiedzieć, że wcześniej było jeszcze więcej? Och, Genevieve, co za ulga! – ironizuje. – Może więc oświecisz mnie, co robiłaś przez cały wieczór z facetem, który jeszcze parę dni temu był twoim wrogiem. – Czeka, aż się odezwę, ale ja nie potrafię nic powiedzieć. – Nie... nie masz mi nic do powiedzenia? – pyta.

– Russell, przykro mi – mówię tylko. Mam gardło ściśnięte do bólu.

– Taa, przykro ci – odpowiada niskim, sarkastycznym tonem.

Odchodzi z opuszczonymi ramionami, a ja zostaję sama z poczuciem wstydu i żalu.

Rozdział 11

Raj utracony

Rano nie idę na śniadanie, żeby uniknąć spotkania z Russellem. Wciąż czuję się nieswojo po tym, co zdarzyło się w nocy. Pocałunek Reeda był po prostu niesamowity, a jednak wciąż prześladowuje mnie poczucie zdrady, które dostrzegłam w oczach Russella. Buns i Brownie próbowały mnie pocieszać ze wszystkich sił, ale nadal czuję się okropnie przez to, że skrzywdziłam Russella. Zresztą nie tylko o to chodzi. Dodatkowo jestem zagubiona, jakbym zapomniała o czymś, o czym miałam pamiętać, jakby umykała mi jakaś ważna szansa.

Postanawiam pójść wcześniej na zajęcia z historii sztuki, żeby spokojnie porozmawiać z panem MacKinnonem. Zastaję go, gdy przygotowuje slajdy na wykład. Po tym, jak Buns mi o tym wspomniała, zauważam, że Sam jest dość przystojny. To taki typ „niegrzecznego chłopca” z pokoju nauczycielskiego. Ma ciemne włosy i niebieskie oczy; do tego lekki zarost – popołudniowy, tyle że jest przecież wpół do ósmej rano.

– Przepraszam, panie MacKinnon, mogę wejść? – Niepewnie wysuwam głowę zza drzwi.

– Ach, Genevieve, prawda? – Spogląda na mnie znad rzutnika. – Tak, proszę, wejdź. Czy przysłałaś powiedzieć, że będziesz dla mnie pozować? – pyta pewnym siebie głosem.

– Więc jest pan nie tylko artystą, ale i telepatą – odpowiadam. – Przepraszam, że kazałam panu czekać na odpowiedź.

– To całkiem zrozumiałe. Widać, że jesteś ponad swój wiek rozsądna. Zadajesz pytania i nie przyjmujesz nic na wiarę – komplementuje mnie. – Kiedy miałabyś czas na sesję?

– Pasowałyby mi wtorki i czwartki, bo mam wolne popołudnia. Wieczorami chodzę na treningi hokeja na trawie – dodaję.

– Świetnie. Więc co byś powiedziała na sesje od wpół do czwartej do piątej? Popołudniowe światło będzie idealnie pasowało do tego, co zamierzam z tobą zrobić. – Przymiata mi się, jakby przymierzał mnie w wyobraźni do swojej wizji portretu.

– Może tak być – mówię trochę nieśmiało. – Kiedy mielibyśmy zacząć?

– Jeśli możesz, dziś. Poproszę Debrę, moją asystentkę, żeby przygotowała się do zrobienia paru zdjęć po południu. A więc o wpół do czwartej – powtarza MacKinnon i entuzjastycznie zaciera ręce.

– Dobrze. Czy pomóc panu z ustawieniem rzutnika?

– Ach, to... Ktoś pomieszał mi slajdy. Będę mówił o paleolicie, o Wenus z Willendorfu, ale z jakiegoś powodu slajdy są nie po kolei, zobacz... – Wskazuje na ekran, który znajduje się z przodu sali. – Ciągle się zacinam na *Ogrodzie rozkoszy ziemskich* Hieronima Boscha. Niektórzy nazywają ten obraz *Tysiącletnim królestwem*.

Staram się ukryć zaskoczenie, bo ten obraz jest dość skandalizujący... to znaczy jak na taką wysoką sztukę.

– Wydaje się, że jest bardzo zawiły. – Spoglądam na obraz olejny, który wygląda jak seria trzech oddzielnych malowideł połączonych w jedno.

– To tryptyk, czyli obraz składający się z trzech sekcji, namalowany farbami olejnymi na drewnie. Spójrz, środkowa sekcja jest największa, kwadratowa, a obok niej widzisz sekcje boczne, prostokątne. Te prostokąty można zamknąć jak okiennice. Oczywiście kiedy się to zrobi, widzi się inny obraz namalowany na ich odwrocie. Tu jest scena stworzenia Ziemi, jak wynika z Biblii, trzeciego dnia – wyjaśnia MacKinnon.

– A co jest na tych obrazach? – pytam zafascynowana.

– Uważa się, że ten na lewo to rajski ogród w chwili, gdy Bóg przedstawił Ewę Adamowi – wyjaśnia z zapalem mój profesor i wskazuje lewą ręką część ekranu. – Środkowy panel to

też raj, ale pod nieobecność Boga. Ogród jest zasiedlony głównie przez fantastyczne stwory i wyjątkowo zmyślne akty. A na prawo jest piekło: ta część pokazuje potępionych.

– Nigdy nie widziałam niczego podobnego. – Ledwo potrafię coś wydukać.

– Tak, Bosch znacznie wyprzedzał swoje czasy. Wiesz, że namalował to około tysiąc pięćset trzeciego roku? Mówi się, że to jego największe arcydzieło, ale ja mam słabość do tryptyku *Sąd Ostateczny*. Poczekaj, zobaczę, czy mam ten slajd... O, tu jest. Lewy panel nosi nazwę *Raj*. Jeśli patrzy się na jego dolną część, wydaje się, że ukazuje Raj i Boga, który stwarza Adama i Ewę. W środku tego samego lewego panelu jest kuszenie Adama i Ewy. Widać, jak anioł wygania ich z Edenu. A na górze tej samej części tryptyku widzimy Niebo z siedzącym Bogiem i aniołami wyganiającymi upadłe anioły. Tu je widać – mówi MacKinnon, wskazując część ekranu, w której namalowana jest walka aniołów wśród chmur. – Toczą między sobą wojnę.

– Fascynujące. – To jedyne, co udaje mi się powiedzieć, z wrażenia lekko się chwieję.

Opieram się o jedno ze stojących koło mnie biurka, bo nogi z trudem dźwigają mój ciężar. Nie mogę oderwać wzroku od górnej części lewego panelu, zwanego *Rajem*. Anioły walczą ze sobą, a upadłe wyrzucane są z Nieba. Staram się słuchać tego, co mówi MacKinnon o pozostałych panelach, ale dzwoni mi w uszach, a serce mocno wali w mojej piersi.

– W połowie semestru będziemy ten obraz omawiać bardzo szczegółowo – wyjaśnia na koniec krótkiego wykładu i uśmiecha się. Przesuwa kolejne slajdy w rzutniku, w poszukiwaniu Wenus z Willendorfu.

Projektor wciąż zalewa salę jaskrawymi kolorami, a z mojej brwi skapuje kropla potu.

– Dziękuję panu, to było bardzo pouczające – mamroczę, a potem podchodzę do wolnego biurka i siadam.

Kiedy zaczynają się zajęcia, muszę walczyć z pokusą, żeby nie położyć głowy na blacie. Wpatruję się w olbrzymią paleolityczną matkę ziemię widoczną na ekranie. Jestem odrętwiała; mogę jedynie wdychać i wydychać powietrze. Chyba nie zorientowałabym się nawet, że zajęcia się skończyły, gdyby pan MacKinnon nie stanął przy moim biurku, żeby mi przypomnieć o spotkaniu o wpół do czwartej. Wstaję i wychodzę z sali. Siadam na schodkach przed gmachem i składam głowę na kolanach. Nie jestem pewna, jak długo tak siedzę, ale coś w końcu przełamuje zimne, wręcz lodowate odrętwienie, które mnie opanowało. Łaskotanie w brzuchu wytrąca mnie z otępienia. Stoi przede mną Reed z wyrazem troski na swej idealnej twarzy.

O wiele zbyt idealnej twarzy – poprawiam się w myśli. Wydaje mi się, że zadał mi pytanie, jak się czuję, ale kiedy na niego patrzę, rozgląda się dookoła, jakby się zastanawiał nad podjęciem jakiejś decyzji. Bierze mnie na ręce i podnosi ze schodów. Znowu jestem w gmachu Sztuk Pięknych, Reed niesie mnie do pustej ciemni fotograficznej, zamyka za nami drzwi i blokuje je.

Pomieszczenie jest słabo oświetlone i przypomina labirynt. Wzdłuż ścian stoi dużo aparatów fotograficznych na statywach. Na tych długich nogach wyglądają jak żurawie,

rozmieszczone między małutkimi oddzielnymi boksami. Za przepierzeniem znajdują się stoły zastawione kuwetami do wywoływania zdjęć i butelkami z odczynnikami. W głębi mieści się mniejsze pomieszczenie ze zniszczoną zieloną sofą i fotelami nie od kompletu ustawionymi w krąg.

Reed siada na wypłowiałej sofie i sadza mnie sobie na kolanach. Sięga do niskiego stolika i naciska włącznik łagodnie świecącej lampki. Łamiącym się głosem mamrocze:

– Reed?

– Ach, więc postanowiłaś jednak przyłączyć się do mnie. Cieszę się. Już się martwiłem, że będę musiał zastosować jakieś drastyczne metody, żeby odzyskać twoją uwagę.

– Zastanawiałam się. – Chyba sama czuję, że nie mówię prawdy.

– Jesteś pewna? Wyglądało raczej, że wpadłaś w katatonię. – Nie odpowiadam, więc Reed drąży dalej. – Nad czym się zastanawiałaś, Evie?

– Nad tymi wszystkimi rzeczami, o których ty nie możesz mówić. Ale głównie nad tym, jak bym się czuła, gdybym była normalna.

– No cóż, ale nie jesteś normalna. A nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy i jak nas stworzono. Urodziłaś się, żeby stwarzać niebezpieczeństwo – mówi Reed poważnym głosem.

– Powinnaś się z tym pogodzić.

– Ja stwarzam niebezpieczeństwo? – pryham z niedowierzaniem.

– Bardzo duże.

– Nie mam wrażenia, żebym była niebezpieczna. Czuję się drobna i bezbronna. – Odwracam od niego twarz.

– Evie, jesteś najniebezpieczniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkałem, a spotkałem wszystkie. – Bawi się moimi włosami.

– Aha, i na pewno się orientujesz, bo chodzisz po świecie od... no, od kiedy, od zarania dziejów? – myślę o drastycznym przedstawieniu walczących aniołów u Boscha. Reed przestaje się bawić moimi włosami, a ja nabieram głęboko powietrza przed zadaniem następnego pytania. – Czy byłeś jednym z upadłych aniołów, czy jednym z tych, który je wyrzucał?

Reed milczy, a z jego twarzy nie da się wywnioskować, o czym myśli. Biorę kolejny głęboki wdech i ciągnę ten wątek dalej.

– Ja się skłaniam raczej ku opinii, że jesteś aniołem wiernym Bogu. Nie bardzo sobie wyobrażam ciebie po złej stronie konfliktu – milknę i czekam, czy cokolwiek odpowie. Mam wrażenie, że Reed nawet nie oddycha. Zamykam na krótką chwilę oczy i próbuję mówić dalej, pomimo ściśniętego gardła. – A ja w takim razie kim miałabym być? Jakimś diabelskim pomiotem czy czymś takim? – Ciało Reeda tężeje. – Nie wiesz, czy nie jestem w połowie upadłym aniołem, a w połowie aniołem bożym – snuję przypuszczenia. – Ale wiesz, że jestem w połowie człowiekiem. Moja matka była człowiekiem, siostrą Jima. Natomiast ojciec jest wielkim znakiem zapytania. Wiesz, że jest aniołem, ale nie wiesz, po której stronie walczy w twojej wojnie.

Kiedy Reed się w końcu odzywa, w jego głosie słyszę podziw.

– Jesteś naprawdę niebezpieczną istotą, Evie. Nie należę do Upadłych. Masz rację, co oznacza, że twoje postrzeganie jest wyjątkowe. Ile ty masz lat?

– Prawie osiemnaście. – Z trudem przełykam ślinę. Moje podejrzenia się potwierdziły. Zamykam oczy i nakazuję sobie oddychać spokojnie.

– Niezwykłe. – Reed znów się odzywa łagodnym tonem. – Jak to wszystko poskładałaś w całość?

Zeskakuję z jego kolan i siadam obok niego na kanapie. Opowiadam mu o panelu *Raj Boscha* i bitwie aniołów w chmurach.

– Jaka będziesz za tysiąc lat, skoro już teraz masz taką intuicję? – zastanawia się Reed.

Wiem, że muszę wyglądać na wystraszoną, ale jestem też zła, to dodaje mi odwagi. Wstaję i wzburzona idę w stronę stołów.

– A więc do listy swoich dziwacznych cech mogę dodać także nieśmiertelność? Świetnie, to powinno być bardzo ciekawe: patrzeć, jak wszyscy przyjaciele starzeją się i umierają, a ja w ogóle się nie zmieniam – mówię z drwiną. – Jaki wiek osiągnę? – Opieram się o stół i wbijam wzrok w Reeda. – Ty wyglądasz tak, jakbyś wczoraj skończył dziewiętnaście lat.

Na jego ustach powoli wykwita seksowny uśmiech.

– Bo mniej więcej tyle mam. Nie powinnaś w przyszłości wyglądać o wiele starszej niż teraz – odpowiada z namysłem.

Przez chwilę zapominam o swojej złości. Podnoszę parę drewnianych szczypiec i zaczynam się nimi bawić.

– Ale przecież nie wiesz tego na pewno, bo jestem w połowie człowiekiem. Jutro może mnie uśmiercić jakiś wirus czy coś takiego.

– Mało prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę, że twoje kolano wydobrzało w ciągu paru godzin. Oboje to widzieliśmy – mówi Reed. – Zupełnie jak u anioła.

– Więc nie można mnie zabić? – pytam w zamyśleniu.

– Wszystko może umrzeć, nawet aniołowie. Tyle że nie jest to tak proste. Gdybyś chciała pożegnać się z życiem, musiałabyś się strasznie nacierpieć – wyjaśnia delikatnym tonem.

– Wspaniale – ironizuję i odkładam szczypce. – Jakie jeszcze cechy dziedziczę po ojcu? Będę miała skrzydła czy coś takiego?

– Prawdopodobnie. – Usta Reeda drżą od tłumionego śmiechu. – Ale nie jestem pewien. Trzeba poczekać i sprawdzić.

Moje oczy się zwięzają.

– Ale ty nie masz skrzydeł! Widziałam cię bez koszuli i najwyraźniej ich nie było. Można je zdejmować, co?

– Tak – śmieje się.

– Wleciałeś na moje schody pożarowe, prawda? Poprzedniej nocy.

Kiwa głową zadowolony z siebie.

– Jak to działa? Nigdy bym nie pomyślała, że można w dowolnej chwili wyposażyć się w skrzydła.

Próbuję sobie coś takiego wyobrazić, ale to wygląda jak jakaś scena z horroru.

– Sama zobaczysz. – Nie chce mi zdradzić żadnych detali.

Akurat tym razem jestem mu wdzięczna, że nie odpowiada mi zbyt szczegółowo.

– Wiesz co, Reed? Wolałabym nie.

Milczę przez chwilę, udając, że oglądam porzucone na stole fotografie. Przychodzi mi do głowy pewna myśl. Spoglądam na Reeda i pytam z wahaniem w głosie:

– Skoro jesteś aniołem, wiesz pewnie wszystko o rajcu?

– Tak. – Słyszę w jego głosie pewną rezerwę.

Pochyla się nieco do przodu i przygląda mi się.

– Opowiedz o nim.

– Nie.

– Dlaczego? – pytam urażona.

Reed marszczy brwi i odpowiada:

– Evie, nie jesteś w pełni aniołem, częściowo jesteś człowiekiem. Masz coś, czego żaden anioł nie ma ani nigdy nie miał, więc odsłanianie przed tobą sekretów rajcu może nie być... rozsądne. Nie jestem nawet pewien, czy powinienem z tobą rozmawiać o Szeolu.

– Szeol? A co to takiego? – pytam, domyślając się po sposobie, w jaki Reed wypluł z siebie to słowo, że to pewnie nic przyjemnego; miałam wrażenie, że ta nazwa zostawia w jego ustach jakiś okropny smak.

– Takie miejsce, które ma wiele różnych nazw, zależnie od tego, z kim rozmawiasz. Jedno z tych określeń to Gehenna, inne Hades, ale pewnie najlepiej znasz nazwę Piekło. Mógłbym podać ci to słowo w języku aniołów, jeśli chcesz, ale generalnie chodzi o otchłań, gdzie mieszkają upadli aniołowie, którzy chcą się przed nami ukryć.

Dostaję dreszczy. Reed mówi o rzeczach, w które nie bardzo wierzę. Znam te pojęcia, ale takie wyciąganie ich na światło dzienne i potwierdzenie ich istnienia przeraża mnie.

– Mówiłeś, że mam coś, czego żaden anioł nigdy nie miał. Co to takiego? Jak rozumiem, ty też tego nigdy nie będziesz miał? – pytam zagubiona.

– Masz duszę.

– Och, a ty nie masz duszy? – dopytuję całkiem zaskoczona.

– Nie, tylko ludzie ją mają. Przynajmniej tak było, póki nie zjawiłaś się ty. Jesteś jedynym znanym mi aniołem, który ma duszę... Jesteś wyjątkowa – mówi z czułością.

– Chcesz powiedzieć, że jestem żywym, chodzącym paradoksem? – upewniam się, całkiem oszołomiona.

– Hybrydą.

– Ironią losu.

– Boskim kompromisem.

– Wybrykiem.

– Nie, w żadnym wypadku. – Reed zaciska szczękę.

– Powiedziałeś, że kiedy mnie zobaczyłeś, twoim pierwszym odruchem była chęć zniszczenia mnie – mówię ze smutkiem, myślę, że być może tamto odczucie Reeda było uzasadnione.

– Przepraszam cię, Evie – wzdycha Reed – ale aniołowie to istoty zazdrosne. Pamiętasz może, że chciałem cię też jednocześnie kochać i chronić. Wszystko naraz.

Zmieszana marszczy czoło.

– Byłeś o mnie zazdrosny? – pytam sceptycznym tonem.

– Masz przecież duszę – mówi Reed, tak jakby to wyjaśniało wszystko.

Marszczy nos.

– I co z tego?

– A o co twoim zdaniem toczy się ta wojna? O dusze – odpowiada.

Moje czoło się wygładza.

– Ach, więc chciałbyś mieć duszę?

– Przecież właśnie to powiedziałem. – Reed zmysłowo krzywi usta.

– Więc może poleć do Nieba i poprosić o duszę. Chyba je teraz rozdają. – Macham ręką i wskazuję nią w górę.

Z twarzy Reeda znika uśmiech.

– Evie, nie mogę udać się do Nieba, jeśli nie zostanę wezwany – wyjaśnia z nutą tęsknoty w głosie; nutą, której nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

Wracam na sofę i siadam obok Reeda, tłumię w sobie gwałtowne pragnienie dotknięcia wargami jego ust. Chciałabym scałować z nich jego smutek – głównie dlatego, że nie wiem, jak na niego reagować.

– Aha, a jak często cię tam wzywają? – pytam. Wydaje mi się, że musi od dość dawna przebywać z dala od Nieba, bo jego tęsknota za domem jest wyraźna.

– Evie, ja jeszcze nigdy nie byłem wezwany.

– Nigdy? – pytam z szeroko otwartymi oczami. To znaczy, że jest tu prawie od zawsze.

– Nigdy. Mam misję do wypełnienia. Jestem świadomy tego, co trzeba zrobić. – Głos Reeda brzmi nieszczerze.

– Wyjašnjmy to sobie: chcesz powiedzieć, że jesteś tu, na Ziemi, niemalże od zarania dziejów?

– Tak.

– I co robisz?

– To, do czego zostałem stworzony. – Uspokajająco masuje dłonią moje ramię.

– Czyli do czego? – Obawiam się odpowiedzi.

Reed nie rozczarowuje mnie. Jestem skrajnie przerażona, kiedy słyszę jego słowa:

– Do niszczenia zła. Do walki z legionami Upadłych. Evie, jestem żołnierzem, zabójcą... Mówiłem ci o tym.

– Jasna cholera! – piszczę.

– No tak... – Uśmiecha się.

Ledwo oddycham, serce wymyka mi się spod kontroli, ogarnia mnie mieszanina paniki i podziwu.

– Evie, wszystko w porządku?

– Nie.

Nic nie jest w porządku. Jak ma być w porządku? On naprawdę jest aniołem.

– Co się dzieje? – Lekko dotyka mojego policzka i odwraca moją głowę w swoją stronę.

– Ha! A cóż się może dziać, Reed? – odszczekuję się. – Jesteś jakimś cholernym aniołem, a ja... ja nawet nie wiem, kim jestem... Właściwie równie dobrze mogę być koniem trojańskim. Może powinniśmy mnie rozciąć i zobaczyć, czy nie wyskoczy ze mnie horda facetów w spódniczkach – mówię zrozpaczona.

– Nie bądź śmieszna, nie masz w środku nic innego poza samą sobą. Wiedziałbym o tym.

– No jasne, że byś wiedział, bo przecież jesteś aniołem! – ni to szepczę, ni to krzyczę.

– Cii... Evie, wszystko w porządku. – Zakłada mi włosy za ucho. – Wszystko będzie dobrze. Masz duszę. A to znaczy, że możesz zostać odkupiona. Nieważne, skąd pochodzisz, bo ten dar jest w tobie.

Pytam go z wahaniem:

– Więc twierdzisz, że mam możliwość znalezienia się w raju, nawet jeśli mój ojciec to upadły anioł? – Słowo „demon” jednak nie chce mi przejść przez gardło.

– Tak – odpowiada Reed, a słowo to brzmi jak pieszczota.

– Dzięki duszy? – Odczuwam odrobinę ulgi.

Wyraz twarzy Reeda staje się bardziej ponury.

– Tak, tylko że... – zaczyna, ale przerywam mu.

– Tylko że co?

Reed wzdycha ciężko.

– Są pewne... minusy sytuacji anioła obdarzonego duszą.

– Ach tak... pewne minusy. A jakie? – Czuję okropne ściskanie w dołku.

– Wielu patrzy na twoją duszę z zazdrością i pragnęłoby cię zniszczyć, żeby ją odebrać. – Reed wpatruje się w moją twarz w poszukiwaniu oznak rozpacz.

– A więc według ciebie mogę być celem ataku? – pytam najspokojniej, jak potrafię.

– Tak, dla niektórych. Dla innych z kolei jesteś raczej nagrodą czy trofeum, a dla tych, którzy są naprawdę potępieni, mogłabyś stać się wyjściem z ich rozpaczliwej sytuacji – mówi Reed łagodnie, nadal wpatrując się we mnie.

Kim jesteście, wy potwory, które gdzieś się czaicie i czyhacie na mnie? – wzdrygam się wewnątrz.

Jeż mi się włoski na ramieniu, kiedy wypowiadam szeptem te słowa:

– Moja dusza może być dla kogoś przepustką, żeby wydostać się z piekła, tak...? To znaczy z Szeolu?

Reed przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Mam wrażenie, że chroni mnie ramionami.

– Właśnie o to chodzi – mówi, jakby był ze mnie dumny, że sama doszłam do prawidłowego wniosku. Ja jednak wolałabym wrócić do czasów, gdy pozostawałam w błogiej nieświadomości.

Opieram głowę na piersi Reeda.

– Twoja dusza potrafi przetrwać w anielskim ciele. Nigdy wcześniej tego nie widziałem. Jestem pewien, że żaden z Upadłych jeszcze cię nie widział... Z wielu powodów na pewno by się tobą zainteresowali. Stanowisz dla nich skrajne niebezpieczeństwo, jesteś tym, czego zawsze im zabraniano. Wolę się nie zastanawiać, co któryś z nich mógłby ci zrobić, gdyby cię spotkał, i nie bardzo rozumiem, w jaki sposób tak długo nie zostałam zdemaskowana. – Przyciska mnie do siebie mocniej, jakby nawet i teraz chciał mnie chronić.

Zapala się we mnie mała iskierka nadziei. Widzę dzięki niej, jak ponury stał się mój świat i – co ważniejsze – jak bardzo potrzebuję Reeda. Myśli kotłują mi się w głowie, iskierka gaśnie niczym fosforyczny blask świetlika; w końcu mówię:

– Ale przedtem mówiłeś, że może będziesz musiał mnie zniszczyć.

Głos Reeda brzmi bardzo poważnie:

– Od tego czasu doszedłem do wniosku, że twoja dusza wszystko zmienia. Możesz być odkupiona i to się liczy, a nie to, skąd pochodzisz. Dysponujesz wolną wolą, jak ludzie. Doświadczasz też przeczuć, które mogą pochodzić z boskiej inspiracji.

Zmieniam pozycję, żeby móc spojrzeć na jego twarz, a potem pytam:

– Ale skoro chronienie mnie może być dla ciebie niebezpieczne, po co miałbyś to brać na siebie?

On jest szalony, zadając się ze mną.

– Evie, wiesz, ile mam lat?

– Dużo – odpowiadam ogólnikowo, bo nie mam w ogóle pojęcia, jak mierzyć jego wiek.

– No tak – potakuje. – Jestem tu już od dawna, ewoluuję razem z ludźmi, ale nie jestem jednym z nich. Walczyłem ramię w ramię z innymi aniołami. Jesteśmy dobrymi żołnierzami, brutalnymi zabójcami. Nie stanowimy jednej rodziny, nasze przyjaźnie opierają się najczęściej na wspólnych zadaniach wojskowych.

– Rozumiem. – Próbuję sobie wyobrazić tę ewolucję Reeda.

– Jestem żołnierzem... zabijam... a nie czuję. – To ostatnie słowo wypowiada, jakby dotyczyło jakiegoś schorzenia. Po chwili wyjaśnia dalej. – A potem cię zobaczyłem i poznałem uczucia, których nigdy wcześniej nie doświadczyłem... – Patrzy na moją twarz, próbuje dostrzec, czy rozumiem, co do mnie mówi. – Jesteś jak syrena, która mnie wzywa, a ja czuję, że... – milknie.

– Co czujesz? – Delikatnie dotykam dłonią jego policzka.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem dzisiaj, żeby cię odszukać? I w jakim stanie cię znalazłem, kiedy siedziałaś na schodach? – Przyciska twarz do mojej ręki.

– Nie – odpowiadam szeptem, zafascynowana łagodną doskonałością jego rysów.

– To przez twoje serce. Ono dla mnie śpiewa, woła mnie. Wiem, kiedy się boisz, kiedy masz koszmarne sny i budzisz się w środku nocy. Wiem, kiedy jesteś szczęśliwa. Ale dziś mnie przerażałaś. Twoje serce przestało śpiewać. Zwolniło swój rytm i ledwie mogłem cię usłyszeć. Musiałem cię znaleźć... – mówi i przysuwa twarz, tak że jego wargi delikatnie ocierają się o wnętrze mojej dłoni.

– Naprawdę słyszysz na odległość moje serce? – pytam, a kiedy Reed w odpowiedzi kiwa głową, mam wrażenie, że organ, o którym mowa, w ogóle przestanie bić z nadmiaru wrażeń.

– I czujesz też to łaskotanie, tak jakby motyle?

– Tak – odpowiada.

– Musiało ci się to już wcześniej przydarzać. Na pewno nie jestem jedyną osobą, która cię... – Milknę, kiedy Reed przecząco kręci głową. Przez chwilę przepełnia mnie euforia, aż po chwili zastanowienia zadaję kolejne pytanie. – Nikogo nie spotkałeś?

– Na Ziemi nie – odpowiada, a mnie kraje się serce. Żyć przez całą wieczność bez miłości...

– To całkiem bez sensu. Ty jesteś idealny, a ja to mutant. Co ten Bóg sobie myśli? – pytam.

– Ty nie jesteś mutantem, a ja nie jestem idealny – mamrocze Reed. – Przez cały ten czas, kiedy tu jestem, nauczyłem się jednej rzeczy. I to jest najlepsza nauka, jaką mogę ci przekazać. Oto ona: nigdy nie sądz, że rozumiesz zamiary Boga.

– No tak, dobrze, to akurat dla mnie łatwa sprawa, bo nie mam o jego intencjach zielonego pojęcia. – Myślę o tym, co przed chwilą usłyszałam od Reeda na temat swojego serca i o tym, że przez większą część istnienia jest sam. Jak musiał się z tym czuć? – A czy nie ma... no wiesz... anielic? – pytam, czerwieniąc się.

– Są – odpowiada.

– No, a jakie one są? – Czuję lekką zazdrość.

Jego zielone oczy nabierają łagodnego wyrazu, kiedy na mnie spogląda.

– To wspaniałe wojowniczkę – odpowiada.

– Ale chodzi mi o to... jakie są, kiedy nie walczą? – próbuję raz jeszcze, mam nadzieję, że uda mi się zrozumieć jego świat.

Sądząc po uśmiechu, Reed jest zadowolony z siebie.

– Pytasz, czym się różnią od ciebie?

Kiwam głową i zastanawiam się, czy widać po mnie, że jestem zazdrosna. Reed wzrusza ramionami i mówi:

– Te, które zostały wysłane na Ziemię, żeby zabijać Upadłych, są twarde, tak jak ich męskie odpowiedniki. Prawie nie ma w nich żadnej kobiecości. Brakuje im tej tajemniczości, którą mają kobiety, tego powabu. Niektórzy aniołowie łączą się tu w pary, ale to raczej dla wygody. Rzadko zostajemy w związkach jako partnerzy.

– Żartujesz? – pytam.

– Nie. Jesteśmy wojownikami. Nie znamy takich uczuć, jak ludzie, przynajmniej nie znaliśmy do niedawna. – Wydaje się poirytowany własnym zwierzeniem. – Są też aniołowie innych rodzajów, nie tylko wojownicy. Mają do spełnienia inne misje i są łagodniejsi, ale wśród nich nigdy nie szukałem partnerki.

– A co z ludzkimi kobietami? Żadna cię nigdy nie pociągała? – pytam z niedowierzaniem. Jakie są szanse na coś takiego?

Wyraz twarzy Reeda staje się nieufny.

– Ludzkie kobiety są zbyt kruche, zbyt łatwo je uszkodzić. Trzeba by jakoś strasznie uważać... – milknie i po chwili zaczyna znowu. – Jestem bardzo silny i mógłbym... ale nigdy nie kusiło mnie, żeby... Nigdy nie spotkałem nikogo, kto...

– Śpiewałby do ciebie? – Lituje się nad nim, chcę mu oszczędzić dalszego jąkania się i prób wyjaśniania.

– No właśnie – odpowiada z wyraźną ulgą, że uchroniłam go od dalszych tłumaczeń.

– No a ja? Jestem w połowie człowiekiem. Czy też jestem zbyt krucha? – pytam wymijająco, nie wiem, jak poruszyć temat całkowicie szczerze.

– Teraz jesteś krucha. Łatwo mógłbym cię zmiażdżyć, w ogóle bez wysiłku. Ale to się wkrótce zmieni i będziesz silna jak anioł – odpowiada Reed z pewnością w głosie.

– Mówisz tak, jakbym miała uwić wokół siebie kokon i ulec jakiejś metamorfozie czy czemuś takiemu – mówię i wbrew rozsądkowi, mam nadzieję, że się mylę.

– Nie, nie chodzi o nic tak drastycznego... chociaż może metamorfoza jest odpowiednim określeniem – mówi z namysłem.

– A skąd wiesz, że się zmienię?

– Wszyscy zaczynamy jako istoty słabe, a potem, mniej więcej w twoim wieku, zmieniamy się.

– Więc kiedy?

– Niedługo.

– Kiedy dokładnie?

Wzrusza ramionami i mówi:

– Kiedy będziesz gotowa.

Przewracam oczami sfrustrowana.

– Czy mój wygląd się zmieni?

– Dla niewtajemniczonego nie, ale będą subtelne różnice.

Nie rozwija tej myśli, a ja mogłabym go kopnąć ze złości. Czasami rozmowa z nim przypomina wyrywanie zęba. Powiedziałabym, że to typowe dla mężczyzn – unikanie szczegółów – ale w Reedzie nie ma niczego typowego.

– Będzie bolało? – pytam zaniepokojona.

– To rzecz względna – odpowiada.

– Ból nie jest rzeczą względną.

– Naprawdę? A co powiesz o tym? – pyta Reed i szczypie mnie w ramię.

– Ała! To boli! – krzyczę, wyrywam rękę i energicznie pocieram bolące miejsce.

– No to możesz mieć kłopoty – mówi Reed i ma czelność wypowiadać te słowa rozbawionym tonem.

– Wiesz, mogę się jeszcze okazać silniejsza od ciebie. I co wtedy zrobisz?

Chichocze, jakbym opowiadała jakiś dowcip, a może dlatego, że czuje się szczęśliwy. Chyba właśnie o to chodzi. Jest szczęśliwy z powodu mojej nieuniknionej przemiany w silniejszą istotę, istotę, która będzie mogła dotrzymać mu kroku... A on z kolei będzie jedyną znaną mi istotą, zdolną dotrzymać kroku mnie.

– Reed?

– Mhm.

– Jeśli nie jestem w pełni człowiekiem i nie jestem w pełni aniołem, skąd mam wiedzieć, jakich reguł powinnam przestrzegać? Nie znam anielskich praw. Znam tylko niektóre ludzkie, choć i tak co i raz nie jestem ich pewna.

Reed marszczy brwi.

– Nie wiem, Evie. Niektóre z naszych praw są całkiem odmienne niż ludzkie.

– Podaj jakiś przykład – proszę.

– Ludzie nie powinni się nawzajem zabijać. A ja zostałem zesłany właśnie po to, żeby zabijać.

Mimo że jego wyznanie powinno mnie zaniepokoić, czuję się raczej zaciekawiona niż przestraszona.

– Anioł Mściciel, rozumiem.

– No właśnie – odpowiada z lekkim uśmiechem. – Ludzie powinni szanować swoich rodziców. Ja zostałem stworzony przez Boga, nie miałem matki ani ojca.

– Aha. – Staram się ukryć zdumienie.

– Ludzie nie powinni szukać pociechy u małżonka innej osoby, ale aniołowie nie mają małżonków; my się nie żenimy – wyjaśnia Reed swobodnie. – Co prawda wielu ludzi ma sporo kłopotów z przestrzeganiem tej zasady.

– Dzięki, już kojarzę, o co chodzi – odpowiadam, skupiając się na tej ostatniej informacji.

– Więc wy się nie żenicie... Interesujące, ale możecie... – Nie potrafię wyrazić do końca mojej myśli i zapytać o to, czego chciałabym się dowiedzieć.

Ale tym razem Reed sam wybawia mnie z kłopotu:

– Chcesz wiedzieć, czy jestem taki jak inni mężczyźni, czy mogę się kochać z kobietą, jeśli zechcę? – pyta rozbawionym głosem.

– Tak. – Czuję, że czerwienię się na twarzy.

– Mogę, ale to by służyło tylko przyjemności. Nie jestem w stanie płodzić dzieci.

– No więc jak to w ogóle możliwe, że ja istnieję?

– Evie, właśnie dlatego jesteś taką tajemnicą. Zgodnie z logiką nie powinnaś istnieć, ale istniejesz. I ten fakt dowodzi, że coś się musiało zmienić. Wszystko, co dotyczy ciebie, jest

inne, niż powinno, bo ciebie w ogóle nie powinno być – mówi powoli, starając się, żeby dotarło do mnie znaczenie jego słów.

– A jak powstają anioły? – pytam.

– Rodzimy się z ognia – oświadcza Reed. Kiedy widzi moje otwarte szeroko ze zdziwienia oczy, ciągnie dalej. – No cóż, „rodzimy się” nie jest może najszcześniejszym określeniem. Nigdy nie byłem dzieckiem. Zawsze wyglądałem tak jak teraz, ale na początku życia byłem słaby, tak jak ty. W trakcie dorastania wykształciły mi się skrzydła i spodziewam się, że tobie też wyrosną. Ale nie jestem wtajemniczony w szczegóły twojej ewolucji. Mogę tylko coś domniemywać, w oparciu o moje dotychczasowe obserwacje. Ten sposób gojenia się twoich ran... to jest typowe dla aniołów.

Zagryzam dolną wargę.

– Jeśli stanę się aniołem czy raczej kimś podobnym do anioła, to co będzie, kiedy znajomi albo wujek zauważą, że się nie starzeję? – Reed milczy. Nie jest pewien, jak ma mi powiedzieć to, co ja już i tak wiem, więc tym razem to ja wybawiam go z kłopotu. – Nie wolno mi nic im powiedzieć, prawda?

– Nie wolno – potwierdza łagodnym głosem.

– To jedna z reguł?

– Tak.

– Chyba nie lubię waszych reguł. Może to znaczy, że do mnie nie stosuje się żaden zestaw reguł. Przyszło ci to do głowy? – przedstawiam kontrargument. – Nie prosiłam o to wyróżnienie i o tytuł jedyne anioła, który jest obdarzony duszą. Kto by chciał coś takiego?

– Evie... – Wzdycha.

– Reed – odpowiadam sfrustrowana.

– Chciałbym znać odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, ale nie jestem wszechmocny ani wszechwiedzący. Jeśli chodzi o ciebie, w gruncie rzeczy wiem bardzo mało. Ale nie jestem nieszczęśliwy, że istniejesz – mówi Reed seksownym tonem i przysuwa się bliżej.

Byłoby znacznie przyjemniej usłyszeć, że wpada w ekstazę na myśl o moim istnieniu, więc ignoruję jego wypowiedź i pytam:

– Więc nie mogę nikomu powiedzieć?

– Na razie będzie lepiej, jeśli nic nikomu nie powiesz. Nie tylko dlatego, że to jest zabronione, ale też dlatego, że chcemy utrzymać twoje istnienie w możliwie najgłębszej tajemnicy tak długo, jak się da. Próbuję czuwać nad twoim bezpieczeństwem. – Sięga ręką ku mojej głowie i zaczyna mnie głaskać po włosach.

– To całkiem rozsądne. – Próbuję patrzeć na sprawy zgodnie z jego logiką. – Właściwie to nawet nie wiem, co mogłabym powiedzieć, żeby to nie zabrzmiało nieskończenie śmiesznie. – Milknę na chwilę, ale coś mnie dręczy, coś, co dokucza mi od dłuższej chwili. – Reed, czy mogę cię o coś zapytać?

– To teraz mnie pytasz? Po tym, jak od godziny zarzucaś mnie różnymi pytaniami? – żartuje.

– Chodzi o Russella.

– Nie, nie chcę o nim rozmawiać – odpowiada natychmiast, a w jego głosie nie słychać już rozbawienia.

– Dlaczego?

– Nie chcę dyskutować z tobą o twojej bratniej duszy.

– Reed, czy nie powinnam się dowiedzieć, co masz na myśli, gdy mówisz o bratniej duszy? – pytam łagodnie, bo widzę jego niezadowolenie, że nasza rozmowa zeszała na Russella.

Reed znowu milczy, zachowując kamienną twarz. Zastanawiam się, czy wie, że wczoraj wieczorem zraniliśmy Russella do żywego naszym pocałunkiem. Zmieniam pozycję: siadam Reedowi na kolanach i odwracam się tak, żeby widzieć jego twarz. Zaczynam bawić się guzikiem przy jego koszuli i mówię:

– Mam nadzieję, że to nie potrwa kolejny tysiąc lat, zanim mi zaufasz na tyle, żeby mi parę rzeczy wytłumaczyć.

Mija milisekunda albo jeszcze mniej i ląduję płasko na plecach na miękkich zielonych poduszkach sofy. Reed wisi nade mną i wpatruje się we mnie wzrokiem drapieżnika, jak kot, który ma za chwilę zaatakować. Pod wpływem jego intrygującej siły wydobywam z siebie ciche, chropawo brzmiące westchnienie. Czuję, jak palce Reeda zaciskają się na moim biodrze, a jego idealna twarz przybliżyła się do mnie, opada, aż nasze wargi ocierają się o siebie. Obejmuję go ramionami za szyję i wydaję z siebie pomruk małego kotka. Odwzajemniam pocałunek, najpierw kokieteryjnie, jakbym flirtowała, ale bardzo szybko emocje rosną, zaczynają mnie trawić jak ogień.

Reed odrywa usta od moich warg, patrzy mi w oczy i szepcze:

– Chcę tego tysiąca lat z tobą, Evie, nie masz pojęcia, jak bardzo chcę. Chcę tysiąca lat, a potem jeszcze sto tysięcy.

Kiedy Reed uwalnia się z moich objęć i odsuwa się jeszcze dalej, mam ochotę jęknąć z rozczarowania. Obejmuję mnie ramieniem i podnosi tak, że siedzę teraz obok niego.

– Jest tyle rzeczy, których nie widziałaś – ciągnie dalej – tyle miejsc, w których nigdy nie byłaś. Chcę ci wszystko pokazać i doświadczyć wszystkiego raz jeszcze z tobą, poprzez ciebie. Ale zastanawiałem się nad tym i wydaje mi się, że akurat teraz właśnie to miejsce, Crestwood, jest dla ciebie najbezpieczniejsze, że powinnaś tu być. Chcę cię chronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Niestety, teraz ja też jestem dla ciebie niebezpieczny. Muszę być ostrożny i upewnić się, że nie wyrządę ci krzywdy, po to, żebyśmy mieli później dla siebie te wszystkie lata.

Marszczę brwi i pytam rozczarowana:

– Bo teraz jestem zbyt krucha?

– Tak. Obawiam się, że mógłbym cię niechcący zmiażdżyć – wyjaśnia delikatnym głosem.

– Och – odpowiadam cicho – jak długo...

Reed przesyła mi swój najbardziej seksowny uśmiech i mówi:

– Nie wiem... kiedykolwiek będziesz gotowa...

– Ale – mamroczę – co mam zrobić, jeśli wcześniej byłoby dla mnie lepiej...?

– Nie byłoby – odpowiada z uśmiechem, dotykając mojego policzka.

Reed milczy przez chwilę i zdaje sobie sprawę, że targa nim jakiś wewnętrzny konflikt. Widzę, że w jego umyśle toczy się wojna, natychmiast pochmurnieje.

Reed wzdycha, jakby poczuł, że przegrał bitwę, i odzywa się do mnie:

– Kiedy mówię, że Russell jest twoją bratnią duszą, właśnie to mam na myśli. Jesteście dwiema duszami, które wszędzie za sobą podążają. Wyobrażam sobie, że wiele razy dzieliłaś z Russellem różne swoje życia. Widać to po sposobie, w jaki wasze dusze wzajemnie się przyzywają. Gdyby on tu nie przyjechał, odszukałabyś go gdzieś indziej, gdziekolwiek by akurat przebywał. Znaleźlibyście się, bo jesteście dla siebie prawie jak dwie połowy całości – stwierdza pośpiesznie.

Kiedy słucham jego słów, oczy otwierają mi się coraz szerzej. Na ustach Reeda pojawia się cień uśmiechu, kiedy dodaje:

– Tylko że sytuacja w tym wcieleniu się zmieniła. Nie jesteś już w pełni człowiekiem. Jesteś też w części aniołem i dlatego wasze dusze, twoja i jego, będą przez całą wieczność rozdzielone, to znaczy do czasu, kiedy spotkacie się znów w raju. O ile takie jest wasze przeznaczenie – wyjaśnia Reed, jakby przedstawiał najgorszy możliwy z jego punktu widzenia scenariusz.

– Chcesz powiedzieć, że Russell i ja byliśmy już na Ziemi wcześniej... w innych wcieleniach? Razem? – pytam z niedowierzaniem.

– Tak – odpowiada Reed.

– Bratnie dusze? – Staram się zrozumieć jego słowa.

– Tak – zgrzyta zębami.

– Tak jak przy reinkarnacji? – Próbuję przypomnieć sobie to pojęcie, którego z pewnością nie uczono mnie w szkółce niedzielnej.

– Tak. – Reed wyskubuje jakiś niewidzialny kłaczek z rękawa koszuli.

– A co się stanie z duszą Russella, kiedy moja nie będzie już dostępna? – pytam, mocno zaniepokojona tym, co mogę od niego usłyszeć.

– Może znajdzie sobie jakąś inną bratnią duszę – odpowiada bez przekonania.

– Jakie są szanse, że tak się stanie? – dopytuję dalej, czuję, jakbym miała się rozchorować.

– Nie wiem – słyszę w odpowiedzi.

Mrużę oczy, wstaję i zaczynam niespokojnie chodzić przed Reedem w tę i z powrotem.

– Poczekaj, muszę się upewnić, że dobrze cię rozumiem. Mówisz, że Russell i ja jesteśmy bratnimi duszami i spędzamy kolejne nasze życia, poszukując się wzajemnie. Tyle że tym razem ja jestem aniołem i stałam się nieśmiertelna. Więc jeśli nic mnie nie zabije i moja dusza dostanie się do raju, Russell pozostanie sam, bez bratniej duszy?

– Tak. – Reed przypatruje się mojej twarzy i dostrzega w niej ból. – Chociaż może też zdecydować, że ponownie wróci i znajdzie cię w kolejnym życiu – przyznaje, a z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że nie jest zachwycony takim scenariuszem.

Przestaję się przechadzać i mówię z przekąsem:

– No, no, Reed, to się robi coraz lepsze. Więc tak naprawdę mówisz mi, że nie tylko złamię mu serce w tym wcieleniu, ale będę je łamać przez całą wieczność, czy tak? Czy dobrze to rozumiem?

W tym momencie już niemal wrzeszczę na Reeda, najwyraźniej próbuję w ten sposób wyładować na nim moją frustrację całą tą sytuacją, w której się znalazłam.

– On może sobie wybrać nowe przeznaczenie; nie kontrolujesz wszystkich szczegółów sytuacji – tłumaczy Reed. – Russell już wybrał przyjazd tutaj... Nie powinienem ci tego mówić. Widzę, że będzie cię to gnębić.

W jego głosie słyszę skruczę, że powiedział mi to, co tak koniecznie chciałam wiedzieć.

– Przykro mi. – Trę bolące czoło. – Reed, musisz mi powiedzieć. Muszę to wszystko zrozumieć.

Co ja mam robić? Reed pociąga mnie tak silnie, że czuję aż śmiertelne zagrożenie. Chcę go... potrzebuję go. A oprócz tego jest Russell, przy którym czuję się tak naturalnie, jakbym zawsze do niego należała.

– Zjedźmy dziś razem obiad. – To nie brzmi jak propozycja, raczej jak polecenie.

Wspomnienie obiadu przypomina mi, że mam pewne zobowiązania.

– O nie! Reed, która jest godzina? – pytam gorączkowo.

– Wpół do czwartej – spogląda na zegarek.

– Wpół do czwartej! Spóźnię się na pozowanie! – mówię spanikowana i rozglądam się za torebką.

– Evie, jakie pozowanie? – wstaje i podaje mi torbę.

– Pan MacKinnon prosił mnie, żebym mu pozowała, bo chce namalować mój portret. Zgodziłam się i miałam być w jego pracowni o wpół do czwartej. Jestem spóźniona! Muszę iść!

Nie zatrzymuję się, żeby cokolwiek wyjaśnić, obejmuję go tylko ramieniem za szyję i daję mu szybkiego całusa na do widzenia. Odwracam się, żeby wyjść, ale jego ręka oplata mnie w pasie i przytrzymuje.

Reed marszczy czoło.

– Zamierzasz iść tam sama? – pyta z dezaprobatą, kiedy spoglądam mu w oczy.

– Tak. Zjedźmy obiad później, pod wieczór. Powinam skończyć do piątej. Możesz przyjść po mnie tutaj, bo będę na górze, w pracowni malarskiej. – Szukam kompromisowego rozwiązania, które pozwoli mi pędzić dalej.

Reed jednak nie zwraca uwagi na mój pośpiech. Wręcz przeciwnie, zachowuje się coraz bardziej flegmatycznie.

– Kiedy się na to zgodziłaś?

Mrużę oczy i pytam:

– A dlaczego?

– Ciekawi mnie to.

– Chciałbyś pójść ze mną? – wzdycham.

– Och, cóż za wspaiały pomysł. – Uśmiecha się, ujmuje mój łokieć i wyprowadza mnie z ciemni.

Rozdział 12

Portret

Ręka w rękę z Reedem wspinamy się po schodach gmachu Sztuk Pięknych. Na drzwiach jednego z pomieszczeń znajdujemy mosiężną plakietkę „Pracownia MacKinnona”. Kiedy jesteśmy już w środku, rozglądam się dookoła po przestronnym studiu malarskim. Zajmuje ono spory narożnik starego budynku, pełne jest wdzięku i uroku kojarzącego się ze starym kunsztem przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Dzięki tylnej ścianie złożonej z okien z szybkami w ołowianych ramach pomieszczenie jest oświetlone bez zarzutu.

Młoda kobieta, która siedzi przy małym biurku w kącie, wstaje na nasz widok.

– Ty musisz być Genevieve – stwierdza miękko i podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką. – Ja jestem Debra, asystentka pana MacKinnona.

– Miło mi cię poznać. – Potrząsam ręką Debry.

Jest mniej więcej mojego wzrostu, ma długie ciemne włosy. Przez okulary w ciemnej oprawce, za którymi kryją się jej ciepłe, bursztynowe oczy, można by sądzić, że jest bibliotekarką. Ale to nie okulary, tylko pewna towarzysząca jej aura autorytetu sprawia, że Debra wydaje się starsza ode mnie. Sądzę, że może być studentką ostatniego roku.

– A to jest Reed Wellington – dalej grzecznie nas przedstawiam.

– Ach, Reed, oczywiście. Jak się masz? – mówi żwawo Debra i potrząsa jego ręką.

– W porządku. Miło cię widzieć, Debro. – Reed uśmiecha się charyzmatycznie.

– Wchodźcie, proszę. Pan MacKinnon dołączy do nas za chwilę. Chciał, żebym na początek zajęła się twoimi włosami i makijażem, zanim on tu przyjdzie. Nie wiem, ile ci mówił na temat dzisiejszego planu. – Podchodzi do szafy, która stoi niedaleko od jej biurka w rogu pomieszczenia.

– Niewiele wiem – przyznaję. – Mam pozować do portretu, a ty zrobisz jakieś zdjęcia, żeby pan MacKinnon mógł pracować pod moją nieobecność – dodaję zakłopotana. Czuję, że byłam naiwna, bo nie domagałam się większej liczby szczegółów, zanim zgodziłam się na przyście. Zerkam na Reeda i widzę po jego zmarszczonym czole, że myśli podobnie.

– Zamierza przedstawić cię jako boginię Persefonę, która jest uosobieniem ofiarności czy czegoś podobnego. W każdym razie mam dla ciebie suknię. Pan MacKinnon chyba wypożyczył ją z Wydziału Teatru. Kilka lat temu wystawiali *Iliadę*. Suknia jest dość śmiała,

bo to grecka tunika, która ma duży dekolt z przodu, a z tyłu nie ma pleców aż do pasa. Ale zasłania wszystkie ważne części ciała. W tym świetle będzie trochę przezroczysta, no ale cóż, to jest sztuka.

Boję się spojrzeć na Reeda. Czerwienię się, kiedy Debra wyciąga strój z szafy. Rzeczywiście jest bardzo eteryczny. Góra wygląda cudownie: obszyta złotą, jedwabną lamówką – wcale nie kojarzy się z tanimi materiałami, których spodziewałabym się po sukniach uszytych dla Wydziału Teatru.

– Usiądź, proszę, tutaj, zajmę się twoimi włosami – kieruje mnie Debra. Siadam przy oświetlonej toalecie, a ona zaczyna mnie czesać. – A ty możesz usiąść tam.

Te ostatnie słowa Debra kieruje do Reeda, któremu wskazuje wydzielony w pomieszczeniu salonik z kanapą i fotelami. Reed podchodzi do jednego z foteli i siada, jednocześnie patrzy na mnie z dezaprobatą. Mogę zgadywać, że później usłyszę, co też sobie teraz pomyślał. Na razie postanawiam się tym nie przejmować i obserwuję Debrę w lustrze. Zręcznie splata moje włosy, tworząc misterny wzór warkoczyków ozdobionych delikatnymi złotymi nitkami. Efekt jest oszałamiający i kiedy Debra kończy, rzeczywiście czuję się jak bogini. Nakłada mi na twarz cienką warstwę kosmetyków, dzięki którym moja skóra zaczyna lśnić.

– No, o coś takiego chodziło – komentuje Debra. – Tam jest łazienka, w której możesz się przebrać. – Podaje mi suknię wyjętą z szafy i prowadzi mnie do pomieszczenia.

– Okej – mówię niepewnym głosem i biorę od niej piękny strój.

Suknia jest taka delikatna... Kiedy ją niosę, opływa mi ramiona i spada ku podłodze, jakby była uszyta z jakiejś cieczy. Wchodzę do łazienki, zdejmuję swoje ubranie i ostrożnie wkładam biały, cienki jak pajęczyna jedwab. Czuję, że przykleja się do mojego ciała jak mokra tkanina. Miałam nadzieję, że będę mogła zostać w staniku, ale to niemożliwe. Gorset sukni spływa w dół do brzucha i z boku ledwie zakrywa piersi. Faktycznie, suknia prawie w ogóle nie ma pleców. Moje ciało jest odsłonięte do pasa, gdzie widoczne są dwa małe dołeczki. Tunika ledwie zakrywa krągłość moich pośladków, ciągnąc się za mną długim trenem. Muszę go sobie przerzucić przez ramię, jeśli nie chcę, żeby się ciągnął po podłodze; ale z przodu długość sukni jest idealna, jakby była na mnie szyta.

Debra wzdycha, kiedy widzi mnie w sukni.

– Pięknie na tobie leży. – Poprawia zapięcia, żeby szata wyglądała idealnie. – Pan MacKinnon właśnie przyszedł. Powie ci, jak masz pozować, i wtedy będziemy mogli porobić zdjęcia.

– Okej. – Uświadamiam sobie, że muszę wyjść z łazienki w sukni, w której czuję się tak, jakbym była okryta pajęczyną.

Wydaje się, że Debra rozumie moje zakłopotanie, bo nachyla się do mnie i mówi:

– Wyglądasz wspaniale. I pamiętaj: to jest sztuka. Kto wie, może twój portret stanie się któregoś dnia częścią historii.

– To bardzo miły sposób patrzenia na sytuację – odpowiadam, po czym biorę głęboki wdech i wychodzę z łazienki.

Rozmowa między panem MacKinnonem a Reedem zamiera, kiedy do nich podchodzę. Gdy się zbliżam, nie patrzę na MacKinnona, bo jestem skoncentrowana na płonącym mroku, który wypełnia oczy Reeda.

Mam ochotę do niego podejść, ale MacKinnon wychodzi przed Reeda i zwraca się bezpośrednio do mnie.

– Genevieve, przeszłaś wszelkie moje oczekiwania. Jesteś piękna. Powinniśmy zaczynać. Proszę cię, przejdź tędy, ustawiłem wszystko w tym kącie. – Prowadzi mnie w dobrze oświetlone miejsce, w którym rozwieszono ciemne tło i ustawiono szezlong w greckim stylu. Siadam sztywno na krześle, czuję się skrzepowana padającym na mnie światłem.

– No dobrze, czy Debra powiedziała ci, jaki temat wybrałem do tego portretu?

– Wspomniała o bogini Persefonie. – Odchylam się do tyłu na podglówek szezlonga, zgodnie z poleceniami MacKinnona, które przekazuje mi gestem.

Malarz podnosi moją stopę i kładzie ją na leżance, potem układa tren sukni tak, aby przykrywał koniec mebla. W tej pozycji znajduję się twarzą w twarz z Reedem. Nasze spojrzenia spotykają się i czuję ciepło bijące z jego oczu. Rozluźniam się. Całe napięcie i zawstydzenie opuszcza mnie, jesteśmy teraz tylko my dwoje. Słyszę, że MacKinnon robi zdjęcia, ale potrafię tylko wpatrywać się w Reeda, który również się we mnie wpatruje.

– Ty jesteś Reed Wellington? – MacKinnon wciąż robi zdjęcia pod różnym kątem.

– Tak, proszę pana – odpowiada grzecznie Reed, przybliża się do zaaranżowanej sceny i staje bliżej światła.

– A skąd znasz naszą modelkę? – MacKinnon w czarujący sposób podtrzymuje konwersację.

– Genevieve to moja... dziewczyna – słowa Reeda brzmią seksownie i zaborczo.

Jestem trochę zdumiona określeniem „dziewczyna”. Z jednej strony to niewyobrażalne, że ktoś tak doskonały jak Reed miałby pragnąć kogoś takiego jak ja; to byłoby wręcz chore. Ale z drugiej – Reed staje się dla mnie kimś znacznie ważniejszym niż „chłopakiem” i użyte przez niego słowo wydaje mi się zbyt mało wyraziste, żeby opisać relacje między nami.

– Twoja dziewczyna, tak? – MacKinnon reaguje uśmiechem.

– Tak, moja. – Reed nie spuszcza ze mnie wzroku. Jego słowa ogrzewają mnie, sprawiają, że czuję się pożądana.

Spojrzenie Reeda mięknie i po chwili słyszę jego słowa:

– Już prawie zgodziła się, żeby ktoś inny jej tu dziś towarzyszył. A ja nie mogę przestać myśleć o tym, że o mało nie straciłem okazji, żeby zobaczyć ją w tym stroju.

– No tak, to byłoby niefortunne. Ale i tak pozostanie portret – zapewnia go MacKinnon.

– Bardzo jestem ciekaw, jak będzie wyglądał.

– Ja też – odpowiada MacKinnon zza aparatu fotograficznego. – Genevieve, chciałbym spróbować trochę inaczej... w innej pozycji. Pozwól, że opowiem ci o bogini Persefonie, żebyś lepiej rozumiała, co mam na myśli.

Podchodzi bliżej z aparatem fotograficznym w rękę i mówi:

– Wyobraź sobie, że jesteś Persefoną, królową podziemi. Hades, władca podziemnego świata, odebrał ci dom i twoją matkę Demeter. Bardzo ją kochasz i chciałabyś ją zobaczyć. Hades dał ci owoc granatu, a ty wiesz, że jeśli nadgryziesz granat, będziesz musiała na całą wieczność pozostać z Hadesem w Podziemiu. Jeśli jednak nie zjesz owocu, wyjdiesz stamtąd i nigdy nie będzie ci wolno wrócić do Podziemia ani do Hadesa. Zależy ci i na Demeter, i na Hadesie, więc musisz wybrać, która z ukochanych osób będzie się tobą cieszyć przez całą wieczność.

MacKinnon podchodzi jeszcze bliżej i kładzie mi na dłoni owoc granatu. Patrzę w osłupieniu na ten obiekt, po czym dociera do mnie w pełni znaczenie słów malarza. Reed czy Russell? Anioł czy bratnia dusza? Muszę wybrać, który z nich będzie miłością – nie tylko mojego życia, ale całego mojego istnienia. Cierpienie w swojej najczystszej postaci przetacza się przeze mnie kolejnymi falami.

– Teraz doskonale, Genevieve. Uchwyciłaś całą esencję walki – chwali MacKinnon.

Nie mam siły spojrzeć na Reeda. Lepiej, żeby nie widział mojej wewnętrznej walki, bo nie chcę go ranić, tak samo jak nie chcę ranić Russella. MacKinnon mruczy z zadowoleniem.

– No cóż, dałaś mi niewątpliwie cały zestaw możliwości do wykorzystania przy pracy. Chyba wolę te zmysłowe zdjęcia z początku naszej sesji, ale wybór nie będzie łatwy.

Nie słucham go. Z całego serca pragnę uciec od światła i ukryć się w jakimś ciemnym kącie. Wstaję z szezlonga i ruszam w kierunku łazienki, żeby się przebrać, ale po drodze przystaję z wahaniem. Odwracam się do pana MacKinnona.

– Co zdecydowała Persefona? Zjadła owoc?

– Tak, zjadła, ale nie cały. Tylko tyle, żeby co rok wracać do Hadesa na pół roku. Cudowny kompromis, rzadko się zdarza wśród bogów – odpowiada łagodnie.



Milczę, gdy jedziemy samochodem Reeda na obiad do domu. Czuję się podenerwowana po przeżyciach w pracowni malarskiej MacKinnona. Chciałabym wymazać dzisiejszy dzień i zacząć go od nowa. Cała wiedza, którą zgromadziłam, zaczyna mnie zżerać; czuję, jak rdzewieje mi mózg.

Kiedy dojeżdżamy, Reed otwiera mi drzwi do swego domu i prowadzi do środka. Musiał chyba zadzwonić do Andre, a może do Grety, ponieważ okazały stół w jadalni, służący do

uroczystych przyjęć, jest nakryty dla dwojga. Zdobí go najdelikatniejsza porcelana i sztúce, które chyba są zrobione z prawdziwego srebra.

Reed wysuwa dla mnie krzesło stojące obok miejsca u szczytu stołu, po czym sam siada na sąsiednim. Z zachwytem patrzę na olbrzymi pokój. Nie jest to Saga; pomieszczenie nie kojarzy mi się też z obiadami, które jadamy z wujkiem Jimem. Po zajęciu miejsc nie czekamy zbyt długo, gdy do jadalni wchodzi Andre, osobisty szef kuchni Reeda, wnosząc dwa obiadowe talerze.

– Andre – wdycham aromat potraw – zapach jest cudowny. Dziękuję.

– Bardzo się cieszymy, że mamy gościa. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona – odpowiada Andre, odwraca się i wychodzi z jadalni.

– Jesz tutaj codziennie? To znaczy w tym pokoju. – Biorę kęs ryby, która rozpływa mi się w ustach.

– Zwykle tak, a czemu? – pyta, jakby oceniał to, co powiedziałam.

– Nic specjalnego... tak tylko... – mówię i milknę, kiedy staje mi przed oczami obraz Reeda, który jada bez towarzystwa w tym wielkim pokoju. Jak samotnie musi się tu czuć, kiedy nie może dzielić się z nikim jedzeniem; ale może taki ma sposób na odprężanie się po całym dniu udawania, że jest człowiekiem.

– Tylko co? – pyta zaciekawiony.

– No nic, tu jest tak uroczyście. Czuję się, jakby twoi rodzice mieli tu za chwilę wkroczyć i skrzyknąć nas za używanie gościnnej porcelany. – Reed się śmieje. – Czy Andre wie o tobie... znaczy... no wiesz... że jesteś szczególny?

– Nie. Jestem przekonany, że pewne rzeczy, które widział, musiały go zdziwić, ale nie wydaje mi się, żeby znał moje tajemnice. Staram się nie zatrudniać tych samych osób bardzo długo, bo ludzie z czasem zaczynają rozumieć coraz więcej – mówi cierpko. – Kiedy każę im odejść, dostają dobrą odprawę. – Napełnia winem stojący przede mną kieliszek.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Czuję się okropnie i sztywno, nie wiem, których sztuców powinnam użyć, bo mam do dyspozycji trzy widelce. I chociaż jedzenie jest pyszne, nie cieszy mnie ten posiłek.

– No dobra, Reed, idziemy. – Wstaję z krzesła i biorę w dłonie talerz oraz kieliszek z winem.

– Dokąd idziemy? – pyta zaskoczony, ale natychmiast wstaje razem ze mną, prawdopodobnie przez grzeczność.

– Chyba masz tutaj kuchnię, prawda? – Wybieram jeden widelec i nóż z całego zestawu należącego do mojego nakrycia.

– Tak... ten dom istotnie wyposażony jest w kuchnię – odpowiada zaintrygowany.

– Więc chodźmy do tej kuchni. Pójdę za tobą, chyba że narysujesz mi mapę. – Uśmiecham się do Reeda zachęcająco.

Potrzebujemy mniej oficjalnego nastroju, którego nie da się uzyskać w jadalni. Twarz Reeda przybiera wyraz zaciekawienia. On też zabiera swój talerz i wyrusza do kuchni, prowadząc mnie za sobą.

Kuchnia w jego domu jest najpiękniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałam. Kształtne, drewniane szafki ręcznej roboty kryją kuchenne urządzenia i trzeba się dobrze nagłowić, żeby stwierdzić, gdzie jest lodówka. Granitowe blaty lśnią w świetle zamontowanych na suficie lamp, a przed dużym kamiennym paleniskiem stoi stół z lakierowanego drewna. W palenisku nie płonie ogień, ale i tak miejsce wygląda wystarczająco romantycznie.

Kładę talerz na stole obok talerza Reeda, który wysuwa dla mnie krzesło.

– Lepiej? – pyta, kiedy już siedzę.

– O wiele. Dziękuję. – Uśmiecham się do niego.

Tu jest lepiej. Jest intymnie i przytulnie, mniej anonimowo.

– Nigdy tu nie jadłem. Całkiem miło – stwierdza, po czym rozgląda się po pomieszczeniu, jakby chłonał szczegóły scenerii.

Mówię do niego z wyrazem zdumienia na twarzy:

– Nigdy tu nie jadłeś? Reed, zaskakujesz mnie. Wciąż się zastanawiam, co ty tu robisz.

– Już ci mówiłem, co tu robię. – Chwyta widelec i kontynuuje posiłek.

– Nie chodzi mi o to rozgramianie. Czy może mówi się „gromienie”? Nieważne, ale chodzi mi o to, co robisz akurat w Crestwood. Nie wydaje mi się, żeby to miejsce przyciągało szczególnie wiele demonów.

– Nie, nie przyciąga. I dlatego tu jestem. Nie lubię biegać wśród nich, kiedy nie jestem gotów do walki. Dlatego wybrałem Crestwood. Nie ma tu tego... Jak to nazwałaś...? Przyciągania demonów – mówi z uśmiechem. Ale chwilę później poważnieje. – Nie, Crestwood to nie jest miejsce, które interesowałyby Upadłych. Dzięki temu jest to taki przyjemny azyl, Evie. Jeśli chcesz ich unikać, szukasz miejsca, którego nie lubią. Wolę ich unikać w chwilach, kiedy na nich nie poluję, żebym nie musiał ciągle zachowywać czujności.

– A dlaczego źli aniołowie nie przybywają do Crestwood? To znaczy wydawałoby się, że upadli aniołowie mogliby się dostać na uczelnię – wyjaśniam.

– Upadli mogą się dostać na większość uczelni, ale Crestwood jest trochę inne. W tym sennym mieście nie ma zbyt wiele nocnego życia i trudno tu robić cokolwiek innego niż studiować. A to nie prowadzi zbyt szybko do grzechu. Prawdę mówiąc, dość tu nudno. – Reed się uśmiecha.

– Wcale nie nudno – mówię z niedowierzaniem i myślę o kilku ostatnich dniach.

– Nie jest nudno, kiedy ty tu jesteś. – Reed śmieje się, poprawia swoje poprzednie słowa.

– Więc kiedy szukasz demonów... Przepraszam za wyświechtane słownictwo... Kiedy polujesz na demony, dokąd idziesz? – Gdy wypowiadam to pytanie na głos, brzmi całkiem absurdalnie.

– Upadłych przyciąga więzienie, które znajduje się kilka miast stąd, w Jackson. Dobrze się czują pośród skrajnego cierpienia – wyjaśnia Reed. – Lubią oglądać udręczone dusze, a niektórzy więźniowie już wykazali skłonność do zła.

Kiedy zadaję kolejne pytanie, brwi unoszą mi się do góry:

– Naprawdę? Więc cierpienie więźniów przyciąga ich jak magnes... a ty odsyłasz ich z powrotem do piekła... to znaczy do tej otchłani... czy tak?

– Niektórzy wracają do Szeolu, a inni nie.

– Co przez to rozumiesz, że niektórzy nie wracają?

– Chodzi mi o to, że niektórzy Upadli przestają istnieć – mówi. – Ponieważ aniołowie nie mają dusz, nie ma możliwości, żeby zostali odkupieni. Upadli nigdy już nie zostaną wpuszczeni do raju. Ale jeśli przeżyją, teoretycznie mogą wrócić do Szeolu. Próbuję temu zapobiegać.

– A czy to się może przytrafić tobie? – pytam przestraszona. – Czy któryś z Upadłych może cię zabić?

– To mi się nie przytrafi. Jestem naprawdę dobry w tym, co robię. Odnoszę sukcesy, bo znam siebie i znam przeciwnika.

– Ale istnieje taka możliwość?

– Genevieve, od czasu kiedy cię poznałem, zaczynam wierzyć, że wszystko jest możliwe. A teraz mam większą motywację niż kiedykolwiek, żeby zachować przewagę nad przeciwnikami – mówi łagodnie Reed.

Przez chwilę czuję się nie w porządku, gdy myślę o tym, że mogłabym go utracić. Czym byłaby dla mnie wieczność, gdybym wiedziała, że nigdy go już nie zobaczę? Przechodzi mnie dreszcz, a lęk prawdopodobnie uwidacznia się na mojej twarzy, bo Reed marszczy czoło i pyta:

– Co się dzieje, Evie?

– Nie chcę, żebyś nadal był żołnierzem. Mógłbyś zająć się czymś innym? – pytam miękkim tonem.

Reed patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego?

– Dlatego... Chociaż jestem pewna, że jesteś dobry w tym, co robisz, zawsze gdzieś na świecie może znaleźć się coś większego i gorszego, a ja nie chcę tkwić w żałobie całą wieczność. No bo niby jak miałabym to robić? – Wbijam wzrok w talerz.

Reed łagodnieje.

– Evie, nie wiem, czy mam się obrazić, że uważasz mnie za słabeusza, który pozwoli się pokonać któremuś z nich, czy cieszyć, że byłoby ci mnie żal – odpowiada z uśmiechem.

Przesuwam resztki jedzenia na talerzu.

– Chodzi mi o to... – zaczynam cicho – że wieczność bez ciebie wydawałaby się bardzo nudna. Ale czy ja wiem? Może nie byłoby tak źle, gdybym w pobliżu nie miała nikogo, kto

lubi mi rozkazywać – kończę z nadąsaną miną. – Mogę się założyć, że po jakimś czasie stałbyś się naprawdę denerwujący.

– A co byś chciała, żebym robił? – W jego oczach błyskają iskierki rozbawienia.

– Przejdź na emeryturę. Czy dla takich jak ty nie ma jakiegoś programu emerytalnego? To znaczy... jesteś przecież stary jak świat. Może już pora dać sobie spokój, kolego, zająć się golfem czy czymś takim – wyrzucam z siebie wzburzona. – Masz jakieś hobby? Pomyślmy... na pewno znajdziemy ci inne zajęcie. – Krzyżuję ramiona na piersi.

– Nie mogę zrobić czegoś takiego. Przecież to jest sens mojego życia. Zostałem wysłany, żeby zajmować się tą pracą, i będę to robił.

– No to ja też będę myśliwym. Możesz mnie nauczyć, jak być żołnierzem, i będę ci pomagać. – Jeśli on ma zamiar się narażać, będę przy nim i dopilnuję, żeby do mnie wrócił.

– Nie – odpowiada kategorycznie i rozumiem, że dla niego ten temat został wyczerpany.

– Ale dlaczego nie? – kontratakuję.

– To dla ciebie za duże ryzyko.

Zdumiona unoszę brwi.

– Teraz to ryzykowne, ale co będzie, kiedy się zmienię, kiedy zajdą te wszystkie przemiany... cokolwiek to ma być?

– Nie – powtarza jeszcze bardziej stanowczo.

– Reed, skoro ty ryzykujesz, że ktoś cię wykończy, to i ja mogę.

Wstaje, sięga do mojego krzesła i wysuwa je razem ze mną. Odwraca je tak, żebyśmy byli zwrócenii do siebie twarzami, po czym kuca i patrzy mi prosto w oczy.

– Jesteś za młoda, żeby rozumieć, o co tak naprawdę prosisz. Nie widziałaś przemocy na taką skalę, jaka jest konieczna, żeby pokonać wroga. Jesteś niewinna i trudno mi brukać cię tym wszystkim, co musiałbym powiedzieć, żebyś zrozumiała, kim jesteś i co się z tobą dzieje. Mam coraz większą ochotę namawiać cię, żebyś się tu przeniosła i została ze mną, ale to by oznaczało dla ciebie mnóstwo nowych zagrożeń – mówi Reed, a ja jestem wystarczająco inteligentna, żeby wiedzieć, że uważa siebie za zagrożenie. – Oprócz mojej własnej sytuacji musimy też brać pod uwagę okoliczności związane z naszym wzajemnym przyciąganiem – ciągnie dalej Reed. – Musimy więc ustalić pewne zasady, które pomogą cię ochraniać.

– Zasady? – Marszczę nos. – To mi zajeżdża nudą. Zdecydowanie wolałabym porozmawiać o czymś innym. – Pochyłam się i zarzucam mu ramiona na szyję. Opieram swoje czoło o jego czoło.

Reed jęczy tak, jakby go coś bolało.

– Evie, nie zdajesz sobie sprawy, co ty ze mną robisz.

Zamyka oczy i wolno wstaje, podnosząc także mnie z krzesła. Nadal obejmuję go za szyję, przyciskam się do niego cała. Reed pochyla głowę i lekko muska wargami wrażliwe miejsce tuż pod moim uchem. Powiedzieć, że to sprawia mi przyjemność, byłoby śmiesznym uproszczeniem. Palcami delikatnie pieści skórę w miejscu, gdzie bluzka podjechała mi do

góry. Chcę więcej, pragnę tego, ale tym razem to ja jęczę, kiedy Reed spokojnie, ale stanowczo wymyka się z naszego uścisku.

Unosi brwi.

– To o czym rozmawialiśmy?

– Nieważne, na razie nie wracajmy do tego. – Patrzę na jego szeroki tors i bawię się guzikiem przy jego koszuli.

– Evie – mówi zachrypniętym głosem.

– Reed – szepczę.

– Nie pomagasz mi – strofuje mnie delikatnie.

– Wiem. – Opieram głowę na jego piersi.

– Zasady – przypomina twardo.

– Dobrze. – Odsuwam się od niego. – Możesz mi opowiedzieć, jak to widzisz, ale na razie jeszcze się na nic nie zgadzam.

– Słuchaj, tu chodzi o twoje bezpieczeństwo – napomina mnie łagodnie.

– Zobaczmy. Więc co miałeś na myśli?

– Chcę być poinformowany, jeśli z jakiegokolwiek powodu postanowisz wyjechać z Crestwood, nawet jeśli będzie chodziło o wypad do któregoś z sąsiednich miast. Trzymasz się z daleka od barów i tawern. Nie chodzisz beze mnie do 7-Eleven. Ani w żadne inne miejsce, które może się wydawać choćby w najmniejszym stopniu niebezpieczne.

– Ostatni punkt jest zbyt ogólnikowy – zauważam.

– Genevieve... – Reed wzdycha w odpowiedzi na mój sprzeciw.

Uśmiecham się nieznacznie.

– Co? Jest ogólnikowy, a kiedy jakaś reguła jest ogólnikowa, to aż się prosi, żeby ją złamać – bronię swojej pozycji. – Podsumuję: jeśli chcę wyjechać z miasta, muszę się meldować u ciebie, żadnych barów, nie ma samotnych wyjść do 7-Eleven – wyliczam na palcach.

– I nic niebezpiecznego – przypomina.

– Okej, żadnych biegów z nożyczkami w ręku. – Uśmiecham się do niego i wystawiam jeszcze jeden palec.

Reed mruży oczy.

– Genevieve, musisz do tego podejść poważnie.

– Staram się, Reed. Ale problem jest taki, że zostałam wychowana w duchu niezależności. Wujek Jim ufał mi bezwarunkowo. Rzadko potrzebowałam pozwolenia, żeby cokolwiek robić. I w większości przypadków wujek miał rację, że mi ufał.

– Spodziewam się, że będziesz się bardzo starała być grzeczna.

Unoszę brwi.

– Bo jak nie, to co?

– Wierzę raczej w pozytywne wzmocnienie, nie negatywne; prościej mówiąc: bardziej uznaję metodę marchewki niż kija – mówi Reed z seksownym uśmiechem i muska moje wargi koniuszkiem palca. Po jego dotyku na mojej skórze zostaje gorąca ścieżka...

– Bardzo rozsądnie. – Czuję, jak dreszcz przebiega mi wzdłuż ciała. Nie ma nic wspólnego ze strachem.

Reed cofa palec, dotyka moich ust – jego uśmiech świadczy, że robi to wbrew sobie.

– Powinniśmy już iść. Oboje mamy treningi. – Wzdycha, ale jego oczy zachowują zmysłowy wyraz, tak jakby planował jakieś pozytywne wzmocnienie. – Muszę się tylko przebrać, a potem odwiozę cię do akademika, żebyś mogła się spotkać z przyjaciółkami.

Czuję się rozczarowana, że obiad dobiegł końca; chciałabym zostać z Reedem dłużej.

– Znikam, ale tylko na chwilę – mówi i rzeczywiście znika.

Trudno mi dostrzec jakiegokolwiek ruchu Reeda, a moje oczy łapią tylko jego mgliste wyobrażenie. Błyskawicznie zostaję w kuchni sama. Zdumiona siadam na krześle. Nie muszę długo czekać – po jakichś dziesięciu sekundach Reed znów objawia się przede mną.

Ma na twarzy szeroki uśmiech; jest rozbawiony moim zdziwieniem. Przebrał się w strój treningowy, ciągnie za sobą sprzęt do gry. Mnie zajęłoby co najmniej trzydzieści sekund, żeby dotrzeć do frontowych drzwi tego domu, nie mówiąc już o wejściu na piętro, gdzie pewnie znajduje się jego sypialnia.

– To był szybki numer. – Z uznaniem kiwam głową.

Uśmiech Reeda wygląda eterycznie.

– Miło, że nie muszę przed tobą ukrywać, kim jestem i jakie mam zdolności. Przyjemnie mi też, że się mnie nie boisz. – Wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać z krzesła.

Kiedy widzę jego uśmiech, serce wali mi jak młotem.

– Czy ja też będę w stanie poruszać się tak szybko? – pytam, kiedy wychodzimy z kuchni w stronę frontowych drzwi.

– Prawdopodobnie tak. – Wzrusza ramionami.

– Ho, ho, myślę, że tego rodzaju zdolności mogą mi przysporzyć pewnych problemów.

– Co takiego?

– No cóż, trudno mi było udawać, że kuleję, kiedy miałam potłuczone kolano. Wyobrażam sobie, jak zapominam się hamować i nie skakać przez okno, kiedy spóźniam się na zajęcia czy coś w tym rodzaju. – Marszczę czoło.

Reed bierze mnie za rękę i próbuje pocieszyć.

– Musisz wytworzyć w sobie świadomość otoczenia i wszystkiego, co się w nim znajduje. Po pewnym czasie stanie się to twoją drugą naturą.

– Mogłoby mi to sprawiać trudności, bo jedyną rzeczą, której jestem świadoma, jesteś ty.

– Czerwienię się, bo przyznałam się do tak zawstydzającego faktu.

– Oboje będziemy musieli z tym walczyć – stwierdza Reed otwarcie. – Ja też tracę świadomość otoczenia, kiedy ty jesteś w pobliżu. To jest niebezpieczeństwo, z którym

będziemy musieli się oboje uporać, bo przez nie stajemy się bezbronni wobec naszych wrogów.

Reed otwiera przede mną frontowe drzwi i idziemy razem do samochodu. Kiedy już w nim siedzę, słyszę bipnięcia dobiegające z mojej torby, którą zostawiłam w aucie. Znajduję w niej telefon komórkowy i sprawdzam nieodebrane rozmowy. Jedna od Russella, jedna od Freddiego. Wybieram numer skrzynki głosowej, gdzie pierwsza powinna być wiadomość od Russella, ale kiedy chcę ją odsłuchać, słyszę tylko kliknięcie rozłączanej rozmowy. Wzdrygam się na myśl o naszym najbliższym spotkaniu. Niewątpliwie dla nas obojga będzie to brutalne.

Następna wiadomość pochodzi od Freddiego. Szukał mnie bezskutecznie w czasie lunchu i martwi się o mnie. Zastanawiam się, czy najpierw zadzwonić do Russella. Trzymam bezmyślnie telefon przy ustach i wyglądam przez okno, przyglądając się mijanej wieży Crestwood. Nasza następna rozmowa powinna jednak odbyć się twarzą w twarz.

– Wiadomość od Russella? – pyta Reed.

– Tak.

– I co powiedział?

– Nic, rozłączył się.

– Rozumiem – mówi ze współczuciem.

– Naprawdę?

– Tak, przykro mi – dodaje krótko.

– Mnie też – mówię smutnym głosem.

– Co mu powiesz?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

– Evie, nie musisz teraz decydować. Masz czas, żeby się zastanowić, czego chcesz – odzywa się Reed łagodnie, a jego troska o moje uczucia przyprawia mnie niemalże o płacz.

– Reed, ja już się trochę nad tym zastanawiałam. Jeśli rzeczywiście wydarzy się to, o czym mówiłaś, jakie ja mogę mieć życie z Russellem? – pytam ze smutkiem. – Jeśli mam stać się tak silna jak ty, będę musiała zmierzyć się z tymi samymi niebezpieczeństwami, które teraz czyhają na ciebie w związku ze mną. Tylko że ja prawdopodobnie nie będę miała twojej wstrzeźliwości, której nauczyły cię tysiąclecia spędzone na Ziemi. Przypuszczam, że skończyłoby się to zmiążdżeniem Russella wbrew mojej woli.

– No tak – potwierdza Reed spokojnie, ale jego głos brzmi, jakby nie uważał tego za najgorsze rozwiązanie sprawy Russella.

– A poza tym jeszcze jedno: Russell będzie się starzał, a ja nie. Co się z nim będzie działo, kiedy ludzie zaczną go traktować jak oblesnego starucha, który jest z młodą dziewczyną? – pytam. – Po jakimś czasie pewnie przestanie mu się to podobać.

– To prawda – mówi Reed po namyśle, ale minę ma taką, jakby wizja starzejącego się Russella wydawała mu się raczej śmieszna.

– No a poza tym jesteś ty. Nawet jeśli wybiorę Russella, nie sądzę, żebym się powstrzymała... – Milknę, bo nie mam ochoty na dalsze wyjaśnienia.

– Od czego? – pyta zaciekawiony Reed.

– Od zdradzania go – rumienię się. – Kiedy ty jesteś w pobliżu, mam wrażenie, że nikt inny nie istnieje.

Reed wyciąga rękę i chwyta moją dłoń. Przysuwa ją do ust i całuje.

– Więc nie wiem, co mu powiedzieć – wyjaśniam spokojnie i odwracam się, żeby wyrzeć przez okno, bo nie widzę w ogóle okolicy, przez którą przejeżdżamy.

Kiedy Reed znów się odzywa, mówi swym anielskim językiem, którego nie rozumiem. Te słodkie dźwięki dodają mi otuchy skoczną melodyjnością i kiedy mój rozmówca kończy, czuję się spokojniejsza.

– Co powiedziałaś? – pytam.

– To samo, co wtedy w samochodzie, po tym jak miałaś to swoje przeczucie – odpowiada Reed cichym głosem. Nasze spojrzenia spotykają się, w wyniku czego na chwilę wstrzymuję oddech.

Zastanawiam się przez chwilę, a potem mówię rozczarowana:

– Ach tak? Muszę być irytującym stworzeniem.

– Nie byłem całkiem szczery, kiedy to powiedziałem – odpowiada Reed, uśmiechając się do mnie.

– Reed, czy ty potrafisz działać podstępnie? Sądziłam, że jesteś aniołem.

Odpowiada mi ze smutnym uśmiechem:

– Będziemy musieli popracować nad twoją definicją anioła.

Z miną wyrażającą zdziwienie pytam:

– A co mi wtedy powiedziałaś, tam w samochodzie, po moim przeczuciu?

– Powiedziałem, że będzie z ciebie najdoskonalsza istota, jaką kiedykolwiek spotkałem pod rządami Boga, a uczucia, które do ciebie żywię, nie mogą być mierzone ani ziemską, ani rajską miarą. To jest przybliżone tłumaczenie, ale w języku anielskim brzmi to lepiej – wyjaśnia, a jego zielone oczy łapią moje spojrzenie.

– Tak właśnie powiedziałaś? – szepczę, nie mogę w to w pełni uwierzyć.

– Tak. – Jego wzrok łagodnieje. Zajeżdżamy na parking przed moim akademikiem. Reed parkuje, zostawiając samochód na luzie.

– A kiedy się przekonałeś, że takie są twoje uczucia wobec mnie? – pytam cicho.

– Nad jeziorem, kiedy potraktowałaś mnie paralizatorem – odpowiada z uśmiechem.

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

– Co? – pytam zaszokowana.

– Jesteś taka odważna... Zachowałaś się wspaniale.

– Byłam przerażona.

– Tak, ale to właśnie jest odwaga: działanie w obliczu strachu – tłumaczy moje emocje. – Musiałem sam siebie przekonywać, że objęcie cię w takim momencie nie przyniosłoby efektu, o który mi chodziło. Prawdopodobnie wystraszyłoby cię jeszcze bardziej.

– Słuszna uwaga. – Wyobrażam sobie, że dostałabym ataku serca, gdyby wtedy, po moim użyciu paralizatora, podszedł do mnie i porwał w objęcia. – Ale nadal chciałeś, żebym wyjechała, już po naszym spotkaniu nad jeziorem – przypominam.

– Jestem na służbie i martwiłem się, że pomaganie ci będzie naruszeniem moich obowiązków. Miałem nadzieję, że uczucia, które wobec ciebie żywię, wygasną za jakiś tysiąc lat, może dwa... jeśli tylko nie będzie cię w pobliżu – mówi Reed. – Głupota, nie?

– Straszna – przytakuję znów przez chwilę i podziwiam jego piękną twarz. Zmuszam się do odwrócenia od niego oczu. – Spóźnimy się na trening. Pójdę się już przebrać, żebym mogła spotkać się z dziewczynami.

– Zobaczymy się wieczorem? – pyta Reed, kiedy moja dłoń dociera do klamki od drzwi.

– Nie mogę. Obiecałam Brownie i Buns, że powłóczymy się razem. – Czuję wielkie rozczarowanie.

– Ach, no tak. – Opuszcza głowę i uśmiecha się. – A więc jutro?

– Jutro – przytakuję bez tchu.

Za moment mam już wysiąść z samochodu, ale Reed obejmuje mnie i funduje mi oszałamiający pocałunek, który nie smakuje jak pocałunek na do widzenia; nasze pożegnanie jest tylko pretekstem. Ten pocałunek jest raczej jak delikatny wiatr, który pieści moje wargi na przywitanie, tak jakby istniał teraz tylko dla mnie. Powoli odsuwam się od Reeda i widzę mądrość we wzburzonej zieleni jego ognistych oczu; także i w nich, podobnie jak w tamtym wietrze, zawarte są tajemnice, których nie potrafię sobie wyobrazić. Dotykam koniuszkami palców swoich warg, miejsc, gdzie przed chwilą były jego usta. Chciałabym wyryć ten moment w swojej pamięci, żebym mogła przypominać sobie później każdy jego najdrobniejszy szczegół.

– Pa – udaje mi się wyszeptać, po czym wysiadam z samochodu.

– Pa, Evie. – Reed się uśmiecha, a potem udaje mi się zamknąć drzwi.

Rozdział 13

Coldwater

Przez kilka następnych dni w godzinach zajęć unikam Russella. Wymaga to sprytu, bo zwykle wpadamy na siebie w kafeterii w godzinach posiłków, więc przestaję chodzić na śniadania i lunche. Wiem, że unikanie Russella pogorszy tylko sytuację, ale nie mam pomysłu, jak mu wytłumaczyć coś, co jest w zasadzie niewytłumaczalne. Większość faktów związanych z tym, co się ze mną dzieje, brzmi śmiesznie, a poza tym nie wolno mi o nich

mówić. Stoję więc na przegranej pozycji i nie wiem, co robić. Jeśli dodać do tego moją absolutną niezdolność do okłamywania Russella, jestem w całkiem katastrofalnym położeniu.

Każdą chwilę wolną od zajęć spędzam z Reedem. Zadaje mi tyle pytań o wszystko – od tego, jakie słowa wypowiadałam w dzieciństwie jako pierwsze, po to, kto był moim partnerem na balu maturalnym. Co wieczór jem z Reedem obiad w jego kuchni, chodzimy na spacer po jego posiadłości. Ja też zadaję pytania, ale on niechętnie mówi o sobie i swojej przeszłości – prawdopodobnie dlatego, że od tak długiego czasu musi ukrywać tyle informacji na swój temat. Odślanianie się nie przychodzi mu łatwo.

Czasem oglądamy filmy w jego domowej mediatece, ale widzę, że nie przepada za babskim kinem. Chociaż śmiesznie wygląda, kiedy próbuje zrozumieć jakąś komedię romantyczną. Tak głośno wzdycha, kiedy męski bohater zdradza jakiegokolwiek oznaki bezbronności, że muszę mocno zagryzać wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Dzisiaj jednak unikanie Russella, nawet gdybym tego nie chciała, okazuje się zadziwiająco proste, bo nie ma go na zajęciach, nie czuję też jego obecności nigdzie na kampusie. Gdzie on może być? Co robi?

Jestem zaskoczona, gdy widzę, jak Freddie zbliża się do mojego prywatnego stanowiska nauki w bibliotece. Zrzuca z ramion plecak i siada na krześle obok mojego.

– To ty żyjesz... Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz. A zresztą możesz mi wierzyć, że nie ja jeden – mówi z tym ciepłym uśmiechem.

– Freddie! Przepraszam cię. Dzwoniłeś do mnie, a ja kompletnie zapomniałam, żeby oddzwonić. Fantastycznie, że cię widzę. – Uśmiecham się do niego promiennie.

Ładnie dzisiaj wygląda. Odrosły mu włosy, sięgają teraz poniżej brwi. Freddie wygląda... ładniutko... jest Facebookowalny – patrzę, jak rozsiada się w krześle. Kiedy to się stało?

– Chowasz się, Evie? To twoja nowa kryjówka?

– Chować się? Nie wiem, o czym ty mówisz. Mam naprawdę trudne zajęcia i nie chcę narobić sobie zaległości.

Freddie marszczy brwi.

– Jasne. Rozumiem, że w takim razie nie będziesz chciała tego. – Otwiera torbę i wyciąga dwa batony granola. Macha mi nimi przed oczami.

– Freddie! Już ci mówiłam, że cię kocham, prawda? – Wrywam mu jeden z batonów i zdzieram papierowe opakowanie.

– No pewnie, mówiłaś, ale fajnie jest usłyszeć to jeszcze raz – śmieje się i rzuca w moją stronę drugi baton.

– Cieszę się, że tu jesteś – mówię pomiędzy kolejnymi kęsami granoli. – Potrzebuję twojej pomocy, Freddie. Mam pewną misję do spełnienia. Wchodzisz w to, czy masz cykora?

– Wchodzę. A co to ma być?

– Muszę zainstalować Russellowi firewalla, ale chwilowo trochę go unikam. Więc miałam nadzieję, że jeśli kupię program, pomożesz mi przy instalacji – tłumaczę. – A może

pojechałbyś ze mną do Coldwater i pomógł mi wybrać odpowiednią wersję? Chciałam pojechać w sobotę rano. Więc jak?

– Wiesz, pytał mnie dziś już dwa razy, czy cię widziałem.

– Nie, nie wiedziałam – odpowiadam zawstydzona.

– Nie obawiasz się, że tym firewallem możesz wysłać Russellowi sprzeczne sygnały? – Patrzy na mnie ze znaczącą miną. – Aha, czyli dlatego siedzisz w najbardziej odizolowanym miejscu w bibliotece: żeby się nie natknąć na Russella.

– Czy to jest aż tak oczywiste?

– OBO. Oślepiający Blask Oczywistości.

– A jaki prezent mogłabym mu sprawić, żeby wysłać taki sygnał: „Jesteś pewnie najlepszym, co mogło mnie spotkać, ale nie mogę z tobą być”? – pytam ponuro. – Pobiegnę zaraz i to kupię, niezależnie od ceny.

– Nie wiem, Evie, ale nie sądzę, żebyś osiągnęła ten efekt za pomocą firewalla.

– No cóż, może przekaz zabrzmi: „Nie mogę dać ci tego, czego byś chciał, ale daję ci to, czego potrzebujesz”? – mówię w dalszym ciągu ze smutkiem.

– Firewall służy do ochrony. Przed czym chcesz go chronić? – pyta Freddie.

Patrzę na niego zdumiona. Freddie ma niezwykły dar odczytywania moich intencji. Muszę uważać na to, co mówię w jego obecności. Ma za bardzo rozwiniętą intuicję i sam nie jest przez to bezpieczny.

– Freddie, nie zdawałam sobie sprawy, że przyjmujesz jako pan doktor. Specjalizujesz się w psychiatrii czy co?

– Tak. – Uśmiecha się. – Skąd wiedziałas?

– Kiedy już otworzysz praktykę, będziesz dla mnie o wiele za drogi. – Uśmiecham się.

– Kozetka zawsze będzie na ciebie czekać – odpowiada uprzejmie. – Przyjdę po ciebie w sobotę o dziewiątej, dobrze? W sprawie firewalla... – dodaje, widząc moje zakłopotanie.

– O tak, Freddie. Dzięki.



Kiedy wracam do pokoju, znajduję przyklejoną do okna kartkę. Rozkładam ją i szybko czytam:

Droga Evie,

muszę wyjechać z miasta na weekend. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń do mnie na komórkę. Nie pakuj się w kłopoty i pamiętaj o zasadach. Wrócę najszybciej, jak się da.

Reed

Czytam kartkę od Reeda kilka razy, a potem zwijam ją w kulkę i wrzucam do kosza na śmieci. Leży tam co najmniej przez pięć minut, zanim ją wyjmuję i rozprostowuję pomięty papier. Czytam raz jeszcze i znów wrzucam do śmieci. Ta notka jest najbardziej rozczarującym listem, jaki kiedykolwiek dostałam.

Nie tylko przez cały weekend nie będę mogła zobaczyć Reeda, ale na dodatek nie mam pojęcia, dokąd się wybrał i co robi. Nie pisze też jednoznacznie, że po weekendzie wróci. Każe mi się nie pchać w kłopoty – tak jakby to w ogóle wchodziło w grę przy moim obecnym stylu życia – i nie zostawia mi nawet żadnego czułego słówka, którym mogłabym się delectować. Nie liczę przecież „Drogiej Evie”, bo to jest po prostu sposób rozpoczynania listu. Też mi chłopak!

Potem włącza się moja paranoiczna natura i zaczynam się zastanawiać, czy Reed mnie nie unika. Fuj! Cóż, życzę szczęścia, bo przecież jesteś skazany na mnie – myślę. Zostawił wiadomość – przynaję po kilku minutach ponurego siedzenia na łóżku. Mimo wszystko obciach.

Buns i Brownie ratują mnie przed spędzeniem nocy w głębokiej depresji, bo wpadają do mojego pokoju, żeby mnie namówić na wspólny wypad na imprezę w budynku Delta.

– Impreza tematyczna: „Podglądacze i Nadopiekuńcze Mamuśki” – informuje mnie Brownie, po czym otwiera moją szafę i zaczyna w niej buszować.

Mimo wszystko się śmieję.

– To bardzo zabawne – chichoczę. – A jak wy się zamierzacie ubrać?

– Spróbujemy się odstawić za MILF: „Mamuśki, które bym chętnie pieprzył”. – Brownie wzrusza ramionami. – Myślałyśmy, żeby pójść tam i przy okazji sprawdzić, gdzie jest tablica zbiorcza ze zdjęciami pamiątkowymi, którą mamy zdobyć na początku wojny. Chyba takie rzeczy są przyśrubowane gdzieś do ściany, więc nie możemy jej po prostu zabrać. Potrzebny będzie śrubokręt.

Przytakuję.

– Najszybszy byłby taki na baterie. Może trochę hałasować, ale nie tak głośno, żeby nas usłyszeli, jeśli akurat będzie impreza. Kiedy Delty mają się znowu spotkać? – pytam.

– W środę, skarbie – przypomina mi Buns. – Kupię taki śrubokręt.

– A nie lepiej byłoby dostać się do ich akademika późno w nocy?

– Skarbie, to akademik bractwa. Zawsze ktoś w takim miejscu nie śpi. Założę się, że ci faceci przez całą noc grają w gry na konsolach – prycha Buns lekko poirytowana. – Nie mogę się doczekać, kiedy ci pokażemy te słodziutkie szpiegowskie przebranka, które kupiłyśmy w sieci. Ty będziesz w tym świetnie wyglądać. I nawet nieźle, jeśli cię złapią, bo będziesz zbyt śliczna, żeby cię torturować.

– No świetnie, podwójny pożytek – odpowiadam. – Ale ja nie planuję dać się złapać.

– Czy to jest w stylu MILF, czy raczej MIRROR? – Brownie pokazuje czarną miniówkę.

– A co to jest MIRROR? – pytam Buns.

– „Mamuśka, od której bym chętnie spieprzał” – podsuwa pomocna Buns.

W końcu wybiera dla mnie krótką spódnicę i bluzkę. Kiedy je zakładam, Brownie każe mi się odwrócić i przyczepia mi na tyłku samoprzylepną naklejkę, taką, jakie umieszcza się na samochodowych zderzakach. „Dumny Rodzic Honorowego Studenta Podstawówki w Crestwood”. Czuję się, jakbym była furgonetką albo czymś takim.

– Wiesz, co by do tego pasowało? Złote bransoletki, które dała mi Elise – mówi Buns.

– Złote bransoletki? Myślałam, że mamy wyglądać jak mamuśki zajmujące się wożeniem dzieci na zajęcia.

– Będziemy nadopiekuńczymi mamuśkami, ale takimi z Los Angeles, z pokojówkami i botoksem – mówi Brownie, śmiejąc się bezczelnie.

Kiedy Buns wraca z bransoletkami, zakładam je – muszę przyznać, że są piękne. Ładnie dźwięczą, kiedy ruszam nadgarstkami, i to też daje słodki efekt.

Idziemy wszystkie razem do gmachu Delta. Kiedy tam dochodzimy, JT stoi przy poręczy tarasu i krzyczy:

– Buns!

– Skarbie! – odkrzykuje mu Buns w swoim typowym stylu.

– Moje panie, witajcie w domu Delt. – Kłania się JT, szeroko otwierając ramiona. – Pete, zobacz, kto przyszedł – mówi, wskazując na Brownie. – I Evie! Pete, szybko, daj jej piwo, zanim zemdleje – krzyczy, śmiejąc się do mnie i biorąc do ręki lornetkę podglądacza, którą ma zawieszoną na szyi. – Byłaś tu już kiedyś, Evie? – pyta mnie.

– Raz, kiedy zwiedzałam uczelnię i miałam wycieczkę po kampusie – odpowiadam, licząc po cichu liczbę kroków dzielących drzwi wejściowe od werandy.

JT oprowadza nas po budynku. Skupiam się najbardziej, kiedy pokazuje nam salę bilardową, której ściany zdobią najnowsze zbiorcze tablice ze zdjęciami lokatorów.

Kiedy zwiedzanie przenosi się do innych części gmachu, wymawiam się koniecznością pójścia do łazienki i mówię swojej grupie, że znajdę ich później. Szybko zbiegam po schodach do pomieszczeń znajdujących się obok sali bilardowej. Szukam jakiejś wnęki gospodarczej, która przydałaby się przy realizacji naszego planu. Mam szczęście, bo znajduję coś takiego w holu tuż przy bilardzie. Jest to idealna do moich celów szafa o rozmiarach sporej spiżarni, a przechowywane są w niej wyłącznie środki czystości i artykuły toaletowe.

Przychodzi mi do głowy, żeby sprawdzić pokój przylegający do wnęki od drugiej strony. Jest to salon z wygodnymi fotelami wyściełanymi brązową skórą i z niskimi, lakierowanymi stolikami, idealnie nadającymi się do rozkładania na nich książek. Podziwiam boazerię z ciemnego drewna okalającą cały pokój i orientuję się, że nie jestem tu sama. Mój wzrok przez krótką chwilę rejestruje całującą się w rogu parę. Szybko odwracam spojrzenie, zażenowana, że wtargnęłam w czyjąś prywatność.

Zaczynam się wycofywać z pokoju, kiedy nagle dociera do mnie znaczenie sceny, którą właśnie zauważyłam. Znów wracam spojrzeniem do splecionej w uścisku pary kochanków. Russell siedzi w fotelu z ładniutką blondyneczką na kolanach i – żeby użyć jego własnych słów – częstuje się nią. Przeszywa mnie dziki spazm zazdrości, jakiej nigdy w życiu nie

doświadczyla. Robi mi się gorąco i prawie w tej samej sekundzie zimno. Stoję jak sparaliżowana, aż w końcu odzyskuję kontrolę nad sobą i wycofuję się z tego pomieszczenia.

Delikatnie ujmuję klamkę, żeby nie narobić hałasu, ale brzęczące bransoletki informują Russella o mojej obecności. Zanim udaje mi się wypaść na zewnątrz, jego brązowe oczy na krótką chwilę spotykają się z moimi. Spoza zamkniętych drzwi słyszę jego głos:

– O, cholera, Ruda, poczekaj!

W korytarzu zaczynam gorączkowo szukać miejsca, w którym mogłabym się schować. Bez wahania nurkuję w szafie gospodarczej i zamykam drzwi. Stoję tam i dyszę w ciemnościach, próbując zrozumieć sens sceny, którą widziałam w sąsiednim pokoju. Czy ja naprawdę właśnie przydybałam miłość moich kilku poprzednich wcieleń – nawet nie wiem ilu – na obściskiwaniu dopiero co poznanej dziewczyny? – zastanawiam się idiotycznie, a w moim wnętrzu ból i poczucie zdrady toczą ze sobą wojnę o zdobycie nade mną pełnej kontroli.

To zupełnie bez sensu, że tak się czuję, biorąc pod uwagę dobrze znany mi fakt: przecież nie mogę być z Russellem. To dla niego prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie, ale akurat w tym momencie w moim świecie pełnym krzywdy nie ma miejsca na racjonalne myślenie. Odsuwam się od drzwi, aż trafiam plecami na tylną ścianę wnęki. Osuwam się po niej i siadam na podłodze pomiędzy półkami pełnymi rolek papieru toaletowego i pojemników z płynnym mydłem do rąk. Czuję, że szok związany z przyłapaniem Russella z inną dziewczyną mija, i uświadamiam sobie, że jedyne, na co mam ochotę, to iść do siebie i płakać.

W oczach zbierają mi się gorące łzy i zaciskam zęby, żeby je powstrzymać. Nie mogę teraz płakać... nie tutaj, przy tych wszystkich ludziach, którzy mieliby to zobaczyć. Muszę się stąd wydostać.

Nie próbuję się nawet poruszyć, kiedy klamka zaczyna się obracać i widzę, że drzwi się otwierają. Światło z korytarza pada na moją twarz, a potem słyszę z ust Russella westchnienie ulgi. Szybko wślizguje się do szafy i zamyka za sobą drzwi. Osuwa się po nich plecami i po chwili siedzimy naprzeciwko siebie na podłodze. Russell blokuje większość wpadającego światła, przez co właściwie nie widzę jego twarzy. Stykamy się stopami, które spotykają się pośrodku szafy. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa, po czym w końcu Russell mówi:

– Ruda, nie wiesz może, dlaczego czuję, że muszę cię za to przeprosić?

– Nie musisz, Russell, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie to nie zabolalo – odpowiadam cicho, bo dobrze wiem, dlaczego on odczuwa potrzebę przeprosin. To nasza bliska więź wyrywa mu z piersi małe kawałeczki serca; z mojej zresztą też. Ale nie mogę mu tego zdradzić, podobnie jak nie mogę sprawić, żeby tak nie było.

– Taa, chyba wiem, co czujesz – odpowiada. – Dlaczego tak się dzieje, Ruda? – pyta mnie rozczarowanym tonem. – Chyba nie tylko mnie się wydaje, że jesteśmy idealną parą. Widzę to też w twoich oczach, kiedy na mnie patrzysz. Powiedz mi, o co tu chodzi. Czy Reed jest twoim chłopakiem? – pyta takim głosem, jakby sama ta myśl zostawiała mu w ustach

niesmak. Nie czeka na moją odpowiedź. – Bo muszę ci wyznać, Ruda, że jak cię z nim widzę, to mi się wnętrzności przewracają – mówi.

To właśnie tej chwili obawiałam się od czasu, kiedy zdałam sobie sprawę, kim jestem i – co jeszcze ważniejsze – kim nie jestem. Dla Russella nie jestem w wystarczającym stopniu człowiekiem; gdybym była, sytuacja mogłaby się rozwinąć inaczej. Gdyby nie było Reeda i mojego niewątpliwego pociągu do niego, wiem, że byłabym szczęśliwa z Russellem. Pasowalibyśmy do siebie idealnie, ale dla niego to nie jest bezpieczne. Muszę chronić Russella przed samą sobą – taką, jaka jestem, i taką, jaką mam się stać. W moim towarzystwie zawsze będzie w niebezpieczeństwie, szczególnie jeśli o moim istnieniu dowiedzą się inni aniołowie.

Czuję skurcz w gardle, który niemalże uniemożliwia mi odezwanie się, ale jakoś udaje mi się powiedzieć łagodnym tonem:

– Russell, jak ma na imię ta dziewczyna, z którą się całowałeś?

Russell odpowiada szorstko:

– Candace... ale to nie jest tak, jak wyglądało, a może zresztą jest dokładnie tak, jak wyglądało, a ty mnie odrzuciłaś i widziałem cię z Reedem. Czy wy już całkiem...

– Tak – odpowiadam, przecinając te rozważania. – Reed jest moim... chłopakiem. Jestem z nim, więc powinienes iść i zobaczyć, czy Candace jest nadal dostępna, bo ja nie jestem – kończę i niemalże krztuszę się przy ostatnich słowach.

Cieszę się, że w szafie jest ciemno, bo chyba nie przeżyłabym widoku bólu wywołanego moimi słowami. Sama ledwo jestem w stanie ten ból przeżyć. Russell milczy przez chwilę, tak jakby trawił to, co mu powiedziałam. Słucham jego jednostajnego oddechu i tłumię w sobie chęć zerwania się z miejsca, zarzucenia mu ramion na szyję i pocieszenia go.

Koncentruję się mocno, żeby pozostać na swoim miejscu, i dlatego zaskakują mnie jego słowa:

– Genevieve, chcę, żebyś wiedziała, że nie bolałoby cię to tak bardzo, gdybyś podejmowała właściwą decyzję...

Russell wstaje z podłogi, wychodzi z szafy i delikatnie zamyka za sobą drzwi.

A może to jest właściwa decyzja, skoro tak boli – myślę ze smutkiem i słyszę na korytarzu jego oddalające się kroki. Kiedy mam już pewność, że sobie poszedł, wychodzę z szafy, w której tyle przeszałam, i idę poszukać dziewczyn. Szeptem przekazuję im, że mam pewne informacje na temat tablicy, które muszę zapisać, zanim je zapomnę. Wyjaśniam, że w związku z tym wracam do swojego pokoju, a kiedy mówią, że pójdą ze mną, przekonuję je, żeby zostały i dobrze się bawiły. Mam ochotę być sama.

Gdy wracam do siebie, notuję jeszcze wszystko, co pamiętam i co dotyczy tablicy pamiątkowej, a potem wkładam piżamę i kładę się do łóżka. Przed zaśnięciem wypłakuję swoje smutki w poduszkę i przysięgam sobie, że są to ostatnie łzy, które wylewam w związku z Russellem.

Następny rano spędzam na martwieniu się o Reeda i zastanawianiu, gdzie w tej chwili jest i co robi. Nie poprawia mi to nastroju i w tym stanie udaje mi się doczekać chwili, kiedy Freddie przyjeżdża po mnie swoim białym mercedesem, żeby zabrać mnie do Coldwater. Jestem trochę marudna przez to, że w nocy niewiele spałam.

– Freddie, twój samochód podejrzanie przypomina coś importowanego. Czy ty nie jesteś z Detroit? Więc nie powinieneś przypadkiem jeździć autem produkowanym w Detroit? – pytam trochę dlatego, że mam ochotę się z nim drażnić, a trochę dlatego, że chcę go lekko zrugać.

Freddie przykłada palec wskazujący do ust.

– Cii, Evie, on to jeszcze usłyszy... A to jest prezent maturalny od starych – wyjaśnia Freddie, głaszcze kierownicę i śmieje się do mnie. – Co się z tobą dzieje? Balowałaś w nocy?

– Niezupełnie – odpowiadam i po chwili wszystko, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru w sprawie Russella, wylewa się ze mnie w formie niekontrolowanej fali emocji.

Freddie pozwala mi mówić, nie przerywa i słucha w milczeniu, jak rozbijam na kawałki każdy detal i niuans minionych zdarzeń.

– A teraz jadę do Coldwater, żeby mu kupić głupiego firewalla. Założę się, że Candace nie wybrałaby się aż do Coldwater, żeby mu kupić głupiego firewalla – mówię z ironią w głosie.

Freddie unosi w górę brwi i odpowiada:

– Mogę się założyć, Evie, że masz rację. Jestem pewien, że Russell wolałby twojego firewalla i twój software. Gdyby nie wolał, nie szedłby za tobą wczoraj wieczorem do tej szafy, ale ty przecież to dobrze wiesz.

Wolno wypuszczam powietrze z płuc. Freddie właśnie mówi mi, że wydarzenia ostatniego wieczoru są bezpośrednim rezultatem decyzji, które wcześniej podjęłam. Ale przecież nie mogę mu powiedzieć, dlaczego muszę się tak zachowywać, żeby chronić Russella, ani co naprawdę czuję wobec Reeda.

– Wiem, Freddie – wzdycham – ale czuję się tak, jakbym się składała z dwóch części i jedna część chciałaby Reeda, a druga Russella. A ja bym wolała znowu być całością.

– Będiesz, Evie. Dasz sobie z tym radę, a na razie spróbujemy zająć się komputerem Russella, żeby Candace mogła mu wysyłać maile – mówi Freddie rozbawiony, przyglądając mi się z zawadiackim uśmiechem. Pokazuję mu język, całkiem jakby był moim smarkatym bratem.

Docieramy do Coldwater i znajdujemy sklep z elektroniką, w którym można kupić firewalla. Wybieranie nie trwa długo, ponieważ mają tam tylko parę modeli. Płacę i wychodzimy z Freddiem ze sklepu. Kiedy mijamy małą kawiarenkę, wchodzimy do środka i zamawiamy dwie kawy na wynos.

Po drodze do samochodu Freddiego mocuję się z plastikową pokrywką kubka z café latte i niechcący upuszczam ją na chodnik. Schylam się, żeby ją podnieść, i zauważam mijającego mnie młodego mężczyznę zmierzającego do sklepu. Podziwiam jego dobrze skrojoną kurtkę z czarnej skóry, aż nagle przechodzi mnie dreszcz i jeżą mi się włoski na ramionach. Coś w tym facecie jest nie w porządku. Nie potrafię tego zrozumieć aż do chwili, kiedy podnoszę się i

zauważam jego cień na chodniku. Ten cień się nie oddala: wciąż stoi zwrócony twarzą w moją stronę.

Czuję, że blednę, zaczynam oddychać chrapliwie, mocno bije mi serce. Przyglądam się ciemnemu, nienaturalnie odwróconemu cieniowi, który porusza się jak odrębna istota. Przykrywka od kubka znów wysuwa mi się ze zdrętwiałych palców. Dopiero po kilku chwilach potrafię zmusić nogi do ruchu. Spiesząc się do samochodu Freddiego, wylewam kawę z kubka. Freddie otwiera drzwi i uruchamia silnik.

Wsiadam do auta i blokuję drzwi, po czym wyglądam przez tylną szybę. W czasie gdy Freddie manewruje, żeby wyjechać z parkingu, mężczyzna z dziwnym cieniem stoi w drzwiach kawiarenki i obserwuje nasz samochód. Dygocę ze strachu. Co to było?, zastanawiam się. Zerkam w boczne lustro i sprawdzam, czy facet idzie za nami. Zauważył mnie, a przynajmniej jego cień to zrobił, myślę i nadal dygoczę ze strachu.

Freddie zauważa, że dzieje się ze mną coś złego.

– Evie, wszystko w porządku? Jesteś taka blada.

– Mhm, tak, wszystko w porządku, Freddie. Tylko mam trochę gorzką kawę. Powinam była wrzucić więcej cukru – mówię i wycieram serwetką rękę, którą zalałam kawą.

Rozlewając kawę, oparzyłam sobie palce, ale nie zwracam uwagi na ból, bo wiem, że zanim wrócimy do Crestwood, wszystko się prawdopodobnie zagoi. Zakrywam oparzone miejsce serwetką, żeby Freddie go nie zauważył. Odchyłam się do tyłu w fotelu i zamykam oczy. To nie był dobry pomysł, myślę i zaczynam się zastanawiać, jak wytłumaczę Reedowi, co widziałam, skoro w ogóle nie powinno mnie być w Coldwater.

Kiedy powiem Reedowi, co zrobiłam, będę miała do czynienia z wrogo nastawionym aniołem. Nie było go tu, więc nie mogłam zapytać – chwytam się brzytwy, ale po chwili spoglądam na swoją komórkę i od razu przychodzi mi do głowy argument, że nawet nie próbowałam do niego zadzwonić. Przez całą drogę do Crestwood martwię się facetem z dziwnym cieniem. Freddie w tym czasie tłumaczy mi, jak zainstaluje za mnie firewalla w pokoju Russella. Wydaje się, że Freddie nie zauważa mojego napięcia. W końcu wysadza mnie na parkingu przy akademiku.

Zza mojego okna dobiega echo orkiestry dętej grającej w hali sportowej. Pierwszy mecz Russella ma się zacząć za kilka minut. Planowałam tam iść i go dopingować, ale moja obecność odniosłaby zapewne skutek odwrotny do zamierzonego. Jestem prawdopodobnie ostatnią osobą na świecie, którą miałby ochotę widzieć, myślę i ta refleksja przygnębia mnie bardziej, niż jestem to w stanie wyrazić.

Gdy leżę na łóżku, uświadamiam sobie, że naprawdę tęsknię za Reedem, co jest żalodne, nie ma go przecież niewiele dłużej niż jeden dzień. Po krótkiej chwili załamuję się i próbuję złapać go telefonicznie. Czuję się rozczarowana, kiedy Reed nie odbiera. Słuchając jego seksownego głosu w skrzynce pocztowej, myślę, że fajnie by było, gdybym mogła jakoś to nagrać i odtwarzać sobie raz za razem jak grupie zwariowana na punkcie swojego idola.

Kiedy słyszę sygnał oznaczający, że mogę zostawić wiadomość, nie bardzo wiem, co powiedzieć, bo w ogóle tego telefonu nie planowałam. Mój głos brzmi, jakbym miała kłopoty z oddychaniem:

– Cześć Reed, tu Evie... Tęsknię... Wracaj prędko do domu.

Rozłączam się, kulę się z zażenowania i chowam twarz w dłoniach, gdy myślę o wiadomości, którą właśnie nagrałam. Jesteś tak mało ambitna.

Wcześniej kładę się do łóżka i przyglądam się nocnemu niebu za oknem. Próbuje sobie wyobrazić, co teraz robi Reed. Budzę się w ciemności spocona i przyciskam ręce do piersi w miejscu, w którym w moim śnie jakiś facet dźgnął mnie nożem. Łapię oddech, szlocham, próbując rozmasować ślady po bólu. Jestem cała – upewniam samą siebie. Nie jestem ranna... Coldwater to był zły, bardzo zły pomysł – myślę, czując, jak ogarnia mnie panika.

Trzęsącymi się rękami podciągam wyżej prześcieradło i uświadamiam sobie, że nie potraktowałam poważnie ostrzeżeń Reeda – wciąż jestem na etapie negacji. Reed powiedział mi o istotach, które niczego tak nie pragną, jak dopaść mnie, ale ja nie zrozumiałam w pełni tego komunikatu. Zdaję sobie teraz sprawę, że spotkałam jedną z takich istot. Gdyby to coś przyszło po mnie w nocy, pewnie nawet nie zauważyłabym jego nadejścia. Prawdopodobnie już byłabym martwa. Leżę w łóżku, obejmuję poduszkę i czekam na wschód słońca.

Rozdział 14

Przeciwieństwa się przyciągają

Wstaję wcześniej rano i idę na śniadanie do Sagi. Niedzielnny poranek to nie jest najbardziej popularna pora na śniadanie ze względu na sobotnie imprezowanie do późna. Z wyjątkiem garstki studentów nikogo nie ma w kafeterii. Freddie tkwi samotnie przy naszym stole i kiedy zbliżam się do niego z tacą, o mało nie wybucham śmiechem, bo gdy siedzi przed poranną gazetą rozłożoną na stole i kubkiem stygnącej kawy, przypomina starszego pana.

– Dzień dobry – mówię.

Freddie unosi podbródek i kiwa głową.

– Jak leci, Evie? Słyszałaś? Chargersi wczoraj wygrali – mówi radośnie.

– Tak, słyszałam. Słodko, nie?

– Ostro było: dwadzieścia jeden do siedemnastu.

– Wspaniale – odpowiadam. – Miałaś jakieś problemy z firewallem? – Przeżuwam powoli owsiankę.

– Nie, to było całkiem łatwe. Prawie sam się zainstalował. – Nie patrzy na mnie.

– Co jest? – Zauważam zmianę jego zachowania.

– Nic.

– Co jest, Freddie? – pytam ponownie.

Sięga do torby i wyciąga z niej to, co zostało z firewalla. Wygląda, jakby ktoś użył wobec niego młotka albo rozjechał go samochodem.

– Russell, go... no, że tak powiem, odinstalował – mamrocze Freddie.

– Aha. – Patrzę na powgniatane porty i przekrzywioną obudowę, która przestała już w pełni zakrywać wnętrze urządzenia. – Możesz równie dobrze wyrzucić go do śmieci, bo wątpię, żeby mieli go przyjąć w sklepie jako zwrot.

A ja i tak nie pojedę do Coldwater – myślę tępo.

– Evie, na obronę Russella mogę powiedzieć, że chłopczyna się wczoraj nawalił jak stodoła. – Freddie próbuje złagodzić cios wywołany widokiem zmasakrowanego hardware'u.

– No tak, teraz jest mi dużo lepiej... Dzięki, Freddie – mówię z sarkazmem, gdy widzę w powyginanym metalu gniew Russella.

– Przepraszam – odpowiada po prostu.

– Nie, to ja przepraszam. Ja cię wkłęciłam w tę historię i szczerze cię za to przepraszam. Więcej tego nie będę robiła, obiecuję. – Kładę dłoń na jego dłoni. – To sprawa między mną a Russellem i komunikat dotarł do mnie jasno i dobitnie. Sądzę, że komunikat brzmi: odczep się ode mnie.

– Przynajmniej nie zrobił tego, do czego namawiał go Mason – wtrąca Freddie.

– O, a co to było?

– Mason proponował, żeby wrzucił ci to przez okno.

– No cóż, mając takich kumpli, chyba nie zginie – mówię ponuro. – Więc co dziś porabiasz – próbuję zmienić temat w nadziei, że Freddie się nade mną zlituje i włoży firewalla z powrotem do torby, żebym nie musiała na niego patrzeć aż do końca śniadania.

– *Nada*^[9]. A ty? – Zabiera zniszczone urządzenie ze stołu, jakby czytał w moich myślach.

– Pranie – odpowiadam z ulgą. – A po południu gram swój pierwszy mecz.

– Z kim gracie?

– Chyba z Kappami – odpowiadam i upijam łyk soku pomarańczowego.

– O której?

– O czwartej.

– Przyjdę – informuje mnie z uśmiechem.

– Dzięki, Freddie. – Nie potrafię odwzajemnić uśmiechu, choć bardzo się staram.



Nasz pierwszy mecz przyciąga większe tłumy, niż się spodziewałam. Może to mieć coś wspólnego z naszymi nowymi strojami. Mamy na sobie czerwone koszulki i spódniczki z czarnym pasem na obu bokach. Pozbawiona rękawów koszulka z kołnierzykiem przylega ściśle do mojego ciała, podobnie jak i spódniczka, nie zostawia pola do popisu dla wyobraźni.

Czerwone podkolanówki dopełniają stroju i zakrywają ochroniacze goleni. Kappy grają w granatowych spódniczkach, nieco jaśniejszych koszulkach i błękitnych skarpetach. Wszystkie wyglądają jak unowocześniona wersja dziewcząt ze szkoły katolickiej, co – jak sędzę – ma być częścią całej zabawy.

Widzę Freddiego kręcącego się przy linii bocznej wraz z paroma innymi chłopakami i macham do niego ręką. Mam właśnie do niego podejść i porozmawiać, kiedy zauważam, że do boiska zbliża się Russell. Nie jest sam. Policzki oblewa mi rumieniec, kiedy uświadamiam sobie, że przyszedł z dziewczyną, z którą tamtego wieczoru się całował. Jak ona ma na imię...? Candace? Kiedy widzę, że stoją blisko siebie, trzymają się za ręce i coś do siebie szczebioczą, czuję się, jakby zazdrość była żywym stworzeniem i mieszkała w moim wnętrzu.

Czemu on tu z nią jest? – zastanawiam się, aż w końcu uświadamiam sobie, że Candace ma na sobie niebieski strój, i dociera do mnie, że Russell przyszedł ją dopingować. Próbuję ukryć wściekłość i pędzę w miejsce, gdzie rozgrzewają się moje koleżanki z drużyny. Zaczynam się rozciągać i staram się ignorować tamtych dwoje, ale widzę, że Russell całuje Candace na szczęście i całkiem nie po bratersku klepie ją w tyłek, po czym jego dziewczyna dołącza do swojej drużyny.

Nie mogę być blisko niego, bo to dla mnie zbyt niebezpieczne – przypominam sobie, że to przecież lepiej dla Russella, żeby nie przebywał koło mnie; ale trudno o tym pamiętać, kiedy parzy mnie rozpalona zazdrość.

Sędziowie wzywają kapitanki na rzut monetą. Z naszej strony bierze w tym udział Brownie, która wygrywa i wybiera podanie ze środka. Wbiegam na boisko, żeby zająć pozycję blisko linii środkowej. Chwilę później Candace staje dokładnie naprzeciwko mnie po drugiej stronie białej kredowej linii.

Wydaje mi się głęboko niesprawiedliwe, że jest piękną dziewczyną, nawet z szyderczym uśmiechem na ustach, z którym się do mnie zwraca:

– Ej ty, psycholko, prosiłabym, żebyś trzymała się z dala od pokoju mojego chłopaka.

Otwieram szeroko oczy.

– Słucham?

Z protekcyjnym uśmiechem dodaje:

– To chyba było nielegalne... to, co zrobiłaś wczoraj. Grzebałaś w komputerze Russella. – Opiera laskę na kolanach i wychyla się do przodu. – Wszyscy mają cię za psycholkę i pierwszoroczną groupie, która się włamuje do jego pokoju. – Candace patrzy mi w twarz.

Jestem tak zażenowana, że mój rumieniec dopasowuje się kolorem do koszulki. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak miażdżę jej gardło swoimi korkami. Czuję w sobie ogień, ale język zamienia mi się w popiół i nie mogę nic powiedzieć.

Sędzia ustawia piłkę na linii i gwizdże. Buns rozpoczyna grę podaniem przed siebie do Brownie. Biegniemy w tamtą stronę, Brownie tymczasem uderza piłkę do Weezy. Z łatwością obiegam Candace, która bardzo się stara, żeby zagrozić mi drogę. Próbuję przewidzieć, jak będzie rozwijała się gra, i zająć dobrą pozycję, by odebrać podanie. Słyszę swój własny

oddech. Koncentruję się na wyznaczonym celu i przestaję zwracać uwagę na hałas tłumu kibiców. Nie czekam długo na podanie: piłka nadlatuje łukiem w kierunku mojego kija, uderzona przez Babs. Opuszczam kij nisko, żeby dobrze opanować piłkę, i przekierowuję podanie w stronę D. Łatwo ogrywam Candace i prowadzę piłkę w stronę pola strzałowego. Buns w tym czasie wybiega przede mnie, żeby zająć pozycję blisko bramki.

Posyłam piłkę do Buns, która opuszcza kij, żeby przyjąć podanie. Potem zmienia położenie kija i wysyła piłkę w kierunku bramki. Strzał mija bramkarkę naszych przeciwniczek, która rzuca się niezgrabnie w stronę piłki. Gol! – myślę, słysząc zrywający się aplauz widzów.

Śmiejemy się i ściskamy z Buns, której gratuluję doskonałego strzału, kiedy wracamy na nasze wyjściowe pozycje. Teraz Kappy zagrywają piłkę ze środka. Podbiegam po raz kolejny do linii środkowej, a Candace zajmuje miejsce naprzeciw mnie.

Obdarza mnie fałszywym uśmiechem przesłanym przez kredową linię.

– Wiesz, wieczorem rozmawialiśmy o tym, żeby przyjść całą grupą pod twój akademik... Chcieliśmy wrzucić ci przez okno to coś, co wstawiłaś do komputera Russella – mówi Candace z zadowolonym z siebie uśmiechem.

– Candace, to coś nazywa się firewall – odpowiadam cichym głosem.

– Nieważne, maniaczko. – Marszczy nos.

Rozlega się gwizdek sędziego. Jedna z atakujących przeciwniczek wybija piłkę naprzód, próbując przerzucić ją obok mnie. Ale źle trzyma przy tym kij i bez trudu przechwytyuję piłkę, odwracając jej bieg. Podaję piłkę do Babs i puszczam się sprintem do przodu, żeby pomóc jej w pobliżu pola strzałowego. Kappy nawet nie są w stanie dotknąć piłki, zanim Babs podaje ją znowu do mnie.

Wbiegam w pole strzałowe razem z Babs i zauważam, że jedna z obrończyń zasłania mnie przed ich własną bramkarką. Wiedząc, że bramkarka nie może mnie w tym całym zamieszaniu zauważyć, szukam jakiejś szczeliny między dziewczynami, przez którą można by strzelić na bramkę. Bramkarka nie wyszła nawet w kierunku piłki wpadającej do bramki. Tłum na liniach bocznych głośno oklaskuje mojego gola, ale ja sama nie bardzo umiem się nim cieszyć, bo wiem, że muszę znowu wrócić na linię środkową i słuchać tego, co powie mi Candace.

Wracam na nasze pozycje. Po drodze zbieram uściski i gratulacje od dziewczyn z drużyny, a sędzia kładzie w tym czasie piłkę na środku. Candace, która ustawia się na swoim miejscu, nie wygląda na szczęśliwą.

– Ładny gol, psycholko – mówi z fałszywą słodyczą. – Taka dziewczyna jak ty potrafi zaliczać tylko w ten sposób. Czy to prawda, co opowiada Russell... że jesteś jeszcze dziewicą?

Oczy zwięzają mi się z wściekłości. Zabiję go – myślę, czując, jak krew odpływa mi z twarzy. Russell musiał jej powiedzieć, że... Coś powiedział. Kiedy słyszę gwizdek, nie

ruszam się. Candace też stoi nieruchomo. Wpatrujemy się w siebie z szyderczymi wyrazami twarzy.

Brownie widzi, co się dzieje, i biegnie w moją stronę, żeby mnie odciągnąć od Candace.

– Nie daj się jej zdenerwować, Evie – mówi Brownie i obejmuje mnie ramieniem. – Zamienimy się miejscami. Ustaw się po drugiej stronie. Podamy ci piłkę, żebyś mogła znowu strzelić gola. W tym roku one są naprawdę do kitu.

Próbuję udawać, że nic się nie dzieje.

– Dobra, w porządku – odpowiadam, ale tak naprawdę mam ochotę wrócić do swojego pokoju i schować się w nim na jakiś czas.

Zamieniam się miejscami z Brownie i dostaję piłkę jeszcze kilka razy, przy każdym podaniu strzelam gola. Do przerwy mecz już jest rozstrzygnięty. Kibiców ubyło, bo Kappy dostają łomot siedemnaście do zera. Sędziowie rozmawiają z kapitankami i Kappy godzą się, żeby zrezygnować z drugiej połowy.

Kiedy dochodzimy do bocznej linii, nalewam sobie wody do papierowego kubka. Przyglądam się tłumowi w poszukiwaniu Freddiego, ale nie mogę go znaleźć. Musiał wyjść przed końcem pierwszej połowy. Wcale mu się nie dziwię, bo grało się ten mecz fatalnie, a co dopiero mówić o oglądaniu. Popijam wodę i słyszę, jak Candace skarży się Russellowi na sędziów i złe prowadzenie spotkania. Ma chyba urojenia, jeśli sądzi, że Kappy miały jakąkolwiek szansę odrobić stratę w drugiej połowie. Russell nic nie mówi o meczu, ale próbuje ją pocieszać. Bierze ją w ramiona i ściska. Patrzę na nich, kiedy się tak obejmują, i czuję w piersi ból. Pamiętam, jak to jest być tak przez niego obejmowaną. Muszę się odwrócić.

Dochodzę do wniosku, że na jeden dzień starczy już męczarni. Rozglądam się za Brownie i Buns. Chcę im dać znać, że jestem gotowa, żeby wracać do akademika, ale przystaję na chwilę i przykładam rękę do brzucha. Czuję lekkie łaskotanie. Upuszczam papierowy kubek i szukam dookoła oznak obecności Reeda, a w tym czasie wrażenie łaskotania się nasila. Po kilku chwilach widzę go. Idzie w kierunku boiska z pobliskiego parkingu.

Widok Reeda znów zwęża moje pole widzenia: przestaję zauważać wszystko inne oprócz niego. Czuję podniecenie i niepokój typowe dla osób przeżywających początki nowego związku. Idę w jego stronę, zostawiając na pokrytej rosą trawie ślimacze ślady. Uchodzi ze mnie cała złość i zażenowanie minionych godzin. Przyspieszam kroku, a ostatnie metry dzielące mnie od Reeda przebiegam. Obejmuję go ramionami w pasie i opieram twarz na jego piersi.

– Reed – oddycham cicho – wróciłeś... Tęskniłam za tobą.

Rozdział 15

Światło i cień

Niespieszny, seksowny uśmiech wędruje po twarzy przytulającego mnie Reeda, który nachyla się do mojego ucha i szepcze:

– Ja też za tobą tęskniłem.

Mówi to tak, jakby zawierał mi sekret, który tylko my znamy. Serce zaczyna mi mocniej bić ze szczęścia, a policzki oblewają się rumieńcem.

– Czy spóźniłem się na twój mecz? – pyta rozczarowanym tonem i spogląda w stronę boiska.

Wzruszam lekko ramionami.

– Prawdopodobnie zdążyłbyś na drugą połowę, ale Kappy musiały z niej zrezygnować, bo to była masakra – odpowiadam uradowana, że nie będzie drugiej połowy.

– Aż tak, naprawdę? – Marszczy brwi. Kiedy kiwam głową, zielone oczy Reeda skrzą się radością. – Strzeliłaś gola? – pyta zaciekawiony i zakłada mi za ucho kosmyk włosów, który uwolnił się z warkocza.

– Tak, ale każda z nas zdobyła przynajmniej jedną bramkę, więc nie jest to takie wielkie osiągnięcie – mówię uczciwie i obserwuję, jak jego uśmiech staje się jeszcze trochę szerszy.

– Masz teraz jakieś plany, czy możesz się ze mną przejechać? Moglibyśmy pojechać na trochę do mnie do domu – proponuje łagodnym głosem.

Kiedy natychmiast kiwam z entuzjazmem głową, słyszę jego cichy śmiech. Odwraca się i kładzie rękę na moim ramieniu. Ruszamy w stronę samochodu. Zauważam, że Brownie i Buns obserwują mnie, kiedy tak odchodzę z Reedem, więc macham do nich na do widzenia. Wchodzimy na parking i docieramy do auta. Przed otwarciem dla mnie drzwi po stronie pasażera Reed zatrzymuje się i delikatnie mnie całuje. Tracę oddech i kręci mi się w głowie. Zarzucam mu ręce na szyję i przyciągam go blisko siebie.

– Cieszę się, że wróciłeś – szepczę gdzieś w okolicach jego ucha.

– Ja też – odpowiada mi również szeptem.

Reed otwiera przede mną drzwi auta i czeka, aż usiądę w fotelu. Potem przechodzi na stronę kierowcy i zajmuje swoje miejsce. Chwyta mnie za rękę i czule ją całuje, a potem wypuszcza ją i wrzuca bieg w samochodzie.

Kiedy zwraca się do mnie, widzę wyraz troski w jego oczach.

– Przykro mi, że cię zostawiłem samą na weekend. Martwiłem się o ciebie. Jak sobie radziłaś?

– Teraz, kiedy wróciłeś, radzę sobie już lepiej – uchylam się od odpowiedzi. – A gdzie ty się podziewałeś? – pytam. – W wiadomości od ciebie nic o tym nie było.

– Skontaktował się ze mną przyjaciel w pewnej sprawie militarnej, w której potrzebował pomocy – mówi Reed poważnie. – Nie chciałem jechać... nie chciałem cię zostawiać bez ochrony, ale gdybym nie pojechał, przyjaciel nabrałby podejrzeń, co może mnie powstrzymywać przed udziałem w misji – ciągnie dalej i patrzy na mnie znacząco. – Bardzo mi zależało, żeby tego uniknąć.

– A dlaczego nie poprosiłeś przyjaciela, żeby przyjechał tutaj? – Marszczę brwi.

Reed przez chwilę wpatruje się w moją twarz i mówi niechętnie:

– Mój przyjaciel to anioł.

– Aha... I to jest problem, bo... – milknę, mając nadzieję, że odpowiedź Reeda nie będzie zbyt okropna.

Wyraz troski na jego twarzy nasila się, a usta robią się nieco węższe.

– Chciałbym, żeby to było jasne, Evie. To, że mój przyjaciel nie jest upadłym aniołem, nie oznacza, że jego towarzystwo jest dla ciebie bezpieczne. Nie myl naszej prawdziwej natury z tym, co znasz z kartek świątecznych z aniołkami. Jesteśmy wojownikami, śmiertelnie groźnymi drapieżnikami i czas spędzony na Ziemi nauczył nas wielu sposobów na przetrwanie, a czasami także na folgowanie sobie. Zefir z pewnością zorientowałby się, kim jesteś, a wolałbym go raczej nie zabijać, jeśli mogę tego uniknąć.

– A jesteś pewien, że ten... ten Zefir próbowałby mnie skrzywdzić? – pytam ze smutkiem w głosie; myślę sobie, że skoro Reed nie ufa swoim przyjaciołom na tyle, żeby zgodzić się na ich obecność przy mnie czy choćby poinformować ich o moim istnieniu, mamy poważny problem do przedyskutowania.

– Nie wiem. Tak jak ci już mówiłem, jesteśmy zazdrosnymi istotami, a w twoim przypadku mógłby się przyczepić do różnych rzeczy. Wzbudzasz bardzo silne emocje i nie wiem, czy mój przyjaciel potraktowałby cię jako zagrożenie, czy jako coś innego.

Przez chwilę przyglądam mu się badawczo i wiem, że musiał się długo nad tym zastanawiać.

– Jeśli nie jako zagrożenie, to jako co?

Odpowiedź Reeda brzmi nieco sztywno:

– Być może on też poczułby pociąg do ciebie.

Otwieram szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że miałby przeze mnie motyle w brzuchu?

– Tak.

– I to cię martwi?

– Tak.

Wzdycham ciężko i pytam:

– Reed, dlaczego miałbyś mnie chronić nawet przed twoim przyjacielem, który jest sojusznikiem?

Nadal nie rozumiem, w jaki sposób Reed stał się moim obrońcą. Jestem w połowie kobietą, a on... no cóż, istotą doskonałą.

Jeszcze bardziej marszczy czoło i mówi cichym głosem:

– Odpowiadam teraz za ciebie i będę cię chronił.

Tracę nieco zapal i mamroczę:

– W twoich ustach to brzmi, jakby chodziło o przykry obowiązek.

– Jesteś samotna, jesteś delikatna... – szepcze i spogląda na mnie. Jedziemy przez miasto.

– Delikatne to są kocięta. A ja jestem kobietą... znaczy... i aniołem.

Reed próbuje stłumić uśmiech, który wykwita na jego ustach.

– Jesteś trochę jak kotek – mówi – jeśli porównać cię z nami. Zresztą każdy anioł w twoim wieku byłby taki. Dlatego chcę cię ukryć, przynajmniej na tak długo, ile trzeba, żebyś się wzmocniła.

– I to dlatego przez cały weekend nie zadzwoniłeś... żeby twój przyjaciel nie podsłuchał, jak ze mną rozmawiasz?

– Tak... Kilka razy słuchałem wiadomości, którą mi nagrałaś. Podobała mi się. Następnym razem zostaw mi dłuższy komunikat i opowiedz, jak ci mija dzień albo... no nie wiem, cokolwiek. Lubię słyszeć twój głos – przyznaje Reed.

– W porządku – mówię z uśmiechem – jeśli ty z kolei obiecasz, że następnym razem, kiedy zostawisz mi kartkę, będzie w niej przynajmniej jedno czułe słowo. Bo nie uznaję „Droga Evie” za czułe słowo.

– Nie podobała ci się moja wiadomość?

– Nie, nie podobała mi się. Była kiepska – mówię z nadąsaną miną.

– Kiepska? A co w niej miało być? – pyta rozbawiony.

– Hm... niech pomyślę. Droga Evie, którą namiętnie uwielbiam, obiecuję wrócić najszybciej, jak się da, bo za bardzo za tobą tęsknię, żeby wyjeżdżać na długo. W gruncie rzeczy nie mogę w ogóle bez ciebie wyjechać, więc spotkamy się, kiedy tu dotrzesz – kończę z udawaną skromnością. Zieleń oczu Reeda staje się o ton głębsza, kiedy przygląda mi się w trakcie tej recytacji.

– Zostawiłem ci tę krótką wiadomość, bo nie chciałem wywierać na ciebie presji – mówi miękkim głosem. – Wiem, że musisz coś czuć do Russella, no bo jakżeby inaczej? Jest twoją bratnią duszą. Nie jestem wcale pewien, jaka jest moja rola przy tobie. Ale podobała mi się wiadomość głosowa od ciebie i nie miałbym też nic przeciwko temu, żebyś mnie jeszcze raz przywitała tak samo jak na boisku.

– Pytasz mnie, jaka jest twoja rola... przy mnie? – Kiedy wypowiadam te słowa, wjeżdżamy na wypieszczony podjazd przy jego domu.

– O ile w ogóle masz ochotę o tym rozmawiać – mówi łagodnie.

Słucham przez chwilę jego równego oddechu i próbuję zebrać w całość wszystkie porzrzucone kawałki, z których składa się tak skomplikowana istota, po to, żeby wytłumaczyć mu, kim dla mnie jest. Rumieniec pokrywa moje policzki, kiedy mówię niemal bez tchu:

– Jesteś tym, kim zechcesz. Żaden inny anioł ani mężczyzna nigdy nie stanie się dla mnie ważniejszy, bardziej szanowany ani bardziej kochany.

Nie sądzę, żeby Reed był przygotowany na to, co właśnie ode mnie słyszy. Choć nie jesteśmy jeszcze na małym rondzie przed samym wejściem do domu, wciska hamulec i miękko zatrzymuje samochód. Nie patrzy na mnie, tylko wygląda przez okno i wpatruje się w ciemniejące niebo.

– Ale ja byłem przekonany, że ty i Russell... to znaczy... że ty i on... – zaczyna Reed, ale przerywam mu w pół słowa.

– Nie. Powiedziałam Russellowi w ten weekend, że chcę być z tobą – wyjaśniam i próbuję odczytać jego myśli.

Reed sztywnieje, jakby był rozgniewany, i mówi stanowczym tonem:

– Evie, nie musisz tego robić. Będę cię chronił niezależnie od tego, kogo wybierzesz. Nie musisz się obawiać, że stracisz mnie jako opiekuna, jeśli ty i Russell...

Otwieram szeroko oczy, bo uświadamiam sobie, że Reed mi nie wierzy.

– Posłuchaj – wyjaśniam szybko. – Kocham Russella. Mam wrażenie, że zawsze kochałam Russella i zawsze go będę kochać. Ale to już nie ma znaczenia. Nieważne, co do niego czuję, bo to zostało przesłonięte. Ty zaćmiewasz wszystko inne i uświadamiam sobie, że chcę być właśnie z tobą.

W jednej chwili Reed wyłącza silnik i znika z fotela kierowcy. Pół sekundy później podskakuję zdziwiona, widząc, że drzwi po mojej stronie się otwierają.

Z przepaszającą miną Reed rozpina mój pas i jednym płynnym ruchem wyciąga mnie na rękach z samochodu.

Niespełna sekundę później jesteśmy przy drzwiach wejściowych do domu. W mgnieniu oka trafiam do pokoju, w którym jeszcze nie byłam. Jest to bardzo przestronna sypialnia, sądząc po wyglądzie, prawdopodobnie należy do pana domu. Reed stawia mnie na nogi przy drzwiach tego pomieszczenia, a ja powoli wchodzę za nim do środka. Rozglądam się z zainteresowaniem dookoła i widzę ogromne łóżko stojące przy ścianie na tyłach sypialni. Pozostałe ściany obwieszane są obrazami olejnymi oprawionymi w stylowe ramy. Dostrzegam też lśniące, wypolerowane regały wypełnione rzędami książek w skórzanych oprawach – one same są prawdopodobnie dziełami sztuki.

– To twój pokój? – Odwracam się do Reeda, który stoi oparty o zamknięte drzwi sypialni i obserwuje mnie.

– Tak – odpowiada. – Chcę ci coś pokazać.

– O, tak? – Uśmiecham się i przesuwam się w stronę nocnego stolika.

Moje oczy wędrują ku misternie rzeźbionemu posągowi wysokiemu na kilkadziesiąt centymetrów. Podnoszę go i przyglądam mu się badawczo. Końce moich palców ślizgają się po gładkiej, popielatej powierzchni. Podziwiam detale i delikatne kształty gibkiej kobiety odpoczywającej na greckiej leżance. Wygląda jak bogini, a w całej rzeźbie jest coś dobrze mi znanego – a szczególnie suknia, w którą kobieta jest ubrana. Wpatruję się w jej twarz i w końcu ją rozpoznaję. To ja! To posąg przedstawiający mnie.

– Tę sukienkę nosiłam przy pozowaniu do portretu MacKinnona! – szepczę.

– Podoba ci się? – pyta Reed, stojący tuż za mną.

– Piękna. To twoje dzieło?

– Tak – odpowiada miękko.

– Nie wiedziałam, że jesteś artystą! – wykrzykuję i nadal wpatruję się w delikatnie wyrzeźbioną postać.

– Od pewnego czasu nic takiego nie robiłem... aż do niedawna. Zainspirowałaś mnie – mówi z olśniewającym uśmiechem, od którego zaczynają mi się trząść ręce.

Delikatnie odstawiam posąg na stolik i zadowolam się obserwowaniem go na odległość. Obok niego widzę drugi i nie mogę się powstrzymać przed wzięciem go do ręki. Ten również jest podobny do mnie, ale tym razem jestem ubrana w strój do hokeja. Moja marmurowa podobizna zastygła w pełnej agresji pozie tuż przed uderzeniem piłki kijem. Podobieństwo jest niezwykle.

Przyglądam się przez chwilę figurce i pytam:

– Te posągi i te, które stoją w bibliotece, i ten, który rozbiłeś, kiedy byłem tu poprzednio... wyrzeźbiłeś je wszystkie sam?

– Tak – odpowiada Reed i widzę po nim, że wspomina dzień, w którym uszkodziłam sobie kolano.

– Ten, który zniszczyłeś, przedstawiał anioła. To był jakiś twój przyjaciel? – zadaję kolejne pytanie i uśmiecham się do niego przez ramię.

– Evie, czy czegoś ci brakuje? – pyta z kolei Reed. Obejmuje mnie od tyłu w pasie.

Odstawiam delikatnie jego dzieło z powrotem na wypolerowany stolik i obracam się w ramionach Reeda. Przyciskam ucho do jego piersi i słucham bicia serca, którego rytm dociera do mnie z tak bliska.

– Nie – mówię zadyszczanym głosem.

Reed delikatnie odpycha mnie od siebie i mówi łagodnie:

– Evie... przyprowadziłem cię tu, żeby ci coś pokazać. Coś, co musisz zobaczyć, zanim postanowisz, czego chcesz.

– Co mi chcesz pokazać? – pytam z wyrazem zdziwienia na twarzy, gdy widzę, jak Reed odsuwa się ode mnie o kilka kroków.

Jego oczy są ciemne i uważne, a dłoń dotyka świeżo wyprasowanej, białej koszuli i wolno rozpina guzik. Czuję gorąco na policzkach na widok każdego następnego guzika, który odsłania przede mną kolejne fragmenty jego idealnej klatki piersiowej i torsu. Kiedy już cała koszula jest rozpięta, Reed zastyga w bezruchu, jakby badał moją reakcję. Nie uświadamiałam sobie, że już przedtem przysunęłam się bliżej niego, więc ze zdziwieniem stwierdzam, że moje palce gładzą jego nagą pierś. Skóra Reeda jest gładka i idealna, pozbawiona niedoskonałości ludzkiego ciała. Z każdym kolejnym centymetrem jego skóry moje serce przyspiesza. Moje dłonie wędrują w górę pod koszulę Reeda. Zdejmuję ją z jego ramion, zsuwam wzdłuż rąk, a w końcu upuszczam na podłogę.

W tym momencie zaczyna mnie opuszczać odwaga. W oczach Reeda pojawia się niepokój, a jednocześnie z tyłu za nim słyszę chrzęst rozprostowywanych kości. Otwieram szeroko oczy ze zdumienia, bo widzę masę czarnych jak sadza piór, które wyłaniają się z szerokich ramion Reeda i sięgają powyżej jego szyi, mniej więcej aż na wysokość uszu.

Słyszę chrapiący dźwięk swojego oddechu. Skrzydła Reeda wracają do wyjściowej pozycji. Nie rozłożył ich w pełni, więc nie mam pojęcia, jak daleko mogą sięgać.

Mgliście zdaję sobie sprawę, że wbijam paznokcie we własne dłonie. Z moich ust wydobywa się tylko jeden okrzyk:

– Och!

Cofam się o kilka kroków, aż dotykam do krawędzi jego łóżka, która podcina mi kolana, tak że przewracam się do tyłu i opieram na łokciach. Czuję, jakby czas zwolnił albo w ogóle już nie istniał, a ja skupiam całą uwagę na istocie stojącej przede mną. Gdy patrzę na Reeda, myślę sobie, że może moje wejście w dorosłość i porzucenie świata baśni, w którym takie rzeczy są możliwe, odbyło się wcale nie tak dawno, bo przekroczenie progu tej niezwyklej rzeczywistości nie przeraża mnie aż tak, jak powinno. Powoli, tak żeby nie zniszczyć wyjątkowego charakteru chwili, wstaję z łóżka Reeda. Niepewnie przesuwam się naprzód, czuję, jak jego piękne, drapieżne oczy śledzą każdy fragment mojej drogi ku niemu.

Wyciągam rękę i przesuwam dłoń wzdłuż jego obojczyka w stronę lewego barku. Czuję, jak pod moimi palcami poruszają się mięśnie o twardości stali. Końce palców ześlizgują się z barku ku jego skrzydłu w kolorze ciemnego grafitu. Jest silne, o jedwabistej fakturze piór. Skrzydła Reeda sięgają niemal do podłogi i mają szpiczasty kształt, podobnie jak sokoła. Unoszę rękę, dotykam drugiego skrzydła i obchodzę powoli Reeda za jego plecami. Zakreślam wokół niego koło jak pierścień wokół Saturna. Kiedy znów stoję przed nim, unoszę ramiona i zaplatam je wokół jego szyi.

– Jesteś wspaniały – mówię bez tchu, delikatnie dotykam jego włosów. – Możesz nimi poruszyć? – pytam, bo pragnę zobaczyć, jak Reed demonstruje siłę tych pełnych gracji części ciała.

Kiwa głową, nie odrywa oczu od mojej twarzy. Szybko rozkłada skrzydła, które szeleszczą jak strzepywane prześcieradło. Brzegi skrzydeł rozpościerają się szeroko, pojedyncze pióra tworzą ząbkowany obrys.

Patrzę na nie łagodnym wzrokiem.

– Śliczne. Kiedy będę miała swoje?

Spojrzenie Reeda też łagodnieje.

– Nie boisz się mnie?

Jego cętkowane, kruczoczarne skrzydła górują nade mną.

– Trochę, ale to bardziej dreszcz emocji niż strach – odpowiadam szczerze. – Jak ty je składasz? Są ogromne! To znaczy czy nie jest ci niewygodnie, kiedy musisz je ukryć? Bo nie rozumiem, jak one się tak wysuwają i wsuwają... Czy to boli? I jak to jest, kiedy się lata? Jak nauczyłeś się ich używać? Wiedziałeś instynktownie czy byłeś w jakiejś... no, szkole latania?

Przestaję mówić, kiedy Reed pochyla się i całuje mnie. Ku mojemu rozczerowaniu przerywa ten pocałunek dość szybko i pyta:

– Dlaczego się mnie nie boisz?

– Nie wiem, może dlatego, że tak dobrze całujesz? – wspinam się na palce i próbuję wrócić do przerwanej pieszczoty.

Reed cofa się na tyle, żeby lepiej widzieć moją twarz.

– Wszystkie ludzkie istoty, które spotykam i widzą moje skrzydła, są... no, cóż... przerażone. Większości z nich muszę wmawiać, że na pewno coś im się przywidziało, żeby przestały krzyżeć.

– Hm, może to dlatego, że ja już wcześniej wiedziałam, kim jesteś, więc nie byłam zbyt zaskoczona. W każdym razie nie jesteś najokropniejszą rzeczą, którą widziałam w trakcie tego weekendu – odpowiadam po zastanowieniu, po czym znów próbuję kontynuować pocałunek.

– Przepraszam cię, ale co powiedziałaś? – Reed marszczy czoło.

Przygryzam sobie dolną wargę. Ty idiotko! Przecież niszczysz tę chwilę – myślę, zamykając oczy z miną, która odpowiada moim myślom.

– Evie, a co takiego widziałaś podczas tego weekendu? – pyta ostro, łapie mnie za ramiona i spogląda na mnie gniewnie.

– Miałam ci powiedzieć, ale zapomniałam, bo tak się ucieszyłam, kiedy cię zobaczyłam...

Reed przerywa mi, puszcza moje ramię i zakrywa mi usta dłonią. Zirytowanym głosem mówi:

– Najbardziej przerażającą rzeczą, jaką widziałaś w trakcie tego weekendu, był...

Przestaje mówić i odkrywa moje usta, żebym mogła dokończyć to zdanie. Szybko opowiadam mu o wyjeździe do Coldwater i spotkaniu z człowiekiem o dziwnym cieniu na parkingu kawiarni. Kiedy kończę, Reed ma jeszcze bardziej zaszępiłą twarz.

– Evie, ten ktoś, ten „człowiek od cienia” to nikt inny jak demon z Szeolu przyobleczony w ludzką postać – mówi Reed z poważną miną.

Pytam słabym głosem:

– Co takiego?

– Kiedy Upadli zdobywają ludzką duszę, zabierają ją do Szeolu, do otchłani. Tam dusza ulega przemianom, zostaje stopniowo odmieniona. Staje się coraz bardziej zdeprawowana, a kiedy jest już dostatecznie zła, wypuszczają ją, żeby znalazła sobie ludzkiego gospodarza, kogoś, kto jest podatny, żeby go opętać. Większość normalnych ludzi nie rozpoznaje osób opętanych. Ludzie nie wiedzą, z kim naprawdę mają do czynienia. Istnieją wyjątki, ale najczęściej opętani dokonują spustoszeń w świecie bez żadnego sprzeciwu ze strony innych. My potrafimy ich bez trudu rozpoznawać i kiedy na nich trafiamy, pozbywamy się ich. – Reed przerywa i wpatruje się w moją twarz. – Wyczuł cię, a jednak nie zaatakował.

Jego komentarz brzmi trochę jak ukryte oskarżenie. Blednę i zaczynam się jąkać:

– No cóż, byliśmy w kawiarni. Może on jeszcze nie wypił swojej pierwszej kawy... to znaczy ja rzadko zaczynam pracować, zanim wypiję pierwszy kubek kawy.

Kąciki ust Reeda ponuro opadają.

– Nie, Evie, to nie o to chodzi... Powiedziałaś, że jego cień chyba ci się przyglądał?

Kiwam głową, czując w gardle rosnącą gulę.

– Więc chcesz powiedzieć, że to coś prawdopodobnie pomyślało, że jestem jedną z nich? Nasieniem zła wypuszczonym na świat, żeby go zniszczyć?

Reed unosi brwi w górę.

– Nie, wcale tego nie chcę powiedzieć! Evie, chcę powiedzieć, że albo ten osobnik nie zdawał sobie sprawy, kim naprawdę jesteś, i niczego nie rozumiał, albo bał się ciebie, bo jesteś aniołem.

– To znaczy bał się, że mogę mu skopać tyłek? – Rozluźniam się trochę.

– Tak. On jest silny, dużo silniejszy od ciebie, ale nie jestem pewien, czy zdawał sobie z tego sprawę. Niezależnie od tego, czy demon był zdeorientowany, czy zastraszony, miałaś szczęście. Mógł cię wypatroszyć i nawet nie rozlać twojej kawy – mówi Reed wolno, tak żebyś zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Jego brwi groźnie opadają, kiedy ciągnie dalej. – Nie powinnaś w ogóle jechać do Coldwater.

– Wiem, wiem, wiem – odpowiadam i blednę. Człapię w kierunku jego łóżka, siadam na brzegu i dla zwiększenia poczucia bezpieczeństwa obejmuję jedną z poduszek w jedwabnej poszewce koloru mokki. – Wiem, że rozmawialiśmy o regułach, których według ciebie powinnam przestrzegać, rozmawialiśmy o wielu rzeczach... i wiem, że jestem inna. Widziałam, jak moje kolano samo się zagoiło, rozumiem, że jesteś aniołem... i ostrzegałeś mnie przed groźnymi potworami. Ale to nie znaczy, że mogę cały czas skupiać się tylko na niebezpieczeństwach związanych z moimi działaniami.

Opuszczam wzrok i szarpię palcami brzeg poduszki.

– Mój umysł nie potrafi ciągle pamiętać o ostrożności – ciągnę dalej. – W moim życiu dzieje się codziennie tyle rzeczy, że nie mogę wszystkim poświęcić dość uwagi. Dopóki nie zobaczyłam człowieka od cienia, mogłeś mówić, że zaprzeczam istnieniu tych strasznych potworów, ale teraz, po wszystkim, w pełni akceptuję zasady. Ty mówisz „Nie jedź do Coldwater”, a ja odpowiadam „Amen”.

Opadam do tyłu na łóżko, moje nogi wciąż zwisają na jego brzegu i przykładam poduszkę do twarzy. Łóżko ugina się pod ciężarem Reeda, który siada obok mnie, odsłania moją twarz spod poduszki i pyta:

– Kiedy?

– W sobotę rano. – Patrzę na niego przepraszająco.

– Czy on cię śledził? – pyta dalej i przypatruje mi się uważnie.

– Nie wiem. Prowadził Freddie. Ja patrzyłam w boczne lustro, żeby sprawdzić, czy za nami jedzie, ale nic nie widziałam. – Opieram się na łokciach.

– Kto to jest Freddie? Co mu powiedziałaś?

– Po prostu student, mój kolega. Nic mu nie powiedziałam. Chyba nie zauważył, że coś się działo.

– Lepiej zacznij opowiadać od samego początku weekendu i niczego nie opuszczaj. – Wzdycha Reed i kładzie się na łóżku obok mnie na swoich skrzydłach. Jednym przedramieniem przysłania oczy, jakby już martwił się moimi wyjaśnieniami.

Zaczynam od chwili, kiedy znalazłam jego list przyczepiony do okna. Dość pobieżnie traktuję imprezę w gmachu Delt. Mówię mu, że Buns i Brownie zaprosiły mnie, żebym z nimi poszła – i dlatego się tam znalazłam. Nie chcę opowiadać o spisku związanym z wykradzeniem tablicy, bo obawiam się, że nasz plan może paść ofiarą przykazania „nie rób nic niebezpiecznego”.

Mało konkretnie opowiadam o rozmowie z Russellem. Nie dlatego, że nie chcę, żeby Reed o tym wiedział – uważam, że powinien wiedzieć, co między nami zaszło. Chodzi raczej o to, że wciąż mam emocjonalny uraz na tym punkcie i nie wiem, czy potrafię o tym wszystkim opowiadać bez płaczu.

Kiedy kończę, patrzę badawczo na twarz Reeda, żeby zobaczyć jego reakcję na moje słowa. Leży właściwie w tej samej pozycji co na początku relacji. Ręką zasłania przede mną oczy, więc nie umiem odgadnąć jego myśli. Powoli w moje żyły wkrada się chłód strachu; robi mi się niedobrze.

– Jestem już martwa... prawda? – pytam Reeda ledwo słyszalnym głosem. – Moją szansą było to, że nikt nie wiedział o mojej obecności tutaj. To była moja przewaga, a teraz już jej nie ma.

Ramię Reeda opada z jego twarzy i widzę teraz zmarszczone brwi.

– Nie, Evie – mówi Reed łagodnie. – Wszystko będzie okej, są jeszcze inne plusy.

– Jakie? – pytam brutalnie, czuję zdenerwowanie i strach.

– Jesteś ty, jestem ja... Ty jesteś sprytna i odważna. Wkrótce będziesz dość silna, żeby stanąć przed człowiekiem od cienia i pokonać go. A do tego czasu masz mnie – mówi, a mnie od tych słów płoną w gardle niewylane łzy.

– Przepraszam – chrypię. Męczy mnie okropne poczucie winy.

Reed sięga ręką i kładzie dłoń na moim podbródku. Patrzy mi w oczy i mówi:

– Ja też przepraszam... Nie powinienem cię zostawiać samej. Powinienem ci być uświadomić znaczenie tego, co powiedziałem. Gdybym nie podjął złej decyzji, nie znalazłabyś się tam sama beze mnie. Problem, który mam z tobą – dodaje przez zaciśnięte szczęki – polega na tym, że jesteś tak nietypowa i trudno przewidzieć, co zrobisz. To z jednej strony wielka zaleta, jeśli chodzi o ochranianie cię przed wrogami, bo jesteś nieprzewidywalna, ale z drugiej zadanie staje się trudniejsze także i dla mnie – mówi ze zbolalym wyrazem twarzy.

– Reed, jestem koszmarna, jeśli chodzi o logistykę i taktykę. Nie potrafisz być naraz w dwóch miejscach. Przystań mówić o czyichkolwiek złych decyzjach, bo chodzi tylko o mnie – odpowiadam ponuro, a jako wykrzyknik do swojego oświadczenia słyszę głośnie burczenie we własnym brzuchu.

Oczy Reeda zwężają się podejrzliwie.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – pyta.

– Chyba coś na śniadanie – odpowiadam, ale nie wyjaśniam mu, że prawie nic wtedy nie zjadłam, bo zniszczony firewall zepsuł mi apetyt.

– Evie! – napomina mnie surowo. – Musisz jeść. Powinnaś bardziej dbać o siebie. – Wstaje z łóżka.

Odkładam poduszkę na miejsce. Patrzę znów na Reeda i otwieram ze zdumienia oczy, bo jego skrzydła przestały być widoczne.

– Jak to zrobiłaś? – pytam, wpatrując się w jego plecy. Reed wzrusza ramionami zakrytymi nową koszulką. W ogóle nie zauważyłam, żeby się po nią ruszył.

Posyła mi uśmiech, od którego zdaje mi się, że przestaje mi bić serce. Zapominam, o co w ogóle pytałam. Opuszczam wzrok i uświadamiam sobie, że wciąż jestem w brudnym stroju hokejowym i w korkach. Uśmiecham się skromnie i mówię:

– Mam nadzieję, że Andre zostawił w lodówce jakieś resztki, bo nie jestem odpowiednio ubrana na kolację.

– Dałem mu wolne na weekend, bo i tak mnie tu nie było. Na pewno poradzimy sobie w kuchni, jeśli wolisz to niż jedzenie na mieście – mówi Reed.

– Cokolwiek tam masz, dla mnie będzie w porządku – odpowiadam.

Spokojniejszym krokiem niż zaraz po naszym przyjeździe Reed prowadzi mnie do holu. Idziemy korytarzem, który dochodzi do klatki schodowej, mijamy różne drzwi. Chciałabym wszędzie zajrzeć i zobaczyć, co za nimi jest, ale znów burczy mi w brzuchu, więc odkładam zwiedzanie na później. Kiedy docieramy do kuchni, Reed musi mi pokazać, w której z szaf schowana jest lodówka, bo misterna stolarka skutecznie ją zasłania. Buszuję po chłodziarce i zamrażarce, aż udaje mi się znaleźć coś boskiego.

– Reed! Masz mrożony makaron z serem! – Śmieję się do niego, wyciągając z zamrażarki dobrze mi znane pomarańczowe pudełko z czarnymi literami.

– Czy to jest dobre?

Unoszę brwi w górę.

– Nigdy tego nie jadłaś? – pytam.

– Nie... chyba nie. To pewnie coś, co lubi Andre – odpowiada, podejrzliwie przyglądając się pudełku.

– Reed, ty w ogóle nie znasz życia! – wołam z entuzjazmem. – Gdzie jest mikrofalówka? – dopytuję i rozglądam się za odpowiednim urządzeniem, żeby można zagrzać zamrożone danie.

Reed wskazuje mi mikrofalówkę, a ja zabieram się za przygotowanie makaronu z serem. Reed uważnie śledzi każdy mój ruch. Pomaga mi zlokalizować miskę. Za pomocą widelca mieszam kremowy, gorący makaron, a potem odrobinę nabieram. Studzę go przez delikatnie dmuchanie, a potem podkładam dłoń pod widelec, żeby nic nie spadło na podłogę.

Podsuwam Reedowi widelec pod usta, mówiąc:

– Spróbuj!

Reed nie odrywa wzroku od moich oczu i pozwala sobie wsunąć do ust widelec z makaronem i serem.

– No i co sądzisz? Dobrze, nie? – pytam, uświadamiając sobie, że czynność karmienia go jest tak zmysłowa, że pragnę ją powtórzyć.

– Pyszne – odpowiada tak seksownym głosem, że o mało nie wypuszczam z ręki widelca.

– Mogę? – Wyjmuje go z mojej dłoni. Nabiera sobie trochę makaronu i dmucha na niego, tak jak ja to robiłam. Podsuwa mi widelec pod usta, a mnie niemalże serce wyskakuje z piersi. Pozwalam się karmić.

– Mmm. – Uśmiecham się. – Prawie tak dobre jak Twinkies.

Wyciągam z szuflady drugi widelec, po czym wskakuję na kuchenny blat i siadam obok miski z makaronem i serem. Reed śmieje się, bo poklepuję miejsce po drugiej stronie miski. Idzie za moim przykładem i siada obok mnie. Nabiera widelcem porcję makaronu, tym razem dla siebie. Jemy wspólnie w przyjaznym milczeniu, choć ja wciąż na niego popatruję.

– Reed, a jaki będzie nasz kolejny ruch? – pytam, kiedy kończy się nam makaron.

– Chciałbym, żebyś została tu na noc – odpowiada i sprawdza, jak zareaguję. – Będziesz miała osobną sypialnię obok mojej.

Chce mnie poddać torturom za złamanie zasad. Zaczynam się trochę buntować, wyobrażając sobie, że śpię tak blisko niego, czuję przez całą noc motyle i muszę się opierać sile naszego wzajemnego przyciągania.

Kładę widelec na brzegu pustej miski i pytam:

– Czy to jest na pewno dobry pomysł?

Reed kiwa głową.

– Muszę się upewnić, czy człowiek od cienia nie czeka na ciebie. Pojadę tam i przepatrzę cały teren oraz twój pokój – mówi, odkładając widelec do miski, i zeskakuje z kuchennego blatu.

– Czekaj! – krzyczę w jego stronę. – Nie możesz! A co, jak on tam będzie? Jest naprawdę odrażający i może cię skrzywdzić. Jadę z tobą – kończę i również zeskakuje z blatu.

Sekundę później jestem znów na blacie, siedzę na nim tak, jakbym się w ogóle nie ruszała. Ręce Reeda obejmują mnie luźno w pasie, jego wzrok szuka moich oczu, a uśmiech mógłby stopić lód.

– Nie, ty zostaniesz tutaj – mówi stanowczo.

– To dziwaczne, jak szybko potrafisz się poruszać.

– Naprawdę?

– Przecież wiesz.

Próbuje stłumić uśmiech.

– Szybkość daje przewagę, jeśli poluje się na człowieka z dziwnym cieniem.

– Ale co, jeśli on tam naprawdę będzie?

– On tam naprawdę jest – odpowiada Reed. – Widziałas go.

Czuję, że błędę.

– No tak, widziałam – szepczę.

– A jeśli cię śledził, znajdę go – odpowiada Reed z groźną miną, która, jak wiem, nie jest przeznaczona dla mnie.

Wpadam w panikę i czuję, że muszę go zatrzymać, więc pytam:

– Czy to nie spowoduje wyłącznie tego, że zła dusza wyzwoli się z ciała? I będzie mogła wrócić do piekła... no, do Szeolu, prawda?

Próbuję się zastanowić, co by to mogło oznaczać dla mnie, jeśli taka zła dusza wraca do piekła i raportuje, co widziała.

– Tak, ale nie mam wyboru. Nie mogę pozwolić, żeby cię prześladował – odpowiada Reed z ponurą miną. Koniuszkami palców dotyka mojego policzka. – Evie, wszystko w porządku. Nie ma szans, żeby ten facet od cienia mógł mnie skrzywdzić. Jest prawie tak słaby jak ty – próbuje mnie uspokoić.

– No dzięki, Reed, poczułam się od tego o wiecele lepiej – mówię, a on śmieje się z mojego posępnego wyrazu twarzy.

Marszczę czoło i spoglądam na niego, a jego uśmiech znów robi się zmysłowy.

– Jesteś taka piękna, przez ciebie chciałbym zapomnieć o moich obowiązkach i poddać się każdej twojej zachciance – mówi miękko i pociera swoim policzkiem o mój. – Ale naprawdę, Evie, to nie jest żadne poważne wyzwanie pozbyć się człowieka od cienia, jeśli jest tu gdzieś w pobliżu. Więc zaprowadzę cię teraz do twojej sypialni, będziesz się mogła rozluźnić, a ja pojadę i dopilnuję kilku spraw.

Ledwo jestem w stanie myśleć, a co dopiero dyskutować z Reedem, który pomaga mi zejść z kuchennego blatu. Potem prowadzi mnie na górę, do pokoju położonego obok jego sypialni, którą już widziałam. Reed otwiera drzwi, a ja wydaję z siebie głośne westchnienie, bo pokój jest naprawdę śliczny. Piękne wezglowie z kutego żelaza wieńczy łóżko przykryte śnieżnobiałą kołdrą i wielkimi, miękkimi poduszkami. Podłoga z twardego ciemnego drewna przystrojona jest grubymi białymi dywanami. Regały ze szklanymi drzwiczkami, pełne obrazów i książek, tworzą bibliotekę umieszczoną wzdłuż jednej ze ścian. Przylegająca do pokoju wielka łazienka sprawia, że apartament jest jeszcze wspanialszy. Są w niej wszystkie urządzenia, jakie kiedykolwiek wymyślono z myślą o łazience, łącznie z wanną do jacuzzi i osobną kabiną natryskową, lampami do nagrzewania, ogrzewanymi wieszakami na ręczniki, pięknymi umywalkami z pachnącymi mydłami, solami kąpielowymi...

Rozglądam się wkoło i szepczę:

– To najładniejsza łazienka, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Cieszę się, że ci się podoba – mówi Reed, a jego spojrzenie łagodnieje. – Tu są ręczniki, a tam znajdziesz szlafroki, gdybyś ich potrzebowała. – Otwiera drzwiczki do szafek z bielizną. Wracamy do sypialni i Reed pokazuje mi szafkę z telewizorem i minibarem.

Próbuję opóźnić wyjście Reeda z domu:

– Nie musisz jeszcze iść. Moglibyśmy pooglądać telewizję.

Reed uśmiecha się i przyciąga mnie do siebie. Całuje mnie w czubek głowy.

– Evie, nic mi się nie stanie. Wyluzuj.

Ale jego zapewnienia nie pomagają mi uporać się z atakami paniki, które mnie prześladowają. Wspinając się na czubki palców, zarzucam mu ramiona na szyję. Dotykam jego warg swoimi i czuję, że to działa na mnie jak podpałka – cała namiętność, którą wstrzymywałam od chwili, kiedy zobaczyłam go na boisku, powoli ze mnie wychodzi i zajmuje się ogniem. Nie jestem pewna, jak długo tkwimy w uścisku, ale słyszę, jak Reed jęczy i chwilę potem delikatnie mnie odpycha.

Otwieram oczy i szepczę mu do ucha:

– Teraz dostałeś zachętę, żeby uważać.

– Nie, dostałem zachętę, żeby go szybko zabić – odpowiada również szeptem.

A zaraz potem wiatr targa moje włosy i choć nie widziałam, jak Reed znika, wiem, że już go nie ma.



Wyluzuj... – kładę się w ogromnej wannie w pięknej łazience. Rozpuszczam włosy i myję je, a potem znów kładę się w wannie. Powinno mi to sprawiać przyjemność, ale nie sprawia. Za bardzo martwię się o Reeda. Przestaję już się rozluźniać i wielkim palcem u stopy naciskam dźwigienkę, która otwiera korek odpływu. Owijam się w duży jedwabny szlafrok znaleziony w szafce i przechodzę do sypialni.

W pokoju jest ciepło jakby balsamiczna pogoda babiego lata. Rozsuwam cienkie białe firanki, które zasłaniają położone najbliżej łóżka okno, i otwieram je, by wpuścić do pokoju łagodną bryzę, która zaczyna tańczyć na mojej skórze. Spoglądam na jesienny księżyc i myślę o samotnym Reedzie, który rzuca z góry swój zwinnie, drapieżny cień, gdy poluje na jeszcze trudniejszą do dostrzeżenia zwierzynę. Odwracam się od okna i rozglądam się za jakąś rozrywką – może pomocna byłaby telewizja? Znajduję pilota, włączam telewizor i siadam na łóżku, ale nie mogę się skupić na programie. Cały czas czekam, aż trzepotanie motyli w brzuchu da mi znać o powrocie Reeda. Opieram się na poduszkach i zamykam oczy, staram się przekonać, czy w ten sposób łatwiej mi będzie go poczuć.

Musiałam chyba zasnąć, bo kiedy otwieram oczy, przez długie białe zasłony przenikają pierwsze promienie brzasku. Zmieniam pozycję w dużym łóżku, czuję łaskotanie w brzuchu. Moje oczy szukają Reeda i znajdują go tuż przy drzwiach. Stoi oparty o ścianę i obserwuje mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Uśmiecham się do niego przez sen, siadam, przecieram oczy, a kiedy odrywam rękę od twarzy, dostrzegam deszcz czerwieni. Rozglądam się zdezorientowana i widzę płatki róż – w najgłębszym odcieniu czerwieni – zaścielające całe łóżko.

Z półuśmiechem na twarzy podziwiam ten piękny romantyczny gest i pytam Reeda:

– Czy to twoja sprawka?

Leniwy uśmiech zastyga mi na ustach, kiedy Reed przecząco kręci głową; znika całkiem, kiedy dostrzegam jego ponurą minę. Odchylam kołdrę i staram się nie poruszyć płatków, wstając z łóżka. Zawiązuję pasek pożyczonego szlafroka, podchodzę do stojącego nieruchomo jak posąg Reeda. Z jego punktu obserwacyjnego przy drzwiach widzę wyraźnie, że płatki nie rozsypały się przypadkowo, ale tworzą skomplikowany wzór. Czuję zimny powiew na skórze, kiedy z łatwością rozpoznaję kształt okręgu spleciony z symbolem nieskończoności.

Napiętym głosem zadaję Reedowi ponownie to samo pytanie.

– Ty tego nie zrobiłeś?

Powoli kręci głową, wpatrując się w łóżko.

– Jeśli nie ty, to kto? – pytam z nadzieją, że zna odpowiedź.

Reed kieruje w górę swój palec wskazujący, a mnie serce zaczyna bić w piersi z dziką szybkością.

– Ktoś tu był? Inny anioł? – pytam.

– Tak – potwierdza ponuro Reed, a mnie unoszą się w górę wszystkie włoski na ramionach. – Prawdopodobnie był tu anioł Kosiarz albo anioł Cnotliwy... oni nie zajmują się zabijaniem tak jak my, Aniołowie Mocy.

– Ty jesteś Aniołem Mocy? – dopytuję.

– Tak. – Reed kiwa głową.

A potem śmiertelnie spokojnym głosem pyta:

– Czego mi nie powiedziałaś, Evie?

Czuję suchość w ustach.

– Noo... co masz na myśli?

– Czego ja nie wiem o tobie?

– Niech się zastanowię – mówię, rozglądając się wkoło. – Mówiłam ci, że miewam koszmarne sny, prawda?

– Mówiłaś. Czy w jakikolwiek sposób kojarzą ci się z tym symbolem?

– Trochę... – mówię i widzę, jak szczęki Reeda się zaciskają.

– Wyjaśnij mi to.

– No... cóż... ten symbol, który widzisz, tam na łóżku, zawsze występuje w moich snach.

Jego oczy się zwięzają.

– Jak to? – pyta spokojnym głosem.

– Hm... w moich snach występuje naszyjnik w kształcie tego znaku, okrąg i nieskończoność, a ja próbuję go złapać.

– Naszyjnik? Widziałaś go kiedyś? Jest twój? – wyrzuca z siebie pytania z szybkością karabinu maszynowego.

– Tak, widziałam niedawno – odpowiadam z baranią miną.

– Gdzie? – pyta Reed, wyglądając naprawdę ponuro, jakby znał już odpowiedź.

– Na szyi Russella.

Reed robi się całkiem blady. Wszystkie emocje odpływają z jego twarzy. Szybko wyjaśniam mu, co Russell opowiedział mi o naszyjniku, o paradoksie Russella i o tym, jak jego rodzina traktowała tę historię jako żart.

Kiedy kończę, Reed pyta chłodno:

– Dlaczego nie opowiedziałaś mi tego wcześniej?

Niepokój grzechocze we mnie jak moneta jednopensowa tocząca się w dół po schodach.

– Nie wiedziałam, że to może być ważne. Co to według ciebie znaczy?

Reed marszczy czoło, ale kieruje do mnie jedynie polecenie:

– Powinnaś się ubrać. Przyniosłem ci trochę ubrań z twojego pokoju w akademiku.

Gestem ręki pokazuje torbę leżącą tuż pod drzwiami sypialni. A potem znika.

Wyciągam ubrania z torby w holu i zastanawiam się nad reakcją Reeda na płatki róż rozsypane na łóżku. Wydawał się tym bardziej zdenerwowany niż ja. Może dlatego, że jestem bardziej uodporniona na ten symbol, bo śnił mi się od miesięcy. Ale martwi mnie ból, który dostrzegłam w oczach Reeda. Na pewno wie, co ten symbol oznacza, i nie jest tym całkiem zachwycony.

Przebieram się, czeszę włosy i myję zęby, po czym pakuję strój hokejowy do torby. Znajduję kosz na śmieci i udaje mi się umieścić w nim wszystkie różane płatki zebrane z łóżka, które później ścielę. W końcu schodzę po schodach w poszukiwaniu mojego anioła. Znajduję Reeda w kuchni – siedzi przy stole i czeka na mnie. Wstaje i wysuwa dla mnie krzesło. Kiedy siadam, podaje mi tacę z grzankami. Częstuję się, a Reed nalewa mi szklankę soku pomarańczowego. Wpatruję się w jego twarz, żeby sprawdzić, czy poprawił mu się choć trochę humor. Nie poprawił się – Reed prawie w ogóle na mnie nie patrzy. To zły znak...

Nie chcę wymyślać od razu różnych teorii i pytam optymistycznie brzmiącym tonem:

– Jak ci poszło wczoraj wieczorem?

Nie patrzy na mnie, gdy mówi:

– Źle, nie znalazłem go.

– Nie widziałeś człowieka od cienia? – upewniam się; muszę sprawdzić, czy dobrze rozumiem sens jego słów.

– Żadnego śladu. Sprawdziłem też i kampus, żeby się upewnić, czy nie przyczałił się gdzieś w pobliżu – mówi, przesuwając jedzenie po talerzu.

– To chyba dobrze, nie? – pytam, kładąc łagodnie dłoń na jego rękę.

Uwalnia swoją dłoń i chwyta szklankę z sokiem, ale nie pije go, a jedynie sztywno trzyma naczynie. W głowie rozlega mi się dzwonek alarmowy. Reed jest naprawdę zdenerwowany.

– No dobrze, a co to wszystko twoim zdaniem oznacza? – pytam, wzdychając.

Przez chwilę siedzi nieruchomo, aż myślę, że mi nie odpowie, ale w końcu odzywa się cichym głosem:

– Moim zdaniem to oznacza, że jesteś przeznaczona Russellowi.

– Co?! – eksploduję. Jestem kompletnie zszokowana wnioskiem, do którego doszedł. Na jakiej zasadzie ma to wynikać z płatków róży rozrzuconych na łóżku?

Kąciki ust Reeda opadają w dół, nadając jego twarzy ponury wyraz.

– Powiedziałaś, że Russell nosi te symbole na szyi: okrąg i nieskończoność. A więc stanowią one jego własny symbol. Róże to symbol miłości, a ty byłaś nimi przysypana – mówi niemalże z urazą. – Jeśli spojrzeć na to w inny sposób, można podać takie oto wyjaśnienie: okrąg przedstawia paradoks Russella, czyli błędne koło. Ale może to ty stanowisz paradoks przypisany Russellowi... na nieskończony czas, czyli na wieczność. Jego naszyjnik mówiłby więc: Russell i Evie na wieczność... i do tego łóżko pełne róż.

Szczęki Reeda są zaciśnięte tak mocno, że trudno mu powiedzieć choćby jedno słowo więcej.

– Nie masz racji. Wiem, że nie masz, bo gdyby to była prawda, nie czułabym wobec ciebie tego, co czuję. Pragnę cię. Płonę z pożądania – mówię najuczciwiej, jak potrafię, choć dzielenie się z nim tymi emocjami jest dla mnie żenujące. Chcę go jakoś przekonać, że jego teoria jest niedorzeczna.

Wyraz twarzy Reeda staje się jeszcze bardziej ponury.

– To prawdopodobnie strategia przetrwania. Przyciągasz do siebie anioły po to, żeby cię nie zniszczyły – odpowiada z niesmakiem.

– Nie możesz tego wiedzieć, bo ja nigdy nie spotkałam innego anioła, i to wcale nie tłumaczy, dlaczego ty *mnie* tak pociągasz. Ten symbol może rzeczywiście dotyczyć Russella, niech ci będzie, ale z różami to już naciągane – argumentuję, mając nadzieję, że sam zobaczy, jak przedwcześnie wyciąga wnioski.

Reed nadal nie patrzy na mnie i mówi:

– Dokończ śniadanie, Evie.

– Już skończyłam – odpowiadam, próbuję uniknąć desperacji w głosie. Przecież Reed jest idiotyczny, choć najwyraźniej wierzy w to, co mówi.

Jazda powrotna autem na kampus przebiega w milczeniu i w napięciu, pośród ponurech spojrzeń. Kiedy dojeżdżamy do mojego akademika, Reed parkuje samochód przy tylnym wejściu. Odwracam się w jego stronę, żeby go pocałować na pożegnanie, a on patrzy prosto przed siebie i nawet na mnie nie spojrzy. Ja również wpatruję się w to, co widać za przednią szybą. Piękne, bujne klony okalające plac parkingowy właśnie zaczynają zmieniać kolor z zielonego na żywe odcienie pomarańczowego i czerwieni.

– Reed, nie rób tego, nie masz racji... Czuję to – mówię, a mój głos nawet dla mnie samej brzmi jak błaganie.

Głos Reeda jest natomiast beznamiętny.

– Nadal będę cię chronił, to się nigdy nie zmieni, ale nie powinniśmy... nie możemy... nie mogę być twoim ukochanym – dopowiada.

Wierzy, że jestem przeznaczona dla Russella, i ma zamiar respektować to, co jest mi pisane.

– Nie możesz tak myśleć na poważnie – mówię głosem niewiele głośniejszym niż szept. – Nie przetrwam tego wszystkiego bez ciebie. Kocham cię.

– Przestań mnie kochać. Nie jestem dla ciebie – odpowiada, mocno ściskając kierownicę.

– Już za późno. Kocham cię i nie mogę tego zmienić – mówię smutnym tonem, a oczy wypełniają mi się łzami.

Reed nadal na mnie nie patrzy i mówi:

– Dojdiesz do siebie. I ja też. Przez jakiś czas powinniśmy unikać swojego towarzystwa. Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała, gdyby zjawił się Upadły, ale biorąc pod uwagę nasze pożądanie, najlepiej by było, gdybyśmy w najbliższej przyszłości nie spędzali czasu razem. To nam pomoże o sobie zapomnieć.

– Ale ja nie chcę o tobie zapomnieć – szepczę.

– Nie masz wyboru. Ja nie jestem w stanie cię kochać – odpowiada gwałtownie Reed.

– Ale ja nie mogę być z Russellem. Z nikim nie mogę być, bo chcę ciebie. Potrzebuję ciebie. – Kieruję dłoń w stronę jego policzka. Chcę odwrócić jego głowę, żeby na mnie spojrzał.

Reed powstrzymuje mnie, zanim udaje mi się go dotknąć, i delikatnie odsuwa od siebie moją rękę. Czerwienię się, kiedy zdaję sobie sprawę, że zaczęłam mu się narzucać. Czuję się zdruzgotana, złamana w środku.

– Rozumiem. – Zdaję sobie sprawę, że Reed chce, żebym sobie już poszła. – Nie musisz się kłopotać pilnowaniem mnie. Dzięki za pomoc. Od teraz mogę już sobie radzić sama.

Otwieram drzwi i wysiadam z samochodu. Mój świat legł w gruzach, ciągnę się do swojego pokoju z oczami pełnymi łez. Chcę oddalić się od Reeda, zanim całkiem się rozkleję. Udaje mi się powstrzymać płacz aż do chwili, kiedy docieram do pokoju. Na długi, długi czas zostanie mi tylko to jedno zwycięstwo nad moim cierpieniem.

Rozdział 16

Przyjęcie

Przez kilka następnych dni rzadko wychodzę ze swojego pokoju i opuszczam wszystkie zajęcia na uczelni. Buns i Brownie niemalże wrywają z zawiasów moje drzwi, żeby mnie zmusić do rozmowy. Próbuję wyjaśnić im powody swojej depresji – dlaczego nie mogę się zebrać z łóżka – ale sytuacja robi się jeszcze trudniejsza, kiedy uświadamiam sobie, że prawie wszystko muszę przed nimi ukrywać. Nie mogę im przecież opowiedzieć o człowieku z dziwnym cieniem, o aniołach ani o tym, że nie jestem normalną osobą. Nie mogę im powiedzieć, że jestem czymś więcej niż człowiekiem albo że boję się jechać do domu, bo mogłabym tam zwabić jakieś nieludzkie siły. One nie wiedzą, że Russell jest moją bratnią duszą ani że Reed jest aniołem, ani że moje życie stało się teraz jednym wielkim znakiem zapytania.

Jedyne, co jestem w stanie im przekazać, to głupia, banalna historia o tym, że rzucił mnie chłopak. Moja przemowa jest niespójna i przerywana wybuchami płaczu. Przy okazji zużywam całe pudełko chusteczek jednorazowych. Nawet jeśli nie znają wszystkich szczegółów mojej sytuacji, w jakiś sposób zdają się rozumieć, że naprawdę jestem zraniona, i chcą mi pomóc. Dziewczyny odkładają na później kradzież tablicy z budynku Delt. Rozumieją, że w obecnej chwili nie jestem w stanie się tym zająć. Spędzają cały wolny czas na próbach nakłonienia mnie do wykonania paru podstawowych czynności, takich jak wzięcie prysznic, zjedzenie posiłku i pójście na zajęcia. Po kilku dniach udaje mi się przemoc własną bezradność i zaczynam znów zajmować się sobą. Choć jest to działanie nieco mechaniczne, przynajmniej udaje mi się brać udział w zajęciach.

Jednak najgorsze są treningi hokejowe, bo co wieczór muszę wychodzić na boisko i ignorować fakt, że Reed jest tak blisko mnie. Intensywne harce motyli powodują spustoszenie w moim wnętrzu, ale i tak nie mogę z nim porozmawiać. Kiedy próbuję, odtrąca mnie jak żalostną eksdziewczynę. Prawie nie odpowiada na żadne moje słowa, najczęściej pozwala mi, żebym mówiła, co mi się zachce, bo zaraz potem i tak po prostu odchodzi.

Szybko uświadamiam sobie, że muszę zaakceptować jego decyzję, bo nie mogę go przecież prześladować, choć może i bardzo bym chciała. Codziennie próbuję przyzwyczaić się do myśli, że go straciłam. Był uczciwy, kiedy mówił, że nie będzie moją miłością. Nie będzie.

Ale wiem, że wciąż jest gdzieś w pobliżu, pilnuje mnie, choć na dystans. Od czasu do czasu wyczuwam jego obecność, szczególnie w nocy. Czasami kiedy leżę w łóżku, czuję łaskotanie w brzuchu i wiem, że Reed sprawdza, co się za mną dzieje. Może się o mnie martwi – mam wrażenie, że moje serce przestało już śpiewać.

Freddie wychodzi z siebie, żeby mnie jakoś pocieszyć. Czeka na mnie po niektórych zajęciach i uczy się ze mną w naszym szczególnym miejscu w bibliotece. Opowiadam mu to samo, co dziewczynom: że Reed mnie rzucił, a Freddie nie zadaje żadnych dodatkowych pytań. Chyba czuje, że w tej historii jest coś więcej. Wciąż jadamy posiłki przy naszym stole i nigdy nie zauważam, czy w pobliżu znajduje się ktoś jeszcze, czy nie.

Któregoś razu, siedząc obok Freddiego, wpatruję się w szczególnie wodnistą miskę owsianki. Widzę kątem oka, że ktoś wysuwa krzesło obok mnie i że siada na nim bardzo okazałych rozmiarów facet. Podnoszę wzrok w górę. Russell wpatruje się w moją łyżkę i widzi, że owsianka spływa z niej jak zupa.

– Ruda, chyba nie będziesz tego jadła, co? – pyta, marszcząc nos.

Sztywnieję na swoim krześle. Ze wszystkich rzeczy na świecie mam najmniejszą ochotę na to, żeby przyczyna mojego porzucenia przyszła teraz i usiadła obok mnie.

– Wyglądasz, jakbyś wyszła z piekła. Wszystko z tobą w porządku? – pyta cichym głosem, a ja czuję zaskoczenie i irytację, gdy dostrzegam troskę w jego brązowych oczach.

– To nie słyszałeś? Ja prawdopodobnie jestem z piekła, przynajmniej w połowie – mruczę bez szczególnych emocji.

Zauważam spojrzenie, jakim Russell obdarza Freddiego; chyba znów mam do czynienia z przypadkiem wzajemnej telepatii bliskich kumpli.

– Czuję się świetnie, dzięki, Russell – rzucam z nadzieją, że w moim głosie brzmi dostatecznie dużo pewności siebie, żeby mój rozmówca nie czuł wobec mnie żadnych zobowiązań i sobie poszedł.

– Ale nie wyglądasz dobrze, Ruda – zauważa Russell. – Wyglądasz, jakbyś nie spała od paru tygodni... No i widziałem twój ostatni mecz hokejowy. Byłaś do dupy...

– Ale i tak wygrałyśmy – odpowiadam z przygnębieniem w głosie.

– O, to dziwne, że zauważyłaś. Wyglądało, że całkiem to olewasz. Zupełnie nie jak ty.

Wzruszam ramionami.

– Russell, czuję się dobrze i jestem pewna, że masz ciekawsze rzeczy do roboty, niż jeść ze mną śniadanie. Zobacz, tam siedzi Mason, może znajdziecie we dwóch jakieś części do komputera, żeby je rozwalić. – Wskazuję stolik, przy którym śniadanie je Mason. Od czasu do czasu spogląda na nas. – Zobaczymy się później, Freddie. – Wstaję od stołu.

Russell zrównuje się ze mną na korytarzu, którym wracam z kafeterii, i bez słowa zaczyna iść obok mnie. W końcu staję i patrzę mu w oczy.

– Co? – warczę na niego.

– No właśnie, Ruda, wściekaj się. Taką cię znam. A nie znam tej drugiej dziewczyny, która snuje się jak duch – mówi ze złością. – Dziewczyny, która zrezygnowała ze wszystkiego, co było dla niej ważne, tylko dlatego, że rzucił ją chłopak.

– Nic nie wiesz! – odpowiadam równie wściekle. – I kto to mówi? Nie odezwałeś się do mnie ani razu od tamtego wieczoru w budynku Delt. Tak bardzo lubisz się cieszyć z cudzego nieszczęścia? No to dawaj, Russell, zabaw się!

– Nie, wcale się nie cieszę. Bardzo głośno mówię przepraszam! – odwrzaskuje w moją stronę.

– A za co ty znowu przepraszasz? – Nie przejmuję się tym, że zwracam na siebie uwagę.

– Przepraszam, że nie zachowałem się jak przyjaciel. Przepraszam, że rozpieprzyłem firewalla, którego mi kupiłaś... I przykro mi, że masz złamane serce – odpowiada precyzyjnie na moje pytanie.

Chyba wyglądam jak ktoś, kto za chwilę zacznie płakać, bo po kilku sekundach mam twarz wciśniętą w pierś Russella, a jego dłoń trzyma mnie za szyję.

– Ojej, Ruda, nie płacz – mówi kojącym głosem, a ja naprawdę się staram nie szlochać w obecności tych wszystkich ludzi, którzy są świadkami naszej sprzeczki.

Russell obejmuje mnie opiekuńczym gestem i wyprowadza z zatłoczonego korytarza. Kilka chwil później jesteśmy już na zewnątrz i chowamy się za murem stojącym z boku budynku. Nie potrafię dłużej powstrzymać łez. Wypłakuję się w jego pierś.

– On jest najgłupszym... czymś, co kiedykolwiek widziałem – szepcze mi do ucha i ociera mi nos i twarz rękawem mojej własnej koszuli. Jesienna pogoda zaczyna dawać o sobie znać i trochę dygoczę, czując nasilający się wiatr, który rozwiewa mi włosy.

– Ja też przepraszam – mówię po prostu, bo nie chcę się znowu rozmazać. – Czy to znaczy, że możemy znów być przyjaciółmi?

– No tak, Ruda, możemy się znów przyjaźnić... ale musisz wziąć prysznic, bo wyglądasz okropnie – śmieje się do mnie wyzywająco. Całuje mnie w czoło i mocno mnie ściska.

– Dzięki, Russell – mówię drżącym głosem. Ciągle czuję drapanie w gardle od płaczu. – A jesteś pewien, że Candace wytrzyma naszą przyjaźń? Odniosłam wrażenie, że nie jest moją największą miłośniczką.

– Poradzi sobie.

– Wcale sobie nie poradzi. – Wiem, że wściekłość Candace skrupi się na mnie.

– Nie martw się o to, Ruda. Dam sobie radę z Candace. – Uśmiecha się.

– Russell, nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek „dawał sobie radę” z Candace – upieram się. On tylko uśmiecha się do mnie pobłaźliwie. – Muszę biec na zajęcia. Nie mogę już więcej opuszczać, jeśli chcę wszystko pozaliczać. Zobaczmy się później.

– Lunch? Spotkajmy się na lunchu, dobrze?

– Jasne – odpowiadam niepewnie.



I tak oto Freddie, Russell i ja znów zaczynamy jeść razem posiłki, ale nie wygląda to już tak samo jak przedtem. Teraz Russell i Freddie na zmianę suszą mi głowę w sprawie jedzenia, a raczej niejedzenia. I na zmianę próbują też mnie rozśmieszać – z różnym skutkiem.

Jak można było przewidzieć, Candace przeżywa kompletne załamanie w związku z odnowioną przyjaźnią Russella ze mną. Kiedy widzi, jak idziemy razem korytarzem, rzuca w Russella książkami. Oczywiście ja się wtedy wycofuję, żeby on mógł „dać sobie z nią radę”, co – jak wiem z wiarygodnego źródła (Freddie) – wymaga jednak jeszcze trochę czasu. Ponieważ Candace jada w budynku swojej żeńskiej korporacji, nie ma wielu okazji, żeby przyczepiać się do mnie. Ale kiedykolwiek zdarza mi się ją zobaczyć w Centrum Studenckim albo na korytarzu, kiedy idę na zajęcia, zawsze rzuca pod moim adresem słowo „psycholka”. Nie mówię o tym Russellowi, bo i po co.

Coraz lepiej idzie mi udawanie, że mam się świetnie. Potrafię wyglądać całkiem do rzeczy i chodzić na wszystkie zajęcia. Odbynam też treningi hokejowe i udaje mi się przy tym nie spoglądać bezwiednie w stronę boiska do lacrosse’a. A kiedy w dniu meczu piłkarskiego – przy okazji zjazdu absolwentów – w Crestwood zjawia się wujek Jim, natychmiast po jego wyjściu z samochodu rzucam mu się w ramiona i niemalże rozpadam się na kawałki. Nigdy nie musiałam ukrywać przed nim swoich emocji, więc teraz ostro ze sobą walczę, żeby pokazać, że wszystko jest w porządku i świetnie przystosowuję się do życia na uczelni.

Zabieram go na mecz i oboje próbujemy rozgryźć, co się dzieje. Potem przechodzimy spacerem przez kampus na główny dziedziniec na imprezę z wyżerką.

Kiedy przychodzimy do namiotu, w którym odbywa się przyjęcie, widzę, że wszystko jest urządzone z jeszcze większym przepychem niż wtedy nad jeziorem. Namiot rozstawiono nie tylko z myślą o wystawnej kolacji, ale jest w nim także orkiestra i parkiet do tańczenia. Przedzieramy się z wujkiem przez morze ludzi, ale jakoś udaje nam się dostać do jedzenia, zanim wszystko znika. Znajdujemy wolne miejsca do siedzenia wśród kilku innych rodzin i zaczynamy towarzyską konwersację z resztą gości przy stole.

W przyćmionym świetle eleganckiego namiotu rzucam okiem na siedzącego obok mnie wujka i po raz pierwszy od kilku tygodni czuję, jak ból w mojej piersi ustępuje. Bardzo tęskniłam za wujkiem Jimem. Ani razu nie pojechałam do niego w odwiedziny, bo boję się wyjazdów do domu: boję się tych przerażających istot, które mogłabym tam zwabić. Nie myśl teraz o tym...

Znajomy śmiech dochodzący od jednego z sąsiednich stołów odrywa mnie od rozmowy. Patrzę przez ramię i widzę Russella, który szeroko się do kogoś uśmiecha. Wziął szybki prysznic po meczu i teraz jest w centrum zainteresowania – wraz z Candace, przy której stole siedzi.

– Kto to jest? – szepcze mi do ucha wujek Jim, podążając za moim wzrokiem ku Russellowi.

– Och, to mój przyjaciel Russell. Chyba ci o nim pisałam w kilku mailach – odpowiadam, patrząc w ciepłe oczy wujka, które poszukują mojego spojrzenia. – Naprawiałeś jego komputer, pamiętasz?

Wujek wolno kiwa głową i przygląda się Russellowi siedzącemu przy stole obok.

– To przez niego jesteś taka smutna, Evie?

Mój udawany uśmiech trochę więdnie.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Strasznie się jaram tym, że tu jesteś, a Russell to naprawdę dobry kumpel.

– Hm, skoro tak mówisz, koleżanko... – odpowiada, ale najwyraźniej nie kupuje mojej wersji. – Chłopcy czasami widzą coś dobrego i nie potrafią się na tym poznać. Pamiętaj, że jesteś wyjątkowa. Sądzę, że nawet najcudowniejsza na tej uczelni.

W oczach stają mi łzy, bo on nie ma zielonego pojęcia, jak bardzo jestem wyjątkowa, ale ja wiem, że niezależnie od wszystkiego zawsze będzie mnie kochał. Wujek widzi moje wzruszenie, więc obejmuje mnie mocno.

– Wszystko będzie dobrze – uspokaja, a ja kiwam głową, choć nie wyobrażam sobie, jakim cudem wszystko miałoby znów być w porządku.

Zaczyna się robić późno, a ponieważ wujek ma przed sobą kilkugodzinną drogę do domu, dochodzimy do wniosku, że pora już wracać do mojego akademika. Trzymam Jima za rękę, kiedy przeciskamy się ku frontowi namiotu, a gdy jesteśmy mniej więcej w połowie drogi, czuję startujące w moim brzuchu motyle. Temu wrażeniu towarzyszy teraz ostry, uciskający

ból w okolicach serca. Opuszczam głowę, żeby nie widzieć, jak piękna twarz Reeda odwraca się ode mnie, jakbym nie istniała. Idę za wujkiem, mając nadzieję, że ból wkrótce ustąpi, bo zaczynam mieć trudności z oddychaniem.

– Genevieve – słyszę przed sobą głos Reeda.

Patrzę w górę i oczy rozszerzają mi się ze zdumienia, że po kilku tygodniach milczenia Reed znowu się do mnie odzywa. Stoi przy wejściu do namiotu, niedaleko mnie. Z jego twarzy niczego nie da się wyczytać, więc nie wiem, co czuje, gdy spotyka mnie tutaj. Jeśli wyciągać jakieś wnioski z wydarzeń ostatnich tygodni, nie powinien się specjalnie przejąć, gdybym po prostu poszła dalej. Ale wujek Jim zauważa, że Reed wymówił moje imię, więc zatrzymuje się przed nim grzecznie i daje mi okazję, żebym zareagowała.

Przywołując pozostałe jeszcze we mnie resztki dumy, prostuję ramiona i próbuję uśmiechnąć się do wujka, który czeka, aż go przedstawię stojącemu przed nim młodemu człowiekowi.

– Cześć, Reed – mówię miękko, czuję dumę, że nie łamię mi się głos. – Co u ciebie? – pytam i staram się zachowywać możliwie naturalnie.

– W porządku, a ty jak? – Mam całkowitą pewność, że bezbłędnie odczytuje wszystkie sygnały mojego ciała.

Jest przyzwyczajony do tych sygnałów, więc wiem, że najprawdopodobniej nie uda mi się go wprowadzić w błąd. Ale jestem przekonana, że wolałby kłamstwa od prawdy, więc odpowiadam:

– Też w porządku. Poznaj mojego wujka Jima Claremonta. – Potem odwracam się do wujka. – To jest Reed Wellington, mój... – Mózg mi się zacina i milknę. Mój co? Mój ukochany? Przyjaciel? Anioł? – myślę ze smutkiem. Czuję, że się rumienię, aż w końcu przychodzi mi do głowy określenie, którego mogę użyć. – Mój asystent... od fizyki. – Marność tego sformułowania sprawia, że znów serce mi się zaciska, ale przyklejam sobie do twarzy fałszywy uśmiech, żeby to zatuszować.

– Miło mi pana poznać. – Reed wyciąga rękę do Jima.

– Mnie również jest miło, Reed – mówi ciepło wujek.

Reed przygląda mu się z zainteresowaniem.

Ciekawe, czy dostrzega jakieś podobieństwo między wujkiem Jimem a mną – zastanawiam się, kiedy tamci dwaj rozmawiają krótko o Crestwood. Reed musi pełnić w imieniu uczelni jakieś oficjalne obowiązki, bo ma na sobie czarny garnitur, który zresztą kosztuje pewnie więcej niż cała moja szafa z ubraniami.

– Fizyka, tak? – Wujek Jim patrzy na mnie. – A jak tobie to idzie, Evie? – Uśmiecha się do mnie z dumą.

– No, wiesz... Na początku miałam trochę problemów, które Reed pomógł mi rozwiązać, a teraz chyba już to łapię, więc wszyscy mogą wyluzować. Dam sobie radę.

Widzę zaszępiłą twarz Reeda. Ale zanim wujek Jim ma szansę też ją zobaczyć, Reed mówi gładko:

– Słuchaj, zawsze jestem do dyspozycji, gdybyś czuła, że zostajesz w tyle. Pomogę ci rozwiązać problem.

– Och, to bardzo miło z twojej strony, Reed. Jesteś aniołem. Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie – odpowiadam sztywno.

– Zawsze mogłabyś się zająć rozwiązywaniem paradoksów matematycznych – cedzi przez zęby.

– Nie, nie mam do tego serca. Nie chciałabym, żeby mój plan zajęć zamienił się w koszmar – mówię ze smutkiem. – Fajnie było cię spotkać. Musimy cię teraz przeprosić, bo już wychodzimy. Miłego wieczoru.

Wygląda na to, że nadepnęłam Reedowi na odcisk, bo sprawia wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć, a w jego oczach widzę sprzeciw wobec moich słów. Ale po chwili kiwa głową i mówi:

– Oczywiście. Dobranoc, Genevieve.

Wychodzimy z Jimem z namiotu i przemierzamy razem niewielką odległość do mojego akademika. Muszę się starać, żeby smutek ukryć w swoim wnętrzu i nie rozplakać się na ramieniu wujka. Jim obejmuje mnie mocno i mówi, że mnie kocha. Kiedy przyglądam mu się, jak rusza spod akademika, rozpaczliwie chce mi się jechać razem z nim, uciec z Crestwood i udawać, że wszystko to było tylko złym snem... udawać, że jestem w stanie obudzić się z własnego życia. Ale wiem, że przecież nie mogę jechać z wujkiem Jimem; będzie bezpieczniejszy, dopóki jestem tutaj. Jedyne sposob, żeby go chronić przed tym, kim jestem, to trzymać się z daleka od niego tak długo, jak się da.

Kiedy wracam w końcu do pokoju, czuję się kompletnie wyczerpana. Wkopuję do szafy swoje buty na obcasach i przebieram się. Myję zęby i wślizguję się do łóżka, nie zadaję sobie nawet trudu zgaszenia lampy. A potem robię to, co stało się ostatnio moim zwyczajem: płaczę aż do zaśnięcia.



Odbywam jeszcze kilka sesji z panem MacKinnonem, czy raczej z Samem, bo tak zawsze mówi na niego Buns. Zabieram ją ze sobą jako przyzwoitkę, bo sama się przy tym upiera. Po skończonym pozowaniu zdejmuję grecką suknię. Kiedy odwieszam ją do szafy, Buns mówi:

– Skarbie, Sam ma zamiar podarować ci tę suknię, kiedy portret już będzie skończony! – Uśmiecha się zachwycona. – Czy to nie fantastyczne?

Unoszę brwi do góry.

– Ale dlaczego? Co ja zrobię z taką suknią?

– Szykuje się oficjalne przyjęcie organizowane przez Deltę. JT mówił o tym w czasie poprzedniej imprezy.

– Chcesz pożyczyć suknię? – pytam. Potrafię sobie wyobrazić Buns w tym stroju. Wyglądałaby olśniewająco.

– Nie, myślałam, że ty byś ją mogła włożyć, gdyby znalazł się ktoś, z kim byś chciała pójść.

Muszę chyba mieć dziwną minę, bo Buns szybko dodaje:

– Albo mogłabyś kogoś wybrać. Może być wspaniale, a wiesz dobrze, że bez ciebie zabawa nie będzie taka sama.

– Gdzie to ma się odbywać? – pytam, nie mając najmniejszego zamiaru tam iść.

– Niedaleko stąd. W sali balowej jakiegoś hotelu w Ann Arbor – odpowiada Buns, głaszcząc mnie po głowie, co robi zawsze, kiedy zbierają się w niej matczyne uczucia.

– No dobrze, być może... nie wiem – mówię, próbując wymyślić jakąś wymówkę.

Mam kilka powodów, żeby nie iść na przyjęcie. Na przykład wielkie, przerażające potwory, które zamieszkują takie miejsca jak Ann Arbor, ale nie mam prawa powiedzieć o tym Buns, choć to prawda.

– Skarbie, zostaw to mnie – mówi, niemalże pijana od poczucia władzy, jaką ją obdarzyłam.

Swoim zwyczajem Buns nie traci czasu, aranżując wszystko w moim imieniu. Umawia mnie z Owenem, studentem przedostatniego roku, który przygotowuje się do specjalizacji prawniczej. Stwierdza też, że ze względu na tren suknia z portretu nie nada się do tańczenia, więc we dwie z Brownie wybierają dla mnie w sieci nową suknię i zamawiają ją, kiedy kupują stroje dla siebie.

Muszę teraz podjąć istotną decyzję. Mogę iść na przyjęcie i nie powiedzieć o niczym Reedowi, mając nadzieję, że wszystko będzie dobrze; mogę też go uprzedzić i zobaczyć, co powie. Zastanawiam się nad tym przez kilka dni, ale w końcu skłaniam się ku drugiej możliwości – zawiadomić Reeda. Wspomnienie człowieka z dziwnym cieniem jest ciągle zbyt żywe w mojej pamięci, żebym miała zlekceważyć ryzyko wyjazdu z miasta bez obstawy.

Po treningu hokejowym mówię dziewczynom, że muszę się upewnić, co mam zadane na następne zajęcia z fizyki. Biegnę, żeby złapać Reeda, który wraca do samochodu po swoim treningu. Przez chwilę myślę, że znów mnie będzie całkowicie ignorował, bo nie zatrzymuje się, kiedy go wołam. Dochodzi do auta i dopiero wtedy niechętnie się odwraca i czeka na mnie. Zatrzymuję się parę metrów od niego, bo im dalej od siebie stoimy, tym mniej się czuję zażenowana.

– Reed, potrzebuję asysty – mówię, kierując spojrzenie trochę w bok od niego, żeby jego idealna twarz mnie nie rozpraszała.

– Dlaczego? – pyta sztywno.

– Zostałam zaproszona na przyjęcie organizowane przez Deltę do Ann Arbor – wyjaśniam, a kiedy słyszę jego cichy, groźny pomruk, unoszę odrobinę podbródek.

– Nie – odpowiada, odwracając się do mnie tyłem, tak jakby rozmowa została zakończona, i otwiera drzwi samochodu.

– Dlaczego nie? – dopytuję, nieszczęśliwym głosem.

Znów powoli odwraca się w moją stronę.

– Bo nie mam ochoty doglądać cię, kiedy będziesz się zabawiać z bandą pijanych koleś z braterstwa.

Krew uderza mi do głowy i czuję, jak rumieniec oblewa moją twarz.

– No to trudno – mruczę i odwracam się, żeby odejść.

Czuję się okropnie, jakby Reed sięgnął dłonią do mojej piersi i wycisnął z serca ostatnią kroplę krwi. Ciągnę za sobą po trawie kij hokejowy, wymachując nim co kilka kroków. Hałas, jaki robi, przedzierając się przez trawę, nasila się coraz bardziej i brzmi jak głośny poszum w rozbrzmiewającej echem jaskini.

Zatrzymuję się i rozglądam zdezorientowana, bo także inne dźwięki atakują mnie z bolesną wyrazistością. Piłka do koszykówki odbijana na jakimś podjeździe kilka budynków dalej brzmi jak echo stalowej kuli używanej przy burzeniu starych domów. Instynktownie cofam się, żeby pozostać z dala od tego źródła hałasu.

Zaraz potem chowam głowę w ramiona, bo obok mnie przelatuje coś, co wydaje przerażający odgłos piły tarczowej, od którego jeżą mi się wszystkie włosy. Toczę wkoło dzikim wzrokiem i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że był to odgłos przelatującej ważki, a nie jakiegoś straszego potwora.

W następnej chwili słyszę zgrzytliwy damski głos, brzmiący tak, jakby ktoś krzyczał w megafon przytknięty do mojego ucha. Rozglądam się i widzę jakąś kobietę rozmawiającą przez telefon komórkowy kilkadziesiąt metrów ode mnie. Kobieta skwapliwie pcha przed sobą dziecięcy wózek, a dźwięk jej głosu staje się nie do wytrzymania. Odwracam się i biegnę. Muszę uciec, zanim popękają mi bębenki.

Ponieważ biegnę z opuszczoną głową, nie zdaję sobie sprawy, że ktoś stoi przede mną, aż w końcu wpadam w jego ramiona. Prostuję gwałtownie głowę. Czuję, jak ta osoba podtrzymuje mnie i przyciska mocno do siebie. Reed! – uświadamiam sobie, zatykając wciąż uszy dłońmi, ale tak naprawdę mam ochotę zarzucić mu ręce na szyję, żeby poczuć, że ktoś chroni mnie przed chaosem.

– Ja... – zaczynam coś mówić, ale krzywię się z bólu, który odczuwam na dźwięk własnego głosu.

Reed nie odzywa się, tylko przykłada palec do ust. Kiwam głową i idę za nim do samochodu. Zgrzytanie naszych butów na żwirze alejki sprawia mi ból. Czuję mdłości, jakbym znalazła się nagle na pokładzie statku gwałtownie kołyszącego się na wodzie.

Kiedy docieramy do samochodu, Reed otwiera drzwi po swojej stronie i sięga do schowka na rękawiczki, z którego wyciąga pudełeczko z zatyczkami do uszu. Wręcza mi je, a ja wkładam je w uszy i od razu czuję się lepiej. Prostuję się i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że przez cały czas byłam mocno przygarbiona.

– Wszystko w porządku, Evie. To normalne, bo wyostrza ci się słuch. Na razie wszystko będziesz słyszała jak w radiu nastawionym na maksymalną głośność. Po paru dniach

wszystko się wyrówna i nie będziesz przez to cierpieć. A później nauczysz się, jak kontrolować te wrażenia. Będziesz umiała skupić się na tym, co chcesz słyszeć, i wyłączać pozostałe odgłosy tła – tłumaczy. Wydaje mi się, że w jego twarzy dostrzegam współczucie, ale nie jestem pewna, bo Reed wciąż zachowuje się w mojej obecności okropnie sztywno.

– Dzięki – odpowiadam z wdzięcznością. Odczuwam pewną ulgę, przynajmniej przestał mnie męczyć ból głowy... tylko serce wciąż mam jak martwe.

– Gdybyś miała jakieś pytania w tej sprawie w najbliższych dniach, wyślij mi maila – mówi Reed, ale czuję, że chce się mnie po prostu pozbyć.

Wszystko przebiega jak w przychodni lekarskiej, jakbym była jego pacjentką. Kiwam głową, nie ufam swojemu głosowi. Odwracam się, żeby odejść, ale Reed mnie zatrzymuje.

– Kiedy jest to przyjęcie? – pyta.

– W ten weekend – odpowiadam.

– W porządku, możesz iść. Wszystko zorganizuję – stwierdza ponuro.

Nie jest wcale szczęśliwy, ale ustępuje mi i spełnia moją prośbę. Nie nalegam na niego, po prostu kiwam głową. Mam nad czym się zastanawiać, wracając do pokoju w akademiku.



W dniu przyjęcia organizowanego przez korporację Delta Buns pokazuje mi suknię, która kupiła dla mnie w internecie. Nie ma rękawów i utrzymana jest w metalicznym, srebrnym kolorze. Ściśle przylega do wszystkich moich krągłości i dobrze mnie opina. Przypomina suknię, którą mam na sobie w trakcie pozowania, bo też eksponuje moje plecy, ale jest znacznie krótsza, sięga do połowy uda, więc będzie ciekawie, kiedy usiądę.

– Zmarznę w tym – skarżę się Buns, gdy oglądam swoje odbicie w lustrze.

– Nie, skarbie, będzie całkiem gorąco – poprawia mnie Buns. – Znajdę ci jakiś szal.

Brownie nakłada mi makijaż. Obficie używa ciemnej kredki do oczu oraz cienia, ale osiąga naprawdę intrygujący efekt. Moje szare oczy wydają się teraz jaśniejsze. Zakładam kolczyki w tym samym metalicznosrebrnym kolorze co suknia, a potem siadam na łóżku, żeby włożyć srebrne szpilki z paskami.

Buns i Brownie też mają kreacje w metalicznych odcieniach. W przypadku Buns jest to miękka złota suknia, w przypadku Brownie – lśniąca, w kolorze miedzianym. Każda z naszych sukienek jest innym wariantem powłóczystego, luksusowego stroju, tyle że wszystkie – tak jak moja – sięgają do połowy uda. Kiedy stoimy obok siebie wszystkie trzy, wyglądamy zadziwiająco sztywnie. Buns wręcza mi jeszcze czarną kopertówkę i czarny szal. Ukradkiem wkładam kolczyki do kopertówki. Nie jestem pewna, czy będą mi potrzebne dziś wieczorem, bo co prawda opanowałam już trochę problemy ze słuchem, ale wolę zachować ostrożność.

Uczę się wyłączania hałasów tła. Na początku było ciężko, bo słyszałam wszystko – od cykania świerszczy na dworze do chrobotu myszy w piwnicy akademika, ale powoli zaczynam sobie radzić z kontrolowaniem dźwięków. Mam wrażenie, że mój mózg się rozszerza i potrafi przyjmować oraz przetwarzać coraz więcej bodźców napływających z zewnątrz, co wyostrza świadomość otaczającego mnie świata. Dziwaczne.

– Skarbie, Owen chyba połknie własną śledzionę, jak cię zobaczy – mówi Buns i obrzuca mnie wzrokiem z triumfalną miną. Jej słowa przypominają mi, że w gruncie rzeczy mam teraz iść na randkę.

Kiedy schodzimy po schodach, faceci z Deltę czekają już na nas w holu „Yeatsa”. Owen – mój partner na ten wieczór – jest bardzo przystojny. Wzrostem niemal dorównuje Reedowi, a w jego ciepłych brązowych oczach widzę zaskoczenie, kiedy spogląda na naszą trójkę wchodzącą do holu. Ma na sobie idealnie skrojony, szyty na miarę garnitur. Do tego białą koszulę z mankietami na spinki i srebrny krawat. Jeśli chodzi o ubiór, jesteśmy idealnie zsynchronizowani. Zastanawiam się przez chwilę, czy to także jest dziełem Buns.

JT przedstawia mi Owena, potem odwraca się do nas wszystkich i mówi:

– Drogie panie, jesteście ubrane jak na grzeszną noc, więc zobaczmy, jakie piekło uda się nam dziś urządzać!

Buns śmieje się głośno, biorąc JT pod ramię, a Owen proponuje mi swoje ramię. Prowadzi mnie do czekającej na zewnątrz limuzyny. Jazda do Ann Arbor trwa mniej niż godzinę, a w tym czasie JT, Pete i Owen opowiadają nam różne zabawne historie. Owen jest dość interesującym facetem; mówi mi, jak poznał Brownie i Buns w trakcie ubiegłorocznych Wojen Delta. Gdzieś między Crestwood i Ann Arbor lody dzielące mnie i Owena pękają i zaczynam czuć się w jego towarzystwie mniej okropnie. Może dlatego, że chyba naprawdę interesują go moje opinie, a może dlatego, że jest całkiem bystry i nie pozwala JT zmonopolizować rozmowy. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, czuję się w jego towarzystwie zupełnie swobodnie.

Podaje mi dłoń i pomaga wysiąść z limuzyny, a potem, kiedy idziemy do lobby, bezpiecznie trzyma mnie pod ramię. Tuż przed wejściem włącza mi się radar i ostrzega mnie, że Reed jest już w środku. Wiem, że zamierzał się tu dziś zjawić. Na początku tygodnia wysłał mi mail, w którym poinformował mnie, że zadbał o to, żeby się pojawić na przyjęciu – abym i ja mogła tu przybyć. Ale właściwie to Buns zawiadomiła mnie, że Reed ma przyprowadzić ze sobą jakąś partnerkę. Natychmiast po wejściu przez szerokie drzwi, które otwiera przede mną Owen, dostrzegam ich razem.

Kiedy wchodzę do środka, Reed nie odwraca się w moją stronę, za co jestem mu wdzięczna. Jestem pewna, że na widok mojej miny po oględzinach jego partnerki zamieniłby się w kamień. Kilka dni wcześniej Buns przeprowadziła małe rozpoznanie i znalazła na jej temat wszystko, co dało się wygrzebać, więc nie jestem zaskoczona. Na imię ma Caroline, jest na przedostatnim roku studiów i mieszka w budynku Kappa. Jest moim przeciwieństwem – myślę ponuro, oceniając jej zalety. Caroline jest drobnej budowy, ma może metr

pięćdziesiąt pięć wzrostu, wygląda delikatnie, jakby miała popękać, kiedy ktoś jej dotknie. Ze swymi długimi blond włosami i w blad różowej sukni z podwyższonym stanem całą sobą wykrzykuje jedno słowo: słodka.

Na szczęście nie muszę dłużej zastanawiać się nad urodą Caroline, bo moją uwagę bez reszty zajmuje dobiegający mnie z tyłu tubalny głos.

– Dobry Boże, Ruda! A gdzie masz resztę sukienki? – Russell żartuje, ale tylko częściowo.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Wiedziałam, że Russell też został zaproszony na dzisiejsze przyjęcie. Rozmawialiśmy o tym któregoś dnia przy lunchu. Był w stanie przyjść dzięki temu, że Chargersi grali dziś po południu mecz na swoim boisku. Delty interesują się Russellem jako kandydatem do ich korporacji w przyszłym semestrze, więc bractwo zaprosiło go na przyjęcie, co było dodatkowym ukłonem w jego stronę.

Na twarzy wykwita mi uśmiech, bo Russell wygląda niezwykle przystojnie w ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Dzięki szerokiej piersi i wąskiej talii marynarka wygląda na nim lepiej niż szyte na miarę garnitury na innych facetach. Chodzi o atrakcyjność fizyczną modela, a nie o cenę czy jakość wykonania stroju.

Candace, stojąca obok Russella, wygląda, jakby przez całą drogę do Ann Arborssała cytryny; omiata mnie oczami od stóp do głów. Skromna bladoniebieska suknia, którą ma na sobie, sięga niemal do podłogi. Wygląda ślicznie: jasne włosy ma zebrane wysoko na czubku głowy, a zwisające z uszu diamentowe kolczyki sypią jasnymi iskrami. Ale z nerwowego uśmiechu, który ma na twarzy, można wnioskować, że coś jest nie tak.

– Resztę sukienki mam odłożoną w sklepie. Będzie mnie na nią stać w następnym semestrze – odpowiadam sucho. – Nie podoba ci się? – pytam i staram się uśmiechnąć.

– Nie, tego nie powiedziałem... – mówi z ogniem w oku, na który coś w moim wnętrzu reaguje, zresztą ku mojej irytacji.

Candace też dostrzega spojrzenie, jakim obdarza mnie Russell. Zaciska dłonie na swojej kopertówce, więc szybko odwracam się do Owena i mówię:

– Russell i Candace, to jest Owen Matthews.

– My się już znamy, prawda, Owen? – odpowiada niegrzecznie Candace.

Owen przyjmuje to spokojnie i mówi:

– Tak, od dawna. W zeszłym roku chodziliśmy razem na niektóre zajęcia. Evie, możemy już iść poszukać naszych miejsc? – pyta mnie z konspiracyjnym uśmiechem. Kiwam głową, wdzięczna za jakikolwiek pretekst, żeby móc się oddalić od Candace.

Kiedy wchodzimy do wydzielonej sali restauracyjnej, widzimy, że większość par zajęła już swoje miejsca. Buns i Brownie zostają zaprowadzone do innego stołu niż ja z Owenem. Próbuje nie okazywać rozczarowania, a Owen wysuwa dla mnie krzesło stojące naprzeciwko wyłożonej szkłem ściany, po której spływają kaskady wody. Nie pozwalam sobie na rozglądanie się dookoła, żeby sprawdzić, gdzie siedzi Reed, ale wiem, że jest gdzieś naprawdę blisko – czuję reakcję we własnym brzuchu.

Owen zajmuje swoje miejsce, uśmiecha się ciepło i przedstawia mnie Scottowi, współlokatorowi z akademika, który przyszedł ze studentką drugiego roku, Chloe. Scott zaczyna opowiadać Owenowi i mnie zabawną historię o tym, jak mało brakowało, żeby razem z Chloe nie dotarli dziś na przyjęcie. Jednak gdzieś w połowie opowieści przestają słuchać.

Kiedy Reed przechodzi za krzesłem, na którym siedzę, końce jego palców muskają moje plecy, zostawiają na nich ciepłą, zmysłową pieszczotę. Policzki oblewa mi rumieniec wywołany tak bliskim kontaktem, oddech grzęźnie w gardle. Na krótką chwilę zamykam oczy i smakuję doznanie, które dotyk Reeda pozostawił na mojej skórze. Czuję się, jakby wszystkie cząsteczki mojego ciała w jednej chwili ożyły. Kiedy otwieram oczy, widzę, że krzesło po mojej prawej stronie porusza się: siada na nim Reed. Spoglądam ukradkiem na Owena siedzącego po mojej lewej ręce i widzę, że jest pogrążony w dyskusji ze Scottem na temat wyboru piwa spośród kilku znajdujących się w karcie.

Gdy upewniam się, że Owen jest przez chwilę zajęty, szepczę do Reeda:

– Co robisz?

– Niczego nie dostaje się bezwarunkowo, Evie – odpowiada równie cicho.

Zdezorientowana unoszę w górę brwi.

– O co ci chodzi? – odpowiadam, trzymając menu tak, żeby nikt nie widział, że rozmawiamy.

Reed naśladuje mój ruch i również otwiera kartę dań.

– Jeśli twoja strategia polega na torturowaniu mnie, nie będę jedyną ofiarą – mówię miękko.

– Sądzisz, że chcę cię torturować? – pytam z niedowierzaniem.

Oczy Reeda ciemnieją.

– Proszę cię, nie udawaj naiwnej, przynajmniej nie w tej sukience.

– To tylko sukienka. Co się z tobą dzieje? – Kręcę głową. – To nie ja odwróciłam się do ciebie tyłem, ale ty do mnie. Jedyna strategia, o jaką mi tu chodzi, polega na tym, żeby się zabawić i zachowywać jak normalna dziewczyna.

– Nie jesteś nawet w najmniejszym stopniu normalna – mówi Reed – a jeśli chodzi o twojego partnera, to zupełna strata czasu.

Owen odwraca się do mnie i pyta:

– Co byś chciała do picia, kochanie?

Kątem oka zauważam, że Reed sztywnieje. Niedobrze.

– Na razie wystarczy mi woda, dzięki – odpowiadam i próbuję się uśmiechnąć. Owen rewanżuje mi się ciepłym uśmiechem i przekazuje kelnerowi nasze zamówienie na napoje.

– Dlaczego on mówi do ciebie „kochanie”? – pyta Reed cichym głosem, w którym wyczuć można nutę pogroźki.

Znów podnoszę kartę, udaję, że ją czytam, i mówię:

– Nie wiem. Dopiero go poznałam. Może mnie lubi.

Milknę kompletnie, kiedy dłoń Reeda przez chwilę ociera się pod stołem o moje udo. Fala gorąca wywołana tym dotykiem przebiega przez moje ciało jak płomień.

Opuszczam menu i patrzę zdezorientowana na Reeda, ale moją uwagę odwraca Russell. Wysuwa krzesło dla Candace i oboje siadają dokładnie naprzeciwko nas. Candace bierze swoją serwetkę, strzepuje ją i kładzie sobie na kolanach, posyłając mi oschły uśmiech. Russell siada obok niej, rzucając przez stół równie niechętnie spojrzenie Reedowi.

Russell zdejmuję marynarkę i zawiesza ją na oparciu swego krzesła.

– Reed, nie spodziewałem się ciebie tutaj. Nie wiedziałem, że należysz do Delt – mówi nieprzyjaźnie i mierzy oczami odległość między krzesłem Reeda i moim.

– Cześć, Russell – odpowiada Reed zblazowanym tonem. – Nie należę do Delt. Przyszedłem, bo ktoś mnie o to prosił – mówi, patrząc na mnie znacząco.

Od niechcenia sięga znów po kartę i zaczyna ją czytać, jakby jadał z nami kolację co wieczór. Patrzę na jego profil przez moment, który się przedłuża... aż w końcu uświadamiam sobie, że po prostu wpatruję się w niego. Podnoszę szybko swoją kartę i próbuję ją czytać. Kelner wciąż obchodzi wkoło nasz stół, a kiedy zbliża się do Russella, słyszę, jak Candace mówi uszczypliwym tonem:

– Russell, potrzebuję drinka. Zamów mi malinową stoliczną z lodem i dietetycznym Seven up, ale nie ze zwykłym Seven up, i do tego chcę limonkę, a jeśli nie mają limonki, to cytrynę.

– Koszmarna jest – mruczę pod nosem, a Reed śmieje się cicho. Napawa się tym, że Russell ma tego wieczoru swoje własne problemy. Opieram się pokusie popatrzenia na Reeda, choć jakaś część mnie desperacko pragnie zobaczyć jego uśmiech.

– Na co masz ochotę? – pyta Owen, uśmiechając się do mnie.

– Na Big Maca z dodatkowym serem – odpowiadam cicho bez zastanowienia, a potem patrzę na Reeda i dostrzegam jego zielone oczy wpatrzone we mnie.

– Czy mają to tutaj w karcie? – śmieje się Owen i sprawia wrażenie, jakby chciał sprawdzić.

– Pewnie nie. Łosoś może być niezły – odpowiadam, czerwieniąc się. – A co ty zamawiasz, Owen? – próbuję zatuszować fakt, że ledwo łapię oddech. Popijam wodę i unikam kontaktu wzrokowego z resztą gości przy naszym stole.

Udaje mi się odzyskać kontrolę nad sobą, ale po chwili znów ją niemal tracę, bo widzę, jak Russell wpatruje się we mnie przez stół. Jego brązowe oczy chwytają moje spojrzenie. Próbuję się uśmiechnąć, żeby troska, którą widzę w jego wzroku, trochę zelżała. Candace też zauważa, w którym kierunku podążają oczy Russella, więc kieruje do mnie stuprocentowo fałszywy uśmiech i mówi:

– Evie, nie wiem, skąd wzięłaś tę sukienkę. Jest taka... taka twoja... Nikt takiej nie ma.

– Buns zamówiła ją dla mnie w sieci. Więc jest moja, prawda? – pytam, nie chcąc ustępować przed jej ledwie zawoalowaną obelgą.

– Twojemu partnerowi najwyraźniej się podoba – mówi Reed pod nosem, tak że tylko ja go słyszę, ale ignoruję jego słowa.

Owen patrzy na mnie z zachwytem i mówi:

– Według mnie jest idealna.

– Widzisz? – rzuca Reed z groźbą w głosie.

Próbuję się uśmiechnąć do Owena, ale słyszę jednocześnie dwa gniewne pomruki – jeden od strony Reeda, drugi od Russella.

– Dzięki, Owen – odpowiadam, ale jestem już mocno poirytowana i czekam, kto odda następny strzał w moim kierunku.

– Caroline, twoja suknia jest piękna. Prawda, Reed? – pyta przez stół Candace, ale wciąż nie spuszcza wzroku ze mnie.

– Tak, Caroline pięknie dziś wygląda – zgadza się uprzejmie Reed, jednocześnie opierając od niechcienia rękę na oparciu mojego krzesła. Jego dłoń łąduje tuż przy moich plecach i ta bliskość sprawia, że zaczynam się wiercić.

– Świetnie ci w różowym, Caroline – włączam się.

W moim głosie daje się wyczuć napięcie, bo próbuję jednocześnie zepchnąć łokciem ramię Reeda z mojego krzesła. Nie udaje mi się – Reed jest na to o wiele za silny.

– Dziękuję – odpowiada Caroline znudzonym tonem, po czym posyła mi uśmieszek typu „wiem, że jesteś jego eks”.

Zamawiamy jedzenie. Wdaję się w pogawędkę z Owenem, Scottem i Chloe. Resztę towarzystwa ignoruję, ale Candace z determinacją próbuje znów wciągnąć mnie w rozmowę.

– Evie – uśmiecha się nieszczerze – zastanawialiśmy się właśnie, od jak dawna spotykacie się z Owenem. Nigdy was nie widziałam razem. – Patrzy na mnie, ale potem na chwilę przenosi wzrok na Caroline.

– To nasza pierwsza randka. – Staram się odpowiedzieć krótko, nie wdawać się w żadne szczegóły. Traktuję tę rozmowę jak przesłuchanie, bo tym w gruncie rzeczy jest.

– Och, to słodkie, prawda, Russell? – rzuca Candace i szczerzy się do Russella. – Owen, to wspaniale. Miło, że znów chodzisz na randki – dodaje.

– Dzięki. – Owen patrzy na mnie zakłopotany.

Coś tu się dzieje i wszyscy oprócz mnie wydają się wtajemniczeni. Patrzę na Russella – z jakiegoś powodu jest wyraźnie wściekły, bo rzuca Candace gniewne spojrzenia, ale ona nie zwraca na niego uwagi i jest całkiem wyluzowana.

– No nie, naprawdę – ciągnie dalej Candace i upija łyk swojego drinka. – Miło, że możemy tak sobie siedzieć przy jednym stole i w ogóle nie czujemy się niezręcznie.

Mam ochotę parsknąć śmiechem, bo jak się tak rozglądam, widzę, że akurat wszyscy czują się bardzo niezręcznie. To znaczy wszyscy oprócz Reeda, bo ten zachowuje spokój i dystans do całej sytuacji.

Candace znów ma na twarzy ten sam wredny, wymuszony uśmieszek.

– Chodziłeś z Caroline przez... ile to było... chyba z rok, co? Musiało ci być ciężko, kiedy ze sobą zerwaliście, ale teraz spiknąłeś się z Evie, a Caroline z Reedem. – Przerzywa, żeby zerknąć na Reeda, potem znowu na mnie. – Caroline i Reed też słodko wyglądają razem

– ciągnie dalej, po czym milknie. Przenosi wzrok na Russella, który rzuca jej mordercze spojrzenie. – Candace, wystarczy – mówi Russell miękko; sprawia wrażenie, jakby wstydził się, że siedzi obok niej.

Patrzę w dół na swój talerz, w głowie mam gonitwę myśli. Czy Candace mówi prawdę? Czy Reed „spiknął się” z Caroline? Gdy się nad tym zastanawiam, czuję ukłucia bólu, ale już za chwilę uświadamiam sobie, że Candace jednak nie może mieć racji. Reed jest nieśmiertelny, a Caroline jest człowiekiem – i to bardzo, bardzo kruchym. Niezależnie od tego, czym dla siebie są, on i tak nie zdradzi jej swoich sekretów; nie wolno mu. Nigdy jej nie wyjawia, kim naprawdę jest – tak jak to zrobił ze mną. Ona nigdy się nie dowie, że Reed jest aniołem. Ale całe to rozumowanie ani trochę nie tłumi we mnie zazdrości o każdy moment, który Caroline może z nim spędzić.

Owen od niechcienia obejmuje mnie ramieniem.

– Miałaś rację, wcale nie czujemy się niezręcznie – kłamie gładko. – Mam szczęście, że Evie jest dziś wieczorem moją partnerką. Mam zamiar od teraz spotykać się z nią jak najczęściej.

Uśmiecham się do Owena, choć gonitwa myśli w mojej głowie nie ustaje. A więc Owen i Caroline chodzili ze sobą. Ciekawe, czy Reed o tym wiedział i czy zaproszenie na dziś wieczór Caroline było z jego strony jakąś przemyślaną strategią. O co mu chodzi? Zastanawiam się nad tym wszystkim ze zmrużonymi oczami, bo postępowanie Reeda śmierdzi mi jakimś dobrze obmyśloną planem.

Cieszę się, że Candace nie zostawiła już sobie więcej nabojów w strzelbie, najwyraźniej wystrzeliła wszystkie informacje o układach w gronie osób zasiadających przy naszym stole. Ani Owen, ani ja nie zareagowaliśmy tak, jak się tego spodziewała, i najwyraźniej to ją wkurza. Z kolei w miarę rozwoju sytuacji Reed i Russell zachowują się coraz bardziej opryskliwie. Nikt chyba nie odczuwa takiej ulgi jak ja, kiedy Candace, Caroline i Chloe po skończonej kolacji przepraszają towarzystwo i idą do łazienki.

Owen też wstaje.

– Chcesz pójść z nami do baru na drinka? Scott i ja chcielibyśmy sprawdzić wynik takiego jednego meczu.

– Hm, nie mam fałszywego dowodu. – Uśmiecham się niewinnie. – Ale wy idźcie. Zaczekam na was tutaj.

– Na pewno? Mogę ci coś przynieść.

– Na pewno. I dzięki, mam wodę. – Pokazuję szklankę.

– Okej. Za chwilę wracam.

Delikatnie ściska mnie za ramię i razem ze Scottem odchodzą od stołu.

Rozglądam się – kurczę, zostałam sama z Reedem i Russellem. Mam ochotę uciec do stołu, przy którym siedzą Buns i Brownie, ale obawiam się tego, co może się wydarzyć, jeśli zostawię Reeda i Russella tylko we dwóch. Siedzę więc i modlę się, że ich partnerki szybko tu wyładowały z powrotem, wtedy sobie spokojnie prysnę i znajdę dziewczyny.

– Russell, mogę ci zadać pytanie dotyczące futbolu? – Reed odchyła się i znów od niechcenia kładzie ramię na oparciu mojego krzesła.

Russell patrzy na niego sceptycznie.

– Tak, jasne.

– Chodzi mi o ten zespół, w którym grałeś dziś po południu. Wiesz, ciekawi mnie, dlaczego w czwartej kwarcie wasz gracz nie złapał piłki, kiedy nasza drużyna ją wypuściła – mówi Reed i bawi się kosmykiem moich włosów, który opadł na jego dłoń.

Russell zastanawia się dłuższą chwilę, najwyraźniej zdezorientowany.

– Co? Nie pamiętam... – Milknie, patrzy na mnie, znowu na Reeda. Marszczy czoło. – Ach, tamto wypuszczenie... No tak, piłka potoczyła się poza boisko, więc obrońca nie mógł jej tak po prostu złapać. Poza tym powinieneś zobaczyć tę piłkę: wyglądała tak, jakby ktoś ją rozerwał na kawałki.

Twarz Reeda przybiera dziwny wyraz.

– Myślałem, że przeciwna drużyna spróbuje złapać piłkę i ją naprawić, a nie odda chłopaczkowi od podawania wody, żeby się nią pobawił – odpowiada zwięźle.

Russell mruży oczy.

– Próbowali ją naprawić, ale na to potrzeba czasu – odparowuje szorstko. – Mieli jakiś plan gry, który realizowali. Tamta sytuacja nie powinna mieć znaczenia, bo to była już czwarta próba i piłka i tak nie mogła wrócić do drużyny, która ją wypuściła – wyjaśnia z pasją Russell.

– Hm, futbol to ciekawa gra. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy – odpowiada Reed, a jego kciuk w tym czasie delikatnie gładzi moje ramię, przyprawiając mnie o dreszcze.

– Twój partner wraca do stołu – szepcze do mnie Russell na widok tego, jak blisko mnie znalazł się Reed. – Może przestaniesz się bawić włosami Evie?

Reed wzdycha ciężko i wypuszcza z ręki kosmyk.

Dźwięczny głos Buns przerywa ciężką ciszę przy naszym stoliku.

– No! No! Nie chciałabym przerywać wam zabawy, skarbie, ale idziemy do sali balowej, żeby wystartować – mówi, spoglądając na nasz stół. – Wyglądacie na rozbawionych mniej więcej tak, jakbyście siedzieli w poczekalni u dentysty – ciągnie dalej, z powagą przypatrując się naszym twarzom. – Brownie i Pete już tam są. JT właśnie odciąga pozostałych facetów od meczu. Chyba że wolicie tu zostać... – Buns milknie, ale ja zrywam się ze swojego krzesła, nie dam jej szansy, by mnie zostawiła.

– Nie, nie... poczekaj, idę z tobą. Chłopaki, zobaczymy się później. Bawcie się dobrze – mówię do pozostałej przy stole dwójki, po czym biorę Buns pod rękę.

– Kurczę, spadamy – mówi Buns i odwraca się do Reeda i Russella. – Panowie, bawcie się dobrze przez resztę wieczoru ze swoimi partnerkami!

Sala balowa przylega do głównego hotelowego holu. Gdy idę z Buns z restauracji, przechodzimy przez imponujące atrium. Miękkie światło z eleganckich żyrandoli sprawia, że sala balowa wydaje się znacznie bardziej luksusowa, niż się spodziewałam. Natychmiast

zauważamy Brownie i Pete'a. Brownie obejmuje mnie ramionami i mówi, że nie chciała się ze mną rozłączać. Rozlegają się dźwięki muzyki, więc Buns i Brownie ciągną mnie ze sobą na parkiet.

Po kilku kawałkach przyłączają się do nas JT, Pete i Owen. Widzę też na parkiecie Russella z Candace. Russell jest... no, Russell jest ekstra. Ma naturalny wdzięk, a jego ciało porusza się bez wysiłku. Można się zachwycić, kiedy patrzy się na jego taniec. Muzyka cichnie i wszyscy schodzimy z parkietu, żeby się napić wody. Kiedy Owen wraca z baru z naszymi drinkami, wpada na niego Reed. Mówi do Owena coś, co próbuję usłyszeć, ale mam kłopot z wyciszeniem muzyki, która dudni z głośników. Owen wygląda na nieco zakłopotanego, a Reed przejmuje z jego rąk szklanki.

Kiedy Reed się oddala, Owen przechodzi obok mnie, zmierzając do miejsca, gdzie siedzą Caroline, Candace i Russell. Kiedy tam dociera, nachyla się nad Caroline i coś jej szepcze do ucha. Caroline kiwa głową. Na jej twarzy pojawia się wyraz zadowolenia i triumfu, podczas gdy mój partner prowadzi ją na parkiet i zaczyna wolny taniec. Wyglądają, jakby byli kochankami.

Marszczę czoło, patrząc, jak Caroline zarzuca Owenowi ramiona na szyję i mocno go obejmuje, jakby od dawna czekała na ten moment. W końcu zaczynam rozumieć, co się dzieje: Reed namówił Owena, żeby zaprosił Caroline do tańca. Czy wszyscy jesteśmy pionkami, którymi ktoś się bawi i manipuluje...? Czy ja też jestem takim pionkiem? Reed wyszedł już z sali balowej, więc idę za nim. Łapię go w pobliżu szatni, gdzie podał właśnie swój numerek szatniarzowi.

– Przekroczyłeś uzgodnioną granicę... To nie ma dla ciebie znaczenia? – pytam cicho, nie patrząc na niego, ale unoszę nieco głowę i obserwuję, jak szatniarz przeszukuje wieszaki.

– To ty mnie do tego popchnęłaś – odpowiada Reed, a stoi tak blisko, że jego oddech łaskocze moją szyję. Moje ciało reaguje na tę bliskość, ale w umyśle szaleje furia. – Co ty wyrabiasz z Owenem?

– To, na co mam ochotę. Reed, nie jestem twoją marionetką. To ja wybieram, kogo chcę kochać i z kim chcę być; ty o tym nie decydujesz – próbuję wypowiedzieć te słowa spokojnie, ale do mojego głosu przenika panujący w moim wnętrzu gniew.

– Nie kochasz Owena.

– Nie. Kocham ciebie – odpowiadam miękko. – Moje życie to nie są manewry wojskowe. Cokolwiek to ma być... cokolwiek chcesz osiągnąć, powstrzymaj się.

Mam zamiar odejść, ale Reed łapie mnie za ramię i mówi:

– Powinnaś być z Russellem.

Moje uniesione brwi wyrażają zdziwienie.

– Ach, rozumiem, stałeś się amorkiem... Cóż za ironia losu. O co więc chodzi: starasz się sprowokować do działania Russella czy mnie? Tak czy inaczej, mam dla ciebie wiadomość: nie dam rady być z Russellem. Nie rozumiesz tego? Kocham ciebie. Jeśli spróbuję związać

się z Russellem, skrzywdzę go jeszcze bardziej. On zasługuje na kogoś, kto pokocha go całym sercem.

– Genevieve, jesteś taka uparta – mówi Reed z rozczarowaniem w głosie. – Sama się stawiasz w trudnym położeniu, i to całkiem bez przyczyny.

– Nie, Reed, to ty mnie stawiasz w trudnym położeniu – odpowiadam, a on zwalnia moje ramię z uścisku, jakbym go nagle oparzyła.

Wracając do sali balowej, staję na chwilę w wejściu i patrzę na Owena z Caroline, tańczących wciąż na parkiecie. Caroline całuje Owena w szyję. Doskonale! – myślę i zmieniam kierunek. Znajduję się znów w holu akurat w momencie, kiedy Reed wychodzi przez główne drzwi. Nie wrócę do sali balowej. Lepiej będzie schować się na resztę wieczoru w łazience, bo Candace na pewno będzie triumfować.

Postanawiam schować się w damskiej toalecie, przechodzę przez atrium obok przylegającego hotelu i wtedy słyszę za sobą jakiś głos mówiący do mnie „Aniele”.

Odwracam się i widzę pięknego młodego człowieka w jasnoszarym jedwabnym garniturze. Nie nosi krawata, a białą koszulę ma niedbale rozpiętą. Jego blond loki są jaśniejsze z przodu, jakby od pocałunków słońca, a oczy mają głęboki niebieski kolor ciemnej wody w basenie. Twarz pokryta jest lekkim zarostem, który nie zasłania silnie zarysowanej linii szczęki, a raczej ją podkreśla. Chłopak nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale nie rozpoznaję w nim żadnego ze studentów Crestwood.

– Przepraszam, myślałam, że mówisz coś do mnie – tłumaczę się, gdy uświadamiam sobie, że go nie znam. Robię kolejny krok w kierunku łazienki, ale chłopak lekko łapie mnie za łokieć.

Niebieskie oczy mrugają uwodzicielsko.

– Jak masz na imię, mała? – słyszę pytanie.

Facet wyciąga rękę i niemal z nabożeństwem dotyka moich włosów.

– Aa... dlaczego? – pytam nerwowo, zaniepokojona wyrazem zachwyty na jego twarzy i faktem, że mnie dotyka. Rozglądam się po atrium w poszukiwaniu kogoś, kogo mogłabym zawołać, ale na razie jesteśmy tu sami.

Uśmiecha się, jakbym była wykwintnym klejnotem, znalezionym przypadkiem na ziemi.

– No bo muszę jakoś nazwać to szczególne, wyjątkowe stworzenie, które znalazło się przede mną. To nie może być anioł, bo jesteś czymś więcej niż aniołem, prawda?

– Mm... mam na imię Genevieve – odpowiadam, bardzo już zaniepokojona. Serce zaczyna mi przyspieszać.

Przechyla głowę i przez chwilę przygląda mi się badawczo.

– Serce bije ci tak szybko, Genevieve. Czy ty się mnie boisz?

Wypuszczam powietrze, jakbym zaliczyła od niego cios w żołądek. Jasna cholera! To anioł! Spokojnie, zapytaj go o imię, udawaj, że cię to interesuje, zyskaj na czasie – myślę.

– Jak masz na imię... aniele? – pytam najbardziej pewnym siebie głosem, na jaki mnie stać. Mam nadzieję, że moje umiejętności blefowania się rozwinęły.

– Sebastian – odpowiada natychmiast z szerokim uśmiechem. – Jesteś niezrównana – ciągnie dalej, a potem wykonuje ruch tak szybki, że nie dałabym rady mu uciec, nawet gdybym była tysiąc metrów od niego. Trzyma mnie w ramionach tak, jakbym była podarunkiem opakowanym w papier, który zamierza zaraz odwinąć. Przygląda mi się badawczo. Sprawia wrażenie, że chce zapamiętać każdy szczegół mojego ciała.

– Ty masz duszę – szepcze. Brzmiałoby to może seksownie, gdyby nie było tak absolutnie odrażające.

– Tak, i zamierzam ją zachować, więc nie obmyślaj żadnych planów – odpowiadam ponuro, bo nie wiem, co innego powiedzieć.

Zachwycony Sebastian śmieje się z mojego odtrącenia.

– Ależ jesteś pełna paradoksów! Zmieniasz wszystko, Genevieve. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Już to kiedyś słyszałam. A w ogóle zmiana to dobra rzecz, prawda? – Próbuję się do niego uśmiechnąć, ale z pewnością wygląda to bardziej na grymas niż uśmiech.

Sebastian bierze mnie na ręce i rusza w kierunku drzwi wyjściowych. Wydaje mi się, że jest przeze mnie tak oszołomiony, że zapomina iść ludzkim krokiem, bo pomieszczenie przesuwa się wokół mnie szybciej, niż powinno. Przemierzamy cały hol i docieramy do drzwi w parę sekund.

Odpycham się od jego piersi i próbuję się uwolnić.

– Proszę mnie zostawić! Gdzie mnie zabierasz? – pytam Sebastiana, porządnie już przerażona.

Z drugiego końca holu, od strony sali balowej słyszę krzyk Russella:

– Hej, ty, dokąd niesiesz moją dziewczynę?

Sebastian nie zatrzymuje się, żeby zająć się Russellem, tylko wychodzi na parking.

– Spędzasz czas z ludźmi? – Marszczy twarz z odrazą. – Wiesz, że uważamy to za upodlenie. Dobrze, że cię w porę znalazłem. Nie możesz się mieszać z taką szumowiną i jednocześnie mieć nadzieję na długie życie.

Ze strachu trudno mi oddychać.

– Sebastianie, jestem tu z kimś i nie mogę tak po prostu wyjść... – zaczynam tłumaczyć, ale przerywam, kiedy Sebastian się zatrzymuje. Spoglądam w stronę, w którą szliśmy, i widzę, że drogę zagroził nam Reed.

– Reed! – wrzeszczę, niezdolna do wypowiedzenia jakiegokolwiek innego słowa.

Sebastian warczy na Reeda niskim głosem, w którym pobrzmiewa groźba – i jest to chyba najbardziej przerażający głos, jaki w życiu słyszałam. Reed nie reaguje na groźbę. Właściwie wygląda na znudzonego agresją Sebastiana.

– Chcę jej. – Głos Sebastiana brzmi niesamowicie, jakby był wydawany przez dzikie zwierzę.

Przez moje ciało przebiega dreszcz obrzydzenia, bo czuję, że gość jeszcze mocniej przyciska mnie do siebie.

– Więc będziesz musiał poczekać w kolejce, która zaczyna się ode mnie – ostrzega Reed. Zdejmuje marynarkę i krawat, kładzie rzeczy na najbliższym samochodzie. Rozpina też koszulę.

Sebastian przygląda mu się i czuję, że zastanawia się, co robić. Wciąż trzyma mnie w nieprzyjemnym uścisku, jakby chciał mnie postawić na ziemi, a jednocześnie nie potrafił się do tego zmusić.

– Ty świrze! Nigdzie z nią nie odejdiesz – dobiega mnie z tyłu krzyk Russella, Reed tylko się uśmiecha.

Sebastian rzuca gniewne spojrzeniem.

– Naprawdę, mała, dziwne masz towarzystwo – szepcze mi do ucha. Jednocześnie trąca nosem moją szyję. – Ale to się zmieni. Zadbam o to.

– Sebastian... błagam, nie rób im krzywdy.

Oddech grzęźnie mi w gardle, bo dopadają mnie kolejne fale obrzydzenia wywołanego jego dotykiem. Ma w sobie coś szczególnie ponurego – czuję ten zapach, dotykam tego, ale nie mam dostatecznie dużo doświadczenia, żeby go dokładnie nazwać.

Reed wkłada rękę do kieszeni marynarki i wylawia z niej kluczyki.

– Kiedy on ją postawi na ziemi... – rzuca Russellowi kluczyki. – A na pewno postawi, bo inaczej wyrwę mu ramię... – mówi groźnie, patrząc na Sebastiana. – Weź mój samochód i wywieź ją stąd. Zaparkowałem tam. – Pokazuje za siebie.

Sebastian znów wydaje pomruk wściekłości i rozczarowania, delikatnie stawia mnie na ziemi. Kiedy tylko moje stopy dotykają asfaltu, wskazuje palcem bezpośrednio Russella, choć ani na chwilę nie spuszcza oczu z Reeda:

– Nie zmuszaj mnie do tego, żebym się za ciebie wziął, chłopcze. Będę ją miał.

Od tej pogroźki uginają się pode mną kolana. Sebastian na moment przestaje przypatrywać się Reedowi i zwraca się do mnie:

– Potrzebuję tylko minutki, maleńka. – A potem przyciska swoje wargi do moich i brutalnie mnie całuje.

W tym momencie następuje reakcja Reeda. Nie zauważam jego ruchu, ale dostrzegam, że uderza Sebastiana tak mocno, że tamten leci jakieś piętnaście metrów do tyłu i wpada na furgonetkę na parkingu. Sebastian wybija swoim ciałem przednią szybę pojazdu i ląduje między dwoma jasnobrązowymi fotelami. Uruchamia się alarm samochodowy, zaczyna przenikliwie wyć. Przez kilka chwil wszyscy wpatrujemy się w auto. Oboje z Russellem jesteśmy sparaliżowani. Ta scena wywołała w nas szok. Jestem pewna, że nikt nie jest w stanie przeżyć takiego zderzenia z szybą, więc kiedy rozsuwane drzwi turkusowego samochodu wylatują z zawiasów i rozbijają auto obok, całą siłą płuc wydobywam z siebie krzyk skrajnego przerażenia.

Sebastian powoli wydostaje się na zewnątrz. Zdejmuje szarą jedwabną marynarkę i wytrzepuje okruchy szkła z rozjaśnionych słońcem włosów. Uśmiecha się złowrogo.

– Nie wpadaj w panikę, Genevieve – krzyczy do mnie. – Nic mi się nie stało. Dopiero zaczynamy.

Zasłaniam dłonią usta, żeby znów nie wrzasnąć. Sebastian sięga do chromowanego bocznego stopnia furgonetki i go odrywa. Zanim jestem w stanie wyobrazić sobie, co zamierza z nim zrobić, stopień zostaje wbity w bok samochodu stojącego bezpośrednio za Reedem – w miejscu, w którym Reed stał ułamek sekundy wcześniej.

– Russell, to pora, zabieraj stąd Evie. – Reed nie patrzy na nas, koncentruje się całkowicie na Sebastianie.

W momencie, w którym odwracam się, żeby odpowiedzieć Reedowi, że nigdzie się nie wybieram, ten nagle znika. W następnej sekundzie rzuca się na Sebastiana, który nadal jest oddalony od nas o kilkadziesiąt metrów. Obaj zwierają się w strasliwym starciu, w którym każdy próbuje rozerwać drugiego na strzępy. Nie mam szansy rzucić się na pomoc Reedowi, bo Russell podnosi mnie i zarzuca sobie na ramię.

Biegnie ze mną w kierunku, który wskazał wcześniej Reed. Trzyma w ręku kluczyki i przyciska guzik od pilota. Rozgląda się za mrugającym światłem i nasłuchuje sygnału dźwiękowego, który wskazałby właściwe auto. Kiedy na chwilę przystaje i patrzy na kolejne rzędy samochodów, słyszę za nami narastający zgrzyt metalu o metal. Unoszę więc głowę, żeby wyrzeć w tamtą stronę i zobaczyć, co się dzieje.

Ale akurat w tej samej chwili Russell również odwraca się w kierunku dobiegających dźwięków, więc nie mogę nic zobaczyć. Słyszę tylko, jak krzyczy „O CHOLERA!”

Skaczemy naprzód w kolejną alejkę samochodów i lądujemy na ziemi akurat w chwili, w której rozbita przez Sebastiana furgonetka koloru morskiego kilkakrotnie dachuje obok nas. W końcu zatrzymuje się, ale już jako kupa poskręcanych kawałków metalu. Wydaje z siebie krótki odgłos klaksonu, po czym milknie na dobre. Russell przez chwilę patrzy na mnie z niedowierzaniem, najwyraźniej szuka wyjaśnienia dla tego, co przed chwilą widział. Moje oczy są otwarte równie szeroko jak jego. Kiwam do niego głową, żeby dać mu znak, że to się dzieje naprawdę, że nie śnimy. Russell zrywa się na nogi. Mnie także podrywa z ziemi. Słyszę za sobą warknięcia, które towarzyszą coraz bardziej zaciętej walce tytanów. Chcę wracać do Reeda i pomóc mu, więc próbuję wyrwać się z uścisku Russella.

– Russell, musimy tam wrócić – błagam, w czasie gdy on ciągnie mnie wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów.

Z drugiej strony parkingu słyszymy przerażający odgłos, który sprawia, że oboje przystajemy. Serce wali mi w piersi, gdy widzę, że jeden z potężnych reflektorów zamontowanych na parkingu na solidnej betonowej kolumnie zwala się na ziemię dokładnie w miejscu, w którym ostatnio widzieliśmy Reeda i Sebastiana. Stojące przede mną samochody zasłaniają mi widok, więc nie mogę nic zobaczyć dokładnie, ale wzdrygam się z powodu koszmarnego odgłosu towarzyszącego roztrzaskiwaniu się lamp. Część parkingu tonie w ciemnościach.

Desperacko próbuję dyskutować jeszcze z Russellem.

– Musimy pomóc Reedowi!

– Ruda, nie ma jak! – rzuca Russell przez zęby. Znów zarzuca mnie sobie na ramiona i zaczyna biec.

Biegnie bardzo szybko wzdłuż alejki samochodów, aż wreszcie dostrzega mrugające światło, którego wypatrywał. Znajduje samochód Reeda, otwiera drzwi po stronie kierowcy i wpycha mnie do środka. Potem każe mi się przesiąść na fotel obok i sam wskakuje do środka. Przez chwilę szamocze się nerwowo, kiedy próbuje znaleźć przycisk automatycznego ustawiania fotela, żeby go przesunąć do tyłu i zyskać trochę miejsca na długie nogi.

– Russell, musimy tam wrócić. Reed został sam z Sebastianem. – Wpatruję się w ciemność przez okno po swojej stronie. Mam nadzieję, że któryś z walczących choćby mignie mi przed oczyma.

– Ruda, nie damy rady mu pomóc... Twój kumpel Sebastian właśnie rzucił w nas furgonetkę. Ruda, furgonetką! Nasza jedyna szansa to ucieczka, bo jak to coś nas dopadnie, naprawdę będziesz jego – zauważa Russell brutalnie.

Obraca się w fotelu, żeby wyrzucić przez tylną szybę, i jednocześnie wrzuca wsteczny bieg. Potem jedynekę, ostro dodaje gazu. Gdy mknie przez plac parkingowy, zostawia ślady opon na jezdni.

– Russell, proszę cię, zawróć, możemy uderzyć w niego samochodem albo czymś innym – błagam, nerwowo wyglądając przez tylną szybę. W ogóle ich nie widzę; może wzbili się w powietrze? Sprawdzam, czy widać ich przez szklany szyberdach.

– Ruda, on ma tyle siły, że potrafi rzucać furgonetkami! Jeśli będzie chciał, bez trudu zatrzyma ten samochodzik. Kim w ogóle jest ten facet i czego on od ciebie chce? – pyta gniewnie Russell, spogląda na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź i mknie z nadmierną prędkością przez miasto. Przejeżdża skrzyżowania na czerwonych światłach i szuka znaków, które kierowałyby nas na autostradę. Oddycha ciężko, a ja podejrzewam, że to bardziej kwestia adrenaliny niż wysiłku, który kosztowała nas ucieczka z parkingu.

– Ma na imię Sebastian i wydaje mi się, że chodziło mu... o mnie. – Trzymam się nerwowo fotela, w czasie gdy Russell dostrzega drogowskaz, który wskazuje wjazd na autostradę, i z piskiem opon skręca za jakiś róg.

– Dlaczego chodzi mu o ciebie? Wyglądał tak, jakby miał duży problem, żeby postawić cię na ziemi. – Znów na mnie patrzy. – Nie możesz nosić tej sukienki, Ruda – kwituje.

Przewracam oczami.

– Mówisz poważnie? – kpię z niego, jestem przekonana, że to nie ma nic wspólnego z moją sukienką, tylko z tym, kim naprawdę jestem.

– Tak, do cholery, całkiem poważnie! Co to za koleś?! I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię, bo z jednym z nich niedawno chodziłaś.

– Russell, nie... – zaczynam, ale nie mogę dokończyć.

– Co „nie”, Ruda? Nie wkurzać się? Nie zadawać pytań? Nie martwić się o ciebie? – strzela we mnie pytaniami jak karabin maszynowy.

– Tak! – ryczę na niego. A potem możliwie spokojnym tonem dodaję: – Russell, posłuchaj, naprawdę nie chciałbyś tego wiedzieć.

Przed nami zapala się czerwone światło i Russell musi gwałtownie hamować, żeby nie walnąć w samochód przed nim. Auto Reeda wpada w boczny poślizg, ale Russellowi udaje się nad nim zapanować. Zatrzymuje się z piskiem opon.

Russell patrzy gniewnie:

– Wręcz przeciwnie, Ruda, ja naprawdę, naprawdę chcę wiedzieć!

– Nie mogę ci nic powiedzieć – mówię cicho.

– Ech, do diabła! Tę samą rozmowę odbywam z tobą od czasu, kiedy się poznaliśmy. – Czekamy na zielone, a Russell wciąż się na mnie wydziera.

– Więc lepiej się do tego już przyzwyczajaj, bo przysięgam: nie mogę ci nic powiedzieć – odpowiadam stanowczo. – Ale jeśli zawrócisz i zawieziesz mnie z powrotem, jestem pewna, że uda ci się samemu uporać z tym problemem.

– I zaryzykować, że to coś znów położy na tobie łapska? – Wciska gaz do dechy, kiedy zmienia się światło. Znajduje wjazd na autostradę i dociska pedał gazu, jakby chciał wyjść poza skalę szybkościomierza.

– Russell... proszę! – błagam go.

– Zamknij się, Genevieve. Nie zawiozę cię tam, cokolwiek powiesz – rzuca takim tonem, jakby rozmawiał z osobą niespełna rozumu. – Słyszałaś tego kolesia? Mówił na ciebie „maleństwo”, jakbyś była jego zwierzątkiem czy czymś takim. Co on ci zrobi, kiedy cię znów dopadnie? – pyta ponuro. – To jedyny sposób, żebym cię przed nim ochronił, i zrobię to, nawet jeśli ci się to nie podoba.

Dzwoni komórka.

– Tak – warczy Russell na przywitanie, potem odsuwa telefon go od ucha. Z głośnika słychać krzyki. Kiedy po tamtej stronie na chwilę zapada cisza, Russell odpowiada: – Evie nie czuła się dobrze, więc odwożę ją do domu. – Znów musi odsunąć telefon daleko od ucha, bo rozlegają się kolejne krzyki. – No dobra, do widzenia. – Rozłącza się. Minę ma ponurą.

– Candace? – pytam cicho.

Zaciska szczęki.

– Tak.

– Wściekła? – dopytuję, bo nagle uświadamiam sobie, że Russell rzucił wszystko, żeby pospieszyć mi z pomocą... Po raz kolejny.

– „Wściekła” to mało powiedziane. – Russell robi kwaśną minę.

– Ale ci wybaczy, co...? – Zaczynam go pocieszać, ale milknę, kiedy z ukosa rzuca mi spojrzenie w stylu: „A jak myślisz?”

– Przykro mi. – Staram się, żeby to brzmiało prawdziwie.

Russell głośno wypuszcza powietrze z płuc i próbuje się uspokoić.

– Wiesz, Ruda, to z Candace skończyło się w tej samej chwili, kiedy wszedłem do holu i zobaczyłem cię w tej sukience. Ona o tym wiedziała, nie musiałem jej nic mówić – stwierdza Russell, nie może na mnie spojrzeć.

– To tylko sukienka. Czy wyście wszyscy powariowali? – pytam sfrustrowana. Spoglądam w dół i widzę, że sukienka przemieściła się niebezpiecznie wysoko, próbuję ją delikatnie ściągnąć w dół.

Russell wzdycha głęboko jak ktoś, kto szykuje się, żeby w prosty sposób wyjaśnić skomplikowane zagadnienie.

– Nie chodzi o sukienkę – mówi, tym razem spoglądając na mnie. – Ruda, wiem, że nie znasz się za bardzo na mężczyznach, ale czasem, kiedy człowiek tak na kogoś spojrzy, czuje się, jakby dostał czymś po głowie, i zaczyna dziękować Bogu, że na świecie istnieje takie piękno, a on ma szczęście i może je oglądać.

– Proszę cię... – próbuję zaprzeczyć jego słowom i czuję, że oblewam się rumieńcem.

– Mówię poważnie. Człowiekowi wydaje się, że nie ma takiej rzeczy, której by dla takiego piękna nie zrobił. Nie sądziłem tylko, że przyjdzie mi tak szybko sprawdzić, ile ta obietnica jest warta – mówi.

– Russell, jesteś chory. A następnym razem, kiedy przydarzy ci się coś takiego, chcę... nie, raczej spodziewam się, że pobiegniesz w inną stronę.

– O co ci chodzi z tym następnym razem? Czy o to, że możemy się częściej spodziewać takich historii? – pyta ponuro.

Kiwam głową, a Russell przez chwilę milczy. Siedzę nieruchomo w fotelu pasażera i czuję, jak zapadam się w sobie ze strachu o Reeda.

– Wiesz, zawsze byłem zadowolony ze swojej siły. Nie twierdzę, że jestem najsilniejszy spośród żyjących ludzi, ale na pewno silniejszy od większości. Nie znałem uczucia słabości, zanim nie poznałem ciebie. Patrzyłem na tego Sebastiana, który porusza się jak czarny charakter z jakiegoś komiksu, a potem widziałem Reeda... Rzucił nim jak piłką... – Russell zamilkł i zamyślił się. – Reed nie był zaskoczony, że Sebastian się tam zjawił, prawda? Był spokojny, jakby chodziło o jakieś sprawy służbowe, kolejny dzień w biurze, tyle że tamten dziwoląg cię pocałował. – Russell kończy poprzednią myśl i patrzy na mnie, jakby chciał zbadać moją reakcję na swoje słowa.

Odwracam od niego wzrok. Uświadamiam sobie, że powoli zaczyna składać wszystkie kawałki w całość, i zastanawiam się, ile czasu będzie potrzebował, żeby to wszystko do końca rozgryźć. I co zrobi, kiedy już to zrozumie?

Znów dzwoni jego komórka. Russell patrzy na wyświetlacz i podaje mi telefon.

– To do ciebie.

Chwytam telefon, jakby to była lina ratownicza.

– Halo? – rzucam niespokojnie.

– Evie. – Reed powtarzał, że wszędzie poznałby mój głos. Podobnie jak ja poznaję jego.

– Reed – mówię zdławionym głosem. Przeżył... dzięki ci, Boże – modłę się i osuwam na oparcie fotela.

– Wszystko w porządku – mówi Reed krótko, a ja wiem, co to oznacza: Sebastian nie żyje.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc i próbuję się uspokoić. Trzęsie mi się ręka, z trudem utrzymuję telefon przy uchu.

– Kto... co to był za jeden? – pytam, bo nie wiem, czy Reed przypadkiem nie zabił właśnie bożego anioła, żeby mnie ratować. A jednocześnie wiem, że Russell słucha naszej rozmowy.

– Upadły. – Reed rozumie, o co mi chodzi.

– Tak mi przykro, Reed, ja... – Wybucham płaczem, nie potrafię tego powstrzymać.

Głos Reeda brzmi miękko i słodko.

– Cii, wszystko w porządku, Evie. Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie będzie... już nigdy nie będzie dobrze – szepczę w telefon.

– Będzie. Zaufaj mi.

– Kiedy wracasz? – pytam go. Pragnę go zobaczyć, dotknąć, upewnić się, że nic mu się nie stało.

– Dziś w nocy. Późno... Muszę tu powyjaśniać różne szczegóły.

– Będę mogła się z tobą zobaczyć? – pytam, ale nie dostaję odpowiedzi.

– Pozwól mi porozmawiać z Russellem – mówi zamiast tego, a ja rozumiem, że nic między nami się nie zmieniło. Nadal jest po prostu moim ochroniarzem, nikiem więcej.

Wręczam telefon Russellowi z poczuciem całkowitej klęski. Russell wysłuchuje tego, co przekazuje mu Reed, po czym spogląda na mnie. – Odwiozę ją do domu. Zajmę się nią.

Rozdział 17

Wojna z Deltami

Sytuacja wraca do stanu sprzed przyjęcia organizowanego przez Deltę, tyle że teraz Russell pilnuje mnie bardziej starannie, a Reed, jeśli to w ogóle możliwe, trzyma się na większy dystans. Próbuję z nim porozmawiać o tym, co wydarzyło się na przyjęciu, szczególnie o Sebastianie, ale Reed urywa wszelkie rozmowy. Chcę od niego odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Skąd Sebastian tak szybko dowiedział się, gdzie jestem? Czy wysłałam jakieś sygnały? Co mogę zrobić, żeby taka sytuacja nigdy się nie powtórzyła?

W głębi duszy wiem, że nie da się nic zrobić. Taka po prostu jestem i nie zdołam tego odmienić. Jeśli mam być szczerą, najbardziej pragnę, żeby Reed wziął mnie za rękę i przemówił do mnie w swoim anielskim języku – po to, żeby strach, który mnie przytłacza, nie niszczył mnie jeszcze bardziej. Ale Reed nie ma ochoty przemawiać do mnie w żadnym języku, więc muszę udawać, że wszystko ze mną w porządku.

Russell jest wobec mnie tak opiekuńczy, że już bardziej się nie da. Jego troska jest dla mnie bardzo przyjemna. Russell znajduje na przykład powody, żeby codziennie przejść obok sali, w której mam ostatnie zajęcia, tak żeby mógł mnie potem odprowadzić do akademika. Jest też bardzo zatroskany za każdym razem, kiedy musi się wybrać do innego miasta, bo gra wyjazdowy mecz. Chyba coś uzgodnił z Freddie, bo zawsze, kiedy musi wyjechać, w pobliżu pojawia się Freddie, który obserwuje mnie jak opiekunka do dziecka.

Wiem, że powinnam coś zrobić, żeby Russell i Freddie zostawili mnie w spokoju, bo mój nocny koszmar staje się za dnia coraz bardziej niepokojący. Próbuję wytłumaczyć Russellowi, że ciągle przebywanie w mojej obecności nie jest dla niego bezpieczne, ale on żąda wtedy informacji, których nie mogę mu przekazać. Jest zdecydowany pomóc mi, choć ja wiem, że nie ma na to szans.

Zauważam, że Russell przypatruje mi się, kiedy wydaje mu się, że nie jestem tego świadoma. Jest to właściwie dość śmieszne: z każdym dniem coraz precyzyjniej zdaję sobie sprawę z tego, co dzieje się w moim otoczeniu. Widzę wszystko wokół siebie z większą jasnością. Rzeczy są wyrazistsze, obraz lepiej wyostrzony. Także inne zmiany, które we mnie zachodzą, stają się coraz wyraźniejsze, szczególnie jeśli chodzi o zdolności poznawcze. Nie muszę już tak bardzo koncentrować się na zajęciach, żeby przyswajać sobie informacje, które przekazują wykładowcy. Mogę słuchać jednym uchem, a i tak wszystko do mnie trafia. Jeśli ktoś mnie o to później poprosi, potrafię wszystko powtórzyć słowo w słowo. Dzięki tym umiejętnościom zimowa sesja egzaminacyjna staje się niemal rozrywką – o ile cokolwiek jest jeszcze w stanie mnie rozerwać.

Ponieważ nie muszę koncentrować się na pracy związanej ze studiami, mam zbyt dużo czasu na obsesyjne rozmyślanie o innych swoich problemach. Często chodzę po pokoju, niecierpliwie poszukuję jakiegoś obiektu, na którym mogłabym skupić energię, żeby mój własny umysł nie zamęczał mnie niezliczonymi scenariuszami „co by było gdyby”. W jednej chwili potrafię znaleźć się na korytarzu i bębnić w drzwi Buns i Brownie.

– Skarbie, co się dzieje? – pyta Buns, otwierając mi drzwi.

– Zaczyna się – rzucam krótko. – Idziemy tam we środek.

– Skarbie, jesteś pewna? – upewnia się podniecona, nie chce nawet wiedzieć, co się zaczyna. Instynktownie wie, że mówię o naszym planie kradzieży zbiorczej tablicy pamiątkowej i rozpoczęciu wojny z Deltami.

– Tak, jestem pewna. Zdążycie się przygotować? – pytam, kiedy Brownie również podchodzi do drzwi.

– Och, skarbie, my już jesteśmy gotowe! Brownie, zaczyna się! – mówi Buns z przejęciem do swojej współlokatorce.

– Tak! – śmieje się Brownie i łapie Buns za rękę; obie zaczynają krzyczeć i podskakiwać jak potępieńcy wokół ognia.

– Mam pomysł, jak mogłybyśmy zakończyć wojnę – mówię. – Wiecie, że Delty rządzą w tym tygodniu bal przebierańców?

– Tak, zastanawiamy się od jakiegoś czasu, za co się przebierzemy – mówi Brownie.

– Ja się tym zajmę. Zostawcie to mnie.

Zaczynamy snuć szczegółowe plany dotyczące wojny. Jeżeli znajdujemy chwilę, której nie spędzamy na zajęciach, poświęcamy się przygotowaniom do środy. Dziękuję losowi za każdą okazję, która pozwala mi przestać myśleć o Reedzie. Środowy wieczór nadchodzi szybko, a my jesteśmy gotowe. Czarne stroje, które zamówiła Buns, wyglądają w każdym szczególe profesjonalnie. Buns podrzuca nas autem do miejsca odległego o jedną przecznicę od budynku korporacji Delta.

– Okej, Buns, spotkamy się z tobą przy akademiku McIntyre’a. Jeśli będziemy się musiały rozdzielić, Brownie pójdzie do McIntyre’a, a ja w stronę wieży zegarowej przy Gmachu Głównym – powtarzam ustalenia planu. – Jesteś gotowa, Brownie? – Moja koleżanka wygląda bardziej jak jakaś seryjna morderczyni niż studentka drugiego roku.

– Ruszamy. Musimy mieć oczy dookoła głowy – mówi Brownie, gdy wysiadamy z samochodu. Trzyma w ręku nylonowy pokrowiec na tubę z projektami graficznymi, którego używamy do przetransportowania całego sprzętu potrzebnego przy wykonaniu zadania.

Staramy się trzymać zacienionych miejsc i biegniemy do budynku Delta. Kucamy za krzewami rosnącymi pod oknem sali bilardowej i zaczynamy w nim demontować siatkę zabezpieczającą przed owadami. Wcześniej Buns odwiedziła JT i z myślą o nas odblokowała okno, które zostawiła otwarte. Zaglądam szybko do środka i dobiegają mnie przy tym odgłosy spotkania, które odbywa się w piwnicy. Słyszę wszystko tak, jakbym stała pod drzwiami pomieszczenia poniżej poziomu parteru z przyciśniętym do nich uchem.

Składam z dłoni coś na kształt schodka i podsadam Brownie, żeby mogła wejść przez okno. Podaję jej futerał na tubę, potem z kolei ona wyciąga rękę w dół w moim kierunku, żeby pomóc mi wejść przez okno. Chwilę później wyciąga z pojemnika miniaturową latarkę oraz śrubokręt na baterie. Brownie świeci mi latarką, a ja odkręcam śruby i wyjmuję tablicę z ramy. Sięgam do tuby i wysuwam z niej zastępczy plakat, który przyniosłyśmy ze sobą. Wkładamy go w ramę i zawieszamy wszystko z powrotem na ścianie.

Następnie wyjmujemy z torby samoprzylepne karteczki z ocenami poszczególnych członków korporacji Delta i naklejamy je na tablicy pamiątkowej. Brownie robi aparatem cyfrowym kilka zdjęć tablicy wraz z przyczepionymi ocenami. Chowamy aparat do tuby, a ja wyjmuję z niej następny plakat, na którym zapisałyśmy różne wskazówki na temat tego, gdzie Deltę mogą szukać swojej tablicy.

Wychodzę na palcach na korytarz i docieram do pomieszczenia gospodarczego, w którym przed kilkoma tygodniami chowałam się przed Russellem. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Za pomocą dwustronnej taśmy klejącej przyklejam plakat ze wskazówkami do tylnej ściany. Kiedy kończę, słyszę uderzenie młotka osoby prowadzącej obrady w piwnicy, które świadczy o tym, że spotkanie zostało przerwane. Aha – myślę sobie. Otwieram drzwi szafy i ruszam szybkim krokiem przez korytarz.

– Hej! – gniewnie brzmiący męski głos woła od strony klatki schodowej, która prowadzi do piwnicy.

Otwieram drzwi do sali bilardowej i zatrzymuję je za sobą.

– Spadamy!

Brownie czeka już na mnie przy oknie. Wyskakuje, a ja najpierw przewieszam sobie przez plecy pasek od futerału na tubę, żeby go zabezpieczyć, i także skaczę z okna.

– Rozdzielamy się. Ja do Głównego, ty do Maca – szepczę, a Brownie kiwa głową.

Ruszamy biegiem w przeciwnych kierunkach. Sala bilardowa zapełnia się wściekłymi Deltami. Słyszę, jak komentują plakat, który im zostawiłyśmy w ramie po tablicy. Narysowałyśmy na nim typową emotkę – żółtą buźkę z napisem „Miłego dnia!”. Tyle że od naszej buźki Deltę wpadają w szal.

Biegając przez wieczorny mrok, nie mogę stłumić śmiechu, który wydobywa się z głębi mojego wnętrza. Triumf nie trwa jednak długo, bo uświadamiam sobie nagle, że ruszyła za mną pogoń. Z parkingu Delt słyszę odgłosy uruchamiania kilku samochodów, trzask zamykanych drzwi i pisk opon. Trasa mojej ucieczki w stronę Gmachu Głównego miała prowadzić blisko drogi, co uczyniłoby mnie świetnym obiektem do śledzenia samochodem. Dochodzę do wniosku, że nie dam rady o własnych siłach dotrzeć tamtędy do celu, bo wcześniej dopadną mnie auta. Albo muszę się schować i poczekać, aż mnie miną, albo znaleźć jakiś skrót. Gorączkowo omiadam wzrokiem okoliczne budynki w poszukiwaniu kryjówki.

Patrzę przez ramię za siebie i widzę, że powoli zbliża się do mnie samochód pełen facetów z korporacji Delta. Po obu stronach auta pojawiają się snopy światła pochodzące od latarek, oświetlające krzaki i żywopłoty. Przeszukują dokładnie całą okolicę, więc muszą na mnie natrafić.

– Tam jest! – krzyczy ktoś z auta jadącego za mną.

Czuję strach, który narasta z każdym uderzeniem serca. Trzymam opuszczoną głowę, robię jeszcze kilka kroków, aż po chwili uświadamiam sobie, że coś się zmieniło. Czuję się lekka niczym powietrze, jakby grawitacja przestała wywierać na mnie taki efekt jak jeszcze kilkanaście sekund wcześniej. Moje kroki stają się coraz dłuższe, a stopy poruszają się tak szybko, że trudno je odróżnić. Mam też poczucie, że również moje kości zrobiły się lżejsze. Wszystko to razem sprawia wrażenie, że kraty w klatce, którą znałam zawsze jako własne ciało, zniknęły i mogę swobodnie wydostać się na wolność.

Nabieram głęboko powietrza i rozglądam się. Sceneria wokół mnie zmienia się tak szybko, że wpadam w panikę i staję jak wryta. Dyszę ciężko, ale nie ze zmęczenia, tylko z wrażenia, jakie wywołała we mnie wyzwolona moc. Próbuję oddychać wolniej, żeby się uspokoić. Całe moje ciało jest przepelnione energią i drży; z trudem przychodzi mi okiełznanie siły, która pcha mnie do przodu. Widzę, że gęszcz samochodowych świateł się zbliża. Staram się opanować przyływ mocy, która daje mi energię, i próbuję poruszać się

wolniejszym, bardziej ludzkim krokiem, ale po kilku sekundach znów zaczynam nabierać coraz większej prędkości.

Kątem oka dostrzegam, z jak ogromną prędkością zmienia się sceneria wokół mnie, natomiast gdy patrzę przed siebie, mój wzrok wylapuje i ocenia wszystkie przedmioty i szczegóły znajdujące się przede mną. Wydaje mi się, że przebiegam kilka kroków, a pokonuję odległość jednej przecznicy. Wiem dokładnie, gdzie zaparkowany jest każdy samochód, gdzie stoi każdy znak drogowy, znam każdą nierówność chodnika i potrafię z niezwykłą precyzją omijać wszystkie przeszkody. Obrazy przed oczyma są absolutnie klarowne; lepszym słowem byłoby „nieskazitelne”. Widzę równie dobrze jak za dnia, jedynie różnice między poszczególnymi kolorami są nieco przytłumione.

Widzę po ciemku! Łapię powietrze i przypatruję się nocnemu niebu. Wydaje mi się, że gwiazdy są bardzo blisko, wszystko migoce mimo braku światła, jakbym była w stanie dostrzec ciepło promieniujące z przedmiotów, które znajdują się w polu mojego widzenia.

Patrząc do tyłu na jadący za mną samochód, widzę wściekłe twarze Delt. Są zdenerwowani, bo mignęłam im przed oczami kilka chwil wcześniej, a teraz przestali mnie widzieć w świetle samochodowych reflektorów. Na moich ustach pojawia się lekki uśmiech, a ciało rwie się naprzód z ogromną prędkością. Z każdym krokiem coraz lepiej uzmysławiam sobie, że nawet wiatr nie jest w stanie mnie dogonić. Wyobrażam sobie, jak Delty interpretują to, co widzą, i jak tłumaczą fakt, że najwyraźniej zdematerializowałam się na ich oczach.

Śmieję się i przyspieszam jeszcze, a mój niedawny strach znika bez śladu. Chcę się przekonać, jak daleko i jak szybko dam radę pobiec; na razie nie mam nawet zadyszki. Biegnę przez miasto niczym rakieta, która przelatuje bezgłośnie nad pustynią. Dźwięk świszającego wokół mnie wiatru jest zachwycający. Unikam zderzenia ze wszystkimi ludźmi, którzy idą chodnikiem, omijam ich szerokimi łukami, ale w pewnej chwili uświadamiam sobie, że pozostawiam za sobą silny podmuch powietrza, który uderza w kolejne osoby i przyprawia je o zdumienie.

Biegnę nad jezioro, potem okrążam je i zauważam wszystkie żywe stworzenia, które patrzą na mnie, gdy mijam je w mroku nocy. Chciałabym już zawsze tak biec. Biec i nie oglądać się za siebie. Przypominam sobie jednak, że Buns i Brownie mają czekać na mnie przy Gmachu Głównym, więc niechętnie zawracam i biegnę w stronę kampusu. Droga nad jezioro zajęła mi niewiele ponad dziesięć minut. Z tą samą prędkością pokonuję drogę powrotną, a wszystkie pojawiające się przeszkody omijam z łatwością...

Kiedy docieram do Gmachu Głównego, przepełnia mnie radość. Starą ceglana wieżę zegarową, obrośniętą bluszczem do wysokości kilku pięter, widzę z najdrobniejszymi szczegółami, jakby to był dzień. Wchodzę po schodach prowadzących na szeroką werandę, ale teraz wcale nie wydaje mi się, żeby to była dobra kryjówka, bo widzę wszystko z niezwykłą ostrością. Po namyśle wybrałyśmy to miejsce na punkt zbiórki, bo w nocy stary budynek pogrążony jest w ciemności. Muszę sobie powtarzać, że nikt inny nie może mnie tu dostrzec, bo nikt nie ma tak dobrego wzroku jak ja.

Kiedy siedzę w ciemności na werandzie, patrzę przez duże białe słupki balustrady. Tak pewnie musi się czuć kot, który wychodzi na łowy w ciemnościach nocy. Rozglądam się za Złotą Gęsią, która ma podjechać na parking; wtedy będę mogła zejść na dół i spotkać się z dziewczynami.

– Czego szukasz? – odzywa się tuż obok mnie głęboki męski głos.

Z ust wyrzywa mi się okrzyk przerażenia. Odwracam się w stronę, skąd dochodził, i widzę obok siebie młodego mężczyznę. Jeszcze chwilę wcześniej nie zauważyłam w tym miejscu nikogo, a jednak tam jest, siedzi i śmieje się do mnie, jakby sam też był zaskoczony.

– O mój Boże! – Gwałtownie od niego odskakuję.

Ma w sobie coś dziwnego; jest blady, ubranie wygląda nietypowo, jakby brał udział w rekonstrukcji historycznej jakiegoś wydarzenia z dziewiętnastego wieku. Wstaję i nerwowo wyciągam przed siebie oba ramiona, żeby go powstrzymać, gdyby wykonał jakiś ruch w moją stronę.

– Nie zbliżaj się! – wydaję komendę i wycofuję się po schodach; jestem zdecydowana uciekać, gdy tylko moje stopy dotkną chodnika.

Mężczyzna nie rusza się, tylko wpatruje się we mnie i nieustannie się uśmiecha, jakby przypomniał sobie jakiś żart, który go rozśmiesza. Nie mam jednak szansy uciec, bo dokładnie w chwili, w której docieram na najniższy stopień, zostaję unieruchomiona w czymś uścisku.

– Dobrze się bawisz? – pyta Reed tonem, który nie zostawia żadnych wątpliwości, że on nie bawi się dobrze.

– Reed! Przestraszyłeś mnie, nie rób tego! – mówię w złości, mam ochotę przywalić mu pięścią. – Myślałam, że jesteś tu razem z tym facetem na górze – dodaję i z opóźnieniem zaczynam czuć w brzuchu motyle.

– To ty widzisz Willa? – Reed wzmacnia uścisk na moich ramionach. Jest zaintrygowany; na chwilę porzuca swój gniewny grymas.

– Willa? Oczywiście, że go widzę, siedział tuż obok mnie. Kiedy się rozejrzałam, znalazł się tam w jakiś niezrozumiały sposób. Przeraził mnie! – mówię nieufnie, po czym odwracam się, żeby sprawdzić, co Will robi na werandzie, ale Willa już nie ma. – On tam był! Widziałam go! Pytał mnie, czego szukam – usiłuję wyjaśnić Reedowi. – Ma długie jasne włosy, jak surfer, i bokobrody, które wyglądają jak baranie kotlety.

– Tak, to Will. Mieszka tutaj – mówi Reed i wskazuje głową Gmach Główny; w jego głosie wyraźnie wyczuwam podekscytowanie.

– Co masz na myśli? Jak to mieszka tutaj? Nikt tu nie mieszka. To budynek administracyjny – stwierdzam, marszcząc czoło.

Reed opuszcza ręce i uwalnia mnie z uścisku.

– Jeżeli jesteś w stanie zobaczyć Willa, to znaczy, że twój wzrok się poprawia – mówi.

Pocieram czoło palcami.

– A co ma wspólnego mój wzrok z facetem na werandzie? – pytam niepewnie. W tej samej chwili widzę światła samochodu, który zbliża się do parkingu przy Gmachu Głównym. Schylam się gwałtownie i ciągnę Reeda za koszulę, biegnę w stronę krzewów rosnących obok budynku. Reed biegnie za mną, ale wcale nie próbuje się chować ani w żaden inny sposób uniknąć zwracania uwagi.

– Evie, co ty tu robisz sama w nocy? – pyta mnie, mrużąc oczy. W jego głosie znów wyraźnie słychać irytację.

Unoszę brwi.

– Nic. Wieczór był ładny, więc pomyślałam, że się przejdę – odpowiadam i do swego kłamstwa dodaję wzruszenie ramionami, żeby wyglądało bardziej przekonująco.

– Poszłaś na spacer w nocy w czarnym ubraniu, z tym futerałem przymocowanym do pleców?

– Powiedziałaś, że znasz tego dziwnego faceta na werandzie. Kto to jest? – unikam odpowiedzi na pytanie Reeda. Przybliżam się do budynku, kiedy widzę, jak zbliżają się światła kolejnych samochodów.

– Will jest duszą – mówi Reed w typowy dla siebie sposób, czyli tak, żeby użyć jak najmniej słów. Obserwuje mnie i przesuwają się razem ze mną, znów z grymasem na twarzy.

– Wiesz co? Jesteś strasznie skąpy, jeśli chodzi o słowa. Musisz nad tym popracować, bo zaczyna mnie to naprawdę wkurzać. – Próbuję zrozumieć to, co przed chwilą usłyszałam. A jednocześnie staram się, żeby mnie nie odnaleźli wściekli faceci z bractwa Delta.

– No dobrze, więc wytłumaczę ci to. Will jest martwy. Umarł już dawno temu. Nie ma fizycznego ciała, jest wyłącznie duchem – mówi Reed wyraźnie na skraju irytacji.

– Will jest duchem? – pytam całkiem już wyprostowana, nagle zapominam o chowaniu się. Wpatruję się w twarz Reeda, mam nadzieję, że się ze mną droczy. Ale jego mina jest całkiem poważna, a ja się zastanawiam, czy moje życie może stać się jeszcze bardziej odrażające.

– Tak – potwierdza Reed. – Te istoty chyba najbardziej lubią, żeby nazywać je duszami, ale na razie może być i duch.

– No tak, oczywiście. Powinniśmy być w tej sprawie politycznie poprawni. – Dygoczę. – Co on tu robi?

Reed odwraca się w stronę werandy.

– Will trochę się pogniwał na Boga za to, że przeżył wojnę tylko po to, żeby wrócić do domu i umrzeć na cholerę, krótko przed swoim ślubem – wyjaśnia.

– Z której wojny wrócił? – dopytuję, staram się wypatrzeć Willa w którymś z okien Gmachu Głównego.

– Z secesyjnej.

– No jasne... z wojny secesyjnej. A czego ja się spodziewałam? – mamroczę z ironią. Staram się opanować szok po tym, jak uświadomiłam sobie ciemną stronę swoich nowych umiejętności. – Cóż, to brzmi całkiem rozsądnie. Ja na miejscu Willa też bym się trochę

wkurzyła... Więc mówisz, że Will nie może dostać się do Nieba, bo jest zły na Boga? – Odnoszę wrażenie, że to bardzo surowy wyrok.

– Nie, Will będzie mile widziany, kiedykolwiek zechce się tam udać. Ale on się na to nie zdecydował – wyjaśnia Reed ze spokojem, jakbym była marudnym dzieckiem.

– Och, więc taki jest uparty? – Mam lekkie wyrzuty sumienia, że wyciągnęłam niewłaściwy wniosek.

– To widać częste wśród ludzi w tych okolicach – odpowiada Reed.

– Czy zobaczę jeszcze kolejne duchy...? To znaczy dusze, takie jak Will?

– Tak.

Mrużę oczy i pytam ze złością:

– I nie wydawało ci się, że powinnam się tego dowiedzieć, zanim się na taką duszę natknę?

– Evie, one są jak większość ludzi – próbuje wyjaśniać Reed, ale ucinam jego tłumaczenia.

– Nie, Reed, nie są jak większość ludzi. Większość ludzi, jakich znam, nie jest martwa. Można wyczuć ich puls... oddychają, są widzialni dla innych.

– Nie przyszedłem tu dzisiaj, żeby dyskutować z tobą o duszach – wzdycha i ignoruje moje argumenty.

– Więc dlaczego tu jesteś? – zastanawiam się. Cała moja złość znika natychmiast, kiedy uświadamiam sobie, że od czasu przyjęcia jest to moja pierwsza okazja, żeby porozmawiać z Reedem, a ja ją tak marnuję.

– Sprawdziałem cię. Dzisiaj brzmiałaś jakoś inaczej – mówi łagodnym tonem. Widzę, że przykładła dłoń do czoła, pociera je.

– Brzmiałam... Czy ty...? Coś ty robił? Znowu słuchałeś mojego serca? – pytam i uśmiecham się do niego, widząc, jak marszczy brwi.

– W pewnej chwili byłaś naprawdę przerażona, a potem...

– Co było potem? – zadaję kolejne pytanie cichym głosem i wpatruję się w jego twarz w poszukiwaniu jakichś poszlak.

– Twoje serce zaczęło... śpiewać – mówi i jego wzrok całkiem mięknie.

– O? Och... Reed, musisz to zobaczyć. Tutaj. – Wciągam go za narożnik Gmachu Głównego. – Stój tutaj, nie ruszaj się.

Odwracam się od niego i przyjmuję startową pozycję sprintera.

– Popatrz! – Wołam przez ramię.

A potem wystrzeliwuję jak z bloków startowych z taką prędkością, z jaką jasny piorun przetacza się przez ciemne niebo. Przebiegam obok biblioteki, potem zawracam i śmigam z powrotem. Czuję pęd powietrza we włosach i widzę, jak sceneria wokół mnie przesuwa się niezwykle szybko. Całą pętlę przebiegam w zaledwie kilka sekund. Zbliżając się do Reeda, zwalniam, po czym skaczę na niego z nadzieją, że mnie złapie.

Kiedy to robi, zarzucam mu ramiona na szyję.

– I co ty na to?

– W twoim języku na coś takiego nie ma słów – odpowiada łagodnie, po czym całuje mnie mocno i namiętnie. O takim pocałunku marzyłam przez ostatnie tygodnie.

Kiedy odwzajemniam ten pocałunek, całe moje ciało wtapia się w Reeda. Jego uścisk jest tak dziki, jakby Reed całkiem stracił kontrolę nad sobą, więc staram się wykorzystać ten moment.

– Tak za tobą tęskniłam, Reed – szepczę do jego warg. – Nie zrezygnuję z ciebie. Nie potrafię.

– To tak nie działa. – Odwraca głowę, kiedy zaczynam całować jego szyję. – Czasami dostajemy to, o czym marzymy. A czasami każe nam się poświęcić to, czego chcemy – mówi Reed chłodno i trzyma mnie mocno w ramionach.

Przestaję go całować. Prostuję się, wpatruję się znów w jego ciemnozielone oczy.

– Ale to jest okrutne – szepczę nieufnie.

Reed wybucha wymuszonym śmiechem.

– Spytaj Willa, czy okrutna była jego śmierć tuż przed ślubem. I spytaj go jeszcze, czy dobrze się bawił, widząc, jak ukochana wychodzi za jego najlepszego przyjaciela. Może wtedy zaczniesz rozumieć, jaki jest sens moich słów – wyjaśnia, zwalniając uścisk i stawiając mnie przed sobą na ziemi.

Patrzę na niego błagalnie.

– Nie masz racji, udowodnię ci to. Choćby to było nie wiem jak trudne. To ty jesteś mi przeznaczony.

– Nikt bardziej niż ja nie chciałby się mylić – odpowiada Reed zmęczonym głosem. – Wszystko w tobie przemawia do mnie. Twoja skóra błaga mnie, żebym jej dotykał, a kiedy to robię, działa na mnie jak narkotyk i chcę jej więcej i więcej. Jesteś jak rana, która się nigdy nie goi. Bez przerwy krwawię. – Reed uwalnia się z moich objęć. Delikatnie popycha mnie w kierunku frontu budynku. – Lepiej się pospiesz. Twoje przyjaciółki czekają na ciebie na parkingu, a poza tym słyszę, że nadjeżdża samochód Remy’ego pełen wściekłych chłopaków z bractwa.

– Nie dbam o to – mówię, ale Reed mi przerywa.

– Evie, muszę już iść. Nie powinienem był tu dziś przychodzić... Nie mogłem się powstrzymać, kiedy usłyszałem twoje serce – dodaje, odwraca się ode mnie i w jednej chwili znika.

– Reed! – krzyczę, ale on nie wraca. – Ty mnie przecież kochasz...

Z trudem biorę się znowu w garść. Widzę, że Buns i Brownie czekają na parkingu. Wskakuję na tylne siedzenie.

– Remy nadjeżdża – mruczę. – Lepiej już ruszajmy.

Buns opuszcza parking niezauważona, a ja w tym czasie przebieram się w zwykłe ciuchy. Jedziemy do biblioteki, tak jak planowałyśmy, i wysyłamy stamtąd zdjęcia z żądaniem okupu na adres webmastera bractwa Delta, używając zmyślonych nazw użytkowników poczty.

Wracamy do naszego akademika i żegnam się na noc z dziewczynami. Przez chwilę jeszcze nie śpię, bo próbuję wymyślić, jak mogłabym pokazać Reedowi, że nie ma racji. Jak go skłonić, żeby dostrzegł, że Russell i ja nie możemy być razem, że to właśnie on i ja jesteśmy dla siebie stworzeni?



– Co za banda jęczących maminsynków! – Brownie ciska gromy, kiedy nazajutrz spotykamy się w jej pokoju po zajęciach. – Naprawdę nie sądziłam, że poskarżą się administracji. Przecież sami, do cholery, robią nam takie numery każdego roku!

– Skarbie, mówiłam ci, że nie powinnyśmy dawać Remy’emu czterech punktów. On jest ich prezesem, a myśmy go całkiem zmasakrowały – Buns delektuje się każdym szczegółem tej opowieści.

Ona i Brownie zostały wezwane na dywanik przez dziekana do spraw studentów, bo Delty złożyły donos w sprawie kradzieży tablicy pamiątkowej, w którym obie dziewczyny zostały wymienione jako podejrzane. Buns opowiada teraz o najdrobniejszych detalach przesłuchania u dziekana Andrews. Nie zdołał ich skłonić do przyznania się, więc musiał je wypuścić jedynie z ostrzeżeniem.

– No nic, i tak nadeszła pora na wymierzenie im karmicznej kary. Cały akademik jest już gotów – oznajmia Buns.

– Dobra, szykujcie się i ruszamy. – Brownie mocniej zaciska na udzie pasek od kabury na pistolet maszynowy do paintballu.

Na tę okazję zaopatrzyłyśmy się w dopasowane spodnie kamuflażowe i koszulki. Brownie wygląda świetnie w tym stroju. Wręcza mi barwione na żółto okulary do paintballu, które dopełniają mojego ekwipunku. Idziemy do Złotej Gęsi i wyjeżdżamy w kierunku jeziora Arden, a ja sprawdzam w drodze, czy mój paintballowy pistolet jest odpowiednio zabezpieczony. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, widzę, że okopy na piaszczystej plaży zostały już przygotowane, a wzdłuż nich w regularnych odstępach ułożono stosy amunicji. Buns i Brownie wygłaszają porywającą mowę o zapłacie należnej za system oceny studentek, po której dziewczyny kipią z wściekłości. Sprawdzam, czy mam w plecaku dostateczne ilości paintballowej amunicji, i zajmuję miejsce w okopie między Buns i Brownie.

Delty okazują się przebiegłymi przeciwnikami. Uświadamiamy to sobie, gdy obserwujemy samochody pełne młodych facetów, przybywające na plażę. Skaptowali i włączyli w swoje szeregi chyba wszystkich chłopaków z pierwszego roku, jakich udało się znaleźć, żeby pomogli im w walce z nami. Niemile z ich strony jest też to, że wykorzystują pierwszoroczniaków jako mięso armatnie, rzucając ich na nas na początku bitwy, żebyśmy wyżyły się amunicją, zanim oni sami przystąpią do walki.

– Tchórze! – szydzi z nich Brownie, wybijając paru pierwszorzoczników, których ma przed sobą. – Musimy ruszyć się z okopów, bo inaczej będziemy trafiać tylko w pierwszorzocznych – krzyczy do Buns i do mnie, a potem odwraca się do pozostałych dziewczyn i wydaje rozkaz szturm na plażę.

Wyskakujemy z okopów i biegniemy po plaży w kierunku Delt, ale po drodze zdajemy sobie sprawę, że tamci dobrze przygotowali swoje karabinki. Na plaży szybko zaczyna panować zamęt. Wyostrzony wzrok daje mi ogromną przewagę nad wszystkimi innymi. Jestem w stanie ulokować kulkę pełną farby na ciele każdego, na kogo przyjdzie mi ochota. Udaje mi się kilka razy trafić Remy’ego w pierś i dwa razy w rękę, którą trzyma na spuście karabinka. Musiał po tych strzałach rzucić broń i biec z powrotem na parking, żeby się schować.

Niestety, zobaczyłam też, kto podniósł porzucony karabinek Remy’ego. Russell kieruje go w moją stronę i ze złośliwym uśmiechem na twarzy częstuje mnie gradem kul, który spada na mnie jak ryż na ślubie. Udaje mi się wystrzelić kilka razy, ale potem muszę się wycofać. Staram się załadować amunicję, ale nie ma sposobu, żebym mogła to zrobić spokojnie, bo Russell sunie tak długimi krokami, że dopadnie mnie w kilka sekund. Gdybym tylko mogła wykorzystać swoją szybkość i uciec! Ale nie wolno mi się zdradzić z moimi umiejętnościami, więc jestem na przegranej pozycji.

Prawie udaje mi się uciec z plaży i dobiec do opuszczonego miejsca piknikowego, ale w pewnej chwili ktoś rzuca się na mnie od tyłu i przewraca miękką na piasek. Upadek nie boli, więc leżę na ziemi i śmieję się, a Russell puszcza moje nogi, które złapał ramionami, gdy za mną biegł. Przekręca mnie na plecy, odbiera mi pistolet i rzuca go w piasek. Patrzy na mnie triumfującym wzrokiem, tak jak i ja pokryty od stóp do głów plamami farby.

– Poddaj się – mówi z silnym południowym akcentem.

– Nigdy. – Ze śmiechem zastanawiam się, kto go tu sprowadził.

– Ach, więc trzeba cię poddać torturom, prawda? – pyta i zaczyna mnie łaskotać bez opamiętania.

– Litości! – krzyczę i wciąż chichoczę. – Zrobię wszystko, tylko przestań!

– Wszystko? No, Ruda, sama tego chciałaś – I nie dając mi szansy, żeby się sprzeciwić, Russell nachyla się i przyciska swoje wargi do moich w głębokim gorącym pocałunku, który kompletnie zaskakuje mnie swoją intensywnością.

Przez kilka chwil odpowiadam na ciepło tego pocałunku, bo czuję się dzięki niemu, jakbym była w domu... bezpieczna... czuję się, jakbym przez całe życie go całowała, choć przecież to jest nasz pierwszy raz. Ale chodzi jeszcze o coś więcej: czuję się, jakbym go kochała przez całe życie albo dużo, dużo dłużej. Choć moja dusza szybuje wysoko i zachęca mnie, żeby przedłużać pocałunek, pierwiastek anielski też jest we mnie aktywny i próbuje go ode mnie odepchnąć. Ta część mojej natury nigdy nie zadowolili się nikim innym niż Reed, niezależnie od tego, co on sam do mnie czuje.

Intensywne gorące i fizyczne poruszenie, które odczuwam za każdym razem, gdy zbliżam się do Reeda, nie towarzyszy mi w obecności Russella. Nie wiem, czy to jest przyciąganie ludzkie, czy anielskie, czy też jakaś moja pierwotna cząstka, która reaguje na Reeda, ale pragnę tego i nie chcę niczego innego. Pod wpływem mojego nalegania Russell odsuwa się, rzuca mi gniewne spojrzenia, bo poczuł mój początkowy odzew na jego pocałunek.

– Ruda, więc mimo wszystko jest jakaś nadzieja – mówi, właściwie sam do siebie i siada obok mnie na piasku. – Wiedziałem, że mnie kochasz.

– Russell, nie mogę. – Opieram się na łokciach.

Przerywa mi, odzywając się poważnym tonem:

– Wiesz, dużo myślałem o tym pierwszym wieczorze, kiedy byliśmy razem tutaj, nad jeziorem. – Nie patrzy na mnie, tylko na spokojną taflę wody. – Ciągłe się zastanawiam, co by się stało, gdybym cię wtedy pocałował, zanim zjawił się Reed. Gdybym cię pocałował, byłabyś mniej zaplątana w niego? – pyta retorycznie i przeciąga ręką po płowych włosach. Patrzy na mnie ciepłymi brązowymi oczami i mówi dalej. – Wiem, że ty nie wiesz, ale ta sprawa wciąż mnie męczy.

– Przykro mi, Russell... – odpowiadam i mam ochotę się rozplakać.

– Cii. – Podnosi moją dłoń i całuje jej grzbiet. – No chodź. Nie mogę popsuć wam waszej doskonale przygotowanej wojny, nad którą się wszystkie tak napracowałyście. – Uśmiecha się. Podnosi mnie i otrzepuje z piasku, jakbym była dzieckiem. – Ruda, bardzo dobrze strzelasz. Myślałem, że mnie załatwisz, ale skończyła ci się amunicja.

– Dzięki – szepczę. Dławi mnie poczucie winy, które teraz odczuwam podwójnie. Mam wyrzuty sumienia, że zdradziłam Reeda i że znów skrzywdziłam Russella. Czy to się nigdy nie skończy?

Podnoszę pistolet odrzucony wcześniej przez Russella i idę ze spuszczoną głową, żeby nie patrzeć Russellowi w oczy. Kiedy dochodzimy do głównej części plaży, wojna już dogasa. Buns i Brownie negocjują warunki z Remym i kilkoma innymi przywódcami Delt. Zostaje uzgodnione, że Deltę dostaną ostatnią porcję wskazówek w sprawie tablicy pamiątkowej nazajutrz w trakcie balu przebierańców.

Kiedy zbliżamy się do dziewczyn, Russell ściska moją dłoń.

– Muszę znaleźć Masona i zabrać się z nim samochodem do akademika. Zobaczymy się jutro przy śniadaniu, okej? – pyta z troską w oczach. Kiwam głową i próbuję się uśmiechać, ale nie bardzo mi to wychodzi. – Nie przejmuj się, Ruda, wszystko się ułoży. Zaufaj mi – szepcze mi do ucha. Kiedy cofa twarz, żeby się do mnie słodko uśmiechnąć, jego policzki ociera się o mój. A potem Russell lekko i z gracją rusza biegiem, żeby odnaleźć Masona.

W czasie gdy Buns, Brownie i ja wracamy do Złotej Gęsi, podjeżdża do nas JT swoim czarnym range roverem.

– Hej, Buns! – krzyczy z głową wystawioną przez otwarty szyberdach samochodu.

Zatrzymujemy się i patrzymy na JT czy też na tę jego część, którą widzimy – bo reszta pozostaje niewidoczna za przyciemnionymi szybami auta, które wygląda, jakby należało do

korpusu dyplomatycznego. Niełatwo też go usłyszeć, ponieważ samochodowy system stereo wprawia w drgania nawet asfalt pod naszymi stopami, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

JT pochyla się i wsuwa głowę z powrotem do samochodu. Ścisza muzykę, głośnik emitujący najniższe basy milknie.

– Chcecie się panie przejechać? – wyłania się znów ponad dachem auta. – Wybieramy się z Petem do 7-Eleven kupić trochę mrożonych napojów, pojeździć w koło, posłuchać szalonej muzyki – namawia nas JT. Szyba w oknie po stronie pasażera opuszcza się i widzimy Pete'a, który siedzi za kierownicą.

– Mogłoby być cool, jak myślicie? – pyta nas Buns z entuzjazmem w głosie.

– Pewnie, czemu nie? – Brownie wzrusza ramionami i zabezpiecza swój paintballowy pistolet. Wszystkie oczy kierują się na mnie.

Zamierzam im odmówić, powiedzieć, że spotkamy się później. Przecież Reed kazał mi obiecać, że bez niego nie będę chodziła do 7-Eleven. Reed – myślę i czuję się jak sparaliżowana. Przeszywa mnie ostry ból, który próbowałam w sobie tłumić, a teraz rozlewa się jak gorzka trucizna. A potem moje zmysły atakuje wspomnienie pocałunku Russella. I znów piekący ból rozdziera mi serce: obecne we mnie elementy anioła i ludzkiej duszy ścierają się ze sobą jak zażarci wrogowie.

Chcę, żeby to się skończyło. Chcę, żeby ból ustał – użalam się nad sobą. Jestem już tak znużona – choć nie w sensie fizycznym – że żadna ilość snu czy odpoczynku mi nie pomoże. Nagle ogarnia mnie wielka ochota, żeby gnać do 7-Eleven. Chcę przyspieszyć wydarzenia, a nie uciekać od nich. Chcę, żeby to się już skończyło.

– Jedźmy. – Otwieram drzwi SUV-a i wchodzę do środka.

– W porządku! – krzyczy JT z fotela dla pasażera, a ja przesuвам się na tylnym siedzeniu w stronę drugich drzwi, żeby zrobić miejsce dla Brownie i Buns. Pete znów podkręca sprzęt, choć nie tak głośno jak poprzednio, i ruszamy w drogę.

Opuszczam szybę po swojej stronie, zamykam oczy i czuję na twarzy wiatr. Cokolwiek ma się wydarzyć, wolę to niż ciągły ból w piersiach. Kiedy dojeżdżamy do 7-Eleven, wyskakuję z auta jako pierwsza. W sklepie słyszę łagodne dźwięki muzyki. Przechodzę obok kas i sprzedawczyni w czerwonym fartuchu. Skręcam w kierunku tylnej alejki i maszeruję żwawym krokiem w stronę światła, które za pierwszym razem powaliło mnie na ziemię. Staję bezpośrednio pod nim.

Stoję tak i czekam, aż coś się wydarzy... cokolwiek, bo po prostu chcę to już mieć za sobą. Światło mruga jeden raz. Czuję przyływ adrenaliny, serce zaczyna mi szybciej bić. Wzdrygam się lekko, spodziewam się ogłuszającej fali dźwiękowej, która stałaby się preludium szaleństwa. Mijają sekundy, ale nic się nie dzieje. Podnoszę głowę i patrzę w światło, starając się nad nim zapanować i nakłonić je tym razem do swojej woli.

– Hej, skarbie, chcesz wiśniowe czy z niebieskich malin? – woła do mnie Buns stojąca przy maszynie z mrożonymi napojami Slurpee we frontowej części sklepu.

Czuję przyływ przytłaczającego rozczarowania. Nic się nie dzieje. Ale czego właściwie oczekuję? – zastanawiam się i patrzę w podłogę. Krew odpływa mi z twarzy, kiedy zaczynam myśleć, co ja tu właściwie robię. Czy naprawdę chcę, żeby moje przecucie się spełniło? Dla wszystkich w sklepie oznaczałoby to masakrę i zniszczenie – wpadam w panikę, kiedy przychodzi mi to do głowy. Popatruję to na Buns, to na Brownie.

Postanawiam jak najszybciej wyprowadzić stąd przyjaciół. Robię krok przed siebie, ale jakiś czerwony błysk powstrzymuje mnie. Szkarłatna kropla płami podłogową płytkę tuż obok mojej stopy, a po chwili dalsze krople spadają z góry na posadzkę. Krew? – zastanawiam się zdezorientowana.

Zamieram w bezruchu, bo nie wiem, co robić, a wtedy z lampy nade mną spada coś błyszczącego. Przyklękam na jedno kolano i podnoszę to z podłogi. Trzęsą mi się ręce, kiedy stwierdzam, że obracam w dłoni umazane krwią dwa srebrne wisiory. Ten w kształcie koła wydaje cichy dźwięk przy pocieraniu go o metalowy symbol nieskończoności. Naszyjnik Russella... – myśli w mojej głowie galopują. Ściskam mocno w dłoni znoszony, skórzany rzemyk. Dotarł do mnie przez światło – razem z krwią.

Nagle czuję, że przesuwam się do frontowej części sklepu. Muszę wyciągnąć stąd przyjaciół.

– Buns, dla mnie wiśniowe. – Staję obok niej i pomagam jej nałożyć wygiętą plastikową pokrywkę na kubek. Ciągnę Buns za łokieć i czuję ulgę, że Pete, JT i Brownie już zapłacili za swoje napoje. Kasjerka grzebie się dłużej, niż się spodziewałam, z wydawaniem reszty z dziesiątki, którą jej płacę za Slurpee.

– Skarbie, co z tobą? – pyta Buns. – Jesteś cała spocona – zauważa, kiedy wychodzimy ze sklepu i wsiadamy do range rovera.

– Nie czuję się za dobrze – mruczę. – Możecie mnie wysadzić przy naszym akademiku? – pytam i grzbietem dłoni obcieram pot z czoła.

– Pewnie, Evie. I tak musimy odstawić samochód – odpowiada JT i mocno pogłaśnia stereo.

Kiedy docieramy do akademika, mówię „dobranoc” Brownie i Buns i idę do swojego pokoju. Natychmiast po przyjsciu łapię za telefon i dzwonię do Russella. Ręce tak mi się trzęsą, że ledwo mogę utrzymać komórkę przy uchu. Russell odpowiada po drugim dzwonku.

– Jak się masz, kochanie – mówi wolno i z seksownym akcentem.

– Russell – odpowiadam bez tchu, ulga przenika całe moje ciało. Opadam na kolana, chcę się dowiedzieć, czy nic mu się nie stało, ale to zabrzmiałoby strasznie głupio, więc tylko mamrocę zduszonym głosem: – No, cześć, Russell... Czy przypadkiem nie zgubiłeś swojego naszyjnika?

– A właśnie, przed chwilą zauważyłem, że go nie mam. Znalazłaś?

Zamykam oczy: można powiedzieć, że znalazłam, a można też powiedzieć, że coś mi go dało.

– Tak, znalazłam – mamrocę z napięciem.

– Nad jeziorem? – Głos Russella brzmi, jakby był bardzo zaskoczony.

– Mhm, muszę już lecieć, Russell. Przyniosę ci go jutro na śniadanie – odpowiadam szybko. Nie wiem, co mu powiedzieć, a co zachować dla siebie, ale nie ulega już wątpliwości, że Russell też jest częścią tej gry, choćym tego bardzo nie chciała.

Muszę go chronić, ale nie wiem jak – czuję całkowitą bezradność. Jedyna rzecz, której jestem pewna, to moja kompletna naiwność: jak mogłam sądzić, że uda mi się utrzymać Russella z dala od tego wszystkiego.

– Dobrze, Ruda. Wszystko u ciebie w porządku? Znaczący, wiesz... tam nad jeziorem i... pocałunek? Nie chciałem na ciebie naciskać, po prostu wyglądałaś w tamtej chwili na szczęśliwą i...

– Wszystko w porządku, Russell – odpowiadam miękkiem głosem. – Nie martw się o to. Zobaczymy się jutro. Dobranoc.

– No, okej... Do jutra. Dobranoc, Ruda – mówi i coś w jego głosie brzmi jak pieśczoła, pod wpływem której wstrzymuję oddech.

Rozłączam się i siadam na podłodze, ściskając w ręku naszyjnik Russella. W końcu wstaję, biorę przybory toaletowe i idę korytarzem do łazienki. Stoję pod strumieniem wody z prysznicą, pozwalam mu uderzać w moje ciało i cicho płaczę. Nic mu nie jest, nic mu nie jest, nic mu nie jest – powtarzam jak mantrę i staram się, żeby strach opuścił moją duszę. Zmywam wszystkie ślady krwi z naszyjnika, żeby nie musiała się tłumaczyć, kiedy będę go oddawała.

Wracam do pokoju, wycieram włosy ręcznikiem i szczotkuję je. Zakładam białą koszulkę i wkładam jakieś majtki. Jestem tak podenerwowana, że muszę znaleźć coś, co oderwie mnie od okropnych myśli kłębiących mi się w głowie. Siadam do komputera i piszę maila do wujka Jima.

Już pod koniec listu, pełnego obrzydliwie radosnych kłamstw, przerywam pisanie, bo czuję pierwsze podrygi motyli w brzuchu. Serce zamiera mi na chwilę, jak zawsze, kiedy czuję obecność Reeda. Potem znów tracę zapał, bo sądząc po tym, co działo się przez ostatnie tygodnie, wiem, że nie ma znaczenia, jak blisko jest Reed: jeśli chodzi o mnie, i tak się nie ugnie. Kiedy więc czuję, że łaskotanie z każdą chwilą się nasila, coraz trudniej przychodzi mi skoncentrowanie się na tym, co robię.

Klikam, żeby wysłać maila, i dosłownie kilka sekund później otwierają się za mną okna. Nie odwracam się i próbuję zachować zimną krew, mimo że dręczy mnie niepokój. Dlaczego on tu jest? – zastanawiam się. Nie rób sobie nadziei; jest tu nie dlatego, że ma na to ochotę – tłumaczę sobie, a mój żołądek boleśnie się skręca.

– Genevieve, musimy porozmawiać! Teraz! – słyszę wrzask Reeda ze schodów pożarowych. Podskakuję na krześle. – Spotkajmy się na parkingu – warczy. – Będę czekał w range roverze.

– Nie. – Wstaję z krzesła i podchodzę do okien. – Dobranoc, Reed. – Zamykam je szczelnie.

Widzę wyraz jego twarzy: jest zdumiony. Patrzę po sobie i zdaję sobie sprawę, że jestem tylko w koszulce i majtkach. Wszystko mi jedno. To mój pokój – myślę i odwracam się od okna.

Po chwili ono znów się otwiera i zanim udaje mi się obrócić, Reed jest w moim pokoju.

– Porozmawiamy o tym – mówi cichym głosem tuż spod okna.

Stoi z ramionami skrzyżowanymi na obnażonej piersi, widzę też jego czarne skrzydła; wygląda jak anioł mściciel. Niewątpliwie jest też najbardziej szokującą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam. Dłonie zwijają mi się w pięści i zgrzytam zębami, bo nie chcę podporządkowywać się każdej jego zachciance. Skoro on potrafi zachowywać się głupio i nierozsądnie, potrafię też i ja.

– Nie ma o czym mówić, Reed – odpowiadam urażona. Czuję, że jestem w potrzasku. Wszystko stracę. Reeda już straciłam, a teraz stracę także Russella, bo nie wiem, jak go uratować.

Reed mruży oczy jak drapieznik.

– Moglibyśmy porozmawiać o twojej wieczornej wycieczce do 7-Eleven – odgryza się.

– Moglibyśmy, ale naprawdę nie ma o czym mówić – kłamię i unoszę nieco brodę, ale ponieważ jestem beznadziejnym kłamcą, Reed musiał to wyczytać z mojej twarzy. Jego skrzydła drgają, a oczy przypatrują mi się, jakby ich właściciel chciał się upewnić, że nie odniosłam żadnych fizycznych obrażeń. – Reed, jestem cała i zdrowa – wzdycham.

– Powiedz mi, co się wydarzyło, zanim stracę cierpliwość – rzuca przez zaciśnięte zęby.

Otwieram szeroko oczy.

– Dobrze się czujesz? – pytam, bo nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego.

Jego skrzydła znów drgają.

– Nie, nie czuję się dobrze.

Dochodzę do wniosku, że muszę mu wszystko powiedzieć, zanim wybuchnie. Przedstawiam w skrócie całą opowieść. Kiedy pokazuję naszyjnik Russella, na twarzy Reeda znów pojawia się znana mi już mina, która oznacza „muszę zaraz coś rozwalić”.

Jego wargi układają się w wąską, ponurą kreskę.

– Więcej masz tam nie jeździć – mówi surowym tonem, w którym pobrzmiwa nuta czegoś ostatecznego.

Mój wzrok łagodnieje, kiedy mówię:

– Czy ty naprawdę wierzysz, że to jest dla mnie dobre rozwiązanie? Jestem wystarczająco rozumna, żeby wiedzieć, że mam tam umówione z kimś spotkanie, czy tego chcę, czy nie. I jestem wystarczająco rozumna, żeby wiedzieć, że czymkolwiek jest to, co ostrzega mnie o nadchodzących zdarzeniach, chce mnie przygotować... tak jakby wciąż była szansa na zmianę rezultatu.

– Evie, nigdy więcej nie wolno ci pójść do 7-Eleven – mówi Reed, ale tym razem używa swego perswazyjnego tonu, który dzwoni w moich uszach i odbija się echem. Kojarzy mi się z denerwującym śwędzieniem, którego nie można podrapać.

Odsuwam się od Reeda o krok i marszczę czoło. On wie, że jego głos na mnie nie działa.

– Reed. – Trzymam się za uszy i staram się powstrzymać to dziwne dzwonięcie.

– Evie, wyjedziemy stąd. Ty i ja... możemy pojechać, gdzie tylko zechcesz – mówi Reed, ale tym razem zamiast tamtego denerwującego głosu używa wersji seksownej, której znacznie trudniej się oprzeć. – Mam kilka domów w Europie i parę w Azji... albo możemy pojechać do Ameryki Południowej. Jeśli chcesz, wyruszymy dziś w nocy.

– Reed... – jąkam się. Patrząc, jak mój towarzysz zaczyna miotać się po pokoju jak postać z filmu na przyspieszonych obrotach i pakuje moje rzeczy do torby, którą musiał wydostać z szafy. Biorę do ręki naszyjnik. Leży na stoliku obok łóżka. Siadam i mu się przyglądam. Jeśli wyjadę, Russell nie będzie miał żadnych szans. Lekko przygarbiona mrużę:

– Nie mogę z tobą wyjechać.

Reed omiata wzrokiem mój pokój i mówi w roztargnieniu:

– Możesz, możesz. Masz paszport? Nie ma znaczenia, możemy zostać w moim domu w Vermontcie, dopóki sobie nie wyrobisz, jeśli będzie trzeba.

– Reed. – Staram się zwrócić jego uwagę i sprawić, żeby na mnie popatrzył.

– Evie – odpowiada, a potem jest już przede mną, klęczy i zagląda mi w oczy. – Nie mogę od ciebie odejść... Myślałem, że mogę, ale nie potrafię. Myślałem, że zdołam po prostu przeczekać. Russell nie może żyć wiecznie, a kiedy go już zabraknie, ty będziesz moja. To znaczy... ile on może jeszcze żyć? Osiemdziesiąt lat...? Mógłbym przeczekać... To byłoby straszliwe cierpienie, ale czekałbym na ciebie, gdybym musiał. Ale teraz mogę cię całkiem stracić.

Odgarniam mu włosy z czoła, patrzę w jego oczy i mówię:

– Wszystko będzie dobrze. Później będziemy mieli dla siebie tyle czasu, ile zechcemy...

Nie mam szansy dokończyć, bo Reed znów zrywa się na nogi i zaczyna miotać się po pokoju.

– Nie, wyjeżdżamy dziś w nocy – mówi i wraca do pakowania moich rzeczy.

– Ta decyzja będzie mnie prześladować do końca życia, a ponieważ to oznacza wieczność... – próbuję z nim dyskutować.

Podchodzę do niego, gdy wkłada do torby moją szczoteczkę do zębów.

– Mogę cię do tego zmusić. Wtedy to nie będzie twoja decyzja, tylko moja. – Rozgląda się po pokoju. Sprawdza, czy o niczym nie zapomniał.

– Nie mogę... Nie mogę, Reed... Proszę cię.

Staję przed nim i obejmuję go jedną ręką za szyję, starając się doprowadzić do tego, żeby znów na mnie spojrział.

– Wyjeżdżamy – powtarza Reed, ale kiedy nasze spojrzenia spotykają się, ja ze smutkiem kręcę przecząco głową. Nagle znajduję się w jego ramionach. – Nawet nie wiesz, o co mnie prosisz – wypowiada te słowa w niewielką przestrzeń między moimi włosami a szyją.

– Proszę cię, żebyś mi pomógł uratować Russella. – Opieram głowę na jego ramieniu. Marzyłam o tym przez ostatnie tygodnie, ale teraz czuję słodycz pomieszaną z goryczą.

Jestem niezaprzeczalnie szczęśliwa, że znów otacza mnie swoimi ramionami, ale to szczęście jest skażone okolicznościami, w jakich Reed uległ moim namowom.

– Nie, nie o to mnie prosisz. Chcesz, żebym zaryzykował twoim życiem, żeby ratować jego życie. A to całkiem co innego – tłumaczy.

– Właśnie o to jestem proszona – odpowiadam spokojnie. – Niewątpliwie chodzi tu o Russella... o ratowanie Russella. To moja bratnia dusza. Jestem mu to winna.

– Evie, jeśli coś ci się przez niego stanie, nie wiem, czy zdołam powstrzymać się przed zabiciem go – mówi Reed z ogniem w oku.

– Cii, Reed, wszystko będzie dobrze – uspokajam go i gładzę jego włosy dłonią. – Czy mogę mu powiedzieć? No wiesz, o tym, co widziałam, i o jego naszyjniku

Reed milczy przez chwilę. Jestem świadoma, że walczy sam ze sobą, zastanawia się, co ma mi odpowiedzieć. W końcu robi głęboki wydech i mówi wolno:

– Myślę, że jeśli mu powiesz, co się zdarzy, sprawa zostanie przesądzona i wynik będzie nieodwołalny. Jeśli Russell dowie się o wszystkim przed faktem, może nie być sposobu na odwrócenie zdarzeń.

– Inaczej mówiąc, jeśli cokolwiek mu zdradzę, przypieczętuję jego los. Czy to masz na myśli? – Wzdrygam się na myśl o tym, że o mało co tego wieczoru nie wygadałam wszystkiego Russellowi.

– Tak – odpowiada Reed niechętnie, jakby znacznie bardziej pasował mu taki właśnie los Russella.

Ściskam go szczególnie mocno, kiedy uświadamiam sobie, jak cała sprawa wygląda z jego punktu widzenia. Jeśli Russell nie przeżyje, zniknie wątpliwość, z kim mam być, ponieważ Reed pozostanie jedynym, który może rościć sobie do mnie jakieś prawa. A więc jeśli mi pomoże, Reed ryzykuje, że utraci mnie na rzecz Russella.

– Dlaczego pomagasz mi w ratowaniu Russella?

– Nie wiem, co się stanie z twoją duszą, jeśli go stracisz. Wydawałaś się całkiem szczęśliwa, kiedy cię dziś całował. – Przyciska się do mnie mocniej.

Rumienię się z zażenowania i żalu. Zamykam oczy i ukrywam twarz, przyciskam ją do piersi Reeda.

– Bardzo mi przykro – mówię zdławionym głosem. – Nie planowałam tego. Proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że to ciebie pragnę.

– Wiem. Patrzyłem, jak go odpychasz i zachowujesz się wbrew temu, czego chciała twoja dusza. Dlaczego to zrobiłaś? – Głos Reeda jest pełen czułości, kiedy szepcze te słowa.

– Bo on nie potrafi zabić we mnie bólu związanego z twoim brakiem – mówię szczerze i opuszczam ręce, które obejmują szyję Reeda, na jego pierś. – Dlaczego na mnie nie krzyczysz? – pytam zawstydzona.

Policzek Reeda delikatnie ociera się o mój, a jego ramiona otaczają mnie opiekuńczo.

– Bo zdałem sobie sprawę, jak bardzo musisz mnie pragnąć, skoro potrafisz pokonać tak silny zew twojej duszy... To upokarzające, kiedy zdaję sobie sprawę, ile masz determinacji,

żeby ze mnie nie rezygnować. Jesteś taka uparta, Genevieve. Co ja mam z tobą zrobić? – Opiera swoje czoło na moim.

– Nie jestem uparta, tylko, tak jak powiedziałaś, zdeterminowana – odpowiadam. – Co chciałbyś ze mną zrobić? – Uśmiecham się do jego zielonych oczu i mam nadzieję, że wybaczy mi tamten pocałunek na plaży.

Oczy Reeda ciemnieją.

– Chcę cię stąd zabrać, odejść i już nigdy nie patrzeć za siebie – mówi otwarcie, a ja widzę wyraźnie, że to prawda, że istotnie jeszcze tego planu całkiem nie zarzucił.

– Możemy wyjechać, gdzie tylko zechcesz, kiedy Russell będzie już bezpieczny. Obiecuję. Tylko ty i ja – odpowiadam niecierpliwie.

Ramiona Reeda obejmują mnie mocniej i równie mocno brzmi jego głos:

– Niezależnie od wszystkiego, nie wolno ci iść do 7-Eleven beze mnie. Nigdy. Rozumiesz? – pyta w sposób, który nie pozostawia wątpliwości co do jego determinacji.

– Rozumiem – odpowiadam bez wahania.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Tak mnie owinęłaś dookoła palca, że trudno mi ufać swoim własnym decyzjom. – Odgarnia włosy z mojej twarzy.

– Możesz zostać na noc. Nie mam ochoty, żebyś sobie szedł. – Szukam jego wzroku. Nie chcę, żeby odszedł i znów miał czas na zastanawianie się, czy jednak ze mnie nie zrezygnować.

Reed uśmiecha się, kręci głową i odzywa się, jakby czytał w moich myślach:

– Nie martw się. Od tej pory mam zamiar trzymać się tak blisko ciebie, że jeszcze zaczniesz się zastanawiać, czy naprawdę masz na to ochotę.

Na mojej twarzy wykwita uśmiech pełen optymizmu.

– Reed, niczego tak nie pragnę jak tego, żeby zawsze być blisko ciebie.

Wkrótce jednak przekonuję się, ile siły i samokontroli wymaga leżenie w łóżku obok Reeda i ograniczenie się do spania. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Russell, mówiąc o „zwiedzaniu najprzyjemniejszych części piekła”. Mam wrażenie, że Reed również jest przejęty naszą bliskością. Świadczą o tym jego ciężkie westchnienia, kiedy kładę głowę na jego piersi i słucham silnego rytmu jego serca.

W pewnej chwili pytam go:

– Czy ty w ogóle potrzebujesz snu?

– Tak, śpiam. – Głaszcze mnie po głowie, a w jego głosie słyszę uśmiech. – Ale nie potrzebuję tyle snu co ludzie. Wystarczą mi dwie, trzy godziny na dobę.

– O, zapewne jest to przydatne w okresie składania deklaracji podatkowych, kiedy musisz się wytłumaczyć z całego bogactwa – mówię i z satysfakcją słyszę śmiech Reeda. – Ciekawe, czy ja też będę w przyszłości mniej spała.

– Nie wiem... Mam nadzieję, że nie – odpowiada z powagą Reed ku mojemu zaskoczeniu.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo tak ładnie przy tym wyglądasz – wyjaśnia głosem tak seksownym, że czuję się bliska omdlenia, kiedy się do niego przytulam.

– Po co Bóg zawracał sobie głowę ludźmi, skoro istniały już istoty tak doskonałe jak ty? – pytam bezceremonialnie, bo wciąż mnie nurtuje, co właściwie Reed we mnie widzi.

– Evie, anioły nie są doskonałe. Od długiego czasu żyję między ludźmi i dopiero zaczynam rozumieć, co jest w nich takiego frapującego. Ludzie są tacy słabowici, a jednocześnie tak przywiązują się do życia i do innych ludzi, jakby nic poza tym nie istniało. Dawniej mnie to zaskakiwało, bo żyłem w raju i wiem, co tam na nich czeka. Ale teraz zaczynam rozumieć, co to znaczy, że tak bardzo potrzebuje się drugiej osoby, że można zrobić wszystko, żeby być przy niej, dotykać jej, kochać ją. – Gładzi moje włosy w oszałamiający sposób.

– A co z mieszańcami? – szepczę.

Jego odpowiedź wywołuje uśmiech na moich ustach.

– Och, przede wszystkim mieszańcy. Mam szczególną słabość do mieszańców.

Rozdział 18

Życzenia urodzinowe

– Cześć – szepczę i podnoszę głowę z piersi Reeda. Obdarzam go rozespanym uśmiechem. Kiedy na niego patrzę, uderza mnie myśl, że wcale nie widać po nim nocy spędzonej w moim ciasnym łóżku. Jego wygląd jest nadal nienaganny.

Uśmiecha się.

– Dzień dobry.

– To jest o wiele za fajne jak na moje życie – mruczę i kładę głowę z powrotem na jego torsie. Przytulam się mocniej do jego boku.

Śmieje się przez chwilę i głaszcze moje włosy.

– Tak jest lepiej. Lubię cię obejmować, kiedy śpisz, o wiele bardziej niż...

Marszczę brwi.

– Co? – pytam zdezorientowana. Unoszę się na łokciu i łapię jego spojrzenie pełne poczucia winy. – O wiele bardziej niż co?

Reed wzdycha.

– O wiele bardziej niż siedzieć na twoich schodach pożarowych – odpowiada niechętnie.

Otwieram szeroko oczy.

– Przesiadujesz za moim oknem? – upewniam się. Reed kiwa głową. – Po co?

– Kiedy męczą cię koszmarne sny, siedzę na tamtych schodach i twoje serce nie galopuje wtedy w takim tempie – tłumaczy i sprawdza moją reakcję.

– Reed, ale ja mam koszmarne sny co noc.

– Wiem – odpowiada i marszczy brwi. – Im jestem bliżej, tym lepiej śpisz. Może to ze względu na nasze wzajemne przyciąganie. Ale pewnie i tak bym to robił, bo... Nie potrafię długo wytrzymać z dala od ciebie.

Unoszę brwi w górę.

– Nie potrafisz beze mnie wytrzymać? – pytam, bo nie w pełni rozumiem, co do mnie mówi. Przecież przez ostatnie kilka tygodni świetnie sobie radził z wytrzymywaniem beze mnie.

Wargi Reeda układają się w wąską, smutną linię.

– W ciągu dnia trzymam się z dala od ciebie, żebyś nie wyczuwała, że jestem, ale w nocy, kiedy śpisz... mogę się zbliżyć – wyznaje.

Marszczę brwi.

– Och... – szepczę i nie mówię nic więcej.

Reed unosi brwi.

– Och?

– Ochraniasz mnie, a ja o tym nic nie wiem? – dopytuję, a moje serce łomocze.

– Evie, stałaś się moją najważniejszą misją. Ochranianie cię to jedyna rzecz, na jaką mam ochotę. Wszystko inne nie ma znaczenia – szepcze jak na spowiedzi.

– No... tak – odpowiadam również szeptem.

– Tak? – pyta z nadzieją w głosie. – Odpowiada ci, że cię chronię?

– Reed, ja się już zgodziłam, żebyś mnie chronił – mówię zmieszana.

Reed stara się ukryć swoją kwaśną minę.

– Nie, powiedziałaś, że nie mogę już się tym zajmować.

– Nieprawda, a co z przyjęciem? – pytam.

– Prosiłaś tylko, żebym służył ci za „asystę” – zaprzecza moim słowom.

– To, co zrobiłaś z Sebastianem, nazwałabym czymś więcej niż „asystą”. – Czuję, że przechodzi mnie dreszcz. – Więc obserwowałaś mnie, a ja nie wiedziałam, że jesteś w pobliżu? – dopytuję. Nie rozumiem, jakie uczucia budzi we mnie ten fakt.

– Tak... czekałem o wiele za długo i ryzykowałem, że komuś takiemu jak ty może stać się krzywda.

– Komuś takiemu jak ja? – pytam, a moje serce bije jak oszalałe.

– Światło, które mną kieruje... ręka, którą chcę trzymać...

– Och. – Czuję się w pełni szczęśliwa.

– Och?

– Więc... więc chciałbyś wrócić do poprzedniej pracy? – pytam nieśmiało.

– Nigdy nie dałem się z niej wyrzucić – odpowiada Reed z seksownym uśmiechem. – Co dziś robisz?

– Hm, mam zajęcia. Nie mogę ich opuścić, bo już za dużo ostatnio naopuszczałam. A ty? Jego oczy łagodnieją i niemal zaczynają lśnić.

– Mam dla ciebie niespodziankę, ale nie jest jeszcze gotowa, więc będziesz musiała poczekać do wieczora. Idziesz na bal przebierańców, prawda?

Mrużę lekko oczy i wzdycham.

– No tak, powinnam iść z Brownie i Buns. Mamy przekazać Deltom ostatnią wskazówkę, gdzie szukać tablicy pamiątkowej.

– To zobaczymy się wieczorem na imprezie.

– A do wieczora cię nie zobaczę?

Reed przykłada dłoń do mojego policzka, a potem wolno muska moje wargi swoimi. Kiedy odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy, mówi:

– Warto poczekać, obiecuję. Spodoba ci się ta niespodzianka. – Uśmiecha się.

– Co to będzie? – pytam, wciąż oszołomiona jego pocałunkiem.

– To niespodzianka, pamiętasz? – mówi rozbawiony.

– Okej. – Uśmiecham się i ja. – Ale lepiej, żeby była fajna, bo rezygnuję dla niej z całego dnia z tobą.

– Jest tego warta. Przyrzekam – szepcze tuż przy moich ustach, a potem znów delikatnie mnie całuje.

Gdy wstaje z łóżka, prosi mnie raz jeszcze, żebym opowiedziała o planach na cały dzień. Chodzi po pokoju lekko zdenerwowany, jakby się bał, że zrobię coś niebezpiecznego albo lekkomyślnego, zanim się znów zobaczymy. Zapewniam go, że mam w planach wyłącznie zajęcia, a później bal przebierańców w akademiku Delt.

Reed pochyla się nade mną i całuje mnie na do widzenia.

– Do zobaczenia wieczorem – mówi z seksownym uśmiechem. Kiedy się prostuje, na plecach rozwijają mu się ciemne skrzydła i formują w coś w rodzaju spowijającego go płaszcza.

– Wieczorem – potakuję, a potem Reed podchodzi do okna i znika z mojego pola widzenia.

Szybko przygotowuję się do zajęć. Zakładam naszyjnik Russella, żeby go nie zgubić. Idę do Sagi na śniadanie i zastaję Freddiego przy naszym stoliku.

Ma ożywiony wzrok, więc marszczę ze zdziwienia brwi i pytam:

– O co chodzi?

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Evie! – odpowiada i śmieje się do mnie. – Jakie to uczucie, kiedy już się oficjalnie uchodzi za dorosłego? Możesz już głosować. – Uśmiecha się promiennie i upija łyk soku.

– Czy dziś jest trzydziesty? Trzydziesty października? – pytam z niedowierzaniem.

– Mhm... Nie wiedziałaś, że masz dziś urodziny? – Freddie też marszczy brwi.

Pocieram dłońią czoło.

– Wypadło mi to z głowy. Skąd wiedziałeś, że to moje urodziny?

Wzdycha:

– Spis pierwszoroczników. Było podane w twoim życiorysie. Kobieto, nigdy nie słyszałem o kimś, kto zapomniał o swoich własnych urodzinach, a szczególnie, żeby przydarzyło się to jakiejś lasce. Jesteś naprawdę roztargniona, Evie.

– Dzięki, Freddie. Słodko, że dajesz mi na urodziny dokładnie to, o czym zawsze marzyłam: obelgi i przykrości.

– Miałem ci jeszcze powiedzieć, jakie to podejrzane urodzić się w diabelską noc, ale skoro już masz przeze mnie dość zmartwień, dam ci po prostu prezent. Proszę bardzo. – Kładzie przede mną jakiś przedmiot pięknie owinięty w ozdobny papier.

Otwieram szeroko oczy.

– Freddie... nie przestajesz mnie zdumiewać swoją uprzejmością – mówię całkiem szczerze, gdy wpatruję się w paczuszkę. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo jesteś moją przyjaciółką. Otwórz to, Evie – odpowiada z uśmiechem.

Pociągam za wstążkę i zdejmuję papier, pod którym znajduję wypolerowaną drewnianą szkatułkę z wymalowanymi ważkami.

– Och, Freddie, jakie piękne. Skąd to wzięłeś?

– Sklep ze starociami, pełno ich tu w okolicy. Ale to tylko opakowanie, Evie. Musisz je otworzyć – mówi Freddie podnieconym głosem, a ja nie bardzo wiem, jak się zachować, bo wygląda na to, że prezent jest okropnie drogi.

– Freddie... nie musiałeś tego robić...

Przewraca oczami.

– Czy mogłabyś to w końcu otworzyć? Wytargowałem naprawdę dobrą cenę; jestem bardzo doświadczony w negocjacjach. – Puszczą do mnie oko.

– Okej – odpowiadam i otwieram pudełko.

W środku jest okrągła srebrna puderniczka z wyrytą na wieczku ważką. Korpus ważki wysadzany jest trzema opalami. Ozdobne skrzydła owada są wyryte w srebrnym wieczku. Przesuwam końcami palców po zimnej powierzchni i wodzę nimi po misternie rzeźbionych liniach skrzydeł. Przenoszę wzrok na Freddiego i uśmiecham się do niego, a potem otwieram puderniczkę. W środku jest małe lustro.

– Freddie – wymawiam jego imię nabożnym tonem – nigdy w życiu nie miałam niczego równie pięknego. Dziękuję. – Zamykam z trzaskiem puderniczkę i ponownie wodzę po srebrnej powierzchni końcami palców. Czuję pod nimi chłód każdego z trzech opali.

– To straszne, jeśli mój prezent rzeczywiście jest najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek dostałaś – mamrocze Freddie do siebie, ale ponieważ mam teraz naprawdę dobry słuch, dociera do mnie każde jego słowo.

– Hej, coś mnie ominęło? – pyta Russell, siadając po mojej drugiej stronie z tacą pełną jedzenia.

– Dałem Evie prezent urodzinowy – odpowiada mu Freddie i podnosi puderniczkę, żeby ją pokazać Russellowi.

– Ale śliczna. – Russell uśmiecha się do mnie. Nie jest zaskoczony, a więc i on też musi wiedzieć o moich urodzinach. – Wszystkiego najlepszego, Ruda – mówi i wyciąga z torby małe, nieowinięte w papier kartonowe pudełeczko. Kładzie je przede mną na stole. – Choćby od tego miało zależeć moje życie, nie potrafię zawijać prezentów, przepraszam cię – dodaje z głupim uśmiechem.

Marszczę brwi i spoglądam na zmianę to na niego, to na Freddiego.

– Russell... nie potrzebuję prezentów – mówię.

– Ależ tak, potrzebujesz. Jesteś dziewczyną, to chyba jest genetyczne czy coś takiego – mówi Russell ze śmiechem i przysuwa do mnie pudełeczko.

Otwieram je powoli... W środku znajduję zawiniętą w bibułkę srebrną bransoletkę z doczepionym małym metalowym wisiorkiem. Przyglądam się wisiorowi i stwierdzam, że jest to srebrny medalik świętego Judy Tadeusza.

Unoszę brwi i spoglądam na Russella, który uśmiecha się do mnie i mówi:

– To święty Juda, patron spraw beznadziejnych. Pomyślałem, że może okazać się przydatny.

Jego uśmiech jest ciepły, ale widzę w jego oczach jeszcze coś... Strach. On się mnie boi.

Podaję mu bransoletkę i proszę:

– Założysz mi ją?

Kiedy bierze ode mnie bransoletkę, jego palce muskają moją dłoń. Przysuwa ku sobie mój przegub i zamyka zapięcie. Kręcę nadgarstkiem tak, żeby wisior znalazł się na górze.

Oczy zachodzą mi mgłą, kiedy mówię:

– Dziękuję, Russell.

– Ruda, mam szczerą nadzieję, że ci się nie przyda – mówi cicho, ale oboje dobrze wiemy, że wariant „przyda się” jest bardziej prawdopodobny.

Wyobrażam sobie, że gdy wybierał mój prezent urodzinowy, myślał o Sebastianie i furgonetce. Uświadamiam sobie, że moje tegoroczne urodziny w ogóle nie przypominają poprzednich. Kiedy się nad tym zastanawiam, zdaję sobie sprawę, że moje dawne życie stało się dla mnie samej obce. Czy już zawsze tak będzie? Czy wisior ma być dostateczną ochroną, która pozwoli mi dotrzeć do następnych urodzin? Czy za rok Russell będzie przy mnie?

Spoglądam na Russella i widzę troskę wymalowaną na jego twarzy. Uśmiecham się do niego uspokajająco.

– Russell, mam twój naszyjnik – mówię i sięgam, żeby go rozpiąć i zdjąć z szyi.

Wręczam połączone wisiorki właścicielowi, a on je zakłada. Wzdrygam się, kiedy staje mi przed oczami ten sam przedmiot umazany krwią.

– Dzięki. – Russell sprawdza, czy zapięcie nie jest uszkodzone. – Ciekaw jestem, jak on mi spadł? Wygląda normalnie... Musiał się jakoś ześlizgnąć. Zimno ci? – pyta zatroskany, gdy dostrzega, jak pocieram dłońmi ramiona, żeby pozbyć się gęsiej skórki.

– Wszystko w porządku. Chłopaki, co dziś robicie? Wybieracie się na bal przebierańców do Delt? – pytam z nadzieją, że mają to w planach. Od teraz muszę trzymać się możliwie blisko Russella.

– Tak, zostałem zaproszony, bo Delty wciąż chyba się mną interesują jako kandydatem do zwerbowania w przyszłym semestrze. Freddie obiecał, że ze mną pójdzie – odpowiada Russell, a ja dostrzegam spojrzenia, które między sobą wymieniają. Mają zamiar opiekować się mną, a ja zamierzam opiekować się Russellem.

– No cóż, fajna z was para – próbuję wprowadzić trochę beztroski w to urodzinowe spotkanie. Freddie rzuca we mnie serwetką zwiniętą w kulę, a Russell po prostu wybucha śmiechem.

– Muszę bieć. Zobaczymy się wieczorem, chłopcy. Dziękuję za prezent, Freddie. – Pochyliam się nad nim i daję mu buziaka w policzek. – Russell, tobie też dziękuję – mówię, ale kiedy już mam go pocałować, odwraca głowę, a ja trafiam w jego usta.

– Proszę bardzo, bardzo – mówi Russell gładko, śmiejąc się do mnie i eksponując dołeczki.

– Russell! – krzyczę ze złością. Gdy odchodzę, słyszę, jak chichocze.



Martwi ludzie! – czuję, jak przechodzi mnie zimny dreszcz. Idziemy do akademika Delt, a ja przysuwam się o wiele za blisko Buns, która w końcu bierze mnie pod rękę, dzięki czemu nie wpadam na nią co parę metrów.

– Skarbie, wszystko z tobą porządku? – pyta Buns, kiedy omijam kolejną zjawę stojącą na mojej drodze: zmarłego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w szpitalny szlafrok. Ten strój powinien być zdecydowanie lepiej zszyty na plecach, bo stanowi dość kompromitujący obraz wieczności. Ale następna napotkana dusza jest w jeszcze gorszym stanie. Tym razem chodzi o młodego człowieka, który – sądząc po ubraniu – musiał umrzeć całkiem niedawno. Brakuje mu połowy twarzy, więc wnioskuję, że obok niego pochowany jest jego motocykl.

– Twoje skrzydła szepiły się z moimi. Stój spokojnie, rozplączę je – jęczy Buns.

Czekam niecierpliwie, aż rozdzieli skrzydła należące do jej kostiumu i te, które są częścią mojego przebrania. Brownie idzie chodnikiem trochę przed nami, tuż obok duszy o ziemistej barwie. To jakaś starsza pani i jej równie martwy kot. Kot zainteresował się lawendowymi skrzydłami anielskiego stroju Brownie; przygląda się ich piórom, jakby bez trudu potrafił na nie skoczyć.

Buns, Brownie i ja – a także cała reszta naszej korporacji studentek – przebrałyśmy się za modelki prezentujące bieliznę i chodzące po wybiegu w anielskich strojach. Ja mam na sobie krótką białą haleczkę założoną na koronkowy biustonosz push-up. Razem ze skrajnie krótką

spódniczką i różowymi skrzydłami anioła moje przebranie stanowi dość ironiczny portret mnie samej. Szkoda, że tylko Reed to doceni. Czekałam na ten bal dość podekscytowana, bo wiedziałam, że będzie tam Reed, ale wszystko niszczą teraz ci martwi ludzie. Są dosłownie wszędzie. Zupełnie jakby cementarz został otwarty i duchy wybrały się na wakacje.

– Chyba już się rozplątały. No dobra, skarbie, teraz jest lepiej. – Buns odgarnia z mojego czoła niesforny kosmyk włosów.

Wpina go na miejsce przy użyciu jednej ze złotych klamerek w kształcie motyli, które podarowały mi razem z Brownie na urodziny. Zanim wyszliśmy z akademika, Buns wpięła artystycznie w moją fryzurę wszystkie z nich.

– Wyglądasz seksownie, skarbie. – Uśmiecha się do mnie.

– Dzięki, ty też – odpowiadam. – I jeszcze raz dziękuję za motyle. Są takie piękne. Przypominają mi Żółtą Gęś – dodaję, bo klamerki istotnie są w tym samym kolorze co samochód Buns.

– Cała przyjemność po naszej stronie, skarbie. Brownie je wypatrzyła, kiedy poszliśmy na zakupy, i obie uznałyśmy, że są po prostu stworzone dla ciebie. – Buns się uśmiecha i prowadzi mnie na bal w budynku Delt, a ja staram się nie przejść po jakimś nieapetycznym nieboszczyku.

Kiedy docieramy na miejsce, w akademiku Delt jest zatrzęsienie skąpo odzianych aniołków z naszej korporacji. JT i Pete zauważają nas, kiedy wspinamy się po schodach na drewnianą werandę budynku. JT jest ubrany jak tamten naprawdę dziwaczny typ ze znanego krwawego horroru; na twarzy ma maskę, a w ręku makietę piły łańcuchowej, która wydaje autentyczne, mechaniczne dźwięki. Kiedy się do niego zbliżamy, JT groźnie macha w naszą stronę piłą, a powietrze przeszywa brzęczący odgłos. Czuję nagle na plecach ostre ukłucie bólu i drzenie mięśni, a poziom adrenaliny w żyłach gwałtownie mi rośnie. Z niepokojem spoglądam przez ramię, bo wydaje mi się, że rozerwałam o coś swoje przebranie, jednak nie dostrzegam żadnego problemu.

JT zdejmuje maskę i śmieje się do nas:

– Znaleźliśmy tablicę pamiątkową – zawiadamia nas. – Czyj to był pomysł, żeby przykleić ją na odwrocie reklamy z aniołem w bieliźnie w naszym pomieszczeniu gospodarczym? – Patrzy po kolei na każdą z nas.

– Evie to wymyśliła – odpowiada Brownie. – Powiedziała, że łatwiej będzie ukryć ten plakat gdzieś na widoku, niż chować go w jakiejś kryjówce. W ten sposób zbrodnia w ogóle nie została popełniona, bo tylko przeniosłyśmy tablicę, nie zabierając jej z budynku. Mogłyśmy uczciwie powiedzieć dziekanowi, że jej nie zabrałyśmy. No i wiedziałyśmy, że żaden z was nie zdejmie plakatu, na którym są anioły w bieliźnie. – Brownie śmieje się do mnie promiennie.

– To jest wstrętne, Evie. Jesteś podła – mówi JT z uznaniem i unosi swoje piwo w geście pozdrowienia.

Czuję znów drzenie mięśni na plecach i odpowiadam nieprzytomnie:

– JT, to chyba Nietzsche powiedział: „Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”.

JT wybuchł śmiechem. Pete’owi chyba także spodobał się mój komentarz, choć nie mogę tego stwierdzić na pewno, bo Pete ma na sobie starą maskę bramkarza hokejowego, która zakrywa jego twarz.

– Chodź, Evie, znajdziemy jakiegoś drinka dla ciebie. – JT wciąż jeszcze się śmieje i prowadzi nas przez drzwi do wnętrza budynku.

W sali bilardowej znajdujemy kilka chłodziarek turystycznych z butelkami piwa. Kiedy tam wchodzimy, słyszymy powitalne okrzyki wypełniających pomieszczenie chłopaków z korporacji. Kłaniamy się i każda dostaje piwo z lodówki. Dziewczyny rozmawiają z Remym, a ja rozglądam się dookoła i w rogu sali dostrzegam Willa, który mi się przygląda. Wstrzymuję oddech i stoję bez ruchu, gdy dostrzegam, że się do mnie zbliża. Widok ducha wywołuje na moim ramieniu gęsią skórę.

Czuję, że robię się coraz bledsza. Szepczę do niego:

– Czego chcesz?

Stoję i wpatruję się w powieszoną na swoim poprzednim miejscu tablicę pamiątkową, żeby w ten sposób ukryć przed świadkami fakt, że mówię do siebie.

– Reed opowiadał mi o tobie. Prosił, żebym miał cię na oku, jeśli cię zobaczę gdzieś na kampusie. Szukam go, właściwie przyszedłem tu, żeby go ostrzec. W mojej społeczności zaczęto o tobie mówić. Martwi wiedzą, że jest tu człowiek, który ich widzi, więc zgłaszają się, żeby nawiązać z panią współpracę, droga pani – mówi Will ponuro i nie patrzy przy tym na mnie, tylko ustawicznie rozgląda się po całym pomieszczeniu, jakby chciał się upewnić, czy nikt nas nie obserwuje.

Wzdrygam się.

– Jestem tylko w połowie człowiekiem – poprawiam go.

Na wargach ducha pojawia się krzywy uśmiech.

– Tak, proszę pani, wiem, kim jesteś, ale nikt z nich tego nie wie... jeszcze – mówi.

Zaciskam dłoń na butelce, którą trzymam.

– Chcesz powiedzieć, że ci wszyscy zmarli przyszli tu, żeby mnie zobaczyć?

– Tak, to stare babsko, które mieszka w budynku Sztuk Pięknych, widziało, jak zareagowałaś na mnie wtedy na werandzie, i roztrąbiło wszędzie, że na kampusie jest jasnowidz. Nic dziwnego, że mąż ją kiedyś zabił – mamrocze zniesmaczony. – Nie potrafi się zamknąć choćby na chwilę. Większość dusz chce, żebyś w ich imieniu skontaktowała się z ich najbliższymi... to znaczy... oczywiście ci, którzy wciąż jeszcze mają najbliższych.

Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, ze strachu zaciskam zęby.

– Will, nie mogę tego zrobić. Staram się raczej nie zwracać tu na siebie uwagi.

– Tak, wiem już i o tym. Reed mi opowiedział. Musisz udawać, że nas nie widzisz. Inne dusze cię nie znają, nie wiedzą, o kogo chodzi. Po prostu mają nadzieję, że jakoś się na ciebie natkną – odpowiada z powagą. – Powinnaś się schować, aż przestaną cię szukać. Bo to by

mogło przyciągnąć uwagę. A tego przecież nie potrzebujesz. – Patrzy na mnie przez krótką chwilę i sprawdza, czy jego słowa robią na mnie wrażenie. Sądząc po tym, że ze strachu nogi mam jak z waty, mogę powiedzieć, że dociera do mnie to, co mówi.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Will. Wyjdę, gdy tylko będę mogła – odpowiadam.

Will kiwa głową, przechodzi przez szczytową ścianę budynku korporacji i znika.

Przemykam obok Brownie i Buns zdecydowana, żeby sobie pójść. Nie mam pojęcia, jak im wytłumaczyć, że opuszczam przyjęcie, bo chcą się tu ze mną skontaktować umarli. Będę musiała później pomyśleć o jakimś wyjaśnieniu.

Wychodzę z pokoju bilardowego, skręcam za róg i kieruję się do frontowych drzwi, ale zatrzymuję się na widok dwóch młodych mężczyzn stojących tuż za progiem budynku. Żaden z nich nie ma na sobie przebrania, ale nie to mnie w nich zastanawia. Moją uwagę zwraca szczególne lśnienie, które zaczynam już rozpoznawać. Mówiąc lśnienie, mam na myśli niewiarygodne piękno, taki jego rodzaj, który rzadko jest udziałem ludzi – urodę, którą widziałam tylko w twarzach aniołów.

Ci dwaj mnie nie zobaczyli, jeszcze nie. Cieszę się, że ktoś włączył głośną muzykę, bo łomot basów prawdopodobnie pomaga mi ukryć to, co wyrabia moje serce, które najwyraźniej nie przejmuję się faktem, że może mnie wydać. Skradam się skulona korytarzem po to, żeby zejść z pola widzenia obu aniołów. Ponieważ na końcu korytarza tłum staje się rzadszy, prostuję się i staram się wyglądać na „normalnego człowieka” – gdyby aniołowie przypadkiem spojrzeli w moją stronę.

Kiedy docieram do przeciwległego końca korytarza, słyszę pulsującą w mojej głowie krew i mam problemy z wyrównaniem oddechu. Przenika mnie intensywny strach. Każda komórka mojego ciała krzyczy, żebym się odwróciła i sprawdziła, czy aniołowie są gdzie blisko mnie, ale opieram się tej pokusie.

W pośpiechu skręcam za róg korytarza i przechodzę prosto przez duszę, której głowa została prawdopodobnie rozbita kijem bejsbolowym. Szczękę ma wykrzywioną, brak jej większej części języka. Lewe oko wyszło z oczodołu, choć wciąż jest przyklepione do głowy. Wygląda to potwornie. Nie mogę powstrzymać głośnego okrzyku, spowodowanego świadomością, że właśnie jestem w środku tego osobnika. Czuję się tak, jakbym była w zamrażarce i kopał mnie prąd; nie jest to zbyt bolesne, raczej przerażające.

Dusza zauważa moją reakcję.

– Hej! Właśnie ciebie szukam! – mówi, ale niezbyt wyraźnie, bo nie ma części języka.

Udaję, że jej nie słyszę, pędzę w dół po schodach do tylnego wyjścia. Poruszam się nienaturalnie szybko, żeby natychmiast uciec z tego miejsca. Mam nadzieję, że nie ma w pobliżu nikogo, kto by mnie obserwował. Dopadam do wyjścia i wybiegam na plac parkingowy na tyłach budynku.

– Ruda! No, akurat ta dziewczyna, którą miałem nadzieję spotkać. I jeszcze wygląda niebiańsko, pozwolę sobie zauważyć. Freddie właśnie wszedł do środka, żeby cię poszukać. – Russell śmieje się do mnie, stojąc w łagodnym, żółtawym świetle latarni.

Ma na sobie białą togę i wygląda jak grecki senator: w czerwonej pelerynie prosto ze spektaklu teatralnego, z zielonym wieńcem laurowym na głowie i w skórzanych sandałach. Ale dla mnie zabawa już się skończyła.

Muszę uciec przed wojownikami – oblegają budynek w poszukiwaniu istoty, która ich tu przyciągnęła. Nie zamierzam dopuścić do tego, żeby mnie znaleźli.

Czuję, że jestem blada jak ściana.

– Posłuchaj uważnie i nie przerywaj – mówię do Russella. – Za chwilę będę miała okazję użyć prezentu urodzinowego, który od ciebie dostałam. W budynku jest dwóch Sebastianów i sądzę, że szukają właśnie mnie. Muszę stąd zniknąć. Zadzwoń do Reeda. Powiedz mu, że spróbuję się dostać do jego domu. Rozumiesz? – Głos drży mi ze strachu.

Russell patrzy na mnie przez chwilę, po czym kiwa głową. Ślady uśmiechu znikają z jego twarzy. Podchodzi do mnie, bierze mnie w objęcia i mocno ściska.

– Mogę cię zawieźć, tylko pójde po samochód – mówi, ale ja kręcę głową.

– Dam sobie radę. Muszę już iść, zanim mnie znajdą – szepczę mu do ucha. – Wiesz, że cię kocham, prawda? – pytam delikatnym głosem. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Ściska mnie jeszcze mocniej, na krótką chwilę przyciska twarz do mojej szyi, a potem uwalnia mnie.

– Wiem – odpowiada. W oczach ma strach. – Idź.

Ruszam i mogę sobie tylko wyobrazić, co Russell musiał pomyśleć, gdy zobaczył, jak w jednej chwili znikam mu z oczu i zostawiam za sobą udawane różowe skrzydła, które założyłam na imprezę.

Bezglównie sunę przez miasto. Moje stopy lekko uderzają o ziemię, ale nie robią prawie żadnego hałasu. Dają mi siłę, bym rozwinęła oszałamiającą prędkość właściwie bez wysiłku. Wciąż przepełnia mnie strach i z tego powodu ten bieg wcale nie jest przyjemny. Ciągłe zerkam przez ramię, sprawdzam, czy ktoś mnie ściga. Przebiegam długi podjazd do domu Reeda i zwalniam dopiero wtedy, gdy mam otworzyć drzwi wejściowe. Chcę przez nie przejść z normalną prędkością, bo w domu może być Andre. Przez chwilę myślę, żeby zapukać, ale jestem za bardzo wystraszona, żeby przestrzegać dobrych manier. Gwałtownie wparowuję do holu.

– Reed! – wrzeszczę na całego gardło, choć wiem doskonale, że jeśli jest w domu, usłyszy mnie, nawet gdybym wymówiła jego imię szeptem. Od razu się orientuję, że jednak go tu nie ma, bo w moim brzuchu nie podrywają się do lotu motyle. Cholera, gdzie ty jesteś? – zastanawiam się.

Z biblioteki dobiega mnie delikatny szelest tkaniny. To ostrzeżenie, że dom nie jest jednak pusty. Ktoś właśnie wstał z krzesła. Idę naprzód i mam nadzieję spotkać Andre, ale ledwo dochodzę do schodów i staję jak wryta: to nie Andre był w bibliotece. Co więcej, to nie żaden człowiek.

Przypatruję się idealnej sylwetce anioła przede mną. Młodzieniec wygląda na dwudziestolatka. Ubrany jest zwyczajnie, w dżinsy i koszulkę, a jednak ten prosty strój

wygląda na nim seksownie. Jest wysoki i dobrze zbudowany, ma gęste kasztanowe włosy i bładoniebieskie oczy – takie, które widzi się raz i zapamiętuje na zawsze, bo są intensywnie niebieskie. Trochę urody ujmuje mu grymas niezadowolenia, który maluje się na jego twarzy, kiedy mi się przypatruje. Nachodzi mnie myśl, że w każdych warunkach wolałabym brzydotę niż piękno, które z taką niechęcią na mnie reaguje. Kiedy odzywa się do mnie w anielskim języku, brzmi, jakby wydawał polecenia. Oczywiście nie rozumiem ani słowa, ale dźwięki są piękne, niezależnie od tego, co mówi.

Nie wiem, co zrobić, bo orientuję się, że anioł czeka na moją odpowiedź. Wzruszam ramionami. Widzę, że jego ciemnobrązowe brwi przybliżają się do siebie niebezpiecznie blisko. A potem mój strach jeszcze narasta, bo jego cierpkiej minie towarzyszy niski, pierwotny jęk.

Szybko postanawiam coś powiedzieć, choć mam ściśnięte gardło.

– Przykro mi – mówię łamiącym się głosem – ale nie rozumiem twojego języka. Będziesz musiał mówić po angielsku.

Jego oczy rozszerzają się, a jedna z brwi wygina się w łuk. Dopiero po chwili obie układają się w jednej linii. Uświadamiam sobie, jak bardzo niewygodne jest moje położenie, i spoglądam w stronę drzwi, żeby oszacować odległość. Za daleko, żeby uciec. Oglądam się przez ramię i widzę schody prowadzące na drugie piętro. Niewiele myśląc, zaczynam się pomalutku cofać w ich stronę, bo postanawiam, że spróbuję uciec na górę. Muszę przynajmniej podjąć próbę ucieczki, choć domyślam się, że jest to niemal bezcelowe. Anioł, który przede mną stoi, jest wytrawnym mordercą; najprawdopodobniej nie mam najmniejszych szans. Boże, proszę Cię... odwrócić jego uwagę.

Z kieszeni anioła dobiega dzwonek telefonu. Wzdrygam się na ten dźwięk. Nie spuszczać mnie z oka, anioł wyciąga z kieszeni komórkę i odbiera połączenie. Nie mówi nic do dzwoniącego, tylko słucha, co tamten ma mu do powiedzenia.

Serce trzepocze mi w piersi. Wciąż pomalutku wycofuję się w kierunku schodów. Stawiam nogę na pierwszym stopniu, potem drugą na kolejnym, wspinam się tyłem, zwrócona nadal twarzą do stojącego przede mną drapieżcy. Niebieskie oczy anioła podążają za mną, ale on sam nie wykonuje jeszcze żadnego ruchu w moją stronę, choć przygląda się dokładnie wszystkiemu, co robię.

Jestem przerażona łagodnym, śmiertelnie poważnym tonem anioła, który nagle rzuca do telefonu:

– Nie, chyba zostanę. Właśnie weszło coś bardzo interesującego.

Jego rozmówca musi mówić o czymś innym, bo anioł znów ogranicza się do słuchania. Stawiam stopę na trzecim schodku, potem drugą na czwartym i tak przesuwam się w górę – anioł śledzi moje ruchy w skupieniu. Jestem cała spocona. Mięśnie mi drżą, małe skurcze przemieszczają się mi po plecach, ale nie zwracam uwagi na to dotąd nieznanne mi uczucie i nadal skupiam się na znajdującym się przede mną niebezpieczeństwie.

Groźna mina anioła zaczyna wyglądać coraz bardziej złowrogo.

– Dlaczego sam się tym nie zająłeś? – pyta z obrzydzeniem.

Kiedy stawiam stopę na piątym schodku, a potem drugą na szóstym, anioł warczy na mnie. Ten przerażający odgłos sprawia, że serce omal nie wyskakuje mi z piersi. Stoję jak sparaliżowana na szóstym stopniu.

Anioł głośno warczy w telefon:

– Naprawdę chcesz zaryzykować?

Sztynnieję, gdy dostrzegam jego wściekłość. Nogi zaczynają się pode mną uginać. Anioł na chwilę odwraca ode mnie wzrok, żeby spojrzeć w stronę drzwi wejściowych, więc stawiam stopę na siódmym stopniu, zaraz potem drugą stopę przestawiam na ósmy. Anioł znów spogląda na mnie, a właściwie piorunuje mnie wzrokiem. Nieruchomieję na schodach, udając, że w ogóle się nie poruszyłam, kiedy on nie patrzył w moją stronę.

Anioł zaciska zęby.

– To coś ma odkupienie... Ale nie będzie miało, jeśli wyślę ją z powrotem w otchłań – mówi zjadliwym tonem.

Stawiam stopę na dziewiątym stopniu, potem drugą na dziesiątym, a po chwili czuję rozrywający ból pleców. Biorę głęboki, głośny wdech. Próbuję zignorować ten ból, bo nie jest tak poważnym zagrożeniem jak wściekły anioł kilka stopni pode mną, i przesuwam rękę w górę po poręczy, wciąż skupiając się na pokonaniu drogi na szczyt schodów.

– Być może straciłeś w tej sprawie właściwą perspektywę. – Anioł rzuca do telefonu kolejne zdanie i przestaje się we mnie wpatrywać. Zamiast tego ze złością rozgląda się wokół siebie.

Stawiam stopę na jedenastym schodku, a drugą prawie udaje mi się przenieść na dwunasty, kiedy znów zatrzymuje mnie przeszywający ból. Muszę wypuścić całe powietrze, jakie mam w płucach. Patrząc w dół na anioła, rozpaczliwie próbuję zbadać jego reakcję na to, co się ze mną dzieje. Anioł jest całkowicie nieruchomy, patrzy na mnie zimnymi niebieskimi oczami. Czuję kolejne ukłucie bólu i walczę o odzyskanie tchu, a coś usiłuje przebić się przez moje plecy, przy okazji wydając odgłos, który przypomina otwierający się w locie spadochron. Ten dźwięk rozdzierania wybrzmiewa dokładnie w chwili, w której spada ze mnie koszulka i stanik, a ja zostaję na schodach półnaga.

Podnoszę ręce do piersi i zasłaniam je przed nieznanym. Mam w głowie zamęt i jestem zszokowana. Zdaję sobie sprawę, że właśnie wyrosły mi skrzydła. Ryzykuję kolejne spojrzenie na stojącego poniżej mnie anioła i widzę w jego pięknych oczach coś na kształt zdumienia. Uświadamiam sobie, że to najlepsza okazja, żeby uciec – i korzystam z niej.

Odwracam się błyskawicznie, pędzę w górę, pokonując pozostałe stopnie, a moje skrzydła poruszają się, jakby kierowała nimi ich własna wola. Dobiegam do pokoju Reeda, wpadam przez drzwi, zatraskuję je za sobą i blokuję zamkiem. Odwracam się od nich i kiedy odchodzę kilka kroków, anioł wyważa kopnięciem drzwi z przeciwnej strony. Cholerny siłacz!

Wycofuję się dalej ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Anioł wchodzi za mną do pokoju. Przenikliwe oczy drapieznika wpatrują się we mnie i przez chwilę mam wrażenie, że w ich lodowatej głębi widzę swoje własne odbicie. Nie ma w nim ani odrobiny litości czy współczucia. Zabije mnie w pokoju Reeda. I co będzie, kiedy Reed tu wejdzie, a on już skończy? Czy Reeda też zabije? – zastanawiam się, a potem nieruchomieję.

– Kto dzwonił? Czy to Reed? – pytam. Anioł nie odpowiada, ale na chwilę przerywa pogoń za mną. – Zaraz tu będzie, co? – dopytuję, znowu zdjęta paniką. Reakcją na moje pytania jest milczenie. – Zamierzasz mnie zabić, prawda? – pytam retorycznie, wiedząc dobrze, że właśnie taki jest jego zamiar. – Więc musisz się pospieszyć. Nie chcę, żeby Reed wszedł akurat wtedy, kiedy będziesz to robił. Spróbuje mnie bronić, a nie chcę, żeby stała mu się krzywda. Więc zrób to szybko... proszę. – Wypowiadam te słowa i prostuję się ze skulonej, obronnej pozycji, którą przyjąłem wcześniej, kiedy się cofałem.

Nie mogę opuścić ramion, więc obejmuję się nimi na wysokości piersi i zamykam oczy. Mój oddech jest krótki i sapiący, moje serce uderza z prędkością skrzydeł kolibra. Słyszę, jak wszystkie zegary w domu biją jednocześnie. Nie wiem, jak Reedowi udało się je tak zsynchronizować, ale wszystkie idealnie odmierzają czas. Czuję też w pokoju zapach Reeda, co stanowi pewną pociechę.

Mija kilka chwil, a ja coraz bardziej denerwuję się kwestią czasu. Zegary nadal biją. Czas ucieka. Reed może wrócić w każdej chwili. Strach zaciska mi gardło, a po twarzy spływają strużki potu, które ocieram grzbietem drżących dłoni.

– Dlaczego się boisz? Powiedziano mi, że masz dostęp do odkupienia – mówi nagle z szyderym uśmiechem anioł.

Zwilżam wargi, żeby coś powiedzieć, bo w ustach kompletnie mi zaschło.

– Może to moja ludzka natura boi się śmierci – odpowiadam niemal szeptem, nie otwieram oczu. – Pamiętam tylko to jedno swoje życie. Nic innego nie znam i nie wiem, czy dostąpię odkupienia. Reed chyba tak myśli, ale możliwe, że jestem zła... a w takim przypadku wyślesz mnie do Szeolu. Mówiono mi, że tam nie jest zbyt zabawnie, więc mam nadzieję, że Reed się nie myli. Ale prawdopodobnie niedługo się przekonam, jak to będzie. Jeśli spotkam cię w raju, to nie będę ci miała za złe. Jeśli nie: no cóż, gratulacje, dobra robota. Tak czy owak, masz moje przebaczenie, jeśli zrobisz to, zanim wróci Reed.

– Masz język węża. Dlaczego miałabyś mi przebaczyć? – pyta wyraźnie rozzłoszczony... albo sfrustrowany.

Odpowiadam mu bez wahania.

– Bo najgorszą rzeczą, jaką mogę sobie wyobrazić, jest zniknięcie Reeda ze wszystkich aspektów istnienia. Mogę wybaczyć wszystko prócz jego krzywdy. Proszę cię, zrób to teraz, zanim on wróci – błagam go. Czuję się oszołomiona swoim własnym zdenerwowaniem. Chwieję się na nogach, całe moje ciało nadal drży.

– Czy ty właśnie mnie poprosiłaś, żebym cię zabił? – pyta anioł z niedowierzaniem. Wiem, że stoi wciąż blisko mnie, bo czuję na włosach jego oddech.

Podnoszę powieki i widzę, jak wwiercają się we mnie bladoniebieskie oczy anioła.

– No, chyba... raczej tak. Mogę to zrobić lepiej, jeśli sobie życzysz – mówię, opadając na kolana i dotykając czołem do dywanu. – Proszę cię, pospiesz się, żebyś nie musiał krzywdzić Reeda – mówię miękko.

– Jesteś Serafinem i mimo to składasz mi pokłon?

Patrzę na niego ze swego miejsca przy samej podłodze, a kiedy on klęka przede mną, oczy otwierają mi się szeroko.

– Przepraszam... nie wiem, czym jest Serafin. – Prostuję się na kolanach i znów krzyżuję ręce na piersiach.

– Nie wiesz, czym jest Serafin? – pyta kompletnie zaskoczony. Kręcę głową i czekam, co powie. – Serafini to najwyżej stojący zastęp aniołów. Są strażnikami Boga.

– A skąd wiesz, że jestem Serafinem? – pytam go niepewnie. Próbuję uporać się ze strachem, który nie ustępuje.

Kiedy wyciąga rękę i dotyka mojego skrzydła, które lekko przy tym szeleści, zmuszam się, żeby nie odskoczyć do tyłu.

– Twoje skrzydła... są tak ognście czerwone.

– Naprawdę? – pytam, bo przecież jeszcze nigdy ich nie widziałam.

Byłam tak skoncentrowana na tym drapieźcy, że nie miałam czasu ich ocenić. Teraz odwracam głowę do tyłu i spoglądam na nie. Rzeczywiście, zauważam, że są w odcieniu najgłębszej z możliwych czerwieni. Są niewielkie, sięgają mi zaledwie do pasa. Zawiedziona stwierdzam, że daleko im do potężnych skrzydeł Reeda.

– Dlaczego są takie małe? – Chyba słysząc w moim głosie rozczarowanie...

Anioł lekko się do mnie uśmiecha, co samo w sobie jest zaskakujące.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś swoich skrzydeł? – Kręcę głową. – Ile masz lat? – dopytuje anioł.

– Właśnie skończyłam osiemnaście – odpowiadam. Drzę przy tym, bo moje ciało zaczyna odczuwać skutki zmęczenia wywołanego strachem. W tyle głowy świta mi pewna myśl i po chwili nabiera wyraźnego kształtu. – A do jakiego zastępu należy Lucyfer? – pytam.

Anioł przez chwilę wpatruje się jasnoniebieskimi oczami w moją twarz.

– Lucyfer jest Serafinem – odpowiada.

Tracę oddech, a oczy w jednej chwili zachodzą mi łzami. Kilka z nich spływa mi po twarzy. Walczę o odzyskanie tchu i uwolnienie się od palącego ucisku w gardle. Choć czuję, jakbym dostała cios w żołądek, bezwzględnie staram się wziąć w garść i odzyskać kontrolę nad sobą. Dłońmi zaciśniętymi w pięści ocieram twarz z łez, a potem znów krzyżuję ramiona na piersiach. Kiwam głową do anioła, przyjmując do wiadomości to, co mi właśnie powiedział.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, nie mam ochoty na dalsze informacje. Zróbmy, co jest do zrobienia, okej? – proponuję, czując się pokonana.

– Czyli co zrobić? – pyta.

– No, zgromienie... czy rozgromienie... wrogów? Jak zwał, tak zwał. Zanim wróci Reed, pamiętasz? – Próbuję ukryć urażoną godność.

– Nie wiesz, czy to jakiś Upadły jest odpowiedzialny za twoją obecność tutaj? – ignoruje moje słowa.

Kręcę głową.

– Nigdy nie poznałam swojego ojca. Do niedawna w ogóle nie wiedziałam, że był aniołem – odpowiadam.

Na jego twarzy pojawia się wyraz zamyślenia.

– Tam, skąd my pochodzimy, też jest dużo Serafinów. To właściwie całkiem sensowne wytłumaczenie, że Bóg wybrał jednego z nich, żeby cię stworzyć – wyjaśnia.

– Chcesz, żebym poczuła się lepiej? – pytam zmęczonym głosem i wysyłam mu cień uśmiechu. Huczy mi w głowie. Znów chwieję się na nogach, bo jakieś drobne czarne kropki zakłócają mój wzrok. – A do jakich aniołów należy Reed? – Biorę się w garść i próbuję odzyskać równowagę, więc przysiadam na piętach.

– Podobnie jak ja jest Aniołem Mocy. Stworzono nas, żebyśmy nie pozwolili Upadłym na przejście świata i utrzymali równowagę we wszechświecie – odpowiada autorytatywnie.

Opadają mi kąciki ust.

– A ja chyba zostałam stworzona w przeciwnym celu. Samą swoją obecnością wybijam wszystko z równowagi – stwierdzam beznamiętnie.

Jedna brew anioła unosi się i nadaje jego twarzy wyraz przebiegłości.

– Może tak... a może właśnie ty jesteś idealną równowagą... człowiek i anioł – mówi z namysłem, jakby rozpatrywał naszą zagadkę z rozmaitych punktów widzenia.

Z jezdni tuż przed podjazdem do domu dobiega pisk opon i w tym momencie moje oczy otwierają się szeroko. Minął czas na targowanie się z aniołem. Żwir na podjeździe chrzęści i rozpryskuje się pod kołami samochodu, który brawurowo prze do przodu. Reed wciska hamulce chyba w ostatniej możliwej sekundzie i natychmiast jego głos rozlega się w holu.

– Evie! – krzyczy, ale nie potrafię mu odpowiedzieć. Nie chcę, żeby tu wchodził. Chcę, żeby pozostał bezpieczny. Patrzę prosząco na anioła, którego mam przed sobą, bo tylko on może uczynić zadość mojemu życzeniu.

– Jest tutaj. – Anioł siada i nie przestaje mi się przyglądać. Po kilku sekundach Reed znajduje się w pokoju i obejmuje mnie ramionami. Przyciska moją głowę do swojej piersi i nie zwraca uwagi na to, że nie jesteśmy sami. – Nie zrobiłem jej krzywdy – mówi do niego anioł obronnym tonem.

Reed przyciska swoje czoło do mojego i upewnia się, czy nic mi się nie stało. Potem puszcza mnie i zaczyna wirować wokół drugiego anioła. Koszula Reeda rozrywa się i spada z jego torsu, a szare skrzydła groźnie układają się w łuk. Frunie w stronę tamtego anioła, wypychając go przez drzwi do holu.

– Reed, nie, on mnie nie skrzywdził! Przestań, proszę cię! – błagam, gdy widzę, jak wracają do pokoju, by się ze sobą mocować.

Drugi anioł wystawia swoje własne jasnobrażowe skrzydła, które przewracają meble i zwalają rzeźby z półek. Obaj z Reedem przeginają się w przód i w tył, jak gladiatorzy na arenie. Reed wyprowadza kilka brutalnych ciosów, potem drugi anioł odrzuca go. Reed nadal go nęka i szuka lepszego kąta ataku, żeby przeniknąć przez obronę tamtego.

– Zefir – woła wściekle Reed – przecież ona jest częściowo człowiekiem. Nie słyszysz, jak jej serce galopuje? Dziwię się, że nie zemdląła ze strachu – wykrzykuje. – Coś ty zrobił z moimi drzwiami? – pyta, bo dostrzega, że wiszą na zawiasach pod dziwnym kątem.

Zefir przyjmuje postawę obronną i wzrusza ramionami:

– Zablokowała drzwi. Powinienem ją złapać, zanim tu weszła, ale jest szybka. Byłem zdumiony, że mnie prześcignęła.

Uśmiecha się do mnie z uznaniem, a ja walczę z pokusą, żeby pokazać mu język.

– Myślałam, że chcesz mnie zabić – mówię cicho i przyciągam uwagę ich obu. Staram się ją zachować, w nadziei, że w ten sposób zapobiegnę ich wzajemnemu wymordowaniu się.

– Zamierzałem cię zabić – mówi Zefir i choć jego głos brzmi jedwabiście, wiem doskonale, że wypowiedział te słowa całkowicie poważnie. – Po tym, jak Reed mówił o tobie przez telefon, i po tym, jak ci się przyjrzałem, sądziłem, że namówiłaś go, żeby ci pomógł.

– Więc dlaczego mnie nie zabiłeś? – obserwuję, jak Reed staje się coraz bardziej napięty.

– Przekonałaś mnie, żeby tego nie robić. – Zefir spogląda na Reeda i upewnia się, że tamten nie łaknie już krwi i tylko przysłuchuje się naszej rozmowie.

– W jaki sposób cię przekonałam?

– Nie chowałaś się ani nie targowałaś ze mną o swoje życie, tylko ofiarowałaś mi je, żeby ratować Reeda. – Reed zaczyna warczeć. – Ale tak naprawdę związało mi ręce to, że zapewniłaś mnie o swoim przebaczeniu. Masz tyle odwagi...

– Zefir, jeśli jeszcze raz zrobisz Evie coś takiego, sam będziesz się modlił o śmierć – mówi Reed.

Zefir stęka. Obaj patrzą na siebie badawczo, jakby chcieli ocenić zagrażające im niebezpieczeństwo, gdyby taki dzień miał rzeczywiście nadejść. Odpowiedź Zefira, którą wypowiedział na poważnie, szokuje mnie bardziej niż cokolwiek innego, czego świadkiem byłam tego wieczoru:

– Zabiję wszystko, co będzie próbowało ją skrzywdzić.

Zmuszam ciężkie nogi, żeby poniosły mnie do pobliskiej łazienki. Kiedy do niej docieram, zamykam za sobą drzwi i opieram się o nie. Czuję, że jest mi słabo. Chcę się zamknąć na klucz, ale pokazano mi całkiem przekonująco, że i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia, o ile któryś z moich towarzyszy zechce tu wejść. Mam ochotę rozkleić się całkowicie – tu, w miejscu, w którym stoję. W gardle piecze mnie wstrzymywany płacz, ale wiem, że jeśli zacznę szlochać, nic mnie już nie powstrzyma, więc nadal przełykam łzy. Zostanę tu w łazience, dopóki Zefir sobie nie pójdzie – myślę.

Korzystam z toalety, a potem podchodzę do umywalki, żeby umyć ręce. Kiedy widzę swoje odbicie w lustrze, przeżywam szok. Rzeczywiście wyrosły mi skrzydła, nie da się tego

ukryć. Nie są one po prostu czerwone, ale wręcz szkarłatne. Nieduże, właściwie drobne, jeśli mierzyć je według innych znanych mi standardów, czyli mocnych, ciemnoszarych skrzydeł Reeda albo jasnobrązowych Zefira. Moje skrzydła sięgają zaledwie do pasa, podczas gdy u Reeda rozciągają się niemal na całą długość ciała.

Czy mogę nimi poruszać, kiedy zechcę? Koncentruję się, żeby je unieść, ale nie odnoszę sukcesu. Może to dlatego, że jestem zmęczona – patrzę na swoje odbicie w lustrze. Wyglądam na całkiem wykończoną. Jak mam je złożyć, skoro najwyraźniej nie potrafię nimi poruszać? Nie daję rady nawet się ubrać! Czuję odrazę do samej siebie, odwracam się od lustra i widzę Reeda, który stoi w otwartych drzwiach. Głośno wdycham powietrze i podnoszę znów ręce, żeby zakryć piersi.

Reed unosi rękę w górę w geście troski.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Przyniosłem ci coś do ubrania – mówi kojącym głosem i wchodzi do łazienki. Ma w ręku czarną bluzkę z długimi rękawami, która chyba jest zrobiona z kaszmiru.

– Jak mam cokolwiek na siebie założyć, skoro... te tam... sterczą mi z pleców? – pytam cichym głosem, nie patrząc na niego. Nie chcę widzieć jego reakcji na moje wątłe skrzydełka w czerwonym kolorze niegrzecznych dziewczynek.

– Kupiłem ci już dawniej trochę ubrań, bo spodziewałem się, że będziesz ich potrzebowała. Popatrz na tę bluzkę: zakłada się ją od przodu i związuje z tyłu. Wsuwasz ramiona w rękawy, a potem tasiemką na karku zabezpieczasz ją z tyłu. Plecy są odsłonięte mniej więcej do połowy, a potem jest następna tasiemka, jak w gorsecie, więc skrzydła możesz trzymać na zewnątrz albo możesz je złożyć i schować. Wystarczy, że mocno zaciągniesz sznurek i zwiążesz go na plecach na wysokości pasa. Skrzydła mogą się swobodnie poruszać, a materiał przylega do ciała.

Kiwam głową i biorę bluzkę z jego rąk bez przyglądania się jej. Odwracam się tyłem do Reeda i wsuwam w nią ramiona. Próbuję związać tasiemkę na karku, ale przez dłuższą chwilę szamoczę się, bo trzęsą mi się ręce. Reed delikatnie odsuwa moje dłonie i wiąże wstążkę. Potem szybko radzi sobie z tasiemką na wysokości pasa. Odwraca mnie do siebie i zamyka w mocnym uścisku. Jestem bliska załamania, ale jakoś udaje mi się wziąć się w garść.

– Cały czas milczysz, Evie. Musisz mi powiedzieć, o czym myślisz – nalega Reed.

– Myślę, że to była świetna decyzja z tą bluzką. Materiał jest taki miękki i ciepły. Dziękuję – odpowiadam. – Martwiłam się, że będę musiała paradować półnaga, zanim wymyślę jakiś sposób na złożenie moich mizernych skrzydeł. – W ostatnie słowa wkładam odrobinę pogardy, którą odczuwam do swoich nowych części ciała.

– Nie podobają ci się twoje skrzydła? – pyta Reed zaskoczony.

– Szczególnie... Dlaczego są takie małe i dlaczego nie potrafię nimi poruszać? – Wpatruję się w punkt na środku jego klatki piersiowej.

A o kolorze to już w ogóle nie chce mi się gadać – myślę.

– Evie, one są idealne – mówi Reed, a kiedy marszczę brwi, podnosi mój podbródek, tak że nasze spojrzenia się spotykają. – Naprawdę idealne. Są małe, bo jesteś jeszcze młoda. Z czasem urosną, ale trudno sobie wyobrazić, żeby mogły być piękniejsze niż teraz. Już niedługo będziesz umiała je kontrolować. Potrzeba na to trochę czasu, ale nauczysz się – mówi i delikatnie gładzi moje skrzydła.

– Podobają ci się? – pytam zaskoczona. – Wydawało mi się, że coś jest z nimi nie tak.

– Evie, nie masz pojęcia, jak mi się podobają – mówi z żalem. – Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Ale to niemożliwe. One są szkarłatne! – stwierdzam beznamiętnie. – Dlaczego nie białe albo szare, tak jak twoje?

– Są szkarłatne, bo jesteś Serafinem. Gdybyś była Archaniołem, miałybyś białe skrzydła, a gdybyś była Aniołem Mocy, tak jak ja, mogłyby być w innym kolorze. Tylko Serafini mają taką barwę, a to znaczy, że jesteś wyżej w hierarchii niż Archaniołowie, Aniołowie Tronu, Cnót, Cherubini, Aniołowie Mocy... ale niech ci się nie przewróci w głowie, bo nadal masz mnie słuchać, dopóki tu jesteśmy – informuje mnie z uśmiechem.

– Nie bądź śmieszny. Jak mogę stać wyżej w hierarchii niż ktokolwiek inny? Jestem wybrykiem natury, a jeśli tego jeszcze nie zauważyłeś, większość aniołów ze szczególną ochotą zdusiłoby moją duszę – odpowiadam smutnym głosem. – Miałaś rację wtedy przy rejestracji, kiedy powiedziałeś, że mamy przerąbane. Ja mam przerąbane, prawda? Nie ma szans, żebym przeżyła.

– Ale przecież przeżyłaś, wbrew wszelkim przeciwnościom. Jeśli chodzi o zabijanie Upadłych, Zefir jest jak maszyna... a jednak przeżyłaś spotkanie z nim – mówi Reed poważnie. – Nie tylko przeżyłaś: mogę się założyć, że w razie potrzeby będzie walczył, żeby cię chronić. Pokonał go, a jest z niego potężny sojusznik. Przeżyłaś też spotkanie z Upadłym podczas przyjęcia, przeżyłaś spotkanie ze mną. Masz w sobie jakąś moc silniejszą od nas. Nawet Upadły był nią zuroczony.

– Przeżyłam Sebastiana, bo ty tam byłeś, a jeśli chodzi o ciebie... No cóż, miałam po swojej stronie motyle – odpowiadam łagodnie. – A co do Zefira, to nie jestem pewna. Śmiertelnie się go boję.

Twarz Reeda przyjmuje wyraz smutku.

– Przepraszam, że nie byłem tu dziś wieczorem. Kiedy myślę, co mogło się z tobą stać... Nie wiem, co bym zrobił, gdyby on cię skrzywdził – mówi zdenerwowany. – Byłem w Chicago, żeby odebrać twój prezent urodzinowy. Miałem ci go dać na przyjęciu, ale Russell zadzwonił do mnie, kiedy wracałem do miasta. Powiedział mi, że wybierasz się tutaj i wytłumaczył dlaczego. Już wcześniej dzwonił do mnie Zefir i też mnie zawiadomił, że tu jest, bo po całym mieście krążą dusze. Nie rozumiem, co je tak wszystkie poruszyło... – mówi niezadowolony z tego zbiegu okoliczności.

– Zefir nie jest jedynym aniołem w mieście. Widziałam jeszcze dwa w gmachu Delty, kiedy tam byłam. Poprosiłam Russella, żeby się z tobą skontaktował... Ach, prawda, Russell!

Muszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Zostawiłam go na przyjęciu. Bardzo mi się spieszyło, a on dobrze wiedział, że muszę zniknąć. Na pewno się martwi... no i nikt go nie pilnuje!

Biorę gwałtowny wdech i łapię Reeda za rękę. Nie dzielę się z nim na razie wiedzą o tym, dlaczego dusze paradują po mieście.

– Proszę cię, Reed, pozwól mi skorzystać ze swojego telefonu.

Reed podaje mi komórkę, ale wstrzymuję się chwilę z wybraniem numeru. Chrząst opon na żwirze przed domem informuje nas, że przybywa jakiś nowy gość. Samochód zatrzymuje się gwałtownie przed wejściem do domu. Potem ktoś wyskakuje ze środka i nie zadaje sobie nawet trudu, żeby zatrzaskać drzwi auta.

Frontowe drzwi otwierają się z hukiem i Russell krzyczy:

– Ruda!

– Cholera! To Russell, co mam zrobić? Nie może mnie zobaczyć w takim stanie. Jak mam te cholerstwa schować z powrotem? – pytam Reeda w pośpiechu i odwracam się do lustra. Znow próbuję poruszyć skrzydłami, ale one nawet nie chcą drgnąć.

– Nie martw się. Przekonam go, żeby wyszedł – mówi Reed, ale ja łapię go za rękę.

– Nie, nie rób tego! Miałam pilnować Russella, pamiętasz? Musisz go nakłonić, żeby został, i musisz mi pomóc pozbyć się skrzydeł!

– Ale podobają mi się twoje skrzydła. – Uśmiecha się słodko i znow je głaszcze.

Przysięgam, jeśli zrobi to jeszcze raz, zacznę mruczeć jak kociątko. Nie myśl teraz o tym, skup się!

– Proszę cię! – mówię przez zaciśnięte zęby, zamykam oczy i zaciskam ręce w pięści.

W ciągu paru sekund Reed znika z łazienki, ale nie mam zbyt dużo czasu, żeby się zastanawiać, dokąd poszedł, bo niemal natychmiast wraca. Trzyma w ręku szklankę z czymś, co swym zapachem podejrzanie przypomina koniak. Podaje mi to i mówi:

– Wypij to. Będzie ci łatwiej się zrelaksować, a wtedy będą większe szanse, że złożysz skrzydła. Nie schowają się, dopóki będziesz spanikowana. Pójdę porozmawiać z Russellem i potem wrócę.

Sekundę później już go nie ma, a ja słyszę jego rozmowę z Russellem w holu na parterze. Krótco potem prowadzi Russella do biblioteki. Ponieważ nie mam czasu, żeby smakować koniak, wypijam go jednym haustem, od czego prawie umieram. Przez parę minut kaszlę i rżęzę, oddycham bardzo płytko.

Reed stara się powstrzymać śmiech, kiedy wchodzi ponownie do łazienki.

– Evie, z tobą nie można się nudzić. Czy właśnie wypijaś cały kieliszek? – pyta mnie ze znaczącym uśmiechem.

– Tak. A teraz mi pokaż, jak mam schować skrzydła – mówię, ocierając łzy kapiące mi z oczu; oczywiście nie mają one nic wspólnego z emocjami, są wywołane wyłącznie przez koniak.

– Musisz się uspokoić... rozluźnić – szepcze Reed nachylony nad moim uchem, laskocze je swoim oddechem.

– Jak mam się rozluźnić? Russell jest na dole z aniołem, który kilka minut temu zamierzał mnie zabić, ja utknęłam tutaj z parą jaskrawoczerwonych skrzydeł wystających mi z pleców, a ty mi nie pomagasz! – mówię rozczarowana i pragnę zmusić swoje skrzydła, żeby weszły z powrotem do wnętrza mojego ciała.

Patrząc na Reeda, dostrzegam na jego ustach uśmiech.

– A teraz się śmiejesz? Bawi cię to? – pytam.

– No cóż, powinnaś zobaczyć minę Russella, kiedy przedstawiłem go Zefirowi. Był dość zdenerwowany, że jesteś tu sama z nami dwoma – mówi uśmiechnięty Reed. – Zefir też nie był zachwycony spotkaniem z Russellem. Zastanawiam się dlaczego...

– Reed! Idź na dół i pilnuj, żeby Zefir nie zabił Russella.

– Zefir go nie skrzywdzi... chyba że Russell powie coś głupiego. – Reed nie przejmuje się moimi słowami i przysiadła na blacie szafki.

– Reed! Pomóż mi!

– Potrzebujesz mojej pomocy? – pyta, a ja kiwam głową, rzucając mu płomienne spojrzenie. – No dobrze, pomogę ci.

Zsuwa się z blatu i zbliża się do mnie powoli, nie odrywając wzroku od moich oczu. Zgrabnie podnosi mnie do góry i sadza zdecydowanym ruchem na blacie. Natychmiast przeszywa mnie elektryzujący dreszcz oczekiwania na to, co się będzie działo dalej.

Reed stoi między moimi nogami i wyciąga z moich włosów klamerki w kształcie motyli, jedną po drugiej. Pożeram w tym czasie wzrokiem wszystkie śliczne krzywizny jego anielskiej twarzy. Włosy opadają mi luźno na plecy. Ale Reed mocnym chwytem zbiera je w swoje dłonie. Odciąga moją głowę do tyłu, eksponuje moją twarz i przejmująco wolno zbliża swoje wargi do moich. Kiedy nasze usta w końcu się spotykają, pocałunek oszałamia mnie bardziej niż koniak: twarz mi się czerwieni i zaczynam desperacko walczyć o oddech. Kładę dłonie na jego ramionach i lekko wpijam się w niego paznokciami, starając się przyciągnąć go jak najbliżej siebie.

– Właśnie tak, Evie, staraj się mnie przyciągnąć – szepcze Reed tuż przy moich wargach. Oplatam go w pasie nogami i całuję z całą desperacką pasją... A jeszcze kilka minut temu myślałam, że nigdy już nie będę jej z nim dzielić. Potem zaś Reed odsuwa się ode mnie.

Otwieram oczy, czując w całym ciele intensywne rozczarowanie.

– Czemu przestałaś? – pytam bez tchu i przyglądam się jego twarzy, która jak na mój gust wygląda na nieco zbyt pewną siebie.

– Udało ci się. – Reed się uśmiecha.

Muszę wyglądać na zdezorientowaną, bo dodaje po chwili:

– Twoje skrzydła... – Wskazuje znajdujące się za mną lustro.

Patrząc przez ramię, nie dostrzegam w lustrze skrzydeł. Znów wyglądam jak człowiek, ale mimo to czuję rozczarowanie: cały proces nie trwał dostatecznie długo, a przecież sama metoda składania skrzydeł okazała się bardzo, bardzo przyjemna.

– Och – mówię niepewnie i dotykam koniuszkami palców spuchniętych ust. – Pamiętam, że kazałeś mi się rozluźnić. A ja nie czuję się rozluźniona.

Właściwie czuję się tak, jakby trawił mnie ogień – myślę.

– Ale można to też było zrobić trochę inaczej – odpowiada Reed, patrząc na mnie wzrokiem pełnym żaru. – Byłaś tak skupiona na przyciąganiu mnie, że udało ci się ta sztuka ze skrzydłami.

– Aha – znów odzywam się niepewnie – dzięki.

– Nie, to ja tobie dziękuję – mówi Reed miękko, pochyla się nade mną i pieści moją szyję wargami. A potem szepcze: – Chcesz teraz zejść na dół?

– Nna dół...? – jąkam się.

– Russell... biblioteka... – odpowiada Reed, wciąż delikatnie całując moją szyję.

– Aha... no, tak... – jęczę, odsuwając się od niego. – Lepiej zejść na dół, zanim Russell zacznie mnie szukać. Wolę nie tłumaczyć, co stało się z twoim pokojem. Zeskakuję z blatu, muszę się podeprzeć, bo alkohol, który niedawno w siebie wlałam, zaczyna mnie „rozluźniać”. – To może być ciekawe – mamroczę i prostuję ramiona. – Czy Zefir jeszcze jest na dole? – Waham się, bo nie wydaje mi się, żebym miała ochotę kiedykolwiek go oglądać.

– Tak, jeszcze tu jest. Chce potem z tobą porozmawiać. Jesteś fascynująca; nie sądzę, żebym zdołał się go pozbyć, zanim odpowiesz na jego następne pytania. – Reed wyprowadza mnie z łazienki.

– A co, jeśli udzielę nieprawidłowych odpowiedzi? – pytam, bo po raz kolejny przeszywa mnie strach i zapewne z tego powodu skrzydła znów niespokojnie drżą wewnątrz mojego ciała. Muszę się uspokoić, bo inaczej znów wyskoczą na wierzch. Biorę głęboki wdech i próbuję się zrelaksować.

– Nie ma nieprawidłowych odpowiedzi – mówi uspokajająco Reed i prowadzi mnie za rękę do biblioteki.

Nie mam czasu martwić się o to, co może zrobić Zefir, ponieważ na mój widok Russell natychmiast wstaje z fotela. Zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, podnosi mnie w górę i zamyka w niedźwiedzim uścisku, od którego tracę dech w piersiach. W objęciach Russella czuję się w dziwny sposób uspokojona, choć obaj aniołowie obecni w pokoju cicho warczą.

– Russell, jak ci się udało tak szybko tu przyjechać? – pytam, mając nadzieję, że odstawi mnie na podłogę, zanim któryś z aniołów dojdzie do wniosku, że dość już tych pieszczot. Sądząc po przyspieszonych oddechach obu, ta chwila jest już całkiem blisko.

– Powiedziałem Freddiemu, że zapomniałem czegoś w akademiku, więc pożyczył mi kluczyki. Miałem jeszcze w jego samochodzie swoje ciuchy, więc przebrałem się po drodze – mówi Russell z ponurą miną, po czym prezentuje swoje dzinsy i koszulkę zamiast togi, w

której wcześniej go zostawiłam. Odstawia mnie na podłogę, tyle że nie puszcza mojej ręki. – Ale ty byłaś jeszcze szybsza... – mówi i milknie.

Mam wrażenie, że nagle blednę.

– Tak, byłam szybsza – mamroczę niewyraźnie.

– Widziałem tych dwóch, o których mówiłaś, kiedy wszedłem tam do środka po kluczyki od Freddiego, tych Sebastianów. Zaczynam już was wszystkich rozpoznawać – mówi Russell, zwracając się do Reeda. – Wystarczy, że rozejrzę się po pomieszczeniu za superatrakcyjnymi ludźmi, którzy tak jakoś dziwnie błyszczą, i zaraz dostaję dreszczy – ciągnie dalej opryskliwym tonem. – Tamci najwyraźniej na coś czekali. I przez cały czas mówili do ścian. Zrobiła mi się od tego gęsia skórka – mówi i mimowolnie się wzdryga.

Zerkam na Zefira i próbuję stwierdzić, jak reaguje na słowa Russella. Co zrobi Zefir, kiedy dojdzie do wniosku, że Russell zaczyna się domyślać, kim są te istoty? Zefir siedzi na krześle i bawi się szklanką, którą trzyma w ręku. Nie patrzy na Russella, tylko przygląda mi się badawczo.

Ciągnę swoją bratnią duszę w kierunku kanapy. Siadam na środku i pokazuję mu miejsce obok siebie.

– Zorientowali się, że im się przyglądasz?

– Chyba nie – odpowiada.

Wstaję z kanapy i podchodzę do barku w rogu pokoju. Nalewam do szklanki jakiegoś bursztynowego napoju, wracam i podaję drinka Russellowi. Bierze go ode mnie i zaczyna sączyć, a ja wracam na miejsce obok niego. Reed siada po mojej drugiej stronie.

– Ruda, ty też jesteś jedną z nich? – pyta Russell, ruchem ręki trzymającej szklankę wskazując Zefira, a potem Reeda.

Przez chwilę siedzę w milczeniu i staram się sformułować jakąś odpowiedź. Pamiętam o tym, że Russell zawsze poznaje, kiedy kłamię. Ale zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, on sam ciągnie dalej.

– Nigdy nie widziałem, żebyś ty tak błyszczała... dopiero dzisiaj... ale to jest wyraźne. Tak jakbyś była podświetlona od środka. Twoja skóra trochę się świeci, jak u nich – mówi, znów wskazując Zefira i Reeda.

– Naprawdę? – pytam cicho i patrzę na swoje ramię, jakby należało do kogoś obcego.

Moja skóra rzeczywiście trochę lśni, świeci przytłumionym blaskiem, którego nigdy wcześniej nie zauważałam. Zastanawiam się, czy to może być efekt towarzyszący pojawieniu się skrzydeł. Spoglądam znów na Russella, a on ze smutkiem kiwa do mnie głową. Marszczę brwi i próbuję się skupić.

– Russell, nie wiem, co mi wolno powiedzieć, ale może nic się nie stanie, jeśli cię zapewnię: nie jestem jedną z nich... – mówię i widzę, jak Russell z ulgą wypuszcza powietrze. Mam ochotę nie kończyć tego zdania, ale wiem, że Russellowi jednak należy się ode mnie jakieś wyjaśnienie. – I nie jestem też jedną z twoich... Jestem, no... trochę tym, trochę tamtym.

Russell nic nie mówi, patrzy tylko na mnie z wyrazem zdumienia i bólu. Potrzebuje bardziej wyczerpujących wyjaśnień, więc ciągnę dalej:

– Pamiętasz, jak mówiłam, że w gruncie rzeczy nie miałam rodziców. No więc... moja mama nie żyje. Umarła przy porodzie. A co do ojca... nikt o nim nic nie wie. Ale chyba już nie ma wątpliwości, że musi być bardzo podobny do Reeda – wyjaśniam i modłę się, żeby to był już ostatni raz, kiedy jestem odpowiedzialna za ból w oczach Russella.

Dlaczego ja mu to ciągle robię? Bez przerwy go krzywdzę – myślę z żalem.

– Od jak dawna o tym wiesz? – pyta Russell zaczepnym tonem, puszcza moją rękę, a jego gniewne spojrzenie wbija mnie w moje miejsce na kanapie.

– Domyśliłam się niedługo przedtem, zanim zacząłeś się spotykać z Candace – szepczę. – Przykro mi, ale nie mogłam ci powiedzieć. Takie są reguły i...

– Jakie reguły? – pyta z niesmakiem. Jego ból przekształca się w złość.

Źle mi to idzie! On nic nie rozumie. Muszę coś zrobić, tylko co? – myślę zdesperowana.

– Nie mogę ci powiedzieć – mówię nieprzekonująco. Sięgam po jego dłoń, ale Russell ją cofa.

– Aha... jeszcze więcej tajemnic, oczywiście, nie powinienem się dziwić. Oni wiedzą, prawda? – pyta retorycznie, spoglądając na Reeda i Zefira. Kiwam głową bez przekonania, co tylko wprawia go w jeszcze większą złość. – Więc mówisz, że jesteś w połowie człowiekiem, a w połowie... – milknie, czekając, aż dokończę to zdanie.

Patrzy po kolei na każde z nas, a kiedy wszyscy uparcie milczymy, rzuca:

– Wszyscy jesteście obrzydliwi. Muszę iść.

– Russell, nie wychodź. – Wstaję z kanapy.

– Dlaczego? Zamierzasz mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? – pyta z sarkazmem. – Wiesz, Ruda, co ci powiem? Czuję się, jakbyście ze mną grali w jakąś grę, a ja nawet nie wiem, jak ona się nazywa ani jakie są zasady.

– Zaufaj mi, Russell, to nie jest żadna gra.

– W takim razie wytłumacz mi wszystko, Evie. – Russell przeciąga dłonią po swoich płowych włosach.

– Nie mogę – odpowiadam zniechęcona jego uporem. Tak bardzo chce się dowiedzieć rzeczy, która przypieczętuje jego los.

– No to cześć. – Russell kieruje się w stronę drzwi biblioteki. Odwracam się bokiem do oparcia kanapy i kładę kolana na poduszkach.

– Russell, pamiętasz, jak wracaliśmy z przyjęcia, a ja cię błagałam, żebyś wrócił z powrotem, bo chciałam, żebyśmy pomogli Reedowi w walce z Sebastianem? – Russell zatrzymuje się. – Pamiętasz, co mi powiedziałeś? Żebym się zamknęła i że nie pozwolisz mi tam wrócić. Powiedziałeś, że to jedyny sposób, żeby mnie ochronić: nie wracać. I że będziesz mnie chronił, nawet jeśli mi się to nie podoba. No więc jedyny sposób, żebym ja mogła chronić ciebie, polega na tym, żeby ci nie mówić wszystkiego, co byś chciał wiedzieć. I będę trzymała głowę na kłódkę, nawet jeśli ci się to nie podoba.

– Tak, Ruda, pamiętam. Ale i tak muszę iść. Zobaczymy się później – mówi. Nie odwraca się, gdy wychodzi z biblioteki. Mam ochotę iść za nim, ale Reed łapie mnie za nadgarstek i nie mogę wstać z kanapy.

– Niech idzie, Evie. Musi to wszystko przemyśleć po swojemu, a ty mu nic nie pomożesz – przekonuje mnie, kiedy próbuję się z nim szarpać.

Odwracam się od niego gwałtownie i opadam plecami na oparcie kanapy.

– Jak mam go pilnować, jeśli całkiem go do siebie zniechęciłam? Uważa, że jestem odrażająca... – mówię ze smutkiem.

– Nie jesteś odrażająca. – Bierze mnie za rękę, ma taki kojący głos.

– Reed, nie jesteś najlepszym sędzią w tych sprawach, bo jesteś jeszcze bardziej odrażający niż ja – mówię nieufnie i spoglądam na Zefira, który na te słowa wybucha śmiechem. – Na twoim miejscu nie śmiałybym się tak głośno, kolego, bo ty z nas wszystkich jesteś najbardziej odrażający.

Po chwili obaj już ryczą ze śmiechu. Mnie to nie bawi, bo wypowiadam te słowa jak najbardziej serio.

Zefir uśmiecha się do mnie promiennie.

– Evie, akurat w czasie, kiedy wpadałem już w rozpacz, że nigdy nie przydarzy mi się nic nowego, zjawiasz się ty i ratujesz mnie przed nudą.

– Jestem zachwycona, że potrafisz cię rozbawić. Ale choćbym miała zabrznieć niegrzecznie, zapytam, jak długo zamierzasz tu zostać.

– Tak długo, jak długo będę ci potrzebny – odpowiada Zefir delikatnym głosem.

A potem zwraca się do Reeda:

– Gdzie masz zamiar przenieść się później? Mógłbym mieć parę propozycji, jeśli chcesz. Musimy ją nauczyć, jak ma się sama bronić, skoro już staje się silniejsza. Potrzebna ci będzie dodatkowa pomoc? Mogę się przydać także i do tego.

– Myślałem o jakichś mniej zatłoczonych miejscach. Grenlandia albo Islandia, ale Evie nie mówi po duńsku ani po islandzku. Jakimś rozwiązaniem mogłyby być Falklandy; mówią tam po angielsku, w każdym razie większość mieszkańców.

– Ja się nigdzie nie wybieram. – Wstaję z sofy. Zaczynam krążyć po pokoju. Reed wie, że nie mogę wyjechać, więc po co o tym rozmawiają?

– Mógłbym zaproponować coś lepszego: prywatną wyspę. – Zefir ignoruje mnie i dalej drąży temat wyjazdu z Crestwood.

Znów czuję ostry ból związany z dziwnym drżeniem mięśni pleców. Muszę zachować spokój. Podchodzę do baru i nalewam sobie do szklanki trochę bursztynowego płynu z pięknej karafki. Nie wiem, jaką nazwę nosi ten napój, ale mówię na niego płynny ogień, bo kiedy upijam solidny łyk, pali mnie jeszcze mocniej niż koniak.

Reed w jednej chwili znajduje się przy mnie. Nalewa do innej szklanki trochę wody i podaje mi. Popijam wolno, staram się odzyskać oddech.

– Reed, nigdzie nie jadę. Wiesz, że nie mogę – szepczę.

W naszą rozmowę wtrąca się Zefir.

– Co takiego, Evie? To całkiem oczywiste, że musisz stąd wyjechać. Po tym mieście wałęsają się dusze. Są jak światła przewodnie i przyciągają rozmaite rzeczy, których wolałoby się nie spotykać.

– Nie mogę zostawić Russella. Potrzebuje mnie, więc zostanę.

– Masz na myśli tego chłopaka, który właśnie powiedział, że jesteś odrażająca? To twoja bratnia dusza, prawda? – pyta Zefir z naciskiem. Jego bystre niebieskie oczy zauważają wszystko.

Skrzydła znów poruszają się wewnątrz mojego ciała. Cholera!

– Naprawdę nie dbam o to, czy uzna mnie za najbardziej odrażającą istotę na Ziemi. Muszę mu pomóc, więc nie wyjeżdżam. A Will już mnie ostrzegł w sprawie dusz. Powiedział, że jakaś dusza z budynku Sztuk Pięknych widziała, jak z nim rozmawiam, i wygadała się przed innymi. Wszystkie mnie szukają. Will radzi, żebym udawała, że ich nie widzę, to prędzej czy później sobie pójda – mówię na tyle nonszalancko, na ile potrafię, i siadam z powrotem na kanapie. – Po prostu się schowam na jakiś czas, aż znikną.

– Kto to jest Will? – pyta z zainteresowaniem Zefir.

Reed marszczy brwi i odpowiada:

– Will to dusza.

A potem zwraca się do mnie:

– A kiedy miałaś okazję znów rozmawiać z Willem?

Opowiadam mu całą historię o kradzieży tablicy pamiątkowej, wojnie na plaży i dzisiejszym ostrzeżeniu Willa przy okazji przyjęcia u Delt. Twarz Reeda pochmurnieje, a on sam staje z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jak zafrasowany ojciec. Zefir unosi brwi i patrzy na Reeda pytającym wzrokiem.

Reed zwraca się do niego i mówi:

– Właśnie skończyła osiemnaście lat. Nie pamiętam, żebym był taki nieodpowiedzialny, kiedy miałem tyle lat, ale z drugiej strony w ogóle mało co pamiętam z tamtego czasu. A ona ma jeszcze różnych dziwnych znajomych.

– Czyj to był pomysł, żeby kopać okopy na plaży, przy wodzie? – pyta Zefir, ale nie czeka na moją odpowiedź. – To dobrze, że byliście na piaszczystym gruncie, bo w takich warunkach nie grozi pożar, ale był to teren, po którym łatwo jest się przemieszczać. Czyli wasi wrogowie nie mogli was spalić, ale mogli po was przyjść. Pozwoliłaś na to, żeby twoje oddziały zostały odizolowane, skoro nie zastosowałaś technik wodnych. Nie potrafisz jeszcze latać, więc tej możliwości nie miałaś. Znalazłaś się w pułapce i powinnaś się stamtąd szybko wynieść. Kiedy zjawili się przeciwnicy z nieoczekiwanymi sojusznikami, twoja pozycja stała się fatalna, co oznacza, że trzeba się było przygotować na intensywną walkę i zmobilizować wielką chęć przetrwania, bo brak zaangażowania oznaczałby śmierć. Kim byli wasi generałowie? – pyta Zefir.

– Zefir, to są ludzkie dzieci. Miały pistolety na farbę. Chodziło o zabawę.

Zefir, który wygląda na nieco zde gustowanego, mówi:

– Rozumiem. Ale mimo wszystko, Evie, musisz się nauczyć, jak być nieprzeniknioną dla przeciwników, żebyś to ty mogła ich stawiać w położeniu, z którego nie ma ucieczki.

Zefir sprawia wrażenie, jakby naprawdę martwił go mój brak znajomości sztuki wojennej. Jest w tym coś, co w niewyjaśniony sposób łagodzi moją niechęć. Uśmiecham się do niego, a on także rewanżuje mi się uśmiechem.

Jednakże przestają się uśmiechać, kiedy odzywa się Reed:

– Evie, naprawdę musimy jak najszybciej wyjechać z Crestwood. To miejsce wkrótce zapełni się różnymi dziwnymi aniołami.

– Nie – odpowiadam, krzyżuję ręce na piersi i robiąc swoją najgroźniejszą minę. – Zostanę u ciebie w domu, jeśli się zgodzisz, i ich przeczekam, ale nie ruszę się z Crestwood.

Zefir znów odchyła się do tyłu w swoim fotelu i pyta:

– Czy ja czegoś nie rozumiem, czy też twoja strategia polega na tym, żeby zachowywać się nietypowo?

Reed opowiada mu o moich przeczuciach z 7-Eleven i o naszyjniku, który spadł z góry, gdy stałam pod światłem. Zefir chrząka, kiedy Reed kończy wyjaśniać sytuację.

– Ale to jest dla ciebie bardzo, bardzo niebezpieczne. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Poradzę sobie. Nie mogę uciekać, nie przed czymś takim. Jeśli teraz ucieknę, Russell przegra. Nie mogę tego zrobić. Więc wymyślcie jakiś plan, zgodnie z którym zostaniemy tu, aż Russell będzie bezpieczny. Ja będę ten plan wypełniać co do joty. Obiecuję. – Patrzę na wyraz twarzy Reeda. Odwracam się do Zefira. – Zefir, to jest chyba twoja mocna strona: co zrobić, żeby zwyciężyć? – Staram się zmotywować ich obu, żeby przyjęli mój tok rozumowania.

– Evie... – mówi Reed łagodnym tonem i zaczyna powoli zbliżać się do mnie, a ja znam już minę, która pojawia się na jego twarzy, minę to-przecież-wszystko-dla-twojego-własnego-dobra.

– Nie, Reed – mówię wściekle i głośno łapię powietrze, a skrzydła znów bez udziału mojej woli wystrzelują mi z pleców. Przynajmniej tym razem nie spadła mi bluzka. Próbuję wyrównać oddech, bo przed chwilą całe powietrze po raz kolejny zostało wyciśnięte z moich płuc. Kiedy dochodzę do siebie, robię nachmurzoną minę.

– No pięknie! Widzisz? Choćbym chciała, nie mogę teraz podróżować. Jak tylko się zdenerwuję, to coś wyłazi mi z pleców. A gdybyś mnie zmusił do wyjazdu, byłabym bardzo, bardzo zdenerwowana. Możesz być tego pewien.

– Zefir, w walce z nią nie miałbyś szans, prawda? – Reed rzuca to pytanie przez ramię, jednocześnie podchodzi do mnie i siada obok na kanapie.

– No, raczej nie. A ty? – pyta Zefir i patrzy na mnie, jakbym była akwarium z rzadką tropikalną rybą.

– Cóż, nie miała wtedy skrzydeł. Ale nie, prawdę mówiąc, ja też nie – odpowiada Reed niewesołym głosem. Bierze mnie za rękę i zwraca się tym razem do mnie. – Masz rację, Evie, nie możemy teraz wybrać się w podróż. Będziemy musieli tu zostać, aż się przyzwyczaisz do swoich skrzydeł. A więc będziesz teraz mieszkać u mnie, w moim domu.

– Dziękuję! – Obejmuję go ramionami i ściskam entuzjastycznie. – Nie pożałujesz tego. Będę siedzieć naprawdę cichutko. I zastosuję się do wszystkich zasad.

– Och, zasad będzie bardzo wiele. Potraktuj ten dom jako obiekt zamknięty. Od teraz będziesz eskortowana przy każdym wyjściu – odpowiada Reed niechętnie. – Zefir, czy zostaniesz?

– Musisz pytać? – Zefir odpowiada pytaniem. – Są dwa obiekty, które trzeba chronić. Potrzebne będą umiejętności koordynacyjne, a przy tej okazji będę miał idealną sposobność, żeby nauczyć Evie taktyki i strategii.

– Dziękuję. Jeśli pomożesz mi uratować Russella, całkowicie ci wybaczę, że przez ciebie aż mi skrzydła wyszły ze strachu – śmieję się do Zefira.

– A ja jestem pewien, że gorzko tego pożałuję, ale skoro mi wybaczasz, muszę pomóc – rewanżuje mi się śmiechem.

Reed i Zefir omawiają sprawy strategiczne, a mnie w tym czasie dopada zmęczenie wywołane długim dniem. Opieram głowę na ramieniu Reeda i zamykam oczy. Musiałam zasnąć na kanapie, bo w pewnej chwili uświadamiam sobie, że ktoś kładzie mnie do łóżka, w którym spałam w tym domu już poprzednio.

– Która godzina, Reed? – Próbuję usiąść.

– Cii, późno jest. Prześpij się, Evie, jesteś zmęczona – odpowiada delikatnie Reed.

– Dokąd idziesz? Musisz zostać. Niewiele czasu spędziliśmy dzisiaj we dwoje, w każdym razie niewiele czasu bez kłótni. Nie opowiedziałeś mi o Chicago. – Staram się utrzymać oczy otwarte, ale zamykają mi się co kilka chwil.

– Opowiem ci jutro. – Uśmiecha się na widok mojej upartej walki o zachowanie przytomności.

– Szybciej zasnę, jeśli ze mną zostaniesz. – Przesuwam się na łóżku, żeby zrobić mu miejsce obok siebie.

Kiedy w końcu ustępuje i kładzie się przy mnie, przytulam się do niego.

– Gdybym mogła zachować na zawsze jakąś chwilę, na pewno wybrałabym tę. Nigdy nie mam dość twojej obecności – szepczę sennie, gdy czuję wokół siebie jego ramiona.

– Wyjedźmy razem i będziesz miała mnie na całą wieczność – mówi, ale jego ton jest pełen napięcia i troski.

Głaszczę go po policzku końcami palców i mówię:

– Jeśli teraz wyjadę, Russell na zawsze pozostanie moim wyrzutem sumienia, który będzie psuł relacje między tobą i mną jak jakaś choroba. Nie chcę, żeby coś takiego nam towarzyszyło. Chciałabym, żebyśmy byli tylko my dwoje.

Twarz Reeda powoli zbliża się do mojej.

– Evie, pozwól, że coś ci wytłumaczę. Przez te wszystkie lata, które tu spędziłem, miałem wrażenie, że śpię. Zawsze muszę udawać, że jestem kimś innym, niż jestem naprawdę, muszę udawać człowieka. Kiedy tego nie robię, poluję na zło, na bezwzględnych aniołów, którym zależy tylko na... – Zanim Reed milknie, słyszę w jego tonie pustkę, która odzwierciedla samotność jego egzystencji. – Ale teraz się obudziłem – ciągnie dalej – po raz pierwszy w trakcie swojego istnienia. Nie tylko się obudziłem, ale kiedy jesteś blisko mnie, czuję w sobie ogień. Dzięki tobie wszystko się zmieniło. Przy tobie nie muszę nic udawać. Gdybym teraz miał zacząć znowu żyć bez ciebie... kiedy już wiem, co mogę stracić... – Tęsknota, którą słyszę w jego głosie, sprawia, że jestem gotowa obiecać mu, cokolwiek zechce, byle tylko wypełnić w nim tę pustkę. – Nie mogę znowu zasnąć, Evie. Tylko ty sprawiasz, że chce mi się żyć. Jeśli stąd odejdziesz, jeśli pójdiesz do raju albo zostaniesz strącona w otchłań, albo zaprowadzona tam przez kogoś z Upadłych... Będę musiał iść za tobą, gdziekolwiek to będzie. Nawet jeśli miałbym cię gonić w ciemności... Jeśli przestaniesz istnieć, przestanę i ja. Jesteś moim grzechem i moim odkupieniem.

– Reed, nie mów takich rzeczy. Nigdy bym nie chciała dla ciebie takiego losu, nigdy. – Mocno go obejmuję.

– Więc twoim zadaniem jest przetrwać. Obiecaj mi, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby przeżyć.

– Cii, Reed – odpowiadam natychmiast, starając się go ukoić.

– Mówię poważnie, Evie. Rozmawiałem z Zefirem. Opowiedział mi, jak się zachowałeś, co mówiłaś... Oddawałaś swoje życie za moje. Tylko ty tak potrafisz.

– Reed, nigdy wcześniej nie byłam zakochana ani nikt mnie nie kochał... nie tak jak teraz. Zrobiłabym dla ciebie wszystko – szepczę i staram się, żeby Reed zobaczył, ile dla mnie znaczy. – Dzięki tobie chcę więcej: więcej czasu, więcej twojej miłości, więcej ciebie. Obiecuję ci, że już nigdy, przenigdy nie będziesz się nudził.

– Evie, wiem, że jeśli będę miał ciebie, nie będę się nudził. – Uśmiecha się, a potem trzyma mnie w objęciach do chwili, kiedy udaje mi się zasnąć.

Rozdział 19

Wystawa obrazów

Rano budzą mnie promienie słońca wpadające przez okna gościnnej sypialni Reeda. Kiedy otwieram oczy, gospodarz domu leży obok mnie.

– To dla ciebie. – Wyciąga w moją stronę rękę z hebanowym pudełkiem.

Biorę je, siadam i opieram się na poduszkach.

– Co to jest?

– Twój prezent urodzinowy. Otwórz.

Kiedy podnoszę pokrywkę pudełka, widzę spoczywający na wyściółce z czarnego jedwabiu cudowny naszyjnik. Nie znam się kompletnie na biżuterii, ale kamień znajdujący się w środku platynowej oprawy jest z pewnością najpiękniejszym kamieniem szlachetnym, jaki kiedykolwiek widziałam. Ma krwiste czerwony kolor i kształt herbowej tarczy.

– Co to jest? – pytam zachwycona i dotykam pięknego klejnotu lekko drżącymi palcami.

– To skała. Znalazłem ją dawno temu.

– To jest skała? – pytam z szeroko otwartymi oczami.

– Ściśle mówiąc, to czerwony diament – wyjaśnia Reed, biorąc ode mnie pudełko. Zbieram włosy i pozwalam, żeby założył mi naszyjnik. – Sam oszlifowałem kamień i nadałem mu kształt, ale chciałem, żeby był dobrze osadzony, więc zawiozłem go do przyjaciela w Chicago.

Kiedy naszyjnik jest już zapięty, podnoszę kamień i przyglądam mu się.

– I to ty znalazłeś ten diament? – pytam z niedowierzaniem. – Po prostu sobie leżał?

– Tak. Przypomina mi ciebie... Też jest pełen ukrytego ognia – mówi głosem delikatnym i pełnym czułości. – Podoba ci się?

– Jest idealny – szepczę i zarzucam Reedowi ramiona na szyję, mocno go ściskając. – Kiedy go znalazłeś?

– Kilka stuleci temu. W Afryce.

– A, no tak, oczywiście – mówię, żeby ukryć zdumienie. – Będziesz musiał mi o tym opowiedzieć.



Kilka następnych tygodni spędzam u Reeda. Czekam, aż opadnie pył, który niechcący wzbijał w powietrze. Nie mogę chodzić na zajęcia, ale Reed zadbał o to, żebym nie narobiła sobie zaległości. Przekazuje mi informacje o wszystkich pracach domowych i udziela mi korepetycji. Wiem, że jego zdaniem to strata czasu, bo przecież planuje, żebyśmy wyjechali z Crestwood, kiedy tylko Russell będzie już bezpieczny. Ale ładnie z jego strony, że nie porusza tego tematu. Ja z kolei mam nadzieję, że będę mogła tu zostać tak długo, aż sprawy wrócą do normalnego stanu. No, może słowo „normalny” w moim przypadku jest pewnym nadużyciem, ale w każdym razie do stanu, w jakim były poprzednio – a więc gdy dalszy pobyt w Crestwood będzie bezpieczny. Tęskniłabym przecież za Brownie, Buns, Freddiem... i Russellem.

Brownie i Buns myślą, że uwiliśmy sobie u Reeda miłosne gniazdko. Nie wyprowadzam ich z błędu, bo nie umiem lepiej im wyjaśnić, dlaczego spędzam tu noce i dni. Gdyby one chociaż wiedziały, jaką nieskończoną torturą są próby zaśnięcia w tym samym domu, w którym przebywa Reed! Sama jego obecność sprawia, że krew mi wrze, ale nic nie mogę z

tym zrobić. Na szczęście moje rzekomo intensywne życie miłosne nie powstrzymuje przyjaciółek od codziennego wpadania do mnie. Ponieważ sezon hokejowy na razie się skończył, nie muszę wymyślać pretekstów, żeby nie przychodzić na treningi. Ale dziewczyny martwią się, że znów jestem za bardzo zaangażowana w Reeda.

– Skarbie, powinnaś wrócić do akademika. Tęsknimy za tobą – mówi Buns pewnego wieczoru, kiedy siedzimy w salonie i oglądamy filmy. Zefir też jest z nami. Kiedy wpadają Buns i Brownie, nie daje się go odpędzić.

– Wiem, Buns, powinnam wrócić do swojego pokoju w akademiku, ale tu jest o wiele przyjemniej. Obie jesteście tu zawsze mile widziane, kiedy tylko macie ochotę wpaść i posiedzieć. No i dzięki temu Zet też może posiedzieć z nami – odpowiadam, patrząc na Zefira, który siedzi między Buns i Brownie z bardzo zadowoloną miną.

W głębi duszy myślę, że ze względu na niego obie dziewczyny też lubią tutaj wpadać, ale nie mówię tego głośno. A zatem wytwarza się swojego rodzaju nowa rutyna. Przyjaciółki odwiedzają mnie codziennie po zajęciach, a ja wynajduję różne sposoby, żeby spotykać się Russellem. Tyle że tęsknię za Freddiem. Codziennie rozmawiam z nim przez telefon, ale nie mogę go namówić, żeby przyszedł spotkać się ze mną u Reeda – co zresztą ciągle mnie denerwuje.

Na Święto Dziękczynienia Reed zaprasza do domu w Crestwood mojego wujka. Wymyśla pretekst, że w innym wypadku musiałby spędzić ten dzień samotnie, bo jego rodzice są w podróży służbowej w Europie. Zwykle nasze rodzinne obchody tego święta sprowadzają się do zjedzenia paru kanapek z indykiem. Wujek Jim zgadza się przyjechać do Crestwood. Kiedy dochodzi do ich drugiego spotkania, wygląda na to, że wujek polubił Reeda. A zresztą jak można go nie polubić?

Przedstawiamy Zefira jako kuzyna Reeda, który w ostatniej chwili też przyjechał bez zapowiedzi do miasta. Nie jest to nawet zbyt wielkim nadużyciem, bo są do siebie całkiem podobni. Jednakże kiedy się z nimi rozmawia, o dziwo nikt nie zauważa, że nie mogą być tacy młodzi, na jakich wyglądają. Żaden z nich nie potrafi używać młodzieżowego slangu.

Po najlepszym obiedzie świątecznym, jaki kiedykolwiek jadłam – za sprawą kuchennego geniuszu Andre – Reed oprowadza wujka po pokoju do gier. Wujek Jim szczególnie interesuje się nowoczesnym notebookiem Alienware chłodzonym płynem. Zabawne jest obserwować wujka i Reeda, jak siedzą, niemalże stykając się głowami i dyskutują o strategii gier i najnowszych technologiach. Spędzam z nimi przyjemny dzień, ale w tyle głowy mam wciąż myśli o Russellu, który na Święto Dziękczynienia wybrał się do swojej rodziny.

Od czasu moich urodzin Russell nie odezwał się do mnie ani razu. Kiedy po feriach znów zaczynają się zajęcia, próbuję wszystkich możliwych sposobów, żeby go skłonić do przyścia do Reeda, bo chciałabym z nim porozmawiać. Ale on mnie ignoruje. Kiedy dzwonię, nie odbiera telefonu. Esemesuję albo wysyłam maile, a nawet – całkiem już załamana – piszę do niego zwykle listy. Reed kategorycznie odrzuca moje błagania, żeby pójść do Russella i spróbować z nim porozmawiać.

Okazuje się, że Zefir jest jednym z najlepszych sojuszników, o jakich mogłam marzyć, bo godzi się pilnować za mnie Russella przez czas, w którym jestem uziemiona. W ogóle się w tej sprawie nie skarży, a przynajmniej nie robił tego aż do dzisiaj.

Dziś natomiast wchodzi do domu, idzie prosto do biblioteki i przy barze nalewa sobie drinka. Podążam za nim i próbuję porozmawiać, ale Zefir podnosi rękę i pociera skroń, jakby cierpiał na straszliwą migrenę.

Po upiciu kilku łyków ze szklanki odwraca się do mnie i mówi:

– Wytłumacz mi, o co chodzi z tą obraźliwą blondynką.

– Co proszę? Z obraźliwą blondynką? – pytam, przechodząc przez bibliotekę, żeby być bliżej niego.

– Tak, tę, która nie przestaje gadać, chociaż nie ma nic istotnego do powiedzenia. Tę, przez którą mam ochotę kogoś uśmiercić – mówi, upijając kolejny spory łyk ze szklanki.

Biorę głęboki wdech.

– Candace! – Wyrwam szklankę z dłoni Zefira i sama wypijam duży łyk. – Co on wyrabia? Czy wrócił do niej?

Zefir patrzy na mnie z gniewną miną, odbiera swoją szklankę i daje mi zamiast niej szklankę wody. A ja zaczynam perorować:

– Po co ja sobie w ogóle zawracam głowę ratowaniem go, skoro on postanowił się powoli zabijać przy pomocy tej całej Candace? Ona jest jak trucizna, wiesz... taka powolna trucizna, która nie powala od razu, tylko po trochu, każdego dnia odrobinę.

– Rozumiem cię. Na początku myślałem, że ma być dla niego zwykłym pocieszeniem. Ale fakt, że się jej nie pozbył, świadczy według mnie o tym, że przez to niekończące się gadanie Russell nie jest w stanie myśleć o czymkolwiek innym; ani o kimkolwiek – dodaje znacząco i przenosi szklankę poza zasięg moich rąk, kiedy znowu mam ochotę mu ją wyrwać. – Napij się wody – mówi surowym tonem.

– On chyba lubi dziewczyny, które dużo mówią. Kiedyś mi powiedział, że jego siostry są strasznie gadatliwe. Może Candace właśnie dlatego jest w jego typie – staram się powiedzieć to wszystko obojętnym głosem.

– Ale jak to możliwe, skoro ona w niczym nie przypomina ciebie, a ty przecież jesteś jego bratnią duszą? – Marszczy przez chwilę brwi.

– Nie odpowiada na moje telefony i chyba usuwa bez czytania wszystkie moje esemesy. Myśli, że jestem jakimś potworem... Może zresztą jestem – mówię przygnębiona. – Muszę coś zrobić.

– Dlaczego? Przecież ona nie może go skrzywdzić, ta... przepraszam, jak ona ma na imię?

– Candace. – Marszczę nos. – Jeśli on znów z nią jest, to znaczy, że cierpi... a jeśli cierpi, to przeze mnie.

– Pewna ilość cierpienia jest nie do uniknięcia – odpowiada Zefir.

– Zet, jak będziesz go śledził dziś wieczorem, proszę cię, zabierz mnie ze sobą! Muszę go zobaczyć. Muszę się przekonać, że wszystko z nim w porządku. Nie mogę tu czekać. Nigdy mi nie wybaczy, jeśli z nim w końcu nie porozmawiam.

– Chcesz, żeby ci wybaczył? Ale co takiego? – Nie odzywam się, ale Zefir zaczyna rozumieć całą sytuację. – Chcesz, żeby ci wybaczył to, kim jesteś? To, że nie jesteś w pełni człowiekiem? – Kiwam głową i opuszczam wzrok, bo jego spojrzenie wprawia mnie w lekkie zakłopotanie. – Nie może cię z tego rozgrzeszyć. I może przestałabyś szukać rozgrzeszenia za coś, na co nie masz wpływu?

– Musisz mi pozwolić, żebym go zobaczyła. Dobrze? – błagam go. – Reed tego dla mnie nie zrobi. Jest za bardzo opiekuńczy, o wiele za bardzo. Wiem, że to z jego strony ostrożność, ale przecież obaj powiedzieliście, że dusze już prawie poznikały. Od wielu dni nie widzieliście żadnych innych aniołów, szczególnie po tym, jak zajęliście się tamtymi Upadłymi, którzy kręcili się po kampusie. Przekaz chyba trafił do adresata: pokażcie się tylko, a nic z was nie zostanie.

– Taak – mówi Zefir z rozmarzonym uśmiechem – pilnowanie ciebie jest źródłem sporej satysfakcji. Działasz jak skuteczna przynęta dla wszystkich istot nadnaturalnych, przyciągasz nas do siebie. Może powinniśmy cię puścić wolno? Wciąż mam ochotę coś sobie zabić.

Choć Zefir powiedział to żartobliwie, podskakuję na dźwięk jego słów.

– W takim razie dziś wieczorem. Reed ma w planach występ na jakiejś imprezie poświęconej zbieraniu funduszy.

– Nie będzie zadowolony, jeśli wyjdiesz z domu bez niego – przewiduje Zefir i sprawdza moją reakcję na te słowa. – A ty przecież obiecałaś skrupulatnie stosować się do zaleceń – przypomina mi.

– Powiedziałam, że zostanę tu, aż niebezpieczeństwo minie. No i będę korzystać z twojej asysty. Czy mogłabym się czuć bezpieczniej?

Przygląda mi się zmrużonymi oczami. Ja z kolei otwieram swoje szeroko i staram się nadać twarzy niewinny wyraz.

– Jeśli Reed się zgodzi, zabiorę cię ze sobą, ale on musi się wypowiedzieć. Nie mam zamiaru być narzędziem twoich manipulacji. Powiedz mi, jaka jest jego decyzja. A zresztą nie, nie kłopotz się. Sam go zapytam, zanim wyjdzie – odpowiada Zefir, patrząc na mnie znad brzegu szklanki, z której wypija kolejny łyk.

– W porządku, Zet! – mówię rozczarowana i dodaję: – Ile ty masz lat? Nie udaje mi się w żaden sposób na ciebie wpłynąć.

– Nie chodzi o wiek, tylko o doświadczenie. Nie daję się owinąć wokół twojego małego paluszka jak wszyscy inni w okolicy – mówi z uśmiechem. – Ale jesteś słodka. Musimy popracować nad twoimi umiejętnościami wykorzystywania słabości przeciwnika.

– A jakie są twoje słabości? – pytam go złośliwie.

– Nie mam żadnych – odpowiada z niezmałym spokojem, co sprawia, że wybucham głośnym śmiechem.

– Aha! Już ja je znajdę... możesz mi wierzyć – śmieję się do niego.



Siedzę w range roverze pod akademikiem Russella i trzęsę się z zimna w fotelu pasażera. Pogoda ostatecznie zmieniła się z jesiennej na zimową. Chciałabym poprosić Reeda, żeby ponownie włączył silnik. Mogłabym wtedy skierować strumień gorącego powietrza prosto na zziębnięte palce, ale i tak już czuję się winna, że sprowokowałam całą tę sytuację, więc próbuję ograniczyć swoje wymagania do minimum.

– Zimno ci? – pyta Reed łagodnie.

– Nie. – Kręcę głową. – Wszystko w porządku.

– Ale trzęsiesz się – zauważa.

– Wszystko dobrze – upieram się.

– Evie. – Reed wymawia moje imię z irytacją.

– No dobrze, strasznie mi ziiimno – mówię. – Błagam, włącz ogrzewanie.

Reed natychmiast uruchamia silnik. Włącza ogrzewanie na maksimum i ustawia wyloty dmuchaw w moją stronę.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – Marszczy czoło.

Przysuwam się bliżej dysz z gorącym powietrzem i wzdycham.

– Nie chciałam ci zawracać głowy.

Brwi Reeda wędrują w górę.

– Wolалаś zmarznąć na kość, niż zawracać mi głowę?

– Wiem, że nie masz na to wszystko ochoty. Po prostu starałam się nie utrudniać dodatkowo sytuacji. – Patrzę na niego. Mogłam tu przyjechać z Zetem.

Jego idealne wargi układają się w prostą, cienką linię.

– Nie przeszkadza mi, że tu jestem. Chodzi mi tylko o to, że byłabyś bezpieczniejsza... w domu.

– Ale Russell by tam do mnie nie przyjechał – mamroczę i wpatruję się jednocześnie we fronton akademika, szukając jakichś znaków obecności Russella.

– Mogłem go do ciebie przywieźć – mówi Reed z lekkim, cudownym uśmiechem.

– To by nic nie dało. – Marszczę czoło i wyobrażam sobie, jak Reed zmusza Russella, żeby przyjechał i spotkał się ze mną.

– Dlaczego musisz z nim porozmawiać akurat teraz? – dopytuje Reed. – Zefir go pilnuje. Russell jest bezpieczny, na tyle, na ile to możliwe. Powinniśmy po prostu pozwolić Zetowi działać wieczorem, tak jak zaplanował.

– Nie wiem, dlaczego muszę z nim się spotkać akurat teraz. Po prostu muszę.

– Kochasz go – mówi Reed, a ja, widząc ból w jego oczach, czuję się okropnie.

Wyciągam rękę i chwytam dłoń Reeda.

– Kocham ciebie, tak bardzo, że czasem aż mnie to boli. Kiedy nie chciałeś ze mną rozmawiać, czułam się, jakbym nie mogła złapać powietrza, jakbym powoli tonęła. Wiem, że muszę być z tobą. Ale wiem też, że jakaś część mnie kocha Russella: jest moim najlepszym przyjacielem. Muszę się upewnić, że on przeżyje to, co przyniesie przyszłość. W innym wypadku ta moja część będzie wiecznie cierpiała. Nie mogę popełnić żadnego błędu. W tej sprawie nie będzie możliwości poprawki. Czas też nie gra na moją korzyść i nie mogę czekać, aż ty albo Russell zmądrzejecie. Mam poczucie, że czas właściwie już się skończył. Rozumiesz, co mam na myśli? – pytam go ze smutkiem w głosie. – Proszę cię, nie bierz mojej desperacji za objaw tego, że cię nie kocham.

Podnosi moją rękę i delikatnie ją całuje.

– Wiesz, łatwo jest zapomnieć, że masz tylko osiemnaście lat. Jestem pewien, że byłaś już na Ziemi wiele razy w wielu różnych wcieleniach. Wiem, że nie pamiętasz raj, ale jestem przekonany, że ty też przysłaś stamtąd.

Jego pewność, że nie jestem zła, łagodzi ból, który czuję.

– Dlaczego dusze wracają? To znaczy... życie jest przecież dość ciężkie. Dlaczego musimy przechodzić przez to więcej niż jeden raz?

– Jest wiele różnych powodów, dla których dusze wracają w kolejnych wcieleniach, ale w twoim przypadku powiedziałbym, że... Że jesteś swojego rodzaju asem. – Uśmiecha się do mnie.

– Asem?

– Tak, asem, jak w talii kart. Grałaś kiedyś w wojnę? – pyta Reed, a ja kiwam głową. To chyba jedyna karciana gra, którą znam. – As jest najwyższą kartą, a dwójka najniższą. Celem gry jest zdobycie wszystkich kart w serii pojedynków. As zawsze zdobywa najwięcej kart, jeśli tylko jest w użyciu. Podejrzewam, że ty też zawsze przeciągasz na naszą stronę wiele dusz, które zabierasz ze sobą do raj. Bóg chyba lubi asy. Gra nimi tak często, jak tylko się da.

– Naprawdę sądzisz, że moja dusza jest asem? – Staram się zrozumieć jego słowa. – Ale przecież nie wiesz tego na pewno... to znaczy mogłabym na przykład być asem w kartach przeciwnej drużyny, prawda? Nie jesteś w stanie powiedzieć, czy moja dusza jest zła... albo coś w tym rodzaju, prawda?

Marszczy brwi i mówi:

– Nie jesteś zła.

Wzdycham.

– Wiem, że tak uważasz, ale nie możesz mieć całkowitej pewności.

– Jestem pewien – odpowiada natychmiast.

Siedzę w milczeniu obok Reeda, a on swoją dłonią gładzi grzbiet mojej.

– Uważasz, że czas już się prawie skończył... w związku z twoim przecuciem? – pyta Reed pozornie niedbałym tonem.

Serce przyspiesza mi gwałtownie.

– Mhm – potwierdzam i kiwam głową.

– To znaczy, że czas rzeczywiście dobiegł końca... Wyjeżdżamy dziś wieczorem – mówi głosem, w którym można usłyszeć jednocześnie nieodwołalność i ulgę.

– Reed... nie mogę... – zaczynam.

– Evie, prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy, ile dla mnie znaczysz... Aniołowie mają znacznie lepszy język do opisania miłości, którą do ciebie czuję, ale nie umiem tego przetłumaczyć – mówi. – Gdyby coś ci się stało... – Jego szczęki się zaciskają. – Musisz od tego uciekać, zanim przygniecie cię chaos. Nie będę już dłużej ryzykował twoim życiem.

– Nigdy cię nie zostawię. – Przysuwam się do niego i chowam w jego silnych objęciach. – Obiecuję, że nigdy.

– Przecież Zet może pilnować Russella – mówi Reed, przyciągając mnie jeszcze bliżej do siebie.

– Pozwól mi najpierw porozmawiać z Russellem – proszę i walczę ze sobą, żeby nie poddać się jego woli.

Reed głośno wzdycha.

– Załatw to dzisiaj. Jeśli go nie znajdziesz, będziesz mu mogła wysłać pocztówkę. Przygotuję wszystko, żebyśmy mogli wyjechać jutro rano. – Odsuwa się ode mnie i patrzy mi w oczy.

Odwracam wzrok od Reeda i próbuję obmyślić jakiś sposób, żeby go skłonić do ustępstwa, żeby pozwolił mi zostać. A wtedy dostrzegam Russella, który wychodzi z akademika z plecakiem pełnym książek. Serce zaczyna mi mocniej bić w piersi. Wygląda na to, że Russell wybiera się do biblioteki i zamierza się uczyć. Egzaminy końcowe zaplanowano na przyszły tydzień, więc nic dziwnego, że studenci zakuwają.

Odwracam się do Reeda i mówię nerwowo:

– Widzę go. Życz mi szczęścia.

Reed marszczy lekko czoło i mamrocze:

– Wszystkiego najlepszego.

– Dzięki. – Otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Gdy zamykam je za sobą, dyskretnie chowam pod bluzą naszyjnik, który dostałam od Reeda. A potem doganiam Russella na parkingu przy księgarni.

– Russell. Poczekaj, proszę cię... Muszę z tobą pomówić.

– Odejdź, Genevieve – odpowiada Russell, kiedy ogląda się i dostrzega mnie za sobą. Gniewny wyraz jego twarzy świadczy o tym, że mówi to poważnie.

– Proszę cię, Russell... wiem, że jestem dla ciebie odpychająca, ale musisz ze mną porozmawiać – błagam go.

– Dlaczego? Dlaczego muszę z tobą rozmawiać? Dlaczego nie możesz mnie zostawić w spokoju?

Obłoki pary kłębią się i dryfują wokół jego twarzy.

– Bo się o ciebie martwię. Bo nie mogę się odprężyć, kiedy nie wiem, czy wszystko z tobą w porządku; a ponieważ nie wszystko z tobą w porządku, więc jestem i staram się zachowywać jak twoja przyjaciółka.

– Nie możesz być moją przyjaciółką.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś normalna. Jesteś jakimś dziwadłem!

Staram się zignorować ból, który czuję w sercu.

– Tak, chyba jestem dziwadłem, ale jestem też tą samą osobą, którą poznałeś pierwszego dnia na uczelni. Nie zmieniłam się wiele, może zaszła we mnie od tego czasu jakaś ewolucja, ale zasadniczo jestem ta sama.

– Co ty chcesz ze mną zrobić? Czego chcesz ode mnie? – pyta Russell, a ból, który słyszę w jego głosie, prawie mnie załamuje.

– Chcę ci tylko pomóc. Proszę cię, Russell... – odpowiadam.

– Chcesz mi pomóc? Proszę bardzo: zniknij z mojej głowy, zniknij z moich snów, przestań do mnie dzwonić i przestań do mnie pisać. Idź sobie i nigdy nie wracaj. Nie chcę więcej oglądać twojej twarzy. Odrażające pół... coś! – mówi Russell przez zaciśnięte zęby. Przychodzi mi do głowy, że może mnie uderzyć, więc cofam się i wystawiam przed siebie rękę.

– Cii... Russell, w porządku... Obiecuję ci, niedługo zniknę. Przrzekam. Nie będziesz musiał mnie więcej oglądać. Chcę tylko wiedzieć, że jesteś bezpieczny. Potem sobie pójdę. Przykro mi, Russell, bardzo mi przykro – szepczę, a z oczu spływają mi gorące łzy.

Russell zbliża się do mnie z wyrazem desperacji na twarzy. Jedną dłonią łapie mnie za podbródek i zmusza, żebym spojrzałam mu w oczy.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, rozumiesz? Trzymaj się z daleka.

– Russell, tak mi przykro... – milknę, bo ściska moją twarz coraz mocniej, aż krzywię się z bólu. Potem mnie puszcza i cofa się o kilka kroków. Odwraca się, podnosi z chodnika plecak, który przedtem upuścił, i odchodzi powoli w stronę biblioteki. Ani razu nie ogląda się za siebie. Opieram się o któryś z zaparkowanych samochodów i próbuję powstrzymać łzy. Ta część mnie, która kocha Russella, wije się i skręca z bólu.

Czy mogę istnieć bez duszy? – pytam samą siebie. Mam wrażenie, że niedługo to sprawdzę, bo chyba ta moja część właśnie umiera.

Wracam powoli do samochodu Reeda. Kiedy pojawiaam się w jego polu widzenia, natychmiast przy mnie staje. Warczy na widok mojego zaczerwienionego podbródka.

– Rozwalę mu gębę – cedzi z chłodną wściekłością. – Naprawdę zrobię mu krzywdę.

– Nie! – krzyczę i łapię go za rękę. – Russell po prostu trochę wariuje. To nic – mówię, wskazując swój podbródek. – Od teraz muszę starannie ukrywać różne rzeczy, bo on najwyraźniej nie chce mieć nic wspólnego z takim dziwołagiem jak ja. Musimy działać w ukryciu, żeby nie wiedział, że go obserwujemy – szepczę, bo mam kłopot z utrzymaniem normalnego tonu.

– Nie jesteśmy tu już więcej potrzebni. Zabiję go, a potem wyjedziemy.

Serce zaczyna mi galopować w panice.

– Nie zabijesz Russella. Zaraz mi zniknie to obtarcie, za dziesięć minut go nie będzie.

Brwi Reeda stykają się, nadając jego twarzy groźny wyraz.

– Zrobił ci krzywdę.

– A ja cię potraktowałam paralizatorem wtedy nad jeziorem, pamiętasz?

Patrzy na mnie gniewnie.

– To było co innego. Byłaś przerażona, a mnie to nawet nie zabolalo.

– Russell też jest przerażony. Jego reakcja jest czymś podobnym do mojej wtedy. I dam sobie z nią radę. – Otwieram drzwi samochodu i siadam w fotelu pasażera. – Sam przedtem powiedziałeś, że mam umiejętność wzbudzania w innych silnych emocji. Teraz to widzę. – Przyglądam się Reedowi, który wsiada do auta i uruchamia silnik. – Strzeżcie się mocy mutantów.

Reed marszczy czoło.

– Nie jesteś mutantem. Widziałem różnych mutantów i wyglądali zupełnie inaczej niż ty.

– Widziałeś mutantów? Jak wyglądają?

– Coś ci pokażę – mówi Reed i rusza. Cieszę się, że znów jestem w samochodzie i mogę skierować w swoją stronę wyloty wszystkich dmuchaw z gorącym powietrzem. Ustawiam ogrzewanie na najwyższą moc.

– Przez kilka tygodni pomagałem Zetowi śledzić twoją bratnią duszę – ciągnie dalej Reed. – I obserwowałem go, jak tu przychodził dzień w dzień przez cały tydzień, od dnia otwarcia. Pokażę ci jego ulubione miejsce – mówi, podjeżdżając pod Centrum Saga.

Wychodzimy z samochodu i Reed prowadzi mnie do wnętrza budynku, gdzie trwa w najlepsze wystawa malarstwa. W holu na pierwszym piętrze został zainstalowany bar, dookoła kręcą się elegancko ubrani mężczyźni i kobiety, którzy dyskutują o wystawionych dziełach i artystach. Reed prowadzi mnie w górę po wielkich schodach, na drugie piętro, którego ściany służą jako powierzchnia wystawiennicza dla Ekspozycji Sztuki Sama MacKinnona. Wystawa przyciągnęła dziś wieczorem spory tłum wytwornie wyglądających widzów. Czuję się trochę nie na miejscu w zwykłych dzinsach. Cieszę się, że mam na sobie przynajmniej jedną z seksownych jedwabnych bluzek, które dostałam od Reeda; pomaga mi to trochę zmniejszyć niezręczność. Zrzucam płaszcz i zdejmuję rękawiczki, po czym wchodzimy do galerii.

Reed przeprowadza mnie obok kilku pięknych portretów; po chwili docieramy do obrazu, który został wyeksponowany z dala od innych, jakby chciano go uhonorować osobnym miejscem i nie mieszać z resztą. Obrazowi towarzyszy specjalne oświetlenie i ławeczka, na której można usiąść. Patrząc na kunsztowne pociągnięcia pędzlem, z zachwytem uświadamiam sobie, że to właśnie do tego portretu pozowałam. Wygląda, jakby został namalowany przed wiekami, w stylu Rembrandta lub Vermeera.

Reed prowadzi mnie do ławeczki ustawionej przed obrazem. Wskazuje na nią i mówi:

– To właśnie tutaj przesiaduje Russell, kiedy przychodzi do tego budynku.

Siadam w milczeniu na wskazanej przez Reeda ławce i wpatruję się krytycznie w portret. MacKinnon zdecydował się na zmysłową pozę, którą kazał mi przyjąć tamtego dnia, kiedy obserwowałam Reeda. Zauważam kilkoro ludzi, którzy otwarcie zachwycają się obrazem.

Reed na chwilę znika, a potem wraca z katalogiem wystawy. Na okładce umieszczono mój portret.

– Russell zabiera ze sobą jeden egzemplarz za każdym razem, kiedy tu przychodzi. Wygląda na to, że nie potrafi się powstrzymać – mówi i siada na ławce obok mnie.

– Dziękuję – szepczę po prostu i łzy napływają mi do oczu.

Siedzimy tak obok siebie przez długi czas. Żadne z nas się nie odzywa. W końcu tłum rzędzie. W pewnej chwili czuję, że Reed sztywnieje. Nie jest to bardzo wyraźne, po prostu wyczuwam pewne napięcie jego mięśni, ale uruchamia mi się w głowie alarm. Patrzę na Reeda i staram się dostrzec, co go tak wzburzyło.

– Evie, kiedy dam ci znak, musisz jak najszybciej biec do mojego domu i znaleźć Zeta. Nie wahaj się i nie próbuj zostać, żeby mi pomagać. Rozumiesz? – pyta tak cichym głosem, że tylko ja mam szansę go usłyszeć.

Serce łomocze mi w piersi.

– O co chodzi? – pytam.

– Upadli... co najmniej trzech... obstawiają całą salę – odpowiada zwięźle. – Pomogę ci uciec, nie martw się, tylko przygotuj – mówi.

– Nie zostawię cię... – zaczynam, ale Reed mi przerywa.

– Stosuj się do moich poleceń – mówi kategorycznie. Jego wzrok szybko omiata całe pomieszczenie, badając sytuację. Zaciska szczęki.

– Może tu ich być jeszcze więcej. Muszę cię stąd wydostać. Idź do Zefira. Przypilnuje cię, dopóki ja nie wrócę.

Nagle czuję się, jakbyśmy byli zamknięci w ciasnym pudełku, w którym nie można się ruszyć.

– Ale co z tobą... – zaczynam pytanie.

Reed ściąga brwi.

– Nie jestem taki kruchy jak ty – wyjaśnia pospiesznie. Kiedy patrzy na moją twarz i dostrzega w niej wątpliwości, warczy. – Musisz mnie teraz słuchać, Evie.

Serce wali mi coraz mocniej. Widzę pięknego anioła, który wchodzi do sali od strony schodów pożarowych i zajmuje miejsce niedaleko nas. Jego wygląd robi wrażenie: czarne włosy sięgają niemal do pasa, a oczy mają kolor topazu. Mógłby być azteckim wojownikiem wynurzającym się z mroku dziejów, gdyby nie miał na sobie ubrania, pozwalającego się wtopić w tłum zwiedzających wystawę. Jego oczy skupiają się na mnie, jakby z góry wiedział, że tu będę. W jednej chwili podnoszą mi się włoski na karku, a skrzydła zaczynają się poruszać wewnątrz pleców. Mają ochotę wyskoczyć na zewnątrz, a ja nie bardzo wiem, jak miałabym temu zapobiec.

Spoglądam przez ramię i dostrzegam za nami jeszcze dwóch aniołów. Jeden jest bardzo, ale to bardzo wysoki, ma jasne włosy i sylwetką przypomina wikinga. Drugi – o kasztanowych włosach – wygląda trochę normalniej, ale też jest piękny. Jak oni nas znaleźli?

Reed zrywa się z ławki z oszalełymi szybkością i przewraca sztalugę, na której wyeksponowany był jeden z mniejszych portretów. Zwinnym ruchem odrywa z niej dwie drewniane nogi i chwytą jedną z nich jak oszczep. Odchyła ramię do tyłu i rzuca tym oszczepem tak szybko, że nie jestem w stanie śledzić jego ruchu. Widzę, jak Upadły o kasztanowych włosach odrywa stopy od podłogi i leci do tyłu, domyślam się, w którą stronę poszybowała noga sztalugi. Drewno wbija się w ścianę za nami i przygwaźdża anioła, który osuwa się bezwładnie. Jestem pewna, że Reed go zabił, ale po chwili głowa tamtego podnosi się i anioł znów patrzy na nas złym wzrokiem. Staje na nogach i gwałtownie próbuje uwolnić się od ostrza, na które jest nabity. Reed rzuca w niego drugim kawałkiem drewna i rozbija mu czaszkę. Anioł przestaje się szamotać.

W gardle grzęźnie mi straszliwy krzyk, który mam ochotę z siebie wydać. Przenoszę wzrok na stojącego przede mną anioła Azteka, który już rozłożył skrzydła. Pokrywają je gęste czarne pióra z białą obwódką, całkiem jak u sępa. Reed też nie waha się i wypuszcza swoje skrzydła. Słyszę odgłos rozrywania koszuli i głośny, szeleszczący dźwięk. Reed chwytą ławkę stojącą obok tej, na której siedzę, i trzyma ją przede mną jak tarczę. Coś dziurawi ławkę od przodu, bo widzę, jak w drewnie tworzą się otwory z brzegami pełnymi sterczących drzazg. Kiedy ten szybki ostrzał się kończy, Reed ciska ławką w azteckiego anioła. Ciężar wyrzuca tamtego z powrotem na schody pożarowe i wytrąca mu broń z ręki. Wszystko to dzieje się w ułamku sekundy. Ludzie nie zdają sobie nawet sprawy, że w ich towarzystwie przebywają aniołowie. Dzięki tłumowi zwiedzający nie słyszeli strzałów. Wyglądają jak sparaliżowani, przypominają posągi, podczas gdy aniołowie toczą pośród nich walkę. Ale uświadamiam sobie, że ludzie wcale nie są sparaliżowani: aniołowie są od nich o tyle szybsi, że wydają się działać w zupełnie innym wymiarze istnienia.

Reed pochyła się i zza paska zawiązanego na łydce pod nogawką spodni wyciąga nóż o krótkiej rękojeści oraz mały metalowy dysk. Szybkim, płynnym ruchem potrząsa nożem, uwalniając ostrze. Wprawione w ruch, leci ze świszczącym odgłosem ku aniołowi znajdującemu się za nami. Gdy dociera do celu, ostrze wbija się w oko anioła wikinga. Odwracam się od niego i walczę z mdłościami. Nie widzę, czy rana od noża rzeczywiście go powstrzymała, bo nagle Reed łapie mnie i chwytą w objęcia jak małe dziecko. Metalowy dysk otwiera się i wypełnia pomieszczenie gęstym białym dymem. Dym skrywa ciała martwych aniołów. Reed uruchamia alarm przeciwpożarowy i chwilę później stajemy na poręczy galerii ciągnącej się wkoło nad głównym holem budynku.

Reed szepcze mi do ucha:

– Kiedy dotkniesz ziemi, zacznij biec. Nie zatrzymuj się, aż dotrzesz do Zeta.

Nie mam nawet czasu powiedzieć „wybacz mi”, bo już lecę w dół ku podłodze holu. Łąduję na własnych nogach, przyklękając na jedno kolano i dotykam lekko podłogi dłońmi.

Nic mi nie jest – myślę i staram się szybko wyjść z szoku po wypadnięciu z galerii. Energicznie prostuję się i ruszam biegiem do wyjścia. Wszędzie panuje chaos. Ludzie rzucają się do frontowych drzwi, żeby uciec z budynku przed dymem i ogłuszającymi dźwiękami alarmu pożarowego.

Jestem już prawie przy drzwiach, kiedy kątem oka widzę coś, co przypomina pociąg towarowy i zbliża się w moim kierunku. Zanim udaje mi się zareagować, to coś wbija się we mnie i wyrzuca mnie przez okno we frontowej ścianie Centrum Saga. Słyszę odgłos tłukącego się okna i ląduję na trawniku przed budynkiem. Kawalki szkła rozcinają mi skórę. Staram się strzepać odłamki z głowy, a jednocześnie rozglądam się dookoła. Obok siebie na trawniku widzę piękny profil anioła. Odwraca twarz w moją stronę i wydaje złowrogi jęk, ale zanim ma szansę zrobić mi jakąś krzywdę, rzuca się na niego Reed i wbija mu w szczękę swoją pięść. Miażdży mu jedną stronę twarzy. Opryskuje mnie krew, a ja patrzę na tę scenę jak sparaliżowana.

– Biegnij, Evie! – rzuca Reed, podczas gdy kolejny anioł próbuje przebiec obok niego, żeby mnie dopaść.

Reed obraca się, łapie go za szyję i sprowadza do parteru. Siłują się przez chwilę na ziemi, aż w końcu Reed urywa tamtemu głowę. Słyszymy wokół nas narastający warkot, w miarę jak kolejni aniołowie wyskakują z Centrum Saga przez wybite okno.

Moje spojrzenie napotyka wzrok Reeda.

– Biegnij! – słyszę jego krzyk.

Zrywam się na nogi i ledwo udaje mi się umknąć przed wyciągniętą w moją stronę ręką anioła. Nie mam czasu myśleć, bo biegnę już w kierunku parkingu. Przemykam się między małymi grupkami ludzi stojących przy zaparkowanych samochodach. W pewnej chwili muszę wyciągnąć przed siebie ręce i podeprzeć się na nich, bo wbiegam w bok białego mercedesa.

– Hej, Evie, co jest? – Freddie uśmiecha się do mnie z wnętrza swojego auta.

– Freddie! – Otwieram drzwi mercedesa i wskakuję na fotel pasażera. – Jedź! Jedź! Jedź! – wrzeszczę do niego, podciągam szybko i bloкуюję drzwi. Samochód rusza przed siebie z prędkością ślimaka, a zachwycony Freddie uśmiecha się do mnie.

– Evie, tak się cieszę, że cię widzę. Tęskniłem za tobą. Wyglądasz okropnie! – śmieje się do mnie z fotela kierowcy.

– Freddie, proszę cię, jedź szybciej. Muszę się dostać do domu Reeda! Tam z tyłu są źli faceci, którzy starają się zrobić mi krzywdę. Jedź szybciej! – nalegam na niego spanikowana. – Koniecznie muszę znaleźć Zeta – wrzeszczę.

Oglądam się i sprawdzam w tylnej szybie, dokąd pobiegł anioł, który mnie gonił. Musi tam gdzieś być – myślę. Prawdopodobnie przemieszcza się szybciej niż ten samochód. Wzdrygam się przy obrocie i łapię się za bok, bo czuję ostre ukłucie bólu. Zaplamieę Freddiemu tapicerkę – sędzę, że z rozciętej na głowie skóry kapie mi krew.

Freddie współczująco cmoka językiem, a potem mówi:

– Czy Volos połamiał ci żebra, kiedy wypchnął cię z okna? No cóż, powiedziałem mu: „Sprowadź ją do mojego samochodu dowolnym sposobem”, więc nie mogę się uskarżać, że zrobił to właśnie tak.

– Freddie, ja... – zaczynam mówić, czując zamęt w głowie.

– Wiesz, naprawdę uwielbiam to imię, które mi nadałaś... Freddie. Jest takie niewinne i czyste. Freddie nigdy by cię nie skrzywdził, prawda? Freddie mógłby być twoim najlepszym przyjacielem. Alfred zawsze jest podejrzany i... no cóż, głupkowaty. – Marszczy nos. – Jeśli pozwolisz, zachowam to imię, Freddie, bo będzie dobrze pasować do mojego nowego życia. Tym razem zamierzam robić wszystko prawidłowo. Dość już zabijania i okaleczania – mówi Freddie przyjemnym głosem i posyła mi piękny uśmiech.

– Ja... Ja nie... O czym ty mówisz? – pytam go, czując się, jakby ktoś przesuwiał mi wzdłuż kręgosłupa kostkę lodu.

– Ach, no tak, ty przecież nie wiesz, kim ja jestem, prawda? – mówi Freddie, jakby sobie nagle o czymś przypomniał.

Trzymając się za pobolewające żebra, szepczę słabym głosem:

– Jesteś Freddie... jesteś moim przyjacielem...

Freddie uśmiecha się smutno, a potem, nie przestając prowadzić samochodu, odsuwa mi z policzka włosy.

– Chciałem ci to już tyle razy powiedzieć, nie masz pojęcia... Wiem, że jesteś jedyną osobą, która mnie rozumiała i lubiła. Naprawdę żałuję, że sprawy tak się mają. Ale to jest w gruncie rzeczy twoja wina. Wszystko miałem pod kontrolą. Byłaś moja, Russell był mój i mogłem mieć was oboje na zawsze. No, może nie Russella, ale na pewno ciebie. Ale wszystko zniszczyłaś, chyba o tym wiesz?

Blednę. Z policzka skapuje mi kropla krwi.

– Freddie – szepczę – czy ty jesteś aniołem?

– Oczywiście. Zaskakujące, że się tego nigdy nie domyśliłaś. Może dlatego, że różnię się od aniołów, którymi się ostatnio otaczasz – odpowiada beznamiętnie. – Musiałem trzymać się z daleka od Aniołów Mocy, boby mnie załatwili. Zwykle nie zauważają Kosiarzy. Właśnie dlatego to mnie wysłano, żebym zajął się tym zadaniem. I dlatego aż do teraz byłem w tym tak dobry. Oni mnie nawet prawie nie dostrzegają, nie wychwytyje mnie ich radar. Anioły Mocy nie są mną zainteresowane, bo mam dobry powód, żeby tu być.

Trzęsącymi się palcami dotykam rozcięcia na swojej głowie.

– Kosiarz? – pytam zdezorientowana.

Freddie znów uśmiecha się do mnie współczująco.

– Tak, Evie, jestem Kosiarzem... aniołem śmierci. Zajmuję się duszami potępionych – mówi otwarcie, a ja staram się nie rozdziawiać gęby ze zdumienia. – Myślałem, że będę ci to musiał powiedzieć wcześniej, szczególnie wtedy, jak pojechaliśmy do Coldwater i widzieliśmy opętanego. Śledził nas potem, wiesz? Chciał wydrzeć ci serce, ale mu nie

pozwoliłem. Musiałem wypowiadać opętaną duszę, tylko po to, żeby cię nie zabiła. Tam, skąd przychodzę, nie będzie to mile widziane – mówi ze złym grymasem i zaciska szczęki.

– Uratowałeś mnie przed człowiekiem z dziwnym cieniem? – pytam szeptem, bo mam mocno zaciśnięte gardło.

Niespodziewanie Freddie zaczyna się śmiać.

– Tak... człowiek z dziwnym cieniem... To dobre. Śmieszne! – chichocze Freddie. – Zauważyłem, że ty go zauważyłaś. Byłem pod wrażeniem, jak odważnie się zachowałaś, żeby mnie ochronić. Musiałem się nim zająć, bo ty należysz do mnie, moja kochana – mówi bez ogródek, moje ramiona pokrywają się gęsią skórką. – Ale utraciłem cię, prawda? Anioły Mocy chcą mi cię zabrać, a ja niewiele mogę zrobić, żeby temu zapobiec. Gdybym pozwolił ci się wymknąć, musiałbym odpowiedzieć w otchłani za swoje błędy. A tam nie tolerują błędów. – Wzdryga się.

– Freddie – biorę gwałtownie wdech – pomogę ci...

– Jak? – pyta, marszcząc brwi.

– Ja... Ja nie... Reed będzie wiedział...

Freddie patrzy na mnie z gniewną miną.

– Twój Anioł Mocy rozerwie mnie na strzępy, kiedy tylko się dowie, że się do ciebie zbliżyłem.

– Ale... – zaczynam się jękać.

– Myślałem, że cię rozerwie... wtedy, tamtego wieczoru nad jeziorem. Ale nie zrobił tego... i zamiast tego zakochał się w tobie – mówi ponuro. – Jest w tobie coś prawie magicznego, Evie. Zaczarowałaś go... – Freddie milknie i zastanawia się przez chwilę. – Musiałem was rozdzielić... Sądziłem, że róże na łóżku to dobry pomysł. Wiedziałem, że rozpoznasz w nich naszyjnik Russella... i że Reed się wkurzy, bo nie będzie miał ochoty pchać się między dwie bratnie dusze. Anioły Bożej Mocy są takie żałosne... Zawsze we wszystkim szukają znaków, czekają, aż zostaną wezwani z powrotem do rajy. – Uśmiecha się szyderczo.

– To ty zrobiłaś... te płatki róż u Reeda? – pytam, a ręce trzęsą mi się coraz bardziej. On nic nie wie o moich koszmarach sennych; po prostu chciał nas rozłączyć...

– Byłem zdesperowany. Spędzaliście cały czas we dwoje. Gdyby w Szeolu dowiedzieli się, że straciłem nad tobą kontrolę... – Nachmurzona twarz Freddiego rozjaśnia się po chwili. – Ale nie martw się, wymyśliłem pewien plan, który ma na celu uniknięcie kary. Wkurzy ich to, oczywiście, ale niech tam. To ty jesteś moją gwarancją, że z tego wyjdę, prawda? – Uśmiecha się i choć nie wiem dokładnie, o co mu chodzi, czuję mdłości, kiedy słyszę te słowa. – Musiałem dziś uciec się do pomocy innych Upadłych, żeby cię odciągnąć od chłopaka. Potrzebowałem dobrych wojowników, Aniołów Mocy i Archaniołów. Ale wszystko ma swoją cenę. Musiałem obiecać, że oddam im ciebie, po tym jak dostanę już to, czego potrzebuję. Oni sądzą, że Serafini w Szeolu znają moje plany.

– Chodzi ci o upadłych Serafinów? – pytam piskliwym głosem.

Niebieskie oczy Freddiego wydają się zmętniałe, pozbawione duszy.

– A myślisz, że kto mnie wysłał, żebym cię obserwował? Oni wszyscy się tobą interesują. Znowu czuję gęsią skórę.

– Dlaczego Upadli się mną interesują?

– Naprawdę się nie domyślasz? – Zerka na mnie z niedowierzaniem. – Przecież w tobie wszystko jest interesujące.

Wargi układają mi się w cienką linię.

– Ale ja jestem tylko... Nie jestem... – jąkam się.

Na twarzy Freddiego pojawia się wyraz zamyślenia.

– Ty tego nie wiesz, prawda? Zawsze się zastanawiałem, czy o tym wiesz, bo trudno uwierzyć, że możesz być aż tak naiwna... niewinna. Interesująca... Tyle rzeczy w tobie chciałoby się mieć. Dziwię się, że twój chłopak nie uświadomił cię, czym mogłabyś być.

– Czym mogłabym być? – pytam szeptem.

Oczy Freddiego się zwężają.

– Mogłabyś być potężną bronią... gdyby dało się ciebie kontrolować.

– Co?

Freddie uśmiecha się ironicznie.

– Oczywiście nikt poza mną nie wiedział, gdzie się podziałas... aż do teraz. Nie powiedziałem im, że przyjechałaś do Crestwood, bo od jakiegoś czasu nie byłem w Szeolu. Musiałem trzymać się od niego z daleka, żebyś nie poczuła ode mnie zapachu. Potrafi być bardzo... obrzydliwy. Tylko aniołowie, którzy są moimi podwładnymi, wiedzą, że tu jesteś. Ale to wszystko są nikczemni oszuści. Nie można ich utrzymać w ryzach. Nie ufałem żadnemu z nich, to znaczy aż do dziś. Teraz pomogą mi dostać to, czego chcę.

Coś boleśnie ścisną moje serce.

– Ale co to ma być, Freddie? – pytam go z pozoru chłodno, choć ręce okropnie mi się trzęsą.

Marszczy brwi i robi przebiegłą minę, a potem pyta mnie:

– Co mogłoby rozwiązać wszystkie moje problemy i wyczyścić hipotekę?

Mam zamęt w głowie.

– No... nie... – Milknę, bo nagle coś przychodzi mi do głowy.

– Tak. – Uśmiecha się ponuro Freddie, a moja twarz robi się śmiertelnie blada. – Twoja dusza da mi odkupienie. Po tym, jak mi ją oddasz, nie będę więcej grzeszył i dostanę miejsce w raju. – Jego surowa mina znika i zastępuje ją pewien rodzaj rozmarzonego uśmiechu. – Nie mogę się już doczekać miny Cherubinów, kiedy zobaczą, jak tam wkraczam...

Freddie zaczyna mówić w języku anielskim, więc przestaję cokolwiek rozumieć. Przemawia zawzięcie i czerwieni się przy tym na twarzy.

Przerywam mu.

– Dlaczego moja dusza miałaby ci dać odkupienie? Skąd wiesz, że nie ma w niej zła i nie zamknie ci drogi do raju?

Freddie robi minę pełną goryczy.

– Serafinowie z Szeolu nie dzielą się informacjami z Kosiarzami; wydają im tylko rozkazy. Wiem o tobie tylko tyle, ile sam zaobserwowałem – mówi, a jego szczęki tężeją z gniewu.

– Więc nie wiesz, skąd pochodzę.

– Nie, zostałeś mi przydzielona niedawno, na krótko przed początkiem roku akademickiego – odpowiada. – Ale znając cię trochę, uważam za całkiem nieprawdopodobne, żeby twoja dusza kiedykolwiek była w Szeolu. A zresztą nie dbam o to, czy była. Kiedy ci ją zabiorę, oczyszczę ją w jakiś sposób. Będę musiał wyrwać ci duszę z ciała, żeby ocenić stopień jej zabrudzenia grzechem i złem. Nigdy nie wiadomo, co się dostaje, dopóki dusza nie opuści ciała... Dopiero potem zaczynają się o nią targi.

Wzdrygam się.

– Oczyszczisz ją? Jak?

Oczy Freddiego zwężają się agresywnie.

– Jestem Kosiarzem. Znam każdy sposób prowadzący do odkupienia: bezinteresowne postęпки, szczerze postanowienia poprawy... Kiedy już będę miał twoją duszę, nie zostanę potępiony i zachowam coś z ciebie na wieczność, bo naprawdę cię kocham, Evie – mówi z lekkim żalem. – Zaopiekowałbym się tobą, ale wolałaś mnie zignorować. To właśnie ja byłem ci potrzebny, a ty wszystko zepsułaś.

Szok wywołany słowami Freddiego powoli mija i jestem coraz bardziej zdesperowana, żeby się od niego uwolnić.

– Freddie! – mówię, a jednocześnie szarpię palcami klamkę, żeby otworzyć drzwi. Ale są zablokowane.

– Jeśli spróbujesz uciekać, złamię ci rękę – grozi Freddie. Kładzie dłoń na moim ramieniu i ściska bardzo mocno, aż zaczynam się bać, że za chwilę pęknie mi kość. Jęczę z bólu, wtedy Freddie mnie puszcza.

Dyszę ciężko.

– W jednej chwili mówisz o wrywaniu mi duszy, a zaraz potem twierdzisz, że mnie kochasz – cedzę szeptem. – I to wszystko niemal w jednym zdaniu. To jakiś obłąd. Spodziewasz się, że po prostu wręcę ci swoją duszę? Nawet gdybym chciała, i tak nie wiem, jak to zrobić.

– Nie martw się. Jestem ekspertem od dusz: Kosiarz, pamiętasz?

Czuję się jak owad uwięziony w rozgrzanym samochodzie. Rozglądam się, szukając jakiejś drogi ucieczki.

– Więc Kosiarze są po stronie zła, tak? – pytam.

– Nie, nie wszyscy Kosiarze są upadłymi aniołami – mówi Freddie z lekko nachmurzoną twarzą – ale nikt nas za bardzo nie ceni, po żadnej stronie. Nie zajmujemy wysokiego miejsca w hierarchii aniołów. – Wskazuje gwałtownie na swoją pierś i ciągnie dalej. – Obiecywano mi w raju, że to się zmieni, ale wszyscy zostaliśmy wyrzuceni. Po upadku było jeszcze gorzej.

– Freddie gotuje się od złości. – Teraz ja siedzę za sterami. Mam tu pełną kontrolę. Pozostali aniołowie muszą wypełniać moje rozkazy – mówi, jakby przekonywał bardziej siebie niż mnie. – Chociaż tego nie lubią. Działamy w ramach czegoś, co można by nazwać systemem kastowym. Ja należę do jednej z najniższych kategorii. Na Kosiarzy patrzy się mniej więcej tak jak na śmieciarzy. W Szeolu jestem po prostu kimś, kto dostarcza śmieci. Oni sobie tam nie zdają sprawy, ile wysiłku wymaga sprawdzenie, że dusza jest zła!

– Freddie, nie oddam ci swojej duszy – mówię cichym, drżącym głosem. – Kiedy Reed dostanie cię w swoje ręce, nie zostanie z ciebie nic, co można by odesłać do piekła.

– Jesteś tego pewna, Evie? – pyta Freddie i patrzy na mnie swymi mdłymi, niebieskimi oczami. – Bo jeśli nie, to Russell będzie rozczarowany.

– Russell? – pytam zadyszczonym głosem w chwili, gdy Freddie skręca kierownicę i wjeżdża na parking przy 7-Eleven.

Moje serce znów galopuje jak szalone. Czuję się oszołomiona, patrząc na fasadę sklepu. Wszystkie światła są włączone, ale okna wyglądają na zamglone, przesłonięte falami gorąca, takimi, jakie widuje się czasem w lecie nad rozgrzaną jezdnią. Freddie porusza się nienaturalnie szybko – w mgnieniu oka otwiera drzwi po mojej stronie.

Wyciąga rękę, ale ja nie chcę jej dotknąć.

– Daj spokój, Evie. – Wzdycha z irytacją. – Zdajesz sobie sprawę, że bez trudu mogę cię zmusić, żebyś tam weszła. Ale wiem, że nie muszę tego robić, bo Russell cię potrzebuje. Nie pozwolisz mu umrzeć, prawda? Skoro możesz go uratować... Pozwolę ci go uratować. Może to być twój ostatni bezinteresowny uczynek.

Zaczynam dygotać. Nadal odmawiam przyjęcia ręki, którą podaje mi Freddie, i wychodzę z samochodu bez jego pomocy. Prostuję się i spoglądam na stojący przede mną budynek. Próbuję usłyszeć, co dzieje się w środku. Ale nic nie słyszę. A jednocześnie czuję smród. Mam wrażenie, że w okolicy rozrzucono najgorsze odpadki i pozostawiono je na parę dni na słońcu; tak naprawdę smród jest jeszcze gorszy niż w tej wizji. Skrzydła same mi wyskakują akurat w momencie, kiedy obrzyguję całe wnętrze mercedesa Freddiego. To mogłoby nawet być źródłem pewnej satysfakcji, gdyby nie wiązało się z takim bólem: połamane żebra łupią niemilosiernie przy odruchach wymiotnych.

– Więc jesteś Serafinem! – rzuca Freddie w moją stronę z zazdrością. Nie mogę mu odpowiedzieć, bo usiłuję grzbietem dłoni zetrzeć wymiociny z ust. – Jesteś najpiękniejszym Serafinem, jakiego kiedykolwiek widziałem – mówi z niechęcią. Wyciąga rękę i delikatnie dotyka moich skrzydeł, a ja omal nie wymiotuję ponownie. – Wiesz, że Serafinowie to najwyższa ranga... – zaczyna.

– Freddie, to nie ma dla mnie znaczenia – odpowiadam chrapliwie.

Moja uwaga go zaskakuje.

– Chcesz zobaczyć moje? – Zanim udaje mi się cokolwiek odpowiedzieć, zdejmuje koszulę i uwalnia skrzydła.

Nie wiem, czego się spodziewałam po skrzydłach Freddiego, ale wyglądają całkiem inaczej. Nie przypominają skrzydeł Reeda czy choćby moich, zbliżonych do ptasich. Nie: jego skrzydła są jakby żywcem wzięte z fotografii ważek. Ma je cztery, po dwa z każdej strony pleców. Opalizują na niebiesko-zielono i sprawiają wrażenie tak cienkich, że aż przezroczystych. Kiedy Freddie nimi porusza, wydają dźwięk podobny do wibracji piły tarczowej, znów podobnie jak ważka. Wyciągam dłoń i z przerażeniem i fascynacją dotykam końcami palców skrzydeł Freddiego. W dotyku robią dość delikatne wrażenie, przypominają karton.

– Ależ jestem głupia, Freddie! Jak mogłam nie domyślić się, kim jesteś? – pytam go ze smutkiem w głosie i odrywam dłoń od jego skrzydeł. Mam ochotę opłakiwać śmierć przyjaciela, ponieważ ten Freddie nie jest już osobą, którą znałam. – Kocham cię jak brata, Freddie. Nie rób tego.

Jego oczy zwężają się złośliwie.

– Więc spójrz na tę sytuację jak na rywalizację między rodzeństwem. Ty masz coś, czego ja potrzebuję, i jeśli przyjdzie mi wybierać między tobą a sobą, wybiorę siebie. Nie mogę wrócić do Szeolu i powiedzieć, że mi się nie udało. Reed nigdy mnie do ciebie nie dopuści. Dopiero teraz udało mi się go zmylić i dotrzeć tak blisko. Nie jest głupi i prędzej czy później zdemaskowałby mnie. Chociaż robi się całkiem ślepy, kiedy ty się pojawiaasz. Ma kłopot, bo poza tobą nie dostrzega niczego. Jesteś jego piętą achillesową. Wiesz pewnie, co mam na myśli. No więc czy mam teraz wejść do środka i przynieść kawałek Russella, żeby cię przekonać, że on tam jest? Czy też wejdiesz samodzielnie i będziesz ze mną współpracować, tak żebym mógł zacząć nowe życie?

Kładę dłoń na jego ramieniu w proszącym geście.

– Przecież ty wcale nie chcesz tego zrobić, Freddie. – Staram się na niego wpłynąć. – Ty i Russell jesteście przyjaciółmi. Russell cię kocha, wiem o tym.

– A ja wcale nie jestem tego taki pewien. Przecież sam widziałem dziś wieczorem na parkingu, jak Russell wzburzył się w obecności swojej bratniej duszy. Wątpię, czy on kogokolwiek kocha tak jak ciebie, a mimo to o mało nie rozwałił ci twarzy – mówi Freddie, jakby ta scena go naprawdę zaintrygowała. – Nie spodziewałem się tego. Zobaczyłem jego nowe oblicze. Można nim manipulować, wiesz... podejrzewam, że moglibyśmy go przeciągnąć na naszą stronę. Chciałabyś, żebym sprawdził, czy da się z niego zrobić złego?

– Zostaw go w spokoju! Niczym na to nie zasłużył!

– No dobra, Evie, wystarczy. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Zrobisz wszystko, żeby go ochronić, prawda? Miałem nadzieję, że tak to właśnie będzie. Więc idziemy? Zostawiłem Russella w asyście bardzo niemiłych aniołów. To nie jest dobre towarzystwo. – Freddie chwyta mnie za rękę i ciągnie bez żadnego wysiłku w stronę 7-Eleven. – Pora ratować twoją bratnią duszę.

Otwiera drzwi i przytrzymuje je przede mną, a ja odruchowo cofam się na widok sceny, którą przed sobą widzę. Freddie kładzie dłoń na moim karku i wprowadza mnie do wnętrza

horroru oświetlonego lampami fluorescencyjnymi. Pośród otaczających mnie ze wszystkich stron śladów zniszczeń i dewastacji szukam Russella i dostrzegam go na podłodze na tyłach sklepu. Pilnuje go rudowłosy anioł z białymi skrzydłami Archaniola. Russell nie rusza się, ale oddycha. Ma skórę rozciętą pod lewą skronią, a z rany nad lewym okiem sączy mu się na podłogę krew. Jest nieprzytomny.

Stąпам jak najostrożniej pośród rumowiska, w które zamieniła się podłoga sklepu. Wiem, że w gruncie rzeczy nie jest to żadne rumowisko, tylko porzucane kawałki ludzkich ciał. Jest tego tyle, jakby ktoś wszedł niechcący na minę i został rozerwany na strzępy. Zanim udaje mi się wejść na metr czy dwa w głąb tego pobojuwiska, dwukrotnie ślizga mi się stopa. Płytki PCV, którymi wyłożona jest podłoga, stały się śliskie jak lodowisko, od pokrywającej je krwi.

Gdziekolwiek spojrzę, widzę strzępy ciał. Ludzki korpus w czerwonym fartuchu świadczy o tym, że sprzedawczyni także nie przeżyła urządzonej przez aniołów rzezi. Obok poszarpanego ciała dostrzegam uderzająco przystojnego anioła o oliwkowej skórze. Siedzi na podłodze. Trzyma przy ustach rękę martwej dziewczyny i od niechcenia odrywa zębami mięso z jej palców. Po policzkach spływają mu grube strugi krwi. Nagle patrzy na mnie i w ułamku sekundy jego twarz przybliży się na milimetry do mojej. Cofam się przerażona i odwracam głowę, bo nie mogę znieść zapachu i widoku krwi na jego ustach i zębach, które obnaża, kiedy śmieje się do mnie szeroko. Niewiarygodny strach sprawia, że w swoim wnętrzu rozpadam się na kawałki: rozpoznaję w nim bowiem potwora z moich nocnych koszmarów.

Freddie kładzie mu dłoń na piersi w geście, który nakazuje poddanie się.

– Gaspard, jeszcze nie! Nie jest jeszcze przygotowana na ciebie. – Staje u mojego boku. – Cierpliwości, killerze, to nie potrwa długo i Evie będzie twoja, tak jak ci obiecywałem.

Gaspard mówi coś do mnie w języku aniołów, ale ta mowa nie jest ani trochę interesująca, kiedy towarzyszy jej deszcz kropelek śliny zabarwionej krwią. Nie wzruszam nawet ramionami, kiedy tamten kończy przemowę, bo nauczyłam się już, że aniołowie uważają takie zachowanie za niegrzeczne. Dlatego szepczę tylko:

– Nie znam twojego języka.

Gaspard znowu się do mnie uśmiecha i pokazuje przy tym kawałki mięsa, które utkwiły mu między zębami.

– Szkoda. To brzmi dużo lepiej po anielsku niż po ludzku. Powiedziałem ci przed chwilą, że spędzone tu stulecia były warte wszystkich cierpień, skoro teraz będę mógł cię zbecześcić, mój piękny Serafinie – szepcze i aż wzdryga się z zachwytem, po czym przyciska swój policzek do mojego. Krew na jego twarzy płami mnie, a jej metaliczny zapach dociera do moich nozdrzy.

– Gaspard, jestem pewna, że nie będzie mnie to wcale bawiło – odpowiadam również szepcem i zaciskam zęby, żeby znowu nie zwymiotować. Kiedy przebywam w pobliżu Gasparda, kręci mi się w głowie i czuję się nieswojo, bo jest on w dziwny, może nawet

absurdalny sposób dwojaki. Ma świetne, idealnie uczesane czarne włosy, ani jeden kosmyk nie przesłania pięknego czoła ani męskiego kształtu łukowatych brwi. Tylko anioł może mieć nos tak prosty jak on. Jego usta są zmysłowe i pełne, ale z kolei pokrywająca jego twarz zakrzepła krew i sadystyczne skrzywienie górnej wargi wywołują we mnie obrzydzenie i chęć ucieczki.

Gaspard uśmiecha się anielsko.

– Może cię to zaskoczy, ale... pachniesz rozkosznie. Wylewa się z ciebie strach. Ma taki... pobudzający zapach. – Wciąga głęboko powietrze i zlizuje krew z mojego policzka. Podskakuję i cofam się przed nim, gdy słyszę złowrogi warkot wyrywający się z jego gardła. Gaspard natychmiast odwraca się ode mnie w stronę anioła, który zbliża się do niego od tyłu. Warczy ostrzegawczo, jakby pilnował swej zdobyczy przez innym drapieżnikiem – a zdobyczą jestem ja.

Całkiem tracę czucie w nogach, ale nie jestem pewna, czy to z powodu nagłej ulgi czy strachu wywołanego słowami drugiego anioła:

– Ona nie jest twoja, Gaspard. W tej misji mam wyższą rangę niż ty. Musisz mi ją oddać.

Mówi to anioł o białych skrzydłach i rudych włosach, który stał przedtem przy automatach z kawą. To właśnie on pilnował bezwładnego ciała Russella.

Gaspard waha się tylko przez chwilę, po czym wstaje i cofa się nieco ode mnie. Obojętnie wzrusza ramionami. Na twarzy rudowłosego anioła, który zbliża się do mnie, pojawia się zły uśmiech. Zbieram siły, żeby stawić czoła temu, co zechce mi zrobić, ale nie dowiaduję się, co to było. Gaspard wyciąga rękę i łapie go za gardło, kiedy tamten próbuje się oddalić. Rudowłosemu coś chrupie w szyi, a potem Gaspard po prostu odrywa Archaniołowi głowę od reszty ciała. I dalej go kawałkuje, aż tryska na mnie krew. Chrząst i odgłosy łamania kości stają się nie do wytrzymania; zamykam oczy, żeby odciąć się od straszliwego widoku krzepnącej krwi.

– No cóż, Cade się chyba tego nie spodziewał – zauważa Freddie. Odwraca się do mnie. – Archaniołowie sądzą, że wszystko należy do nich; to straszne snoby, ale zapominają, że Aniołowie Mocy nie zawsze grają czysto. Całkiem do dupy byłoby być teraz na miejscu Cade'a. – Gaspard dyszy ciężko, ale nie wygląda na skruszonego. Właściwie uśmiecha się do mnie niemal czule. Już nie ma szyderczego grymasu, próbuje zetrzeć dłonią przynajmniej część krwi z mojej twarzy. Efekt jest marny, bo niemal całe jego ręce są czerwone. – Ach, *ma chérie* – dodaje uwodzicielskim tonem. – Nie martw się, on nigdy cię nie posiadzie. Jesteś moja, a ja się z nikim nie dzielę.

– Dziękuję, Gaspard, jesteś dla mnie bardzo dobry – odpowiadam łagodnie, staram się dopasować swój ton do jego uwodzicielskiego głosu. – Ale wiesz, prawdopodobnie to wszystko na próżno, bo Freddie planuje zabrać mi duszę. Wątpię, czy długo bez niej pożyję. Więc być może niepotrzebnie zabiłeś swojego przyjaciela.

Trzaśnięcie dłoni Freddiego prosto w twarz przewraca mnie na podłogę. Łąduję pośród szczątków sklepowych regałów. Patrzę stamtąd w górę i widzę dwóch aniołów, którzy

zażarcie klóćą się o to, co właśnie wyjawiałam. Ostrożnie obmacuję drżącymi palcami policzek: czuję ból, zupełnie jak w nocnych koszmarach.

Moją uwagę przykuwa ruch w jednym z narożników sklepu. Odwracam się w tamtym kierunku i widzę kilkoro zgromadzonych ludzi. Ich twarze wyrażają przerażenie oraz bezgraniczne zdumienie. Pokazuję im, żeby uciekali. Nie sędzę, żeby aniołowie rzucili się za nimi w pogoń, skoro zajęci są mną. Rozpoznaję dziewczynę z kolczykiem w brwi – to ona jest tą sprzedawczynią, której tors zauważyłam wcześniej. A więc nie ma różnicy, czy ci ludzie rzucą się do ucieczki, czy nie – bo i tak są już martwi. Muszę się odwrócić. Zawiodłam ich – nie domyśliłam się, że to Freddie stanie się sprawcą tych zbrodni, a teraz oni wszyscy są po prostu duszami, które bezradnie tkwią wraz ze mną w pułapce.

Mam poczucie, że za chwilę zwariuję. Strach, który do tej pory mnie paraliżował, teraz doprowadza mnie do szaleństwa. Pełnę na czworakach po podłodze, starając się oddalić od tamtych dusz i zbliżyć się do Russella.

Nie udaje mi się do niego podpełznąć. Freddie nagle unosi mnie w górę i trzyma nad podłogą. Wściekłość wykrzywia jego twarz. Patrzy na mnie szyderczo, a potem bez wysiłku rzuca mnie na tył sklepu, w szklane drzwi szafy chłodniczej. Przy uderzeniu czuję jakieś chrupnięcie w jednym ze skrzydeł, a drzwi lodówki pękają, upodabiając się do pajęczej sieci. Osuwam się na podłogę i leżę tam przez chwilę bez ruchu, aż płuca na nowo podejmują pracę. Rzęząc i kaszłąc, walczę desperacko o zaczerpnięcie tchu.

Freddie wchodzi w pole mojego widzenia, kuca przy mnie i przybliża twarz do mojego policzka przyciśniętego do podłogi.

– Wiesz, Evie – warczy – chyba zmieniłem zdanie. Po prostu zabiję Russella, a potem wytłukę z ciebie duszę. Sama mi ją oddasz, jak będzie cię dostatecznie bolało. Naprawdę nie ma dla mnie znaczenia, w jaki sposób ją dostanę – mówi wzburzony, a jego skrzydła brzęczą...

Chcę go prosić, żeby nas nie krzywdził, ale potrafię wydobyć z siebie jedynie jęk. Freddie łapie mnie za ramię i z łatwością ciągnie po podłodze w okolice automatów do kawy, czyli tam, gdzie leży Russell. Moje ciało zostawia za sobą wśród rumowiska oczyszczoną ścieżkę – służę więc w ten sposób za ścierkę, którą Freddie przeciera podłogę.

Kiedy docieramy do ciała Russella, Freddie puszcza moje ramię, które bezwładnie opada. Nie mogę się ruszyć, żeby spojrzeć na leżącego obok mnie Russella, więc zamiast niego oglądam skrajnie wzburzonego Gasparda. Wysunął na zewnątrz długie, mocne skrzydła gołębiego koloru. Przemierza sklep w tę i z powrotem z nadnaturalną prędkością; co pewien czas przystaje i przeczesuje dłonią czarne włosy. Sprawia wrażenie, jakby był całkiem rozdarty w jakiejś sprawie. Może się boi, że nie zostanie mu ze mną wiele do zabawy, kiedy Freddie już ze mną skończy. Może to i dobrze? – myślę.

Freddie podchodzi do lady przy sklepowej kasie i bierze do ręki leżący tam kawałek płótna, w który zawiniętych jest kilka sztuk narzędzi oraz parę noży. Wybiera cienki, ostry nóż z rączką koloru kości, a resztę zestawu odrzuca na bok. Wchodzi między mnie i Russella,

kuca i pokazuje mi ostrze trzymanego noża. Przykłada palec do ust i chichocze, a po chwili twarz wykrzywia mu się w szyderczym grymasie. Wtedy wbija nóż w udo Russella.

Z twarzy odpływa mi cała krew, a oczy zachodzą łzami. Z gardła Russella wydobywa się zachrypnięty okrzyk.

– Nie, Freddie, przestań! Zrobię wszystko, co chcesz, dam ci wszystko, co chcesz... tylko przestań... proszę, przestań – błagam go.

– Och, wiem, że i tak to zrobisz. To tylko tak dla zabawy – odpowiada Freddie, wyciągając nóż z uda Russella i wycierając ostrze w moją jedwabną bluzkę.

– Na miłość... boską. To jest straszne! Zabiję cię, Freddie, słowo daję, zabiję cię. Zmiażdżę jak robaka, bo jesteś robakiem – krzyczy Russell, a potem jęczy i wije się obok mnie z bólu.

Odwracam się do Russella i wyobrażam sobie, jakim szokiem dla niego będzie mój widok. Jestem umazana krwią, mam skrzydła na wierzchu. Kiedy Russell mnie zauważa, zastyga bez ruchu, a z twarzy odpływa mu cała krew.

– O kurde, Ruda, co ty tu robisz? – Trzyma się za biodro. Zamyka oczy. – Przecież ci powiedziałem, żebyś sobie poszła. Powiedziałem, żebyś więcej nie wracała. Chciałem cię ratować! I nie uratowałem! – Zaciska dłonie w pięści i przykłada je do czoła.

– Co jest, Russell? Nie... źle to zrozumiałeś! Freddie mnie oszukał. Chce czegoś, co ja mam. – Wpatruję się w jego twarz. – On cię wypuści, kiedy mu to dam, prawda, Freddie?

Freddie uśmiecha się anielsko.

– Tak, Evie. Daj mi to i Russell będzie mógł odejść.

Russell odrywa pięści od oczu.

– Ruda, czego on chce? – wykrztusza z siebie, gdy jest w stanie nabrać trochę więcej powietrza pomiędzy spazmatycznymi oddechami.

Stara się zapanować nad bólem w nodze. Patrzy na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie widział mnie ze skrzydłami. Uświadamiam sobie, że jest to ostatnia chwila, którą spędzam z Russellem. Będzie nosił w sobie ten obraz przez resztę swojego życia.

– Nic takiego, czego miałabym mu odmawiać, prawda, Freddie? – mówię łagodnie. – Chcę tylko się upewnić, że Freddie dotrzyma swojej części umowy, kiedy już to ode mnie dostanie.

Na twarzy Russella pojawia się wyraz desperacji.

– Ruda, czego on chce?

Nie odpowiadam. Znajduję jego rękę i chwytam ją mocno.

Freddie marszczy brwi.

– Evie, powinnaś mu powiedzieć, przecież to o niego chodzi. Widzisz, Russell, Evie jest najbardziej niezwykłą istotą, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Jest aniołem, który ma ludzką duszę, mieszańcem. Powiedziała, że odda mi swoją duszę, jeśli zgodzę się nie zabijać jej bratniej duszy, czyli ciebie. Mogę złożyć obietnicę. Nie będę nawet w stanie cię zabić po tym,

jak Evie odda mi duszę, bo chce za bardzo nagrzeszyć, żeby móc wrócić do raj. Ale najciekawsze wydarzy się po tym, jak już dostanę duszę Evie. Wtedy my, ja i ty, będziemy bratnimi duszami, prawda? Mam nadzieję! Nie mogę się już doczekać, żeby na ciebie trafić w następnym życiu. Będzie fajnie, nie?

– Ruda, jeśli oddasz duszę temu diabl, nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy! Wolę zaraz umrzeć, niż brać na siebie całą wieczność z czymś takim – wyrzuca z siebie Russell. – To ty mnie z nim związałaś... ech... nie rób tego – prosi.

– Cii, Russell, wszystko się dobrze skończy. Jestem pewna, że nigdy nie będziesz czuł więzi z Freddie, bo to jest sadystyczny obrzydliwiec. Prędeż czy później coś narozrabia i zostanie zesłany z powrotem do Szeolu. A ty będziesz bezpieczny.

– Co się z nią stanie, jeśli odda ci duszę? – pyta Freddiego zdesperowany Russell.

Freddie marszczy brwi.

– Nie jestem pewien, ale sędę, że pokręci się tu jeszcze przez jakiś czas, aż jej ciało powoli obumrze, a potem prawdopodobnie odejdzie samotnie w ciemność. Podejrzewam, że Gaspard to przyspieszy, bo jest wielkim miłośnikiem przemocy. – Freddie mówi to tak, jakby już zakręciło mu się w głowie od sukcesu. Perspektywa otrzymania tego, czego pragnie, wprawia go w euforię. Gaspard zwalnia tempo swojej przechadzki po sklepie i śmieje się z zachwytem.

– Ruda, daj spokój... nie możesz tego zrobić. To jest złe. Wiesz przecież... – prosi mnie Russell. – Co ja miałbym tu począć bez ciebie? Nie możesz tego zrobić, po prostu nie możesz!

– Russell, nie mogę spokojnie patrzeć na twoją śmierć. Musisz żyć. – Kiedy widzę w brązowych oczach ból i strach, ściskam jego dłoń.

– Ja też nie mogę patrzeć, jak będziesz umierała – mówi Russell łamiącym się głosem.

Freddie warczy coś z niesmakiem, stojąc koło nas.

– No dobra, zaraz się od tego porzygam. Jestem gotów na przyjęcie mojej nowej duszy. Nie opieraj mi się, a ja zajmę się resztą – mówi, chwytając rękojeść noża i siadając okrakiem na moich udach, tak że nie mogę się pod nim ruszyć.

Freddie mówi po anielsku. Jego melodyjny głos uspokaja mnie, wręcz usypia. Widzę, jak zamyka oczy i skupia się. Rysuje nożem w powietrzu łukowate linie. Kiedy przysuwa ostrze blisko mnie, o centymetry od mojej skóry, mam gdzieś w głębi ciała uczucie wysysania, wyciągania. Nóż zbliża się jeszcze bardziej, a wtedy otwieram szeroko oczy i gwałtownie wciągam powietrze. Łapię się za pierś i czując, że coś we mnie się rozdziera, próbuję wiać się w garść. Bezskutecznie: czuję się rozrywana od środka.

– Alfred, ty głupi, niktzemny pasożycie! Złaż z Evie, zanim cię kopnę i urwę ci ten paskudny łeb! – woła Brownie. Powoli wchodzi do środka. Warczy głośno na widok Gasparda, który przestał się kręcić po sklepie i kucnął, gotowy do ataku.

– Skarbie, nie możesz dać Alfredowi swojej duszy, bo zapaskudzi raj – wcina się Buns, stając obok Brownie. Nie spuszcza Gasparda z oka i podaje przyjaciółce jakiś przedmiot, coś

jakby kij do hokeja, ale wykonany ze świecącego złotawego metalu i wyposażony w groźnie wyglądające, zakrzywione na końcu ostrze.

Nie jestem pewna, czy moje głośne westchnienie było spowodowane bólem w piersi, czy szokiem wywołanym widokiem Brownie i Buns z motylimi skrzydłami. Buns wygląda jak duszek: ma małe, delikatne, złote skrzydła motyla, połyskujące w świetle lamp fluorescencyjnych. Skrzydła Brownie są raczej w tonacji brązowej ze sporymi rudawymi plamami. Skrzydła obu dziewczyn bez wysiłku unoszą je w powietrzu, a oczy wpatrują się w Gasparda.

Freddie na chwilę odwraca swoją uwagę i traci koncentrację, dzięki czemu znowu mogę oddychać. Wciągam głęboko w płuca wielkie hausty powietrza i wystawiam szyję, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Dziewczyny rozdzielają się. Cały czas wpatrują się w Gasparda i szukają jego słabych miejsc, które mogłyby zaatakować. Zauważam subtelne sygnały, które sobie wzajemnie wysyłają, a w końcu w zsynchronizowany sposób rzucają się na Gasparda.

Widząc, że dziewczyny odciągnęły uwagę Freddiego, Russell nie traci czasu. Szybko siada, odciąga ramię do tyłu i z całej siły uderza Freddiego w twarz. Freddie ledwo się przy tym uderzeniu poruszył, demonstruje nam obojgu, że rzeczywiście jest prawdziwym aniołem. Przez chwilę rzuca Russellowi wściekłe spojrzenie, a potem bierze nóż z kościaną rękojeścią i zanurza go w jego piersi. Towarzyszy temu obrzydliwy, mlaszczący odgłos, kiedy Freddie kilkakrotnie kręci nożem, a w końcu go wyjmuje. Z rany Russela natychmiast tryska krew, tworząc na jego koszuli szkarłatne koło.

– Ojoj – chichocze Freddie, patrzy na Russella z rozbawieniem.

Russell kładzie jedną rękę na piersi i spogląda na ziejącą ranę, którą zadał mu nóż Freddiego, a potem osuwa się na jeden łokieć. Nie może się długo utrzymać w tej pozycji. Opada całkiem na podłogę i leży, wpatruje się w sufit i dyszy z bólu. Pobudzona własnym przerażeniem i wściekłością, odginam się w górę, wyrwam nóż z ręki Freddiego i wbijam go w jego bok, jednocześnie zwalając go z siebie.

– Oj! – krzyczy tym razem na poważnie, widząc, jak cięcie, które mu zadałam, zaczyna krwawić. – Dźgnęłaś mnie, Evie! – rzuca z niedowierzaniem i spogląda gniewnie to na swój bok, to na mnie. Opieram się na kolanach i raz jeszcze macham nożem. Próbuję go dźgnąć i spowodować, żeby trzymał się daleko ode mnie. Freddie ucieka poza zasięg moich ramion. Jeśli chcę go ponownie ugodzić, muszę wstać, a nie jestem pewna, czy dam radę.

Hałasy za nami stają się coraz dziksze. Buns i Brownie na zmianę wycinają małe kawałki ciała Gasparda i zwinnie odskakują, zanim on zdoła odwzajemnić te pieszczoty. Nie mogę za długo przyglądać się toczonej przez nie walce, bo muszę skupić się na Freddie.

– Nie dasz rady zwyciężyć, Evie, niezależnie od tego, co zrobisz. Któryś z nas prędzej czy później cię zabije. Możesz równie dobrze oddać mi duszę teraz, żebym miał okazję ją oczyścić. W innym wypadku umrzesz z tą duszą i pójdziesz prosto do Szeolu, bo jest czystym złem. – Uśmiecha się do mnie. – Daj mi ten nóż, a oszczędzę ci tego. Oszczędzę ci ogni piekielnych – mówi do mnie kojącym głosem i wyciąga rękę po nóż.

Moja determinacja się chwieje, a oczy wypełniają się łzami. Potrząsam głową, jakby można było w ten sposób oczyścić myśli.

– Moja dusza jest zła...? Jestem z piekła? – pytam, patrząc mu prosto w oczy.

Freddie uśmiecha się do mnie, kiwając głową. Powoli wyciągam w jego stronę dłoń trzymającą nóż i chcę mu go oddać. W ostatniej sekundzie odwracam go ostrzem w kierunku Freddiego i przecinam mu rękę. Wzdrygam się, patrząc na krew spływającą mu po ramieniu, a Freddie w tym czasie przyciska rękę do piersi.

– Jesteś kłamcą, Alfredzie. Nie mam zamiaru ci zaufać.

– To był błąd, Evie. Zadam ci tyle bólu, że będziesz mnie jeszcze błagać, żebym ci zabrał duszę – grozi mi.

– Nie, Freddie... – proszę go łamiącym się głosem. – Możesz po prostu odejść... proszę cię... zostaw nas w spokoju.

Trzymając mocno w dłoni nóż, zamierzam się nim na Freddiego, który nie zwraca już na mnie uwagi. Przygląda się walce Gasparda z dziewczynami. Grymas na jego twarzy mówi mi to, czego chciałam się dowiedzieć: Gaspard przegrywa.

Kierując wzrok na Russella, Freddie uśmiecha się z wyższością.

– Przegrywasz, Evie. Twoja bratnia dusza umiera. Kiepsko jest być człowiekiem. Wrócę, kiedy nadejdzie twoja kolej – rzuca opryskliwie i znika błyskawicznie; trwa to krócej, niż zajmuje mi jeden wydech.

Słyszając dyszącego obok Russella, odwracam się w jego kierunku. Leży wciąż na podłodze. Pełnę na czworakach do jego boku, trzymam nóż w śmiertelnym uścisku. Twarz Russella jest całkiem blada. Przykładam dłoń do jego policzka. Russell spogląda na mnie, a oczy ma tak rozszerzone, że większa część brązowych tęczówek skryta jest pod czernią źrenic.

– Russell! – wołam zrozpaczona, upuszczam nóż i szukam jego dłoni. Ściskam ją mocno. Russell kaszle i z ust cieknie mu krew. Alfred ma rację. Russell umiera.

– Proszę cię, Russell, nie umieraj – błagam. – Proszę cię...

Wpadam w panikę, a po policzkach spływają mi gorące łzy. Zastanawiam się, co mogłabym zrobić, żeby mu pomóc. Kładę dłoń na jego ranie, próbując zatamować wyciekającą z niej krew. Boże, proszę Cię, pomóż mi! – błagam w myślach.

Nagle moja dłoń dotykająca rany Russella zaczyna się rozgrzewać i promieniować blaskiem, a wszystkie świetlówki w sklepie migoczą. Wygląda to tak, jakby moja ręka była oświetlona od wewnątrz. Krzyczę w męczarniach i próbuję oderwać dłoń od ciała Russella. Oboje spalamy się w piekle bijącej ode mnie energii. Wrzeszczę z bólu, wciąż nie mogę oderwać się od Russella. Jesteśmy jak zespawani.

Do mojej świadomości docierają też inne cierpienia, których doznaję. Narastające od pewnego czasu pulsujące rwanie, które czuję w udzie, w końcu eksploduje bezmiarem bólu. Dotykam tego miejsca drugą dłonią i próbuję jakoś uśmierzyć swoją mękę. Wydaję z siebie głośne łkanie, a chwilę potem rozrywa się moja klatka piersiowa i osuwam się na podłogę.

Czuję, jak na brzuchu zbiera mi się kałuża czegoś ciepłego i mokrego. Spoglądam w to miejsce i widzę, jak plama krwi rozlewa się po mojej piersi. Rozpalona przed chwilą dłoń jest chłodniejsza, ale prawie tego nie zauważam, ponieważ w tym samym momencie czuję kłujący ból w okolicach serca. W ustach mam smak krwi. Przepływają przeze mnie fale energii i rozpraszają się w powietrzu, jak zapach kwiatu unoszony przez bryzę. Mogę już odpocząć... taka zmęczona – myślę i zaczynam odpływać...



– Obiecałaś mi – szepcze w mojej głowie jakiś głos, który działa na mnie jak pieszczota. Światło tańczy mi przed oczami, kiedy próbuję rozpoznać tę piękną postać mówiącą do mnie tak czule. Poszczególne obrazy łamią się i rozmywają, kolory wędrują i zlewają się ze sobą w dziwnym kalejdoskopie cierpienia. Ciemność jest chłodna... kojąca. Przepływa wkoło i kołysze mnie, okrywa mnie zasłoną nicości, unosi daleko od bólu, który mnie dręczy. – Walcz... – szepcze do mnie ten sam głos, ale nie brzmi już tak ślicznie; słyszę w nim raczej napięcie i zaniepokojenie, którego nie rozumiem. Muszę go odnaleźć i powiedzieć mu, żeby się nie smucił. Podejmuję walkę i ciemność ustępuje, a na jej miejsce pojawia się piekący, dojmujący ból. Tak bardzo chciałabym, żeby ciemność wróciła.

Nie mogę go znaleźć – myślę zdezorientowana. Próbuję zbliżyć się do jego głosu, szukam go, zwieszając głowę. Głos Reeda łamie się, jest wyciszony. Mówi do mnie językiem aniołów, nakłania, żebym go odnalazła.

Jakiś inny głos przerywa ten strumień melodyjnych słów, przepływających przez mój umysł jak obłoki, których kurczowo się trzymam. Ten nowy głos jest głęboki, władczy. Prawie go rozpoznaję, ale nie potrafię się dostatecznie skupić...

– Reed – mówi ten władczy głos. – Musisz pozwolić nam, żebyśmy ci pomogli. Trzeba powstrzymać krwawienie...

I jeszcze jeden głos, tym razem o wiele delikatniejszy:

– Skarbie, zostaw Evie Zetowi. On opatry jej rany i będziesz mógł ją przenieść w inne miejsce. Zaraz ci ją oddamy. – Serce zaczyna mi boleśnie galopować. – Skarbie, tutaj... możesz ją tu położyć i trzymać za rękę.

Z ust Reeda wydobywa się niski, warkotliwy pomruk:

– Nie dotykajcie jej...

– Skarbie, proszę cię... – powraca delikatny głos.

Mija chwila, a potem każda komórka mojego ciała sprzeciwia się temu, że ktoś mnie przenosi.

Rozkazujący głos ciągnie:

– Możesz ją trzymać za rękę, kiedy będę opatrywał jej klatkę piersiową.

Chyba coś krzyczę, gdy ból w czystej postaci spada na mnie jak śnieżna lawina i zamyka mnie w swoim wnętrzu. A ja mu się poddaję.

Rozdział 20

Wyjaśnienia

Boli mnie głowa... Nie, zapomnij... Boli mnie całe ciało. Nawet rzęsy mnie bołą – myślę i usilnie staram się otworzyć oczy. Światło w pokoju jest przyćmione, ale działa na mnie osłepiająco i sprawia, że oczy wypełniają mi się łzami. Białe zasłony wiszące w moim pokoju u Reeda są zasłonięte, więc właściwie nie powinnam mieć tego problemu.

Zdezorientowana rozglądam się dookoła, bo to miejsce nie przypomina pokoju, w którym spędziłam kilka ostatnich tygodni. Jest tu dużo aparatury medycznej. Na szpitalnych wózkach stoją urządzenia, których nawet nie potrafię nazwać. Obok łóżka zauważam stojak do kroplówek; wodzę oczami wzdłuż plastikowej rurki sięgającej aż do mojego nadgarstka, gdzie jest połączona z moją ręką. Chcę ją wyciągnąć, ale bardziej niż niewygodą tego połączenia moją uwagę zwracają gniewne szepty dobiegające spod drzwi pokoju.

– Trzeba pozwolić ludziom, żeby już poszli do domu, gorączka minęła; nie możesz ich zmuszać, żeby tu nadal siedzieli – słyszę pełen napięcia szept Zefira.

Reed odpowiada szeptem niewiele głośniejszym od mruknięcia:

– Powiem pielęgniarkom, żeby poszły, ale zatrzymam lekarza.

– Nie jest już konieczny...

– Jak to wszystko się skończy, wmówię mu, że był na konferencji medycznej...

Nie bardzo wiem, o czym rozmawiają, ale to nie brzmi dobrze, a głos Reeda też mnie nie uspokaja. Niezwykłe jest nie to, że słyszać w nim irytację i brak rozsądku, ale to, że pobrzmiwa w nim też desperacja.

Znów słyszę chropowaty szept.

– To niepotrzebne ryzyko, żeby tu zostawali. – Zefir przytacza kolejne argumenty.

Ich spór mnie niepokoi.

– Zet, daj spokój Reedowi – wtrącam się. Mam słaby, zachrypnięty głos. – Czy ja jestem chora? Nie rozumiem, co się dzieje.

W holu zapada milczenie, a potem drzwi do pokoju gwałtownie się otwierają. Reed natychmiast znajduje się przede mną. Uśmiecham się do niego nieśmiało; przepelnia mnie zachwyt, że nawet wyglądając tak źle, można wyglądać tak dobrze. Choć Reed wciąż jest przystojny, że dech zapiera, jest nietypowo jak na niego niechlujny – w wymiętym ubraniu i z rozczochranymi włosami. Błady i wyczerpany, sprawia wrażenie, że od wielu dni nie spał.

– Cześć – mówię szorstkim głosem, który brzmi zupełnie nie jak mój. Reed nic nie mówi, więc zadaję mu pytanie. – Wszystko z tobą w porządku? – Reed nadal nie odpowiada, tylko

wpatruje się w moją twarz. – Usiądź przy mnie – udaje mi się wydusić z siebie wciąż tym samym chropawym głosem. Poklepuję przy tym puste miejsce obok mnie na wielkim łóżku.

Reed sadowi się przy mnie i przyciska się do mojego boku. Kładzie głowę na poduszce, przy czym włosy opadają mu na jedną brew, więc wyciągam rękę i odgarniam je z jego twarzy. Ramiona mam ciężkie i muszę walczyć, żeby ręka nie opadła mi bezwładnie z powrotem na łóżko.

– Co się ze mną stało? – pytam Reeda z niepokojem w głosie.

W kącikach jego ust zarysowują się linie smutku.

– Byłaś chora... – odpowiada cicho i milknie.

Unoszę brwi.

– Naprawdę? Hm. A ty też? – pytam ze współczuciem, bo wygląda naprawdę na wykończonego. Kiwa twierdząco głową, a kiedy dotykam jego policzka, przybliża usta i zaczyna całować moją dłoń. – Zostań tu ze mną. Powinieneś odpocząć... – szepczę. Reed bierze głęboki wdech i mocno zaciska powieki. Zdumiewa mnie ta reakcja na moje słowa. Widzę jego wielki smutek. – Reed, co się dzieje? – boję się jego odpowiedzi.

– Nic złego, Evie. Żyjesz – odpowiada zachrypniętym głosem.

– Och. – Nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi. Musiałam być bardzo chora. Ledwo się ruszam i mam takie uczucie, że w klatce piersiowej ktoś wyborował mi dziurę... Głośno wciągam powietrze.

Sięgając dłonią do piersi, orientuję się, że mam na sobie białą, zbyt obszerną dla mnie koszulę z kołnierzykiem zapinanym na guziki. Natychmiast wraca moje poczucie rzeczywistości. Tracę oddech. Nie mogę myśleć. Wpadam w panikę. Muszę... ale co? Muszę go powstrzymać... Muszę powstrzymać Freddiego. Przecież on zabije Russella!

– Reed! – szepczę z niecierpliwością, głosem tak cienkim i zasapanym, że nie jestem pewna, czy moje słowa mają szansę dotrzeć do adresata. – Freddie jest zły, chce mnie skrzywdzić, chce skrzywdzić Russella, zabił Russella. O Boże, Reed – chrypię przerażona. – Zabił Russella, a ja nie mogłam... i próbowałam, ale nie udało się go powstrzymać...

Reed wyciąga ramiona i bierze mnie w objęcia. Głaszcze mnie po głowie i mówi łagodnym, kojącym tonem:

– Russell nie umarł, Evie. Uratowałaś go.

Płaczę na jego piersi, kręcę głową.

– Nie – szlocham. – Freddie dźgnął go nożem tutaj. – Dotykam własnej piersi i krzywię się, jakbym sama miała tam ranę.

Reed trzyma mnie coraz mocniej w objęciach.

– Wiem. A ty wyleczyłaś Russella. Zabrałaś mu jego rany... przeniosłaś je na swoje ciało.

– Ostatnią część zdania wypowiada gniewnie.

Oddech grzęźnie mi piersi.

– Wyleczyłam... Russella? To znaczy... jak to możliwe? – szepczę.

Reed muska wargami czubek mojej głowy.

– Evie, a jak to w ogóle możliwe, że ty istniejesz? To wszystko nie ma sensu, ale oto jesteś, a Russell jest na dole. Myślałem, że cię straciłem... – Reed milknie. Gładzi tylko moje włosy tak delikatnie, jakbym była krucha jak szkło. Po kilku chwilach mówi dalej. – W każdym razie byłaś przynajmniej czymś w rodzaju przewodnika, przez który przyszło do niego uzdrowienie. Dotknęłaś go swoją ręką, przyjęłaś na swoje ciało jego rany.

Pociągam nosem.

– Więc Russell żyje? – pytam.

– Tak – odpowiada Reed.

– I sądzisz, że to ja go wyleczyłam? – ocieram łzę.

– Tak – mówi Reed.

– A minus był taki, że musiałam przenieść na siebie jego rany? – dopytuję, żeby uzyskać pełny obraz.

Kiwa zdecydowanie głową.

– Tak można powiedzieć, Evie – odpowiada Reed. Pochyla się nade mną i delikatnie rozpina guzik mojej koszuli, po czym pokazuje mi groźnie wyglądającą bliznę na mojej piersi. Jest dokładnie w tym samym miejscu, w które Freddie dźgnął Russella nożem. Wisior, który podarował mi Reed, znajduje się bezpośrednio nad tym miejscem. Reed raz jeszcze odchyła mój koc i pokazuje mi małą czerwoną bliznę na udzie: ta sama noga i to samo miejsce, w które ugodzony został Russell.

Dotykając blizny na nodze, wzdrygam się ze zdziwienia, jaka jest miękka.

– Czy Russell naprawdę jest na dole? – pytam go delikatnym...

– Tak. Chcesz, żebym po niego poszedł i przyprowadził go tutaj? – Robi głęboki wydech.

Kręcę głową.

– Nie, jeszcze nie. Na razie nie mam ochoty na nikogo poza tobą – szepczę całkiem szczerze. – Ale wszystko z nim w porządku? – upewniam się, kiedy Reed z powrotem przykrywa mnie starannie kocem.

– Lepiej niż w porządku – odpowiedź Reeda brzmi trochę sztywno. – Wyleczyłaś wszystkie jego rany. Nawet naprostowałaś mu nos. Wygląda teraz inaczej. Nie wiem, czy nie będę musiał mu tego nosa znowu złamać – zrzędzi Reed, trzymając mnie mocno w ramionach. – Brownie i Buns też są na dole – dodaje łagodniejszym tonem. Nie chciały cię zostawić. Martwią się o ciebie, więc niech tu zostaną.

Otwieram szeroko oczy i biorę głęboki wdech.

– One są aniołami! Nie wiedziałam o tym! Dlaczego nikt mi nie powiedział? – pytam, zdumiona tym oszustwem. – A jakie mają skrzydła! Powinieneś je zobaczyć. Wyglądają jak motyle.

Nieznaczny uśmiech kwitnie na ustach Reeda.

– Są Kosiarzami – mówi, ale kiedy dostrzega strach w moich oczach, szybko dodaje: – Ale nie Upadłymi. Obie zabierają dusze do raju. Kosiarze mają inne skrzydła niż my. Niektórzy jak motyle, inni jak biedronki i chrząszcze – tłumaczy Reed, żeby mnie uspokoić.

Z powodu bólu w piersi mój głos brzmi płasko, kiedy dodaję:

– A niektórzy... jak ważki.

Reed marszczy czoło.

– Tak... do czasu, aż go znajdę... A wtedy Alfredowi nie zostaną żadne skrzydła, o których warto będzie wspominać – mówi Reed spokojnie.

Przechodzi mnie dreszcz. Freddie... – myślę – nie ma już Freddiego, mój Freddie nie żyje. Został tylko Alfred. Czuję, jak serce zaczyna mi łomotać.

– A skąd Brownie i Buns wiedziały, że tam jesteśmy? Gdyby nie dziewczyny, byłabym już bez duszy, a Gaspard miałby nową zabawkę do popsucia.

Oczy Reeda ciemnieją.

– Na początku wcale nie wiedziały, że tam jesteście. Zaalarmowało je to, że poczuły dusze uwolnione w trakcie masakry. Alfred popełnił błąd, kiedy pozwolił Gaspardowi zabić tylu ludzi. Powinien mu kazać zaczekać z zabijaniem do czasu, kiedy zdobyłby twoją duszę.

– Ale nie kazał... – Czuję mdłości na wspomnienie tylu martwych ludzi leżących na podłodze.

– Nie, nie kazał – potwierdza Reed i składa usta w cienką linię. – Buns i Brownie znalazły się tam, żeby zająć się swoją pracą i pozbierać te wszystkie dusze. No i wtedy znalazły ciebie z Alfredem i Gaspardem. Najwyraźniej dziewczyny wierzyły, że należysz do nich. Dlatego nie spodobało im się, że Alfred i Gaspard chcą cię zabić. Kosiarze zwykle nie stosują przemocy.

Teraz już przypominam sobie wszystko z jasnością, od której zaczynam trząść się ze strachu i odrazy. Staram się opowiedzieć Reedowi wszystko, co pamiętam, a niektóre z tych rzeczy są dla mnie tak trudne, że w trakcie mówienia czuję palenie w gardle, jakby ktoś mnie dusił. Kilka razy muszę robić przerwy i dopiero po napiciu się wody mogę ciągnąć tę opowieść dalej.

Najtrudniej przychodzi mi przekazać Reedowi, że wiedzą o mnie upadli Serafinowie i że to oni wysłali Alfreda, żeby mnie śledził. Nie wiem, dlaczego akurat to wywołuje we mnie taki wstyd. Prawdopodobnie dlatego, że boję się, co ta informacja może dla mnie oznaczać. Skoro wiedzą o moim istnieniu i wysłali kogoś do pilnowania mnie – do pilnowania, a nie zabicia – czy należy sądzić, że w jakimś stopniu decydują o tym, co się ze mną dzieje? Ani ja tego nie wiem, ani Reed, ale ta myśl wywołuje we mnie mdłości.

Widząc w moich oczach zaniepokojenie i ból, Reed obejmuje mnie mocniej, jakby chciał mnie chronić przed moimi lękami.

– Tak mi przykro. Nie powinienem był cię wypuszczać z domu – mówi, oskarżając samego siebie. – Powinienem był wiedzieć o Alfredzie. Kosiarz ma rację: kiedy jestem z tobą, tracę wzrok. Widzę tylko ciebie i przestaję być skuteczny. – Reed przykładą dłoń do czoła i pociera je.

– Reed, to, że dotrwałam do tej chwili, to wyłącznie twoja zasługa. – Reaguję na jego słowa niedowierzaniem. – Gdyby nie ty, Sebastian prawdopodobnie zrobiłby sobie z moich

kości poduszkę, czy co też te potwory mają zwyczaj robić. – Wzdrygam się, bo mam za sobą własne, bezpośrednie obserwacje, do czego zdolni są Upadli.

– Muszę być w przyszłości bardziej zdyscyplinowany. Nie ma mowy o dalszych pomyłkach – ciągnie Reed. – Muszę szybko znaleźć Alfreda. Wypuściłem go, a on może teraz być gdziekolwiek, chociaż... Nie sądzę, żeby oddalił się za bardzo od ciebie. Jeśli to, co mówił, jest prawdą... Jeśli rzeczywiście nie może wrócić do Szeolu po takiej porażce, będzie zdesperowany. Teraz potrzebuje twojej duszy bardziej niż kiedykolwiek.

Składam ręce, kiedy o nim myślę.

– Alfred powiedział, że ma uzasadniony powód, żeby tu przebywać. Jak sądzisz, co mógł mieć na myśli? – pytam, bo nie całkiem rozumiem to wszystko, co się wydarzyło. Zaczyna mnie boleć głowa i chciałabym zamknąć oczy, ale walczę z tym pragnieniem.

Reed uspokajającym gestem przykrywa moje dłonie swoimi.

– Jest Kosiarzem, tak jak twoje przyjaciółki – wyjaśnia. – Oni odprowadzają dusze do raju, a jeśli są potępione, stracają je w otchłań. Aniołowie Śmierci idą tam, gdzie zostają wezwani. My, Aniołowie Mocy, nie zwracamy na nich szczególnej uwagi, bo – nawet jeśli są zli – zajmują się zadaniami, których sensu nikt nie podważa.

Unoszę brwi zdziwiona.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli jakiś człowiek jest zły, to ktoś w rodzaju Freddiego przychodzi i zabiera po śmierci jego duszę? – pytam, a Reed kiwa głową.

– Nie będziesz bezpieczna, dopóki nie znajdziemy i nie zniszczymy Alfreda – mówi ponuro.

– To znaczy, że Russell też nie jest bezpieczny – mamrocę spanikowana. – Reed, musimy go chronić. Alfred wie o nim wszystko. To dlatego wykorzystał go, żeby mnie namówić do przyścia do 7-Eleven.

– A ty chciałaś oddać swoją duszę, żeby chronić Russella – mówi Reed. – Dlaczego, Evie? Obiecałaś mi, że zrobisz wszystko, żeby przeżyć. Myślałem już, że umierasz.

Widząc na twarzy Reeda żywe cierpienie, zdaję sobie z czegoś sprawę.

– Myślisz, że wybrałam Russella zamiast ciebie? – Rozumiem, jak to musi wyglądać z jego punktu widzenia, po wszystkich obietnicach, które mu złożyłam.

– A nie wybrałaś?

Kręcę głową.

– Nie. Nigdy. Nigdy niczego nie będę tak pragnęła, jak ciebie. Nigdy nikogo tak nie pokocham, jak kocham ciebie – mówię głosem pełnym namiętności.

– Więc dlaczego to zrobiłaś?

– Bo musiałam i miałam nadzieję, że pewnego dnia mi to wybaczysz – szepczę i zaczynam płakać, bo wiem, że zadałam Reedowi ból.

– Więc... nadal należysz do mnie? – Wpatruje się we mnie badawczo.

– To nigdy nie będzie podlegać dyskusji. Zawsze będę twoja. – Ocieram łzy z twarzy. – Tak mi przykro. – Płacę coraz głośniejsze.

– Cii... moja dzielna dziewczynko... kochana. Musisz teraz odpoczywać, bo wpędzisz się w jeszcze gorszą chorobę – szepcze Reed uspokajająco. Przyciska mnie do siebie i ociera mi łzy brzegiem prześcieradła.

– Wynagrodzę ci to. Dam ci tyle szczęścia, że w końcu będziesz mi musiał wybaczyć – szepczę ochryple i próbuję uśmierzyć ból, który czuję w piersi.

– Nie ma niczego do wybaczenia... i jestem szczęśliwy. Żyjesz i mnie kochasz.

– Reed – mówię.

– Evie – odpowiada, tak jak ja to miałam w zwyczaju podczas naszych kłótni, zanim się dowiedziałam, że jest aniołem.

Uśmiecha się do mnie. Zamykają mi się oczy i wiem, że za chwilę zasnę.

– Nie odchodź. Jesteś bardzo zmęczony. Potrzebujesz odpocząć. Śpij tu ze mną, dobrze?

– Śpij, moja kochana – mówi Reed, a ja jestem posłuszna, bo nie mogę już dłużej walczyć z sennością.



– Dlaczego nikt mnie nie ostrzegł, że przegapię końcowe egzaminy? Zabiorą mi stypendium! – panikuję i próbuję wstać z łóżka.

Czuję na ramieniu uścisk dłoni, który mnie powstrzymuje. Reed siedzi obok mnie i najwyraźniej jest dobrze przygotowany na moją wściekłość związaną z informacją, ile spałam. A można to liczyć nie w dniach, ale w tygodniach. Jesteśmy już w trakcie ferii i zbliża się Boże Narodzenie.

Z fotela obok łóżka odzywa się do mnie Buns:

– Skarbie, zajęliśmy się wszystkim. Wysłałam pismo do administracji, informując, że jesteś ciężko chora. Kiedy będziesz w lepszym stanie, pozwolą ci zdawać egzaminy.

Brownie, która stoi przy oknie, włącza się w naszą rozmowę:

– Pomogę ci uczyć się do egzaminu z historii sztuki, bo niektórych artystów poznałam osobiście.

Robię chyba naprawdę szerokie oczy, a Brownie zaczyna się śmiać.

– A ja ci pomogę przy egzaminie z historii cywilizacji zachodniej – mówi zdecydowanym głosem Zefir.

Buns uśmiecha się sceptycznie.

– Zet, sądzisz, że to dobry pomysł?

– Oczywiście – odpowiada Zefir, marszcząc czoło. – Dlaczego miałbym być złym pomocnikiem?

– Skarbie, masz trochę inne podejście do historii niż ludzie. – Buns próbuje powiedzieć to możliwie delikatnie. Widzę, że bardzo się stara, żeby się nie wywyższać i nie obrazić Zefira.

Zefir mruczy coś z narożnika pokoju, a potem krzyżuje ramiona na piersi i opiera się o ścianę z posępną miną.

– Ja na pewno nie pomyłę faktów. Nie moja wina, że ludzie korzystają ze źródeł historycznych, które zawierają błędy. Dla mnie to proste, bo ja przy tych wydarzeniach byłem.

Wzdycham ciężko, pocierając czoło.

– Ech, tyle pracy przede mną. Nie wiem nawet, gdzie są moje książki – mówię zasmucona. – Muszę dobrze wypaść, bo stracę stypendium.

– Skarbie, przecież masz umysł anioła. Nie będziesz miała problemów – zauważa Buns. – Ale nawet gdyby ci nie poszło, stypendium nie przepadnie. Reed jest ofiarodawcą środków na twój fundusz stypendialny i na pewno nie pozwoli nikomu zabrać ci pieniędzy.

Opuszczam dłoń, którą trzymałam przy czole i unoszę w górę brwi.

– Co? – pytam, a potem rzucam Reedowi gniewne i oskarżycielskie spojrzenie. – To znaczy, że mogłeś w każdej chwili zabrać mi stypendium i kazać się pakować?

– Tak. Ale to by było niegrzeczne. – Reed uśmiecha się do mnie słodko.

– Ile brakowało, żebyś to zrobił? – nie daję się omamić.

– Wypełniłem już papiery, ale potem porozmawiałem z tobą przy rejestracji i nie mogłem się zdobyć na następny krok. – Łapie mnie za rękę i całuje jej grzbiet.

Nagle nachodzi mnie kilka myśli jednocześnie.

– Rany boskie, wujek Jim! Co ja mu, u licha, powiem? Dzwonił może? Wie, że byłam chora? I co się stało z ludźmi w 7-Eleven? Czy zajmuje się tym policja? A gdzie jest Russell? Czy on też przegapił egzaminy końcowe? Nie pozwoliliście mu wrócić do domu, co? Nie może tam jechać... Freddie... Alfred wciąż gdzieś jest! Muszę się ubrać. Muszę dzwonić do wujka! – mówię gorączkowo, a myśli wirują mi w głowie.

– Brownie i ja zajęłyśmy się duszami. Są już bezpieczne. Nie musisz się o nie martwić, skarbie – mówi Buns, patrząc na mnie. Nie wiem skąd, ale wiem, że coś jest nie w porządku... jednak to wiem.

– Czegoś mi nie chcecie powiedzieć – mówię. Patrząc na ich twarze, które nagle poszarzały, zaczynam się czuć, jakbym wpadała w paranoję. – Gdzie jest Russell? – pytam.

– Chyba jest na dole w bibliotece, skarbie – mówi Buns łagodnym tonem. – Chcieliśmy najpierw z tobą porozmawiać, zanim ty porozmawiasz z Russellem.

Po mojej skórze przebiega nieprzyjemny chłód, od którego dostaję na ramionach gęsiej skórki. Przesuwam się na brzeg łóżka i spuszczam nogi na podłogę. Czuję się taka słaba – myślę. Nie mam już podłączonej kroplówki. Kiedy zostałam ranna, Reed przekonał specjalistę kardiologa i kilka osób z jego zespołu, żeby przyszli tu i się mną zajęli. Potem wyczyścił z ich umysłów wszystkie związane z tym wspomnienia. Teraz wszyscy już sobie poszli, bo jestem w lepszym stanie.

Patrząc znów na Buns i widzę, że wyraz jej twarzy się zmienił: już nie ma wymuszonej wesołości, jest klasyczne stoickie oblicze.

– Twój wujek Jim... – zaczyna z pełną wdzięku prostotą. – Powiedziano mi, że jego dusza jest najczystsza, najłagodniejsza i najdelikatniejsza ze wszystkich dusz, jakimi kiedykolwiek zajmował się Kosiarz, który miał zaszczyt ją odprowadzać...

Czuję ucisk w sercu i dławienie w gardle.

– Nie. Nie mów mi tego, Buns. Nie chcę wiedzieć. Proszę, nie mówcie mi – szepczę.

Wstaję z łóżka i próbuję zrobić krok w kierunku łazienki. Muszę od nich uciec. Nie chcę słuchać tego, co mają mi do powiedzenia.

Czuję na nogach lekką bryzę, a potem Reed bierze mnie na rękę.

– Evie, musisz mi przebaczyć. Byłem skoncentrowany na tobie, na ratowaniu twojego życia i nic innego się dla mnie nie liczyło.

Łzy zalewają mi oczy.

– Nie mów mi, Reed – odpowiadam zduszonym głosem, przykładając palec do jego ust.

– Evie – odzywa się Buns głosem, w którym można wyczuć wyrzut sumienia – myśleliśmy, że Alfred schowa się przed nami, że się zaszyje w najgłębszej dziurze, jaką znajdzie. Nie podejrzewaliśmy... Wybraliśmy się do domu twojego wujka, ale było już za późno. Alfred musiał tam popędzić prosto stąd, więc nawet gdybyśmy wiedzieli, prawdopodobnie nie dalibyśmy rady go powstrzymać... – Buns milknie.

– Buns, nie! – krzyczę do niej w złości, wije się i walczę z Reedem, żeby mnie puścił. Stawia mnie na podłodze, ale prawdopodobnie tylko dlatego, że boi się, żebym sobie nie zrobiła krzywdy, a nie dlatego że moje wrzaski wywierają na nim jakiekolwiek wrażenie.

Kuśtykam do łazienki i zamykam drzwi. Rozglądam się za miejscem, w którym mogłabym się schować. Wybieram kabinę prysznicową i niemrawo przechodzę przez łazienkę w jej kierunku. Włączam wodę i wchodzę do kabiny, cały czas mając na sobie białą koszulę Reeda. Pozwalam wodzie zmyć łzy, które chyba nigdy nie przestaną płynąć. Opieram się o ścianę prysznicowa, ale nie potrafię już ustać, więc osuwam się na podłogę. Biedny wujku Jimie, co on ci zrobił? Mój umysł krzyczy z bólu tak dojmującego i intensywnego, że wszystkie moje dotychczasowe cierpienia wydają się przy nim nieważne.

Alfred obiecał zadać mi tyle bólu, że w końcu będę go prosiła, żeby zabrał moją duszę. Spełnia tę obietnicę. Oddałabym duszę, żeby ratować wujka Jima, ale nie miałam takiej możliwości.

Drzwi do prysznicowa otwierają się. Reed zakręca wodę i podnosi mnie z mokrej podłogi. Trzyma mnie na rękach jak w kołysce.

– On nie żyje? – pytam udręczonym szeptem, choć znam odpowiedź.

– Tak. – Reed nie podaje żadnych szczegółów. Podchodzi do toaletki i sadza mnie na jej blacie. Owija mnie w gruby ciepły szlafrok.

– Pogrzeb? – pytam cicho, bo wiem, że wszystko wydarzyło się prawie trzy tygodnie temu. Bezwładnie opieram się na stojącym obok mnie Reedzie.

– Odbył się. Kosiarze wszystko przygotowali. Byłaś zbyt chora, żeby pójść. I tak zresztą nie byłoby dobrym pomysłem, żebyś się tam pokazywała, ze względu na Alfreda. Możemy

pojechać na cmentarz, kiedy będzie bezpiecznie – mówi cicho, odsuwając mokre włosy z mojej twarzy.

– Czy policja badała sprawę? – pytam tępo. Dziwne, że mój mózg nadal pracuje, choć czuję się w środku martwa. Reed kończy wiązać pasek od mojego szlafroka i podnosi mnie z blatu toaletki. Znosi mnie do łóżka. Wszyscy zeszli już na dół, więc jesteśmy sami.

– Tak. Przyjechali tutaj, żeby z tobą porozmawiać, ale sądzą, że miałaś wypadek samochodowy. Zniszczyliśmy z Zetem twoje auto. Kupię ci nowe. Musieliśmy to zaaranżować, żeby wyjaśnić, w jaki sposób odniosłaś obrażenia – mówi. – Policja jest przekonana, że twój wujek prawdopodobnie został zabity przez któregoś z wściekłych małżonków, których sprawy prowadził.

– Dlaczego tak uważają? – pytam spokojnie.

Reed ściąga brwi.

– Było dużo przemocy – wyjaśnia niechętnie.

– A jak umarł? – Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź Reeda.

Początkowo nic nie mówi, do chwili, kiedy odwracam się w jego stronę i patrzę mu w oczy.

– W mękach – rzuca i na tym kończy.

Kiwam głową, przyjmuję do wiadomości jego słowa i potwierdzam, że nie chcę wiedzieć więcej. Reed kładzie mnie i okrywa kocami.

– Powinam mu dać to, co chciał. Nie powinam się sprzeciwiać... Dlaczego się sprzeciwiłam? – szepczę żałośnie.

– Nie, Evie, nie mów tak. Ja się tym zajmę. Alfred nie rozumie, czym jest ból... jeszcze nie, ale zrozumie, obiecuję – mówi Reed. – Zdefiniuję pojęcie „cierpienie” na jego użytek.

Słowa Reeda mają na celu przynieść mi pociechę, ale pomszczenie wujka nie ma dla mnie w tej chwili wielkiego znaczenia. Wujek Jim nie żyje i nic tego nie zmieni, nawet ból Alfreda. Zamykam oczy. Chcę już tylko spać i nigdy się nie obudzić. Po policzkach znów płyną mi łzy, ale jestem zbyt zmęczona, żeby je zetrzeć.



Budzę się, czuję, że ktoś trzyma mnie za rękę. Spoglądam i widzę Russella – wpatruje się we mnie ze smutkiem. Siedzi na krześle, które przysunął sobie do mojego łóżka.

– O, Ruda, jesteś. – Patrzy na mnie miękko. Nachyla się i całuje moją dłoń.

– Russell, z tobą wszystko... w porządku? – pytam go oszołomiona i próbuję usiąść w łóżku. Nadal czuję się osłabiona, ale nie chcę, żeby to zauważył. On i tak widzi, w jakim jestem stanie, i delikatnie pomaga mi się podnieść. Oglądam go, żeby stwierdzić, czy odniósł jakieś widoczne obrażenia, ale wydaje mi się idealnie zdrowy.

– Przykro mi, Ruda – mówi Russell szczerym tonem, spoglądając w dół na moją małą rękę zamkniętą w jego wielkiej dłoni. – Namawiałem cię, żebyś uciekała. Przez wiele dni miałem te koszmarne sny o 7-Eleven. Wiedziałem, że coś złego się szykuje, i nie chciałem, żeby trafiło w ciebie, więc cię namawiałem, żebyś uciekała. Ale ty jesteś uparta i powinienem wiedzieć, że nigdy nie machniesz na mnie ręką. – Spogląda znów w moje oczy i krzywi się. – Nie rozumiałem, co się dzieje.

– Więc ty też miałaś sny, tak jak ja? – pytam zaszokowana.

– Nie powiedziałbym, że tak jak ty, bo nigdy w trakcie takiego koszmaru nie napadło na mnie światło ani nie dostałem naszyjnika – oświadcza z naciskiem, a ja uświadamiam sobie, że Reed albo ktoś inny musiał mu przekazać różne szczegóły, których do tej pory nie był świadomy. – W żadnym wypadku nie powinnaś nigdzie jechać z Freddie. Powinnaś poprosić o pomoc... znaleźć Zefira – mówi, jednocześnie strofując mnie i potrząsając głową.

– Russell, musiałam jechać, przecież ty jesteś moją bratnią duszą – mówię dobitnie i wiem, że mnie rozumie, bo przecież i ja jestem jego bratnią duszą.

– No tak, jestem, więc wiesz, jak się czuję w sprawie tego oddawania duszy za mnie. Żebyś nigdy więcej nie robiła niczego podobnego, rozumiesz?

Czuję, że blednie mi twarz.

– Russell, Alfred wciąż jest na wolności. Wciąż pragnie mojej duszy, więc i ty nie jesteś jeszcze bezpieczny, dopóki go nie złapiemy.

Russell pochyla lekko ramiona, a jego ściągnięte brwi spotykają się.

– No tak, Ruda, wiem. Moja rodzina też nie jest bezpieczna, póki on jest na wolności. Reed podjął jakieś działania, żeby o nią zadbać – odpowiada Russell. – Buns i Brownie pojedą ze mną do domu na Boże Narodzenie. Nie wolno mi jechać samemu. Potrzebuję ich jako ochroniarzy – mówi. Coś w nim się zmieniło, a ja mam kłopot ze stwierdzeniem, o co chodzi. Po chwili trochę się rozchmurza. – Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć rodzinę. Strasznie za nimi tęsknię – mówi, a potem rzuca mi szybkie spojrzenie, jakby powiedział coś bardzo niestosownego. Wiem, że myśli o moim wujku i bardzo staram się nie rozplakać.

– Założę się, że oni też za tobą tęsknią – mamroczę, dumna, że w ogóle tych kilka słów z siebie wykrztusiłam.

Russell bardzo się stara brzmieć radośnie.

– Nie wiem, jak im wytłumaczę, co się stało z moim nosem. – Uśmiecha się do mnie. Lekko przechyla głowę, żebym mogła wyraźniej i pod innym kątem zobaczyć jego całkiem prosty nos. Prezentuje się idealnie. Właściwie Russell wygląda na bardziej przystojnego, niż by to mogło wynikać jedynie z naprostowanego nosa. Zaszły w nim też inne, subtelniejsze zmiany, które zaczynam spostrzegać.

– Wiesz, nigdy sobie nie zdawałem sprawy, kim ty jesteś, póki nie zobaczyłem tego anioła z białymi skrzydłami w 7-Eleven. Nie wiedziałem, że bywają źli aniołowie. Źli aniołowie... Czy czegoś takiego nie nazywa się oksymoronem? – pyta ze smutkiem, a ja kiwam głową, bo

w pełni rozumiem, o co mu chodzi. – To, co oni tam zrobili tamtym ludziom... – Widząc, jak się wzdryga, ściskam mocno jego dłoń, bo nie potrafię nic powiedzieć. – No cóż, dobrze przynajmniej, że nie wszyscy są tacy... tylko Upadli.

Russell wie – myślę. Musieli mu wszystko powiedzieć. Dziwi mnie, że tak się stało, no bo przecież zasady...

– Przykro mi, Russell. Wystarczyło, że Alfredo przyjrzał się nam, jak byliśmy razem. Natychmiast zrozumiał, że jesteś moją bratnią duszą... I dlatego cię skrzywdził. Próbowałam go powstrzymać. Tak mi przykro – mówię, opierając czoło na naszych złączonych dłoniach.

– Ruda, nie słyszałaś nic z tego, co powiedziałem? To mnie jest przykro. Może jakbym to wszystko szybciej rozgryzł, ten diabeł nie dopadłby cię i nie próbował zabić – odpowiada Russell głosem pełnym skruchy i smutku. – Ale zajmę się tym. Znajdę tego drobnego, podłego robaka i zlikwiduję go.

Patrząc na Russella, dziwię się, jak stanowczo brzmi.

– Russell, o czym ty mówisz? Tamten jest aniołem, a ty człowiekiem. Nie jesteś dla niego przeciwnikiem – mówię ostrzegawczo.

– Zet powiedział, że mnie potrenuje, kiedy już będę gotów, a potem zapolujemy razem na tego insekta i wyślemy go w ciemność, tam gdzie chciał wysłać ciebie – mówi Russell, zgrzytając zębami na myśl o zemście.

Czuję zamęt w głowie. Marszczę czoło.

– Co? – pytam przerażona. – Zet nie może cię trenować. Musi bardzo uważać, żeby cię nie skrzywdzić, bo potrafi zmiażdżyć człowieka jak kostkę masła.

– Na razie nie może, masz rację. Jeszcze jestem za delikatny, ale nie zawsze tak będzie. Wiesz, Evie, zmieniłaś mnie, kiedy mnie uzdrowiłaś – mówi Russell. – Buns sądzi, że kiedy przejęłaś ode mnie moje rany, dałaś mi w zamian kawałek siebie, żeby... no... w pewnym sensie wypełnić ubytki. Coś się ze mną stało. Zmieniam się teraz, tak jak i ty – mówi ze smutkiem, obserwuje moją twarz i bada reakcję na swoje słowa.

– Co ty mówisz? – pytam.

Przyglądam mu się i całkiem nieruchomieję.

– Tłumaczę ci, że już nie jestem zwykłym człowiekiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamieniasz się w anioła?

– Wygląda na to, że już nie jesteś jedynym aniołem z ludzką duszą w okolicy – potwierdza ze stoickim spokojem. – Ja też jestem dziwolągiem – żartuje i próbuje się uśmiechnąć, ale jego oczy się nie śmieją.

– Skąd ty to wiesz? – pytam, czując, że powinnam w jakiś sposób zaprzeczyć jego słowom.

Muszę znaleźć drogę, która pozwoli mu wyjść z tej sytuacji, będącej skutkiem ubocznym moich zdolności. Muszę odszukać jakiś sposób, żeby Russell mógł być normalną osobą i prowadzić normalne życie. On sam patrzy na mnie przez chwilę, po czym wyciąga z kieszeni dzinsów scyzoryk. Otwiera go i robi sobie drobne nacięcie na kciuku. Patrzę, jak na jego

dłoni gromadzi się krew i zaczyna z niej ściekać. Po paru minutach krwawienie ustaje, a po dziesięciu kciuk wygląda niemal tak, jakby nigdy nie był skaleczony.

Opieram się z powrotem na poduszce. Po chwili odwracam się od Russella. Po tym, co mu zrobiłam, nie mogę już patrzeć mu w oczy. Uratowałam go po to, żeby można było na niego polować, tak jak i ja jestem obiektem polowania; żeby można go było napiętnować, tak jak i mnie; żeby go można było przeklinać, tak jak i ja jestem przeklęta.

– Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo bym chciała... – krztuszę się i zaciskam zęby. – Jak bardzo żałuję... Nigdy nie chciałam sprowadzić na ciebie czegoś takiego. Powinnam... Ale nie mogłam cię zostawić. A teraz będą na ciebie polować, tak jak i na mnie.

Nie mogę dalej mówić. Przeniosłam na niego część swojego piętna zagłady i nie ma już od tego odwrotu. Prosiłam Boga o pomoc, żeby ratować życie Russella, ale nie wyraziłam tej prośby dostatecznie jasno. Nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji. Nie jestem Bogiem. Nie znam Jego myśli. To dla mnie ważna nauka.

– Ruda, to nie ty to ze mną zrobiłaś. To przekraczało znacznie twoje siły – mówi Russell i sięga dłonią do mojego podbródka, po czym odwraca moją głowę tak, żeby patrzeć mi w oczy. – Mam tu zadanie do wykonania, tak jak i ty. Albo mogę z tego powodu płakać, albo być jak moja przyjaciółka i podejść do tego odważnie... zależy. Wolę myśleć, że nie jestem tchórzem, więc postaram się być mężny... albo anielski... zależy. – Uśmiecha się do mnie. – W każdym razie nie da się już cofnąć zegara. Stało się i sądzę, że w końcu polubię życie anioła. Muszę powiedzieć, że już lubię niektóre korzyści, jakie mi to przyniosło.

– Jakie korzyści? – pytam. Nie wierzę już, że mogą istnieć jakiegokolwiek plusy bycia w połowie aniołem, a w połowie człowiekiem.

– No, na przykład Reed nie może mnie już do niczego zmusić. – Russell uśmiecha się znacząco. – Poza tym dopuszczają mnie już do wszystkich tajemnic, które ty znasz. Buns sądzi, że będę miał czerwone skrzydła, tak jak ty, że też będę Serafinem. To chyba drażni Reeda. Będę wyżej od niego w hierarchii w raju, o ile się tam kiedyś dostaniemy.

– Russell, my jesteśmy czymś w rodzaju mutantów, nie wiem, czy będziemy wyżej od czegokolwiek.

– Wiesz, kiedy myślałem, że wy wszyscy jesteście jakimiś kosmitami, zdawało mi się, że już nic mnie bardziej nie zdziwi. Że powstaliście z jakiejś kosmicznej grzybni czy czegoś takiego... Ale ta sytuacja jest o wiele dziwniejsza.

– Opowiedz mi o tym. Spróbuj sobie wyobrazić, że naprawdę powstałeś z jakiejś kosmicznej grzybni i czekasz teraz, aż coś z ciebie wypełźnie – odpowiadam. – Nie jest zabawne być odrażającym, nie?

– No nie, ale przynajmniej mam ciebie i mogę być odrażający razem z tobą. Przed nami interesująca wieczność. Nie mogę się doczekać, co się dalej wydarzy – mówi z namysłem.

– To bardzo interesujące... i będziemy mieli całą wieczność, żeby się przekonać, więc może na razie pozwolimy Evie odpocząć, żeby zdrowiała – włącza się Reed, który wchodzi do pokoju.

Nieprzyjemny grymas wykrzywia usta wstającego Russella.

– Masz rację – mówi sztywno. – Ruda i ja będziemy mieli całą wieczność, żeby o tym rozmawiać. Martwię się tylko o ciebie. To znaczy... możesz być w każdej chwili odwołany do Nieba. Chyba już pora, żeby ci dali przepustkę na urlop. Kto wie, co się będzie dalej działo?

Słyszę warczenie Reeda i widzę, jak Russell natychmiast sztywnieje i przyjmuje pozycję obronną, tak jak zrobiłby to prawdziwy anioł. Zastanawiam się przez chwilę, czy jest to działanie instynktu.

– Co się dzieje? – pytam obu, zaskoczona, że tak się zachowują względem siebie. Przez pewien czas żaden z nich nie odpowiada, tylko nadal obrzucają się spojrzeniami.

– Nic, kochanie – odzywa się w końcu Reed. – Po prostu chciałem sprawdzić, jak się czujesz.

– Czuję się świetnie. Rozmawialiśmy z Russellem o tym, jak jesteśmy oboje odrażający – wyjaśniam, wyciągam rękę do Reeda.

– Nie jesteś odrażająca – mówi i siada przy mnie na łóżku. Bierze moją dłoń i lekko ją całuje. – Natomiast co do Russella, sprawa jest dyskusyjna.

– Reed! – wykrzykuję. – Nie mów tak.

– Nic nie szkodzi, Ruda – wtrąca Russell. – Muszę iść się pakować na wyjazd do domu. Przywieźliśmy tu wszystkie moje rzeczy i ubrania, bo, jak sędzę, tu będzie kwatera główna, zanim Reed i Zet zaplanują dalsze posunięcia.

– Kiedy chcesz jechać do domu?

– Dziś wieczorem. Mamy z dziewczynami samolot z Detroit. Wracamy za parę tygodni. Będę tęsknił, Ruda. Szkoda, że nie możesz z nami jechać.

– Ja też będę tęsknić – mówię, ale czuję ulgę, że z nimi nie jadę. Zepsułabym wszystko przez żalobę po wujku. Nawet teraz z ledwością panuję nad piekącym bólem, bo nie chcę, żeby Russell był świadkiem mojego smutku.

– Dbaj o nią – mówi Russell do Reeda.

– Jak o swoje życie – rzuca natychmiast Reed, ale brzmi to raczej jak ślubowanie, a nie odpowiedź.

Russell podchodzi do łóżka, pochyla się i delikatnie całuje mnie w policzek.

– Kocham cię, Ruda – mówi.

– Ja też cię kocham, Russell. – Uśmiecham się do niego. – Wesółych Świąt.

– Wesółych Świąt – odpowiada i odwraca się. Wychodzi z pokoju, zostawiając nas samych z Reedem.

Rozdział 21

Dzień przeprowadzki

W ciągu kolejnych kilku dni odzyskuję siły fizyczne. Mogę wyjść z łóżka i samodzielnie zacząć troszczyć się o siebie. Moje blizny szybko bledną, a potem znikają. Gdyby tylko blizny emocjonalne mogły się goić równie szybko... Ale wiem, że będą mi towarzyszyć tak długo, jak długo trwać będzie moja pamięć. Myślę, że w moim umyśle jest jakaś dziwna determinacja, żeby nie uronić żadnego szczegółu tamtego wieczoru sprzed kilku tygodni, bo wciąż pojawia się on w bardzo wyrazistych koszmarach sennych, które mnie nachodzą, kiedy tylko zamknę oczy. Ze względu na Zefira i Reeda staram się zachowywać normalnie, ale nie sądzę, żebym ich skutecznie oszukiwała, bo mają przecież nadnaturalnie wrażliwy słuch – a ja płaczę aż do zaśnięcia, prawie co noc.

Kiedy schodzę po raz pierwszy na dół i widzę, co Reed zrobił z jadalnią, zdaję sobie sprawę, jak trudno było mu wytrzymać podczas mojej choroby. Pokój stołowy jest teraz prawie pusty, bo Reed roztrzaskał niemal wszystko, co w nim stało. Zefir twierdzi, że połamał stół w drzazgi, więc już go wyrzucono. Misternie rzeźbione lichtarze, które zdobiły stół, są tak pogięte, że wyglądają, jakby się stopiły, jak przedmioty z obrazów Dalego.

Częściowo z tego powodu Reed zwolnił swoją służbę. Po całym zamieszaniu z moim wyzdrowieniem, z personelem medycznym mieszkającym w domu, z koniecznością zniszczenia mojego samochodu oraz z wizytami policji, Reed nie dał już rady przekonać służby, że w domu nie dzieje się nic dziwnego. Zdał sobie też sprawę, że za chwilę będzie miał za lokatorów czworo prawdziwych aniołów i dwoje półaniołów, więc ktoś na pewno będzie robił ciągle jakiś bałagan w obecności Andre i Greta. Obdarował oboje, przyznając im ogromną odprawę i znalazł im nowe miejsca pracy.



Rano w pierwszy dzień Bożego Narodzenia Reed, Zet i ja zbieramy się w bibliotece, gdzie Reed i Zefir układają przede mną całe stosy prezentów.

– Hm... no, no! Chłopaki! – mamroczę, kiedy prawie mnie już przywala góra paczek zawiniętych w ozdobny papier. – To bardzo miłe i tak dalej, ale... o rany! Nikt nie dostaje tylu prezentów. To trochę za dużo.

– Co masz na myśli? – pyta Zefir poważnym tonem.

Rozglądam się ponownie i widzę piętrzące się stosy podarunków.

– Chodzi mi o to, że rozpuścicie mnie, będę zepsuta i przestaniecie mnie lubić – odpowiadam.

Zefir marszczy czoło.

– Nie możesz się popsuć – mówi – twoja fizjologia zapewnia takie mechanizmy...

– Ona chyba nie rozumiała tego tak dosłownie – przerywa mu Reed z uśmiechem.

– Nie przejmujcie się – szepczę. Zdaję sobie sprawę, że oni w ogóle nie rozumieją, jaki nadmiar prezentów zgromadzili. Muszę się postarać, żeby nie zniszczyć im pierwszych świąt Bożego Narodzenia z półczłowiekiem.

Otwieram pudełko za pudełkiem. W każdym jest jakiś wyrafinowany upominek. Perfumy, telefon komórkowy, iPod, laptop, buty, torby, płaszcze, biżuteria, kosmetyki, ubrania, przybory do włosów, ekwipunek do hokeja na trawie, nowe narty i buty narciarskie, deski snowboardowe – a to tylko rzeczy, które zostały zapakowane. Są też inne podarunki, których się nie dało owinąć w papier, jak na przykład nowy czerwony range rover.

Reed stara się ukryć swoje podekscytowanie, kiedy bierze mnie za rękę i prowadzi na podjazd, żebym obejrzała samochód.

– Po tym, co się stało z twoim autem, musiałem ci kupić nowe, więc tak naprawdę nie jest to żaden prezent.

– Reed, ale to jest range rover, a nie stary, używany samochód. – Wiem, że nowe auto jest dziesięciokrotnie droższe niż moje stare, a może nawet więcej niż dziesięciokrotnie.

– Nie podoba ci się?

– Nigdy bym się nie spodziewała, że kupisz mi nowy samochód! Dziękuję, Reed. – Obejmuję go ramionami i chowam twarz w jego piersi. Jestem tak oszołomiona wszystkim, co od niego dostałam, że nie wiem, co mam robić. Reed sprawia wrażenie, że moja reakcja go cieszy. Podnosi mnie i mocno ściska, choć stara się powściągać swoją siłę, żeby mnie nie uszkodzić.

– Lubię Boże Narodzenie. Świetna zabawa. – Uśmiecha się, stawiając mnie z powrotem na ziemi.

– Wiesz... Nie musisz mi kupować drogich prezentów... Ja po prostu lubię być tu z tobą – mówię, kiedy się odwracamy, żeby pójść z powrotem do domu.

– Evie, większość z nas ma więcej pieniędzy niż pomysłów, co z nimi robić, więc ani dla mnie, ani dla Zeta nie jest to żaden problem, żeby ci kupić, cokolwiek tylko chcesz.

– A dlaczego nie skorzystacie ze swoich pieniędzy, skoro tyle ich macie, żeby... czy ja wiem... zwalczać biedę albo coś w tym stylu? – pytam. Siedzimy w bibliotece przy choince, a ja podziwiam lampki, w które Reed ją przystroił.

– Nie możemy. Nie wolno nam. Nie mamy prawa w jakikolwiek sposób ingerować w ludzkie losy. Nie możemy się wtrącać. To by naruszyło równowagę, wykoślawiło ją – tłumaczy mi Reed.

– Aha, rozumiem. Nie możecie pomagać ludziom – mówię z sarkazmem. – Więc czy ujdzie wam na sucho tyle podarunków dla mnie?

– A, jest tu pewien wybieg: nie jesteś już w pełni człowiekiem, prawda? – Uśmiecha się do mnie triumfalnie, a ja także rewanżuję się uśmiechem.

– Jeśli nie możecie wtrącać się w sprawy ludzi i dawać im pieniędzy, to jak ci się udaje być głównym dobroczyńcą Crestwood? – dopytuję dalej i uświadamiam sobie jednocześnie, że Reed przez cały dzień ani na chwilę nie spuścił mnie z oka.

– Nie przekazuję im samodzielnie wszystkich tych pieniędzy. Głównie przekonuję różnych zamożnych ludzi, żeby ofiarowali uczelni niewielkie sumy – wyjaśnia Reed.

– Ale czy to nie jest mimo wszystko oszustwo? To znaczy... skoro ich do tego przekonujesz? – pytam z krzywym uśmiechem.

Reed przykłada palec do ust.

– Cii... chyba na razie nikt nie zauważył.

– Ty też tak robisz, Zet? – pytam Zefira, który właśnie wypróbowuje ręczną nawigację, prezent od Reeda.

Marszczy brwi nieco zdezorientowany.

– Dlaczego sądzisz, że umiałbym przekonać do czegokolwiek ludzi?

Otwieram szeroko oczy.

– A co, nie potrafisz? Sądziłam, że wszyscy prawdziwi aniołowie mają tę umiejętność.

Zefir śmieje się z mojej naiwności.

– Reed jest jedynym znanym mi aniołem, który potrafi w ten sposób wpływać na ludzi. Wyobrazasz sobie, co by było, gdybyśmy wszyscy tak umieli? Na pewno Upadli by zwyciężyli, bo kazaliby ludziom, żeby się wzajemnie powybijali, a potem tylko odprowadzaliby dusze do Szeolu. Koniec gry, Upadli wygrywają. Nie, na szczęście Reed jest jedynym, który umie przekonywać i używa tej sztuki w dobrych celach. No, na ogół... Mam poczucie, że ci lekarze by się ze mną nie zgodzili, ale to była sytuacja awaryjna i nie będziemy się nią teraz martwić.

– Więc Reed jest bardzo wyjątkowy. – Widzę, że mnie obserwuje.

– Tak – potwierdza Zefir, wruszając ramionami.

Przypominam sobie, że też mam dla nich prezenty.

– Och, byłabym zapomniała wręczyć wam prezenty! – mówię podniecona, po czym podchodzę do choinki i szukam podarunków zamówionych przez Internet. Wręczam im owinięte w papier pudełka i obserwuję ich reakcje przy otwieraniu.

Zefir uśmiecha się, kiedy rozpakowuje swój prezent. To składany nóż Cara-Cara.

– Stal wysokowęglowa z domieszką czarnego tungstenu, pokryta warstwą karbonową, z tytanową rękojeścią wzmocnianą włóknem węglowym. Dzięki! – Zefir nie czyta tego wszystkiego z opakowania, tylko rozpoznaje cechy noża po wyglądzie. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy widzę, jak trzyma go w ręce, wyczuwa jego wagę i próbuje nim wymachiwać. Wydaje się, że jest mi naprawdę wdzięczny.

Zefir otwiera kolejny prezent – opakowanie ciastek Twinkies.

– Co to jest? – pyta zdezorientowany.

– Ciasteczka Twinkies. Dobrze smakują z koniakiem – tłumaczy mu Reed, a ja tłumię chichot.

Zefir nie wygląda na przekonanego, ale mimo wszystko otwiera opakowanie swoim nowym nożem i z szelmowską miną kroi biednego, bezbronego Twinkiego.

Reed też otwiera pierwszy prezent ode mnie: kilka opakowań mrożonego makaronu z serem, włożonych do lodówki turystycznej, która miała uchronić je przed rozmrożeniem.

– A to co znowu? – pyta Zefir podejrzliwie.

– Makaron z serem. Jadłeś to kiedyś? – odpowiada Reed.

– Nie.

– Chłopie, to nie znasz życia. – Reed uśmiecha się do mnie.

Otwiera kolejny prezent i patrzy na mnie zdeorientowany.

– To jest szkolny sygnet wujka Jima. Zawsze go nosił, a ja uwielbiałam się nim bawić, kiedy byłam mała. Zadzwoiłam do swojej przyjaciółki Molly i poprosiłam ją, żeby wzięła ten sygnet z naszego domu i przysłała tutaj. Chcę, żebyś ty go miał. Nie musisz go nosić. Będę szczęśliwa, wiedząc, że należy do ciebie. Kochałam wujka bardziej niż kogokolwiek na świecie, a teraz tak samo kocham ciebie – mówię i staram się, żeby się nie rozplakać. Bo tak się ostatnio składa, że płacz jest moim głównym zajęciem.

Reed obejmuje mnie i trzyma w ramionach.

– Dziękuję – szepcze mi do ucha, a potem wsuwa sygnet na palec.

– Nie wiem, jak tego dokonałaś, Evie, ale przy tobie obaj wychodzimy na skąpców – mówi Zefir. Wstaje z krzesła i zabierając ze sobą opakowanie Twinkies, wychodzi z biblioteki i zostawia nas samych.

– Dziękuję ci za wszystkie prezenty – mówię do Reeda, całując go w policzek. Czuję pod wargami jego gładką skórę.

– Wiesz, o czym ciągle myślę? – pyta mnie.

– Nie, o czym?

– Myślę o tym, jak bardzo mnie to wszystko cieszy.

– Boże Narodzenie? – Rozpraszają mnie jego uwodzicielskie wargi.

– Tak... i to, że jesteś tu ze mną. Mam teraz rodzinę, ty i ja... – Patrzy na mnie i sprawdza moją reakcję.

Moje serce przyspiesza.

– I ja? – pytam, czując ze zdumieniem, jak wokół serca rozlewa mi się fala ciepła. – Ja jestem twoją rodziną?

– Tak – mówi łagodnie – i będę bronił swojej rodziny przed wszystkim, co jej może zagrozić. – Podnosi moją dłoń do swoich ust i całuje delikatnie moje palce.

– Prawie wszystko może jej zagrozić – odpowiadam ze smutnym uśmiechem.

Palce Reeda zaciskają się na moich.

– Evie, pracujemy z Zetem nad różnymi strategiami, które mogłyby to zmienić.

– Naprawdę? – Czuję, jak budzi się we mnie maleńka iskierka nadziei.

– Nie martw się, zajmę się tobą – obiecuje Reed z takim przekonaniem, że wreszcie zacznę wierzyć w te jego zapewnienia.

– Może nie powinienes... – Ja też chcę go chronić.

– Evie – wymawia moje imię jak delikatną pieszczotę. – Kocham cię... i wcale nie proszę o pozwolenie na to, żeby cię bronić – dodaje z uśmiechem.

Marszczę brwi, słysząc tę arogancję.

– Wiem, że nie prosisz. Więc chyba będę musiała się zgodzić, bo ja też cię kocham.

– Tak, będziesz musiała. – Śmieje się, zbyt szczęśliwy, żeby to ukrywać. Powoli przyciąga mnie do siebie, delikatnie dotyka wargami moich ust.

Po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się całkowicie bezpieczna.

KONIEC Tomu 1

[1] Oryginalny tytuł: *Baba O'Riley* – piosenka zespołu *The Who* z 1971 r. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza lub redakcji).

[2] Korporacje studenckie przyjmujące nazwy od liter greckiego alfabetu; najstarsze jest bractwo Phi Beta Kappa Society założone w 1776 r.

[3] W futbolu amerykańskim *Hail Mary pass* to typ bardzo długiego, desperackiego podania piłki przez zagrywającego do skrzydłowych, wykonywanego z niewielkim prawdopodobieństwem, że dotrze ono do właściwych rąk.

[4] Nawiązanie do słynnej powieści Josepha Hellera *Paragraf 22*, a także potocznego określenia sytuacji bez wyjścia.

[5] W Michigan od początku swojego istnienia znajduje się fabryka samochodów marki Ford.

[6] Przepisy sportu uczelnianego w USA pozwalają studentom-sportowcom występować przez 4 lata. Często trenerzy oszczędzają dobrych zawodników w trakcie pierwszego roku studiów, żeby umożliwić im występowanie na piątym roku, kiedy są najsilniejsi i najsprawniejsi. Tacy „przechowywani” zawodnicy, trenujący i należący do drużyny, ale niebiorący udziału w zawodach, nazywani są *redshirts*, „czerwone bluzy”.

[7] Marka, pod którą w USA sprzedawane są m.in. popularne ciasteczka Twinkies i wiele innych przekąsek.

[8] Piosenka Bruce'a Springsteena z 1973 r., spopularyzowana przez zespół Manfred Mann's Earth Band.

[9] Hiszp. *nic*.